

Isabel Allende
Zorro
Narodziny Legendy

Przełożyła Marta Jordan
Tytuł oryginału: El Zorro. Comienza la leyenda
Wydanie oryginalne 2005
Wydanie polskie 2005

Spis treści:

Część pierwsza - Kalifornia (1790-1810).....	1
Część druga - Barcelona (1810-1812).....	37
Część trzecia - Barcelona (1812-1814).....	68
Część czwarta - Hiszpania (koniec 1814 - początek 1815).....	98
Część piąta - Górna Kalifornia (1815).....	132
Epilog i końcowa kropka - Górna Kalifornia (1840).....	159

Jest to opowieść o losach Diega de la Vegi, człowieka, który stał się legendarnym Zorro. Nareszcie mogę ujawnić jego tożsamość, którą przez tyle lat trzymaliśmy w tajemnicy, i robię to z pewnym wahaniem, albowiem biała kartka onieśmiela mnie nie mniej niż obnażone szpady ludzi Moncady. Zapisując niniejsze stronicę, pragnę ubiec tych, którzy nie ustają w wysiłkach, aby oczerniać Zorro. Liczba naszych przeciwników jest znaczna, co zwykle przydarza się tym, którzy nie wahają się, gdy trzeba bronić słabych, ratować dziewice albo też przytrzeć nosa możnym. Oczywiście każdy idealista przysparza sobie wrogów, my jednak wolimy rachować naszych przyjaciół, których jest znacznie więcej. Muszę opowiedzieć o tych przygodach, albowiem bohaterstwo Diega, który narażał życie, broniąc sprawiedliwości, poszłoby na marne, gdyby nikt się o tym nie miał dowiedzieć. Poświęcenie dla innych jest mało opłacalne, w dodatku często prowadzi do przedwczesnego zgonu, dlatego przyciąga fanatyków albo ludzi wykazujących niezdrową fascynację śmiercią. Bohaterów o romantycznym sercu, a przy tym lekkoduchów, jest bardzo niewiele. Powiedzmy to wprost: Zorro nie ma sobie równych.

Część pierwsza - Kalifornia (1790-1810).

Zacznijmy od początku, od zdarzenia, które doprowadziło do tego, że Diego de la Vega mógł przyjść na świat. Działo się to w Górnej Kalifornii, w misji San Gabriel, Roku Pańskiego 1790. W owym czasie na czele misji stał ojciec Mendoza, franciszkanin, szeroki w barach niczym drwal, niewyglądający na swoje czterdzieści intensywnie przeżytych lat, energiczny i lubiący rządzić, któremu w trakcie pełnienia służby bożej najtrudniej przychodziło naśladowanie pokory i łagodności świętego Franciszka z Asyżu. W Kalifornii w dwudziestu trzech misjach żyło jeszcze wielu innych duchownych, których zadaniem było krzewienie chrześcijaństwa wśród tysięcy pogan należących do plemion Czumaszów, Szoszonów i innych, którzy niezbyt chętnie tę wiarę przyjmowali. Rdzenni mieszkańcy wybrzeża Kalifornii od tysięcy lat prowadzili handel wymienny. Ich ziemie były bardzo zasobne w bogactwa naturalne, a poszczególne plemiona specjalizowały się w różnych dziedzinach. Hiszpanie byli pod wrażeniem gospodarki Czumaszów stojącej na tak wysokim poziomie, że można było ją porównywać z gospodarką Chin. Indianie jako monet używali muszli i regularnie urządzali targi, podczas których oprócz handlowania zajmowali się również aranżowaniem małżeństw.

Indianie nie byli w stanie pojąć tajemnicy człowieka umęczonego na krzyżu, którego czcili biali, i nie rozumieli sensu umartwiania się na tym świecie, w nadziei na hipotetyczny dobrobyt na drugim. W chrześcijańskim raju mogliby co najwyżej usadowić się na jakiejś chmurce i pospołu z aniołami grać na harfie, podczas gdy większość z nich wołała po śmierci polować z przodkami na niedźwiedzie na ziemiach Wielkiego Ducha. Podobnie dziwili się, kiedy cudzoziemcy wbijali w ziemię flagę, wytyczali jakieś linie istniejące tylko w ich wyobraźni, zakreślony nimi teren ogłaszali swoją własnością i mieli za złe, kiedy ktoś w pogoni za jeleniem tam się zapędził. Myśl, że można posiadać ziemię, wydawała im się równie niedorzeczna jak idea podziału mórz.

Na wieść o tym, że kilka plemion pod przewodnictwem wojownika z głową wilka wznieciło bunt, ojciec Mendoza pomodlił się za ofiary, jednak nie przejął się zbyt, gdyż był przekonany, że misji San Gabriel nic nie grozi. Przynależność do jego misji była traktowana jako przywilej; dowodów na to dostarczały mu indiańskie rodziny, które w zamian za chrzest dobrowolnie oddawały mu się pod opiekę i chętnie pozostawały pod jego dachem; do rekrutacji nowych wiernych nigdy nie musiał używać wojska. Przyczyn powstania, które właśnie wybuchło, pierwszego w Kalifornii, upatrywał w brutalności hiszpańskich żołdaków i surowości swoich braci misjonarzy. Plemiona indiańskie były rozbite na małe grupki, miały odmienne zwyczaje i komunikowały się za pomocą znaków; w żadnej sprawie z wyjątkiem handlu nigdy nie potrafiły dojść do porozumienia, a już na pewno nie umiałyby wspólnie wypowiedzieć wojny. W jego oczach owi biedni ludzie byli niewinnymi owieczkami bożymi, które grzeszyły z niewiedzy, a nie ze złych nawyków; skoro powstał przeciwko kolonizatorom, musiały istnieć po temu jakieś poważne powody.

Bez wytchnienia, ramię w ramię z Indianami, misjonarz pracował w polu, przy garbowaniu skór, przy młócce kukurydzy. Wieczorami, kiedy wszyscy odpoczywali, opatrywał im drobne rany albo wyrzywał zepsute zęby. Poza tym udzielał lekcji katechizmu i arytmetyki, aby nawróceni Indianie umieli policzyć skóry, świece i krowy; jednak czytać ani pisać już nie uczył, gdyż były to umiejętności niemające tu żadnego praktycznego zastosowania. Nocami wyrabiał wino, prowadził rachunki, pisał coś w swoich zeszytach i modlił się. O świcie bił w kościelne dzwony, wzywając wszystkich na mszę, a po nabożeństwie czujnym okiem nadzorował przebieg śniadania, bacząc, aby dla nikogo nie zabrakło jedzenia. Właśnie z tych względów, a nie przez zbytnią pewność siebie albo próżność, był przekonany, że plemiona, które wkroczyły na ścieżkę wojenną, nie zaatakują jego misji. Niemniej jednak kiedy mijał tydzień za tygodniem, a złe nowiny nie przestawały napływać, zaczął: przysłuchiwać się im uważniej. W końcu wysłał kilku mężczyzn, do których miał pełne zaufanie, aby dowiedzieli się, co się dzieje w tamtym regionie, ci zaś prędko natrafili na zbuntowanych Indian i dowiedzieli się wszystkiego ze szczegółami, gdyż ci, których mieli szpiegować, wzięli ich za swoich sojuszników. Po powrocie opowiedzieli misjonarzowi, że z głębi lasu wyłonił się jakiś bohater, w którego wstąpił duch wilka, i zdołał zjednoczyć wiele plemion, żeby wspólnymi siłami wypędzić Hiszpanów z ziemi swoich przodków, gdzie zawsze polowali, nie prosząc nikogo o pozwolenie. Nie mają określonej strategii, po prostu napadają na misje i miasteczka, podpalają wszystko, co napotkają, i wycofują się równie niespodziewanie, jak niespodziewanie się pojawili. Zabierają ze sobą nowo nawróconych, których biali nie zdążyli jeszcze pozbawić mocy ducha, i w ten sposób zasilają swoje szeregi. Ludzie ojca Mendozy dodali jeszcze, że wódz Szary Wilk ma na oku misję San Gabriel i nie żywi wobec misjonarza jakiejś szczególnej urazy, ale osada ta leży na obranej przez niego drodze. W obliczu takiego zagrożenia duchowny musiał podjąć jakieś kroki. Nie zamierzał tracić owoców swej wieloletniej pracy ani tym bardziej pozwolić, aby odebrano mu Indian, bo ci, pozbawieni jego opieki, pogrążyliby się w grzechu i powrócili do dzikiego trybu życia. Napisał do kapitana Alejandra de la Vegi, prosząc go o pilną pomoc. Obawia się najgorszego, donosił, ponieważ powstańcy są bardzo blisko i w każdej chwili mogą uderzyć, a bez wsparcia wojska on sam nie będzie w stanie się obronić. Do fortu San Diego wysłał z takim samym pismem dwóch doświadczonych jeźdźców, którzy mieli pojechać dwiema różnymi drogami na wypadek, gdyby jeden wpadł w ręce wroga.

Kilka dni później kapitan Alejandro de la Vega przygalopował do misji. Na dziedzińcu zeskoczył z siodła, zrzucił ciężki surdut munduru, chustkę i kapelusz, i zanurzył głowę w kadzi służącej kobietom do namaczania bielizny. Jego koń pokryty był pianą, gdyż przebył wiele staj, niosąc na grzbiecie jeźdźca w pełnym rynsztunku oficera hiszpańskiej armii: z lancą, szpadą, tarczą z dwóch warstw skóry i karabinem, nie licząc samego siodła. De la Vega przybywał w towarzystwie dwóch żołnierzy i prowadził kilka koni z zaopatrzeniem. Ojciec Mendoza przywitał go z otwartymi ramionami, jednak widząc, że przyjechało z nim tylko dwóch obszarpanych dragonów, równie wyczerpanych co ich wierzchowce, nie potrafił ukryć rozczarowania.

- Przykro mi, ojcze, nie mam więcej żołnierzy, tylko tych dwóch śmiazków. Reszta oddziału pozostała w miasteczku La Reina de los Angeles, któremu także zagrażają buntownicy - wyjaśnił kapitan przepraszącym tonem, wycierając twarz rękawem koszuli.

- Niech nas Pan Bóg wspiera, skoro Hiszpania tego nie czyni - wycodził przez zęby duchowny.

- Wiadomo, ilu będzie napastników?

- Bardzo niewielu umie tutaj dokładnie liczyć, kapitanie, jednak jak dowiedzieli się moi ludzie, może ich być nawet pięciuset.

- To znaczy, że nie będzie ich więcej jak stu pięćdziesięciu, ojcze. Możemy się obronić. Kogo mamy do dyspozycji? - dopytywał się Alejandro de la Vega. i

- Mnie, a zanim zostałem księdzem, też byłem żołnierzem, i jeszcze dwóch misjonarzy. A także trzech żołnierzy wyznaczonych do ochrony misji, którzy tutaj mieszkają. No i mamy sporo muszkietów i karabinów, amunicję, kilka szpad i proch, którego używamy w kamieniołomach.

- A ilu neofitów?

- Nie mogę ryzykować życia moich neofitów, kapitanie. Dbam o nich jak o moje własne dzieci, zresztą, synu, bądźmy realistami: większość z nich nie będzie walczyć z ludźmi tej samej rasy - powiedział misjonarz. - Co najwyżej można liczyć na pół tuzina młodych służących, którzy się tutaj wychowali, i kilka kobiet, które mogą nam pomóc przy ładowaniu broni.

- Dobrze, ojcze, bierzmy się do roboty w imię boże. Z tego, co widzę, najsolidniejszym budynkiem misji jest kościół. Tam się będziemy bronić - powiedział kapitan.

W ciągu następnych dni nikt w San Gabriel nie próżnował, nawet małe dzieci zostały zapędzone do roboty. Ojciec Mendoza, znawca ludzkiej duszy, nie wierzył, że gdyby neofici zostali otoczeni przez Indian żyjących poza misją, zachowaliby się wobec niego lojalnie. Już teraz w oczach niektórych zauważył dziki błysk; nie uszła też jego uwagi nieporadność, z jaką wykonywali polecenia: kamienie wypadły im z rąk, worki z piaskiem się rwały, liny płątały, z wiader wylewała się smoła. Zmuszony przez okoliczności pogwałcił własny kodeks postępowania, którego podstawą było miłosierdzie, i niezłomny w swym postanowieniu dwóch Indian kazał zakuć w dyby, trzeciemu zaś, gwoli przestrogi, wymierzył dziesięć batów. Następnie dodatkowymi deskami kazał wzmocnić drzwi do budynku przeznaczonego dla niezamężnych kobiet, a i bez tego owo pomieszczenie sprawiało wrażenie więzienia, skąd nawet najodważniejsze z nich - gdyby nagle zachciało się im pospacerować z ukochanymi przy świetle księżycy - nie były w stanie się wydostać. Była to okrągła zwarta bryła z grubej cegły, bez okien, za to mająca tę dodatkową zaletę, że za pomocą żelaznej sztaby i kłódek można ją było zaryglować z zewnątrz. Tam zamknięto większość neofitów, na wszelki wypadek zakuwszy ich uprzednio w kajdany, aby podczas potyczki nie mogli przyłączyć się do przeciwnika.

- Indianie się nas boją, ojcze. Myślą, że uprawiamy jakieś potężne czary - powiedział kapitan de la Vega, poklepując dłońią kolbę karabinu.

- Ci ludzie aż za dobrze znają broń palną, chociaż jak dotąd nie potrafili odkryć, jak działa. To, czego naprawdę boją się Indianie, to Chrystusowy krzyż - odparł misjonarz, wskazując na ołtarz.

- W takim razie pokażemy im moc krzyża i prochu - roześmiał się kapitan i zaczął objaśniać, na czym polega jego plan.

Znajdowali się w kościele, gdzie na wprost drzwi została wzniesiona barykada z worków z piaskiem, w strategicznych zaś miejscach rozstawiono stanowiska ogniowe. Zdaniem kapitana de la Vegi zwycięstwo może należeć do nich, ale muszą utrzymać napastników na dystans niezbędny do ponownego załadowania karabinów i muszkietów. Jednak w bezpośrednim starciu byli bez szans: Indianie przewyższali ich zarówno pod względem liczebności, jak i sposobów walki wręcz, a ich okrucieństwo było straszliwe.

Ojciec Mendoza podziwiał odwagę tego człowieka. De la Vega miał około trzydziestki i był już doświadczonego żołnierzem, zaprawionym w walkach we Włoszech, skąd powrócił naznaczony bliznami, z których był dumny. Był trzecim z kolei synem w pewnej szlacheckiej hiszpańskiej rodzinie, której rodowód sięgał aż do walecznego Cyda. Jego przodkowie pod sztandarami królowej Izabeli Katolickiej i króla Ferdynanda Katolickiego walczyli z Maurami, jednakże niezwykle męstwo i krew przelana za Hiszpanię nie zapewniły im fortuny, a jedynie honor. Po śmierci ojca najstarszy syn odziedziczył stuletnią siedzibę rodu oraz splachetek spalonej kastyljskiej ziemi. Drugi został księdzem, trzeciemu zaś przypadł w udziale los żołnierza; młody człowiek szlacheckiej krwi, taki jak Alejandro de la Vega, nie miał wyboru. Jako zapłatę za waleczność otrzymał niewielką sakiewkę złotych dublonów i zgodę na wyjazd do Nowego Świata w poszukiwaniu lepszego losu. Tak trafił do Górnej Kalifornii, dokąd przybył w towarzystwie doñi Eulalii de Callís, żony gubernatora Pedra Fagesa,

któremu ze względu na ciężki charakter i częste polowania na grubego zwierza, jakie urządził, nadano przydomek Niedźwiedź.

Ojciec Mendoza słyszał plotki na temat owej - godnej pióra najlepszego epika - podróży doñi Eulalii, damy obdarzonej temperamentem równie ognistym co jej małżonek. Pokonanie drogi z miasta Meksyk, gdzie wiodła istic książęcy żywot, do Monterrey, niegościnnej fortecy, w której czekał na nią mąż, zajęło jej sześć miesięcy. Posuwała się w żółwym tempie z całym orszakiem wozów zaprzężonych w woły oraz niekończącym się sznurem mułów z ekwipunkiem; ponadto w każdym miejscu, w którym się zatrzymywano na postój, organizowała dla swojej świty fiestę, która zazwyczaj przeciągała się do kilku dni. Powiadano, że była ekscentryczna, kąpała się w mleku oślicy, a sięgające jej do kostek włosy farbowała czerwonymi pomadami, jakich używały weneckie kurtyzany; że to zwykła rozrzutność, a nie chrześcijańska cnota sprawiała, że swe suknie z jedwabiu i brokatu oddawała nagim Indianom, których napotykała na drodze; i dodawano, iż na domiar wszystkiego zagięła parol na przystojnego kapitana Alejandra de la Vegę. W końcu kimże ja jestem, żebym miał osądzać tę señorę? Tylko biednym franciszkaninem, podsumował swoje refleksje ojciec Mendoza, obserwując de la Vegę spod oka i nie mogąc się powstrzymać, aby - wstydzając się własnej ciekawości - nie zadawać sobie w duchu pytania, ile też w owych pogłoskach mogło być prawdy.

W listach do swoich przełożonych w Meksyku misjonarze skarżyli się, że mimo nawrócenia Indianie wolą chodzić nago, mieszkać w chatynkach ze słomy, jako bronii używać łuku i strzał, żyć dalej bez wykształcenia, bez rządu i religii, i bez szacunku dla władzy, oddając się jedynie zaspokajaniu swoich bezwstydnich chuci, jakby cudowna woda chrztu wcale nie obmyła ich z grzechów. Upór, z jakim Indianie obstawali przy swoich obyczajach, musiał być dziełem szatana, nie było innego wytłumaczenia, dlatego misjonarze zwykli polować na uciekinierów z lassem, a pragnąc wpoić im głoszoną przez siebie wiarę opartą na miłości i przebaczeniu, od razu po schwytaniu wymierzali im karę chłosty. Jednakże ojciec Mendoza w młodości, zanim został duchownym, prowadził dość swobodny tryb życia, w związku z czym nastawienie na „zaspokajanie bezwstydnich chuci” nie było mu obce, dlatego też jego sympatia była po stronie Indian. Ponadto skrycie podziwiał metody, jakie wobec tubylców stosowali jego rywale jezuiti. Nie był taki jak inni księża, włączając w to większość jego współbraci franciszkanów, którzy z ignorancji czynili cnotę. Kiedy przygotowywał się do objęcia misji San Gabriel, z najwyższym zainteresowaniem przeczytał raport niejakiego Jeana Francois La Perouse'a, podróżnika, który kalifornijskich neofitów opisał jako ludzi smutnych, przygnębionych i pozbawionych osobowości, przywodzących mu na myśl bezwolnych czarnych niewolników z plantacji na Karaibach. Władze hiszpańskie przypisywały opinii La Perouse'a pożałowania godnemu faktowi, iż był on Francuzem, jednak na ojcu Mendozie wywarły one wielkie wrażenie. W głębi duszy w nauce pokładał niemal taką samą ufność co w Bogu, dlatego postanowił, że w jego misji będą panowały dobrobyt i sprawiedliwość. Założył sobie, że adeptów będzie zdobywać metodą perswazji, bez pomocy lassa, i zatrzyma ich przy sobie dobrymi uczynkami, a nie strachem przed chłostą. Jego sukces był spektakularny. Gdyby La Perouse wówczas tamtędy przejeżdżał, bardzo by się zdziwił. Ojciec Mendoza mógł się pochwalić - czego jednak nigdy nie czynił - że w San Gabriel liczba chrztów się potroiła i żaden z nawróconych nie uciekał na dłużej; nieliczni zbiegowie zawsze wracali skruszeni. Wracali, choć czekała ich tu ciężka praca i ograniczenia dotyczące życia seksualnego, ponieważ traktował ich łagodnie i ponieważ nigdy wcześniej nie mieli zapewnionych trzech posiłków dziennie i solidnego dachu nad głową w czasie burz.

Misja przyciągała ciekawych z Ameryki i z Hiszpanii; przybywali do tej odległej krainy, żeby poznać tajemnicę sukcesu ojca Mendozy. Podziwiali pola zbóż i warzyw, winnice dające dobre wino, system nawadniania na wzór akweduktów rzymskich, stajnie i zagrody, ciągnące się aż po horyzont stada owiec pasące się na wzgórzach, magazyny pękające od wyprawionych skór i botas z łojem. Zachwycał się panującym tu spokojem i potulnością neofitów, którzy swoimi wyrobami ze skóry i wikliny zdobywali rozgłos za granicą. „Kiedy brzuch pełen, serce radosne” - brzmiało motto ojca Mendozy, u którego (od kiedy usłyszał, że marynarze umierają często na szkorbut, podczas gdy chorobie mogła zapobiec zwykła cytryna) kwestia odżywiania przerodziła się w obsesję. Uważał, że łatwiej ratować duszę, gdy ciało jest zdrowe, dlatego pierwsze, co zrobił po przybyciu do misji, to odwieczną papkę z kukurydzy, stanowiącą podstawę żywienia Indian, zastąpił tortillą z duszonym mięsem, tłuszczem i warzywami. Z ogromnym trudem sprowadzał dla dzieci mleko, gdyż każde wiadro tego pianistego płynu pochodziło od dzikich krów, z którymi toczono regularne boje. Do wydojenia jednej potrzeba było trzech osiłków, a i tak czasami wygrywała krowa. Mendoza zwalczał niechęć dzieci do mleka tą samą metodą, jaką raz w miesiącu dawał im środek na przeczyszczenie, żeby uwolnić je od robaków: wiązał je, zaciskał im nos i do ust wsadzał lejek. Taka determinacja musiała

dawać rezultaty. Karmione przez lejek dzieci rosły zdrowo, były silne i zahartowane. Mieszkańcy San Gabriel nie miewali robaków i nie groziły im zapowiedziane już przez proroków plagi, które dziesiątkowały inne kolonie, chociaż czasami neofici przenosili się na tamten świat z powodu zwykłego przeziębienia albo biegunki.

Indianie zaatakowali w środę w południe. Podeszli bezszelestnie, jednak w misji już na nich czekano. Rwącym się do walki wojownikom w pierwszej chwili wydawało się, że misja jest opuszczona; na dziedzińcu powitało ich jedynie kilka wychudzonych psów i jakaś rozłargniona kura. Nigdzie nie było żywej duszy, znikąd nie dochodziły żadne głosy, nie było widać dymu, który powinien był się unosić znad ognisk w chatach. Niektórzy Indianie okryci byli skórą i mieli konie, jednak większość była naga i szła piechotą. Byli uzbrojeni w łuki i strzały, maczugi i dzidy. Przodem galopował wymalowany w czerwone i czarne kreski tajemniczy wódz w krótkiej tunice z wilczej skóry i z wilczym łbem na głowie służącym mu za hełm. Jego twarz migająca w otwartej paszczy dzikiego zwierza, zasłonięta długimi ciemnymi włosami, była ledwo widoczna.

W ciągu kilku minut napastnicy rozbiegli się po misji, podłożyli ogień pod słomiane chaty i nie napotykając na żaden opór porozbijali gliniane dzbany, beczki, narzędzia, krosna i wszystko, co tylko wpadło im w ręce. Ich przerażające okrzyki wojenne i ogromny pośpiech sprawiły, że nie usłyszeli wołania neofitów z zaryglowanego budynku dla kobiet. Rozzuchwaleni ruszyli na kościół i wypuścili w jego stronę deszcz strzał, jednak okazało się to daremne, gdyż te odbiły się od mocnych ceglanych ścian. Na rozkaz wodza hurmą rzucili się na grube drewniane wrota, które pod ich naporem zadrżały, ale nie ustąpiły. Kolejne próby ich wyważenia powodowały, że wrzaski Indian przybierały na sile, a kilku silniejszych i odważniejszych wojowników szukało sposobu, by dostać się do wąskich okienek i na dzwonnice.

Z każdym uderzeniem w drzwi napięcie wewnątrz kościoła rosło, aż stało się nie do zniesienia. Obrońcy - czterech misjonarzy, pięciu żołnierzy i ośmiu neofitów - rozstawieni po bokach nawy, byli osłonięci workami z piaskiem; do pomocy mieli dziewczęta, gotowe do podawania naładowanej broni. De la Vega przyuczył je najlepiej, jak tylko mógł, jednak od przerażonych młodek, które nigdy nie widziały muszkietu z bliska, nie można było wymagać zbyt wiele. Miały one wykonać kilka prostych czynności, jakie byle żołnierz robił bez zastanowienia, jednak wytłumaczenie ich dziewczętom zajęło kapitanowi kilka godzin. Kiedy broń była już gotowa, dziewczyna miała ją podać żołnierzowi, który oddawał strzał, a ona w tym czasie przygotowywała następną. Po naciśnięciu spustu od iskry na panewce zapalał się ładunek wybuchowy, powodując wystrzał. Zawilgocony proch, zużyte krzesiwo i zatkałe lufy sprawiały, że wielokrotnie broń nie wystrzeliwała, nie mówiąc już o tym, że często przed naciśnięciem spustu zapominano wyjąć z lufy stempel do jej nabijania.

- Nie przejmujcie się, na wojnie zawsze tak jest, nic tylko huk i zamęt. Jeśli jakaś broń się zatnie, natychmiast musi być podana druga, żeby nie przerywać strzelania - brzmiały instrukcje Alejandra de la Vegi.

W pomieszczeniu za ołtarzem były ukryte pozostałe kobiety i wszystkie dzieci z misji, a ojciec Mendoza poprzysiągł bronić ich do ostatniego tchu. Oblężeni obrońcy z palcami zakrzywionymi na spustach i twarzami zasłoniętymi do połowy chustkami nasączonymi wodą z octem czekali w ciszy na rozkaz kapitana, który jako jedyny cały czas zachowywał zimną krew pomimo krzyków Indian i łomotu ich ciał obijających się o drzwi. De la Vega starał się ocenić wytrzymałość drewna. Sukces jego planu zależał od tego, czy do działania przystąpią w odpowiednim momencie i przy pełnej koordynacji. Od czasu kampanii włoskiej, a było to przed wielu laty, nie miał okazji walczyć, jednak zachowywał jasność umysłu i spokój; jedyną oznaką lęku było swędzenie dłoni, jakie zawsze odczuwał przed oddaniem strzału.

Po chwili Indianie zmęczyli się waleniem do drzwi i wycofali się, żeby zebrać siły i wysłuchać rozkazów wodza. Nastąpiła zatrważająca cisza. Ten właśnie moment wybrał de la Vega, żeby dać sygnał do walki. Kościelny dzwon zaczął bić jak oszalały, a czterej neofici podpalili szmaty nasączone smołą, wywołując gęsty i cuchnący dym. Dwaj inni odsunęli ciężki rygiel drzwi. Bicie dzwonu przywróciło energię Indianom, którzy przegrupowali się, aby przystąpić do kolejnego ataku. Tym razem wrota ustąpiły już pod pierwszym uderzeniem, a Indianie bezładnie powpadali jeden na drugiego, zatrzymani przez barykadę z worków z piaskiem. Półmrok panujący wewnątrz kościoła i słup dymu zdezorientowały ich, gdyż na zewnątrz, skąd przybywali, było jasno. Z obu stron nawy naraz wypaliło dziesięć muszkietów, raniąc wielu Indian, którzy upadli z jękiem na ziemię. Kapitan podпалиł lont i w ciągu kilku sekund ogień dosięgnął rozmieszczonych przed barykadą worków z prochem wymieszanym z łojem i pociskami. Eksplozja zakolysała fundamentem kościoła i wyrwała z ołtarza

wielki drewniany krzyż, a na Indian posypał się grad odłamków metalu i kamieni. Fala gorąca odrzuciła obrońców do tyłu, ogłuszył ich przeraźliwy huk, jednak w czerwonej chmurze dymu zdołali dojrzeć ciała Indian porzucane niczym marionetki. Ukryci za barykadami mieli dość czasu, aby się pozbierać i ponownie załadować broń, zanim powietrze przeszły pierwsze strzały napastników. Wielu Indian leżało na ziemi, a ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, kasłali i płakali od dymu, nie będąc w stanie dobrze wycelować z łuków, za to stanowiąc łatwy cel dla kul.

Hiszpanie trzykrotnie zdołali wystrzelić z muszkietów, zanim wódz i jego dzielni wojownicy wspięli się na barykadę i wdarli do nawy, gdzie w gotowości czekali na ich przyjęcie. W chaosie walki kapitan Alejandro de la Vega nie tracił z oczu indiańskiego wodza i gdy tylko udało mu się uwolnić od otaczających go przeciwników, z dzikim rykiem rzucił się na tamtego ze szpadą w dłoni. Z całych sił pchnął stalowym ostrzem, jednak trafił w próżnię, gdyż sekundę wcześniej instynkt uprzedził Szarego Wilka o niebezpieczeństwie, każąc mu uskoczyć w bok. Gwałtowny zamach towarzyszący pchnięciu szpadą sprawił, że kapitan stracił równowagę, poleciał do przodu, potknął się i runął na kolana, a jego szpada uderzyła o ziemię, pękając na pół. Z okrzykiem triumfu Indianin uniósł dzidę, chcąc przeszyć Hiszpana na wylot, jednak nie zdążył tego uczynić, gdyż uderzony kolbą karabinu w kark upadł na wznak i znieruchomiał.

- Niech mi Bóg wybaczy! - zawołał ojciec Mendoza, który trzymanym za lufę muszkietem z dziką przyjemnością rozdawał ciosy na prawo i lewo.

Ku zaskoczeniu kapitana de la Vegi, który już się miał za nieboszczyka, wokół wodza szybko zaczęła się tworzyć ciemna kałuża, a dumna wilcza głowa, stanowiąca jego przybranie, mocno poczerwieniała. Swoją radość, która była całkiem nie na miejscu, ojciec Mendoza ukoronował siarczystym kopniakiem wymierzonym w nieruchome ciało zabitego. Wystarczyło, że poczuł zapach prochu, a na powrót stał się takim samym żądnym krwi żołdakiem, jakim był za młodu.

Bardzo szybko wśród Indian rozeszła się wieść, że ich wódz padł, i zaczęli się wycofywać; najpierw popatrywali na siebie z wahaniem, a następnie popędzili na łeb na szyję i zginęli w oddali. Złani potem i na w pół uduszeni dymem zwycięzcy odczekali, aż opadnie pył, który wzbili uciekający przeciwnik, po czym wyszli odetchnąć świeżym powietrzem. Do oszalałego bicia kościelnego dzwonu dołączyła salwa strzałów w powietrze i niekończące się wiwaty ocalonych, które zagłuszyły jęki rannych i histeryczny płacz kobiet i dzieci, ciągle jeszcze zamkniętych za ołtarzem i krztuszących się od dymu.

Ojciec Mendoza zakasał zakrwawioną sutannę i zabrał się do przywracania swojej misji do normalnego stanu, nie zdając sobie sprawy, że stracił ucho i że jego ubranie nie jest poplamione krwią przeciwników, tylko jego własną. Podliczył niewielkie straty i pomodlił się w podwójnej intencji: dziękował za zwycięstwo i prosił o przebaczenie za to, że w ferworze walki zapomniał o chrześcijańskim miłosierdziu. Dwaj żołnierze odnieśli niegroźne rany, jednemu z misjonarzy strzała przeszła ramię. Śmierć poniosła tylko jedna z dziewcząt ładujących broń, piętnastoletnia Indianka, która leżała na ziemi z czaszką rozłupaną pałką i wyrazem zaskoczenia w wielkich ciemnych oczach. Podczas gdy ojciec Mendoza zapędzał swoich ludzi do gaszenia pożarów, opatrywania rannych i grzebania poległych, kapitan Alejandro de la Vega z cudzą szpadą w dłoni przemierzał nawę kościoła, szukając trupa indiańskiego wodza, zamierzał bowiem nabić jego głowę na lancę i wystawić przy wjeździe do misji, aby zniechęcić tym każdego, komu przyszłoby na myśl pójść w jego ślady. Znalazł go tam, gdzie padł. Teraz wyglądał zaledwie jak jakiś smętny tobołek unurzany w kałużę własnej krwi. Jednym szarpnięciem de la Vega zdał mu wilczy łeb i czubkiem stopy odwrócił ciało wodza, który wydawał się znacznie drobniejszy, niż kiedy dźwiżył dzidę w dłoni. Zaślepiony wściekłością, ciężko dysząc po trudach walki kapitan chwycił go za długie włosy i uniósł szpadę, żeby jednym ruchem uciąć mu głowę, jednak zanim zdążył opuścić ramię, ranny nieoczekiwanie otworzył oczy.

- Najświętsza Panienco, on żyje! - zawołał de la Vega, cofając się o krok.

Nie tyle zaskoczył go fakt, że wróg jeszcze oddycha, co piękno jego oczu w kolorze karmelu, o wydłużonym kształcie i gęstych rzęsach; jasnych sarnich oczu, patrzących na niego z twarzy pokrytej krwią i barwami wojennymi. De la Vega odrzucił szpadę, ukląkł i wsunął mu rękę pod kark, ostrożnie próbując go posadzić. Sarnie oczy zamknęły się i z ust rannego wyrwał się przeciągły jęk. Kapitan rozejrzał się dokoła i stwierdził, że w tym zakątku kościoła, tuż przy ołtarzu, są sami. Pod wpływem impulsu podniósł rannego, zamierzając przerzucić go sobie przez ramię, jednak ten okazał się znacznie lżejszy, niż się spodziewał. Niosąc go na rękach jak dziecko, wyminął worki z piaskiem, kamienie, broń i ciała zabitych, które nie zostały jeszcze zabrane przez misjonarzy, i wyszedł z kościoła na słońce owego jesiennego dnia, który miał wspominać przez resztę życia.

- Ojcie, on żyje! - zawołał, układając rannego na ziemi.

- Tym gorzej dla niego, kapitanie, bo i tak będziemy musieli go dobić - odparł ojciec Mendoza, który wokół głowy zawinął sobie koszulę, niczym turban, żeby zatamować krew płynącą z rany po odciętym uchu.

Alejandro de la Vega nigdy nie potrafił wyjaśnić, dlaczego, zamiast skorzystać z okazji i uciąć wrogowi głowę, ruszył na poszukiwanie wody i szmat, żeby go umyć. Mając do pomocy jakąś neofitkę, rozgarnął czarne włosy wodza i przemył mu ranę, która teraz znowu zaczęła obficie krwawić. Obmacał palcami czaszkę i stwierdził, że rana jest rozległa, ale kość pozostała nietknięta. Wziął jedną z zakrzywionych igieł, jakich używano do szycia materacy z końskiego włosia, a które teraz ojciec Mendoza wrzucił do naczynia z tequilą, żeby móc nimi bezpiecznie pocerować rannych, i zszył owłosioną skórę głowy. Następnie obmył twarz wodza, stwierdzając, że cerę ma jasną a rysy delikatne. Chcąc sprawdzić, czy nie odniósł jeszcze innych ran, przeciął sztyletem jego zakrwawioną tunikę z wilczej skóry, a wtedy z piersi wydarł mu się krzyk:

- To kobieta!

Wszyscy którzy nadbiegli, oniemieli ze zdumienia, ujrawszy dziewicze piersi wojownika.

- Teraz znacznie trudniej będzie zadać mu śmierć... - westchnął ojciec Mendoza.

Nazywała się Toypurnia i miała zaledwie dwadzieścia lat. Udało jej się pociągnąć za sobą wojowników z wielu plemion, ponieważ gdziekolwiek się pojawiła, poprzedzała ją legenda. Jej matką była Biała Sowa, szamanka i znachorka z plemienia Gabrieleños, ojcem zaś marynarz, który zdezerterował z hiszpańskiego statku i ukrywał się wśród Indian. Zapalenie płuc odesłało go na tamten świat, kiedy jego córka była już nastolatką. Od ojca Toypurnia nauczyła się podstaw języka hiszpańskiego, matce zawdzięczała wiedzę o roślinach leczniczych oraz przywiązanie do tradycji swego ludu. Jej niezwykle przeznaczenie objawiło się już kilka miesięcy po narodzinach. Pewnego popołudnia, kiedy matka pozostawiła ją śpiącą pod drzewem, sama zaś poszła wykąpać się w rzece, do otulonego w skóry dziecka podkraść się wilk, chwycił zawiniątko w paszczę i zawłókł je do lasu. Zrozpaczona Biała Sowa przez wiele dni szła po śladach zwierzęcia, ale nie odnalazła córki. Nim skończyło się lato, włosy matki zrobiły się białe. Całe plemię długo nie ustawało w poszukiwaniach dziewczynki, ale kiedy ostatecznie rozwiały się nadzieje na jej odzyskanie, odprawiono obrzędy, dzięki którym miała znaleźć drogę na rozległe równiny Wielkiego Ducha. Biała Sowa odmówiła udziału w pogrzebie i dalej wpatrywała się w horyzont, albowiem w głębi duszy czuła, że jej córka żyje. Pewnego ranka na początku zimy członkowie plemienia zobaczyli, że z mgły wyłania się jakieś wynędzniałe, brudne i nagie stworzenie, które zbliża się na czworakach z nosem przy ziemi. Była to zaginiona dziewczynka, która teraz warczała jak pies i pachniała dzikim zwierzęciem. Nazwano ją Toypurnia, co w języku jej plemienia znaczyło Córka Wilka, dano jej do zabawy łuk, strzały i dzidę i wychowywano jak chłopca, bo wróciła z lasu z nieustraszonym sercem.

O tym wszystkim Alejandro de la Vega dowiedział się w następnych dniach od wziętych do niewoli Indian, którzy pozamykani w zabudowaniach misji oplakiwali swoje rany i upokorzenie. Ojciec Mendoza postanowił, że stopniowo, w miarę jak będą do siebie dochodzić, będzie wypuszczać jeńców na wolność, nie mógł bowiem więzić ich w nieskończoność, a pozbawieni wodza wydawali się na powrót zobojętniali i potulni. Nie chciał wymierzać im chłosty, bo choć jego zdaniem z pewnością na nią zasłużyli, to kara owa tylko by spotęgowała poczucie krzywdy; nie zamierzał też nawracać ich na swoją wiarę, gdyż uznał, że żaden z tych Indian nie nadaje się na chrześcijanina; byliby niczym czarne owce wśród jego trzódki. Uwadze jego nie uszedł fakt, że młoda Toypurnia zauroczyła kapitana de la Vegę, który szukał pretekstów, aby co chwile schodzić do piwnicy, w której dojrzewało wino i gdzie umieszczono pojmaną kobietę. Duchowny miał dwa powody, dla których na celę dla więźniarki wybrał piwnicę: po pierwsze - można ją było zamknąć na klucz, po drugie zaś - mrok miał dać Toypurni okazję do przemyślenia swoich postępków. Ponieważ Indianie zapewniali, że ich wódz przybiera postać wilka i z każdego miejsca może uciec, dodatkowo dla pewności przywiązał ją rzemieniami do prostych desek, które służyły jej za pryczę. Złana potem i trawiona gorączką dziewczyna, karmiona mlekiem, winem i miodem, które po łyżeczce podawał jej kapitan de la Vega, przez wiele dni miotła się na granicy omdlenia i koszmarów. Niekiedy budziła się w absolutnych ciemnościach i przerażona myślała, że straciła wzrok, czasem jednak, kiedy otwierała oczy, w migotliwym świetle lampki oliwnej widziała nad sobą twarz jakiegoś nieznanego, który wołał ją po imieniu.

Tydzień później Toypurnia po kryjomu stawiała pierwsze kroki, wsparta na ramieniu wytwornego kapitana, który postanowił zignorować rozkazy ojca Mendozy upierającego się, aby nadal trzymać ją w ciemnościach przywiązaną do pryczy. Do tego czasu młodzi zdołali się już porozumieć, gdyż ona przypomniawszy sobie swoją kulawą hiszpańszczyznę, on zaś, choć z trudem, nauczył się kilku słów w jej

języku. Przyłapawszy ich na trzymaniu się za ręce, ojciec Mendoza stwierdził, że przyszedł czas, aby uznać więźniarkę za zdrową i ją osądzić. Był jak najdalej od myśli, aby komukolwiek zadawać śmierć - prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, jak miałby to zrobić - jednakże odpowiadał za bezpieczeństwo misji i neofitów, a przecież cokolwiek by mówić, kobieta miała na swoim sumieniu wielu zabitych. Ze smutkiem przypomniał kapitanowi, że w Hiszpanii karą za zbrodnię buntu - czyli taką, jaką popełniła Toypurnia - była, ni mniej, ni więcej, tylko powolna śmierć przez uduszenie, kiedy to skazaniec tracił oddech, w miarę jak żelazny kołnierz zwany garotą stopniowo zaciskał mu się na szyi.

- Nie jesteście w Hiszpanii - stwierdził kapitan, którego przeszył dreszcz grozy.

- Zakładam, iż zgodzicie się ze mną, kapitanie, że dopóki ona żyje, wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie, ponieważ dalej będzie podburzać Indian. Nie musi być garota, to zbyt okrutne, ale z bólem serca trzeba ją będzie powiesić, nie mamy wyboru.

- Ta kobieta jest Metyską, ojczyzna, w jej żyłach płynie hiszpańska krew. Ojciec ma władzę nad Indianami, ale nie nad nią. Tylko gubernator Górnej Kalifornii może ją skazać - oświadczył kapitan.

Ojciec Mendoza, któremu sama myśl, że miałby wziąć na swoje sumienie śmierć jakiejś istoty ludzkiej, ciążyła zbyt wielkim brzemieniem, natychmiast uchwycił się tego argumentu. De la Vega zaoferował się osobiście pojechać do Monterrey, aby Pedro Fages zdecydował o losie Toypurni, na co misjonarz przystał z głębokim westchnieniem ulgi.

Alejandro de la Vega dotarł do Monterrey szybciej, niżby tego dokonał w normalnych okolicznościach, ponieważ spieszno mu było wypełnić zobowiązanie, a ponadto musiał unikać spotkań ze zbuntowanymi Indianami. Podróżował samotnie. Zatrzymywał się po drodze w misjach, żeby zmienić konia i przespać się kilka godzin. Pokonywał tę trasę już kilkakrotnie i znał ją dobrze, jednak jak zwykle podziw jego budziło nieprzebrane bogactwo przyrody obfitującej w niekończące się lasy, tysiące odmian zwierząt i ptaków, bystre strumienie, łagodne kaskady i białe piaski plaż Pacyfiku. Nie natknął się na Indian, gdyż ci, odkąd stracili wodza, krążyli po wzgórzach w rozsypce. Wyglądało na to, że przewidywania ojca Mendoza były słuszne: entuzjazm do walki opuścił Indian na dobre i musiałyby upłynąć lata, żeby na powrót mogli się zorganizować.

Twierdza w Monterrey, wzniesiona na wysuniętym cyplu, sześćset mil od miasta Meksyk i pół świata od Madrytu, była budowlą nad wyraz ponurą, monstrialnym kamiennym gmaszyskiem, w którym stacjonował niewielki kontyngent żołnierzy stanowiących jedyne towarzystwo gubernatora i jego rodziny. Owego dnia wilgotna mgła sprawiała, że ryk fal rozbijających się o skały i wrzask mew rozlegały się jeszcze doniosłej niż zwykle.

Pedro Fages przyjął kapitana w niemal pustym salonie. Przez okna z trudem dochodziło światło, za to z łatwością wciskał się lodowaty wiatr od morza. Na ścianach wisiały wypchane głowy niedźwiedzi, szpady, pistolety i herb rodowy doña Eulalii wyszywany złotem, jednak już podniszczony i wyblakły. Całe umeblowanie ograniczało się do tuzina drewnianych, niczym niewyściełanych krzesel, ogromnej szafy i prostego stołu. Okopcone sadzą sufity i klepiska zamiast podłóg przywodziły na myśl najbardziej prymitywne koszary. Gubernator, korpulentny, postawny mężczyzna obdarzony głosem jak dzwon, posiadał pewne rzadkie zalety: był nieczuły na pochlebstwa i odporny na przekupstwo. Władzę swoją sprawował w przekonaniu, że przeklęty los rzucił go do Górnej Kalifornii po to, aby za wszelką cenę wydarł tę krainę barbarzyńcom. Porównywał się do pierwszych konkwistadorów hiszpańskich, ludzi pokroju Hernana Corteza, którzy dla imperium podbili wielki kawał świata. Wypełniał swe obowiązki w poczuciu historycznego posłannictwa, chociaż prawdę mówiąc, wolałby wrócić do Barcelony i używać życia za pieniądze żony, do czego ona nieustannie go namawiała. Ordynans podał im czerwone wino w kontrastujących z prymitywnym umeblowaniem fortu kieliszkach z czeskiego kryształ, które z dalekich stron przywozła tutaj w swoich kufrach doña Eulalia de Callís. Mężczyźni wzniesli toast za odległą ojczyznę i za swoją przyjaźń, wymieniając uwagi na temat rewolucji francuskiej, która poderwała lud do walki z bronią w rękę. Zdarzyło się to przeszło rok wcześniej, ale do Monterrey wiadomość dotarła dopiero teraz. Obaj zgodzili się, że nie ma powodów do obaw, zapewne do tej pory we Francji zdążył już zapanować porządek i król Ludwik XVI ponownie zasiada na tronie, mimo iż uważali go za bojaźliwego człeczynę, nad którym nie warto się litować. W głębi duszy cieszyło ich, że Francuzi wyrzynają się między sobą, jednak dobre maniere nie pozwalały im powiedzieć tego głośno. Z oddali dochodziły stłumione odgłosy rozmów i krzyki, które cały czas przybierały na sile, tak że w końcu nie sposób było ich ignorować.

- Wybaczcie, kapitanie, to niewieście sprawy - powiedział Pedro Fages z gestem zniecierpliwienia.

- Czy Jej Ekscelencja doña Eulalia ma się dobrze? - zapytał Alejandro de la Vega, oblewając się rumieńcem aż po czubki włosów.

Pedro Fages przeszył go stalowym spojrzeniem, usiłując odgadnąć jego intencje. Obiły mu się o uszy pogłoski na temat jego żony i tego przystojnego kapitana, nie był głuchy. Nikt nie był w stanie pojąć, a już on szczególnie, dlaczego doña Eulalia na dotarcie do Monterrey potrzebowała aż sześciu miesięcy, skoro drogę tę można było pokonać w czasie znacznie krótszym; powiadano, że wydłużali ją celowo, gdyż nie chcieli się rozstawać. Do tych plotek doszła jeszcze mocno ubarwiona wersja opowieści o jakimś bandyckim napadzie, podczas którego de la Vega dla ratowania życia doña Eulalii ponoć ryzykował własne. Prawda była inna, ale Pedro Fages nigdy jej nie poznał. Napastnikami było raptem sześciu zamroczonych alkoholem Indian, którym wystarczyło, że usłyszeli pierwsze strzały, aby natychmiast rzucić się do ucieczki, co zaś do rany w nodze, to de la Vega odniósł ją nie tyle stając w obronie doña Eulalii de Callís, jak powiadano, co w starciu z krową, która lekko drasnęła go rogiem. Pedro Fages uważał, że zna się na ludziach, nie bez powodu od tyłu lat sprawuje swój urząd, i przyjrawszy się Alejandrowi de la Vega uznał, że nie warto zadreżać się podejrzeniami, gdyż był pewien, że w chwili, gdy ten oddał mu małżonkę, jej wierność pozostała nieskalana. Gdyby tych dwoje się w sobie zakochało, żadna siła ludzka ani boska nie zdołałaby przekonać doña Eulalii, aby opuściła kochanka i wróciła do męża. Może i poczuła jakąś platoniczną skłonność, jednak nie było między nimi nic, co mogłoby spędzać mu sen z powiek, zamknął sprawę gubernator. Był człowiekiem honoru i czuł się zobowiązany wobec tego oficera, który mając sześć miesięcy na uwiedzenie Eulalii, jednakowoż tego nie uczynił. Całą zasługę za to przypisywał jemu, ponieważ uważał, że o ile czasami można polegać na lojalności mężczyzn, o tyle nigdy nie należy oczekiwać owej cnoty od kobiet, istot z natury swej niestałych i niezdolnych do wierności.

Tymczasem bieganie służących po korytarzach, trzaskanie drzwiami i stłumione krzyki nie ustawały. Alejandro de la Vega, podobnie jak wszyscy, słyszał o kłótniach tej pary, równie burzliwych co ich pojednania. Mówiono, że w przyпадку gniewu małżonkowie ciskali w siebie talerzami, a don Pedro nieraz na żonę dobywał szpady, jednak potem zamykali się na wiele dni w sypialni, gdzie dawali upust swej miłości. Krzepki gubernator uderzył pięścią w stół, aż zatańczyły kieliszki, i wyznał gościowi, że targana atakiem furii Eulalia od pięciu dni nie opuszcza swoich pokoi.

- Tęskni za zbytkiem, do jakiego przywykła - powiedział, kierując wzrok na ścianę, zza której dochodziło obłąkańcze wycie.

- Może się czuje trochę samotna, Ekscelencjo-wymamrotał de la Vega, byle coś powiedzieć.

- Obiecałem jej, że za trzy lata przeniesiemy się do Meksyku albo wrócimy do Hiszpanii, ale nie chce słuchać moich racji. Straciłem do niej cierpliwość, kapitanie de la Vega. Wyślę ją do najbliższej misji. Jak ją księża zagonią do pracy razem z Indianami, może nauczy się mnie szanować! - zaryczał Fages.

- Czy pozwoli mi pan zamienić z nią kilka słów, Ekscelencjo? - poprosił kapitan.

Od pięciu dni gubernatorowa nie dopuszczała do siebie nawet swojego trzyletniego synka. Zapłakany malec siedział skulony na ziemi i siusiał pod siebie z przerażenia, widząc, jak jego ojciec na próżno dobija się do drzwi, stukając laską. Za próg miała prawo wchodzić jedynie Indianka, która przynosiła jedzenie i wносиła nocnik. Jednak gdy Eulalia dowiedziała się, że Alejandro de la Vega przybył z wizytą i pragnie ją widzieć, histeria przeszła jej jak ręką odjął. Umyła twarz, poprawiła rudy warkocz, ubrała się w jedwabną suknię w kolorze malwy i włożyła wszystkie swoje perły. Kiedy Pedro Fages zobaczył, jak wchodzi do salonu wytworna i uśmiechnięta jak za dobrych czasów, z góry zaczął tęsknić za gorącym rychłym pojednaniem, choć nie zamierzał spieszyć się z przebaczeniem, zasługiwała na jakąś karę. Owej nocy, podczas skromnej kolacji podanej w jadalni równie posępnej co obwieszony bronią salon, Eulalia de Callís i Pedro Fages, biorąc za świadka swego gościa, rzucili sobie w twarz wzajemne oskarżenia, wywlekając wszystko, co im leżało na sercu i zatruwało obojgu dusze. Alejandro de la Vega trwał w krępującym milczeniu aż do chwili, gdy podano deser. Doszedłszy do wniosku, że wino zdążyło już zrobić swoje i gniew małżonków zaczyna powoli ich opuszczać, wyłuszczył powód swojej wizyty. Wyjaśnił, że Toypurnia ma w swoich żyłach hiszpańską krew, opisał jej odwagę i inteligencję, nie wspominając jednak o urodzie, i poprosił gubernatora, aby - jako człowiek wielkoduszny, bo taką opinią się cieszył, a także w imię łączącej ich przyjaźni - zechciał okazać jej łaskę. Pedro Fages nie kazał się długo prosić i, wpatrując się w zarumieniony dekolt Eulalii, który zaprzętała całą jego uwagę, zgodził się zamienić wyrok śmierci na dwadzieścia lat więzienia.

- Jeśli uwięzisz tę kobietę, Indianie zaczną ją uważać za męczennicę. A wtedy dość będzie wymówić jej imię, by całe plemiona znowu wkroczyły na wojenną ścieżkę - wtrąciła się Eulalia. - Mam lepszy pomysł. Przede wszystkim powinna zostać ochrzczona, jak Pan Bóg przykazał, a potem przywieziecie ją tutaj do mnie i sama zajmę się tym problemem. Założę się, że wystarczy mi rok, aby ta Toypurnia, Córka Wilka, dzika Indianka, została chrześcijanką i hiszpańską damą. W ten sposób raz na zawsze zniszczymy jej wpływ na Indian.

- A przy okazji będziesz miała zajęcie i kogoś, kto ci dotrzyma towarzystwa - dodał łaskawie jej mąż.

Tak też się stało. Alejandro de la Vega osobiście pojechał po więźniarkę do San Gabriel, aby następnie odstawić ją do Monterrey, ku zadowoleniu ojca Mendozy, który jak najrychlej chciał się jej pozbyć. W misji, gdzie neofici nie ochłonęli jeszcze po bitwie, obecność dziewczyny była niczym drzemiący wulkan, który mógł wybuchnąć w każdej chwili. Toypurnia przyjęła na chrzcie imię Regina Maria Niepokalanego Poczęcia, jednak większą jego część natychmiast zapomniała, pozostając przy Reginie. Ojciec Mendoza ubrał ją w suknię z surowego materiału, jakie nosiły neofitki, na szyi zawiesił jej medalik z Matką Boską, pomógł jej wsiąść na konia, gdyż ręce nadal miała związane, i udzielił błogosławieństwa. Ledwie pozostawili za sobą niskie zabudowania misji, kapitan de la Vega uwolnił ręce więźniarki i pokazując ręką na horyzont, dał znak, żeby uciekała. Regina zastanawiała się przez chwilę i musiała zapewne dojść do wniosku, że gdyby ją znowu schwytano, nie byłoby już dla niej ratunku, gdyż pokręciła przecząco głową. A może powodował nią nie tylko strach, ale to samo żarliwe uczucie, które zaćmiewało umysł Hiszpana. W każdym razie bez cienia buntu jechała za nim przez całą drogę, którą on przeciągał jak tylko mógł, albowiem myślał, że więcej się nie zobaczą. Alejandro de la Vega napawał się każdym odcinkiem Królewskiej Drogi, który razem przebywali, każdą nocą, którą nie dotykając się, spędzali pod gwiazdami, każdą kąpielą w morzu, której wspólnie zażywali, a jego pożądanie i wyobraźnia wiodły ze sobą zażarty bój. Wiedział, że szlachcic z rodu de la Vega, mężczyzna honoru, nie może nawet myśleć o tym, aby związać się z Metyską. Jeżeli oczekiwali, że dni, które spędził z Reginą, przemierzając konno pustkowie Kalifornii, ostudzą jego miłosne zapęły, srodze się rozczarował, albowiem - co było nieuniknione - kiedy dotarli do fortu w Monterrey, był zakochany po uszy jak młokos. Musiał narzucić sobie surową dyscyplinę, nabytą podczas długich lat służby wojskowej, żeby pożegnać się z dziewczyną i przyrzec sobie solennie, że nigdy więcej nie będzie się starał z nią skontaktować.

Zgodnie z daną żonie obietnicą, że niedługo powrócą na łono cywilizacji, trzy lata później Pedro Fages zrezygnował ze stanowiska gubernatora Górnej Kalifornii. Podjąwszy to postanowienie, poczuł się szczęśliwy, ponieważ sprawowanie władzy zawsze wydawało mu się niewdzięcznym zajęciem. Małżonkowie załadowali kufry na wozy ciągnięte przez mulice i woły, zebrali swoją nieliczną świtę i karawana ruszyła do Meksyku, gdzie Eulalia de Callís już wcześniej zdążyła umeblować barokowy pałac z przepychem godnym jej pozycji społecznej. Po drodze zatrzymywali się dla wypoczynku w każdej miejscowości i w każdej misji, gdzie byli podejmowani przez osadników, którzy pomimo trudnego charakteru Fagesów kochali ich, albowiem on rządził sprawiedliwie, ona zaś cieszyła się sławą hojnej wariatki. Mieszkańcy La Reina de los Angeles połączyli swe siły z pobliską, odległą o cztery mile misją San Gabriel, najzamożniejszą z całej prowincji, aby wspólnie zgotować podróżnym godne ich przyjęcie. Miasteczko, wzorem innych kolonialnych miast hiszpańskich, zostało wzniesione na planie kwadratu z rynkiem pośrodku. W przyszłości miało się rozwinąć i wzbogacić, tymczasem jednak było zaledwie osadą z czterema ulicami i jakąś setką domów z trzciny. Ponadto była tam tawerna, której zaplecze służyło za magazyn, a także kościół, więzienie i pół tuzina budynków z niewypalanej cegły i kamieni, pokrytych dachówką, będących siedzibą lokalnych władz. Nieliczni osadnicy byli raczej biedni, niemniej słynęli z gościnności i hucznych przyjęć, jakie poszczególne rodziny kolejno wyprawiały przez okrągły rok. Codziennie nocami przygrywano sobie na gitarach, trąbkach, skrzypcach i pianinie, a w soboty i niedziele tańczono fandango. Przybycie gubernatora wraz z małżonką było najlepszą okazją do świętowania, jaka przytrafiła się mieszkańcom miasteczka od chwili jego założenia. Dokoła rynku ustawiono łuki powitalne przybrane chorągiewkami i kwiatami z papieru oraz długie stoły nakryte białymi obrusami. Każdy, kto tylko potrafił grać na jakimś instrumencie, został wciągnięty do zabawy; nie pominięto przy tym nawet dwóch więźniów, których uwolniono z dybów, kiedy się okazało, że potrafią szarpać struny. Przygotowania do uroczystości trwały wiele miesięcy, podczas których nie mówiono o niczym innym. Kobiety poszyły sobie balowe suknie, mężczyźni wypolerowali srebrne guziki i sprzączki, muzycy przeprowadzali próby tańców, które dotarły do nich z Meksyku, kucharki zaś uwijały się jak w ukropie, szykując najbardziej wystawną ucztę w historii miasteczka. Ojciec Mendoza przybył ze swoimi neofitami, przywożąc beczki najlepszego wina, dwie krowy oraz mnóstwo świń, kur i kaczek.

Kapitanowi Alejandro de la Vega przypadło w udziale zapewnienie porządku w mieście na czas pobytu gubernatora i jego małżonki. Od chwili, kiedy dowiedział się o ich przybyciu, obraz Reginy nieustannie go prześladował. Bez przerwy zadawał sobie pytania, co się z nią działo w ciągu tych trzech długich jak wieki lat, które upłynęły od ich rozstania, jak jej się żyło w ponurym forcie Monterrey i czy jeszcze o nim pamięta. Wszelkie obawy ustąpiły podczas balowej nocy, kiedy w świetle pochodni

i przy dźwięku orkiestry ujrzął młodą dziewczynę olśniewającej urody, ubraną i uczesaną na modłę europejską, i w jednej chwili poznał tamte oczy koloru palonego cukru. Ona również dostrzegła go w tłumie, bez wahania podeszła do niego i stanęła przed nim z najpoważniejszym na świecie wyrazem twarzy. Kapitan, z duszą na ramieniu, chciał podać jej rękę i poprosić do tańca, zamiast tego jednak drżącym głosem zapytał, czy zechce zostać jego żoną. Nie był to niekontrolowany odruch, myślał o tym przez trzy lata i doszedł do wniosku, że woli splamić swój nieskazitelny rodowód, niż żyć bez niej. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie mógł przedstawić jej rodzinie ani wprowadzić do towarzystwa w Hiszpanii, jednak nie dbał o to, gdyż dla niej był gotów zapuścić korzenie w Kalifornii i nigdy więcej nie ruszać się z Nowego Świata. Regina przyjęła jego oświadczenia, gdyż i ona skrycie kochała go od czasu, gdy przywrócił ją do życia, kiedy walczyła ze śmiercią w piwnicy z winami ojca Mendozy.

Tak więc pamiętna wizyta gubernatora i jego małżonki w La Reina de los Angeles została uwieczniona ślubem kapitana i tajemniczej damy do towarzystwa Eulalii de Callís. Ojciec Mendoza, który zapuścił sobie włosy do ramion, żeby ukryć straszliwą bliznę po obciętym uchu, odprawił ceremonię, mimo iż do ostatniej chwili próbował wybić kapitanowi ślub z głowy. Nie przeszkadzało mu, że narzeczona jest Metyską, ostatecznie wielu Hiszpanów żeniło się z Indiankami, jednak spokoju nie dawało mu podejrzenie, iż pod postacią europejskiej panienki kryje się Toypurnia, Córka Wilka. Pedro Fages osobiście prowadził narzeczoną Alejandra de la Vega do ołtarza, albowiem był przekonany, że to ona uratowała jego małżeństwo, gdyż Eulalia tak się przejęła edukacją dziewczyny, że sama złągodniała i przestała zadreżać go swymi wybuchami gniewu. Wziąwszy pod uwagę również fakt, iż - jak głosiły plotki - życie swej żony zawdzięczał Alejandrowi de la Vedze, uznał, że to dobra okazja, by wykazać się szlachetnością. Jako że w jego gestii leżało przydzielanie ziemi osadnikom, jednym pociągnięciem pióra przyznał znakomitej parze tytuł własności rancza liczącego wiele tysięcy sztuk bydła. Spontanicznie naszkicował też wtedy ołówkiem mapę posiadłości; potem okazało się, że obejmuje ona wiele mil pastwisk, wzgórz, lasów, rzek i plaż. Na to, żeby konno przejechać ją całą, potrzeba było wielu dni: była największa i najlepiej położona w całym regionie. Bynajmniej o to nie zabiegając, Alejandro de la Vega stał się nagle człowiekiem zamożnym. Po kilku tygodniach, kiedy ludzie zaczęli zwracać się do niego „don Alejandro”, zrezygnował ze służby u króla, aby z pełnym oddaniem zająć się swym ranczem. W rok później został wybrany alkaodem La Reina de los Angeles.

De la Vega wybudował dom obszerny, solidny i bez pretensji do luksusu; pokryty dachówką, ze ścianami z niewypalanej cegły i z podłogami wyłożonymi szorstkimi płytkami terakoty. Ustawiono w nim ciężkie meble zrobione na miejscu przez przybyłego z Galicji stolarza, który nie miał na względzie estetyki, a jedynie trwałość. Dwór położony był w świetnym miejscu - bardzo blisko plaży, o kilka mil od La Reina de los Angeles i od misji San Gabriel. Duży ceglany budynek w stylu meksykańskiej hacjendy wyrastał na wzniesieniu, z którego rozciągał się wspaniały widok na morski brzeg. W pobliżu znajdowały się cieszące się złą sławą złoża naturalnego asfaltu, do których ludzie starali się nie zbliżać, aby nie natknąć się na udreżone dusze tych, którzy znaleźli tam śmierć. Między plażą a hacjendą rozciągał się labirynt jaskiń, uważany przez Indian za miejsce święte, którego obawiano się w równym stopniu co smolistych trzęsawisk. Indianie nie zapuszczali się tam przez szacunek dla swoich przodków, Hiszpanie zaś z obawy przed osunięciem się z urwiska albo zabłądzeniem w płątaninie pieczar, co zdarzało się bardzo często.

Na terenie swojej posiadłości de la Vega osadził wiele indiańskich rodzin oraz Metysów, których zatrudnił jako pastuchów. Poznakował swoje bydło i postanowił założyć hodowlę rasowych koni, poczynając od kilku sztuk, które sprowadził z Meksyku. Otworzył małą fabryczkę mydła, a w wolnym czasie przeprowadzał eksperymenty, dzięki którym pragnął odkryć doskonałą formułę wędzenia mięsa przyprawionego ostrą papryką. Starał się otrzymać mięso wysuszone, ale smaczne, które można by przechowywać przez wiele miesięcy bez obawy, że się zepsuje. Na doświadczeniach owych trawił długie godziny, a w niebo wzbijał się przypominający wybuch wulkanu słup dymu, który wiatr pędził na pełne morze, sprawiając, że wieloryby zmieniały szlak swych wędrówek. Liczył na to, że gdyby udało mu się uzyskać odpowiednią proporcję między dobrym smakiem i trwałością, mógłby sprzedawać swój towar armii i marynarzom na różnych statkach. Wyrzucanie skór, łoj i gór dobrego mięsa wydawało mu się straszliwym marnotrawstwem.

Podczas gdy Alejandro de la Vega pomnażał stada bydła, owiec i koni, kierował sprawami miasteczka i prowadził interesy ze statkami handlowymi, jego żona zajmowała się głównie zaspokajaniem potrzeb Indian zamieszkujących na ranczu. Regina nie interesowała się życiem towarzyskim miasteczka, nie przejmowała się tym, co mówiono na jej temat. Za jej plecami komentowano jej wyniosły sposób bycia, więcej niż podejrzane pochodzenie, konne wypadki i kąpiele

nago w morzu. Ponieważ przybyła jako protegowana Fagesów, nieliczna socjeta Los Angeles początkowo była skłonna bez zbędnych pytań przyjąć ją do swego grona, jednak ona sama się z niego wykluczyła. Suknie, jakie nosiła pod wpływem Eulalii de Callís, szybko skończyły swój żywot pożarte w szafach przez mole. Swobodniej czuła się w zgrzebnym stroju neofitów i boso. Tak nosiła się w dzień. Wieczorem, przed powrotem męża, myła się, upinała włosy w prowizoryczny kok i wkładała prostą sukienkę, która nadawała jej niewinny wygląd klasztornej nowicjuszki. Alejandro, zaślepiony miłością i zajęty interesami, zdawał się nie dostrzegać sygnałów, które mogłyby świadczyć o stanie ducha Reginy; chciał, żeby była szczęśliwa, i nigdy jej nie zapytał, czy rzeczywiście jest, obawiając się, że mogłaby temu zaprzeczyć. Dziwactwa swojej żony składał na karb jej młodego wieku oraz skrytego charakteru. Wolał nie myśleć, że owa señora o nienagannych manierach, która zasiada z nim do stołu, to ten sam wymalowany wojownik, który kilka lat wcześniej zaatakował misję San Gabriel. Wierzył, że z ostatnich nawyków z przeszłości uwolni ją macierzyństwo, ale pomimo długich i częstych igraszek, jakim oddawali się w łożu z czterema kolumnami, na upragnionego syna musieli czekać aż do roku 1795.

W czasie ciąży Regina stała się jeszcze bardziej milcząca i dzika. Pod pretekstem, że tak jej będzie wygodniej, przestała ubierać się i czesać na modłę europejską. W towarzystwie pewnej miłej neofitki o imieniu Ana, którą ojciec Mendoza przysłał jej z misji, pływała w morzu z delfinami, które setkami ścigały w okolice plaży, aby łączyć się w pary. Dziewczyna także była w ciąży, jednak nie miała męża i stanowczo odmówiła wskazania mężczyzny, który ją uwiódł. Misjonarz nie chciał, aby dawała jego Indianom zły przykład, nie był jednak na tyle surowy, aby wyrzucić ją z misji, i w końcu skierował ją na służbę do rodziny de la Vega. Był to dobry pomysł, ponieważ między Reginą a Aną od razu nawiązała się nić cichego porozumienia, które było bardzo korzystne dla obu stron, gdyż jedna zyskała towarzystwo, a druga opiekę. To Ana poddała myśl, aby kąpać się z delfinami, świętymi stworzeniami, które pływają w koło, dzięki czemu, według wierzeń Indian, w świecie panuje ład i porządek. Szlachetne zwierzęta wiedziały, że obie kobiety są brzemiennie, i przepływając obok nich muskały je swymi wielkimi aksamitnymi ciałami, aby dodać im siły i odwagi, które będą im potrzebne, kiedy przyjdzie moment porodu.

Ten czas przyszedł w maju owego 1795 roku. Ana i Regina zaczęły rodzić razem, a zbiegło się to z pamiętną serią pożarów odnotowanych w kronikach Los Angeles jako największa katastrofa od czasu założenia miasta. Każdego roku z rezygnacją patrzono, jak tu i ówdzie płoną lasy, które zajmowały się od ognia trawionych pożarami wyschniętych pastwisk. Nie było to groźne, gdyż ginęły wtedy również chwasty i uzyskiwano miejsce pod nowe pola, na których następnej wiosny kiełkowały młode pędy, jednak tamtego roku pożary pojawiły się wcześniej i zdaniem ojca Mendoza była to kara boska za rozliczne grzechy, popełniane przez mieszkańców miasteczka bez żadnej skruchy i żalu. Pożar ogarnął wiele rancz, nie oszczędzając niczego na swej drodze, ani ludzkich siedzib, ani stad bydła, które nie miały dokąd uciec. W niedzielę wiatry zmieniły kierunek i ogień zatrzymał się o ćwierć mili od hacjendy de la Vegi, co Indianie przyjęli jako doskonałą wróżbę dla obu chłopców, którzy właśnie przyszli na świat.

Duch delfinów ułatwił poród Anie, ale nie pomógł Reginie. Podczas gdy pierwsza, siedząc w kucki nad rozpostartą na ziemi płachtą i mając do pomocy jedynie młodszą Indiankę zatrudnioną w kuchni, wydała dziecko na świat po czterech godzinach, poród Reginy trwał godzin pięćdziesiąt i przerodził się w torturę, którą znosiła ze stoickim spokojem, ściskając w zębach kawałek drewna. Zrozpaczony Alejandro de la Vega kazał wezwać jedyną akuszerkę, jaka była w Los Angeles, jednak ta, stwierdziwszy, że dziecko ułożone jest w poprzek, a rodząca nie ma już siły do walki, dała za wygraną. Wówczas Alejandro zwrócił się do ojca Mendoza, który jako jedyny w okolicy przypominał lekarza. Misjonarz kazał służącym się modlić, pokropił Reginę wodą święconą, a sam z całą determinacją natychmiast zabrał się do dzieła. Przypadkiem udało mu się chwycić dziecko za nóżki i bez większych ceregieli, bo czas naglił, wyciągnąć z brzucha matki. Noworodek był siny, miał pępowinę okręconą wokół szyi, jednak za pomocą modlitw i klapsów ojciec Mendoza zdołał go zmusić do oddychania.

- Jak mu damy na imię? - zapytał, podając go ojcu.
- Alejandro, jak ja, mój ojciec i dziadek - odparł tamten.
- Będzie się nazywał Diego - przerwała mu, nadal krwawiąca i trawiona gorączką, Regina.
- Skąd nagle Diego? Nikt w rodzinie de la Vega tak się nie nazywa.
- Bo takie jest jego imię.

Alejandro był przy niej podczas długiej męki i niczego na świecie tak się nie bał, jak tego, że ją straci. Widział, że się wykrwawia, i zabrakło mu odwagi, by się jej sprzeciwić. Uznał, że jeśli na łożu śmierci wybrała dla swego pierworodnego takie właśnie imię, musiała mieć po temu jakieś bardzo

ważne powody, tak więc, nie zwlekając, pozwolił ojcu Mendozie go ochrzcić, gdyż malec wyglądał równie słabo, co jego matka, i gdyby zmarł nieopatrzony sakramentem, groziło mu, że trafi do przedpiekła.

Minęło wiele tygodni, zanim Regina wróciła do zdrowia po trudach porodu, a udało jej się to wyłącznie dzięki matce, Białej Sowie, która przysłała pieszko, na bosaka, z sakwą leczniczych roślin przerzuconą przez ramię, kiedy już szykowano gromnice, przygotowując się do pochowania położnicy. Indiańska znachorka nie widziała córki od siedmiu lat, od czasu, gdy ta odeszła do lasu, aby podburzać wojowników innych plemion. Nieoczekiwane pojawienie się teściowej Alejandro przypisał indiańskiej poczczie, tajemniczemu systemowi, którego biali nie potrafili rozszyfrować. Potrzeba było dwóch tygodni jazdy galopem (i to aż do zajeżdżenia konia), aby wiadomość wysłana z twierdzy w Monterrey dotarła do Dolnej Kalifornii, wtedy jednak okazywało się, że Indianie już ją znają, gdyż cudownym sposobem otrzymali ją dziesięć dni wcześniej. Nie było innego wytłumaczenia dla faktu, że przez nikogo niewzywana kobieta wychynęła z nicości dokładnie w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Miała nieco ponad czterdzieści lat, była wysoka, silna, piękna, ogorzała od słońca i zaprawiona do pracy. Jej młoda twarz, z której patrzyły oczy barwy miodu, jak u córki, okolona była nieokiełznaną płataniną włosów koloru dymu, i im właśnie zawdzięczała swe imię. Weszła nie mówiąc ani słowa, nie prosząc o pozwolenie, odepchnęła Alejandra de la Vegę, kiedy ten próbował dowiedzieć się, kim jest, bez wahania przemierzyła skomplikowany rozkład domu i zatrzymała się przy łóżku córki. Zawołała ją jej prawdziwym imieniem, Toypurnia, i przemawiała do niej językiem przodków tak długo, aż umierająca kobieta otworzyła oczy. Wówczas wyciągnęła z sakwy lecznicze zioła, które miały ją ocalić, kazała je zagotować w kotle nad żarem i podała jej do wypicia. Cały dom napełnił się zapachem szałwi.

Tymczasem Ana, jak zwykle pełna dobrej woli, podała pierś synkowi Reginy, który płakał z głodu; w ten sposób Diego i Bernardo rozpoczęli życie, pijąc to samo mleko i kołyszając się w tych samych ramionach. To sprawiło, że do końca swych dni w głębi duszy czuli się braćmi.

Przekonawszy się, że córka może utrzymać się na nogach i że nie odrzuca jej od jedzenia, Biała Sowa spakowała swoje rośliny i manatki do sakwy, rzuciła okiem na śpiących Diega i Bernarda przytulonych do siebie w jednej kołysce, nie wykazując najmniejszego zainteresowania tym, aby ustalić, który z nich jest jej wnukiem, i odeszła bez pożegnania. Alejandro de la Vega patrzył, jak się oddala, z uczuciem wielkiej ulgi. Był jej wdzięczny za ocalenie Reginy od niechybnej śmierci, wołał jednak, aby trzymała się z daleka, gdyż w obecności tej kobiety czuł się niezręcznie, a ponadto mieszkający na ranczu Indianie zaczęli podnosić głowy. Rano przychodzili do pracy z wymalowanymi twarzami, wieczorami zaś tańczyli jak opętani przy ponurych dźwiękach okaryn i nie reagowali na jego polecenia, jakby nagle nie rozumieli po hiszpańsku.

W miarę jak Regina odzyskiwała zdrowie, hacjenda wracała do normalnego stanu. Nim ponownie nastąpiła wiosna, wszyscy, z wyjątkiem Alejandra de la Vegi, zdążyli zapomnieć, że kobieta jedną nogą była już w grobie. Nie trzeba było znać się na medycynie, żeby wiedzieć, iż nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Okoliczność ta zaczęła oddalać Alejandra od żony, choć on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Marzyła mu się liczna rodzina, podobna do tych, jakie mieli inni miejscowi wielmożni panowie z tytułem don. Jeden z jego przyjaciół spłodził trzydzieścioro sześcioro dzieci z prawego łoża, nie wspominając o bękartach, bo te się nie liczyły. Dwadzieścioro było z pierwszego małżeństwa i mieszkało w Meksyku, a szesnaścioro z drugiego; pięcioro z nich, rok po roku, przyszło na świat w Górnej Kalifornii. Obawa, że temu ukochanemu jedynakowi może się przytrafić coś złego, tak jak to zdarzało się wielu innym dzieciom, które umierały, zanim nauczyły się chodzić, nie dawała Alejandro spać po nocach. Stało się już jego zwyczajem, że klęcząc przy kołysce syna, modlił się głośno, wzywając opatrności boskiej. Nieznająca lęku Regina z rękami skrzyżowanymi na piersiach, stojąc w progu patrzyła na chylącego się w pokorze męża. W takich chwilach wydawało się jej, że go nienawidzi, jednak potem odnajdywali się w pościeli, gdzie ciepło i intymny zapach na kilka godzin pozwalały się im pojednać. O świcie Alejandro ubierał się i schodził do gabinetu, gdzie Ana podawała mu jego ulubioną gęstą i gorzką czekoladę. Dzień zaczynał od spotkania z zarządcą, któremu wydawał polecenia związane z ranczem, potem oddawał się swoim rozlicznym obowiązkom alkada. Małżonkowie spędzali dzień osobno, każde zajęte swoimi sprawami, aż do chwili, gdy zachód słońca wyznaczał im godzinę ponownego spotkania. Latem jadal kolację na obrosniętym bugenwillą tarasie, słuchając muzyków, którzy grali ich ulubione melodie; zimą robili to w „pokoju do szycia”, w którym nikt nigdy nie przyszył nawet guzika, a którego nazwa pochodziła od wiszącego tam obrazu przedstawiającego jakąś Holenderkę haftującą przy świetle kaganka. Alejandro, kiedy zasiedziało się na jakimś przyjęciu albo przy kartach z innymi wielmożami, często zostawał w Los Angeles na noc.

Bale, karty, wieczorki muzyczne i spotkania towarzyskie organizowano dzień w dzień przez okrągły rok, nie było nic innego do roboty, nie licząc rozgrywek sportowych na świeżym powietrzu, w których uczestniczyli zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Regina nie brała udziału w towarzyskich spotkaniach; miała duszę samotnicy i z założenia nie ufała żadnemu Hiszpanowi z wyjątkiem swojego męża i ojca Mendozy. Nie przejawiała również najmniejszych chęci, aby towarzyszyć Alejandrowi w jego podróżach, nigdy też nie przyszło jej do głowy, by wejść z nim na pokład amerykańskiego statku przemysłowego i targować się z marynarzami. Przynajmniej raz do roku Alejandro wyjeżdżał w interesach do Meksyku, skąd po kilku miesiącach nieobecności wracał obładowany prezentami i pełen nowych pomysłów, ale nie wywierały one na jego żonie większego wrażenia.

Regina powróciła do swoich konnych przejażdżek, tyle że teraz odbywała je z dzieckiem w koszyku przywiązanym do pleców, i straciła całe zamiłowanie do spraw domowych, które przejęła Ana. Znowu zaczęła odwiedzać Indian, nawet tych, którzy nie mieszkali na jej ranczu, pragnąc dowiedzieć się o ich kłopotach i o ile to było możliwe, pomóc im. Rozdzieliliwszy między siebie okoliczne ziemie i podbiwszy zamieszkujące je plemiona, biali zaprowadzili system obowiązkowej służby, który tylko tym różnił się od niewolnictwa, że Indianie także byli poddani króla Hiszpanii i teoretycznie przysługiwały im pewne prawa. W praktyce ci biedni jak myszy kościelne ludzie pracowali w zamian za miskę stawy, alkohol, tytoń i pozwolenie na hodowanie niektórych zwierząt. Właściciele rancz byli zazwyczaj dobrotliwymi patriarchami, bardziej interesowały ich przyjemności życia i zaspokajanie własnych namiętności niż ziemia i uprawiający ją ludzie, jednak czasami trafiał się jakiś o złym charakterze, a wtedy „Indiańczy”, jak ich nazywano, cierpieli głód i byli bici. Neofici z misji byli równie biedni, mieszkali w okrągłych chatkach z gałęzi i słomy, harowali od świtu do zmierzchu, a to, czy zdołają utrzymać się przy życiu, czy nie, zależało tylko od zakonników. Alejandro de la Vega starał się być dobrym panem, jednak martwiło go, że Regina, ilekroć chodziło o Indian, prosiła o coraz więcej. Tysiąc razy tłumaczył jej, że nie może traktować ich inaczej niż inni właściciele rancz, gdyż doprowadzi to do problemów w całej Górnej Kalifornii.

Połączeni wspólną troską o Indian ojciec Mendoza i Regina zostali w końcu przyjaciółmi; on jej wybaczył atak na misję, ona zaś była mu wdzięczna, że pomógł Diegowi przyjść na świat. Panowie woleli im się nie narażać, gdyż misjonarz posiadał autorytet moralny, a ona była małżonką alkada. Ilekroć Regina rozpoczynała którąś ze swoich kampanii w obronie sprawiedliwości, ubierała się jak Hiszpanka, czesała w gładki kok, wieszała na szyi krzyżyk z ametystu i w miejsce dzikiej kobyły, której dosiadała na oklep, brała elegancki spacerowy powóz, prezent od męża. Przyjmowano ją oschle, gdyż nie była jedną z nich. Żaden ranczer nie przyznawał się do indiańskich przodków, twierdzili, że są czystej krwi Hiszpanami, ludźmi białymi i „dobrze urodzonymi”. Nie mogli darować Reginie tego, że nawet nie próbuje ukryć swego pochodzenia, chociaż właśnie za to ojciec Mendoza podziwiał ją najbardziej. Kiedy nie było już żadnych wątpliwości, iż po matce jest Indianką, hiszpańscy osadnicy odwrócili się do niej plecami, jednak ze względu na pozycję i majątek męża nie ośmielono się otwarcie czynić jej afrontów. Nadal zapraszano ją na wieczorki i potańcówki, wiedząc, że się na nich nie pojawi i że Alejandro przyjdzie sam.

Pochłonięty sprawami miasta, hacjendy, interesami i rozstrzygnięciem sporów, których między osadnikami nie brakowało, de la Vega nie miał wiele czasu dla rodziny. W każdy wtorek i czwartek jeździł do Los Angeles, aby wypełniać swoje zadania alkada, ale to prestiżowe stanowisko oznaczało dla niego więcej obowiązków niż satysfakcji; nie rezygnował z niego z uwagi na poczucie wierności służbie. Nie był chciwy ani nie nadużywał władzy. Miał naturalną łatwość rządzenia, jednak nie był człowiekiem o szerokich horyzontach. Rzadko kiedy podawał w wątpliwość idee odziedziczone po przodkach, chociaż nie pasowały do amerykańskiej rzeczywistości. Dla niego wszystko sprowadzało się do kwestii honoru, dumy z tego, kim był - hiszpańskim hidalgiem i katolikiem cieszącym się nieposzlakowaną opinią. Uważał, że powinno się żyć z wysoko podniesionym czołem. Martwił się, że Diego, który spędzał zbyt wiele czasu z matką, Bernardem i indiańską służbą, nie osiągnie pozycji, jaka z racji urodzenia mu się należy, liczył jednak, że to jeszcze dziecko, jeszcze zdąży nim odpowiednio pokierować. Najszybciej jak to możliwe zamierzał przystąpić do wychowywania syna na mężczyznę, jednak moment ten stale był odsuwany na później; ciągle były inne, pilniejsze sprawy, którymi należało się zająć. Chwilami pragnienie ochrania syna i uczynienia go szczęśliwym było tak intensywne, że wzruszała się tym do łez. Jego miłość do tej istotki obezwładniała go, lęk o nią był niczym ból od pchnięcia szpadą. Snuł wobec syna ambitne plany: Diego miał być odważny, miał być dobrym chrześcijaninem, lojalnym wobec króla jak wszyscy członkowie szlacheckiego rodu de la Vegów, a do tego najbogatszym ze wszystkich krewnych posiadaczem rozległych, żyznych i zasobnych w wodę ziem w ciepłym klimacie, gdzie przyroda jest szczodra, a życie upływa słodko, nie tak jak na jałowych polach ich rodzinnej Hiszpanii. Miał mieć więcej stad krów, owiec i świń niż król Salomon, hodować najlepsze byki do walki i najwspanialsze konie arabskie, stać się najbardziej wpływowym człowiekiem w Górnej Kalifornii i dojść do stanowiska gubernatora. Ale to miało stać się

później, najpierw musi nabrać ogłady na uniwersytecie albo w szkole wojskowej w Hiszpanii. Spodziewał się, że do czasu, kiedy Diego dorośnie na tyle, aby móc wyjechać, Europa wyjdzie z chaosu. Na pokój nie ma co liczyć, gdyż w Starym Świecie nigdy go nie było, jednak można oczekiwać, że ludzie pójdą w końcu po rozum do głowy. Tymczasem wieści, które stamtąd nadchodziły, były zatrważające. Wszystko to tłumaczył Reginie, jednak ona nie podzielała jego ambicji co do syna, a tym bardziej nie rozumiała, dlaczego martwi się tym, co się dzieje gdzieś po drugiej stronie morza. Świat - taki, jakim ona go pojmowała - ograniczał się do kawałka ziemi, jaki mogła objechać konno. Nic więc dziwnego, że mało ją obchodziły sprawy Francji. Mąż opowiadał jej, że w roku 1793, dokładnie w tym roku, kiedy się pobrali, w Paryżu na oczach tłumu żądnego zemsty i krwi, ścięto głowę królowi Ludwikowi XVI. Jose Diaz, zaprzyjaźniony z Alejandrem kapitan statku, podarował mu upiorną zabawkę: miniaturową gilotynę do obcinania końcówek cygar, i przy okazji wyjaśnił, jak spadały głowy francuskiej szlachty. Gdyby inne kraje wzięły ten straszliwy przykład z Francji, Europa mogłaby się pogrążyć w absolutnym chaosie. Reginie wynalazek ten wydał się kuszący, bo gdyby Indianie dysponowali takową machiną, pomyślała, biali nabriliby do nich szacunku; jednak miała na tyle wyczucia, aby tą refleksją nie podzielić się z mężem. Dość było między nimi nieporozumień, nie warto było dokładać jeszcze jednego powodu do rozgoryczenia. Ona sama nie mogła się nadziwić, jak bardzo się zmieniała; patrzyła na siebie w lustrze i nie poznawała w sobie Toypurni, widziała kobietę o twardym spojrzeniu i zaciśniętych ustach. Życie z dala od jej naturalnego środowiska i konieczność unikania konfliktów sprawiły, że stała się ostrożna i skryta; rzadko kiedy stawała z mężem twarzą w twarz, wołała działać za jego plecami. Alejandro de la Vega nie domyślał się, że jego żona rozmawia z synem w swoim języku, dlatego był niemile zaskoczony, kiedy Diego pierwsze swoje słowa wypowiedział po indiańsku. Gdyby wiedział, że żona podczas każdej jego dłuższej nieobecności jedzie z dzieckiem do swego plemienia, z pewnością by jej tego zabronił.

Kiedy Regina z Diegiem i Bernardem pojawiała się w indiańskiej wiosce, babka Biała Sowa porzucała inne zajęcia i poświęcała im cały swój czas. Śmiertelne choroby oraz fakt, iż Hiszpanie wcielali mężczyzn do swojej armii, sprawiły, że plemię zostało zdziesiątkowane. Teraz liczyło zaledwie dwadzieścia rodzin pogrążających się w coraz większej nędzy. Indianka zaznajamiała chłopców z mitami i legendami plemienia, oczyszczała ich dusze obrzędowym dymem ze słodkiego siana, i zabierała ich na łąkę, gdzie razem szukali magicznych ziół. Kiedy malcy potrafili już utrzymać się na nogach i ścisnąć w rączkach patyk, kazała mężczyznom pokazać im, jak się walczy. Nauczyli się łowić ryby, nadziewając je na zaostrome kije, i polować. Dostali w prezencie całą skórę jelenia, z łbem i rogami, którą narzucali na siebie podczas polowania i w ten sposób zwabiali zwierzynę. Czekali nieruchomo, aż ofiara podejdzie bliżej, i wtedy posyłali ku niej strzały. Indianie Toypurnię-Reginę darzyli ogromnym szacunkiem, który przekładał się na miłość do Diega i Bernarda. Myśleli, że obaj chłopcy są jej synami. Hiszpanie zmusili ich do posłuszeństwa, jednak obecność Toypurni we wsi powodowała, że wspominali wojnę, którą pod jej przewodnictwem stoczyli w obronie swego honoru, i krew w ich żyłach na nowo zaczynała się burzyć.

Biała Sowa zaprowadziła chłopców do jaskiń w pobliżu hac-jendy de la Vegi, nauczyła ich odczytywać symbole wyrżnięte na ścianach przed tysiącem lat i pokazała, jak z nich korzystać, żeby nie zabłądzić. Wyjaśniła im, że w jaskiniach można wyróżnić Siedem Świętych Kierunków stanowiących podstawową mapę niezbędną podczas podróży duchowych, dlatego dawnymi czasy udawały się tam osoby poddawane obrzędowi wtajemniczenia; miały odszukać środek siebie samych, ten zaś powinien pokrywać się ze środkiem świata, gdzie powstaje życie. Kiedy dochodziło do tej zbieżności, opowiadała babcia, z głębi ziemi buchał gorejący płomień i przez dłuższą chwilę tańczył w powietrzu, zalewając wtajemniczaną osobę nadprzyrodzonym światłem i ciepłem. Uprzedziła ich, że jaskinie są naturalnymi świątyniami i chroni je wyższa energia, dlatego wolno się w me zapuszczać tylko w dobrych zamiarach. „Kto wejdzie w złych, tego jaskinie żywcem pochłona, po czym wyplują jego kości” - powiedziała. Dodała, że - jak mówi Wielki Duch - jeśli człowiek pomaga innym, w jego ciele otwiera się przestrzeń, przez którą odbiera błogosławieństwa, co jest jedynym sposobem, żeby się przygotować do okahué.

- Zanim przybyli biali, chodziliśmy do tych jaskiń, żeby odnaleźć wewnętrzną harmonię i osiągnąć okahué, ale teraz nikt już tego nie robi - opowiadała Biała Sowa.

- A co to jest okahué? - zapytał Diego.

- To taki stan ducha, jaki osiąga się, kiedy człowiek odkrywa w sobie pięć podstawowych cnót: honor, sprawiedliwość, szacunek, godność i odwagę.

- To ja chcę je wszystkie, babciu.

- Najpierw będziesz musiał przejść wiele prób, podczas których nie wolno ci zapłakać - odparła sucho Biała Sowa.

Od tamtego dnia Diego i Bernardo sami zaczęli badać jaskinie. Zanim przyswoili sobie petroglify na tyle, by się nimi kierować, tak jak pokazała im babcia, znaczyli drogę kamykami. Inspirując się tym, co słyszeli i widzieli, przebywając wśród Indian, oraz opowieściami babci, wymyślali swoje własne obrzędy. Prosilili Wielkiego Ducha Indian i Boga ojca Mendozy, aby pozwolili im osiągnąć okahué, jednak nigdy nie zobaczyli żadnego płomienia, który pojawiłby się nagle i tańczył na wietrze, tak jak oczekiwali. Za to któregoś dnia odkryli naturalny korytarz. Natknęli się na niego przypadkiem, kiedy poruszyli kilka kamieni, którymi chcieli zaznaczyć na ziemi Magiczny Krąg, tak jak to robiła babcia, układając trzydzieści sześć kamieni dokoła i jeden pośrodku, skąd rozchodziły się cztery proste drogi. Kiedy usunęli okrągły odłamek skały, który zamierzali umieścić w środku kręgu, posypało się kilka innych, odsłaniając mały otwór. Diego, szczuplejszy i zwinniejszy, wczołgał się do środka i odkrył wąski tunel, który wkrótce stał się na tyle wysoki, że chłopiec mógł wstać. Wrócili tam, przynosząc ze sobą świece, kilofy i łopaty i przez kilka następnych tygodni go poszerzali. Któregoś dnia czubkiem kilofa Bernard zrobił szczelinę, przez którą wślizgnął się promień światła, a zachwyceni chłopcy stwierdzili, że przebili się aż do wielkiego kominka w salonie rezydencji de la Vegi. Powitało ich kilka głuchych uderzeń stojącego tam zegara. Wiele lat później dowiedzieli się, że Regina celowo zaproponowała, aby dom postawić w sąsiedztwie świętych jaskiń.

Dokonawszy tego odkrycia, zajęli się umocnieniem tunelu deskami i kamieniami, gdyż jego gliniane ściany się kruszyły, a między cegły kominka wstawili małe drzwi. Palenisko było tak wysokie, szerokie i głębokie, że zmieściłaby się tam krowa; musiało być tak okazałe, gdyż ów salon, w którym wprawdzie nigdy nie podejmowano gości, od czasu do czasu służył jako miejsce politycznych spotkań Alejandra de la Vegi. Meble, toporne i niewygodne jak reszta domowych sprzętów, stały zakurzone rzędem pod ścianami, jakby były wystawione na sprzedaż, wydzielając zapach zjełczałego masła typowy dla starych gratów. Najbardziej rzucał się w oczy ogromny olejny obraz, na którym wiekowy święty Antoni, z którego zostały już tylko sama skóra i kości, cały w krostach i okryty łachmanami, opierał się pokusom szatana; było to jedno z owych - wysoko cenionych w Kalifornii - przeraźliwych malowideł, jakie zamawiano w Hiszpanii, płacąc od ich powierzchni mierzonej w stopach kwadratowych. Na honorowym miejscu, skąd można je było podziwiać, wystawione były laska i strój alkada, używane przez ich właściciela w czasie wykonywania obowiązków służbowych. Obejmowały one zarówno sprawy większej wagi, takie jak na przykład wytyczanie ulic, jak i zupełnie błahe, jak wydawanie zezwoleń na wykonanie serenady, bo gdyby pozostawić to w gestii zakochanych młodzików, nikt w całym mieście nie mógłby zmrużyć oka. Z sufitu nad wielkim stołem z podobnego do akacji drzewa mezquite zwieszała się, niczym ogromny cedr, żelazna lampa ze stu pięćdziesięcioma świecami, które pozostawały tam nietknięte, albowiem nikt nie miał odwagi opuścić tego ciężaru i ich pozapalać, a przy nielicznych okazjach, kiedy salę otwierano, do jej oświetlenia używano lampek oliwnych. Nie palono również w kominku, chociaż zawsze leżało przy nim kilka grubych bierwion. Diego i Bernardo przyzwyczaili się skracać sobie drogę powrotną z plaży, idąc przez jaskinie. Z dziecięcą powagą, niezwykle serio traktując swoje zabawy, przysięgli, że nigdy nie zdradzą tego sekretu innym. Białej Sowie obiecali, że będą wchodzić do jaskiń jedynie w zbożnych celach, a nie dla zabawy, jednak dla nich wszystko, co robili, stanowiło część zaprawy przed osiągnięciem okahué.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Biała Sowa dokładała starań, aby rozwijać w chłopcach świadomość ich indiańskich korzeni, Alejandro de la Vega zaczął wychowywać Diega na hidalga. Było to w roku, kiedy z Europy nadeszły dwa kufry z prezentami od Eulalii de Callís. Były gubernator Pedro Fages zmarł w Meksyku podczas jednego z ataków furii. W samym środku awantury padł jak pusty worek u stóp małżonki, która przez to nabawiła się wrzodów żołądka, gdyż obwiniała się o jego śmierć. Spędziwszy życie na kłótniach ze swym porywczym mężem, z chwilą gdy owdowiała, pogrążyła się w głębokim smutku, gdyż zrozumiała, kim dla niej był ten człowiek. Wiedziała, że nikt nie zdoła zastąpić tego wspaniałego mężczyzny, łowcy niedźwiedzi, dzielnego żołnierza, jedyne, który nie chylił przed nią karku i potrafił się jej przeciwstawić. Czułość, której mu nie okazywała, dopóki żył, spadła na nią niczym dopust boży, kiedy ujrzała go w trumnie, i aż po kres jej dni dręczyła ją wraz ze wspomnieniami, z biegiem lat coraz piękniejszymi. Zmęczona szlochaniem poszła w końcu za radą spowiednika i przyjaciół i wraz z synem wróciła do Barcelony, swego rodzinnego miasta, gdzie miała spory majątek i oparcie w wysoko ustosunkowanej rodzinie. Od czasu do czasu przypominała sobie o Reginie, którą uważała za swoją protegowaną, i pisała do niej na pergaminie opatrzonym rodzowym herbem tłoczonym w złocie. Z jednego z owych listów małżonkowie de la Vega dowiedzieli się, że syna Fagesów zabrała zaraza, pogrążając Eulalię w jeszcze większej rozpacz. Oba kufry dotarły nieco poobijane, gdyż opuściły Barcelonę niemal rok wcześniej i zanim doplynęły do Los Angeles, przebyły wiele mórz. Jeden był pełen wytwornych sukien, butów na obcasach, kapeluszy z piórami i

mnóstwa świecidełek, ale Regina rzadko miewała okazje, by je założyć. Drugi, przeznaczony dla Alejandra de la Vegi, zawierał czarną pelerynę podbitą jedwabiem ze srebrnymi toledańskimi guzikami, kilka butelek najlepszego hiszpańskiego jerezu, komplet inkrustowanych masą perłową pistoletów do pojedynków, włoski floret oraz Traktat o fechtunku i kodeks pojedynkowy mistrza Manuela Escalante. Jak wyjaśniano na pierwszej stronie, było to kompendium „niezwykle użytecznych instrukcji dla tych wszystkich, którym przyjdzie walczyć w obronie honoru z hiszpańską szpadą lub floretem w ręce”.

Eulalia de Callís nie mogła przysłać trafniejszego prezentu. Alejandro de la Vega od lat nie brał szpady do ręki, ale dzięki podręcznikowi mógł odświeżyć umiejętności i zacząć uczyć fechtunku swego syna, który nie potrafił jeszcze sam wytrzeć sobie nosa. Zamówił dla Diega floret, pikowany napierśnik i miniaturową maskę i od tej chwili ćwiczył z nim po kilka godzin dziennie. Okazało się, że do szermierki Diego ma taki sam wrodzony talent, jakim wykazywał się podczas innych zajęć ruchowych, jednak nie traktował jej tak poważnie, jak by sobie życzył jego ojciec; dla niego była to tylko nowa zabawa podobna do tych, jakie wymyślali z Bernardem. Bliska zażyłość obu chłopców martwiła Alejandra de la Vegę, wydawała mu się słabością charakteru syna, który był już w wieku, kiedy powinien zacząć zachowywać się stosownie do swego pochodzenia. Lubił Bernarda i wyróżniał go spośród innych indiańskich służących, wszak był przy jego urodzinach, jednak nie zapominał o różnicach dzielących ludzi. Uważał, że bez owych różnic, wprowadzonych przez Boga w wyraźnym celu, na świecie panowałby chaos. Jego ulubionym przykładem była Francja, gdzie z winy tej przekłętej rewolucji wszystko wywróciło się do góry nogami. W tym kraju już nie było wiadomo, kto jest kim, a władza przechodziła z rąk do rąk niczym pieniądź. Alejandro modlił się, aby w Hiszpanii nigdy nie doszło do czegoś takiego. Mimo iż kolejni nieudolni następcy tronu prowadzili imperium do nieuchronnej ruiny, Alejandro nigdy nie podawał w wątpliwość faktu, iż władza monarchy pochodzi od Boga, podobnie jak nie kwestionował hierarchicznego porządku, w jakim został wychowany, ani absolutnej wyższości swojej rasy, narodowości czy wiary. Uważał, że Diego i Bernardo urodzili się różni, nigdy nie będą równi i im wcześniej to pojmą, tym mniej kłopotów będą mieli w przyszłości. Bernardo przyjął to do wiadomości bez zbędnych słów, jednak Diego, ilekroć ojciec poruszał ten temat, zalewał się łzami. Daleka od sekundowania mężowi w jego wychowawczych zapędach Regina nadal traktowała Bernarda, jakby był jej synem. W jej plemienu nikt nie był lepszy od innych z racji urodzenia, lecz jedynie ze względu na odwagę lub mądrość, a jej zdaniem było jeszcze za wcześnie, aby uznać, że któryś z chłopców jest odważniejszy czy mądrzejszy.

Diego i Bernardo rozstawali się tylko na noc, kiedy każdy szedł spać do łóżka matki. Obu ugryźł ten sam pies, obu użądliły pszczoły z tego samego plastra miodu i obaj w tym samym czasie zapadli na odrę. Kiedy jeden coś nabroił, nikt nie zadawał sobie trudu, aby ustalić, który jest winien; obaj musieli się pochylić, dostawali po tyle samo batów na pupę i przyjmowali karę bez szemrania, uważając to za absolutnie sprawiedliwe. Wszyscy, z wyjątkiem Alejandra de la Vegi, traktowali ich jak braci nie tylko dlatego, że byli nierozłączni, ale że na pierwszy rzut oka byli do siebie podobni. Słońce nadało im opaleniznę ten sam odcień drewna, Ana szyła im takie same parciane spodnie, Regina strzygła im włosy na modłę indiańską. Trzeba się im było uważnie przypatrzeć, żeby w twarzy Bernarda dostrzec szlachetne indiańskie rysy, u wysokiego zaś i delikatnego Diega oczy barwy karmelu jak u matki. W kolejnych latach nauczyli się władać floretem wedle „niezwykle użytecznych instrukcji” mistrza Escalante, galopować bez siodła, używać bata i lassa i zwieszać się z okapu domu głową w dół jak nietoperze. Indianie pokazali im, jak nurkować w morzu i odrywać od skał jadalne ślimaki, jak przez kilka dni tropić zwierzynę, aby na koniec ją upolować, jak robić łuki i strzały i jak bez słowa skargi znosić ból i zmęczenie.

Kiedy przychodziła pora znakowania bydła, Alejandro de la Vega brał ich ze sobą na rodeo do pomocy; każdy z nich miał swój powróż do pętania zwierząt albo lasso. Była to jedyna czynność, jaką hidalgo mógł sam wykonywać; raczej rozrywka niż praca. Okoliczni panowie ze swymi synami, pastuchami i Indianami okrążali zwierzęta, kolejno wyłapywali je i wypalali swoje znaki, które dla uniknięcia pomyłek czy kradzieży zapisywano potem w księdze. Później przychodził czas uboju i trzeba było ściągnąć skóry, zasolić mięso, zebrać i zmagazynować łój. Królami rodeo byli nuqueadores, znakomici jeźdźcy, którzy w pełnym galopie jednym pchnięciem sztyletu w kark potrafili zabić byka, i żeby zapewnić sobie ich udział, trzeba było wynająć ich z rocznym wyprzedzeniem. Przybywali z Meksyku i amerykańskich prerii ze specjalnie przyuczonymi końmi i zaopatrzeni w długie obosieczne sztylety. Gdy pod ich ciosami padały kolejne sztuki bydła, rzucali się na nie peladores, żeby zedrzeć z nich skórę, na co potrzebowali zaledwie kilku minut, następnie tasajeros, do których należało poćwiartowanie mięsa, i na koniec Indianki, których skromnym zadaniem było zebranie łaju, stopienie go w ogromnych kotłach, a następnie zlanie do worków zwanych botas, uszytych z krowich skór, pęcherzy i jelit. Później zajmowały się wyprawianiem skór, które na klęczkach bez końca oskrobywały naostrzonymi kamieniami. Od zapachu krwi krowy dostawały szału i zdarzało się nieraz,

że jakiś koń został rozszarpany, jakiś pastuch stratowany na śmierć albo zabity pchnięciem rogu. Trzeba było widzieć tego potwora o tysiącu głów, dyszącego w pełnym pędzie w tumanach piekielnego kurzu unoszącego się w powietrzu, czy tych jeźdźców w białych kapeluszach, przyklejonych do swych rumaków, z lassem tańczącym nad głową i błyszczącym nożem za pasem; trzeba było słyszeć tętent bydła, krzyki podnieconych mężczyzn, rżenie koni, ujadanie psów; trzeba było czuć woń piany na grzbietach zwierząt, pot pastuchów, ciepły i tajemniczy zapach Indianek, który raz owionąwszy mężczyzn, już na zawsze odbierał im spokój.

Po zakończeniu rodeo miasto świętowało przez kilka dni, ciesząc się z dobrze wykonanej pracy, a w hulance uczestniczyli biedni i bogaci, biali i Indianie, młodzi i nieliczni starcy. Jedzenia i napitku było aż nadto, zamroczone pary tańczyły do upadłego w takt muzyki grajków przybyłych z Meksyku, przyjmowano zakłady, kto wygra w zmaganiach siłujących się mężczyzn, walkach szczurów, kogutów, psów i w starciach niedźwiedzi z bykami. W ciągu jednej nocy można było przegrać cały zarobek z rodeo. Kulminacją fiesty była msza odprawiana przez ojca Mendozę, który batem zaganiał pijaków do kościoła i z muszkietem w ręce zmuszał uwodzicieli do poślubienia młodych neofitek, gdyż stwierdził, porachowawszy to dokładnie, że w dziewięć miesięcy po każdym rodeo na świat przychodziło skandalicznie dużo dzieci, których ojcowie pozostawiali nieznanymi.

W latach suszy, żeby zapewnić pastwiska stadom bydła, trzeba było pozbyć się dzikich koni. Diego towarzyszył pastuchom, jednak Bernardo nie chciał wtedy z nim jechać, gdyż wiedział, o co chodzi, i nie mógł tego znieść. Całe stada koni okrążano, straszono je strzałami w powietrze, szczuto psami i w pełnym galopie zapędzono nad urwiska, z których na oślepię rzuciły się. Setkami spadały w otchłań, łamiąc karki albo nogi na dnie przepaści. Te, które miały więcej szczęścia, ginęły od razu, inne zdychały przez wiele dni w chmurze much i fetorze rozkładającego się mięsa, który przyciągał niedźwiedzie i sępy.

Dwa razy w tygodniu Diego musiał jeździć do misji San Gabriel, gdzie ojciec Mendoza prowadził rodzaj szkółki. Bernardo zawsze mu towarzyszył i misjonarz w końcu zgodził się go przyjąć, chociaż uważał, że kształcenie Indian jest niepotrzebne, a nawet niebezpieczne, gdyż może sprawić, że w ich głowach zaczną się rodzić zuchwałe myśli. Bernardo nie miał tej lotności co Diego i często nie nadszedł za innymi, jednak był uparty i nie poddawał się, całymi nocami ślęcząc przy świecach nad lekcjami. Miał skryty i spokojny charakter, kontrastujący z wybuchową wesołością Diega. Lojalnie sekundował przyjacielowi we wszystkich psotach, jakie tylko tamtemu przysły do głowy, i bez szemrania godził się ponieść karę za coś, co było pomysłem Diega. Odkąd zaczął chodzić, przyjął na siebie rolę obrońcy swego mlecznego brata, który w jego przekonaniu miał w przyszłości dokonać wielkich czynów, dorównując bohaterstwem mitycznym wojownikom, o których opowiadała im Biała Sowa.

Diegowi, dla którego siedzenie cicho w czterech ścianach było torturą, często udawało się wymknąć spod opieki ojca Mendozy i wyrwać na świeże powietrze. Lekcje wpadały mu jednym uchem i recytował je prędko, zanim zdążyły wylecieć drugim. Swoim tupetem potrafił wywieść ojca Mendozę w pole, jednak później słowo po słowie musiał wyjaśnić wszystko Bernardowi i tak, chcąc nie chcąc, sam się uczył. Z takim samym zapamiętaniem, z jakim Bernardo wkuwał, Diego się bawił. Po wielu wzajemnych ustępstwach doszli do porozumienia, na mocy którego Diego przekazywał Bernardowi swoją wiedzę, w zamian za co tamten ćwiczył się z nim w rzucaniu lassem, strzelaniu z bata i machaniu szpadą.

- Nie rozumiem, po co uczymy się czegoś, co na nic się nam nie przyda - zaprotestował Diego któregoś dnia po kilku godzinach wkuwania łacińskich słówek.

- Prędzej czy później wszystko się przyda - odparł Bernardo. - To jak ze szpadą. Prawdopodobnie nigdy nie zostaną dragonem, ale będą przynajmniej umiały obchodzić się z bronią.

W Górnej Kalifornii mało kto potrafił czytać i pisać poza misjonarzami, których od biedy można było nazwać ludźmi kulturalnymi. Książek praktycznie nie było, a kiedy przychodził jakiś list, co zdarzało się raczej rzadko, jego adresat - bez zbytniego pośpiechu, gdyż zakładał, że przynosi złe wieści - siedł z nim do księdza. Jednak Alejandro de la Vega rozumiał potrzebę oświaty i przez całe lata walczył o założenie szkoły. W tym czasie Los Angeles było już czymś więcej niż miasteczkiem z czterema ulicami na krzyż, jak wtedy, kiedy się tutaj osiedlił; stało się obowiązkowym postojem podróżnych, miejscem wypoczynku marynarzy ze statków towarowych, ośrodkiem handlowym prowincji. Stolica w Monterrey była tak daleko, że większość spraw dotyczących lokalnej administracji załatwiano w Los Angeles. Poza przedstawicielami władz i oficerami armii miejscową ludność stanowili Metysi, którzy, chcąc się odróżnić od Indian i służby, kazali nazywać się „ludźmi oświeconymi”. Osobną klasę stanowili „dobrze urodzeni” Hiszpanie. W mieście była już arena do walki byków, a ostatnio otwarto

nawet dom publiczny; zatrudniał trzy Metyski, pobierające za swoje usługi opłatę podlegającą negocjacji, oraz przybyłą z Panamy Mulatkę o obfitych kształtach, która miała taksę stałą i dość wygórowaną. Był też specjalny budynek, w którym odbywały się spotkania alkada z radcami miejskimi i gdzie mieściły się także sąd i teatr; wystawiano w nim zarzuce, moralitety oraz przedstawienia o treści patriotycznej. Na rynku zwanym Plaza de Armas postawiono altanę dla muzyków, aby wieczorami umilali czas mieszkańcom miasteczka, a szczególnie młodzieży przechadzającej się grupkami pod baczным okiem rodziców: wystrojone dziewczęta w jednym kierunku, a chłopcy w przeciwnym. Nie było jeszcze hotelu: pierwszy miał się pojawić dopiero dziesięć lat później, tymczasem podróżni zatrzymywali się w co zamożniejszych domach, gdzie nigdy nie brakowało jedzenia ani łóżek dla potrzebujących gości. W obliczu takiego postępu Alejandro de la Vega uznał, że w mieście powinna być również szkoła, jednakże nikt go w tej sprawie nie popierał. Sam za własne pieniądze założył pierwszą w prowincji sztabę, która przez długie lata miała pozostać jedyną.

Instytucja ta otworzyła swe podwoje dokładnie w chwili, gdy Diego skończył dziewięć lat, a ojciec Mendoza stwierdził, że nauczył go już wszystkiego, co sam umie, z wyjątkiem odprawiania mszy i wypędzania demonów. Był to mroczny i zakurzony barak przypominający więzienie, mieszczący się za rogiem głównego placu, wyposażony w tuzin żelaznych ławek i dyscyplinę z siedmioma rzemieniami wiszącą obok tablicy. Sprowadzony z Meksyku nauczyciel okazał się jednym z owych nic nieznaczących osobników, których najmniejsza szanowana władza zamienia w brutali. Diego wraz z garstką innych chłopców, latorośli najbardziej szanowanych rodzin miasta, miał nieszczęście zostać jednym z jego pierwszych uczniów. Bernardo nie mógł uczestniczyć w lekcjach, mimo iż Diego błagał ojca, aby mu na to pozwolił. Alejandro de la Vega uważał, że ambicje Bernarda są jak najbardziej godne pochwały, jednak uznał, że nie można robić wyjątków, bo gdyby się na to zgodził, trzeba by przyjąć również innych jemu podobnych, nauczyciel zaś jasno i wyraźnie uprzedził, że odejdzie, jeżeli jakkolwiek Indianin przestąpi próg jego, jak się wyraził, „szacownego przybytku nauki”. Konieczność przekazywania wiedzy Bernardowi skłoniła Diega do uważania na lekcjach skuteczniej niż dyscyplina z siedmioma rzemieniami.

Jednym z uczniów był García, syn hiszpańskiego żołnierza i właścicielki tawerny, niezbyt rozgarnięty chłopiec o głupawym uśmiechu, otyły i z płaskostopem, ulubiona ofiara nauczyciela i uczniów. Dręczono go bez przerwy. Kierowany instynktownym poczuciem sprawiedliwości, Diego stał się jego obrońcą, zaskarbiając sobie fanatyczną, graniczącą z uwielbieniem wdzięczność grubaska.

Mijały lata, a ojciec Mendoza zajęty uprawą roli, przepędzaniem bydła i nawracaniem Indian nie zdołał naprawić dachu kościoła uszkodzonego podczas ataku zbuntowanych Indian pod przywództwem Toypurni. Udało się wprawdzie odeprzeć napastników, ale silna eksplozja, która zatrzęsała kościołem w posadach, uszkodziła budynek. Ilekroć podczas mszy podnosił hostię, żeby ją pobłogosławić, jego spojrzenie nieodmiennie padało na poluzowane belki stropu i przerażony misjonarz obiecywał sobie je naprawić, zanim się zwał na jego niewielką gromadkę wiernych, ale potem musiał zająć się innymi sprawami i aż do następnej mszy zapominał o swym postanowieniu. Tymczasem termity spokojnie toczyły drewno i w końcu doszło do wypadku, którego ojciec Mendoza tak bardzo się obawiał. Na szczęście nie stało się to w chwili, kiedy budynek był pełen ludzi, co miałyby katastrofalne skutki, lecz podczas jednego z licznych trzęsień ziemi zwanych temblores, jakie często nawiedzały te strony; nie bez powodu przepływająca nieopodal rzeka nosiła nazwę Jesus de los Temblores. Jedyną ofiarą spadającego dachu był ojciec Alvear, święty człowiek, który chcąc poznać misję San Gabriel, przybył aż z Peru. Łoskot walących się murów i chmura kurzu ściągnęły neofitów, którzy natychmiast rzucili się do usuwania gruzu, chcąc odkopać nieszczęśnika. Znaleźli go pod główną belką, która zgmiotła go jak robaka. Wedle wszelkiej logiki powinien był zginąć, ponieważ wygrzebywanie go zajęło im niemal całą noc, podczas której biedaczysko bez ratunku się wykrwawiał; jednak Bóg uczynił cud, jak to później wyjaśnił ojciec Mendoza, i kiedy wreszcie wyciągnęli go spod ruin, jeszcze dychał. Ojcu Mendozie wystarczyło jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, iż jego skromna znajomość medycyny - nawet przy wsparciu łaski bożej - nie zdoła uratować rannego. Nie zwlekając, dał jednemu z neofitów dwa konie i posłał go po Białą Sowę. W ostatnich latach miał okazję się przekonać, że wielka cześć, jaką Indianie otaczali tę kobietę, była w pełni uzasadniona.

Przypadek zdarzył, że nazajutrz po trzęsieniu ziemi do misji przybyli Diego i Bernardo, prowadząc kilka rumaków czystej krwi, które Alejandro de la Vega przysyłał misjonarzom w prezencie. Ponieważ nikt nie wyszedł ich powitać ani im podziękować, albowiem wszyscy zajęci byli usuwaniem skutków trzęsienia ziemi i opieką nad dogorywającym ojcem Alvearem, chłopcy przywiązali konie i postanowili zaczekać na dalszy rozwój wydarzeń. Po jakimś czasie przybyła Biała Sowa, galopując za Indianinem, który po nią pojechał. Mimo iż jej twarz pokryła się nowymi zmarszczkami, a włosy zbieleły jeszcze

bardziej, przez te lata niewiele się zmieniła, była to ta sama silna i wiecznie młoda kobieta, która dziesięć lat wcześniej zjawiała się w hacjendzie de la Vegi i wyrwała Reginę ze szponów śmierci. Tym razem przybywała w podobnej misji, miała też ze sobą sakwę pełną leczniczych ziół. Ponieważ Indianka nie chciała nauczyć się hiszpańskiego, a słownictwo ojca Mendozy w jej języku było bardzo ograniczone, Diego zaofiarował się z pomocą w tłumaczeniu. Pacjenta ułożono w jadalni na stole z nieheblowanych desek, a dokoła niego zebrali się mieszkańcy San Gabriel. Biała Sowa obejrzała uważnie rany, które ojciec Mendoza obandażował, lecz nie miał odwagi zszyć, gdyż tkwiły w nich odłamki kości. Znachorka wprawnymi palcami obmacała całe ciało i ustaliła, jakie zabiegi należy przeprowadzić.

- Powiedz temu białemu, że wszystko da się wyleczyć, z wyjątkiem tej nogi, która jest zepsuta. Najpierw ją utnę, a potem zajmę się resztą - oświadczyła wnukowi.

Diego przetłumaczył, nie starając się nawet zniżyć głosu, gdyż ojciec Alvear i tak był już prawie nieboszczykiem, jednak ledwie powtórzył diagnozę babci, umierający szeroko otworzył płonące ogniem oczy.

- To już pierwszej szczenę, psiamać - powiedział z głębokim przekonaniem.

Biała Sowa zignorowała go, a tymczasem ojciec Mendoza siłą otworzył biedakowi usta, tak jak to robił z dziećmi, które nie chciały pić mleka, i włożył mu swój słynny lejek. Za jego pomocą podano mu kilka łyżeczek jakiegoś gęstego syropu w kolorze rdzy, który Biała Sowa wydobyla ze swojej sakwy. W czasie, jakiego potrzebowano, żeby umyć w ługu piłę do cięcia drewna i przygotować szmaty potrzebne do owinięcia ran, ojciec Alvear zdążył zasnąć głębokim snem, z którego miał się obudzić po dziesięciu godzinach, całkiem przytomny i spokojny. Kikut jego nogi już od jakiegoś czasu przestał krwawić. Resztę jego ciała Biała Sowa pozszywała w dwunastu miejscach, które pokryła pajęczyną i jakąś tajemniczą maścią, a na koniec obwiązała szarpianami. Ze swej strony ojciec Mendoza polecił neofitom, aby na zmianę modlili się dzień i noc, dopóki chory nie wyzdrowieje. Metoda ta okazała się skuteczna. Wbrew wszelkim przewidywaniom ojciec Alvear doszedł do siebie dość szybko i po siedmiu tygodniach, leżąc na noszach, odplynął statkiem z powrotem do Peru.

Bernardo nigdy nie miał zapomnieć przerażającego widoku odciętej nogi ojca Alveara, Diego zaś - cudownego syropu babci. W ciągu następných miesięcy, ilekroć Diego odwiedzał Białą Sowę, prosił ją, aby zdradziła mu sekret owego napoju, jednak ona za każdym razem odmawiała, logicznie argumentując, iż magiczne lekarstwo nie może wpaść w ręce psotnego chłopca, który z pewnością zechciałby go użyć do jakichś niecznych celów. Kierowany impulsem - jednym z tych, za które potem dostawał lanie - Diego wykradł tykwę z eliksirem, przyrzekając sobie, że nie użyje go do usypiania ludzi i ucinania im kończyn, a jedynie w zbożnych celach, jednak skoro tylko skarb znalazł się w jego rękach, zaczął snuć plany, jak by go tu wykorzystać. Okazja nadarzyła się pewnego gorącego czerwcowego dnia, kiedy wracali znad morza, dokąd poszli popływać; było to jedyne zajęcie ruchowe, w którym Bernardo swoją wytrzymałością, spokojem i siłą bił Diega na głowę. Podczas gdy Diego rozpaczliwymi wymachami rąk próbował rozgarniać fale i szybko się męczył, Bernardo przez długie godziny zachowywał miarowy rytm oddechu i wyrzutów ramion, dając się unosić tajemniczym prądom z morskiego dna. Jeśli pojawiały się delfiny, szybko okrążyły Bernarda. To samo robiły też konie, nawet te najbardziej nieokiełznane. Kiedy nikt nie miał odwagi zbliżyć się do znarowionego żrebaka, on podchodził do niego ostrożnie, przykładając twarz do jego ucha i szeptał mu jakieś tajemnicze słowa tak długo, aż ten się uspokoił. W całej okolicy nie było nikogo, kto by potrafił obłaskawić konia równie szybko i umiejętnie jak ten indiański chłopiec. Owego popołudnia już z daleka usłyszeli przerażające krzyki Garcii, kolejny raz dręczonego przez szkolnych opryszków. Było ich pięciu, na czele z Carlosem Alcázarem, najstarszym i najgroźniejszym z całej grupy.

Zdolności intelektualnych miał tyle co kot napłakał, jednak starczało mu ich na obmyślenie kolejnych, coraz to okrutniejszych sposobów zadawania bólu. Tym razem rozebrali Garcie do naga i, posmarowawszy od stóp do głów miodem, przywiązali do drzewa. Garcia darł się jak opętany, podczas gdy pięciu jego katów z fascynacją obserwowało chmarę komarów i hordę mrówek, które właśnie ruszyły do ataku. Diego i Bernardo szybko ocenili sytuację i zrozumieli, że jest niewątpliwie dla nich niekorzystna. Nie mogli walczyć z Carlosem i jego poplecznikami, ani tym bardziej pobiec po pomoc, bo wyszliby na tchórzy. Diego podszedł do nich, uśmiechając się, podczas gdy Bernardo za jego plecami zaciskał zęby i pięści.

- Co robicie? - zapytał, jakby to nie było oczywiste.

- Nic, co by cię mogło obchodzić, durniu, chyba że chcesz skończyć tak samo jak Garcia - odparł Carlos przy wtórze chóralnego śmiechu swojej bandy.

- Jasne, że nic mnie nie obchodzi, tyle że zamierzałem użyć tego grubasa jako przynęty na niedźwiedzie. Szkoda takiego dobrego tłuszczu dla mrówek - odrzekł Diego obojętnie.

- Niedźwiedzie? - warknął Carlos.

- Dam ci niedźwiedzia za Garcię - zaproponował Diego beznamiętnie, wydłubując patyczkiem brud z paznokci.

- Skąd weźmiesz niedźwiedzia?

- To już moja rzecz. Mam zamiar przyprowadzić go żywego i to w kapeluszu na głowie. Jak chcesz, mogę ci go sprezentować, Carlos, ale do tego potrzebny mi García.

Chłopcy naradzali się szeptem, a Garcię oblewał zimny pot. Bernardo drapał się w głowę i myślał, że tym razem Diego przesadził. Chwywanie żywych niedźwiedzi, które potem były wykorzystywane do walk z bykami, wymagało siły, zręczności i rączych koni. Kilku doświadczonych jeźdźców zarzucało na zwierzę lasso i przytrzymywało je powrozami, podczas gdy inny pasterz, który służył jako wabik, szedł przodem starając się je sprowokować i podstępem wprowadzić do zagrody. Jednak było to niebezpieczne, gdyż niedźwiedziowi, który biega szybciej niż jakikolwiek koń, czasem udawało się oswobodzić, a wtedy rzucał się na tego, kto był najbliżej.

- Kto ci będzie pomagał? - zapytał Carlos.

- Bernardo.

- Ten głupi Indianiec?

- Bernardo i ja możemy zrobić to sami, o ile będziemy mieli Garcię na przynętę - powiedział Diego.

W dwie minuty dobili targu i niegodziwcy odeszli, a Diego i Bernardo uwolnili Garcię i pomogli mu zmyć z siebie miód i smarki.

- Jak złapiemy tego niedźwiedzia? - zapytał Bernardo.

- Jeszcze nie wiem, muszę się zastanowić - odparł Diego, a jego mleczny brat nie miał wątpliwości, że coś wymyśli.

Reszta tygodnia upłynęła na przygotowaniach do brawurowego przedsięwzięcia. Spotkać niedźwiedzia było bardzo łatwo, albowiem przyciągnięte zapachem mięsa tuzinami zbierały się w miejscach, gdzie zabijano bydło, jednak nie mogli zmierzyć się z więcej niż jednym, zwłaszcza jeśli natknęliby się na samice z młodymi. Musieli znaleźć niedźwiedzia samotnika, co również nie było trudne, gdyż latem widywano je bardzo często. García twierdził, że jest chory, i przez kilka dni nie wychodził z domu, ale Diego i Bernardo zmusili go, żeby poszedł z nimi, wysuwając niepodważalny argument, że jeśli tego nie zrobi, znowu trafi w łapy bandy Carlosa Alcázara. Diego zażartował, że naprawdę użyją go jako wabika, jednak widząc, że pod Garcią gną się kolana, ulitował się nad nim i wprowadził go w plan, jaki obmyślili z Bernardem.

Każdy z chłopców uprzedził swoją matkę, że zanocuje w misji, gdzie ojciec Mendoza jak co roku urządzał obchody dnia świętego Jana. Wyruszyli skoro świt wozem zaprzężonym w dwie stare mulice, zabierając ze sobą powrozy do pętania zwierząt i lassa. García umierał ze strachu, Bernardo siedział zatroskany, a Diego pogwizdywał. Zostawiwszy w tyle zabudowania hacjendy i zjechawszy z głównej drogi, skręcili w Ścieżkę Szczap, na której podobno straszycie, tak przynajmniej twierdzili Indianie. Jako że mulice były wiekowe, a teren pełen nierówności, jechać musieli ostrożnie, co dawało im czas na odszukiwanie śladów na ziemi i znaków wyciętych w korze drzew. Kierując się nimi, dotarli do tartaku Alejandra de la Vegi, który dostarczał drewna do budowy domów i naprawy statków. Nagle ryki przerażonych mulic uprzedziły ich, że w pobliżu musi być niedźwiedź. Drwale udali się na uroczystości ku czci świętego Jana i dookoła nie było widać żywej duszy, tylko porzucone piły i siekiery oraz stosy pni poukładane wokół baraku z desek; chłopcy wyprzęgli mulice i wprowadzili je do środka; tam były bezpieczne; następnie Diego i Bernardo zabrali się do zakładania pułapki, a ukryty razem z mulicami García obserwował, co robią jego towarzysze. Zabrał ze sobą dużo jedzenia, bo kiedy się denerwował, robił się głodny, i odkąd rano wyjechali z domu, nie przestawał jeść. Chłopcy przerzucili powrozy przez najgrubsze konary drzew, na ziemi rozłożyli lassa, tak jak to zaobserwowali u pastuchów, a w ich środku ułożyli gałęzie i przykryli je skórą jelenia, której używali, kiedy chodzili na polowania z Indianami. Pod skórą jako przynętę umieścili kawałek świeżego króliczego mięsa nasączonego usypiającą miksturą. Następnie poszli do baraku, żeby się posilić zapasami Garcíi.

Młodzi myśliwi byli przygotowani na to, że przyjdzie im tam spędzić kilka dni, jednak niedźwiedź, którego obecność zapowiedziały im ryki mulic, pojawił się bardzo szybko. Był to stary, dosyć duży samiec. Ta okryta ciemnym futrem masa trzęsącego się tłuszczu poruszała się niespodziewanie żwawo i z wdziękiem, kołysząc się z boku na bok. Chłopcy nie dali się zwieść pozornej potulności ciekawskiego zwierzęcia, wiedzieli, na co je stać, i modlili się, żeby powiew wiatru nie zaniósł mu

zapachu ich ani mulic. Jeśliby niedźwiedź natarł na barak, drzwi by nie wytrzymały. Zwierzę pokręciło się dokoła i nagle zauważyło coś, co wyglądało jak znieruchomiałe jeleni. Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, a wtedy chłopcy mogli obejrzeć go w całej okazałości: był to olbrzym wysoki na osiem stóp. Zaryczał przeraźliwie, kilkakrotnie zamachał groźnie łapami i całym ciężarem ciała rzucił się na domniemaną zdobycz, łamiąc lekkie rusztowanie z gałęzi, które ją podtrzymywało. Runął na ziemię, nie pojmując, co się stało, ale zaraz wstał. Jeszcze raz zaatakował pazurami rzekomego jelenia i wtedy odkrył schowaną pod nim przynętę, którą pożałł dwoma kłapięciami paszczy. Rozerwał skórę, szukając jakiegoś bardziej treściwego pożywienia i, nie znalazłszy go, znów się wyprostował zdeorientowany. Zrobił krok do przodu i wdepnął w sam środek rozłożonych na ziemi lass, uruchamiając pułapkę. W jednej chwili powrozy naprężyły się i niedźwiedź zawisł między dwoma drzewami głową w dół. Chłopcy krzykiem uczcili swoje zwycięstwo, które okazało się złudne, gdyż pod ciężarem kołyszącego się w powietrzu zwierzęcia gałęzie się złamały. Przerażeni zaczęli się rozglądać za czymś, co mogłoby im posłużyć do obrony, podczas gdy na zewnątrz baraku, rozkraczony na ziemi niedźwiedź usiłował uwolnić prawą łapę z lassa, które było przywiązane do odłamanej gałęzi. Szarpał się dłuższą chwilę, coraz bardziej zamotany i rozwścieczony, i nie mogąc się uwolnić, ruszył, ciągnąc gałąź za sobą.

- I co teraz? - zapytał Bernardo z udawanym spokojem.

- Teraz zaczekamy - odparł Diego.

Czując między nogami coś ciepłego i widząc na spodniach powiększającą się mokrą plamę, García stracił głowę i zaczął rozdzierająco szlochać. Bernardo rzucił się na niego i zasłonił mu usta, jednak było już za późno. Niedźwiedź ich usłyszał. Zawrócił do baraku i kilkakrotnie uderzył łapami w drzwi, tak mocno wstrząsając słabą konstrukcją, że od dachu odpadło kilka desek. W środku, przed drzwiami, czekał Diego z batem w ręce, a Bernardo potrząsał jakimś kawałkiem żelastwa. Na szczęście dla nich po upadku zwierzę było obolałe, a gałąź przymocowana do łapy utrudniała mu poruszanie się. Bez większego entuzjazmu ostatni raz uderzył w drzwi i, potykając się, ruszył w stronę lasu. Nie odszedł jednak daleko, gdyż gałąź zaczepiła się o ułożone koło baraku pnie i zatrzymała go w miejscu. Chłopcy już go nie widzieli, ale przez dłuższą chwilę dobiegały ich jego rozpaczliwe ryki przechodzące stopniowo w urywane, coraz radsze, pełne rezygnacji westchnienia, które w końcu całkiem ustały.

- A teraz? - zapytał ponownie Bernardo.

- Teraz trzeba go wrzucić na wóz - oświadczył Diego.

- Oszałałeś? Nie możemy stąd wyjść! - zawołał García.

- Nie wiem, jak długo będzie spał. Jest bardzo duży, a domyślam się, że moc nasennego napoju mojej babci jest obliczona na wagę człowieka. Musimy to zrobić szybko, bo jeśli się obudzi, będzie po nas - zarządził Diego.

Bernardo poszedł za nim, jak zwykle nie potrzebując dodatkowych wyjaśnień, ale García, w zabrudzonych i cuchnących spodniach, został w tyle, pojękując żałośnie resztką sił. Znaleźli niedźwiedzia niedaleko baraku; leżał na plecach, powalony narkotykiem. Plan Diega zakładał, że zwierzę zaśnie, wisząc w pułapce między drzewami, a oni opuszczą je na wóz. Teraz musieli tego olbrzyma wtaszczyć na wóz sami. Trącili go z daleka patykami, a ponieważ się nie ruszał, odważyli się podejść bliżej. Był starszy, niż myśleli: w jednej łapie brakowało mu dwóch pazurów, kilka zębów miał wyłamanych; do futra, przez które przezierwały dawne blizny, poprzyklejały mu się wióry. Smoczy oddech uderzył ich w twarz, było jednak za późno, żeby się cofnąć, trzeba było omotać mu powrozami pysk i związać przednie i tylne łapy. Początkowo starali się postępować ostrożnie, co i tak na nic by się nie zdało, gdyby zwierzę się obudziło, ale kiedy przekonali się, że leży jak nieżywe, zaczęli się spieszyć. Kiedy niedźwiedź był już unieruchomiony, poszli po sparaliżowane strachem biedne mulice. Bernardo zaszeptał im coś do ucha, a one go usłyszały. Upewniwszy się, że niedźwiedź naprawdę mocno śpi, o czym świadczyło jego chrapanie, García podszedł ostrożnie, ale dygotał na całym ciele i tak śmierdział, że kazali mu pójść się umyć i przeprać spodnie w strumieniu. Żeby dźwignąć niedźwiedzia, Bernardo i Diego uciekli się do tego samego sposobu, w jaki pasterze ładowali beczki: do jednego końca pochylonego wozu przywiązali dwa powrozy, przeprowadzili je pod niedźwiedziem, następnie górą przeciągnęli w przeciwną stronę, końce przywiązali do mulic i kazali im ciągnąć. Za drugim podejściem udało im się go przetrzaskać i tak powoli wtoczyli go na wóz. Z wysiłku z trudem łapali oddech, jednak udało im się osiągnąć cel. Jak oszaleli objęli się i zaczęli podskakiwać, dumni jak jeszcze nigdy. Zaprzęgli mulice i ruszyli z powrotem do miasta, jednak najpierw Diego wziął słój smolistej mazi, której zaczerpnął z grzędzawiska przy domu, i za jej pomocą przykleił na głowie niedźwiedzia meksykański kapelus. Byli wyczerpani, spoceni jak myszy i przesiąknięci odrażającym zapachem zwierzęcia. García trząsał się ze strachu, ledwo się trzymał na nogach, ciągle jeszcze

zalatywało od niego wychodkiem, ubranie miał mokre. Całe zadanie zajęło im większą część popołudnia, jednak kiedy już zapędzili mulice na Ścieżkę Szczap, do zmierzchu zostało im jeszcze kilka godzin. Przyspieszyli kroku i jeszcze przed zmrokiem zdążyli dotrzeć do Królewskiej Drogi; od tego miejsca umęczone mulice szły już spokojnie, bo znały drogę, a tymczasem spętany powrozami niedźwiedź zaczął posapywać na wozie. Ocknął się z letargu po narkotyku Białej Sowy, ale nadal był oszołomiony.

Kiedy dotarli do Los Angeles, była już ciemna noc. Przyświecając sobie lampkami oliwnymi, uwolnili z pęt tylne łapy zwierzęcia, przednie i pysk nadal pozostawiając związane, i wrzeszcząc, zmusili go, aby zszedł z wozu i wyprostował się; wciąż był zamroczony, ale furia bynajmniej mu nie minęła. Słyszając ich krzyki, z domów zaczęli wyglądać ludzie z lampami i pochodniami. Na ulice wylegli gapie, którzy podziwiali niespotykany widok: przodem szedł Diego de la Vega, ciągnąc za sobą na lassie niezwyklej rozmiarów niedźwiedzia w kapeluszu na głowie; zwierzę kotłowało się na dwóch łapach, a Bernardo i García popędzali je od tyłu. Oklaski i wiwaty rozbrzmiewały w uszach trzech chłopców jeszcze przez długie tygodnie. Przez ten czas mieli aż za dużo okazji, aby przemyśleć bezmiar swej nieostrożności i dojść do siebie po karze, jaką im wymierzono. Jednak Carlos i jego poplecznicy przestali im dokuczać.

Opowieść o niezwyklej wyczynie chłopców, rozdmuchana i ukoloryzowana do niemożliwości, krążyła z ust do ust i z biegiem czasu wraz z kupcami handlującymi skórami nutrii przekroczyła Cieśninę Beringa i dotarła do Rosji. Diego, Bernardo i García nie uniknęli wprawdzie lania, jednak odtąd cieszyli się sławą znakomitych myśliwych. Jedyne, co przemilczeli, i słusznie, to usypiający eliksir Białej Sowy. Niedźwiedź trafił do zagrody, gdzie przez kilka dni wystawiony był na drwiny i obrzucany kamieniami, a tymczasem szukano odpowiednio silnego byka, który mógłby się z nim zmierzyć. Diego i Bernardo ulitowali się nad uwięzionym zwierzęciem i w noc poprzedzającą walkę wypuścili go na wolność.

W październiku, kiedy ciągle jeszcze o niczym innym się nie mówiło, miasto zaatakowali piraci. Zrobili to zniechęceni, mając wieloletnie doświadczenie w swoim nieczym rzemiośle, zbliżywszy się niepostrzeżenie do brzegu brygantyną wyposażoną w czternaście lekkich dział. Płynęli z Ameryki Południowej, zniosło ich aż na Hawaje i korzystne wiatry popchnęły ich w stronę Górnej Kalifornii. Polowali na statki obciążone kosztownościami, które miały trafić do królewskiego skarbcza w Hiszpanii. Rzadko kiedy działali na stałym lądzie, gdyż ważniejsze miasta potrafiły się obronić, a te mniejsze były zbyt biedne, aby na nie napadać, ale od bardzo dawna znajdowali się na morzu i załoga musiała uzupełnić zapasy świeżej wody i spalić trochę energii. Kapitan postanowił złupić Los Angeles, chociaż nie spodziewał się tam znaleźć niczego ciekawego, a jedynie prowiant, alkohol i jakąś rozrywkę dla swoich chłopców. Liczyli na to, że nie napotkają na opór, gdyż poprzedzała ich zła sława, którą sami starali się podsycać, wszem i wobec rozgłaszając mroźące krew w żyłach historie o śmierci i zgłiszczach, które za sobą zostawiają, i o tym, jak to mężczyźni siekają na kawałki, ciężarnym kobietom rozpruwają brzuchy, a dzieci nadziewają na haki i wieszają na masztach. Reputacja barbarzyńców była im na rękę. Wystarczyło, że oddali kilka strzałów z dział na przywitanie albo zaczęli krzyżeć, a ludność natychmiast brała nogi za pas, wydając miasto na ich łup. W tym przypadku działały brygantyny były bezużyteczne, gdyż nie dosięgały Los Angeles. Zarzucili kotwicę i przybili szalupami do brzegu. Z nożami w zębach i szablami w dłoniach wyglądali niczym horda demonów. W połowie drogi do miasta natknęli się na hacjendę de la Vegi. Wielkie domostwo z niewypalanej cegły, z czerwonymi dachami, fioletowymi bugenwillami pnącymi się po ścianach, ogrodem z drzewami pomarańczowymi i miłą atmosferą dostatku i spokoju, okazało się pokusą nie do odparcia dla tych prymitywnych ludzi, którzy już od dłuższego czasu pili zielonkawą wodę i żywili się cuchnącym suszonym mięsem i zrobaczywałymi, twardymi jak kamień herbatnikami. Nic nie wskórał kapitan, krzycząc, że celem jest miasto; jego ludzie wdarli się do hacjendy kopiąc po drodze psy i kładąc trupem dwoje pracujących w ogrodzie Indian, którzy mieli nieszczęście stanąć na ich drodze.

W tym czasie Alejandro de la Vega przebywał w Meksyku, dokąd się udał, by kupić meble lżejsze od ciężkich gratów, jakie miał w domu, złotogłów na zastony, sztucce z czystego srebra, angielską zastawę i kieliszki z austriackiego kryształu. Miał nadzieję, że te godne faraonów prezenty sprawią, że Regina zagustuje w europejskiej wytworności i raz na zawsze porzuci swoje indiańskie nawyki. Jego interesy szły znakomicie, wreszcie mógł sobie pozwolić na życie na poziomie odpowiednim do swego urodzenia. Nie mógł przypuszczać, że podczas gdy on targuje się o cenę tureckich dywanów, jego dom przeżywa najazd trzydziestu sześciu okrutnych łupieżców.

Reginę obudziło wściekłe ujadanie psów. Jej pokój znajdował się w niewielkiej wieżyczce, będącej jedyną ekstrawagancją w zwalistej i ciężkiej bryle domu. Słabe światło wczesnej godziny rozjaśniało

niebo, nadając mu pomarańczowawy odcień, i wpadało przez niezastłonięte okno. Regina otuliła się szalem i wyszła boso na balkon, żeby zobaczyć, co się dzieje, dokładnie w chwili, gdy pierwsi napastnicy forsowali drewnianą bramę do ogrodu. Nie przyszło jej do głowy, że mogą to być piraci, gdyż nigdy wcześniej takowych nie widziała, jednak nie traciła czasu na zastanawianie się, kim są intruzi. Dziesięcioletni Diego, który pod nieobecność ojca sypiał w jednym łóżku z matką, zobaczył, jak ta pędzi gdzieś w nocnej koszuli. Regina chwyciła po drodze szpadę i sztylet, które wisiały na ścianie i nie były w użyciu, odkąd jej mąż porzucił karierę wojskową, jednak zawsze były naostrzone, i wołając na służbę, zbiegła po schodach. Diego zerwał się z łóżka i wybiegł za nią. Drzwi domu były dębowe, a pod nieobecność Alejandra de la Vega ryglowano je od wewnątrz potężną żelazną sztabą. Rozpędzeni piraci zatrzymali się na tej przeszkodzie, która nie chciała ustąpić, co dało Reginie czas, żeby rozdać służącym pochowaną po kufrach broń palną i zorganizować obronę.

Diego, który jeszcze nie zdążył się całkiem rozbudzić, ujrzał przed sobą jakąś obcą kobietę, ledwo przypominającą mu kogoś, kogo znał. W ciągu kilku sekund jego matka przeistoczyła się w Córkę Wilka. Włos jej się zjeżył, z dzikim błyskiem w oczach wyglądała jak oszalała, szczyrzyła zęby i toczyła pianę z ust jak wściekły pies, wyszczekując jednocześnie służbie rozkazy po indiańsku. Czekwała na napastników, w jednej ręce dzierżąc szpadę, a w drugiej sztylet. Okiennice zabezpieczające okna na parterze ustąpiły i do domu wdarli się pierwsi piraci. Przez hałas szturm do uszu Diega przedarł się głos podobny do wycia, bardziej przypominający okrzyk radości niż jęk przerażenia, wydobywający się jakby spod ziemi, który zdawał się przenikać ciało matki i wstrząsać ścianami domu. Widok owej kobiety - w nocnej koszuli, ledwo przysłoniętej cienkim materiałem - która z impetem niespotykanym u kogoś jej postury wychodziła im na spotkanie, unosząc w górę dwa stalowe ostrza, na kilka sekund zatrzymał napastników. W tym czasie służący zdążyli wystrzelić. Dwaj flibustierzy padli na twarz rażeni kulami, a trzeci się zachwiał, jednak nie było czasu, aby ponownie naładować broń, gdyż następni wdarli się już przez okna. Diego chwycił ciężki żelazny kandelabr i ruszył na pomoc matce. Regina straciła szpadę i teraz obiema rękami trzymała sztylet, którym machała na oślep, cofając się przed nacierającymi na nią bandytami. Diego wsadził jednemu z nich kandelabr między nogi, ten się przewrócił, jednak chłopiec nie zdążył już uderzyć go w głowę, gdyż czyjś brutalny kopniak w pierś cisnął nim o ścianę. Nigdy się nie dowiedział, jak długo leżał tam nieprzytomny, bo opowieści o napadzie, przekazywane później z ust do ust, miały sprzeczne wersje. Jedni mówili, że trwał kilka godzin. Inni twierdzili, że w ciągu paru minut piraci zabili bądź ranili wszystkich, którzy stanęli im na drodze, zniszczyli to, czego nie zdołali ukraść i zanim ruszyli na Los Angeles, podłożyli ogień pod meble.

Kiedy Diego odzyskał świadomość, grabieżcy jeszcze plądrowali dom, a dym już wciskał się przez szpary w drzwiach. Czując okropny ból w piersiach i z trudem łapiąc oddech, Diego wstał i ruszył przed siebie, kaszląc i wołając matkę. Znalazł ją leżącą pod wielkim stołem w salonie; batystową koszulę miała całą we krwi, ale była przytomna i miała otwarte oczy. „Schowaj się, synu!” - rozkazała mu stanowczym tonem, po czym zemdląca. Diego ujął ją pod ramiona i nadludzkim wysiłkiem, gdyż miał połamane żebra, zawlókł w stronę kominka. Udało mu się otworzyć tajemne drzwiczki, o których istnieniu wiedzieli tylko on i Bernardo, wciągnął ją do tunelu, zamknął skrytkę z drugiej strony i usiadł w ciemnościach. Trzymając głowę matki na kolanach, płakał głośno i błagał Boga, żeby nie pozwolił jej umrzeć. O to samo błagał duchy jej plemienia.

Gdy piraci zaatakowali hacjendę, Bernardo również był w łóżku. Sypiał z matką w jednym z pomieszczeń dla służby, na drugim końcu budynku. Pokój, który zajmowali, był obszerniejszy od pozbawionych okien klitek przeznaczonych dla reszty czeladzi, ponieważ służył również do prasowania, czym zajmowała się wyłącznie Ana. Alejandro de la Vega wymagał, aby plisy jego koszul były idealnie zaprasowane, a ona była dumna, że robi to osobiście. Oprócz wąskiego łóżka z wypchanym słomą siennikiem i rozpadającej się skrzyni, w której trzymali swój skromny dobytek, w pokoju stał długi stół do pracy i żelazny pojemnik na żar do żelazka, a także dwa olbrzymie kosze z czystą bielizną, którą Ana zamierzała wyprasować następnego dnia. Podłogą było klepisko; wełniane sarape rozpięte nad progiem pełniło funkcję drzwi; światło i powietrze wpadały przez dwa okienka.

Bernarda nie obudziły wrzaski piratów ani strzały po drugiej stronie domu, tylko szarpnięcie Any. Pomyślał, że to znowu ziemia się trzęsie, ale matka nie dała mu czasu na zastanowienie się, chwyciła go za ramię, niczym wicher poderwała z łóżka, jednym skokiem zaciągnęła na drugą stronę pokoju i całą siłą wcisnęła do jednego z wielkich koszy. „Choćby nie wiem co się działo, nie ruszaj się, rozumiałeś?” - nakazała. Jej ton był tak kategoriyczny, że Bernardo miał wrażenie, iż mówi do niego z jakąś skrywaną nienawiścią. Nigdy nie widział jej tak wzburzonej. Jego matka słynęła ze swej dobroci i łagodności, zawsze była pogodna i zadowolona, chociaż nie miała zbyt wielu powodów, żeby czuć się

szczęśliwą. Z oddaniem wypełniała dwa zadania, jakie zesał jej los: wychowywała syna i służyła swoim państwu. Żyła pogodzona ze swą skromną egzystencją, nie odczuwając w duszy żadnych niepokojów, jednak teraz - a był to ostatni moment, jaki dzieliła z Bernardem - stała się twarda i zimna jak lód. Chwyliła kilka sztuk bielizny i nakryła nimi chłopca, wepchnąwszy go na dno kosza. Stamtąd, ukryty pod górą szmat, nie mogąc oddychać od zapachu krochmalu i ze strachu, Bernardo usłyszał krzyki, przekleństwa i wybuchy śmiechu. Mężczyźni wpadli do pokoju, gdzie czekała na nich Ana, gotowa zatrzymać ich, jak długo będzie trzeba, byle tylko nie znaleźli jej syna. Śmierć miała wypisaną na czole.

Piraci spieszyli się i wystarczył im jeden rzut oka, aby zdać sobie sprawę, że w tym pokoiku służącej nie ma nic cennego. Może zajrzeliby przez próg i zawrócili na pięcie, gdyby nie stała tam - z jakąś samobójczą determinacją, podparta pod boki w wyzywającej pozie - ta młoda Indianka o owalnej twarzy, rozłożystych biodrach i jędrnych piersiach, przykryta płaszczem rozpuszczonych na noc włosów. Przez rok i cztery miesiące błakali się po oceanie, nie mając okazji do rabowania ani nawet nie znajdując pociechy w postaci kobiety, na której mogliby zatrzymać oko. Przez chwilę wydawało im się, że widzą przed sobą zjawę podobną do tych, które zadreślały ich na pełnym morzu, ale nagle owionął ich słodkawy zapach Any i zapomnieli o pośpiechu. Jednym szarpnięciem zdarli z niej zgrzebną koszulę i rzucili się na nią. Ana się nie broniła. W grobowym milczeniu zносиła wszystko, co ci niegodziwcy z nią wyczyniali. Kiedy powalili ją na ziemię, jej głowa znalazła się tak blisko kosza, w którym ukrywał się Bernardo, że ten mógł policzyć, jeden po drugim, wszystkie słabe jęki matki, zagłuszane pełnym brutalności dyszeniem napastników.

Chłopiec ani drgnął sparaliżowany z przerażenia, był świadkiem całej męki matki. Leżał w koszu zwinięty w kłębek, z pustką w głowie i goryczą w ustach, szarpany mdościami. Zdawało mu się, że to się nigdy nie skończy, ale w pewnym momencie uświadomił sobie, że dokoła panuje martwa cisza, i poczuł zapach dymu. Odczekał jeszcze chwilę, ale już nie mógł wytrzymać dłużej, bo się dusił, i szeptem zawołał Anę. Nie usłyszał odpowiedzi. Zawołał jeszcze kilka razy i wreszcie ośmielił się wystawić głowę. Przez drzwi wpadały kłęby dymu, ale pożar trawiący dom tutaj nie dotarł. Zesztywniały od napięcia i bezruchu Bernardo z trudem wy dostał się z kosza i ujrzał swoją matkę. Leżała w tym samym miejscu, gdzie powalili ją na ziemię, naga, z długimi włosami rozsypanymi na podłodze niczym otwarty wachlarz i szyją przeciętą od ucha do ucha. Usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Był spokojny i milczący. Od tej chwili przez wiele lat miał się nie odezwać ani słowem.

Tak go znaleziono, niemego i poplamionego krwią matki, w kilka godzin później, kiedy piraci zdążyli już odpłynąć daleko. Mieszkańcy Los Angeles liczyli zabitych i gasili pożary i nikomu nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, co się stało w hacjendzie de la Vega, dopóki ojciec Mendoza, tknięty przeczuciem, które nie dawało mu spokoju, nie przybył tu z pół-tuzinem neofitów. Płomienie spaliły umeblowanie i polizały niektóre belki stropowe, ale dom był solidny, i kiedy misjonarz dotarł na miejsce, ogień już wygasł. W hacjendzie było wielu rannych i pięcioro zabitych, włączając w to Anę, którą znaleziono tak, jak ją porzucili jej mordercy.

- Niech nas Bóg ma w swojej opiece! - wykrzyknął na ten widok ojciec Mendoza.

Przykrył ciało Any jakąś płachtą, wziął Bernarda w swoje krzepkie ramiona i podniósł z ziemi. Chłopiec był jak skamieniały, miał nieruchomy wzrok, a skurcz twarzy zaciskał mu szczęki. „Gdzie są doña Regina i Diego?” - zapytał misjonarz, ale wydawało się, że Bernardo go nie słyszy. Zostawił go w rękach jakiejś indiańskiej służącej, która przytuliła chłopca do piersi i zaczęła kołysać jak niemowlę, szepcząc przy tym jakąś smutną litanię w swoim języku, a sam zaczął ponownie przeszukiwać dom, wołając tych, których brakowało.

W tunelu czas stanął w miejscu. Światło dnia tam nie docierało, i w egipskich ciemnościach nie sposób było stwierdzić, która jest godzina. Diego nie mógł się domyślić, co się dzieje w domu, gdyż nie dochodziły tu również żadne dźwięki z zewnątrz ani dym pożaru. Czekał, sam nie wiedząc na co. Regina nie dawała oznak życia. Siedział sztywno, żeby nie urazić matki, mimo straszliwych skurczów zdrętwiałych nóg i mimo że przy każdym oddechu czuł wbijające mu się w pierś ostre szpilety. Chwilami zmęczenie brało górę i na moment zasypiał, ale natychmiast się budził, półprzytomny z bólu. Było mu bardzo zimno i kilka razy spróbował rozruszać członki, jednak ogarniała go niemoc, której nie mógł pokonać. Zanurzał się w jakiejś gęstej mgie jak z waty i w takim półletargu przesiedział znaczną część dnia. W pewnym momencie Regina wydała przeciągły jęk i poruszyła się, a on ocknął się gwałtownie. Przekonał się, że matka żyje, i fala szczęścia zalała go od stóp do głów; pochylił się i jak oszalały zaczął okrywać jej twarz pocałunkami. Z największą ostrożnością ujął matczyną głowę, która sprawiała wrażenie, jakby była z marmuru, i ułożył ją na ziemi. Minęło dobrych kilka minut, zanim

odzyskał władzę w nogach i mógł na czworakach ruszyć na poszukiwanie świec, które z Bernardem gdzieś tu ukryli, kiedy starali się osiągnąć okahué. W uszach zabrzmiał mu głos babci pytającej go w swoim języku o pięć podstawowych cnót, lecz nie mógł sobie przypomnieć żadnej poza odwagą.

W świetle świecy Regina otworzyła oczy i pomyślała, że wraz z synem jest pochowana w jakiejś grocie. Nie miała siły zapytać Diega, co się stało, ani go okłamywać, że z nią wszystko w porządku, powiedziała tylko, żeby rozerwał jej nocną koszulę i obwiązał nią ranę w piersi. Diego zrobił to drżącymi palcami i stwierdził, że matka poniżej ramienia ma głębokie cięcie od sztyletu. Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić, i znowu zastygł w oczekiwaniu.

- Życie ze mnie uchodzi, Diego, musisz pójść po pomoc - wymamrotała Regina po chwili.

Chłopiec pomyślał, że jaskiniami może bezpiecznie dojść do plaży i stamtąd pobiec po ratunek, jednak to zabrałoby mu za dużo czasu. W przystępie determinacji uznał, że musi zaryzykować i wyrzucić przez kominek, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja w domu. Niewidoczny zza stosu polan w palenisku może niepostrzeżenie rzucić okiem na salon, nawet gdyby znajdowali się tam jacyś ludzie.

Pierwsze, co do niego dotarło, to duszący zapach spalenizny i kłęby dymu, które kazały mu się cofnąć, jednak natychmiast zrozumiał, że jest to dla niego korzystne. Bezszelestnie jak kot wysunął się zza tajnych drzwi i przykucał za polanami. Krzesła i podłoga były poczerniałe od sadzy, olejny obraz ze świętym Antonim spalił się całkowicie, ściany i belki stropowe dymiły, ale płomienie już wygasły. W domu panowała nienaturalna cisza, domyślił się zatem, że już nikogo nie ma, i śmielej ruszył przed siebie. Kaszląc i przecierając łzawiące oczy, ostrożnie przemknął wzdłuż ścian salonu i jeden po drugim przejrzał przyległe pokoje. Dom był pusty. Czyżby wszyscy zginęli? A może zdołali uciec? W zdemolowanej sieni zobaczył na podłodze plamy krwi, jednak nie było ciał mężczyzn, którzy na jego oczach padli tam o świcie. Pomyślał, że to jakiś straszliwy koszmar, z którego obudzi go pieśzcotliwy głos Any wzywającej go na śniadanie. Dalej przeszukiwał dom, kierując się w stronę pomieszczeń dla służby, dusząc się w szarych kłębach dymu buchającego mu w twarz, ilekroć otwierał jakieś drzwi albo skręcał za załomek muru. Pomyślał o matce, która umierała pozostawiona bez pomocy, i zapominając o wszelkiej ostrożności, prawie na oślep rzucił się biegiem przez niekończące się korytarze hacjendy, aż nagle zderzył się z jakimś twardym ciałem i poczuł, że obejmują go czyjeś potężne ramiona. Krzyknął ze strachu i z bólu z powodu połamanych żeber, opadła go nowa fala mdłości i omal nie zemdał. „Diego! Chwała Bogu!”, słyszał tubalny głos ojca Mendozy, poczuł zapach jego starej sutanny, a na czole dotyk nieogolonych policzków i dopiero wtedy rozplakał się bezradnie i zaczął wymiotować.

Tych, którzy przeżyli, ojciec Mendoza odesłał do misji San Gabriel. Jedynym wytłumaczeniem, jakie znajdował dla nieobecności Reginy i jej syna, było to, że zostali porwani przez piratów, chociaż w tych stronach nikt nigdy nie słyszał o podobnym przypadku. Wiedział, że na innych morzach chwytano zakładników dla okupu albo żeby ich sprzedać jako niewolników, jednak na tym odległym wybrzeżu Ameryki nic takiego się nie zdarzało. Nie miał pojęcia, jak przekazać tę wiadomość Alejandrowi de la Vedze. Mając do pomocy dwóch franciszkanów mieszkających w misji, zrobił co tylko możliwe, żeby opatrzyć rannych i pocieszyć pozostałe ofiary napaści. Nazajutrz miał się udać do Los Angeles, gdzie czekało go trudne zadanie pochowania zabitych i sporządzenia wykazu zniszczeń. Był kompletnie wyczerpany, ale nie pojechał wraz z innymi do misji, bo dręczony niepokojem postanowił jeszcze raz przeszukać dom. Właśnie wtedy wpadł na niego Diego.

Ojciec Mendoza owinał Reginę w derki, ułożył na swoim rozpadającym się wozie i zawiózł do misji. Nie było czasu, żeby wezwać Białą Sowę, gdyż z głębokiej rany nadal tryskała krew i Regina ginęła w oczach. Przy świetle kilku lampek oliwnych misjonarze najpierw napoili ją rumem, a potem obmyli ranę i obcęgi używanymi do skręcania drutu wyciągnęli koniuszek pirackiego sztyletu, który utkwiał w jej obojczyku. Gdy przypalali ranę rozgrzanym do czerwoności żelazem, Regina gryzła kawałek drewna, tak jak podczas porodu. Diego zasłaniał uszy, żeby nie słyszeć jej stłumionych jęków, przybity poczuciem winy i wstydu, że podczas szczeniackiej zabawy zmarnował usypiający eliksir, który mógłby zaoszczędzić matce tej tortury. Jej ból był dla niego straszliwą karą za kradzież cudownego lekarstwa.

Kiedy zdjęto Diegowi koszulę, okazało się, że ma na ciele siniaka od szyi aż po pachwinę. Ojciec Mendoza domyślił się, że chłopiec musi mieć wgniecionych kilka żeber, i sam uszył mu gorset z krowiej skóry wzmocniony kawałkami sztywnej liany. Chłopiec nie mógł się schylać ani podnosić rąk do góry, jednak dzięki gorsetowi po kilku tygodniach znowu był w stanie swobodnie oddychać. Natomiast Bernardo nie wyleczył się ze swych urazów, gdyż były znacznie dotkliwsze niż te Diega. Przez wiele dni trwał w stanie odrętwienia, w jakim znalazł go ojciec Mendoza; patrzył tępo przed

siebie nieruchomym wzrokiem i zaciskał zęby tak mocno, że aby nakarmić go kaszką kukurydzianą, trzeba się było uciec do pomocy lejka. Wziął udział w zbiorowym pogrzebie ofiar piratów i, nie uroniwszy jednej łzy, patrzył, jak do dołu spuszczają trumnę z ciałem jego matki. Zanim inni zauważyli wreszcie, że od tygodni nie odezwał się ani słowem, Diego, który dzień i noc nie odstępował go ani na chwilę, zdążył się już pogodzić z faktem, że Bernardo być może nie przemówi już nigdy. Indianie orzekli, że połknął język. Ojciec Mendoza wypędzł mu gardło boraksem, kazał mu je płukać mszalnym winem z miodem, zrobił gorące okłady na szyję i dał do zjedzenia mielone chrząszcze. Jako że żaden z owych wymyślonych naprędce środków na niemotę nie dał efektu, sięgnął po ostateczny: postanowił odprawić nad chłopcem egzorcyzmy. Nigdy nie zdarzyło mu się wypędzać demonów i obawiał się, że nie podoła tak trudnemu zadaniu - chociaż sama metoda była mu znana - jednak w okolicach nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Żeby znaleźć egzorcystę działającego z upoważnienia inkwizycji, trzeba by pojechać do Meksyku i, prawdę mówiąc, misjonarz uznał, że nie warto. Przestudiował dogłębnie odpowiednie teksty, w ramach przygotowań pościł przez dwa dni, po czym zamknął się z Bernardem w kościele, żeby sam na sam zmierzyć się z szatanem. Nic to nie dało. Uznawszy się za pokonanego, ojciec Mendoza doszedł do wniosku, że to biedne dziecko zgłupiało od doznanego wstrząsu i przestał się nim zajmować. Karmienie go przez lejka zlecił jednej z neofitek i powrócił do swoich spraw. Miał na głowie obowiązki w misji, musiał udzielać duchowego wsparcia mieszkańcom Los Angeles i pomóc im podnieść się po ostatniej tragedii oraz sporządzić szczegółową inwentaryzację zniszczeń, czego wymagali jego przełożeni z Meksyku; ta biurowa praca w jego posłudze duszpasterskiej zawsze była dla niego najbardziej uciążliwa. Ludzie zdążyli już położyć krzyżyk na Bernardzie, uznawszy go za idiotę, dla którego nie ma ratunku, kiedy do misji przybyła Biała Sowa i zabrała go do swojej wioski. Misjonarz oddał jej chłopca, gdyż nie wiedział, co z nim począć, chociaż nie spodziewał się, że magia Indianki zdoła dokonać tego, co nie udało się jemu nawet za pomocą egzorcyzmów, czyli uleczyć chłopca. Diego dałby wszystko, żeby pojechać ze swoim mlecznym bratem, ale nie miał serca zostawiać matki, która wprawdzie powoli wracała do zdrowia, lecz jeszcze nie wstawała z łóżka, a ponadto ojciec Mendoza nie pozwolił mu w gorsecie jeździć konno. Pierwszy raz, odkąd przyszli na świat, chłopcy się rozstali.

Biała Sowa sprawdziła, że Bernardo nie połknął języka - nadal miał go w ustach w nienaruszonym stanie - i orzekła, że jego niemota to forma żałoby: chłopiec nie mówi, bo nie chce. Domyśliła się, że pod bezgłośnym gniewem, który zżerał chłopca, kryje się niezgłębiony ocean smutku. Nie próbowała go pocieszać ani leczyć, gdyż jej zdaniem Bernardo miał wszelkie prawo milczeć, ale nauczyła go porozumiewać się z duchem matki poprzez obserwowanie gwiazd, z bliźnimi zaś - za pomocą języka znaków, w jakim Indianie różnych plemion prowadzili ze sobą pertraktacje handlowe. Nauczyła go również grać na cienkim flecie z trzciny. Z czasem, nabrawszy praktyki, chłopiec był w stanie wydobywać z tego prostego instrumentu niemal tyle samo dźwięków, ile wydawał ludzkim głosem. Kiedy wreszcie zostawiono go w spokoju, Bernardo ocknął się z odrętwienia. Pierwszym tego objawem był wilczy apetyt, już nie trzeba go było karmić przy użyciu brutalnych metod, drugim zaś - nieśmiała przyjaźń, jaką nawiązał z Nocną Błyskawicą. Dziewczynka była o dwa lata starsza od niego, a imię zawdzięczała temu, że urodziła się w nocy podczas burzy. Jak na swój wiek była drobna, jej miła twarz kojarzyła się z wiewióreczką. Traktowała Bernarda w sposób naturalny, nie przejmując się tym, że nie mówi, i stała się jego nieodłączną towarzyszką, nieświadomie zastępując Diega. Rozstawali się tylko na noc, kiedy on szedł spać do szałasów Białej Sowy, a ona do chaty swej rodziny. Nocna Błyskawica chodziła z nim nad rzekę, tam rozbięła się do naga i skakała na głowę do wody, on zaś nie wiedział, gdzie podziąć oczy, gdyż poświęcone pokusom ciała nauki ojca Mendozy, których wystuchiwał przez dziesięć lat, zdołały odnieść skutek. Bernardo kąpał się w spodniach. Kiedy płynął za nią i patrzył, jak nurkuje niczym ryba w tej lodowatej wodzie, dziwił się, że jest tak samo wytrzymała jak on.

Nocna Błyskawica znała na pamięć mityczną historię swego ludu, mogła mu ją bez końca opowiadać i wcale jej to nie męczyło, tak jak on mógł bez końca jej słuchać. Głos dziewczynki był dla Bernarda niczym balsam, słuchał go jak urzeczony, nie zdając sobie sprawy, że miłość do niej zaczyna roztopiać lód skuwający jego serce. Znowu zaczął zachowywać się jak każdy chłopiec w jego wieku, chociaż nie mówił i nie płakał. Spędzali dużo czasu z Białą Sową, pomagając jej w zajęciach znachorki i szamanki, w zbieraniu leczniczych ziół i przygotowywaniu magicznych wywarów. Kiedy Bernardo znowu zaczął się uśmiechać, babka uznała, że już nic więcej dla niego zrobić nie może i że przyszła pora, aby wrócił do hacjendy de la Vega. Musiała zająć się rytuałami i obrzędami, jakimi miano uczcić pierwszą miesiączkę Nocnej Błyskawicy, która niespodziewanie weszła w okres pokwitania. Ta nagła przemiana, fakt iż z dnia na dzień stała się kobietą, nie oddaliła młodych od siebie, przeciwnie, zdawało się, że jeszcze bardziej ich zbliżyła. Na pożegnanie dziewczynka zaprowadziła Bernarda nad rzekę i swoją miesięczną krwią namalowała na skale dwa ptaki w locie.

„To my, zawsze będziemy latać razem” - powiedziała. Kierowany impulsem Bernardo pocałował ją i puścił się biegiem, czując, jak całe jego ciało ogarnia płomień.

Diego, który czekał na Bernarda smutny jak bezpański pies, zobaczył go z daleka i wybiegł mu na spotkanie, krzycząc z radości, jednak kiedy z bliska spojrzął na jego twarz, pojął, że jego mleczny brat jest już kimś innym. Przybywał na pożyczonym koniu z węzełkiem na ramieniu, wyższy i jeszcze bardziej zamknięty w sobie, miał długie włosy i wyraz dorosłości na twarzy, a błysk w jego oczach nieomylnie świadczył o tym, że jest w kimś skrycie zakochany. Diego przystanął niepewnie, ale wtedy Bernardo zsiadł z konia, bez wysiłku podniósł go do góry i uściskał, znowu byli tymi samymi nierozłącznymi bliźniakami co przedtem. Diego poczuł, że odzyskał drugą połowę duszy. Wcale mu nie przeszkadzało, że Bernardo nie mówi, bo zawsze rozumieli się bez słów.

Bernardo był zaskoczony, że w ciągu paru miesięcy całkowicie odbudowano dom po pożarze. Alejandro de la Vega postawił sobie za cel, iż zatrze wszelkie ślady zniszczeń po napadzie piratów i że rezydencja będzie piękniejsza i wygodniejsza niż przedtem. Kiedy wrócił z Meksyku z ładunkiem zbytkownych sprzętów jako niespodzianką dla żony - a było to sześć tygodni po napadzie - nawet pies z kulawą nogą nie wybiegł go obszczać; dom był opuszczony, jego wyposażenie obrócone w popiół, a rodzina gdzieś przepadła. Jediną osobą, która wyszła mu na spotkanie, był ojciec Mendoza, który opowiedział, co się stało, i zawiózł go do misji, gdzie Regina, jeszcze w bandażach i z ręką na temblaku, stawiała pierwsze kroki rekonwalescentki. Te tragiczne wydarzenia, kiedy niemalże przekroczyła próg śmierci, całkiem ją odmieniły. Wyjeżdżając, Alejandro zostawił w domu żonę dziewczęcą młodą, a teraz, po tak krótkim czasie, zobaczył kobietę już dojrzałą, której włosy - choć miała zaledwie trzydzieści pięć lat - przetykane były siwizną. Regina nie wykazywała najmniejszego zainteresowania dla tureckich dywanów ani sztucców z czystego srebra, których dla niej nakupował.

Wiadomości były złe, ale - jak powiadał ojciec Mendoza - mogło być znacznie gorzej. De la Vega postanowił oddzielić przeszłość grubą kreską, jako że nie było sposobu, by ukarać owych rzezimieszków, którzy zapewne byli już na pełnym morzu w połowie drogi do Chin, i zabrał się do odbudowy hacjendy. Widział, jak żyją członkowie możnych rodów w Meksyku, i postanowił ich naśladować, nie dla zaspokojenia własnej próżności, lecz po to, aby Diego odziedziczył godną siedzibę i zapełnił ją wnukami, jak twierdził, tłumacząc się ze swej rozrzutności. Zamówił materiały budowlane i z Dolnej Kalifornii kazał sprowadzić rzemieślników: kowali, ceramików, rzeźbiarzy, malarzy. W krótkim czasie dobudowano jeszcze jedno piętro, pojawiły się łuki w korytarzach, podłogi z kafelków, balkon w jadalni, altana na dziedzińcu dla muzyków, małe mauretańskie fontanny, kraty z kutego żelaza, drzwi z rzeźbionego drewna i okna z kolorowego szkła. W ogrodzie postawił Alejandro posagi, kamienne ławy, klatki z ptakami, dzbany z kwiatami i zwieńczoną rzeźbą Neptuna i trzech syren marmurową fontannę, którą indiańscy rzemieślnicy skopiowali z jakiegoś włoskiego obrazu. Przed powrotem Bernarda na hacjendę położono już czerwone dachy i drugi raz pociągnięto mury farbą w kolorze brzoskwini, a kiedy przyjechał, właśnie otwierano pakunki z meblami przywiezionymi z Meksyku. „Jak tylko Regina wyzdrowieje, urządzimy uroczyste otwarcie rezydencji, które miasto będzie wspominać jeszcze za sto lat” - zapowiedział Alejandro de la Vega, jednak ten dzień nie przyszedł tak prędko, gdyż jego żona wymyślała coraz to nowe wymówki, żeby przełożyć przyjęcie na później.

Bernardo nauczył Diega indiańskiego języka znaków, który wzbogacili gestami własnego pomysłu i za jego pomocą się porozumiewali, kiedy zawodziła ich telepatia albo dźwięki fletu. Czasami, kiedy chodziło o sprawy bardziej skomplikowane, uciekali się do rysika i tabliczki, jednak musieli robić to po kryjomu, aby nie wzięto tego Bernardowi za chęć wywyższania się nad innych. Posiłkując się dyscypliną o siedmiu rzemieniach, nauczyciel zdołał wbić do głowy alfabet kilku uprzywilejowanym chłopcom z miasta, jednak między tym a płynnym czytaniem była cała przepaść, a ponadto do szkoły nie przyjmowano Indian. Mimo iż wcale się o to nie starał, Diego został w końcu dobrym uczniem i dopiero wtedy pojął ojcowski kult nauki. Zaczął czytać wszystko, co mu wpadło w ręce. Traktat o fechtunku i kodeks pojedynkowy mistrza Manuela Escalante wydał mu się dziełem wyrażającym idee wyraźnie bliskie indiańskiemu okahué; tu także była mowa o honorze, sprawiedliwości, szacunku, godności i odwadze. Czytając go, zrozumiał, że fechtunek to nie tylko biegłość we władaniu florem, szpadą i szablą, ale także doskonalenie ducha, że lekcje szermierki z ojcem i naśladowanie ruchów pokazanych na ilustracjach to za mało. W tamtym czasie kapitan Jose Diaz podarował Alejandrowi de la Vega skrzynię książek, którą, zabitą gwoździami, zostawił jakiś pasażer opuszczający statek u wybrzeży Ekwadoru. Kiedy ją otwarto, ujawniła swoją cudowną zawartość: poematy epickie i powieści, poźółkłe tomy pachnące miodem i woskiem, które często przechodziły z rąk do rąk. Diego pochłaniał je łapczywie, mimo iż jego ojciec gardził powieściami, uważając je za utwory niższego gatunku, w

których aż roi się od bezsensów i zasadniczych błędów, i opisujące czyjeś dramaty osobiste, jakie jego bynajmniej nie wzruszały. Diego i Bernardo nie mogli się od owych książek oderwać, przeczytali je tyle razy, że w końcu nauczyli się ich na pamięć. Świat, w którym żyli, skurczył się i zaczęli marzyć o krajach i przygodach, które czekały ich za horyzontem.

W wieku trzynastu lat Diego był jeszcze dzieckiem, ale Bernardo, jako że chłopcy jego rasy dojrzewają szybciej, był już właściwie mężczyzną i osiągnął wzrost, jaki miał mieć jako dorosły. Kamienne rysy jego miedzianej twarzy łagodniały tylko w chwilach, kiedy psocił z Diegiem, tulił się do koni oraz ilekroć się wymykał, żeby odwiedzić Nocną Błyskawicę. Dziewczynka niewiele w tym czasie urosła, była nadal niska i szczupła, za to wypiękniała. Jej uroda i wesołość uczyniły ją sławną na całą okolicę, a kiedy skończyła piętnaście lat, zaczęli się o nią starać najlepsi wojownicy z różnych plemion. Bernardo przeżywał męki w obawie, że któregoś dnia już jej w wiosce nie zastanie, gdyż odjedzie z innym. Jego chłopięcy wygląd mógł mylić, gdyż Bernardo nie był zbyt wysoki ani umięśniony, za to silny jak byk i nad podziw wytrzymały przy pracach fizycznych. Jego niemota również była myląca, i to podwójnie, bo sprawiała, że uchodził za głupka, i nadawała mu wygląd kogoś wiecznie smutnego. W rzeczywistości wcale taki nie był, ale osoby, które dopuścił do zażyłości i które miały okazję dobrze go poznać, można było policzyć na palcach jednej ręki. Stale chodził ubrany w zgrzebne spodnie i koszulę z płótna, jakie nosili neofici, z tkanym pasem na biodrach, a w zimie narzucał na nie jeszcze wielobarwne sarape. Cienki rzemyczek biegnący przez czoło przytrzymywał mu z tyłu jego zaplecione w warkocze gęste włosy, sięgające do połowy pleców. Bernardo był dumny z tego, że jest Indianinem.

Diego mimo spalonej słońcem cery sprawiał wrażenie paniczyka. Po matce miał kolor oczu i buntowniczą naturę, po ojcu długie kości, regularne, szlachetne rysy twarzy, wrodzoną elegancję i żądzę poznawania świata. Po obojgu odziedziczył porywczą naturę, która czasami graniczyła ze ślepą furją, jednak Bóg raczy wiedzieć, po kim miał ów rozbrajający wdzięk, jakim żaden z jego przodków, ludzi raczej mrukliwych, bynajmniej się nie odznaczał. W przeciwieństwie do Bernarda, od którego bił niezwykle spokój, Diego nie potrafił długo usiedzieć w jednym miejscu i naraz przychodziło mu do głowy tyle pomysłów, że nie starczyłoby mu życia, żeby je wszystkie wprowadzić w czyn. W tym wieku wygrywał już z ojcem pojedynki na szpady, nie było też lepszego od niego w strzelaniu z bata. Bernardo zrobił mu bicz z plecionej byczej skóry, który Diego zawsze nosił zwinięty u pasa. Nie tracił żadnej okazji, żeby trenować. Końcem bata ścinał kwiat, nie poruszając jego płatków, i gasił świecę; potrafiłby także wyrwać ojcu cygaro z ust, nie dotykając jego twarzy, jednak na takie zuchwalstwo nigdy by się nie zdobył. Jego stosunek do ojca cechował bojaźliwy szacunek, zwracał się do niego per „wasza miłość” i nigdy otwarcie nie podważał jego autorytetu, chociaż za plecami często postępował wbrew jego woli; robił to raczej dla zabawy, niż żeby mu się sprzeciwić, albowiem miał dla niego ślepy podziw. Przyswoił też sobie jego surowe nauki dotyczące honoru. Szczycił się tym, że jest potomkiem walecznego Cyda, prawdziwego hidalga, jednak nigdy nie wypierał się indiańskiej części swojej osoby, gdyż dumą napawała go bohaterska przeszłość matki. Podczas gdy Alejandro de la Vega, świadom swojej przynależności do wyższej klasy społecznej i swej szlachetnej krwi, starał się ukrywać metyskie pochodzenie syna, ten manifestacyjnie je podkreślał. Wobec matki Diego był czuły i serdeczny i nie potrafił jej oszukiwać, jak to mu się od czasu do czasu zdarzało, jeśli chodzi o ojca. Regina miała jakieś trzecie oko, którym widziała to co niewidoczne, a dzięki swojej stanowczości umiała zapewnić sobie posłuch.

Sprawowany przez Alejandra de la Vegę urząd alkada wymagał częstych wyjazdów do Monterrey, stolicy gubernatorstwa. Regina od czasu do czasu wykorzystywała tę jego nieobecność i zawoziła Diega i Bernarda do wioski Białej Sowy; jednak o tym, jak i o wielu innych rzeczach, nie mówiła mężowi, chcąc uniknąć problemów. Z latami różnice zdań między nimi jeszcze się nasiliły, już nie wystarczały im nocne uściski, aby się pojednać. Tylko wspomnienie dawnej miłości pomagało im jeszcze trwać przy sobie, mimo że żyli w dwóch różnych światach i już niewiele mieli sobie do powiedzenia. W pierwszych latach małżeństwa Alejandro w swoich miłosnych zapędach bywał tak gorący, że nieraz, ujechawszy już połowę drogi, zawracał i galopował wiele mil tylko po to, aby spędzić z żoną bodaj jeszcze kilka godzin. Bez końca mógł podziwiać jej istic królewską urodę, która radowała jego serce i podsyciała pożądanie. Jednak zawsze wstydził się, że jest Metyską. Unosząc się dumą, udawał, że nie widzi, iż wyrachowana socjeta Los Angeles jego żonę odrzuca, jednak z czasem zaczął ją obwiniać o te zniewagi: nie robiła nic, aby wybaczonej mieszanej krwi, była szorstka w obejściu i niepokorna. Początkowo Regina usiłowała dostosować się do męża, przyzwyczać się do jego języka pełnego chropowatych spółgłosek, jego niewzruszonych przekonań, niepojętej religii, grubych murów domu, uciskającej odzieży i trzewików ze skóry koźlęcia, jednak było to zadanie herkulesowe i w końcu dała za wygraną. Z miłości próbowała nawet wyprzeć się swojego pochodzenia i stać Hiszpanką, jednak jej się to nie udało, gdyż nadal śniła we własnym języku. Nic więc dziwnego, że słowem nie wspomniała Alejandrowi o planowanym przez nią, i tym razem dłuższym, wyjeździe chłopców do indiańskiej wioski. Regina nie wyjawiała Diegowi i Bernardowi celu wyprawy, jednak oni

domyślili się, że chodzi o coś szczególnego i tajemniczego, o czym nie będą mogli nikomu powiedzieć, a już zwłaszcza Alejandrowi de la Vedze.

Plemię musiało przenieść się bliżej gór, wypierane przez białych, którzy zagarniali kolejne tereny. Osadników wciąż przybywało i stawali się coraz bardziej nienasyceń. Ogromny dziewiczy teren Górnej Kalifornii zaczynał robić się za mały dla tak licznych stad bydła i ich zachłannych właścicieli. Przedtem wzgórze porastały trawy wiecznie zielone i wybujałe na wysokość człowieka, wszędzie płynęły bystre strumienie i rzeczki, i pełno było kwiatów, ale krowy osadników zdeptały ziemię i pastwiska wyschły. Podczas swoich szamańskich podróży w podświadomość Biała Sowa ujrziała przyszłość, wiedziała, że nie da się powstrzymać najeźdźców i że wkrótce jej wioska ma zniknąć. Poradziła członkom plemienia, aby poszukali sobie innych pastwisk, daleko od białych, i sama nadzorowała przeniesienie wioski o wiele mil dalej. Teraz czekała na chłopców w połowie drogi. Dla Diega i Bernarda przygotowała rytuał bardziej wymyślny niż próby odwagi, którym byli poddawani mali Indianie. Nie chciała, aby ich zawieszano na drzewie na hakach zaczepionych o skórę na klatce piersiowej, gdyż byli na to jeszcze za młodzi, a ponadto nie widziała takiej potrzeby. Postanowiła skontaktować ich z Wielkim Duchem, który odkryje przed nimi ich przeznaczenie. Regina jak zwykle pożegnała się powściągliwie, mówiąc, że wróci za szesnaście dni, kiedy przejdą cztery etapy obrzędu inicjacji.

Biała Sowa zarzuciła na ramię swoją sakwę szamanki, w której niosła instrumenty muzyczne, fajki, zioła lecznicze i magiczne relikwie, i długimi krokami wędrowca ruszyła w stronę dziewiczych wzgórz. Chłopcy, których jedynym bagażem były wełniane derki, szli za nią, o nic nie pytając. W pierwszym etapie podróży cztery dni przedzierali się przez gąszcze, za pożywienie mając jedynie kilka łyków wody dziennie, aż w końcu głód i zmęczenie sprawiły, że ich umysły osiągnęły nienaturalny stan jasności. Przyroda odkryła się przed nimi w całej swej tajemniczej chwale, pierwszy raz zdali sobie sprawę z niezwykłego bogactwa lasu, usłyszeli koncert wiatru, poczuli obecność dzikich zwierząt, które niekiedy podchodziły do nich i towarzyszyły im przez dłuższy czas. Początkowo cierpieli od zadrapań i skaleczeń, od nadludzkiego wysiłku bolały ich kości, męczyła ich bezdenna pustka w żołądku, jednak czwartego dnia szło się im tak lekko, jakby unosili się w powietrzu. Wtedy babcia uznała, że są gotowi do drugiego etapu obrzędu i kazała im wykopać okrągły dół głębokości połowy ich ciała i szerokości całego. Podczas gdy ona w załomku skał rozpałała ognisko, chłopcy ścięli cienkie gałęzie drzew, odkorowali je i zmontowali z nich coś w rodzaju kopuły, którą ustawili nad dołem i przykryli derkami. W owej okrągłej jamie, będącej symbolem Matki Ziemi, mieli się oczyścić, po czym, prowadzeni przez duchy, odbyć podróż w poszukiwaniu wizji. Biała Sowa podsycała Święty Ogień wyobrażający siłę sprawczą życia. Wszyscy troje napili się wody, zjedli garść orzechów i suszonych owoców, po czym babcia poleciła chłopcom rozebrać się do naga i przy dźwiękach bębenka i grzechotki musieli tańczyć tak długo, aż padli wyczerpani; trwało to wiele godzin. Następnie zaprowadziła ich do jamy, gdzie wcześniej umieścili rozgrzane w ognisku kamienie, i dała im do picia nieprzyjemny w smaku napój toloache. Chłopcy zanurzyli się w parze unoszącej się znad zroszonych wodą kamieni, w dymie z fajek i oparach magicznych ziół i pogrążyli w narkotycznych wizjach. W ciągu następnych czterech dni od czasu do czasu wychodzili, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, dorzucić do Świętego Ognia, rozgrzać w ognisku kamienie i zjeść kilka ziaren zbóż. Chwilami, spoceni jak myszy, zapadali w sen. Diegowi śniło się, że w lodowatej wodzie pływa z delfinami, Bernardowi zaś, że słyszy zaraźliwy śmiech Nocnej Błyskawicy. Babcia odmawiała modlitwy i nuciła pieśni, oni jej wtórowali, gdy tymczasem na zewnątrz krążyły duchy wszech czasów. Za dnia podchodziły do nich jelenie, zające, pумы i niedźwiedzie, nocami słyszeli wycie wilków i kojotów. Jakiś orzeł szybował w powietrzu, nadzorując ich niezmordowanie, dopóki nie byli gotowi na trzecią część rytuału, a wtedy zniknął.

Babcia wręczyła każdemu z nich nóż, kazała im zabrać derki i wysłała ich w drogę w przeciwnych kierunkach, jednego na wschód, a drugiego na zachód, z poleceniem, aby żywili się tylko tym, co uda im się upolować albo znaleźć, z wyjątkiem jakichkolwiek grzybów. Wrócić mieli za cztery dni. Jeśli taka będzie wola Wielkiego Ducha, powiedziała, podczas tej wędrówki dostąpią objawienia, a jeśli się nie uda, spróbują ponownie, ale do tego czasu będą musiały upłynąć kolejne cztery dni. Przez następne cztery dni będą odpoczywać, aby wrócić do normalnego życia, a potem ruszą do wioski. W pierwszych dwóch etapach rytuału Diego i Bernardo tak zmizernieli, że kiedy spojrzeli na siebie w jasnym świetle poranka, nie poznali się. Byli odwodnieni, mieli zapadnięte i podkrążone oczy, płonące, obłąkane spojrzenie i popielatą skórę. Przedstawiali sobą tak opłakany widok, że mimo powagi chwili, wybuchnęli śmiechem. Objęli się wzruszeni i każdy z nich ruszył w swoją stronę.

Szli bez celu, nie wiedząc, czego szukają, głodni i wystraszeni, żywiąc się korzonkami i nasionami, dopóki głód nie zmusił ich do zapolowania na myszy i ptaki przy użyciu łuku i strzał wykonanych z patyków. Kiedy mrok nie pozwalał im posuwać się naprzód, rozpalali ognisko i kładli się spać,

dygocząc z zimna, otoczeni przez duchy i leśne zwierzęta. Budzili się zeszywniali, pokryci szronem, obolali aż do ostatniej kości, za to z ową zdumiewającą bystrością umysłu, jaką zwykle osiąga się w chwilach największego zmęczenia.

Po kilku godzinach marszu Bernardo zdał sobie sprawę, że nie jest sam, jednak kiedy się odwracał, za plecami nie widział nic oprócz drzew, które przyglądały się mu niczym zastygłe w bezruchu olbrzymy. Wokół siebie miał las, paprocie o błyszczących liściach, powykęcane dęby i pachnące jodły, spokojną zieloną gęstwinę rozjaśnianą plamami światła przenikającego przez liście. Był w miejscu świętym. Musiała upłynąć znaczna część dnia, aby jego nieśmiały towarzysz się ujawnił. Był to osierocony źrebak, tak młody, że jeszcze chwiał się na nogach, czarny jak noc. Pomimo kruchości noworodka i bezmiernej sierocej samotności można było dopatrzeć się w nim cech wspaniałego rumaka, na jakiego miał wyrosnąć. Bernardo zrozumiał, że to magiczne zwierzę. Konie chodzą stadami i nigdy nie opuszczają prerii, cóż zatem ten źrebak robił sam w lesie? Przywołał go najpiękniejszymi dźwiękami fletu, ale zwierzę zatrzymało się w pewnej odległości, patrząc nieufnie, z rozszerzonymi nozdrzami i drżącymi nogami, i nie miało odwagi się zbliżyć. Chłopiec podniósł garść wilgotnej trawy i usiadłszy na kamieniu, włożył ją do ust i zaczął żuć, po czym tak przygotowany pokarm podał zwierzęciu na dłoni. Minęła dobra chwila, zanim źrebię zdecydowało się zrobić kilka niepewnych kroków. W końcu wyciągnęło szyję, podeszło i zaczęło obwąchiwać trawę, przyglądając się chłopcu czystym spojrzeniem kasztanowych oczu, oceniając jego zamiary, w razie konieczności gotowe do ucieczki. Musiało mu się spodobać to, co zobaczyło, gdyż aksamitny pyszczek dotknął wyciągniętej ręki, żeby spróbować dziwnego pożywienia. „To nie to samo co mleko twojej mamy, ale też się nadaje” - wyszeptał Bernardo. Były to pierwsze słowa, jakie wymówił od trzech lat. Czuł, jak każde z nich formuje mu się w brzuchu i niczym bawełniana kula sunie do gardła, obraca się kilkakrotnie w ustach, a następnie wysuwa zza zębów przeżute niczym trawa dla źrebięcia. Coś pękło mu w piersi, jakiś ciężki gliniany dzban, i cały jego gniew, poczucie winy i przysięga straszliwej zemsty popłynęły niewstrzymanym strumieniem. Upadł na kolana z płaczem, wymiotując czymś zielonym i gorzkim, wstrząsany prześladowającym go wspomnieniem owego fatalnego poranka, kiedy to stracił matkę, wraz z którą odeszło jego dzieciństwo. Targany torsjami żołądek wyrzucił mu się na nice; teraz był pusty i czysty. Źrebak cofnął się przestraszony, ale nie odszedł, i kiedy Bernardo w końcu się uspokoił, wstał i obmył się w kałuży, ruszył za nim. Od tej chwili przez następne trzy dni już się nie rozstawali. Bernardo nauczył go grzebać kopytami w ziemi, żeby znaleźć najdelikatniejszą trawę, podtrzymywał, dopóki źrebak nie stanął mocno na nogach i nie zaczął truchtać, nocami tulił go do siebie, żeby mu było ciepło, zabawiał grą na flecie. „Jeśli chcesz, nazwę cię Tornado, żebyś był szybki jak wiatr” - zaproponował mu melodią fletu, wypowiedziawszy bowiem owo jedyne zdanie, na powrót zamknął się w milczeniu. Pomyślał, że go oswoi i podaruje Diegowi, gdyż nie przyszło mu do głowy lepsze przeznaczenie dla tak szlachetnego stworzenia, jednak kiedy obudził się czwartego dnia, źrebaka przy nim nie było. Mgła podniosła się i słońce lizało wzgórze białym światłem poranka. Bernardo na próżno szukał Tornada, wzywając go głosem ochryplym, bo przestał go używać, aż w końcu pojął, że zwierzę przyszło do niego nie po to, żeby mieć pana, tylko żeby mu pokazać drogę, jaką powinien obrać w życiu. Wtedy zrozumiał, że jego duchowym przewodnikiem jest koń i że powinien kształtować w sobie jego cnoty: lojalność, siłę i wytrwałość. Postanowił, że jego planetą będzie słońce, a żywiołem wzgórze, po których w tej chwili Tornado na pewno biegnie truchtem, chcąc dołączyć do swego stada.

Diego nie miał takiego zmysłu orientacji jak Bernardo, toteż szybko się zgubił pośród rozległych wzgórz, nie był również takim dobrym myśliwym, udało mu się upolować tylko maleńką myszkę, która po odarciu ze skóry skurczyła się do garstki smętnych kosteczek. W końcu zaczął jeść mrówki, robaki i jaszczurki. Był wyczerpany z głodu i bardzo zmęczony po próbach, jakim był poddawany w ciągu poprzednich ośmiu dni, i nie miał już sił, żeby przewidywać niebezpieczeństwa, jakie jeszcze go czekały, jednak nie uległ pokusie, żeby zawrócić. Biała Sowa wyjaśniła mu bowiem, że w ten sposób ma pożegnać dzieciństwo i stać się mężczyzną; nie chciał zawieść babci i wycofać się w połowie drogi, jednak łzy cisnęły mu się do oczu. Dotąd nie wiedział, co to samotność. Dorastał razem z Bernardem, w otoczeniu przyjaciół i ludzi, którzy traktowali go z szacunkiem, zawsze też była przy nim matka. A teraz był sam jak palec. I musiało go to spotkać właśnie tutaj, w tej dzikiej głuszy. Bał się, że nie znajdzie drogi powrotnej do maleńkiego obozowiska Białej Sowy, przyszło mu nawet do głowy, żeby te cztery dni przesiedzieć pod drzewem, jednak jego wrodzona niecierpliwość spowodowała, że ruszył przed siebie. Natknął się na strumień spływający ze zbocza i wykorzystał okazję, żeby ugasić pragnienie i wykapać się, a potem zerwał z drzewa kilka nieznanych mu owoców i zjadł je. Trzy kruki, ptaki czczone przez plemię jego matki, przeleciały mu wiele razy tuż nad głową, co uznał za dobrą wróżbę i to dodało mu odwagi, żeby iść dalej. Gdy zapadła noc, poszukał jakiejś jamy wśród skał, rozpalił ogień, owinął się derką i natychmiast zasnął, zdążywszy się jeszcze pomodlić, aby nie opuściła go dobra gwiazda, która zdaniem Bernarda zawsze mu przyświecała. Bo jaki sens byłby w

tym, gdyby teraz, kiedy już zaszedł tak daleko, rozszarpała go puma? W środku nocy obudziły go mdłości, wywołane zjedzonymi owocami, i dobiegające z bliska wycie kojotów. Ponieważ z ogniska pozostał tylko ledwie tłący się żar, podsycał go, dokładając kilka patyków, ale miał świadomość, że ów śmieszny ogienek nie wystarczy, żeby dzikie zwierzęta trzymały się od niego z daleka. Przypomniał sobie, że w poprzednich dniach widział, jak krążą dokoła, nie atakując, i zaczął się modlić, aby nie zrobiły tego teraz, kiedy jest sam. W tym momencie w świetle ogniska wyraźnie zobaczył jakieś czerwone oczy, które uporczywie się w niego wpatrywały. Ścisnął w rękę nóż, sądząc, że skrada się ku niemu jakiś zuchwały wilk, jednak kiedy przyjrzał się zwierzęciu lepiej, stwierdził, że to lis. Wydało mu się dziwne, że się nie rusza, zachowywał się jak kot wygrzewający się w ciepłe ogniska. Zawołał do niego, ale zwierzę nie podeszło, a kiedy sam zrobił krok w jego kierunku, cofnęło się ostrożnie, tak aby nadal dzieliła ich taka sama odległość. Diego przez jakiś czas dorzucał do ognia, ale zmęczenie go zmogło i znowu zasnął, mimo ciągłego wycia kojotów dobiegającego gdzieś z oddali. Od czasu do czasu budził się, nie wiedząc, gdzie jest, i widział dziwnego lisa, który jak duch tkwił stale w tym samym miejscu, jakby go pilnował. Noc zdawała się nie mieć końca, lecz wreszcie z ustępujących powoli ciemności wyłoniły się zarysy gór. Lisa już nie było.

W następnych dniach nie zdarzyło się nic takiego, co Diego mógłby uznać za wizję, z wyjątkiem obecności lisa, który pojawiał się wraz z nastaniem nocy i rano znikał; zawsze był spokojny i czujny. Trzeciego dnia znużony i straszliwie głodny Diego postanowił zawrócić, jednak nie potrafił określić swego położenia. Uznał, że nie uda mu się odnaleźć drogi do obozowiska Białej Sowy, ale jeżeli zechce się wzgórza, prędzej czy później dotrze do morza, a tamtędy przebiega Królewska Droga. Ruszył przed siebie z determinacją, myśląc o rozczarowaniu babci i mamy, kiedy dowiedzą się, że nadludzki wysiłek owych dni poszedł na marne, a zamiast wizji odkrywającej przed nim jego przyszłość, pojawiło się tylko zniechęcenie, i zastanawiał się, czy Bernardo miał więcej szczęścia od niego. Nie zaszedł daleko, gdyż przechodząc nad zwałonym pnem, nadepnął na węża. Poczł ukąszenie przy kostce, ale dopiero po kilku sekundach usłyszał charakterystyczny odgłos grzechotki i uświadomił sobie, co się stało. Nie było wątpliwości: gad miał długą szyję, trójkątną głowę i opadające powieki. Diego z przerażenia zwinął się w kłębek, jak wtedy po otrzymaniu pamiętnego kopniaka w żołądek. Cofnął się o kilka kroków, oddalając się od węża i przypominając sobie na gwałt swoje skąpe wiadomości na temat grzechotników. Wiedział, że ich jad nie zawsze bywa śmiertelny, zależy to od dawki, jaka została wstrzyknięta, jednak był osłabiony i znajdował się tak daleko od ludzkich siedzib, że śmierć wydawała się bardzo prawdopodobna, jeśli nie od trucizny, to z wycieńczenia. Widział kiedyś pasterza, którego taki gad wysłał na tamten świat: mężczyzna położył się w brogu, żeby odespać hulankę, i już się nie obudził. Zdaniem ojca Mendozy była to doskonała kombinacja jadu i alkoholu, dzięki której Bóg mógł przyjąć go na swe święte łono, gdzie nigdy już nie miał podnieść ręki na żonę. Diego przypomniał też sobie najprostsze sposoby kuracji, jakie stosowano w takim przypadku: trzeba było głęboko oczyścić ranę nożem albo wypalić ją rozżarzoną węglą. Zobaczył, że noga mu sinieje, poczuł na ustach pianę, zaczęły go swędzieć dłonie i twarz, a ciałem wstrząsnęły dreszcze. Zrozumiał, że w panice zaczyna odchodzić od zmysłów i że musi szybko podjąć decyzję, zanim całkiem straci zdolność jasnego myślenia: jeśli się będzie ruszał, jad szybciej rozejdzie mu się po ciele, a jeśli tego nie zrobi, zginie na miejscu. Postanowił iść dalej, mimo że kolana się pod nim uginały, a powieki tak mu spuchły, że ledwo widział. Zaczął głośno wzywać babcię i puścił się biegiem w dół wzgórza, tracąc przy tym bezpowrotnie resztki sił.

Potknął się i upadł na twarz. Długo trwało, zanim w promieniach porannego słońca powoli i z trudem zdołał się odwrócić twarzą ku niebu. Dyszał ciężko, dręczony nagłym pragnieniem, zlewał się potem, a jednocześnie dygotał, czując, jak go przenika lodowaty, grobowy chłód. Złorzeczył Bogu chrześcijan, że go opuścił, i przeklinał Wielkiego Ducha, który zamiast w nagrodę zesłać mu wizję, jak było uzgodnione, sztydził z niego w tak niegodziwy sposób. Stracił poczucie rzeczywistości, lecz zarazem przestał się bać. Gorący podmuch wiatru porwał go w górę, jakby jakieś cudowne prądy, kręcąc się spiralnie, wynosiły go ku światłu. Nagle na myśl o tym, że może umrzeć, ogarnęło go rozbawienie, a następnie ogromny spokój. Gorący wir, w którym się unosił, dosięgał już nieba, kiedy wiatry zawróciły i jak kamień cisnęły go w otchłań. Zanim do końca stracił poczucie rzeczywistości, w przebłysku świadomości ujrzał czerwone lisie oczka, które wpatrywały się w niego z krainy śmierci.

Przez następne godziny Diego w koszmarach nurzał się w smole, a kiedy w końcu zdołał się z niej wyrwać i wypłynął na powierzchnię, pamiętał tylko swoje bezmierne pragnienie i nieruchome lisie oczy. Zobaczył, że jest otulony derką, że pada na niego blask płomieni z ogniska i że są z nim Bernardo i Biała Sowa. Upłynęła dłuższa chwila, zanim zaczął się zastanawiać, co i gdzie go boli.

- Zabił mnie grzechotnik - wykrztusił z siebie wreszcie.
- Nie jesteś martwy, synku, ale mało brakowało - uśmiechnęła się Biała Sowa.
- Nie przeszedłem próby, babciu - odrzekł chłopiec.

- Ależ przeszedłeś, Diego - powiedziała.

To Bernardo go znalazł i przyniósł do obozowiska. Indiański chłopiec szykował się właśnie do powrotu, gdy nagle ukazał mu się lis. Nie miał wątpliwości, że jest to jakiś znak, gdyż wydało mu się niezwykle, iż zwierzę znane ze swego nocnego trybu życia, włóczy się po okolicy w biały dzień. Zamiast instynktownie na nie zapolować, zaczął mu się uważnie przyglądać. Lis nie uciekał, tylko z odległości kilku kroków patrzył na niego z czujnie nastawionymi uszami i drżącym pyszczkiem. W innych okolicznościach Bernardo co najwyżej zwróciłby uwagę na dziwne zachowanie zwierzęcia, teraz jednak osiągnąwszy wyższy stan świadomości, miał wyostrzone zmysły i oczekiwał na znak. Nie zastanawiając się dłużej, podążył za lisem i po chwili natknął się na leżącego nieruchomo Diega. Zobaczył monstrualnie opuchniętą nogę swego młecznego brata i od razu się domyślił, co się stało. Nie miał ani chwili do stracenia, zarzucił go sobie na ramię jak worek i ciężkim krokiem ruszył ku miejscu, gdzie czekała na nich Biała Sowa. Indianka obłożyła nogę wnuka swoimi ziołami i sprawiła, że wypocił truciznę i wreszcie otworzył oczy.

- Uratował cię lis. To twoje totemiczne zwierzę, twój duchowy przewodnik - wyjaśniła. - Musisz wyrobić w sobie jego zręczność, przebiegłość i inteligencję. Twoją matką jest Księżyc, a domem jaskinie. Jak lisowi, który poluje w ciemnościach, przyjdzie ci ujawniać to, co ukryte w mroku, będziesz musiał udawać, nie pokazywać się w dzień i działać tylko nocą,

- Po co? - zapytał zmieszany Diego.

- Kiedyś się dowiesz, nie można popędzać Wielkiego Ducha. Tymczasem pracuj nad sobą, abyś był gotów, kiedy nadejdzie ten dzień - nauczyła go Biała Sowa.

Chłopcy mieli dość rozsądku, aby rytuał inicjacji utrzymać w tajemnicy. Hiszpańscy koloniści uważali tradycje Indian za przejaw ignorancji, jeśli nie barbarzyństwa. Dla Diega było oczywiste, że ojciec nie może się o tym dowiedzieć. Matce powiedział o dziwnej przygodzie z lisem, nie wdając się jednak w szczegóły. Bernarda nikt o nic nie pytał, gdyż niemota uczyniła go niewidzialnym, co niespodziewanie okazało się dla niego korzystne. Ludzie mówili i robili przy nim wszystko, tak jakby on nie istniał, dzięki czemu miał możliwość obserwować i studiować dwoistość ludzkiej natury. Zaczął ćwiczyć umiejętność czytania z mowy ciała i tak odkrył, że nie zawsze słowa odpowiadają intencjom. Doszedł do wniosku, że awanturników nie jest trudno pokonać, że ci najbardziej zaciekli są najmniej szczerzy, że ignorantów cechuje arogancja, a pochlebcy zwykle są obłudni. Obserwując ukradkiem ludzi, nauczył się odgadywać ich charaktery i zdobył w ten sposób wiedzę wykorzystywał do ochrony Diega, który z natury był łatwowierny, bo trudno mu było dostrzec u innych takie wady, jakich sam nie posiadał. Chłopcy nie spotkali już ani czarnego żrebaka, ani lisa. Bernardowi czasami zdawało się, że widzi Tornada galopującego pośrodku dzikiego stada, Diego zaś pewnego dnia na spacerze znalazł norę z nowo narodzonymi liskami, jednak żadnego z tych zdarzeń nie potrafili skojarzyć z wizjami, które przypisywali Wielkiemu Duchowi.

Tak czy inaczej przeprowadzony przez Białą Sowę rytuał wyznaczył w ich życiu pewien etap. Dla obu było jasne, że przekroczyli próg dzielący ich od dorosłości. Nie czuli się jeszcze w pełni mężczyznami, ale wiedzieli, że na trudnej drodze ku męskości stawiają pierwsze kroki. W obu nagle doszło do głosu palące cielesne pożądanie, znacznie trudniejsze do opanowania niż słodki i ulotny pociąg, jaki Bernardo, odkąd ukończył dziesięć lat, czuł do Nocnej Błyskawicy. Nie przyszło im do głowy, aby zaspokojenia dla swoich pragnień szukać u wyrozumiałych Indianek w wiosce Białej Sowy, gdzie nie sięgały restrykcje misjonarzy dotyczące neofitek; Diego nie mógłby tego zrobić przez szacunek dla babci, Bernarda zaś powstrzymywała jego szczeniacka miłość do Nocnej Błyskawicy. Bernardo nie liczył na wzajemność, bo zdawał sobie sprawę, że ona jest już dorosłą kobietą, do której zaleca się pół tuzina mężczyzn ściągających z daleka z podarkami, podczas gdy on jest zaledwie nieokrzesanym wyrostkiem, niemającym nic do zaoferowania, a do tego niemym jak ryba. Żadnemu też nie przyszło na myśl, by skorzystać z usług Metysek albo pięknej Mulatki z domu uciech w Los Angeles, gdyż bali się ich bardziej niż spotkania z bykiem na wybiegu; były to istoty innego gatunku, z ustami umalowanymi karminem, rozsiewające przenikliwy zapach zwiędłego jaśminu. Jak reszta chłopców w ich wieku - poza Carlosem Alcázarem, który chwalił się, że ma tę próbę już za sobą - patrzyli z daleka na owe kobiety z mieszaniną czci i przerażenia. W porze spaceru Diego chodził z synami innych hidalgów po Plaža de Armas. Za każdym okrążeniem placu mijali te same dziewczęta należące do tej samej klasy społecznej co oni i będące w tym samym wieku, a one uśmiechały się do nich nieśmiało, zerkając zalotnie zza wachlarza albo mantylki, podczas gdy oni pocili się jak myszy w swoich świątecznych ubraniach, głęboko kryjąc w sobie miłosne pragnienia. Nie odzywali się do nich, ale niektórzy, ci najodważniejsi, prosili alkada o pozwolenie na śpiewanie serenad pod balkonami

dziewcząt; na samą myśl o zrobieniu tego samego Diego trząsł się ze wstydu, po części dlatego, że alkad był jego ojcem. Niemniej jednak dopuszczał możliwość sięgnięcia po tę metodę w przyszłości i już teraz zaczął się codziennie wprawiać, nucąc romantyczne piosenki i przygrywając sobie na mandolinie.

Alejandro de la Vega z ogromną satysfakcją uświadomił sobie, że jego syn, którego miał za niepoprawnego szaloputa, dorasta do roli dziedzica, o czym marzył od dnia jego narodzin. Powrócił do swoich planów wykształcenia go na szlachetnego kawalera, co w zamęcie związanym z odbudową hacjendy zeszło na dalszy plan. Jako że sytuacja w Europie nadal była niestabilna (tym razem z winy Napoleona Bonaparte), zamierzał wysłać go do szkoły prowadzonej przez księży w Meksyku, jednak na myśl o rozstaniu z Diegiem Regina podniosła taki gwałt, że nie wracano do tego tematu przez następne dwa lata. Tymczasem Alejandro wprowadził syna w sprawy zarządzania hacjendą i przekonał się, że jest on znacznie bystrzejszy, niżby to mogło wynikać z jego szkolnych stopni. Nie dość, że wystarczył mu jeden rzut oka, aby rozszyfrować gmatwaninę zapisków i cyfr w księgach rachunkowych, to jeszcze pomnożył dochody, ulepszając sposób wyrobu mydła oraz formułę wędzenia mięsa, opracowane przez ojca metodą niezliczonych prób i błędów. Diego usunął z mydła sodę kaustyczną, dodał do niego mleko i zasugerował, aby dać je na wypróbowanie damom z miejscowej socjety, które nabywały takowe artykuły u amerykańskich marynarzy, naruszając nałożone przez Hiszpanię restrykcje ograniczające handel w koloniach. Fakt, że była to kontrabanda, nie miał znaczenia, wszyscy patrzyli na to przez palce, niedogodność polegała na tym, że statki zawijały do portu w Los Angeles zbyt rzadko. Mydło z dodatkiem mleka okazało się strzałem w dziesiątkę, Diegowi udało się też poprawić jakość wędzonego mięsa: złagodził w nim zapach charakterystyczny dla spoconej mulicy. Alejandro de la Vega zaczął odnosić się do swego syna z szacunkiem i zasięgać jego rady w niektórych sprawach.

W tym czasie Bernardo za pomocą znaków i zapisków na tabliczce opowiedział Diegowi, że jeden z ranczerów, Juan Alcázar, ojciec Carlosa, postanowił bezprawnie powiększyć obszar swoich pastwisk i wprowadzić swoje stada bydła na wzgórze, gdzie schroniło się jedno z plemion wypartych przez osadników. Kiedy Diego i jego mleczny brat dotarli do wioski, nadzorcy Alcázara wspierani przez oddział żołnierzy właśnie podpalali chaty. Z wioski pozostał jedynie popiół. Mimo przerażenia, jakie ich ogarnęło na ten widok, Diego i Bernardo rzucili się ku prześladowcom, żeby im przeszkodzić. Nie umawiając się, kierowani tym samym impulsem, wbiegli między konie napastników a ich ofiary, pragnąc je osłonić. Zapewne zostaliby stratowani bez cienia litości, gdyby jeden z nich nie rozpoznał syna don Alejandra de la Vegi. Grożąc batami, kazali im się wynosić. Z pewnej odległości obaj chłopcy patrzyli wystraszeni, jak nieliczni Indianie, którzy się opierali, zostali ukarani chłostą, a ich wodza, staruszka, powieszono na drzewie ku przestrodze dla innych. Mężczyzn zdolnych do pracy w polu albo do służby wojskowej uprowadzono, powiązanych jak zwierzęta. Starcy, kobiety i dzieci zostali skazani na wążsanie się po lasach, głód i rozpacz.

Takie postępowanie nie było niczym nowym, podobne wypadki zdarzały się coraz częściej i nikt nie śmiał interweniować; wyjątek stanowił ojciec Mendoza, jednak powolna i odległa hiszpańska administracja była głucha na jego protesty. Zanim dokumenty dotarły do Europy, mijały całe lata, potem ginęły w zakurzonych biurkach sędziów, którzy nigdy nie postawili stopy w Ameryce, adwokaci opóźniali proces, jak mogli, stosując najrozmaitsze kruczki prawne, a jeśli nawet w końcu wysocy urzędnicy wydali wyrok korzystny dla Indian, po tej stronie oceanu nie było nikogo, kto by dopilnował, aby sprawiedliwości stało się zadość. Gubernator urzędujący w Monterrey nie przejmował się skargami, bo Indianie niespecjalnie go obchodzili. Na przejawy bezprawia nie reagowali także dowódcy garnizonów, gdyż podlegający im żołnierze mieli za zadanie bronić interesów białych osadników. Oficerowie nie mieli wątpliwości co do wyższości moralnej potężnych ranczerów, którzy, podobnie jak oni, przybyli z bardzo daleka, mając jeden cel: ucywilizować i nawrócić dzikich mieszkańców tych ziem.

Diego poszedł porozmawiać z ojcem. Ten, jak zawsze po południu, zajęty był studiowaniem opisów dawnych bitew. Nawyk ten pozostał mu jeszcze z czasów, kiedy służył w wojsku, i świadczył o jego ambicjach w czasach młodości. Z pasją, której nigdy nie udało mu się zaszczepić Diegowi, rozstawiał na długim stole armie ołowianych żołnierzyków. Jąkając się z przejęcia, chłopiec opowiedział, czego świadkami byli obaj z Bernardem, jednak jego relacja nie zrobiła na Alejandro de la Vegie wielkiego wrażenia.

- Co proponujesz, bym uczynił, synu?
- Wasza miłość jest alkaadem...
- Rozdział ziemi nie podlega mojej kompetencji, Diego, a nie mam takiej władzy, która pozwalałaby mi kontrolować żołnierzy.

- Przecież pan Alcázar pozabijał wielu Indian, a innych uprowadził! Proszę mi wybaczyć mój upór, ale jak wasza miłość może pozwalać na takie nadużycia? - wykrztusił Diego, nie mogąc złapać tchu.

- Porozmawiam z don Juanem Alcázarem, ale wątpię, czy mnie wysłucha - odparł Alejandro, przesuwając na stole jedną linię swoich żołnierzyków.

Alejandro de la Vega dotrzymał obietnicy. Zrobił więcej - nie tylko porozmawiał z ranczerem, ale złożył skargę w koszarach, sporządził raport dla gubernatora i wysłał doniesienie do Hiszpanii. O wszystkim tym informował syna, gdyż robił to tylko dla niego. Jednak zbyt dobrze znał utrwalony system i nie miał najmniejszych złudzeń, iż zło zostanie naprawione. Pod naciskiem Diega próbował pomóc Indianom, którzy stali się nędznymi włóczęgami, oferując im ochronę we własnej hacjendzie. Tak jak przypuszczał, jego starania u władz nie na wiele się zdały. Juan Alcázar przyłączył ziemie Indian do własnych, plemię zniknęło bez śladu i więcej nie powrócono do tego tematu. Diego de la Vega nigdy nie zapomniał tej lekcji; świadomość istniejącego zła spowodowała, że w najgłębszym zakamarku jego umysłu zakiełkowało ziarno sprzeciwu wobec niesprawiedliwości i zdeterminowało jego dalsze losy.

Pierwsze przyjęcie w rezydencji de la Vegów urządzono z okazji piętnastych urodzin Diega. Regina, która nigdy do domu nie zapraszała gości, teraz uznała, że będzie to doskonała sposobność, aby w końcu zamknąć usta hołocie, jaka przez tyle lat z lubością ją poniżała. Nie tylko zgodziła się, aby jej mąż zaprosił, kogo tylko zechce, to jeszcze sama zajęła się organizacją uroczystości. Pierwszy raz w życiu wybrała się na statki z kontrabandą, żeby zakupić wszystko, czego potrzebowała na przyjęciu, do szycia i haftowania zaś wyznaczyła dwanaście kobiet. Diego nie omieszkał napomknąć, że są to również urodziny Bernarda, jednak Alejandro de la Vega zwrócił mu uwagę, że chociaż chłopak jest w ich domu traktowany jak członek rodziny, to nie można obrażać gości, sadzając go do stołu razem z nimi. Tym razem powinien Bernardo dołączyć do indiańskiej służby, postanowił. Nie było potrzeby dyskutować o tym dłużej, ponieważ Bernardo ostatecznie zamknął sprawę, pisząc na swojej tabliczce, że zamierza odwiedzić wioskę Białej Sowy. Diego nie próbował go namawiać, by zmienił zdanie, gdyż wiedział, że chce się on zobaczyć z Nocną Błyskawicą, a jednocześnie nie mógł naciskać zbyt mocno na ojca, który już się zgodził, by Bernardo popłynął z nim do Europy.

Diego miał być wysłany do szkoły w Meksyku, ale plany uległy zmianie wraz z nadejściem listu od Tomása de Romeu, przyjaciela Alejandra de la Vegi z dawnych czasów. Za młodu obaj brali udział w walkach we Włoszech i przez dwadzieścia lat utrzymywali kontakt listowny. Podczas gdy Alejandra los rzucił do Ameryki, Tomás ożenił się z katalońską dziedziczką wielkiej fortuny i z poświęceniem oddawał się życiu w dobrobycie, dopóki żona nie zmarła w połogu; nie pozostało mu wówczas nic innego, jak usatkwować się i zająć wychowaniem dwóch córek oraz zarządzaniem resztką majątku żony. Tomás de Romeu pisał w liście, że czasy, w jakich przyszło im żyć, są fascynujące. W roku 1808 Napoleon na czele stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi uderzył na Hiszpanię, porwał prawowitego króla i zmusił go do abdykacji na rzecz swego rodzonego brata Józefa Bonaparte; dopóki nie otrzymał listu od przyjaciela, dla Alejandra de la Vegi było oczywiste, że jest to jakiś niewiarygodny akt bezprawia. Tomás wyjaśniał mu w liście, że tylko źle pojęty patriotyzm ciemnego gminu - podsycany przez kler niższego szczebla i kilku fanatyków - może sprzeciwić się liberalnym ideom Francuzów, którzy chcą skończyć z feudalizmem i uciskiem religijnym. Francuskie wpływy, pisał, są niczym świeży wiatr odnowy, który obali średniowieczne instytucje w rodzaju inkwizycji oraz znieśli przywileje szlachty i armii. Pisał, że w Hiszpanii na młodego człowieka czekają najlepsze szkoły i że najciekawszym miastem w tym kraju jest Barcelona. Tomás de Romeu oferował Diegowi gościnę w swoim domu, gdzie miał być hołubiony i traktowany jak syn, tak aby mógł dokończyć edukację w Kolegium Nauk Humanistycznych, które mimo iż prowadzone przez księży - a on za nimi nie przepada - cieszy się doskonałą opinią. Na zakończenie, stawiając kropkę nad i, dodawał, że chłopiec mógłby studiować u słynnego mistrza fechtunku Manuela Escalante, który, zjeżdżwszy całą Europę, gdzie uczył swojej sztuki, osiadł w Barcelonie. Samo to ostatnie zdanie wystarczyło, żeby Diego zaczął usilnie prosić ojca o pozwolenie na wyjazd do Hiszpanii. Ten w końcu ustąpił, raczej zmęczony niż przekonany, ponieważ żaden z argumentów Tomasa nie zdołał umniejszyć jego głębokiego sprzeciwu wobec faktu, że ojczyzna została podbita przez obcych. Ojciec i syn bardzo się pilnowali, aby nie powiedzieć Reginie, iż w Hiszpanii toczy się pustosząca kraj wojna partyzancka prowadzona przez naród walczący z wojskami Napoleona.

Urodzinowe przyjęcie rozpoczęło się od mszy odprawionej przez ojca Mendozę, potem były wyścigi konne i korrida, w której sam Diego wykonał kilka przejść z kapą, zanim na arenę nie wszedł zawodowy matador, następnie przedstawienie dali wędrowni akrobaci, punktem kulminacyjnym zaś był bal z pokazem sztucznych ogni. Jedzenia było tyle, że starczyło na trzy dni dla pięciuset osób

usadzonych według kryterium przynależności do określonej klasy społecznej: pod pergolą z winorośli uginającą się od soczystych kiści, przy głównych stołach nakrytych obrusami haftowanymi na Teneryfie, siedzieli czystej krwi Hiszpanie, przy bocznych stołach w cieniu „ludzie oświeceni” w swoich najlepszych odświętnych ubraniach, „Indiańcy” zaś w pełnym słońcu na patio, gdzie pieczono mięso, smażyono tortille i w kotłach duszono chile i mole. Goście przybyli z czterech stron świata i pierwszy raz w historii prowincji od nadmiaru powozów na Królewskiej Drodze zrobił się zator. Nie zabrakło ani jednej córki żadnej szacownej rodziny, gdyż wszystkie matki miały oko na jedyne spadkobiercę Alejandra de la Vegi, mimo iż płynąca w jego żyłach krew w jednej czwartej była indiańska. Wśród nich była Lolita Pulido, siostrzenica Juana Alcázara, czternastoletnia osóbką, słodka i kokietka, zdecydowanie inna niż Carlos Alcázar, który kochał się w niej od dziecka. Mimo iż od czasu incydentu z Indianami Alejandro de la Vega nie znosił Juana Alcázara, musiał go zaprosić wraz z całą rodziną, gdyż był on jednym z najbardziej wpływowych ludzi w mieście. Diego nie przywitał się z ran-czerem ani jego synem Carlosem, ale był uprzejmy dla Lolity, gdyż uznał, że dziewczynka nie ponosi winy za grzechy wuja. Ponadto od roku przysyłała mu przez swoją guwernantkę miłosne liściki, na które on nie odpowiadał z nieśmiałości oraz dlatego, że wołał się trzymać jak najdalej od wszystkich członków rodziny Alcázarów, nawet od siostrzenicy. Matki panien na wydaniu srodcę się zawiodły, stwierdziwszy, że Diego jest znacznie bardziej dziecinny, niżby na to wskazywał jego wiek. Mając piętnaście lat, inni szlacheccy synowie zapuszczali węża i śpiewali serenady, natomiast Diego jeszcze się nie golił, a widok panienki odbierał mu mowę.

Gubernator, który przybył tu z Monterrey, przywiózł ze sobą hrabiego Orłowa, krewnego carycy, szefa administracji rosyjskiej na Alasce. Hrabia mierzył prawie siedem stóp wzrostu, miał nieprawdopodobnie niebieskie oczy i wspaniale się prezentował w mundurze huzarów, całym w kolorze szkarłatu, z ozdobną pelerynką z białego futra przewieszoną przez ramię, ze złotym szamerunkiem na piersi i w dwugraniastym kapeluszu z piórami. Był to niewątpliwie najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziano w tych stronach. Orłow słyszał w Moskwie opowieści o dwóch białych niedźwiedziach, które Diego de la Vega w wieku ośmiu lat schwytał żywcem i przebrał za kobiety. Diego nie uznał za stosowne wyprowadzać go z błędu, jednak Alejandro ze swą niepotrzebną dbałością o precyzję pospieszył z wyjaśnieniem, że nie były to dwa, tylko jeden i to brunatny, gdyż w Kalifornii inne nie występują; że Diego nie upolował go sam, ale z dwoma kolegami, że go nie przebrali za kobietę, a jedynie przykleili mu smołą kapelusz, i że chłopiec miał wtedy lat dziesięć, a nie osiem, jak głosiła legenda. Carlos i jego banda, którzy do tego czasu zdążyli już zyskać sławę niezłych zabijaków, w tłumie gości siedzieli cicho, prawie niezauważeni, w przeciwieństwie do Garcii, który za dużo wypił i płakał jak bóbr z powodu rychłego wyjazdu Diega. Syn właścicielki tawerny jeszcze bardziej obrósł tłuszczem, jednak pozostał tym samym bojaźliwym dzieckiem co kiedyś i wobec Diega nadal czuł to samo uwielbienie. Obecność wspaniałego rosyjskiego szlachcica i wystawność przyjęcia uciszyły na jakiś czas złe języki w kolonii. Regina czuła złośliwą satysfakcję, gdy ci sami pyszni panowie, którzy przedtem nią pogardzali, teraz chylili głowę, by ucałować jej dłoń. Alejandro de la Vega, któremu takowa małoduszność była jak najbardziej obca, krążył między gośćmi dumny ze swej pozycji społecznej, hacjendy, syna i - tym razem - także ze swej żony, która w sukni z niebieskiego aksamitu i mantylce z brukselskich koronek wyglądała niczym księżna.

Bernardo dwa dni galopował przez góry, żeby pożegnać się z Nocną Błyskawicą. Czekala na niego, gdyż indiańską pocztą dotarła do niej wiadomość o jego wyjeździe z Diegiem de la Vega. Wzięła go za rękę i zaprowadziła nad rzekę, gdzie zapytała, co jest za tym morzem i kiedy zamierza wrócić. Chłopak narysował coś patykami na piasku, ale nie udało mu się wytłumaczyć, jak ogromna odległość dzieli jej wioskę od mitycznej Hiszpanii, gdyż on sam nie potrafił tego sobie wyobrazić. Ojciec Mendoza pokazał mu kiedyś globus, ale ta barwna kula była dla niego zbyt dużą abstrakcją. Co do terminu powrotu, wyjaśnił za pomocą znaków, to nie potrafił go określić, ale zanim to nastąpi, mogą upłynąć długie lata. „W takim razie chcę, żebyś wziął ze sobą coś ode mnie na pamiątkę”, powiedziała Nocna Błyskawica. Patrząc na niego błyszczącym wzrokiem, w którym odbijała się tysiącletnia mądrość, dziewczyna zdjęła naszyjnik z nasion i piór, czerwony pas, który nosiła na biodrach, buty z królika i tunikę z kozłej skóry, i w świetle, które w postaci złotych punkcików przebijało przez gęste liście drzew, stanęła naga. Ze zdumienia i wdzięczności Bernardowi zabrakło tchu, i czuł, że za każdym westchnieniem ucieka z niego dusza. Nie wiedział, co zrobić z tą nadzwyczajną istotą, tak różną od niego, tak piękną, która w darze ofiarowała mu siebie. Nocna Błyskawica wzięła go za rękę i położyła ją sobie na piersi, ujęła drugą i położyła na biodrze, po czym uniosła ramiona i zaczęła rozplatać warkocz, uwalniając włosy, które kruczoczarną kaskadą opadły jej na ramiona. Bernardo wydał z siebie szloch i wymamrotał jej imię, było to pierwsze słowo, jakie od niego usłyszała. Dziewczyna pocałunkiem zebrała z jego ust brzmienie swego imienia i dalej całowała go, i zalewała mu twarz łzami, bo już za nim tęskniła. Po kilku godzinach, kiedy Bernardo ocknął się z absolutnego szczęścia i z powrotem mógł zebrać myśli, ośmielił się zaproponować Nocnej Błyskawicy to, co jemu

samemu wydawało się nie do pomyślenia: żeby już zawsze byli razem. Wybuchnęła radosnym śmiechem i powiedziała, że jest jeszcze młokosem, ale może ta podróż z niego mężczyznę.

Bernardo spędził w wiosce kilka tygodni i w tym czasie w jego życiu zaszło wiele istotnych wydarzeń, jednak nie chciał mi o nich opowiedzieć. To, co na ten temat wiem, usłyszałam od Nocnej Błyskawicy, i z łatwością mogę dośpiewać sobie resztę, ale nic wam nie powiem przez wzgląd na Bernarda. Nie chcę go urazić. Do hacjendy zdążył wrócić w samą porę. Pomógł Diegowi spakować się do tych samych kufrow, które przed wielu laty przysłała jego rodzicom Eulalia de Callís. Gdy Bernardo stanął przed Diegiem, ten od razu domyślił się, że w życiu jego młecznego brata coś się zmieniło, jednak kiedy chciał go o to zapytać, napotkał kamienne spojrzenie, co mu zamknęło usta. Wtedy domyślił się, że sekret dotyczy Nocnej Błyskawicy, i nie zadawał już więcej pytań. Pierwszy raz między nimi pojawiło się coś, o czym nie mogli szczerze porozmawiać.

Ekwipunek Diega był isticie książęcy; całe wyposażenie na tę wyprawę swego syna Alejandro de la Vega sprowadził z Meksyku, do tego dorzucił dwa inkrustowane masą perłową pistolety do pojedynków i podbijaną jedwabiem czarną pelerynę z toledańskimi guzikami, które to rzeczy otrzymał w prezencie od Eulalii. Diego dołożył swoją mandolinę, instrument, jaki mógłby okazać się wielce przydatny, gdyby udało mu się pokonać nieśmiałość wobec kobiet, floret należący kiedyś do ojca, bat z byczej skóry i książkę mistrza Manuela Escalante. Natomiast bagaż Bernarda składał się z ubrania, które miał na sobie, kilku sztuk bielizny na zmianę, czarnej kastylijskiej chusty i specjalnie dopasowanej do jego szerokich stóp pary butów, które podarował mu ojciec Mendoza, uznawszy, że w Hiszpanii nie powinien chodzić boso.

W dniu poprzedzającym wyjazd obu młodzieńców zjawiła się Biała Sowa, która przyszła się pożegnać. Nie chciała wejść do domu, gdyż wiedziała, że Alejandro de la Vega wstydzi się, iż jego teściowa jest Indianką, i wolała zaoszczędzić Reginie przykrości. Spotkała się z chłopcami na dziedzińcu, z dala od obcych uszu, i każdego obdarzyła prezentem. Diego dostał okazałą flaszczkę z nasennym eliksirem, z zastrzeżeniem, że wolno mu go użyć wyłącznie do ratowania ludzkiego życia. Z wyrazu jej twarzy Diego poznał, że babcia wie, iż przed pięciu laty wykradł magiczny napój, i czerwony ze wstydu zapewnił ją, że może być spokojna, zapamiętał tamtą lekcję, będzie go pilnował jak żrenicy oka i nigdy więcej niczego nie ukradnie. Bernardowi Indianka przywiozła skórzaną sakiewkę, w której chłopiec znalazł czarny warkocz. Był to podarunek od Nocnej Błyskawicy niosący przesłanie: niech jedzie w pokoju i niech stanie się mężczyzną, ale nie musi się z tym spieszyć, bo choćby nawet minęło wiele księżyców, kiedy wróci, ona będzie na niego czekała, kochając go tą samą niezmienną miłością. Wzruszony Bernardo gestami zapytał Białą Sowę, jak to możliwe, że ta najpiękniejsza na świecie dziewczyna zechciała właśnie jego, nędznego robaka, ona zaś odparła, że nie wie, gdyż kobiety z istoty rzeczy są dziwne. Po czym mrużąc szelmowsko oko, dodała, że każda uległaby mężczyźnie, który mówi tylko do niej. Bernardo zawiesił sobie skórzaną sakiewkę pod koszulą, na sercu.

Małżonkowie de la Vega wraz ze służbą oraz ojciec Mendoza z neofitami odprowadzili chłopców na brzeg morza. Przy płynącej po nich łódź, żeby zabrać ich na żaglowiec „Santa Lucia”, trójmasztowiec pod dowództwem kapitana Josego Diaza, który obiecał dowieźć ich całych i zdrowych do Panamy, gdzie kończył się pierwszy etap długiej podróży do Europy. Ostatnie, co Diego i Bernardo widzieli, zanim wsiedli na statek, była to wyniosła postać Białej Sowy w płaszczu z króliczych skór i z rozwianymi na wietrze włosami, która stojąc na wzniesieniu nieopodal świętych jaskiń Indian, machała im ręką na pożegnanie.

Część druga - Barcelona (1810-1812).

Skoro dobrnęliście aż do tego miejsca, ośmielam się pisać dalej. To, co nastąpi, jest ważniejsze od tego, co było. Nielatwo jest pisać o dzieciństwie bohatera, jednak .chciałam, żebyście mieli pełną wiedzę o tym, kim był Zorro. Dzieciństwo to czas pełen nieuzasadnionych lęków, takich jak na przykład strach przed żyjącymi w naszej wyobraźni potworami albo przed ośmieszeniem. Z literackiego punktu widzenia brak mu suspensu, albowiem - poza nielicznymi wyjątkami - dzieci zazwyczaj bywają dość nijakie. W dodatku decydują za nie dorośli i robią to źle, wpajają im własne błędne poglądy na rzeczywistość, a one, niebożęta, przez resztę życia starają się od nich uwolnić. Jednak w przypadku Diega de la Vegi, naszego Zorro, było pod innym względem inaczej, gdyż ten od

wczesnych lat robił mniej więcej to, na co mu przyszła ochota. Miał szczęście, że dorośli z jego otoczenia, zajęci swoimi własnymi sprawami, nie byli w stanie go upilnować. W wieku piętnastu lat nie miał większych wad ani zalet poza nad wyraz rozwiniętą wrażliwością na ludzką krzywdę i niesprawiedliwość, ale co do tego mam wątpliwości, czy jest wadą, czy zaletą. Przyjmijmy po prostu, że stanowi nieodłączny rys jego charakteru. Mogłabym dodać, że był próżny, jednak zbytnio uprzedziłabym fakty; ta cecha rozwinęła się u niego później, kiedy zdał sobie sprawę, że ma coraz więcej wrogów, a to zawsze człowiekowi pochlebia. Oraz wielbicieli, zwłaszcza płci niewieściej. Dzisiaj to przystojny mężczyzna - przynajmniej ja tak uważam - jednak kiedy jako piętnastolatek przybył do Barcelony, był zaledwie gołowąsem z odstającymi uszami, któremu jeszcze nie zmienił się głos. To z powodu uszu wpadł na pomysł, aby nosić maskę, pod którą mógł ukrywać zarówno swoją tożsamość, jak i owe wydatne atrybuty fauna. Gdyby Moncada zobaczył je u Zorro, od razu by się domyślił, że jego znienawidzonym rywalem jest Diego de la Vega.

Jeśli pozwolicie, będę kontynuowała moją opowieść, która dopiero teraz zaczyna być naprawdę interesująca, przynajmniej dla mnie, albowiem właśnie poznałam naszego bohatera.

Żaglowiec handlowy „Santa Lucia” - nazywany przez marynarzy pieszczotliwie „Adelitą”, gdyż mieli powyżej uszu statków noszących imiona świętych - trasę z Los Angeles do Panamy przebył w ciągu tygodnia. Kapitan Jose Diaz od ośmiu lat pływał wzdłuż amerykańskiego wybrzeża Pacyfiku i w tym czasie uciułał pokaźną fortunę, a teraz zamierzał znaleźć sobie żonę o trzydzieści lat młodszą od siebie, przejść na emeryturę i osiąść w rodzinnej Murcji. Alejandro de la Vega powierzył mu swego syna z pewną obawą, gdyż uważał Diaza za człowieka o zbyt giętkich zasadach moralnych; powiadano, że dorobił się na przemycaeniu „swawolnych dam”. Owa fenomenalna Panamka, która swoją niczym nieskrępowaną radością życia obdzielala kawalerów z Los Angeles, przybyła właśnie na pokładzie „Santa Lucii”. Jednak nie trzeba być drobiazgowym, uznał Alejandro, lepiej żeby Diego trafił pod opiekę kogoś znajomego, choćby nawet niegodziwca, niż gdyby miał sam płynąć przez pół świata. Diego i Bernardo mieli być jedynymi pasażerami na pokładzie, Alejandro zakładał więc, że kapitan będzie ich strzegł jak żrenicy oka. Załogę stanowiło dwunastu doświadczonych marynarzy podzielonych na dwie wachty i nazywanych dla odróżnienia lewo- i prawoburtowymi, chociaż w tym wypadku określenia te nie miały żadnego uzasadnienia: podczas gdy jedna zmiana odbywała swoją czterogodzinną służbę, druga odpoczywała i grała w karty. Kiedy już Diego i Bernardo opanowali mdłości i przywykli do kołysania statku, mogli włączyć się w normalny rytm życia na pokładzie. Zaprzyjaźnili się z marynarzami, którzy traktowali ich z opiekuńczą serdecznością, i wypełniali sobie czas, wykonując te same prace co tamci. Kapitan większą część dnia spędzał na igraszkach z pewną Mulatką, zamkniętą w swojej kajucie, i nawet nie wiedział, że chłopcy, których ma pod opieką, skaczą niczym małpy z jednego masztu na drugi, ryzykując złamanie karku.

Okazało się, że Diego potrafi nie tylko wykonywać skomplikowane ewolucje na linach, z których zwieszał się zaczepiony ręką lub nogą, ale ma też szczęśliwą rękę do kart i zdumiewający talent do szulerki. Z miną niewiniątka ogrywał doświadczonych karciarzy, którzy - gdyby stawką były pieniądze - byłiby niepokieszeni, jednak grano o ziarna ciecierzycy albo o muszelki. Gra na pieniądze była na statku zakazana, gdyż marynarze mogliby się pozabijać za karciane długi. Bernardo odkrył nieznanne mu dotychczas oblicze swego mlecznego brata.

- Nie zaznamy w Europie głodu, Bernardo, bo zawsze znajdzie się ktoś, kogo będzie można oskubać. Ale już ze złotych dublonów, a nie ziaren grochu, nie uważasz? Nie patrz tak na mnie, na Boga, można by pomyśleć, że jestem jakimś złoczyńcą! Problem z tobą polega na tym, że z ciebie taki świętoszek. Nie widzisz, że nareszcie jesteśmy wolni? Nie ma już ojca Mendozy, który posłałby nas do piekła - śmiał się Diego, jak zwykle mówiąc do Bernarda i odpowiadając za niego.

Na wysokości Acapulco marynarze zaczęli podejrzewać, że Diego oszukuje w kartach i za plecami kapitana zagrozili, że go wyrzucą za burtę, jednak ich uwagę odwróciły wieloryby. Te wielkie stworzenia przypląnęły całymi tuzinami, chórem szeptały o miłości i namiętnie biły ogonami o wodę. Pojawiły się nieoczekiwanie i otoczyły „Santa Lucię” w tak bliskiej odległości, że można było policzyć przypominające kamyczki żółtawe skorupiaki, przyczepione do ich grzbietów. Każdy z tych olbrzymów miał na swojej ciemnej i pełnej strupów skórze wypisaną całą wielowiekową historię, i swoją własną, i swoich przodków. Co chwila któryś z nich wyskakiwał w górę, robił w powietrzu korkociąg i z wdziękiem opadał na wodę. Bryzgi wody zalewały statek niczym drobny, orzeźwiający deszcz. Zajęci manewrowaniem wśród wielorybów i podekscytowani bliskością portu Acapulco marynarze darowali Diegowi, jednak ostrzegli go, żeby na przyszłość uważał, gdyż łatwiej stracić życie, oszukując w grze niż walcząc na wojnie. Ponadto Bernardo bez przerwy karciał go swoimi telepatycznie przesyłanymi

docinkami, tak więc musiał obiecać, że nie zastosuje tej nowo nabytej umiejętności do wzbogacania się kosztem innych.

Największą uciechą podczas rejsu statkiem dawała chłopcom swoboda, dzięki której mogli doskonalić się w akrobatycznych ewolucjach, jakie potrafili wykonać jedynie zaprawieni marynarze i występujący na jarmarkach linoskoczkowie. W dzieciństwie, przytrzymując się nogami, zwieszali się z okapu domu głową w dół, które to swawole Regina i Ana na próżno starały się miotłą wybić im z głowy. Na statku nie było nikogo, kto by im tego zabronił, mogli zatem rozwijać owe przejawiane od małego umiejętności, które później miały się okazać przydatne. Niczym najlepsi cyrkowcy na trapezie wykonywali akrobacje na takielunku, wspinali się po wantach i rejach niczym pająki, balansowali na wysokości osiemdziesięciu stóp, spuszczeni się po linach ze szczytu masztu i przesuwali się wzdłuż luźno zwisających lin pod rejami, pomagając marynarzom związać żagle. Nikt nie zwracał na nich uwagi i w rzeczywistości nikogo nie obchodziło, że mogą spaść i rozłupać sobie czaszki. Marynarze udzielili im kilku bardzo praktycznych lekcji. Uświadomili im, że nie wolno gwizdać na morzu, albowiem zmienia to kierunek wiatru, nauczyli ich robić węzły, śpiewać przy pracy, aby dodać sobie sił, stukać herbatnikami, żeby wyszły z nich wołki zbożowe, spać z przerwami jak noworodki i pić rum zmieszany z prochem, żeby dowieść swojej męskości. Z tej ostatniej próby ani jeden, ani drugi nie wyszedł zwycięsko. Diego omal nie umarł, tak silne targwały nim mdłości, a Bernardo płakał całą noc, gdyż objawiła mu się matka. Pierwszy oficer, Szkot nazwiskiem McFerrin, zresztą znacznie biegłej szy w sprawach nawigacji od samego kapitana, udzielił im najważniejszej rady: jedna ręka dla żaglowca, a druga dla ciebie. W każdej chwili, nawet na spokojnej wodzie, trzeba się mocno trzymać. Bernardo zapomniał o tym na moment, kiedy wychylał się przez rufę, żeby sprawdzić, czy płyną za nimi rekiny. Nie było ich nigdzie widać, jednak wiedzione intuicją zwykły się pojawiać, gdy tylko kucharz wyrzucił odpadki za burtę. Kiedy Bernardo w roztargnieniu wpatrywał się w powierzchnię oceanu, nagle nieoczekiwany przechył statku wrzucił go do wody. Był bardzo dobrym pływakiem i na szczęście ktoś widział, jak wypada za burtę, i podniósł alarm, bo gdyby nie to, pewnie by tam już został, albowiem nawet w tych okolicznościach nie zdołał wydobyć z siebie głosu. Nieszczęśliwy wypadek Bernarda wywołał nieprzyjemny incydent. Kapitan Jose Diaz uznał, że nie warto się zatrzymywać i posłać mu szalupy na ratunek, gdyż oznaczało to kłopoty i stratę czasu. Gdyby to był syn Alejandra de la Vegi, być może nie zastanawiałby się tak długo, jednak tutaj chodziło o jakiegoś indiańskiego niemowę, i to jeszcze, jego zdaniem, głupiego. Musi być głupi, skoro wyleciał za burtę, argumentował. Podczas gdy kapitan - naciskany przez McFerrina i resztę załogi, dla której ratowanie nieszczęśnika, który wpadnie do wody, było nieodłączną zasadą obowiązującą na morzu - ciągle się wahał, Diego, nie zastanawiając się długo, skoczył bratu na ratunek. Nim to zrobił, zamknął oczy, bojąc się spojrzeć w dół. Pamiętał jednak o rekinach, bo choć nie było ich widać w pobliżu, to w każdej chwili mogły się pojawić; nigdy nie odpływały zbyt daleko. Uderzenie o wodę zamroczyło go na parę sekund, ale Bernardo kilkoma ruchami ramion dopłynął do niego i jedną ręką przytrzymał go z nosem nad powierzchnią. Widząc, że jego najważniejszy pasażer może się za moment znaleźć w paszczy rekina, Jose Diaz szybko wyraził zgodę na akcję ratunkową. Ledwie Szkot z trzema innymi marynarzami zdążyli spuścić szalupę, pojawiły się pierwsze rekiny, które rozpoczęły swój wesoły taniec dokoła tonących. Diego krzyczał aż do ochrypnięcia i połykał wodę, podczas gdy Bernardo spokojnie jedną ręką trzymał przyjaciela, a drugą unosił się na fali. McFerrin strzelił z pistoletu do najbliższego rekina i na wodzie natychmiast pojawiła się falująca plama w kolorze rdzy. To odwróciło uwagę pozostałych zwierząt, które rzuciły się na rannego towarzysza, wyraźnie zamierzając zjeść go na obiad, i dało marynarzom czas na uratowanie chłopców. Sprytnie posunięcie Szkota przyjęto chórem oklasków i gwizdów na wiwat.

Akcja ratunkowa - opuszczenie i wejście do szalupy, dopłynięcie do chłopców, odpędzenie rekinów ciosami wiosel i powrót z niedoszłymi topielcami na statek - zajęła marynarzom sporo czasu. Kapitan uznał za osobistą zniewagę fakt, iż Diego skoczył do wody, co zmusiło go do działania, i za karę zabronił mu wspinać się po masztach, jednak nic to nie dało, gdyż znajdowali się już na wysokości Panamy, gdzie miał zostawić swoich pasażerów. Diego i Bernard z żalem pożegnali się z załogą „Santa Lucii” i zeszli na ląd ze swoimi bagażami, uzbrojeni w pistolety do pojedynków, szpadę i bał Diega, równie śmiertelny co armata, a ponadto w nóż Bernarda, broń o różnorodnym zastosowaniu, od czyszczenia paznokci i krojenia chleba po łowy na grubego zwierza. Alejandro de la Vega nakazał im, aby nikomu nie ufali. Tutejsi mieszkańcy mieli opinię złodziei, w związku z czym chłopcy powinni spać na zmianę, ani na chwilę nie spuszczać bagaży z oka.

Diega i Bernarda Panama zachwycała, ale w porównaniu z maleńkim Los Angeles każde miasto musiało im się wydać wspaniałe. Od trzech stuleci bogactwa Ameryki przepływały przez Panamę w

drodze do królewskiego skarbcza w Hiszpanii, Stąd były przewożone karawanami mulic przez góry, a stamtąd łodziami rzeką Chagres do portów Morza Karaibskiego. Zarówno Panama, jak i Portobelo po atlantyckiej stronie przesmyku stopniowo traciły na znaczeniu, w miarę jak w koloniach zaczynało brakować złota i srebra. Z Oceanu Spokojnego na Atlantyk można się było również przedostać, opływając kontynent od południa, wokół przylądka Horn, jednak wystarczy rzucić okiem na mapę, żeby zdać sobie sprawę, że taki rejs trwał wieki. Przylądek Horn, jak to wyjaśniał chłopcom ojciec Mendoza, leży tam, gdzie kończy się świat Boga, a zaczyna świat upiorów. Przecinając wąski pas Przesmyku Panamskiego, a podróż ta zajmuje zaledwie parę dni, zaoszczędza się kilka miesięcy rejsu, dlatego też już w XVI wieku cesarzowi Karolowi I marzyło się przebicie kanału, który połączyłby oba oceany, co było pomysłem karkołomnym jak zresztą wiele innych, które niekiedy przychodzą do głowy monarchom. Największą niedogodnością tego miejsca były miazmaty, czyli gazowe wyziewy, jakie wydzielala rozkładająca się roślinność puszczy, oraz bagniste rozlewiska rzek wywołujące straszliwe epidemie. Zatrważająca liczba podróżnych umierała na żółtą febrę, cholere lub czerwonkę. Wielu było też takich, którzy, jak powiadano, dostawali pomieszania zmysłów, jednak przypuszczam, że chodziło tu o ludzi bez wyobraźni, którzy w tropikach nie powinni poruszać się samopas. Epidemie zbierały tak wielkie żniwo, że grabarze nie zasypywali od razu zbiorowych grobów, czekając aż się zapełnią. Aby uchronić Diega i Bernarda przed chorobami i innymi nieszczęściami, ojciec Mendoza podarował każdemu z nich po medaliku ze świętym Krzysztofem, patronem podróżnych i żeglarzy. Owe cudowne talizmany okazały się skuteczne, gdyż obaj przeżyli. I całe szczęście, gdyż inaczej nie miałabym o czym pisać. Upał, jakby ktoś w pobliżu rozpałił ognisko, zapierał im dech w piersiach, a walka z komarami zdała się psu na budę, lecz poza tym wszystko było w porządku. Diego był zachwycony miastem, gdzie nikt ich nie pilnował i gdzie pokus było do wyboru, do koloru. Tylko rozsądkowi Bernarda zawdzięczał, że nie skończył marnie w jakiejś tajnej szulerni, gdzie zapewne by zginął pchnięty sztyletem, czy też w ramionach kobiety o dobrej woli i złej reputacji, zarażony jakąś egzotyczną chorobą. Bernardo tamtej nocy nie zmrzył oka, nie tyle żeby się bronić przed przestępcami, ile żeby pilnować Diega.

Mleczni bracia zjedli kolację w jakiejś portowej tawernie i spędzili noc w zbiorowej sali w zajeździe, w której podróżni układali się, gdzie popadnie, na siennikach na podłodze. Za podwójną zapłatę udało im się dostać hamaki i jakieś parszywe moskitiery, dzięki czemu byli w miarę zabezpieczeni przed szczurami i karaluchami. Nazajutrz brukowanym traktem, szerokim na dwa muły, który Hiszpanie - nie grzeszący nadmiarem wyobraźni - nazywali Królewską Drogą, przeszli przez góry, kierując się na Cruces. Na wzniesieniach powietrze nie było takie gęste i wilgotne jak na nizinach, a widok, jaki rozciągał się u ich stóp, był isticie rajski. W głębokiej zieleni puszczy jakby naniesione cudownymi pociągnięciami pędzla migotały wielobarwne motyle i ptaki o upierzeniu tak bogatym, że zdawało się, iż są wysadzone drogimi kamieniami. Mieszkańcy tych stron okazali się ludźmi nadzwyczaj uczciwymi i zamiast naiwnych młodzieńców obrać do gołej skóry, co byłoby zgodne ze złą sławą, jaką się cieszyli, poczęstowali ich rybą ze smażonym bananem i zaproponowali nocleg w jakiejś chacie, w której roiło się od wszelkiego robactwa, ale gdzie mieli przynajmniej ochronę przed ulewnym deszczem. Poradzili im, aby unikali tarantuli i zielonych ropuch, które plują w oczy i oślepiają jadem, a także pewnej odmiany orzechów, które niszczą emalię ma zębach i powodują śmiertelne skurcze żołądka.

Rzeka Chagres na niektórych odcinkach przypominała gęste bagno, a gdzie indziej miała przejrzyste wody. Pływano po niej kanu albo dużymi płaskodennymi łodziami, w których mogło się zmieścić od ośmiu do dziesięciu osób wraz z bagażem. Diego i Bernardo musieli czekać cały dzień, aż uzbierała się odpowiednia liczba osób. Upał był tak ciężki, że nawet małpy umilkły, a węże leżały jak zamroczone. Chcieli wykąpać się w rzece, jednak ledwo zanurzyli stopy, obudzili drzemiące pod taflą wody kajmany, które nie odróżniały się od błotnistej ła. Chłopcy gwałtownie odskoczyli, a stojący na przystani rdzenni mieszkańcy tych okolic wybuchnęli śmiechem. Nie ośmielili się pić zielonkawej wody z kijankami, którą częstowali ich szczerzy krajowcy, i ugasili pragnienie dopiero wtedy, kiedy inni podróżni, prości handlarze i poszukiwacze przygód, podzielili się z nimi butelkami wina i piwa. Przyjęli poczęstunek tak chętnie i pili z taką przyjemnością, że potem żaden z nich nie był w stanie przypomnieć sobie tej części podróży, zapamiętali jedynie szczególny sposób, w jaki tutejsi wodniacy pływali łodzią. Sześciu mężczyzn wyposażonych w długie żerdzie stawało na wąskich pokładach wzdłuż obu burt łodzi. Zanurzali żerdzie w wodzie i całym ciałem zapierali się nimi o dno rzeki, i tak posuwali się do przodu, nawet pod prąd. Ponieważ było gorąco, chodzili nago. Podróż trwała mniej więcej osiemnaście godzin, które Diego i Bernardo spędzili w stanie upojenia alkoholowego, leżąc w zamroczeniu pod daszkiem, który ochraniał ich przed żarem lejącym im się na głowy niczym płonąca lawa. Kiedy dopłynęli do celu, pozostający w łodzi podróżni, rozdzielając im kuksańce i żartując, wypchnęli ich na brzeg. W taki to sposób na liczącym zaledwie dwanaście mil odcinku drogi od ujścia rzeki Chagres do miasta Portobelo stracili jeden z kufrów zawierający

większość książęcego ekwipunku, w jaki Alejandro de la Vega wyposażył syna. I nawet dobrze się stało, ponieważ do Kalifornii nie dotarła jeszcze ostatnia moda. Ubrania Diega były naprawdę pocieszne.

Portobelo, miasto założone w 1500 roku nad zatoką Darien, miało kapitalne znaczenie, albowiem ładowano tam na statki skarby wywożone do Hiszpanii i wyładowywano europejskie towary przeznaczone dla Ameryki. W opinii dawnych kapitanów nie było w Zachodnich Indiach lepiej zorganizowanego i bezpieczniejszego portu. Strzegło go wiele fortów obronnych, dostępu broniły podwodne skały i rafy nie do pokonania. Owe forty Hiszpanie wybudowali z dobytých z głębi morza koralu, które dawały się obrabiać, dopóki były wilgotne, a po wyschnięciu stawały się tak wytrzymałe, że kule armatnie ledwo były w stanie je drasnąć. Raz do roku, kiedy do portu zawijała Flota Skarbu, organizowano czterdziestodniowy jarmark, a wtedy do miasta ściągali tysiące przyjezdnych. Diego i Bernardo słyszeli, że w Królewskim Skarbcu leżały sztabki złota wielkości polana, co jednak nie mogło być prawdą po części z powodu pirackich napaści, ale głównie dlatego, że hiszpańskie kolonie w Ameryce nie przynosiły już takich dochodów jak kiedyś i w ostatnich latach miasto podupadło. Domy z drewna i kamienia były wyblakłe od deszczu, budynki publiczne i składy porośnięte chwastami, a fortece gnuśniały w nieustannej drzemce. Pomimo to w porcie stało wiele statków, na które tragarze-niewolnicy wnosili ładunki metali szlachetnych, bawełny, tytoniu i kakao, a wynosili towary przeznaczone dla kolonii. Powszechną uwagę zwracała „Madre de Dios”, na której Diego i Bernardo mieli przepłynąć Atlantyk.

Statek ten, choć zbudowany przed pięćdziesięcioma laty, był w doskonałym stanie, miał trzy maszty i kwadratowe żagle. Był większy, wolniejszy i cięższy niż „Santa Lucia” i lepiej się nadawał do rejsu przez ocean. Jego dziób wieńczył efektowny galion w kształcie syreny. Marynarze wierzyli, że na widok nagiego biustu morze się uspokaja, ten zaś był wyjątkowo kształtny i obfity. Kapitan Santiago de León okazał się człowiekiem o niezwykłej osobowości. Był niski, chuderlawy, a rysy jego ogorzalej od morskich wiatrów twarzy zdawały się być wyrżnięte nożem. Kulał na lewą nogę, co było wynikiem nieudanej operacji usunięcia kuli, czego chirurg nie zdołał jednak dokonać, za to uczynił go kaleką i skazał na cierpienie do końca życia. Mężczyzna nie zwykł się skarżyć, zaciskał zęby, brał laudanum i szukał zapomnienia w swoim hobby - zbieraniu map nakreślonych ludzką wyobraźnią. Przedstawiał one miejsca, których uparci podróżni od wieków bezskutecznie szukali: El Dorado, miasto z czystego złota; Atlantydę, pogrążony w morskich odmętach kontynent, którego mieszkańcy są ludźmi, ale mają skrzela jak ryby; tajemnicze wyspy Luquebaralideaux na Morzu Dzikim zamieszkiwane przez ogromne jamniki o ostrych zębach, za to pozbawione kości, biegające stadami i żywiące się płynącą strumieniami musztardą, która podobno pomaga nawet na najcięższe rany. Kapitan kopiował mapy i nanosił na nie miejsca, które sam wymyślał, wraz ze szczegółowymi wyjaśnieniami, po czym sprzedawał je za bajorńskie sumy londyńskim antykwariuszom. Nie próbował oszukiwać, zawsze podpisywał je własnoręcznie pełnym nazwiskiem i dodawał pewne hermetyczne zdanie zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych: „Utwór numerowany z Encyklopedii pragnień, wersja kompletna”.

W piątek ładunek znajdował się już na pokładzie, jednak „Madre de Dios” nie wypłynęła, ponieważ w piątek zmarł Chrystus. Był to zły moment na wyruszenie w rejs. W sobotę też nie można było tego zrobić, gdyż na nabrzeżu czterdziestu członkom załogi przecięt drogę jakiś rudy osobnik, a na mostek statek spadł martwy pelikan i oba te zdarzenia wróżyły jak najgorzej. W końcu w niedzielę kapitanowi udało się namówić marynarzy, żeby postawili żagle. Jedynymi pasażerami byli Diego, Bernardo, jakiś rewizor, który wracał z Meksyku do ojczyzny, i jego trzydziestoletnia córka, brzydka i wiecznie narzekająca. Panienska zakochiwała się kolejno w każdym marynarzu, jednak ci uciekali od niej jak od demona, gdyż wszystkim wiadomo, że cnotliwe kobiety na pokładzie sprowadzają złą pogodę i inne nieszczęścia. Bo że jest cnotliwa, nie mieli wątpliwości, ale uznali, że raczej z braku okazji do grzechu niż z wrodzonej skromności. Rewizor i jego córka dysponowali maleńką kabiną, a Diego i Bernardo spali w hamakach na cuchnącym dolnym pokładzie razem z załogą. Kabina kapitana mieszcząca się na dziobie służyła jako biuro, jadalnia oraz świetlica dla oficerów i pasażerów. Drzwi i meble można było dowolnie składać, podobnie jak i inne sprzęty na pokładzie, gdzie największym luksusem była wolna przestrzeń. W ciągu długich tygodni spędzonych na morzu chłopcy nie mieli ani chwili prywatności, nawet najbardziej elementarne potrzeby załatwiano na oczach pozostałych - do kubła w przypadku wysokiej fali, przy dobrej pogodzie zaś siedząc na desce z otworem bezpośrednio nad powierzchnią wody. Nikt się nie dowiedział, jak sobie z tym radziła wstydliva córka rewizora, albowiem nigdy nie widziano, aby opróżniała nocnik. Początkowo marynarze robili w tej kwestii zakłady, pokładając się przy tym ze śmiechu, ale wkrótce zaczęło ich to przerażać, gdyż tak uporczywe zaparcie musiało być sprawką czarów. Poza ciągłą krzątaniną i zamieszaniem panującym na statku,

chłopcom najbardziej dawał się we znaki hałas. Drewno skrzypiało, metalowe przedmioty stukały, beczki się przetaczały, liny jęczały, fale biły o statek. Dla Diega i Bernarda, przyzwyczajonych do samotności, otwartej przestrzeni i ciszy Kalifornii, przystosować się do życia na morzu nie było łatwo.

Diego lubił wpatrywać się w bezkresną linię horyzontu i pozdrawiać delfiny, a znalazł sobie do tego doskonałe miejsce: siadał na ramionach drewnianej panienki na dziobie, rękami obejmował jej głowę, stopy zaś opierał na jej sutkach. Kapitan, widząc, że ma do czynienia z wysportowanym młodzieńcem, ograniczył się do tego, że kazał mu się przewiązywać w pasie liną, bo gdyby spadł z galionu, statek przepłynąłby po nim; jednak później, kiedy zaskoczył go na wspinaniu się na szczyt najwyższego masztu wysokości ponad stu metrów, nie powiedział mu ani słowa. Uznał, że skoro chłopcu jest przeznaczone umrzeć w młodym wieku, nie zdoła temu zapobiec. Na statku stale było coś do zrobienia, także w nocy, jednak większość prac wykonywano za dnia. W południe, kiedy słońce było w zenicie, biciem dzwonów oznajmiano początek pierwszej wachty i kapitan robił wstępne obliczenia dla ustalenia położenia statku. O tej porze kucharz rozdzielał po pół kwarty wody z cytryną na głowę dla zapobieżenia skorbutowi, drugi oficer zaś rozdawał rum i tytoń; picie rumu i palenie tytoniu były to jedyne nałogi dozwolone na statku, natomiast zabroniono grać na pieniądze, bić się, zakochiwać, a nawet przeklinać. Codziennie o zmroku, w owej tajemniczej wieczornej godzinie, oraz o brzasku, kiedy na firmamencie migocą gwiazdy, ale i linia horyzontu jest widoczna, za pomocą sekstansu kapitan dokonywał pomiarów, sprawdzał czas na chronometrach i zaglądał do księgi o ciałach niebieskich, sprawdzając położenie gwiazd. Dla Diega te operacje astronomiczne były niezwykle fascynujące; początkowo wszystkie gwiazdy wydawały mu się jednakowe i gdziekolwiek spojrzął, wszędzie widział to samo morze koloru stali i to samo białe niebo, jednak wkrótce nauczył się patrzeć na nie oczami żeglarza. Kapitan bacznie obserwował również barometr, gdyż skoki ciśnienia zapowiadały sztormy i nadejście dni, kiedy noga miała mu bardziej dokucać.

W pierwszych dniach rejsu dostawali mleko, mięso i jarzyny, jednak po tygodniu musieli ograniczyć się do warzyw, ryżu, suszonych owoców i odwiecznych herbatników twardych jak marmur, w których roiło się od wołków zbożowych. Jedli również solone mięso, które kucharz przed wrzuceniem do garnka przez kilka dni moczył w wodzie z octem, żeby straciło konsystencję końskiego siodła. Diego doszedł do wniosku, że jego ojciec na swoich wędzronkach mógłby zrobić w Portobelo znakomity interes, ale Bernardo zauważył, że potrzebne by były ogromne ilości, a o tym mogli tylko pomarzyć. Do stołu kapitana, przy którym spożywali posiłki Diego, rewizor i jego córka - Bernardo nie otrzymał zaproszenia - podawano ponadto peklowany ozór wołowy, oliwki, ser z La Manchy i wino. Kapitan oddał do dyspozycji pasażerów swoją szachownicę i karty, a także stosik książek, które jednak zainteresowały tylko Diega; znalazł wśród nich parę esejów o niepodległościowych aspiracjach hiszpańskich kolonii. Diego podziwiał mieszkańców Ameryki Północnej, którzy wyzwolili się z angielskiego jarzma, jednak dopóki nie przeczytał publikacji ze zbiorów kapitana, nie przyszło mu do głowy, że również hiszpańskie kolonie w Ameryce mogą pragnąć niepodległości.

Santiago de León okazał się tak zajmującym rozmówcą, że Diego rezygnował z beztroskich akrobacji na linach i całe godziny spędzał na pogawędkach z nim i na studiowaniu jego niezwykłych map. Kapitan, samotnik, odkrył przyjemność płynącą z dzielenia się swoją wiedzą z młodym i dociekliwym umysłem. Był niezmordowanym czytelnikiem, woził ze sobą całe skrzynie książek, które w każdym porcie wymieniał na inne. Wiele razy opłynął świat, poznał ziemie równie dziwne, jak te występujące na jego bajecznych mapach i tyle razy był o krok od śmierci, że przestał bać się życia. Ogromnym zaskoczeniem dla Diega, przyzwyczajonego do prawd absolutnych, było to, że ten męczyzna o renesansowym umyśle podawał w wątpliwość wszystko, co stanowiło intelektualny i moralny fundament Alejandra de la Vegi, ojca Mendozy i szkolnego nauczyciela. Czasami Diego miał zastrzeżenia odnośnie sztywnych zasad, jakie od urodzenia wbijano mu do głowy, ale nigdy nie ośmielił się wypowiedzieć ich głośno. Kiedy jakieś reguły postępowania zbyt mu doskwierały, obchodził je po kryjomu, otwarcie jednak nigdy się nie buntował. Z Santiagiem de León odważył się dyskutować na tematy, jakich nigdy nie poruszyłby w rozmowie ze swoim ojcem. Z zachwytem odkrył, że jest nieskończenie wiele sposobów myślenia. De León zwrócił mu uwagę, że nie tylko Hiszpanie uważają się za lepszych niż reszta ludzkości, wszystkie narody cierpią na tę samą przypadłość; że w czasie wojny Hiszpanie popełniają dokładnie takie same okrucieństwa, co na przykład Francuzi, gwałcą, kradną, torturują, mordują; że chrześcijanie, Maurowie i żydzi jednakowo twierdzą, że ich Bóg jest jedyny i prawdziwy, a inne religie mają w pogardzie. Kapitan był zwolennikiem obalenia monarchii i nadania koloniom niepodległości. Dla Diega, który został wychowany w przeświadczeniu, że król jest święty, a naturalnym obowiązkiem każdego Hiszpana jest podbój i chrystianizacja mieszkańców innych ziem, poglądy te były iście rewolucyjne. Santiago de León z pasją bronił zasad równości, wolności i braterstwa głoszonych w czasie rewolucji francuskiej, jednak nie mógł się pogodzić z faktem, że Hiszpania została podbita przez Francuzów. W tej kwestii okazał się żarliwym patriotą: woli widzieć swój kraj pogrążony w mrokach średniowiecza, powiedział, niż być świadkiem triumfu

nowoczesnych idei, o ile te byłyby narzucone przez obcych. Nie mógł darować Napoleonowi, że zmusił króla hiszpańskiego do abdykacji i osadził na tronie swego brata Józefa Bonaparte, któremu lud nadał przydomek „Józiek Butelka”.

- Każda tyrania jest wstrętna, młodzieńcze - podsumował kapitan. - Napoleon jest tyranem. Po co była ta cała rewolucja, skoro króla zastąpił cesarz? Państwa powinny być rządzone przez radę złożoną z ludzi świątłych, odpowiadających za swoje czyny przed narodem.

- Władza królewska pochodzi od Boga, kapitanie - zaproponował słabo Diego, powtarzając słowa ojca, nad sensem których właściwie nigdy się nie zastanawiał.

- A kto tak twierdzi? O ile wiem, panie de la Vega, Bóg nie wypowiadał się w tej kwestii.

- Zgodnie z Pismem Świętym...

- Czytaliście je, panie? - przerwał mu z emfazą Santiago de León. - Nigdzie w Piśmie Świętym nie jest powiedziane, że Burboni mają rządzić w Hiszpanii albo Napoleon we Francji. Poza tym Pismo Święte wcale nie jest święte, zostało napisane przez ludzi, a nie przez Boga.

Była noc, a oni spacerowali po mostku kapitańskim. Morze było spokojne i na tle nieustannego skrzywienia statku rozlegały się czyste i tęskne dźwięki fletu Bernarda, który na rozgwieżdżonym niebie szukał Nocnej Błyskawicy i swojej matki.

- Sądzicie, panie, że Bóg istnieje? - zapytał kapitan.

- Oczywiście, kapitanie!

Santiago de León szerokim gestem wskazał na ciemny firmament usiany gwiazdami.

- Jeśli Bóg istnieje, to z pewnością nie jest zainteresowany wyznaczaniem królów na każdym z tych ciał astralnych... - powiedział.

Diego de la Vega wydał okrzyk przerażenia. Wątpienie w istnienie Boga było ostatnią myślą, jaka przysłała mu do głowy; było to coś tysiąc razy poważniejszego niż podważanie twierdzenia, że monarcha sprawuje władzę z boskiego mandatu. Za znacznie mniej poważne grzechy inkwizycja skazywała ludzi na stos, czym jednak kapitan zdawał się zupełnie nie przejmować.

Znudzony ogrywaniem marynarzy w karty na ziarna ciecierzycy i muszelki, Diego postanowił postraszyć ich przeraźliwymi historiami inspirowanymi książkami kapitana i jego fantastycznymi mapami; sięgnąwszy do skarbnicy swojej niewyczerpanej wyobraźni, wzbogacił je o olbrzymie ośmiornice, zdolne zgnieść w swoich mackach statek równie wielki co „Madre de Dios”, mięsożerne salamandry wielkości wielorybów i syreny, które z daleka przypominały kuscielskie niewiasty, a w rzeczywistości były potworami o węzowych językach. Nigdy nie należy się do nich zbliżać, przestrzegał marynarzy, gdyż wyciągają swoje delikatne ramiona, obejmują nieostrożnych, całują ich i wsuwają swoje potworne języki do gardła nieszczęsnej ofiary, po czym zżerają ją od środka, pozostawiając jedynie szkielet powleczonej skórą.

- Widzieliście te światła, co czasami pojawiają się na morzu, o których powiadają, że to błędne ognie? Wiecie, oczywiście, że oznaczają obecność „żywych trupów”. To chrześcijańscy marynarze, którzy utonęli podczas walki z tureckimi piratami. Nie zdążyli otrzymać rozgrzeszenia i ich dusze nie znajdują drogi do czyśćca. Jak w potrzasku tkwią we wrakach swoich statków na dnie morza i nawet nie wiedzą, że już nie żyją. W nocy - może i dzisiaj - owe potępione dusze wypływają na powierzchnię. Jeśli jakiś statek ma nieszczęście znaleźć się w pobliżu, żywe trupy wchodzą na pokład i kradną wszystko co popadnie: kotwicę, ster, instrumenty kapitana, liny, a nawet maszty. To jeszcze nic, przyjaciele, najgorsze, że potrzebni im są również marynarze. Kiedy jakiegoś złapią, wciągają go w głębinę, aby im pomógł uwolnić ich statki i odpłynąć ku chrześcijańskiemu brzegom. Mam nadzieję, że podczas tego rejsu nic takiego się nie wydarzy, ale musimy być czujni. Jeśli pojawią się jakieś czarne tajemnicze postacie, to na pewno będą to żywe trupy. Poznacie je po pelerynach. Noszą je, żeby stłumić grzechotanie swoich kości.

Z zadowoleniem stwierdził, że swoich słuchaczy wprawia w zbiorowe przerażenie. Te mroźne krew w żyłach opowieści snuł po kolacji, w porze, kiedy marynarze rozkoszowali się półkwatką rumu i zuli tytoń, gdyż w półmroku znacznie łatwiej było mu napędzić im strachu. Po kilku dniach uznał, że teren jest już przygotowany, i postanowił ich dobić. Ubrany od stóp do głów na czarno, w rękawiczkach i pelerynie z toledońskimi guzikami, pojawiał się nieoczekiwanie, i tylko na chwilę, w najciemniejszych zakątkach statku. W takim stroju nocą stawał się całkowicie niewidzialny, z wyjątkiem twarzy, ale Bernardo wpadł na pomysł, żeby ją również zasłonić czarną chustką, wyciąwszy w niej otwory na oczy. Wielu marynarzy widziało przynajmniej jednego żywego trupa. W jednej chwili rozeszła się pogłoska, że na statek ktoś rzucił urok, winę zaś przypisano córce rewizora, która musiała być opętana przez szatana, skoro nie używała nocnika. To ona musiała sprowadzić widma! Wieść dotarła do uszu nerwowej starej panny, co przyprawiło ją o tak silną migrenę, że kapitan na dwa dni

musiał ją odurzyć hojnymi dawkami laudanum. Na wieść o tym, co się stało, Santiago de León zgromadził marynarzy na mostku kapitańskim i zagroził, że wszystkim jak jeden mąż odbierze rum i tytoń, jeśli nadal będą rozpowiadać głupoty. Błędne ognie, powiedział, to naturalne zjawisko przyrodnicze wywoływane przez gazy wydzielające się z gnijących alg, zjawy zaś, które - jak sądzą - widzieli, to tylko wytwór sugestii. Nikt mu nie uwierzył, jednak kapitan zaprowadził porządek. Kiedy wśród jego ludzi ponownie zapanował jaki taki spokój, wziął Diega za ucho i zaciągnął do swojej kajuty, gdzie w cztery oczy ostrzegł go, że jeśli jakiś „żywy trup” znowu zacznie krążyć po statku, nie będzie miał żadnych skrupułów i spuści mu lanie.

- Na moim statku jestem panem życia i śmierci, tym bardziej mam prawo na zawsze naznaczyć pańskie plecy. Jasne, kawalerze de la Vega? - powiedział przez zęby, akcentując każde słowo.

Było to jasne jak słońce, jednak Diego nie odpowiedział, gdyż uwagę jego przykuł medalion ze złota i srebra z dziwnymi symbolami, wiszący na szyi kapitana. Spozrzęgszy, że Diego go zauważył, Santiago de León pospiesznie zapiął guziki surduta. Jego reakcja była tak gwałtowna, że chłopiec nie odważył się zapytać, co ten klejnot znaczył. Sprawiwszy chłopakowi burę, kapitan złagodniał.

- Jeśli będziemy mieli pomyślne wiatry i nie natkniemy się na piratów, rejs potrwa sześć tygodni. Będziecie mieli, panie, aż za dużo wolnego czasu. Zamiast straszyć moich ludzi dziecinnymi wybrykami, radzę, abyście się zajęli nauką. Życie jest krótkie, zawsze brakuje czasu, żeby się dowiedzieć czegoś nowego.

Diego przeczytał wszystkie książki, które uznał za interesujące, nauczył się posługiwać sekstansem, znał się już na węzłach żeglarskich i na żaglach, jednak przytaknął bez wahania, gdyż pomyślał o innej wiedzy. Zszedł pod pokład do dusznego kambuza, gdzie kucharz przygotowywał niedzielny deser - budyń z melasy i orzechów, na który załoga przez cały tydzień z niecierpliwością czekała. Był to genueńczyk, który zamustrował się na hiszpański statek handlowy, żeby uciec przed więzieniem, gdzie - gwoli sprawiedliwości - powinien był się znaleźć, albowiem zabił siekierą swoją żonę. Nazywał się Galileo Tempesta, co jakoś nie pasowało do żeglarza. Zanim został kukiem na statku „Madre de Dios”, był iluzjonistą i zarabiał na życie występami na targach i jarmarkach. Miał pełną ekspresji twarz, władcze spojrzenie i dłonie pianisty z palcami długimi i giętkimi jak macki. Tak zręcznie robił sztuczkę ze znikaniem monety, że z odległości jednej piędzi nie sposób było odkryć, na czym to, u licha, polega. Wszystkie chwile przerwy w kuchennych zajęciach wykorzystywał na ćwiczenia; kiedy nie manipulował monetami, kartami czy sztyletami, w kapelusze, buty, za podszewkę i w rękawy surdutów wszywał specjalne kieszenie, które miały służyć za schowki na różnokolorowe chusteczki i żywe króliki.

- Señor Tempesta, przysłała mnie kapitan, żeby nauczył mnie pan wszystkiego, co sam umie - ogłosił Diego od progu.

- Niewiele znam się na kuchni, młodzieńcze.

- Mam na myśli raczej magię...

- Tej wiedzy nie zdobywa się poprzez rozmowę, tylko przez praktykę - odparł kucharz.

Resztę podróży Galileo Tempesta poświęcił na uczenie Diega swoich sztuczek. Robił to z tego samego powodu, dla którego kapitan opowiadał chłopcu o swoich podróżach i pokazywał mu mapy: ponieważ nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto by słuchał go z taką uwagą. Kiedy po czterdziestu jeden dniach rejs dobiegł końca, oprócz innych niezwykłych umiejętności Diego potrafił połknąć złotego dublona i wyciągnąć go z jednego ze swoich wydatnych uszu.

Po opuszczeniu Portobelo „Madre de Dios” obrała kurs na północ. Wykorzystując prądy zatokowe dopłynęli do Bermudów, przecięli Atlantyk i po kilku tygodniach dotarli do Azorów, gdzie postanowili rzucić kotwicę, żeby zaopatrzyć się w wodę i świeżą żywność. Ten archipelag dziewięciu wysp, należący do Portugalii, był obowiązkowym przystankiem wielorybników różnych narodowości. Do portu na wyspie Flores - słusznie noszącej taką nazwę, gdyż porastały ją hortensje i róże - wpłynęli dokładnie w dniu portugalskiego święta narodowego. Marynarze z „Madre de Dios” opili się wina i najedli do syta pożywnej tamtejszej zupy, następnie z lubością wdali się w bójkę na pięści z wielorybnikami amerykańskimi i norweskimi, po czym, zadowoleni z tak mile spędzonej końcówki tygodnia, wszyscy wzięli jeszcze udział w powszechnej gonitwie z bykami. Męska część ludności wyspy oraz marynarze ze statków stojących w porcie puścili się biegiem przed stadem byków wzdłuż pnących się stromo w górę uliczek miasteczka, wykrzykując sprośności, jakich kapitan Santiago de León zabraniał im wypowiadać na statku. Miejscowe piękności, z kwiatami we włosach i przy dekoltach, z bezpiecznej odległości dopingowały ich okrzykami, podczas gdy ksiądz i kilka zakonnic

przygotowywali bandaże i sakramenty, aby w razie potrzeby rannym i umierającym udzielić stosownej pomocy. Diego wiedział, że każdy byk zawsze jest szybszy od najszybszego człowieka, jednak ponieważ naciera zaślepiiony wściekłością, można go oszukać. W swoim krótkim życiu już tyle razy miał do czynienia z bykami, że zbytnio się ich nie bał. Dzięki temu uratował Galilea Tempeste, kiedy mało brakowało, aby para rogów wbiła mu się w zadek. Chłopiec doskoczył do byka i uderzył go kijem, zmuszając do zmiany kierunku biegu, a tymczasem magik ku uciesze oklaskującej go licznie zebranej gawiedzi rzucił się szczupakiem w krzak hortensji. Ale i Diego musiał uciekać przed pędzącym tuż za nim bykiem, a gnał jak rączy jeleń. Wielu uczestników zabawy było poobijanych i kontuzjowanych, ale w tym roku nikt nie zginął przebity rogiem. Zdarzyło się to pierwszy raz w historii i mieszkańcy Azorów nie wiedzieli, czy przyjąc to za dobrą wróżbę, czy za zapowiedź nieszczęścia. To się jeszcze miało okazać. W każdym razie Diego został uznany za bohatera. Galileo Tempesta w podziękowanie podarował mu marokański sztylet wyposażony w ukrytą sprężynę pozwalającą chować ostrze w rękojeści.

Popychany wiatrem statek kontynuował swój rejs jeszcze przez kilka tygodni, opłynął brzegi Hiszpanii, mijając Kadyks, i skierował się w stronę Cieśniny Gibraltarskiej, bramy wjazdowej na Morze Śródziemne, kontrolowanej przez Anglików, sojuszników Hiszpanii i wrogów Napoleona. Bez większych przeszkód popłynął wzdłuż wybrzeża, nie zawijając do żadnego portu, i wreszcie dotarł do Barcelony, gdzie podróż Diega i Bernarda się kończyła. Ten stary kataloński port objawił się ich oczom niczym las masztów i żagli. Były tam statki najróżniejszych kształtów i rozmiarów, pochodzące ze wszystkich stron świata. Jeśli wcześniej chłopcy zachwycali się niewielką przecież Panamą, to wyobraźcie sobie, jakie wrażenie wywarła na nich Barcelona. Na tle ołowianego nieba odcinał się dumny i masywny profil miasta z murami, dzwoniczami i wieżami. Kiedy się patrzyło na nią od strony morza, wydawała się wspaniała, jednak tej nocy niebo zasnuło się chmurami i Barcelona prezentowała się nie tak pięknie jak zwykle. Zeszli ze statku dopiero rankiem następnego dnia. Na zniecierpliwioną załogę i pasażerów czekały już szalupy, żeby ich przewieźć na ląd. Między statkami manewrowały setki łodzi, a nad tłustą powierzchnią morza krążyły tysiące mew, których skrzeczenie rozbrzmiewało w całym porcie.

Diego i Bernardo pożegnali się z kapitanem, Galileem Tempesta i pozostałymi członkami załogi, którzy jak najszybciej chcieli wsiąść do łodzi, bo spieszo im było wydać pieniądze z wypłaty na alkohol i kobiety, podeszli też do rewizora, który w swoich starczych ramionach trzymał córkę, bo ta zemdląca od smrodu unoszącego się w powietrzu. I nie bez powodu. Był to piękny port, w którym żyło się dostatnio, ale niezdrowo. Wszędzie było pełno śmieci, a pod nogami zawsze spieszących się ludzi biegały szczury wielkości psów. Otwartymi rynsztokami płynęły nieczystości, w których taптаły się bose dzieci, z okien mieszkań na wyższych piętrach wylewano na ulice zawartość nocników, o czym uprzedzano okrzykiem: „Leje się!”, by przechodnie zdążyli odskoczyć. Licząca sto pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców Barcelona była jednym z najgęściej zaludnionych miast świata. Otoczona grubymi murami, strzeżona przez ponurą Cytadelę i uwięziona między morzem a górami, mogła się rozrastać tylko w górę. W domach nadbudowywano kolejne piętra, a pokoje dzielono na wąskie kłitki, duszne, ciemne i bez dostępu do wody. Po nabrzeżu przechadzali się cudzoziemcy w najprzeróżniejszych strojach, obrzucając się wyzwiskami w niezrozumiałych językach, marynarze w czapkach frygijskich z papugami na ramionach, dokerzy cierpiący na reumatyzm i przygięci do ziemi od ciągłego dźwigania pakunków, ordynami handlarze krzykiem zachęcający do kupna suszonego mięsa i biskoptów, zawszeni żebracy pokryci krostami oraz wykolejeńcy o twarzach napiętnowanych występkiem ściskający w dłoniach popędliwe noże. Nie brakowało i prostytutek podłego gatunku, które stały na ulicy, a ich wyższej klasy koleżanki po fachu jeździły wspaniałymi powozami jak szacowne damy. Francuscy żołnierze chodzili grupkami, rozpychając przechodniów kolbami muszkietów z czystą chęcią prowokowania. Za ich plecami kobiety robiły wulgarnie gesty, mające sprowadzić na nich nieszczęście, i splotowały na ziemię. Niemniej jednak nic nie było w stanie przyćmić niezrównanej elegancji miasta skąpanego w srebrzystym świetle bijącym od morza. Wsiadłszy z szalupy, Diego i Bernardo o mało nie upadli, gdyż odzyczaili się od chodzenia po stałym lądzie. Coś podobnego przydarzyło im się na wyspie Flores. Musieli podtrzymać jeden drugiego, dopóki nie udało im się opanować drżenia kolan i rozbieganego wzroku.

- I co teraz zrobimy, Bernardo? Zgadza się z tobą, że przede wszystkim musimy wynająć jakiś powóz i odszukać dom pana Tomása de Romeu. Mówisz, że najpierw powinniśmy zatroszczyć się o to, co się ostało z naszego bagażu? Jasne, masz rację...

Ruszyli naprzód, przepychając się w tłumie, Diego mówił sam do siebie, a Bernardo szedł krok za nim, rozglądając się czujnie, gdyż obawiał się, że ktoś mógłby wyrwać jego roztargnionemu bratu torbę. Kiedy minęli część targowiska, gdzie kilka zażywnych jejmości sprzedawało owoce morza, stojąc po kostki w mazi z rybich flaków i głów, które macerowały się na ziemi otoczone chmurą much, drogę zastąpił im jakiś wysoki mężczyzna w niebieskim aksamitnym ubraniu, z profilu przypominający

sępa. Diego, widząc złote galony przy surducie i trójgraniasty kapelusz na białej peruce, uznał, że musi to być admirał. Przywitał go głębokim ukłonem, zamiatając bruk kalifornijskim kapeluszem.

- Señor don Diego de la Vega? - zapytał nieznajomy wyraźnie zmieszany.

- Do pańskich usług, kawalerze - odparł Diego.

- Nie jestem kawalerem, jestem Jordi, stangret don Tomása de Romeu. Wystano mnie po was. Potem przyjadę po wasz bagaż - wyjaśnił mężczyzna, patrząc ponuro, gdyż pomyślał, że ten młodzik z Zachodnich Indii sobie z niego żartuje.

Diego poczuł, że uszy robią mu się buraczkowe, więc nacisnął kapelusz na głowę i ruszył za stangretem, podczas gdy Bernardo krztusił się ze śmiechu. Jordi zaprowadził ich do nieco poobijanego dwukonnego powozu, w którym czekał na nich majordomus rodziny. Jechali krętymi brukowanymi ulicami, oddalając się od portu, i wkrótce dotarli do dzielnicy magnackich siedzib. Wjechali na dziedziniec rezydencji Tomása de Romeu, trzypiętrowego gmazyska wznoszącego się między dwoma kościołami. Majordomus uspokoił ich, że dzwony już teraz nie hałasują o nowoczesnych porach, jak to było dawniej, gdyż w ramach represji przeciwko księżom, którzy popierali partyzantkę, Francuzi skonfiskowali im serca dzwonów. Diego i Bernardo, onieśmieleni rozmiarami domu, nie zauważyli, że jest bardzo zaniedbany. Jordi odprowadził Bernarda do części przeznaczonej dla służby, majordomus zaś powiódł Diega zewnętrznymi schodami na główne piętro, zwane „szlacheckim”. Przeszli przez salony pogrążone w wiecznym półmroku i wyziębione korytarze, na których ścianach wisiały wystrzępione kobierce i broń z czasów wypraw krzyżowych. W końcu dotarli do zakurzonej biblioteki, słabo oświetlonej kilkoma świecami i ledwo się tłącym ogniem na kominku. Tam czekał Tomás de Romeu, który powitał Diega ojcowskim uściskiem, jakby go znał od zawsze.

- Zaszczyt to dla mnie, że mój przyjaciel Alejandro de la Vega powierza mi swojego syna - oznajmił.

- Od tej chwili należysz do naszej rodziny, Diego. Moje córki i ja będziemy dbać o twoją wygodę i ukontentowanie.

Był to mężczyzna o wyglądzie sangwinika, brzuchaty, w wieku około pięćdziesięciu lat; jego wargi unosiły się do góry w niezamierzonym uśmiechu, co łagodziło jego nieco wyniosły wygląd; miał bokobrody i krzaczaste brwi, mówił donośnym głosem. Palił cygaro, w ręce trzymał kieliszek hiszpańskiego jerezu. Zadał kilka grzecznościowych pytań o podróż i rodzinę, po czym pociągnął za jedwabny sznurek, wzywając majordomusa; kiedy ten się pojawił, polecił mu zaprowadzić gościa do jego pokoi.

- Kolację zjemy o dziesiątej. Nie musisz się przebierać, będą sami swoi - powiedział.

Tamtego wieczoru w ogromnej jadalni pełnej starodawnych mebli, które służyły wielu pokoleniom, Diego poznał córki Tomása de Romeu. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby orzec, że starsza, Juliana, to najpiękniejsza kobieta na świecie. Zapewne przesadzał, ale dziewczyna rzeczywiście uchodziła za jedną z piękności Barcelony; powiadano, że jest tak urodziwa, jak w swoich najlepszych czasach słynna Madame de Récamier z Paryża. Jej elegancka postawa, klasyczne rysy twarzy i kruczoczarne włosy kontrastujące z mleczną cerą i zielonymi oczami w odcieniu jadeitu na każdym robiły ogromne wrażenie; kto raz ją ujrzał, nie zapomniał jej już nigdy. Pretendentów do jej ręki było tylu, że rodzina i ciekawscy stracili rachubę. Złośliwcy twierdzili, że wszyscy oni dostali rekuzę, ponieważ ambitny ojciec ma nadzieję wspiąć się na wyższy szczebel drabiny społecznej i chce wydać ją za księcia. Mylili się, Tomás de Romeu nie był zdolny do takich kalkulacji. Oprócz tego, że posiadała szereg godnych podziwu atrybutów fizycznych, Juliana była wykształcona, cnotliwa i sentymentalna, drżącymi palcami czarodziejki grała na harfie i prowadziła działalność dobroczynną. Kiedy pojawiła się w jadalni w delikatnej białej sukni z muślinu uszytej w stylu cesarstwa, podkreślającej jej długą szyję i krągłe alabastrowe ramiona oraz zebranej pod piersiami aksamitną wstążką w kolorze arbuza, w satynowych pantofelkach i diademie z pereł na czarnych lokach, Diego poczuł, że kolana się pod nim uginają i traci rozum. Pochylił się, żeby ucałować jej dłoń i odurzony faktem, że jej dotyka, zostawił na niej ślad śliny. Przerażony wymamrotał jakieś przeprosiny, podczas gdy Juliana uśmiechała się niczym anioł i ukradkiem wycierała wierzch dłoni w swoją suknię nimfy.

Natomiast Isabel tak mało rzucała się w oczy, że wydawało się, iż ona i jej olśniewająca siostra nie są tej samej krwi. Miała jedenaście lat i nie był to najlepszy okres w życiu dziewczynki - zęby Isabel nie zdążyły jeszcze trafić na swoje miejsce, kości zaś sterczały na wszystkie strony. Od czasu do czasu jedno oko uciekało jej w bok, wskutek czego sprawiała wrażenie roztargnionej i słodkiej, co było zwodnicze, gdyż charakter miała raczej cierpki. Kasztanowe włosy Isabel były niesforną gęstą grzywą, którą z trudem udawało się ujarzmić półtuzinem wstążek; żółta sukienka była na nią za ciasna i, jakby dla dopełnienia swego wyglądu sieroty, nosiła kamaszki. Jak miał powiedzieć później Diego do Bernarda, biedna Isabel wyglądała jak kościotrup z czterema łokciami, a jej włosów starczyłoby na dwie głowy. Przez cały wieczór, zaślepiony widokiem Juliany Diego spojrzał na Isabel tylko raz, za to

ona przyglądała mu się bez skrępowania; dostrzegła jego niemodny strój, dziwny akcent, maniery równie przestarzałe jak ubranie i, oczywiście, jego odstające uszy. Doszła do wniosku, że ten młodzian z Zachodnich Indii jest chory na umyśle, jeśli zamierza wyrzeć wrażenie na jej siostrze, na co w sposób oczywisty wskazywało jego komiczne zachowanie. Isabel westchnęła na myśl, że praca nad nim to plan długodystansowy, bo trzeba go prawie całkowicie przerobić, ale na szczęście jako surowiec prezentuje się całkiem dobrze: jest sympatyczny, ma proporcjonalne ciało i oczy barwy bursztynu.

Na kolację podano zupełną grzybową, treściwe danie pod nazwą „morze i góry”, w którym ryba rywalizowała z mięsem, sałatki, sery i na koniec krem kataloński, a do tego czerwone wino z winnic będących własnością rodziny. Diego pomyślał, że tak jedząc Tomás de Romeu nie dożyje starości, a jego córki będą niedługo równie grube jak ich ojciec. W tamtych latach hiszpański lud cierpiał głód, ale stoły możnowładców zawsze się ugiwały. Po kolacji przeszli do jednego z nieprzytulnych salonów, gdzie Juliana grała na harfie, której dźwiękom wtórowały jęki, jakie Isabel z trudem wydobywała z rozstrojonego klawesynu. O porze wczesnej jak na Barcelonę i bardzo późnej dla Diega, do salonu weszła Nuria, ochmistrzyni, prosząc, aby panienki zechciały udać się na spoczynek. Była to kobieta w wieku około czterdziestu lat, o prostych plecach i szlachetnych rysach twarzy, którą szpeciły szorstkie obejście i straszliwa surowość stroju. Miała na sobie czarną suknię z nakrochmalonym kołnierzem i czepek tego samego koloru, związany pod brodą satynową wstążką. Szelest halek, szczepek kluczy i skrzypienie butów z daleka zapowiadały jej nadejście. Powitała Diega prawie niedostrzegalnym skinieniem głowy, po czym obejrzała go dokładnie od stóp do głów; na jej twarzy pojawił się wyraz dezaprobaty.

- Co mam zrobić z tym „Indianem” z Ameryki, którego wołają Bernardo? - zwróciła się z pytaniem do Tomása de Romeu.

- O ile byłoby to możliwe, señor, chciałbym, aby Bernardo dzielił pokój ze mną. Właściwie jesteśmy jak bracia - wtrącił Diego.

- Oczywiście, młodzieńcze. Wydaj stosowne dyspozycje, Nurio - polecił de Romeu ochmistrzyni nieco tym zaskoczony.

Po wyjściu Juliany Diego poczuł gwałtowny przypływ nagromadzonego zmęczenia i ciężar kolacji w żołądku, jednak musiał wytrzymać jeszcze godzinę, wysłuchując politycznych dywagacji swego amfitriona.

- Józef Bonaparte to człowiek świątły i otwarty, najlepszy dowód, że nawet mówi po hiszpańsku i chodzi oglądać walki byków - powiedział de Romeu.

- Ale jest uzurpatorem, przywłaszczył sobie tron prawowitego króla Hiszpanii - zaproponował Diego.

- Król Karol okazał się niegodnym potomkiem ludzi tak szlachetnych jak niektórzy jego przodkowie. Królowa jest frywolna, a królewicz Fernando to tępak, któremu nie ufają nawet jego rodzice. Nie zasługują na to, aby być naszymi władcami. Natomiast Francuzi wprowadzają nowoczesne idee i postęp. Gdyby Józefowi Bonaparte pozwolono rządzić, zamiast wypowiadać mu wojnę, kraj wyszedłby z zacofania. Armia francuska jest niezwyciężona, za to nasza jest w ruinie, nie ma koni, broni, butów, żołnierze żywią się chlebem i wodą.

- Ale przecież hiszpański lud już dwa lata stawia opór okupantowi - przerwał mu Diego.

- To są bandy uzbrojonych cywilów, które prowadzą jakąś obłąkańczą wojnę partyzancką. Podżegają ich fanatycy i nieoświecony kler. Tłuszcza walczą na ślepo, nie kieruje się ideami, tylko urazami.

- Opowiadano mi o okrucieństwie Francuzów.

- Po obu stronach popełnia się zbrodnie, młodzieńcze. Partyzanci mordują nie tylko Francuzów, ale także Hiszpanów, którzy odmawiają im pomocy. Katalończycy są najgorsi, nie wyobrażasz sobie, do jakich okrucieństw są zdolni. Mistrz Francisco Goya namalował te okropności. Czyjego twórczość znana jest w Ameryce?

- Nie sądzę, señor.

- Powinieneś zobaczyć jego obrazy, Diego, żeby zrozumieć, że w tej wojnie nie ma dobrych, są tylko sami źli - westchnął de Romeu i przeszedł do innych tematów.

Diegowi zamykały się już oczy.

W ciągu następnego miesiąca Diego de la Vega miał okazję przekonać się, jak złożona i niestabilna była sytuacja w Hiszpanii, i z jak dużym opóźnieniem wiadomości docierały do jego domu. Dla jego

ojca w polityce wszystko było wyłącznie czarne albo białe, gdyż tak było w Kalifornii, jednak w chaosie panującym w Europie przeważały tonacje szarości. W pierwszym liście Diego opisał ojcu podróż i podzielił się wrażeniami na temat Barcelony i Katalończyków, których postrzegał jako gorliwych obrońców wolności, obdarzonych wybuchowym temperamentem, drażliwych na punkcie honoru i pracowitych jak woły. Choć oni sami lubią uchodzić za skąpych, pisał, jednak kiedy trzeba, potrafią być szczodrzy. Dodał, że nie cierpią podatków, zwłaszcza kiedy muszą je płacić Francuzom. Opisał również rodzinę de Romeu, przemilczając swój niedorzeczny afekt do Juliany, bo mogłoby to zostać potraktowane jako nadużycie gościnności. W swoim drugim liście spróbował wyjaśnić ojcu sytuację polityczną, chociaż domyślał się, że kiedy za kilka miesięcy adresat go otrzyma, wszystko zdąży się zmienić.

Wasza Miłość! Czuję się dobrze i w Kolegium Nauk Humanistycznych dużo się uczę, zwłaszcza filozofii i łaciny. Miło Wam będzie się dowiedzieć, że mistrz Manuel Escalante przyjął mnie do swojej Akademii i zaszczyca mnie swą przyjaźnią, na który to honor oczywiście nie zasługuję. Pozwólcie, bym Wam opowiedział coś o sytuacji w Hiszpanii, w jakiej tu żyjemy. Wasz umiłowany przyjaciel, don Tomás de Romeu, jest liberałem, ale „sfrancuziałym”. Inni hiszpańscy liberałowie nienawidzą Francuzów. Obawiają się, że Napoleon przekształci Hiszpanię w satelitę Francji, z czego bez wątpienia don Tomás de Romeu byłby wielce rad.

Tak jak mi Wasza Miłość polecił, złożyłem wizytę Jej Ekscelencji doñi Eulalii de CalUs. Dowiedziałem się od niej, że szlachta, Kościół katolicki i naród czekają na powrót króla Ferdynanda VII, którego nazywają „Upragnionym”. Lud, który nie ma zaufania do Francuzów, liberałów i szlachty, i nie chce żadnych zmian, postanowił usunąć najeźdźców i walczy czym popadnie: siekierami, kijami, nożami, lancami i gracami.

Kwestie te bardzo go interesowały, w Kolegium Nauk Humanistycznych i w domu Tomása de Romeu o niczym innym się nie mówiło, jednak polityka nie spędzała mu snu z powiek. Był zajęty tysiącem różnych spraw, z których najważniejszą było wpatrywanie się w Julianę. Tego ogromnego domu nie sposób było oświetlić ani ogrzać, rodzina korzystała tylko z kilku pokoi na „szlacheckim” piętrze oraz z jednego skrzydła na drugim. Nie raz i nie dwa Bernardo przyłapał Diega na tym, jak zwieszając się niczym małpa z balkonu, podglądał Julianę, kiedy szła coś z Nurią albo zajęta była lekcjami. Dzięki temu, że Tomás de Romeu czuł antypatię do duchownych, jego córkom udało się uniknąć szkół klasztornych, w jakich uczyły się wszystkie dziewczęta z zamożnych rodzin. Tomás de Romeu mawiał, że za kratami klasztorów biedne panienki padają ofiarą perfidnych mniszek straszących je demonami oraz perwersyjnych księży, którzy podczas spowiedzi je obmacują. Zatrudnił nauczyciela, zabiedzonego człecznę z twarzą naznaczoną dziobami po ospie, który mdlał w obecności Juliany i którego Nuria, niczym jastrząb, cały czas bacznie obserwowała. Isabel także uczestniczyła w lekcjach, chociaż nauczyciel ignorował ją do tego stopnia, że nawet nie próbował zapamiętać jej imienia.

Juliana odnosiła się do Diega jak do nieco postrzelonego młodszego brata. Zwracała się do niego po imieniu, idąc za przykładem Isabel, która od początku traktowała go serdecznie i poufale. Znacznie później, kiedy życie ich wszystkich się skomplikowało i przyszły na nich ciężkie terminy, również Nuria zaczęła mówić do niego „ty”, gdyż pokochała go jak syna, jednak do tego czasu był to dla niej jeszcze „don Diego”, albowiem formy bezpośredniej używano jedynie między krewnymi albo gdy zwracano się do kogoś niższego stanu. Przez całe tygodnie Juliana nie domyślała się, że złamała Diegowi serce, podobnie jak nie zdawała sobie sprawy, że to samo uczyniła swojemu nieszczęsnemu nauczycielowi. Kiedy Isabel jej to wytknęła, roześmiała się głośno; na szczęście Diego dowiedział się o tym wiele lat później.

Diego nie potrzebował wiele czasu, aby zrozumieć, że Tomás de Romeu nie jest ani tak szlachetnie urodzony, ani tak bogaty, za jakiego początkowo go uważał. Rezydencja i ziemie należały do jego nieboszczki żony, jedynej dziedziczki fortuny burżuazyjnej rodziny, która dorobiła się majątku na handlu jedwabiem. Po śmierci teścia prowadzenie interesów spadło na Tomasa, który jednak nie miał głowy do handlu i powoli tracił to, co otrzymał w spadku. Wbrew powszechnej opinii na temat skąpstwa Katalończyków potrafił z wdziękiem wydawać pieniądze, lecz nie umiał ich zarabiać. Z roku na rok jego przychody malały i gdyby ta tendencja nadal się utrzymywała, wkrótce musiałby sprzedać dom i spaść szczebel niżej w drabinie społecznej. Jednym z licznych pretendentów do ręki Juliany był Rafael Moncada, szlachcic i posiadacz znacznej fortuny. Jego wejście do rodziny rozwiązałoby kłopoty Tomása de Romeu, jednak trzeba mu oddać sprawiedliwość i przyznać, że nigdy nie naciskał na córkę, aby przyjęła oświadczyń Moncady. Diego wyliczył, że hacjenda jego ojca w Kalifornii jest wielokrotnie więcej warta niż posiadłości Tomása de Romeu, i zadawał sobie pytanie, czy Juliana

byłaby skłonna wyjechać z nim do Nowego Świata. Przedstawił tę sprawę Bernardowi, ten zaś we właściwy sobie sposób zwrócił mu uwagę, że jeśli się nie pośpieszy, inny kandydat, dojrzały, przystojniejszy i bardziej pociągający, odbierze mu panienkę. Przyzwyczajony do sarkazmu brata Diego nie upadł na duchu, ale postanowił maksymalnie przyspieszyć swoją edukację. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy osiągnie godność prawdziwego hidalga. Nauczył się katalońskiego, który wydawał mu się bardzo melodyjnym językiem, uczęszczał do Kolegium, a także codziennie chodził na lekcje do Akademii Sztuki Sermierczej dla Szlachty i Kawalerów mistrza Manuela Escalante.

Opinia, jaką Diego wyrobił sobie na temat swego sławnego mistrza, ani na jotę nie miała pokrycia w rzeczywistości. Przestudiowawszy aż do ostatniego przecinka podręcznik napisany przez Escalante, wyobrażał go sobie jako Apolla, zbiór męskich cnót i takiejż urody. Tymczasem okazał się on być człowieczkiem nieuprzejmym, małostkowym i nadmiernie wymuskanym, z wiecznie napomadowanymi wąsami, o ascetycznej twarzy i wargach wykrzywionych w grymasie lekceważenia, dla którego fechtunek zdawał się być jedyną godną głoszenia religią. Jego uczniami byli szlachcice czystej krwi; wyjątek stanowił Diego de la Vega, którego przyjął nie tyle ze względu na rekomendacje Tomása de Romeu, lecz dlatego, że celująco zdał egzamin wstępny.

- En garde, monsieur! - rozkazał maestro.

Diego przyjął pozycję drugą: prawa noga wysunięta do przodu, stopy ustawione pod kątem prostym, kolana lekko ugięte, tułów zwrócony bokiem do przeciwnika, wzrok skierowany przed siebie, ramiona rozluźnione.

- Zmiana pozycji i do przodu! Krok do tyłu! Do tyłu i zmiana pozycji! Z powrotem do przodu! Pozycja trzecia! Wyprost ręki! Pchnięcie!

Po chwili maestro przestał wydawać polecenia. Od uników szybko przeszli do natarć, pchnięć z długimi wypadami, odbić i wrzuceń, a wszystko to wyglądało jak jakiś gwałtowny i makabryczny taniec. Diega ogarnęło podniecenie, zaczął walczyć z takim zapamiętaniem bliskim gniewu, jakby stawką było jego życie. Mistrzowi po raz pierwszy od wielu lat pot ściekał z czoła i wsiąkał w koszulę. Był zadowolony, a na wąskich wargach zaczęło się rysować coś na kształt uśmiechu. Nie zwykł szafować pochwałami, lecz ten młodzieniec zaimponował mu swoją szybkością, precyzją i siłą.

- Mówił pan, że gdzie się uczył fechtunku? - zapytał, skrzyżowawszy z nim przez kilka minut florety.

- Z ojcem, w Kalifornii, maestro.

- W Kalifornii?

- Na północ od Meksyku...

- Nie ma potrzeby mi tego wyjaśniać, miałem okazję widzieć kiedyś mapę - przerwał mu sucho Manuel Escalante.

- Proszę wybaczyć, maestro. Przestudiowałem pańską książkę i ćwiczyłem przez lata... - wymamrotał Diego.

- Widzę. Jest pan bardzo pilnym uczniem, jak się wydaje. Musi pan jeszcze nauczyć się powściągać niecierpliwość i nabrać elegancji. Ma pan styl korsarza, ale znajdzie się na to rada. Po pierwsze: spokój. Nigdy nie należy walczyć w gniewie. Siła i wytrwałość zależą od równowagi ducha. Niech pan o tym nie zapomina. Czekam na pana codziennie od poniedziałku do soboty punktualnie o ósmej rano, jeśli choć raz pan nie przyjdzie, może się pan już nie fatygować. Żegnam, kawalerze.

Na tym się rozstali. Diego siłą musiał się powstrzymywać, żeby nie piszczeć z radości, ale kiedy znalazł się już na ulicy, zaczął skakać dokoła Bernarda, który czekał z końmi pod bramą.

- Będą z nas najlepsi szermierze na świecie, Bernardo. Tak, bracie, dobrze słyszałeś, nauczysz się tego samego co ja. Zgadza się, maestro ciebie nie przyjmie, jest przewrażliwiony na tym punkcie. Gdyby wiedział, że mam jedną czwartą krwi indiańskiej, wyrzuciłby mnie kopniakiem ze swojej akademii. Ale nie martw się, mam zamiar nauczyć cię wszystkiego, czego nauczę się sam. Maestro mówi, że brak mi stylu. O co może mu chodzić?

Manuel Escalante spełnił obietnicę, że przyda Diegowi oglądy, ten zaś dotrzymał swojej, że podzieli się wiedzą z Bernardem. Ćwiczyli codziennie w jednym z dużych i pustych salonów domu Tomása de Romeu, prawie zawsze w towarzystwie Isabel. Zdaniem Nurii dziewczynka przejawiała jakaś diabelską ciekawość dla spraw będących domeną mężczyzn, jednak ochmistryni ukrywała przed ojcem jej wybryki, gdyż wychowywała ją od chwili, gdy przyszła na świat, matka bowiem zmarła w połogu. Isabel udało się namówić Diega i Bernarda, żeby nauczyl ją walczyć floretem i dosiadać konia okrakiem, tak jak to robiły kobiety w Kalifornii. Z podręcznikiem mistrza Escalante całymi godzinami ćwiczyła przed lustrem pod okiem swojej siostry i Nurii, które w tym czasie ściegiem krzyżowym haftowały makatki. Diego zgodził się na obecność małej tylko dlatego, że miał w tym swój interes:

obiecała, że pomoże mu w jego staraniach o zdobycie względów u Juliany, czego nigdy nie zrobiła. Natomiast Bernardo zawsze okazywał zadowolenie z jej towarzystwa.

Bernardo zajmował niesprecyzowane miejsce w hierarchii społecznej domu, w którym mieszkało około osiemdziesięciu osób, włączając w to służących, pokojowych, sekretarzy i różnych ubogich krewnych, którym Tomás de Romeu udzielił gościny pod swoim dachem. Spał w jednym z trzech pokoi oddanych do dyspozycji Diega, ale nie miał wstępu do salonów, chyba że go wezwano, i jadał w kuchni. Nie posiadał określonej funkcji i miał aż za dużo czasu na zwiedzanie miasta. Poznał dokładnie różne oblicza hałaśliwej Barcelony: magnackie siedziby katalońskiej szlachty i zatłoczone, zawieszane i pełne szczurów klitki, w których gnieździł się biedny lud i w których wybuchały kłótnie i epidemie; starą dzielnicę przy katedrze wzniesionej na romańskich ruinach, z jej labiryntem krętych uliczek tak wąskich, że osioł z trudem się przez nie przeciskał, targowiska, sklepiki rzemieślników, kramy z drobiazgami z Turcji i nabrzeża zawsze pełne różnokolorowego tłumu. W niedzielę po mszy włączył się w pobliżu kościołów, żeby podziwiać grupy tańczące subtelne sardany, które wydawały mu się doskonałym symbolem solidarności, harmonii i typowego dla barcelończyków braku ostentacji. Podobnie jak Diego nauczył się katalońskiego, żeby więcej rozumieć z tego, co się wokół niego dzieje. Ludzie ze sfery władzy i wyższe klasy społeczne mówiły po hiszpańsku i francusku, łaciny używano w kręgach akademickich i kościelnych, kataloński zaś był językiem reszty społeczeństwa. Ten milczący i pełen godności młodzieniec zaskarbił sobie szacunek mieszkańców domu. Służba, która nazywała go pieszczotliwie „Indianem”, nie dociekała, czy rzeczywiście jest głuchy, przyjęła, że jest, w związku z czym rozmawiała przy nim bez skrępowania, dzięki czemu dowiadywał się o wielu sprawach. Tomás de Romeu nigdy nie dał po sobie poznać, że wie o jego istnieniu, dla niego służący byli niewidzialni. Nurię intrygowała jego osoba głównie z tego powodu, że był pierwszym czerwonoskórym, jakiego widziała na własne oczy i to z tak bliska. W pierwszych dniach, kiedy sądziła, że nie słyszy, zwracając się do niego, robiła małpie miny i komiczne gesty, ale kiedy przekonała się, że nie jest głuchy, zaczęła do niego mówić zwyczajnie, z chwilą zaś, gdy dowiedziała się, że został ochrzczony, nabrała do niego sympatii. Nigdy dotąd nie miała równie uważnego słuchacza. Przekonana, że Bernardo nie może zdradzić tego, co mu w sekrecie powie, opowiadała mu swoje sny, istne epepeje, i zapraszała go na podwieczorki, podczas których zwykle czytano głośno jakąś książkę. Juliana zaś zwracała się do niego z tą samą słodyczą, jaką hojnie rozdawała wszystkim dokoła. Zrozumiała, że nie jest służącym Diega, tylko jego mlecznym bratem, lecz nie próbowała się z nim porozumiewać, gdyż przyjęła za pewnik, że nie mieliby sobie wiele do powiedzenia. Natomiast dla Isabel Bernardo stał się najlepszym przyjacielem i sojusznikiem. Nauczyła się indiańskiego języka znaków oraz odgadywania znaczeń modulacji dźwięków jego fletu, jednak nigdy nie udało jej się włączyć do telepatycznych rozmów, jakie ten prowadził z Diegiem. W każdym razie, jako że nie potrzebowali słów, rozumieli się doskonale. Pokochali się tak mocno, że z latami Isabel zaczęła rywalizować z Diegiem o drugie miejsce w sercu Bernarda. Pierwsze należało niezmiennie do Nocnej Błyskawicy.

Wiosną, kiedy miasto pachniało morzem i kwiatami, na ulice wychodziły wieczorami grupki muzykujących studentów oraz zakochani wyśpiewujący serenady; francuscy żołnierze obserwowali ich z pewnej odległości, gdyż nawet tak niewinna rozrywka mogła być przykrywką dla niecznych działań partyzantów. Diego ćwiczył się w śpiewaniu, przygrywając sobie na mandolinie, jednak byłoby śmieszne, gdyby stanął pod oknem Juliany i wykonał serenadę, skoro mieszkali w tym samym domu. Próbował akompaniować jej po kolacji podczas koncertów na harfie, jednak ona była prawdziwą wirtuozką, on zaś brzdąkał na swojej mandolinie podobnie jak Isabel na klawesynie, tak więc wieczorki muzyczne przyprawiały słuchaczy o migrenę. Musiał ograniczyć się do zabawiania jej magicznymi sztuczkami, których nauczył go Galileo Tempesta, a które jeszcze udoskonalił przez miesiące praktyki. Kiedy pewnego dnia połknął marokański sztylet, Juliana zemdlała i osunęła się na podłogę, podczas gdy Isabel oglądała uważnie broń, szukając sprężyny wciągającej ostrze do rękojeści. Nuria zagroziła Diegowi, że jeśli jeszcze raz pozwoli sobie na podobne kuglarstwo w obecności panienek, osobiście wsadzi mu ten turecki nóż w grdykę. Przez kilka tygodni trwała między nimi milcząca wojna nerwów, gdyż jakimś sposobem Nuria dowiedziała się, że Diego jest Metysem. Uznała za hańbę, że jej pan dopuszcza do rodzinnej zażyłości młokosa, który nie dość, że nie jest „dobrze urodzony”, to jeszcze miał czelność zakochać się w Julianie. Wystarczyło jednak parę drobnych uprzejmości i kilka prezencików - a to święty obrazek, a to róża, która magicznym sposobem pojawiała mu się w dłoni - a z łatwością podbił wypalone serce ochmistrzyni. Chociaż nadal odburkiwała mu sarkastycznie, nie mogła ukryć rozbawienia, kiedy prowokował ją do śmiechu jakąś błazenadą.

Pewnego wieczoru Diego musiał przełknąć gorzką pigułkę: usłyszał, jak Rafael Moncada przy akompaniamencie zespołu muzyków grających na różnych instrumentach wyśpiewuje pod oknem

serenadę. Z bólem serca musiał przyznać, że jego rywal nie tylko posiada ujmujący głos tenora, to jeszcze śpiewa po włosku. Próbował go ośmieszyć w oczach Juliany, jednak szybko z tego planu zrezygnował, albowiem dziewczyna pierwszy raz wyglądała na poruszoną awansami Moncady.

Mężczyzna ten budził w Julianie mieszane uczucia - instynktowną nieufność, ale i zaciekawienie. W jego towarzystwie czuła się przygnębiona i zagubiona, lecz zarazem pociągała ją bijąca od niego pewność siebie. Nie podobał jej się wyraz pogardy czy też okrucieństwa, jaki czasami dostrzegała w jego twarzy, nie licujący z hojnością, z jaką, wychodząc po mszy z kościoła, rozdawał jałmużnę żebrakom. W każdym razie zalotnik miał dwadzieścia trzy lata i zabiegał o nią od miesięcy, wkrótce trzeba było dać mu jakąś odpowiedź. Moncada był bogaty, miał nieskazitelny rodowód i robił dobre wrażenie na wszystkich z wyjątkiem Isabel, która nie znosiła go otwarcie, choć nie potrafiła tego uzasadnić. Wydawał się świetnym kandydatem na męża, lecz Julianę powstrzymywało jakieś trudne do wyjaśnienia przecucie nieszczęścia. Tymczasem Moncada nie ustawał w swoich zalotach, ale nie był nachalny, obawiał się, że najmniejszy nacisk z jego strony Julianę wystraszy. Widywali się w kościele, na koncertach i w teatrze, na spacerach, w parkach i na ulicach. Często posyłał jej prezenty i czułe liściki, nie było to jednak nic zobowiązującego. Nie udało mu się doprowadzić do tego, aby Tomás de Romeu zaprosił go do domu, ani żeby jego ciotka Eulalia de Callís zgodziła się włączyć rodzinę de Romeu do grona stałych gości swoich wieczorków. Z charakterystyczną dla niej stanowczością oznajmiła mu, że jego wybór jest najgorszy z możliwych. „Jej ojciec to zdrajca, «sfrancuzialec», ta rodzina nie ma nic do zaoferowania, ani pozycji, ani fortuny”, brzmiał jej lapidarny osąd. Jednak Moncada miał Julianę na oku już od dawna, widział, jak rozkwitała, i uznał, że to jedyna godna niego kobieta. Sądził, że z czasem ciotka Eulalia ustąpi wobec niezaprzeczalnych zalet dziewczyny, a wszystko jest kwestią dyplomatycznego rozegrania sprawy. Nie miał zamiaru zrezygnować ani z Juliany, ani z jej wiana, i nie wątpił, że zdobędzie i jedno, i drugie.

Rafael Moncada był już w zbyt poważnym wieku i nie wypadało mu wysławiać serenady pod oknem ukochanej, jednak wpadł na pomysł, żeby zrobić to w formie żartu. Wychyliwszy się z balkonu, Juliana zobaczyła go w przebraniu florenckiego księcia, od stóp do głów spowitego w brokat i jedwabie, w kaftanie przybranym futrem z nutrii, kapeluszu ze strusimi piórami i lutnią w rękach. Grupa służących oświetlała go eleganckimi kryształowymi lampionami, a obok nich wystrojony niczym aktorzy operetkowi muzycy wydobywali ze swych instrumentów melodyjne akordy. Najlepszym elementem tego spektaklu był niewątpliwie niezwykle głos Moncady. Ukryty za zasłoną Diego czuł się upokorzony, wiedząc, że Juliana stoi na balkonie i porównuje owe doskonałe tryle Moncady z niepewnymi dźwiękami mandoliny, którymi on usiłował wyrzeć na niej wrażenie. Półgłosem męł w ustach przekleństwa, gdy nagle w drzwiach jego pokoju pojawił się Bernardo i dał mu znak, żeby poszedł za nim i żeby wziął ze sobą szpadę. Zaprowadził go na piętro przeznaczone dla służących, gdzie Diego nie postawił jeszcze stopy, mimo że mieszkał w tym domu już prawie rok, a stamtąd przez kuchenne drzwi wyszli na ulicę. Przytuleni do ściany niepostrzeżenie zbliżyli się do miejsca, gdzie stał rywal Diega, popisujący się włoskimi balladami. Bernardo wskazał na bramę za plecami Moncady, a wtedy wściekłość Diega ustąpiła miejsca szatańskiej satysfakcji, gdyż to nie jego rywal śpiewał, lecz jakiś schowany w cieniu mężczyzna.

Diego i Bernardo odczekali do końca serenady. Uczestnicy koncertu wsiedli do powozów i zaczęli się rozjeżdżać, a jeden ze służących wręczył kilka monet prawdziwemu tenorowi. Upewniwszy się, że śpiewak jest sam, młodzieńcy dopadli go z zaskoczenia. Nieznajomy zasyczał jak wąż i chciał sięgnąć po zakrzywiony nóż, który nosił za pasem, jednak Diego przyłożył mu do szyi koniec szpady. Mężczyzna cofnął się ze zdumiewającą zręcznością, ale Bernardo podstawił mu nogę i tamten upadł na ziemię. Przekleństwo wyrwało mu się z ust, ale znowu poczuł, że stalowy sztych szpady Diega dźga go w szyję. Nieśmiało świecący księżyc i nikły blask latarni przy domu na tyle rozjaśniały spowijające ulicę ciemności, że można było zobaczyć, iż śpiewakiem jest smagły i mocno zbudowany Cygan, same mięśnie, ścięgna i kości.

- Czego, do diabła, ode mnie chcecie? - wypalił z dzikim wyrazem twarzy.

- Żebyś nam podał swe imię, nic więcej. Możesz sobie zatrzymać te nieuczciwie zarobione pieniądze - odparł Diego.

- Na co ci moje imię?

- Gadaj! - zażądał Diego, naciskając szpadą, spod której pociekło kilka kropli krwi.

- Pelayo - powiedział Cygan.

Diego cofnął stalowe ostrze, a mężczyzna zrobił krok w tył i w jednej chwili zniknął w mroku ulicy, bezszelestnie i szybko jak kot.

- Zapamiętajmy to imię, Bernardo. Sądzę, że jeszcze się spotkamy z tym piękniśm. Nie mogę pisać o tym ani słowa Julianie, bo gotowa pomyśleć, że robię to przez złośliwość albo zazdrość.

Muszę znaleźć inny sposób, żeby uświadomić jej, że ów głos tenora nie należy do Moncady. Masz jakiś pomysł, Bernardo? Jak będziesz miał, to daj mi znać - powiedział Diego.

Częstym gościem w domu Tomása de Romeu był nieformalny namiestnik Napoleona w Barcelonie, kawaler Roland Duchamp, znany jako Chevalier, szara eminencja władzy, osoba bardziej wpływowa, jak powiadano, niż sam król Józef I. Napoleon stopniowo odbierał władzę bratu, gdyż nie potrzebował go już do przedłużenia dynastii; teraz sam miał syna, chorowitego malca o przydomku „Orlątko”, który od wczesnego dzieciństwa ugiął się pod ciężarem tytułu króla Rzymu. Chevalier dowodził szeroką siatką szpiegów, którzy informowali go o planach jego wrogów na długo przedtem, zanim tamci w ogóle zdążyli je sformułować. Miał status ambasadora, jednak w rzeczywistości opowiadali się mu nawet wojskowi dowódcy wysokiej rangi. W tym mieście, gdzie Francuzi byli znienawidzeni, nie żyło mu się przyjemnie. Ludzie z klas wyższych trzymali się od niego z daleka, chociaż przypochebiał się im, zapraszał na bale, przyjęcia i do swojej łoży w teatrze, podobnie jak próbował pozyskać sobie gmin, rozdając chleb i wydając zezwolenia na walki byków, które wcześniej były zakazane. Ale nikt nie chciał uchodzić za „sfrancuziałego”. Zamożni i wpływowi mieszkańcy miasta, jak Eulalia de Callís, nie mieli odwagi mu się nie kłaniać, jednak nie przyjmowali jego zaproszeń. Natomiast Tomás de Romeu czuł się zaszczycony jego przyjaźnią, gdyż podziwiał wszystko, co pochodziło z Francji, poczynając od idei filozoficznych i wysublimowanej kultury, a kończąc na samym Napoleonie, którego porównywał z Aleksandrem Wielkim. Wiedział, że Chevalier ma powiązania z tajną policją, jednak nie dawał wiary pogłoskom, jakoby był odpowiedzialny za tortury i egzekucje w Cytadeli. Wydawało mu się niemożliwe, aby ktoś tak wytworny i wykształcony miał coś wspólnego z okropnościami, jakie przypisywano wojskowym. Rozmawiali o sztuce, o książkach, o nowych odkryciach naukowych, o postępach w astronomii; komentowali sytuację w hiszpańskich koloniach w Ameryce Południowej, Wenezueli, Chile i innych, które ogłosiły niepodległość.

Podczas gdy dwaj dżentelmeni spędzali wspólnie miłe godziny przy francuskim koniaku i kubańskich cygarach, Agnès Duchamp, córka Chevaliera, i Juliana zaczytywały się we francuskich powieściach; robiły to za plecami Tomása de Romeu, który nigdy nie pozwoliłby na taką lekturę. Głęboko przeżywały miłości bohaterów napotykające na rozliczne przeszkody i oddychały z ulgą, kiedy wszystko kończyło się szczęśliwie. Moda na romantyzm jeszcze do Hiszpanii nie dotarła i zanim w życiu Juliany pojawiła się Agnès, dziewczyna czytała tylko pewne pozycje z klasyki, które mogła znaleźć w domowej bibliotece, dobierane przez jej ojca wedle kryteriów dydaktycznych. Przy lekturze owych romansideł obecne były Isabel i Nuria. Pierwsza wyśmiewała się z nich, jednak nie traciła ani słowa, druga zaś otwarcie zalewała się łzami. Dziewczęta wyjaśniały jej, że to, o czym opowiadały książki, w rzeczywistości się nie zdarzyło i jest jedynie wymysłem autora, ale Nuria im nie wierzyła. Niepowodzenia bohaterów zasmucały ją do tego stopnia, że ta, która czytała głośno i zmieniła fabułę powieści, żeby jej nie martwić. Ochmistrzyni nie umiała czytać, ale wszelkie słowo pisane budziło w niej tak wielki szacunek, jakby to była Biblia. Kupowała ilustrowane broszury opowiadające o żywotach męczenników, nafaszerowane okrucieństwem, i Juliana czy Isabel musiały jej te okropności czytać wciąż od nowa. Była pewna, że ci wszyscy nieszczęśnicy byli patriotami zakatowanymi na śmierć przez Maurów w Grenadzie. Próżno było jej tłumaczyć, że Rzymskie Koloseum, jak sama jego nazwa wskazuje, leży w Rzymie. Ponadto jak każda dobra Hiszpanka była przekonana, że wprawdzie Chrystus umarł na krzyżu za ludzkość w ogóle, jednak za Hiszpanię w szczególności. To, czego Napoleonowi i Francuzom najbardziej nie mogła wybaczyć, to tego, że byli ateistami, dlatego po każdej wizycie Chevaliera skrapiała wodą święconą fotel, w którym siedział. Przyczyny, dla której jej pan również nie wierzył w Boga, dopatrywała się w przedwczesnej śmierci jego żony, matki dziewczynki. Była pewna, że u don Tomása to stan przejściowy; na łożu śmierci z pewnością odzyska rozum i wezwie spowiednika, aby otrzymać rozgrzeszenie, co koniec końców robili wszyscy, bez względu na to, za jakich zatwardziały ateistów pragnęli uchodzić, dopóki cieszyli się dobrym zdrowiem.

Agnès była drobna, uśmiechnięta i żywa, miała jasną cerę, filuterne spojrzenie i dołeczki w policzkach, na kostkach palców i łokciach. Powieści, których się nacytała, sprawiły, że była przedwcześnie dojrzała, i będąc w wieku, kiedy inne dziewczęta jeszcze nie wychodziły z domu, prowadziła tryb życia dorosłej kobiety. Uczestnicząc wraz z ojcem w imprezach towarzyskich, ubierała się zgodnie z najodważniejszą modą prosto z Paryża. Na balach pojawiała się w wilgotnej sukni, dzięki czemu tkanina przylegała jej do ciała i wszyscy mogli podziwiać jej krągłe biodra i wyzywające dziewczęce sutki. Na Diega zagięła parol w chwili, gdy ujrzała go pierwszy raz. Chłopak miał już za sobą problemy dojrzewania i w ciągu owego roku gwałtownie wystrzelił w górę; wzrostem dorównywał teraz Tomasowi de Romeu, a dzięki pożywej katalońskiej diecie i staraniom Nurii przytył, co bardzo

korzystnie wpłynęło na jego wygląd. Jego twarz przybrała wyraz człowieka dorosłego, a za namową Isabel zapuścił nieco włosy, żeby przykryć uszy. Agnès uznała, że wygląda całkiem nieźle, egzotycznie; mogła go sobie wyobrazić na dzikich terytoriach Ameryki w otoczeniu potulnych i nagich Indian. Bez końca wypytywała go o Kalifornię, myśląc ją z jakąś tajemniczą gorącą wyspą, podobną do tej, na której urodziła się niezwykła Józefina Bonaparte; to właśnie ją usiłowała naśladować, nosząc przezroczyście suknie i rozsiewając zapach fiołków. Józefinę poznała w Paryżu na dworze Napoleona, kiedy miała dziesięć lat. Cesarz wyjechał wtedy na jakąś wojnę, a Józefina zaszczyciła Chevaliera Duchampa przyjaźnią, którą można było wziąć za romans. Agnès pozostał w pamięci obraz owej kobiety już w latach i niezbyt urodziwej, której udawało się wyglądać na młodą i piękną; zawdzięczała to wdzięcznym ruchom, sennemu głosowi i subtelnemu zapachowi, jaki wokół siebie rozsiewała. Od tamtego czasu minęły ponad cztery lata. Józefina nie była już cesarzową Francji, gdyż Napoleon zastąpił ją jakąś banalną austriacką księżniczką, której jedyny urok, zdaniem Agnès, polegał na tym, że urodziła syna. Płodzenie dzieci jest takie prostackie! Dowiedziawszy się, że Diego jest jedynym spadkobiercą Alejandra de la Vegi, właściciela rancza wielkości niewielkiego państwka, pomyślała sobie, że dobrze by się czuła, jako pani na owych bajecznych włościach. Zaczekała na odpowiednią chwilę i zza wachlarza wyszeptwała, żeby ją odwiedził, aby mogli porozmawiać na osobności, gdyż w domu Tomása de Romeu zawsze są pilnowani przez Nurię; w Paryżu nikt już nie trzyma ochmistrzyni, ten zwyczaj to czysty przeżytek, dodała. Dla przypiecztowania zaproszenia wręczyła mu batystową, obszywaną koronkami i pachnącą fiołkami chusteczkę, na której zakonnice wyszyły jej pełne imię. Diego nie wiedział, co odpowiedzieć. Przez tydzień usiłował wzbudzić zazdrość Juliany, mówiąc jej o Agnès i wymachując chusteczką w powietrzu, ale osiągnął skutek przeciwny do zamierzonego, gdyż dziewczyna uprzejmie zaoferowała mu pomoc w jego amorach. Ponadto Isabel i Nuria naśmiewały się z niego bezlitośnie, tak więc w końcu wyrzucił chusteczkę do śmieci. Bernardo wyjął ją i schował, wierny swojej teorii, że wszystko może się kiedyś przydać.

Diego często widywał Agnès Duchamp, gdyż dziewczyna stała się częstym gościem w domu rodziny de Rameu. Była młodsza od Juliany, ale biła ją na głowę sprytem i doświadczeniem. W innych okolicznościach Agnès nie zniżyłaby się do tego, żeby zadawać się z dziewczyną tego pokroju co Juliana, jednak zła reputacja ojca zamknęła przed nią wiele drzwi i pozbawiła przyjaciółek. Ponadto Juliana słynęła z urody i - chociaż początkowo Agnès wołała nie czynić tego typu porównań - szybko zdała sobie sprawę, że już samo imię Juliany de Romeu przyciąga kawalerów, na czym ona przy okazji może skorzystać. Pragnąc wykręcić się od miłosnych zakusów Agnès Duchamp, które przybrały na intensywności i częstotliwości, Diego próbował zmienić opinię, jaką dziewczyna wyrobiła sobie na jego temat. Już nie był bogatym i odważnym ranczerem galopującym ze szpadą przy boku po dolinach Kalifornii; teraz komentował listy, jakie rzekomo otrzymywał od ojca, w których ten donosił mu o grożącej rodzinie ruinie finansowej, nie mówiąc już o innych kłopotach. Nie miał pojęcia, jak bliskie prawdy były owe kłamstwa, o czym miał się przekonać za kilka lat. Żeby już ostatecznie zamknąć sprawę, zaczął naśladować wyszukane maniery nauczyciela tańca Juliany i Isabel i nosić takie same jak on opięte spodnie. Na spojrzenia Agnès, rodem z romansideł, odpowiadał krygowaniem się i nagłymi migrenami, aż w końcu udało mu się zaszczepić w dziewczynie podejrzenie, że jest nieco zniewieściały. Taka podstępna gra doskonale pasowała do jego błazeńskiej osobowości. „Po co robisz z siebie idiotę?” - pytała go nieraz Isabel, która od początku była wobec niego brutalnie szczerą. Juliana, jak zawsze pogrążona w swoim powieściowym świecie, nawet nie zauważyła, jaką komedię grał Diego w obecności Agnès. W porównaniu z Isabel, która z łatwością go rozszyfrowywała, Juliana była rozpaczliwie naiwna.

Tomás de Romeu zaczął zapraszać Diega na kieliszek czegoś mocniejszego na lepsze trawienie, jaki zwykle wypijał po kolacji z Chevalierem, gdyż zauważył, że ten interesuje się jego młodym gościem. Chevalier wypytywał go, czym w wolnym czasie zajmują się studenci Kolegium Nauk Humanistycznych, jakie są poglądy polityczne młodzieży, o czym plotkuje ulica i służba, jednak Diego wiedział, czym on się zajmuje i był bardzo ostrożny. Gdyby powiedział prawdę, mógłby napotkać biedy niejednemu z kolegów i profesorów, którzy byli zażartymi wrogami Francuzów, mimo że większość popierała wprowadzane przez nich reformy. Na wszelki wypadek zaczął przy Chevalierze udawać, że ma ptasi mózdzek, i zachowywać się w równie afektowany sposób, jak to czynił w obecności Agnès Duchamp, a robił to z takim powodzeniem, że Francuz zaczął uważać go za świszczypałę i człowieka bez kręgosłupa. Francuz nie mógł zrozumieć zainteresowania, jakim de la Vegę darzyła jego córka. Jego zdaniem hipotetyczna fortuna młodzieńca nie rekompensowała jego porażającej lekkomyślności. Chevalier był człowiekiem żelaznego charakteru, inaczej nie mógłby robić w Katalonii tego, co robił, i szybko znudziły go komunały wygłaszane przez Diega. Przestał go wypytywać i czasami w jego obecności pozwalał sobie na komentarze, których - gdyby miał o nim lepsze mniemanie - z pewnością by nie wypowiadał.

- Wracając wczoraj z Gerony, widziałem pocięte na kawałki ciała powieszzone na drzewach albo nabite na lance przez partyzantów. Sępy zrobiły sobie ucztę. Cały przesiąkłem tym smrodem... - opowiadał Chevalier.

- A skąd pan wie, że to robota partyzantów, a nie francuskich żołnierzy? - zapytał Tomás de Romeu.

- Jestem dobrze poinformowany, przyjacielu. Katalońscy partyzanci są okrutni. Przez to miasto są przemycane tysiące sztuk broni, a całe arsenały znajdujemy nawet w kościelnych konfesjonatach. Partyzanci tarasują drogi, a mieszkańcy cierpią głód, bo nie docierają do nich jarzyny ani chleb.

- To niech jedzą biszkopty - uśmiechnął się Diego, parafrazując słynne zdanie królowej Marii Antoniny, i włożył do ust migdałowy cukierek.

- Sytuacja jest poważna, nie pora na żarty, młodzieńcze - odparł urażony Chevalier. - Od jutra nie będzie wolno chodzić w nocy z latarniami, bo oni dają sobie nimi znaki, ani nosić peleryn, gdyż ukrywają pod nimi sztucery i sztylety. Wystarczy, jak wam powiem, panowie, że wpadli na pomysł, aby prostytutki obsługujące francuskich żołnierzy zarazić ospą!

- Ależ panie Duchamp! - wykrzyknął Diego z udawanym oburzeniem.

- Kobiety i księża ukrywają broń pod ubraniami i używają dzieci do przenoszenia meldunków i podpalania składów prochu. Będziemy musieli zrobić najście na pewien szpital, gdyż doniesiono nam, że łóżka rzekomych położnic służą jako schowki na karabiny i szpady.

W godzinę później Diego de la Vega zdołał uprzedzić dyrektora szpitala położniczego, że lada chwila przyjdą Francuzi. Dzięki informacjom, jakich dostarczał mu Chevalier, udało mu się uchronić przed niebezpieczeństwem niejednego studenta z Kolegium Nauk Humanistycznych i wielu sąsiadów. Jednocześnie, dowiedziawszy się, że miano dostarczyć do koszar zatruty chleb, wysłał do Chevaliera anonimowy list. Jego interwencja uratowała życie trzydziestu żołnierzom wroga. Diego sam nie do końca rozumiał racje, jakie nim powodowały; z jednej strony nienawidził wszelkiej zdrady i perfidii, z drugiej zaś pociągały go gra i ryzyko. Taki sam wstręt budziły w nim metody stosowane przez partyzantów co przez wojska okupacyjne.

- W tym wypadku nie ma co szukać sprawiedliwości, Bernardo, gdyż nie znajdzie się jej po żadnej stronie. Możemy jedynie starać się ograniczyć przemoc. Mam dosyć tego horroru, tych okropności. Wojna nie ma w sobie nic szlachetnego ani chwalebne - wyznał mlecznemu bratu.

Partyzanci bezustannie nękali Francuzów i wzywali naród do oporu. Pomagała im ludność cywilna, dzięki niej docierało do nich zaopatrzenie, spływały informacje, mogli korzystać z poczty, szpitali i cmentarzy. Chłopi, piekarze, cieśle, rzemieślnicy, kupcy, za dnia zwyczajni, prości ludzie, nocą walczyli z najeźdźcą. Zaciekły powszechny opór osłabiał okupanta, lecz zarazem rujnował kraj, gdyż na hiszpańskie zawołanie „Wojna choćby na lemiesz!” Francuzi odpowiadali taką samą zaciekłością.

Za najważniejsze ze wszystkich swoich zajęć Diego uważał lekcje szermierki. Pamiętał, że nie wolno mu się spóźniać, gdyż mistrz odprawiłby go raz na zawsze. Za kwadrans ósma zjawiał się pod drzwiami Akademii, pięć minut później służący wpuszczał go do środka i punktualnie o ósmej stawał przed mistrzem z floretem w dłoni. Po skończonej lekcji ten zwyczaj go zatrzymywał jeszcze na kilka minut, a wtedy rozmawiali o szlachetnej sztuce fechtunku, o tym, że noszenie szpady u pasa jest wielkim zaszczytem, o czasach wojskowej świetności Hiszpanii, zgadzali się, że każdy szanujący się dżentelmen w obronie swego imienia winien stanąć do pojedynku, chociaż ostatnio były one zakazane. Potem przechodzili do tematów niezwiązanych z szermierką i wtedy ów wyniosły człowieczek o wyglądzie wymuskanego fircyka, aż do przesady przewrażliwiony na punkcie swojego honoru i godności, odślaniał inną stronę swego charakteru. Manuel Escalante pochodził z rodziny kupieckiej, ale przypadł mu w udziale lepszy los niż jego braciom, gdyż był geniuszem szpady. Szermierka umożliwiła mu osiągnięcie wyższej pozycji społecznej; stworzył sobie nową osobowość i objechał całą Europę, gdzie otarł się o środowisko szlachty i dżentelmenów. Ale, wbrew pozorom, w życiu najważniejsze nie było dla niego zdobycie szlacheckiego tytułu ani takie pchnięcia szpada, które by przeszły do historii, ale sprawiedliwość. Domyślił się, że Diego także przedkłada sprawiedliwość nad wszystko inne, chociaż jest jeszcze zbyt młody, aby zdawać sobie z tego sprawę. Wówczas zrozumiał, że w jego życiu pojawił się wzniosły cel: pokierować tym młodzieńcem tak, aby poszedł w jego ślady, i uczynić go orędownikiem słusznej sprawy. Uczył fechtunku setki dżentelmenów, jednak żaden z nich nie okazał się godzien takiego wyróżnienia. Brakowało im owego gorejącego płomienia, jaki natychmiast odkrył u Diega, gdyż taki sam płomień trawił i jego. Postanowił jednakże poznać swego ucznia lepiej i przekonać się, czy jest on rzeczywiście właściwym człowiekiem, zanim dopuści

go do swych sekretów. Temu właśnie służyły pogawędki przy kawie. Diego z właściwą sobie szczerością i otwartością opowiedział mu, między innymi, o swoim dzieciństwie w Kalifornii, o przygodzie z niedźwiedziem w kapeluszu, o ataku piratów; wyjaśnił, dlaczego Bernardo zaniemógł, i opisał tę scenę, kiedy żołnierze spalili indiańską wioskę. Gdy opowiadał o tym, jak powieszono starego wodza plemienia, a mężczyzn wychłostano i uprowadzono, by biali mieli niewolników do pracy, drżał mu głos.

Od czasu do czasu Diego składał kurtuazyjne wizyty doñi Eulalii de Callís, bardziej z polecenia rodziców niż z własnej inicjatywy. Jej pałacyk stał przy ulicy Świętej Eulalii i zrazu Diego sądził, że została nazwana od imienia doñi de Callís; dopiero rok później dowiedział się, kim była owa mityczna Eulalia, ukochana święta mieszkańców Barcelony, zmarła męczeńską śmiercią dziewica. Według legendy, zanim ją ukrzyżowano, obcięto jej obie piersi, wsadzono ją do beczki wypełnionej odłamkami szkła i następnie przetoczono. Rezydencja dawnej gubernatorowej Kalifornii była jedną z pereł architektury miasta, a jej urządzone z przesadnym zbytkiem wnętrza szokowały oszczędnych Katalończyków, dla których wszelka ostentacja była oznaką złego gustu. Eulalia spędziła wiele lat w Meksyku i nabrała zamiłowania do barokowego przepychu. Jej prywatny dwór liczył kilkaset osób, na co mogła sobie pozwolić dzięki dochodom ze sprzedaży kakao. Mążonek doñi Eulalii, zanim umarł w Meksyku rażony apopleksją, założył na Antylach przedsiębiorstwo zaopatrujące hiszpańskie fabryki czekolady, co pomnożyło majątek rodziny. Tytuły Eulalii nie były ani zbyt stare, ani zbyt imponujące, ale pieniądze hojnie jej to rekompensowały. Podczas gdy szlachta traciła swoje dochody, przywileje, ziemie i beneficja, ona - dzięki nieprzerwanie płynącej z Ameryki do jej skarbcza czekoladowej rzece pieniędzy - ciągle się bogaciła. W innych czasach szlachta o lepszym od niej rodowodzie, sięgającym niekiedy do czasów sprzed roku 1400, pogardzałyby należącą do „szlacheckiego plebsu” Eulalią, jednak w obecnej sytuacji nie można było sobie pozwolić na takie arystokratyczne grymasy. Teraz bardziej od pochodzenia liczyły się pieniądze, a ona miała ich dużo. Inni posiadacze ziemscy skarżyli się, że ich chłopci odmawiają płacenia podatków i innych należności, jednak ona nie miała tego problemu, gdyż posiadała doborową grupę gotowych na wszystko awanturników, których zadaniem było ściąganie wszelkich długów. Poza tym większość jej wpływów pochodziła z zagranicy. Eulalia stała się jedną z najznakomitszych osobistości miasta. Zawsze, gdziekolwiek się udawała, nawet do kościoła, wybierała się z całym orszakiem służby, która wraz z jej psami jechała za nią kilkoma powozami. Służący doñi Eulalii nosili błękitne livery i kapelusze z pióropuszcami, które wzorując się na przedstawieniach operowych, sama zaprojektowała. Z latami przybrała na wadze, a jej uroda przygasała; przeistoczyła się w matronę w wiecznej żałobie, łakomą, otoczoną księżmi, dewotkami i podobnymi do łysych szczurów pieskami chihuahua, które siusiały gdzie popadnie. Całkowicie wyzwoliła się z namiętności, jakie targały nią za młodu, nie farbowała już włosów na rudo i nie kąpała się w mleku jak niegdyś. Teraz zainteresowana była jedynie tym, aby bronić czystości swego rodu, pomnażać swój majątek, zapewnić sobie po śmierci miejsce w raju i wszelkimi sposobami doprowadzić do powrotu Ferdynanda VII na tron Hiszpanii. Była przeciwniczką liberalnych reform.

Odwiedzanie Eulalii de Callís z obowiązku było dla Diega prawdziwym poświęceniem. Nie miał o czym z wdową rozmawiać, ograniczał się do czterech grzecznościowych frazesów na krzyż i nigdy nie wiedział, w jakiej kolejności używać leżących na stole łyżeczek i widelców. Był świadom, że Eulalia de Callís nie znosi Tomása de Romeu, a to z dwóch ważkich powodów: po pierwsze - bo jest „sfrancuziały”, po drugie - gdyż jest ojcem Juliany, którą jej ukochany bratanek i główny spadkobierca Rafael Moncada darzy afektem. Eulalia widywała Julianę na mszy i musiała przyznać, że jest niebrzydka, jednak wobec swego bratanka miała bardziej ambitne plany. Dyskretnie negocjowała jego małżeństwo z jedną z córek księcia Medinacelli. Diego też pragnął, aby Rafael nie ożenił się z Julianą, i to było wszystko, co miał wspólnego z ową damą.

Podczas czwartej z kolei wizyty w pałacyku doñi Eulalii, wiele miesięcy od incydentu z serenadą pod oknem Juliany, Diego miał okazję nieco bliżej poznać Rafaela Moncadę. Kilkakrotnie natknęli się na siebie podczas imprez towarzyskich i sportowych, ale nie wyszli poza grzecznościową wymianę ukłonów i uchylenie kapelusza. Moncada nie uważał Diega za kogoś godnego uwagi, a jego istnienie dostrzegał tylko z tego powodu, że mieszkał z Julianą de Romeu pod jednym dachem. Gdyby nie to, patrzyłby na niego nie inaczej niż na deseń na dywanie. Tego wieczoru Diego z zaskoczeniem stwierdził, że rezydencja doñi Eulalii jest rzęsiście oświetlona, a na dziedzińcu stoją rzędem dziesiątki powozów. Do tej pory bywał przez nią zapraszany jedynie na spotkania z artystami i jeden raz na prywatną kolację, podczas której wypytywała go o Reginę. Diego sądził, że się go wstydzi nie z tego powodu, że przybywał z kolonii, ale że jest Metysem. W Kalifornii Eulalia bardzo dobrze potraktowała jego matkę, mimo iż Regina miała więcej z Indianki niż z białej, jednak odkąd zamieszkała w

Hiszpanii, nabrała pogardy dla ludzi z Nowego Świata. Powiadano, że ze względu na klimat i wymieszanie z tubylcami Kreole przejawiają wrodzoną skłonność do barbarzyństwa i perwersji. Zanim doña Eulalia zdecydowała się przedstawić go swemu doborowemu towarzystwu, chciała poznać go dokładniej. Nie chciała się najeść wstydu, wołała się upewnić, że wygląda jak biały, chodzi dobrze ubrany i ma odpowiednie maniere.

Tym razem zaprowadzono Diega do wspaniałego salonu, w którym zebrana się śmietanka towarzyska katalońskiej szlachty z obsypaną diamentami dołą Eulalią na czele - jak zwykle w czarnej aksamitnej sukni na znak wiecznej żałoby po Pedrze Fagesie - która zasiadała w fotelu z baldachimem niczym biskup. Zwykle wdowy grzebały się za życia, kryjąc się pod ciemnym welonem, który zasłaniał je od czubka głowy po łokcie, ale nie ona. Eulalia prezentowała swoje klejnoty na śmiało odsłoniętym wydatnym biuście dobrze odkarmionej kury. Oszolomiony blaskiem diamentów i obfitością ciała Diego nie mógł oderwać wzroku od jej ogromnych piersi, przypominających melony w pełni lata. Dama podała mu tłustą rączkę, którą on należycie ucałował, zapytała go o rodziców, i nie czekając na odpowiedź, odprawiła niedbałym gestem.

W wydzielonych salonach dyskutowano o polityce i interesach, a młodzież - pod bacznym wzrokiem matron obserwujących swoje córki - tańczyła przy dźwiękach orkiestry. W jednej z sal przy kilku stołach grano w karty; była to najpopularniejsza rozrywka na europejskich dworach, jedyny sposób na nudę, nie licząc intryg, polowań i przelotnych miłostek. Zakładano się o wielkie fortuny i zawodowi karciarze jeździli od pałacu do pałacu, żeby ogrywać gnuśnych magnatów, którzy, nie znajdując chętnych do gry wśród przedstawicieli swojej klasy, szukali ich w szulerniach i spelunkach, od których w Barcelonie aż się roiło. Przy jednym ze stołów Diego ujrzał Rafaela Moncadę grającego w oczko z innymi dżentelmenami. Jednym z nich był hrabia Orłów. Diego poznał go od razu po wspaniałej postawie i słynnych niebieskich oczach, które w trakcie wizyty Rosjanina w Los Angeles rozпалиły wyobraźnię tak wielu kobiet, jednak nie spodziewał się, że hrabia rozpozna jego. Widział go przecież tylko raz, kiedy był jeszcze chłopcem. „De la Vega!” - wykrzyknął Orłów i poderwawszy się na równe nogi, uściskał go wylewnie. Zaskoczony Rafael Moncada podniósł oczy nad kart i pierwszy raz uświadomił sobie w pełni istnienie Diega. Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, podczas gdy wytworny Rosjanin donośnym głosem opowiadał, jak to ów młodzian polował na niedźwiedzie, będąc zaledwie kilkuletnim brzdącem. Tym razem nie było Alejandra de la Vegi, który by skorygował jego podkoloryzowaną opowieść. Mężczyźni zaklaskali uprzejmie, po czym powrócili do gry. Diego stanął w pobliżu stołu, nie mając śmiałości poprosić, aby pozwolono mu wziąć w niej udział (choćby potencjalni przeciwnicy nie wydawali się groźni), albowiem nie dysponował kwotami, o jakie tu grywano. Ojciec wysyłał mu pieniądze regularnie, ale nie był hojny, uważał, że wyrzeczenia hartują charakter. Diegowi wystarczyło pięć minut, aby się zorientować, że Rafael Moncada oszukuje, gdyż on sam doskonale wiedział, jak to robić, kolejnych zaś pięć, aby uznać, że skoro nie może go zdemaskować, co wywołałoby skandal, czego doña Eulalia nigdy by mu nie wybaczyła, to przynajmniej może mu przeszkodzić. Pokusa upokorzenia rywala była nie do odparcia. Stanął tuż obok Moncady i zaczął wpatrywać się w niego tak uporczywie, że tamten w końcu poczuł się nieswojo.

- Czemu nie pójdzie pan do drugiego salonu potańczyć z pięknymi paniami? - zapytał bezczelnie Moncada.

- Niezwykle mnie interesuje pański specyficzny sposób gry, Ekscelencjo, niewątpliwie mogę się od pana wiele nauczyć... - odparł Diego, uśmiechając się tak samo bezczelnie jak tamten.

Hrabia Orłów w lot chwycił znaczenie tych słów i wbiwszy wzrok w Moncadę, lodowatym tonem rzucił uwagę, że w samej rzeczy jego szczęście do kart jest iście niebywałe. Rafael Moncada nie odpowiedział, jednak od tej chwili nie mógł dalej oszukiwać, gdyż pozostali gracze zaczęli go obserwować ze szczególną uwagą. Przez następną godzinę Diego nie odstąpił go ani na krok i aż do zakończenia partii patrzył mu na ręce. Hrabia Orłów pożegnał się, stukając obcasami, i odszedł, unosząc w sakiewce sporą sumkę, resztę nocy postanowiwszy przetańczyć. Dobrze wiedział, że na przyjęciu nie ma ani jednej kobiety, która nie zwróciłaby uwagi na jego wspaniałą sylwetkę, szafirowe oczy i efektowny mundur carskiego huzara.

Była to jedna z owych zimnych i wilgotnych barcelońskich nocy, gdy niebo wygląda jakby było z ołowiu. Bernardo czekał na Diega na dziedzińcu, dzieląc się winem i kawałkiem twardego sera z Juanillem, jednym z licznych lokajów pilnujących powozów. Obaj przytupywali na bruku, żeby rozgrzać stopy. Juanillo, niepoprawny gaduła, nareszcie znalazł kogoś, kto go słuchał, nie przerywając. Poinformował go, że jest służącym Rafaela Moncady (o czym Bernardo już wiedział i właśnie dlatego do niego podszedł), i zaczął opowiadać jakąś niekończącą się, naszpikowaną plotkami historię, której szczegóły Bernardo rejestrował w pamięci. Przekonał się, że wszelkie informacje, nawet najbliższe, w jakimś momencie mogą się przydać. Na to wyszedł rozeźlony Rafael Moncada i kazał sprowadzić swój powóz.

- Zabroniłem ci rozmawiać z innymi służącymi! - huknął na Juanilla.
- To tylko ten Indianin z Ameryki, Ekszelencjo, służący don Diega de la Vegi.

Pragnąc się zemścić na Diegu, który przy karcianym stole wpakował go w tarapaty, Rafael Moncada odwrócił się na pięcie, uniósł w górę laskę i opuścił ją na plecy Bernarda, który upadł na kolana, raczej pod wpływem zaskoczenia niż z bólu. Klęcząc na ziemi, Bernardo usłyszał, jak Moncada wysłała Juanilla na poszukiwanie Pelaya. Moncada nie zdążył jeszcze usiąść wygodnie w karocy, kiedy na dziedzińcu pojawił się Diego. Przybył w samą porę, aby zobaczyć, co się stało, odsunął lokaja na bok, przytrzymał drzwiczki powozu i spojrzał groźnie na Moncadę.

- Czego pan chce? - zapytał tamten zmieszany.
- Uderzył pan Bernarda! - zawołał Diego posiniały z gniewu.
- Kogo? Ma pan na myśli tego Indianina? Ubliżył mi, podniósł na mnie głos!
- Bernardo nie może podnieść głosu nawet na samego diabła, bo jest niemową. Jest mu pan winien przeprosiny! - huknął Diego.
- Pan postradał rozum! - krzyknął tamten z niedowierzaniem w głosie.
- Bijąc Bernarda, obraził pan mnie. Musi pan go przeprosić albo przysłać panu moich sekundantów - odrzekł Diego.

Rafael Moncada roześmiał się szczerze. Nie chciało mu się wierzyć, że ten Kreol bez wykształcenia i bez klasy byłby gotów stanąć z nim do walki. Zatrzasnął drzwiczki i kazał stangretowi ruszać. Bernardo chwycił Diega za ramię, błagając go wzrokiem, żeby się uspokoił, że nie warto robić takiego zamieszania, ale Diego nie panował nad sobą i trząsał się z oburzenia. Wyrwał się Bernardowi, wskoczył na konia i pogalopował do rezydencji Manuela Escalante.

Mimo iż wczesne godziny świtu były najmniej odpowiednią porą na składanie wizyt, Diego tak długo walił laską w drzwi Manuela Escalante, aż w końcu otworzył mu je ten sam stary służący, który po każdej lekcji podawał kawę. Zaprowadził go na drugie piętro, gdzie Diego musiał odczekać pół godziny, bo mistrz, zanim się pojawił, musiał zadbać o swój wygląd, wprawdzie był w szlafroku, ale miał starannie napomadowane wąsy. Bełkocąc z przejęcia, Diego opowiedział mu, co się stało, i poprosił, żeby został jego sekundantem. Miał dwadzieścia cztery godziny na dopełnienie wszelkich formalności i musiał to zrobić dyskretnie, za plecami władz, gdyż zabicie przeciwnika w pojedynku było karane jak zwykłe zabójstwo. Tylko arystokraci mogli się pojedynkować, nie ponosząc żadnych konsekwencji, ponieważ im wszystkie zbrodnie zawsze uchodziły na sucho, natomiast Diego nie mógł liczyć na bezkarność.

- Pojedynek to poważna sprawa, bo dotyczy honoru dżentelmenów. Ma swoją etykietę i bardzo sztywne zasady. Szlachcic nie pojedynkuje się z powodu służącego - powiedział Manuel Escalante.
- Bernardo to mój brat, maestro, a nie służący. Jednak nawet gdyby był służącym, to Moncada nie miał prawa poniewierać bezbronną osobą, to niesprawiedliwe.
- Niesprawiedliwe, powiada pan? Naprawdę sądzi pan, że życie jest sprawiedliwe, señor de la Vega?
- Nie, maestro, ale zamierzam zrobić wszystko co w mojej mocy, aby takie było - odparł Diego.

Procedura okazała się bardziej skomplikowana, niż Diego przypuszczał. Najpierw Manuel Escalante kazał mu napisać list do Moncady, aby się wytłumaczył ze swego postępowania, i sam osobiście zaniósł go do domu wyzwanego. Od tej chwili mistrz kontaktował się z sekundantami Moncady, którzy robili wszystko, aby zapobiec pojedynkowi - co było ich obowiązkiem - jednak żaden z przeciwników nie chciał ustąpić. Poza sekundantami potrzebni byli jeszcze jakiś dyskretny lekarz i dwóch bezstronnych świadków, obdarzonych zimną krwią i znających zasady; tych ostatnich zobowiązał się znaleźć Manuel Escalante.

- Ile pan ma lat, don Diego? - zapytał mistrz.
- Prawie siedemnaście.
- W takim razie jest pan zbyt młody, żeby się pojedynkować.
- Maestro, robi pan z igły widły. Jakie znaczenie ma tych kilka miesięcy w tę czy w tamtą stronę? Gra idzie o mój honor, a on nie ma wieku. Błagam!
- W porządku, ale don Tomás de Romeu powinien o tym wiedzieć, inaczej mógłby poczuć się urażony, wszak darzy pana swoim zaufaniem i gości w swoim domu.

Tym sposobem de Romeu został drugim sekundantem Diega. Zrobił wszystko, co mógł, żeby odwieść go od tego pomysłu, bo gdyby wynik pojedynku okazał się dla chłopca fatalny, nie umiałby się wytłumaczyć przed Alejandrem de la Vega. Bez skutku. Asystował przy kilku lekcjach Diega w akademii mistrza Escalante i wierzył w jego umiejętności, jednak jego względny spokój diabli wzięli, kiedy sekundanci Moncady oświadczyli mu, że ten w ostatniej chwili skrzył nogę w kostce i nie może walczyć na szpady. Pojedynek miał być na pistolety.

Spotkanie wyznaczyli sobie w lesie Montjuic o piątej rano, kiedy było już dosyć jasno i można było poruszać się po mieście, albowiem o tej porze kończyła się godzina policyjna. Nad ziemią unosiła się lekka mgiełka, między drzewami prześwitywało delikatne światło poranka. Dokoła panował taki spokój, że całe to starcie stawało się jeszcze bardziej groteskowe, jednak nikt z obecnych, poza Bernardem, tego nie dostrzegał. Jako służący, Indianin trzymał się na dystans, nie biorąc udziału w rytuale rozgrywającym się wedle ścisłych reguł. Zgodnie z etykietą przeciwnicy przywitani się, po czym świadkowie sprawdzili, czy nie mają na sobie jakiegoś zabezpieczenia przed kulą. Dla ustalenia, kto stanie pod słońce, rzucili monetą; przegrał Diego, który uznał, że jego dobry wzrok wyrówna jego szanse. Jako strona znieważona Diego miał prawo wybrać pistolety i zdecydował się na te, które przed wielu laty Eulalia de Callís posłała jego ojcu do Kalifornii, a które na tę okazję zostały specjalnie oczyszczone i naoliwione. Uśmiechnął się na myśl, że ironicznym zrzędzeniem losu po raz pierwszy miały zostać użyte podczas pojedynku z jej bratankiem. Świadkowie i sekundanci sprawdzili broń i naładowali ją. Uzgodniono, że nie będzie to pojedynek do pierwszej krwi; jeśli tylko lekarz na to pozwoli, obaj mieli prawo kolejno oddawać strzały, choćby któryś z nich został raniony. Ponieważ broń należała do Diega, Moncada jako pierwszy wybrał pistolet, następnie przez losowanie ustalono, kto pierwszy strzela - znowu wypadło na Moncadę - po czym odmierzono piętnaście kroków, jakie miały oddzielać przeciwników.

Rafael Moncada i Diego de la Vega stanęli w końcu twarzą w twarz. Żaden z nich nie zaliczał się do ludzi tchórzliwych, jednak obaj byli bladzi i obaj mieli koszule mokre od zimnego potu. Diega przywiodła tu wściekłość, Moncadę zaś duma, ale gdyby któryś z nich chciał się wycofać, to było już na to za późno. W tym momencie zrozumieli, że mają ryzykować życie, sami właściwie nie wiedząc dlaczego. Bernardo uświadomił Diegowi, iż pojedynkują się nie z powodu tego, że Moncada uderzył go laską, tylko o Julianę, i chociaż Diego gwałtownie zaprzeczył, w głębi duszy wiedział, że on ma rację. Dwieście łokci dalej stał zamknięty powóz, w którym miano ukryć i z największą dyskrecją wywieźć zwłoki pokonanego. Diego nie pomyślał ani o swoich rodzicach, ani o Julianie. W chwili, gdy przyjmował pozycję, ustawiając się tak, aby na cel przeciwnika wystawić jak najmniejszą powierzchnię ciała, przyszła mu na myśl Biała Sowa; jej postać zobaczył tak wyraźnie, że zdawało mu się, iż stoi obok Bernarda. Jego niezwykła babcia w swoim płaszczu z króliczej skóry wyglądała tak samo jak wówczas, gdy ich żegnała, kiedy opuszczali Kalifornię. Dumnym gestem, który Diego nieraz u niej widywał, uniosła w górę swoją laskę szamanki i potrząsnęła nią z mocą w powietrzu.

Diego poczuł się pewny siebie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opuścił go strach i mógł spojrzeć w twarz Moncadzie.

Świadek kierujący pojedynkiem klasnął w ręce, dając znak, żeby się przygotowali. Diego wziął głęboki oddech i bez mrugania powiekami patrzył na przeciwnika, który podniósł pistolet do pozycji do strzału. Dłonie kierującego zaklaskały dwa razy i Moncada wycelował broń. Diego uśmiechnął się do Bernarda i babci, czekając na wystrzał. Dłonie zaklaskały trzy razy i Diego zobaczył błysk, usłyszał huk prochu i w tym samym momencie w lewym ramieniu poczuł piekący ból.

Zachwiał się i przez chwilę wydawało się, że upadnie, rękaw jego koszuli zaczął nasiąkać krwią. Sceneria tego mglistego poranka przypominała subtelną akwarelę, na której kontury drzew i ludzi były rozmyte, a czerwona plama lśniła niczym pieczęć z laku. Kierujący pojedynkiem zwrócił Diegowi uwagę, że ma tylko minutę, by odpowiedzieć na strzał przeciwnika. Diego skinął głową i ustawił się w pozycji do strzału, trzymając pistolet w prawej ręce, podczas gdy z lewej, zwisającej bezwładnie, kroplami sączyła się krew. Stojący na wprost niego Moncada, zmieniony na twarzy i rozdygotany, zamknął oczy. Kierujący pojedynkiem klasnął w ręce raz i Diego podniósł broń; dwa - wycelował; trzy... Oddalony o piętnaście kroków Rafael Moncada usłyszał strzał i jego ciałem targnął gwałtowny wstrząs. Upadł na kolana i dopiero po kilkunastu sekundach zdał sobie sprawę, że jest cały i zdrow: Diego strzelił w ziemię. Zrozumiawszy to, trzęsący się Moncada zaczął wymiotować. Jego sekundanci, zawstyżeni, podeszli do niego, pomogli mu się podnieść i szepnęli ukradkiem, żeby się opanował.

Tymczasem Bernardo i Manuel Escalante pomagali lekarzowi rozerwać koszulę Diega, który stał wyprostowany, zachowując pozorny spokój. Kula musnęła tylną część ramienia, nie naruszając kości ani nie uszkadzając zbytnio mięśnia. Lekarz przyłożył mu do rany chustkę i zawinął rękę, żeby zatrzymać krwotok do chwili, gdy będzie mógł obmyć ranę i spokojnie ją zszyć. Zgodnie z wymogami

etykiety, walczący podali sobie ręce. Udzielili sobie satysfakcji za obrazę honoru i żaden nie chowa urazy do drugiego.

- Dziękuję niebiosom, że pańska rana jest lekka, kawalerze - powiedział Rafael Moncada, odzyskawszy pełną kontrolę nad nerwami. - I proszę o wybaczenie za to, że uderzyłem pańskiego służącego.

- Przeprasiny przyjęte, señor, i przypominam panu, że Bernardo jest moim bratem - odparł Diego.

Bernardo wziął go pod zdrowe ramię i niemal zawlókł do powozu. Tomás de Romeu zapytał później Diega, po co wyzywał Moncadę na pojedynek, skoro nie miał zamiaru do niego strzelać. Diego odparł, że nigdy nie zamierzał obciążać sumienia kimś, kto padając z jego ręki, odebrałby mu spokojny sen, chciał go tylko upokorzyć.

Mężczyźni uzgodnili między sobą, że nie powiedzą o pojedynku ani Julianie, ani Isabel, była to męska sprawa, nie na kobiecą wrażliwość, jednak żadna z dziewcząt nie uwierzyła, że Diego spadł z konia. Isabel tak długo męczyła Bernarda, że ten swoim językiem znaków w końcu opowiedział jej, co się zdarzyło. „Nigdy nie mogłam zrozumieć, co to takiego ten męski honor. Trzeba mieć źle w głowie, żeby ryzykować życie dla jakiejś błahostki” - skomentowała dziewczynka, niemniej jednak ta sprawa zrobiła na niej ogromne wrażenie, co Bernardo łatwo zauważył, albowiem pod wpływem silnych wzruszeń dostawała zeza. Od tej chwili Juliana, Isabel i Nuria rywalizowały o przywilej zanoszenia Diegowi jedzenia. Lekarz zalecił mu kilkudniowy odpoczynek. Były to najszczęśliwsze cztery dni w życiu chłopca; chętnie pojedynekowałby się raz w tygodniu, byle tylko skupić na sobie uwagę Juliany. Kiedy wchodziła, jego pokój napełniał się jakimś niezziemskim światłem. Czekał na nią rozparty w fotelu, w eleganckim szlafroku, z tomikiem sonetów na kolanach, udając, że czyta, chociaż w rzeczywistości liczył minuty do jej przyjścia. Zawsze wtedy ramię bolało go tak bardzo, że Juliana musiała podawać mu zupełną tyżką do ust, przemywać czoło wyciągiem z kwiatu pomarańczy i całymi godzinami zabawiać go grą na harfie, czytaniem i grammi odpowiednimi dla dam.

Wprawdzie rana Diega nie była ciężka, niemniej wymagała pielęgnacji i przejętemu tym Bernardowi wyleciało z głowy, że Rafael Moncada wymienił przy nim imię Pelaya. Przypomniał to sobie dopiero kilka dni później, kiedy dowiedział się od służących, iż tej nocy, kiedy u Eulalii de Callís odbywało się przyjęcie, został napadnięty hrabia Orłow. Rosyjski szlachcic zasiedział się tam do późna, a kiedy wracał do rezydencji, którą wynajął na czas swego krótkiego pobytu w mieście, w jakimś zaułku jego powóz zatrzymała grupa uzbrojonych w sztucery rzeźmieszków. Bez problemu poradzili sobie z czterema lokajami i ogłuszywszy hrabiego straszliwym ciosem, zabrali mu sakiewkę, klejnoty i pelerynę z szynszylki. Napaść przypisano partyzantom, chociaż nie był to typowy dla nich sposób działania. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Barcelona przestała już być miastem bezpiecznym. Wprawdzie wprowadzono przepustki umożliwiające przebywanie na ulicach po godzinie policyjnej, ale co z tego, skoro porządni ludzie nie mogą spokojnie chodzić po mieście? To szczyt wszystkiego, że Francuzi nie są w stanie zapewnić choćby minimum bezpieczeństwa! Bernardo zwrócił uwagę Diega na fakt, że w skradzionej sakiewce znajdowało się złoto, które hrabia Orłow wygrał od Rafaela Moncady przy karcianym stoliku.

- Jesteś pewien, że Moncada mówił o Pelayu? Wiem, co o tym myślisz, Bernardo. Sądzisz, że Moncada jest zamieszany w napad na hrabiego. To bardzo poważne oskarżenie, nie uważasz? Nie mamy dowodów, ale zgadzam się, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności. Ale nawet jeśli Moncada nie miał nic wspólnego z tą sprawą, to w każdym razie jest oszustem. Nie chciałbym go widzieć u boku Juliany, ale nie wiem, jak do tego nie dopuścić - powiedział Diego.

W marcu 1812 roku Hiszpanie uchwalili w Kadyksie liberalną konstytucję opartą na zasadach głoszonych przez rewolucję francuską, z tą różnicą, że za oficjalną religię kraju uznawała ona katolicyzm i zabraniała wyznawania jakiejkolwiek innej. Jak się wyraził Tomás de Romeu, nie było potrzeby walczyć z Napoleonem, skoro koniec końców w sprawach zasadniczych Hiszpanie byli z nim zgodni. „Ta konstytucja zostanie tylko na papierze, bo Hiszpania nie jest jeszcze gotowa na przyjęcie świątłych idei”, brzmiała opinia Chevaliera, który z gestem zniecierpliwienia dodał, że upłynie jeszcze pięćdziesiąt lat, zanim kraj ten na dobre wejdzie w wiek dziewiętnasty.

Podczas gdy Diego spędzał długie godziny w sędziwych murach Kolegium Nauk Humanistycznych, ćwiczył fechtunek i wymyślał coraz to nowe magiczne sztuczki, żeby zdobyć względy niewzruszonej Juliany, która - ledwie wyleczył się z rany - znowu zaczęła traktować go jak brata, Bernardo wałęsał

się po Barcelonie, szurając ciężkimi butami od ojca Mendozy, do których nijak nie potrafił się przyzwyczaić. Na piersi nosił zawsze magiczną sakiewkę z czarnym warkoczem Nocnej Błyskawicy, który do tego czasu nabrał już koloru i zapachu jego skóry, stał się częścią jego ciała. Niemoła, którą sobie narzucił, wyostrzyła mu pozostałe zmysły i mógł kierować się węchem i słuchem. Miał naturę samotnika, a jako cudzoziemiec był tu jeszcze bardziej odizolowany, ale ten stan rzeczy mu odpowiadał. W tłumie nie czuł się osaczony, albowiem nawet pośród największego zgietku zawsze potrafił znaleźć jakiś zaciszny kąt dla swojej duszy. Tęsknił za otwartą przestrzenią, w jakiej wcześniej upływało mu życie, ale to okryte patyną wieków miasto z wąskimi uliczkami, kamiennymi budynkami i mrocznymi kościołami, które kojarzyły mu się z ojcem Mendoza, również mu się podobało. Najbardziej lubił dzielnicę portową, gdzie mógł wpatrywać się w morze i porozumiewać z delfinami z odległych wód. Spacerował bez celu, milczący, niewidzialny, mieszając się z tłumem, żyjąc rytmem Barcelony i reszty kraju. Podczas jednej z takich wędrówek spotkał Pelaya.

Przy wejściu do tawerny siedziała Cyganka, brudna, ale piękna, i łamaną hiszpańszczyzną oznajmiała przechodniom, że przepowiada przyszłość, którą potrafi wyczytać z kart albo z ręki. Chwilę wcześniej jakimś pijanemu marynarzowi wyróżyla, że na dalekiej plaży czeka na niego skarb; zrobiła to, żeby go pocieszyć, albowiem w rzeczywistości w liniach jego dłoni zobaczyła krzyż oznaczający śmierć. Uszedłszy kilka kroków, mężczyzna zdał sobie sprawę, że nie ma swojej sakiewki z pieniędzmi, i pomyślał, że to ona musiała mu ją ukraść. Zawrócił, by odzyskać swoją własność. Kiedy chwycił domniemaną złodziejkę za włosy i zaczął nią potrząsać, miał poszarzałe z nienawiści spojrzenie, a z ust toczył pianę niczym wściekły pies. Słyszając jej pisk i złorzeczenia, z tawerny wylegli klienci i gwizdząc jak opętani, zaczęli marynarza podjudzać, gdyż jeśli w ogóle coś było w stanie połączyć ich wszystkich, to ślepa nienawiść do Cyganów, a ponadto w tych wojennych czasach wystarczył byle pretekst, aby tłuszcza posunęła się do przemocy. Oskarżano Cyganów o wszelkie zło tego świata, nawet o to, że kradną hiszpańskie dzieci i sprzedają je do Egiptu. Starsi pamiętali jeszcze owe zbiegowiska, które dla pospólstwa były uciechą niczym festyny ludowe, kiedy to inkwizycja paliła na stosach po równo heretyków, czarownice i Cyganów. W chwili, gdy marynarz otwierał nóż, żeby naznaczyć nim twarz kobiety, Bernardo popchnął go z całą siłą tak, że tamten, odurzony alkoholem, padł, wierzgając nogami. Zanim gapie zdążyli zareagować, Bernardo chwycił Cygankę za rękę i oboje puścili się biegiem w dół ulicy, znikając gawiedzi z oczu. Przystanęli dopiero w dzielnicy Barceloneta, z dala od rozwścieczonego tłumu. Tam Bernardo puścił Cygankę, zamierzając się pożegnać, ale ona nalegała, żeby poszedł z nią dalej. Minęli wiele kwartałów ulic, aż doszli do stojącego w bocznej uliczce dwukołowego wozu z budą wymalowaną w arabeski i znaki zodiaku, z zaprzężonym do niego smutnym perszeronem o szerokich nogach. Wnętrze owego rozchybotanego i wysłużonego pojazdu, który towarzyszył wielu pokoleniom nomadów, przypominało turecki kramik pełen dziwnych przedmiotów, różnokolorowych chust i dzwoneczków, a jego ściany aż po sufit wyklejone były starymi kalendarzami i świętymi obrazkami. W środku unosił się zapach paczuli i zleżałych szmat. Całe wyposażenie wnętrza stanowił materac z pretensjonalnymi poduszkami z wyblakłego brokatu. Cyganka wskazała Bernardowi materac, sama zaś usiadła na podłodze z podwiniętymi nogami na wprost niego i zaczęła mu się przyglądać swymi dzikimi oczami. Jeszcze zasapana po biegu wyjęła wódkę, wypita łyk i podała butelkę jemu. Miała smagłą skórę, muskularne ciało, szalone oczy i włosy farbowane ligustrem. Była bosa, ubrana w dwie albo trzy falbaniaste spódnice, spraną bluzkę, krótką kamizelkę zasnuwaną z przodu, jej ramiona okrywał szal z frędzlami; wokół głowy miała omotaną chustką, co w tradycjach jej ludu oznaczało kobietę zamężną, chociaż ona była wdową. Na jej nadgarstkach pobrzękiwał tuzin bransoletek, na kostkach nóg srebrne dzwoneczki, na czole złote monety zwieszające się z chustki.

Wśród gadźów, to jest nie-Cyganów, używała imienia Amalia. Zaraz po urodzeniu otrzymała inne, znane tylko matce; takie utrzymywanie prawdziwego imienia w tajemnicy służyło temu, aby wywieść w pole złe duchy, które mogłyby chcieć zrobić jej krzywdę. Miała również trzecie imię, którego używała wśród swoich. Jej mężczyzna, Ramón, na targu w Leridzie został zatłuczony kijami przez chłopów, którzy oskarżyli go o kradzież kur. Kochała go od dziecka. Rodziny obojga zaplanowały ich małżeństwo, kiedy miała zaledwie jedenaście lat. Teściowie zapłacili za nią wysoką cenę, gdyż cieszyła się dobrym zdrowiem i miała mocny charakter, nadawała się do prac domowych, a ponadto była prawdziwą drabari; miała wrodzony dar odgadywania przyszłości i leczenia za pomocą zaklęć i ziół. W owym czasie wyglądała jak wychudzone kocię, jednak przy wyborze żony urody nie brano pod uwagę. Jej mąż był mile zaskoczony, kiedy ów worek kości wyrósł z czasem na atrakcyjną kobietę, jednak z drugiej strony srodze się rozczarował, albowiem Amalia była bezpłodna. Jej lud uważał dzieci za błogosławieństwo, jałowy brzuch bywał powodem do rozwodu, ale Ramón za bardzo ją kochał, by to zrobić. Śmierć męża pograżyła ją w ciężkiej żałobie, z której nigdy nie miała się podnieść. Nie mogła wspominać imienia zmarłego, żeby nie przyzywać go z tamtego świata, jednak po kryjomu co noc go opłakiwała.

Jej prześladowany wszędzie i zniechęcony lud od wieków wędrował po świecie. Tysiąc lat wcześniej jej przodkowie opuścili Indie i przeszli całą Azję i Europę, aby na koniec dotrzeć do Hiszpanii, gdzie traktowano ich równie źle jak gdzie indziej, za to klimat nieco lepiej pasował do ich wędrownego trybu życia. Osiedli na południu, gdzie Romów okresowo przenoszących się z miejsca na miejsce, takich jak grupa Amalii, pozostało niewielu. Ludzie ci przeżyli już tyle rozczarowań, że lękali się własnego cienia, dlatego ta nieoczekiwana interwencja Bernarda poruszyła sercem Amalii. Cyganie mogą się zadawać z gadzami tylko w celach handlowych, bo tego wymagają tradycja i konieczność zachowania czystości rasy. Z elementarnej ostrożności Cyganie trzymali się zawsze z boku, nigdy nie ufali cudzoziemcom i byli lojalni wyłącznie wobec swojego klanu, jednak Amalii wydawało się, że ów młodzian właściwie nie jest gadzami, lecz przybyszem z innej planety, więc wszędzie jest obcy. Może jest Cyganem z jakiegoś zaginionego plemienia.

Amalia była siostrą Pelaya, o czym Bernardo miał się dowiedzieć jeszcze tego samego dnia, kiedy Cygan wszedł do wozu. Pelayo nie poznał chłopca, gdyż tamtej nocy, kiedy został przyłapany na śpiewaniu po włosku z polecenia Moncady, przed oczami miał tylko Diega, który trzymał mu szpadę na gardle. Amalia wyjaśniła Pelayowi, co się stało; mówiła romani, wywodzącym się z sanskrytu językiem o urywanych dźwiękach. Przeprosiła brata, że pogwałciła tabu zabraniające kontaktów z gadzami. Za to ciężkie wykroczenie groziło jej uznanie za marime, osobę skalaną, a w konsekwencji wykluczenie ze wspólnoty, jednak liczyła na wyrozumiałość, jako że od wybuchu wojny normy się nieco rozluźniły, a poza tym w ostatnich latach klan wiele wycierpiał, rodziny się porozjeżdżały. Pelayo też tak myślał i zamiast zła siostrę, jak nakazywał zwyczaj, w krótkich słowach podziękował Bernardowi. Postępowanie Indianina było dla niego takim samym zaskoczeniem, jak dla niej, gdyż od żadnego obcego nigdy nie zaznali niczego dobrego. Amalia i Pelayo zorientowali się, że Bernardo jest niemową, jednak nie popełnili tego błędu co wszyscy i nie uznali, że musi też być głuchy i niedorozwinięty. Wchodzili w skład grupy ubogich Cyganów, którzy z trudem się utrzymywali, imali się każdego zajęcia, jakie wpadło im w ręce; zwykle sprzedawali lub ujeżdżali konie, a także leczyli je, jeśli były chore lub zostały zranione, trudnili się kowalstwem, w swoich maleńkich przewoźnych warsztatach kując metale, żelazo, złoto, srebro; wyrabiali wszystko - od podków do szpad i klejnotów. Wojna zmuszała ich do częstego przenoszenia się z miejsca na miejsce, co z drugiej strony było dla nich korzystne, gdyż zajęci wzajemnym zabijaniem się Francuzi i Hiszpanie nie zwracali na nich uwagi. W niedziele i inne dni świąteczne na placach rozbijali nędzny, tu i ówdzie porozdzierany namiot i dawali cyrkowe występy. Wkrótce Bernardo miał poznać pozostałych członków grupy. Wśród nich wyróżniał się Rodolfo, wytatuowany wielkolud, który wokół szyi owijał sobie grubego węża i potrafił sam podnieść z ziemi konia. Miał ponad sześćdziesiąt lat, był najstarszy z licznej rodziny i w związku z tym najbardziej szanowany. Silnym akcentem niedzielnych przedstawień cyrkowych był występ Petryny. Była to drobniutka dziewięcioletnia dziewczynka, która potrafiła złożyć się w kilkoro jak chusteczka, tak że mieściła się w kadzi do przechowywania oliwek. Pelayo popisywał się woltyżerką, a pozostali członkowie rodziny zabawiali publiczność, rzucając w siebie sztyletami, mając przy tym zawiązane oczy. Amalia sprzedawała losy na loterię, czytała horoskopy i wpatrując się w klasyczną szklaną kulę, przepowiadała przyszłość, a robiła to z taką intuicją, że sama dziwiła się trafnością swoich przepowiedni; wiedziała, że dar odgadywania przyszłości bywa przekleństwem, bo skoro nie można zmienić tego, co ma się stać, lepiej o tym nie wiedzieć.

Na wieść o tym, że Bernardo zaprzyjaźnił się z Cyganami, Diego postanowił jak najszybciej się z nimi spotkać, chcąc się dowiedzieć, co łączyło Pelaya z Rafaelem Moncada. Nie przypuszczał, że tak się do nich przywiąże i że tak dobrze będzie się czuł w ich towarzystwie. W owym czasie większość Romów, jak oni sami o sobie mówią, prowadziła w Hiszpanii osiadły tryb życia. Ich obozy rozbijane na obrzeżach miast i miasteczek stopniowo wtapiały się w krajobraz, miejscowa ludność powoli przyzwyczajała się do Cyganów i w końcu przestawała ich prześladować, chociaż nigdy ich nie akceptowała. Ale w Katalonii Romowie wciąż prowadzili koczowniczy tryb życia. Grupa Pelaya i Amalii jako pierwsza rozbiła tam stały obóz i już od trzech lat mieszkała w tym samym miejscu. Od pierwszej chwili Diego zdał sobie sprawę, że nie powinien wypytywać Cyganów o Moncadę - ani w ogóle zadawać żadnych pytań - gdyż ludzie ci mieli powody, aby nikomu nie wierzyć i strzec swoich sekretów. Kiedy szew na ramieniu całkiem mu się zabliznił, a Pelayo darował mu dźgnięcie szpadą w szyję, Diego uzyskał ich zgodę, aby on i Bernardo mogli brać udział w przedstawieniach cyrkowych. Zaimprovizowany naprędce pokaz nie wypadł tak, jak się spodziewali, gdyż ramię Diega było jeszcze słabe, jednak byli na tyle dobrzy, że Cyganie włączyli ich na stałe do swoich spektakli w charakterze akrobatów. Wspólnymi siłami zmontowali na arenie wymyślną konstrukcję ze słupów, lin i trapezów wzorowaną na takielunku statku „Madre de Dios”. Chłopcy wchodzili na arenę w czarnych pelerynach,

które zrywali z siebie efektownym zamaszystym gestem, pozostając w kostiumach takiego samego koloru. Fruwali w powietrzu bez zabezpieczenia, gdyż robili to już wcześniej na dwukrotnie większej wysokości pod żaglami kołyszącego się na falach statku. Ponadto Diego robił sztuczkę z kurą - potrafił sprawić, że martwe ptaszysko znikało, po czym wyciągał je żywe zza dekoltu Amalii, a także strzelał z bata, gasząc świeczkę ustawioną na głowie olbrzyma Rodolfa, nie musnąwszy jego włosów. O ich występach nie wiedział nikt poza Cyganami, albowiem tolerancja Tomása de Romeu miała swoje granice i z pewnością by tego nie pochwalał. Wiele było rzeczy, których ów dżentelmen o swoim młodym gościu nie wiedział.'

Którejś niedzieli Bernardo wyrzwał zza kurtyny i zobaczył, że na widowni są Juliana i Isabel w towarzystwie ochmistrzyni. Wracając z mszy - Nuria z uporem prowadziła je do kościoła, mimo że pomysł ten wcale się Tomasowi de Romeu nie podobał - dziewczęta zobaczyły cyrk i postanowiły obejrzeć widowisko. Namiot, uszyty z pożółkłych strzępów żagli znalezionych w porcie, miał arenę pokrytą słomą, drewniane ławeczki dla lepszych widzów, z tyłu zaś było miejsce dla pospólstwa, które oglądało występy na stojąco. Na okrągłej słomianej arenie olbrzym Rodolfo podnosił konia, Amalia chowała Petrinę do kadzi po oliwkach, a Diego i Bernardo popisywali się na trapezach. Odbływały się tam także walki kogutów, które organizował Pelayo. Nie było to miejsce, w jakim Tomás de Romeu chciałby widzieć swoje córki, jednak kiedy Juliana i Isabel połączyły swoje siły, Nuria nie potrafiła się im sprzeciwić.

- Jeśli don Tomas dowie się, co my tu robimy, pierwszym statkiem odeśle nas do Kalifornii - wyszeptał Diego do Bernarda, ujrzawszy dziewczęta w namiocie.

Wówczas Bernardo przypomniał sobie o masce, której używali do straszenia marynarzy z „Madre de Dios”. Wziął od Amalii dwie chustki, wyciął w nich otwory na oczy, po czym obaj zasłonili sobie twarze, modląc się, aby siostry de Romeu ich nie rozpoznały. Diego postanowił nie popisywać się magicznymi sztuczkami, gdyż wiele razy robił je w obecności dziewcząt. Mimo wszystko odniósł wrażenie, że go poznały. Mylił się jednak. Jeszcze tego samego wieczoru usłyszał, jak Juliana dzieli się wrażeniami z cyrku z Agnès Duchamp. Za plecami Nurii mówiła szeptem o jakichś nieustraszonych akrobatkach w czerni, którzy ryzykowali życie na trapezach, i dodała, że gdyby stanęła z nimi twarzą w twarz, ucałowałaby każdego z nich.

Z Isabel nie mieli tyle szczęścia. Właśnie cieszyli się z Bernardem z udanej krotchwili, kiedy dziewczynka weszła do pokoju bez pukania, jak to miała w zwyczaju, mimo kategorycznego zakazu ojca, który zabronił jej naruszać prywatność Diega. Podparłszy się pod boki, stanęła przed nim i oznajmiła, że wie, kim są akrobaci, i gotowa jest to rozgłosić, chyba że w najbliższą niedzielę Diego i Bernardo zaprowadzą ją do Cyganów. Chce się upewnić, że tatuaże olbrzyma są prawdziwe, bo wyglądają jak namalowane, oraz przekonać się, czy wąż, który zachowywał się, jakby był w letargu, w ogóle żyje, gdyż równie dobrze mógł być zabalsamowany.

Diego był wówczas siedemnastoletnim młodzieńcem, w którym burzyły się zmysły i wrzała krew. Ukojenie znalazł w ramionach Amalii. W następnych miesiącach spotykali się ukradkiem ogromnie ryzykując. Kochając się z gadżem, Amalia naruszała podstawowe tabu, co mogło ją bardzo drogo kosztować. Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym kobiety z jej ludu, wychodząc za męża, była dziewicą i pozostała wierna mężowi aż do jego śmierci. Wdowieństwo sprawiło, że jej status był niejasny; była jeszcze młodą kobietą, ale traktowano ją jak staruszkę. Stan ten miał trwać dopóty, dopóki Pelayo, do którego należało znalezienie jej nowego męża, kiedy już otrze ostatnie lzy żałoby, nie dopełni tego obowiązku. W obozie życie jednostki toczyło się na oczach wszystkich. Amalia nie miała czasu ani miejsca tylko dla siebie, jednak niekiedy udawało się jej wyznaczyć Diegowi schadzki w jakiejś bocznej uliczce, a wtedy tuliła go w ramionach, zawsze w strachu, że ktoś ich zobaczy. Nie oplatała go siecią romantycznych wymagań, po tragicznej śmierci męża pogodziła się z myślą, że już zawsze będzie samotna. Była dwa razy starsza od Diega i przez dwadzieścia lat była mężatką, jednak w sprawach miłosnych nie miała doświadczenia. Z Ramónem łączyło ją głębokie i wierne uczucie, pozbawione jednak wybuchów namiętności. Ich ślub był prostą ceremonią, podczas której przelamali się kawałkiem chleba skropionym kilkoma kroplami krwi obojga. Nie trzeba było nic więcej. Już sam fakt, że podjęli decyzję o wspólnym życiu, uświęcał ich związek, mimo to wyprawili wystawną weselną ucztę, z muzyką i tańcami, która trwała całe trzy dni. Potem znaleźli dla siebie kątek we wspólnym namiocie. Od tej chwili nigdy już się nie rozstawali, przejechali niemal całą Europę, cierpieli głód w czasach największej nędzy, wiele razy uciekali przed prześladowaniami, ale przeżywali też dobre chwile. Amalia mówiła Diegowi, że miała udane życie. Wiedziała, że Ramón, cały i zdrow, cudownym sposobem ocalony przed męczeńską śmiercią, gdzieś na nią czeka. Kiedy ujrzała jego ciało, zmasakrowane kilofami i łopatami morderców, poczuła, że płomień, który przedtem rozgrzewał ją od wewnątrz, zgasł, i postanowiła nie szukać rozkoszy zmysłowej czy pociechy w uścisku męskich ramion. Zaprosiła Diega do swego wozu z czystej przyjaźni. Zobaczyła, że chłopak potrzebuje kobiety,

że nie może sobie znaleźć miejsca, i pomyślała, że może mu pomóc, to wszystko. Ryzykowała, że duch jej męża przybędzie pod postacią muló, by ją ukarać za tę pośmiertną zdradę, jednak liczyła na to, że Ramon zrozumie jej racje: nie robiła tego z rozpusty, lecz ze szlachetności. Okazało się, że jest bardzo wstydliva, kochała się po ciemku i nigdy się nie rozbiarała. Czasami cicho płakała. Wzruszony do głębi, Diego delikatnymi pocałunkami osuszał jej lzy i tak nauczył się pojmosfera niektóre tajemnice niewieściego serca. Możliwe, że Amalia pomimo surowych zasad, jakie zgodnie z tradycją normowały życie seksualne jej ludu, z bezinteresownej sympatii taką samą przysługę wyświadczyłaby Bernardowi, gdyby ten jej to zasugerował, jednak on nigdy tego nie zrobił, gdyż towarzyszyło mu wspomnienie Nocnej Błyskawicy.

Zanim Manuel Escalante zdecydował się poruszyć z Diegiem de la Vega temat, który w życiu najbardziej go interesował, najpierw długo mu się przyglądał. Początkowo jego nieufność budził zniewalający urok chłopca. Dla niego, mężczyzny śmiertelnie poważnego, również lekkomyślność Diega stanowiła wadę jego charakteru, jednakże po jego pojedynku z Moncadą musiał zweryfikować swój osąd. Dla mistrza fechtunek - a zwłaszcza pojedynek - stanowił niezawodny sposób poznania człowieka. Wiedział, że celem pojedynku nie jest to, aby zwyciężyć, lecz aby godnie zmierzyć się ze śmiercią i odsłonić przy tym wielkość duszy. W ferworze walki ujawniają się fundamentalne podstawy osobowości; na nic się zda być doskonałym w robieniu szabla, jeśli nie ma się dosyć odwagi i opanowania, aby spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu. Zdał sobie sprawę, że w ciągu dwudziestu pięciu lat, odkąd nauczał swojej sztuki, nie miał takiego ucznia jak Diego. Pamiętał innych, dorównujących mu talentem i poświęceniem, jednak serce żadnego z nich nie było równie niezłomne, co dłoń ściskająca szpadę. Podziw, jaki czuł dla tego młodego człowieka, przerodził się w serdeczną przyjaźń, a szermierka w pretekst, aby go widywać codziennie. Czekał na niego w pełnej gotowości już na długo przed ósmą, jednak ze względu na dyscyplinę i własną dumę nie pojawiał się w sali ani minutę wcześniej. Lekcje przebiegały zawsze z zachowaniem wszelkich form i niemal w milczeniu, niemniej jednak w rozmowach, jakie potem prowadzili, maestro dzielił się z Diegiem swoimi poglądami i zwierzał mu się ze swych najskrytszych marzeń. Po lekcji wycierali się wilgotnymi ręcznikami, przebierali się i przechodzili na drugie piętro do mieszkania mistrza. Siadali w mrocznym i skromnie urządzonej pokoju na niewygodnych drewnianych krzesłach, wśród książek poustawianych na podniszczonych półkach i wypolerowanej broni porozwieszanej na ścianach. Ten sam stary służyący, który nieustannie mruzczał coś pod nosem, jakby odmawiał modlitwę, podawał im mocną kawę w porcelanowych filiżankach w stylu rokoko. Wkrótce przeszli do tematów niezwiązanych z szermierką. Rodzina mistrza, mimo iż hiszpańska i katolicka od czterech pokoleń, nie mogła jednak poszczycić się czystością krwi, gdyż była pochodzenia żydowskiego. Jego pradziadowie z obawy przed prześladowaniem przeszli na katolicyzm i zmienili nazwisko. Udało im się ująć inkwizycji, jednak przy okazji stracili fortunę, jaką zgromadzili dzięki udanym interesom prowadzonym od ponad stu lat oraz umiarkowaniu w korzystaniu z uroków życia. Kiedy Manuel przyszedł na świat, po dawnym dobrobycie i wykwincie pozostało jedynie mgliste wspomnienie; z posiadłości, dzieł sztuki i klejnotów nie pozostało nic. Jego ojciec prowadził w Asturii niewielki sklepik, dwóch braci parało się rzemiosłem, trzeci zaś przepadł gdzieś w Afryce Północnej. Fakt, iż jego bliscy krewni żyją z handlu i pracy rąk, napawał go wstydem. Uważał, że godne señora są tylko zajęcia nieproduktywne. Nie był w tym odosobniony. W owym czasie w Hiszpanii pracowali jedynie chłopci; każdy z nich żywił ponad trzydziestu nierobów. Ale różne fakty z przeszłości mistrza miał Diego poznać znacznie później. Kiedy ten pierwszy raz powiedział mu o stowarzyszeniu Sprawiedliwość i pokazał swój medalion, nie wspomniał o swoim żydowskim rodowodzie. Tamtego dnia, jak każdego ranka, pili w salonie kawę. Manuel Escalante zdjął z szyi cienki łańcuszek, na którym wisiał jakiś kluczyk, podszedł do szkatułki z brązu stojącej na biurku, otworzył ją z namaszczeniem i wyjął medalion ze złota i srebra.

- Już to wcześniej widziałem, maestro... - wymamrotał na jego widok Diego.
- Gdzie?
- Taki sam nosił don Santiago de León, kapitan statku, którym przypląnąłem do Hiszpanii.
- Znam kapitana de León. Należy, tak jak ja, do Sprawiedliwości.

Było to jedno z licznych tajnych stowarzyszeń, jakie w owym czasie działały w Europie. Zostało założone przed dwustu laty w odpowiedzi na potęgę inkwizycji, budzącego grozę ramienia Kościoła, które od 1478 roku broniło jedności duchowej katolików, prześladując żydów, luteranów, heretyków, sodomitów, bluźnierców, czarowników, wróżbitów, zaklinaczy diabła, magów, astrologów i alchemików, jak również tych, którzy czytali zakazane książki. Dobra skazanych przechodziły w ręce oskarżycieli, tak więc wielu ludzi spłonęło na stosach jedynie z powodu swego bogactwa. Przez ponad

trzysta lat dokonywano autos da fé, publicznych egzekucji skazańców. W tych pokazach okrucieństwa tłumnie uczestniczył powodowany religijnym zapałem lud. W wieku XVIII inkwizycja zaczęła podupadać. Procesy odbywały się jeszcze przez jakiś czas, chociaż już przy drzwiach zamkniętych, aż w końcu instytucja ta została zniesiona. Działalność Sprawiedliwości polegała na ratowaniu oskarżonych, wywożeniu ich z kraju i pomaganiu w rozpoczęciu nowego życia za granicą. Członkowie organizacji rozdawali żywność i ubrania, zdobywali fałszywe dokumenty, a czasem wykupowali nieszczęsne ofiary. W tym czasie, kiedy Manuel Escalante zwerbował Diega, orientacja polityczna Sprawiedliwości nieco się zmieniła; walczyła już nie tylko z fanatyzmem religijnym, ale także z wszelkimi formami ucisku, takimi jak okupacja francuska w Hiszpanii czy niewolnictwo za jej granicami. Była to organizacja hierarchiczna, w której obowiązywała dyscyplina wojskowa i nie było miejsca dla kobiet. Stopnie wtajemniczenia oznaczano kolorami i symbolami, ceremonie odbywały się w ukryciu, a przyjętym można było zostać jedynie z polecenia innego członka, który występował w roli patrona. Członkowie przysięgali poświęcić życie dla służby szlachetnym celom, za swe usługi nie przyjmować żadnej zapłaty, za wszelką cenę dochować tajemnicy i słuchać rozkazów starszyny. Tekst roty brzmiał elegancko i prosto: „Sprawiedliwości szukać, głodnego nakarmić, nagiego przyodziać, wdowy i sieroty ochraniać, obcego w dom przyjąć i krwi niewinnej nie przelewać”.

Manuel Escalante bez trudu namówił Diega de la Vegę, aby przystąpił do Sprawiedliwości. Tajemnica i przygoda były dla niego pokusą nie do odparcia; jedyna jego wątpliwość odnosiła się do nakazu ślepego posłuszeństwa, jednak kiedy przekonał się, że nikt nie będzie wydawał mu rozkazów sprzecznych z jego zasadami, dał się przekonać. Przestudiował zaszyfrowane teksty, które podsunął mu mistrz, i zaczął ćwiczyć szczególną formę walki, wymagającą błyskotliwości umysłowej i niezwyklej sprawności fizycznej. Ćwiczenia polegały na serii precyzyjnych ruchów szpadą i sztyletami, wykonywanych w obrębie zakreślonego na podłodze koła, zwanego Kręgiem Mistrza. Rysunek tego koła widniał na medalionach ze złota i srebra, którymi legitymowali się członkowie organizacji. Najpierw Diego sam uczył się sekwencji owych ruchów i techniki walki, a następnie przez kilka miesięcy ćwiczył je z Bernardem. W końcu potrafił walczyć, nie myśląc o tym, jaki ruch należy wykonać. Zgodnie z tym, co powiedział mu Manuel Escalante, gotów będzie dopiero wtedy, kiedy jednym niedbałym gestem schwyci w garść muchę w locie. Bo dopiero wtedy potrafi pokonać wyznaczonego do walki z nim członka Sprawiedliwości, co było warunkiem przyjęcia.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Diego był gotów przystąpić do ceremonii wtajemniczenia. Maestro poprowadził go przez rejony miasta obce nawet architektom i budowniczym, którzy ponoć znali miasto jak własną kieszeń. Barcelona rosła na kolejnych warstwach ruin; przemaszzerowali przez nią Fenicjanie i Grecy, następnie nadciągnęli Rzymianie, po nich nastali Goci, aż na koniec podbili ją Saraceni, którzy zatrzymali się tu na kilka stuleci. Każdy z najeźdźców wywarł swoje piętno; z archeologicznego punktu widzenia Barcelona była niczym francuskie ciasto. Hebrajczycy wykuli w skale mieszkalne grotty, korytarze i tunele, w których chronili się przed agentami inkwizycji. Opuszczone przez Żydów jaskinie stały się na jakiś czas kryjówkami bandytów, aż w końcu to podziemne miasto zostało zaanektowane przez Sprawiedliwość i inne tajne stowarzyszenia. Diego i jego mistrz minęli labirynt krętych uliczek, przecięli najstarszą część miasta, przekroczyli ukryte bramy, zeszli po schodach zniszczonych upływem czasu, zagłębili się w podziemne zaułki, zapuścili w zapadnięte ruiny i przecięli kanały, w których płynęła nie woda, ale jakaś kleista i ciemna ciecz o zapachu gnijących owoców. W końcu znaleźli się przed drzwiami, na których widniały jakieś kabalistyczne znaki; mistrz podał hasło, a wtedy drzwi otworzyły się przed nimi i weszli do sali urządzonej na wzór egipskiej świątyni. Diego znalazł się w otoczeniu około dwudziestu mężczyzn strojnych w kolorowe tuniki opatrzone różnymi znakami. Wszyscy nosili medaliony podobne do tych, jakie widział u mistrza Escalante i Santiaga de León. Znajdował się w świętym miejscu sekty, w samym sercu Sprawiedliwości.

Rytuał trwał całą noc i przez długie godziny Diego był poddawany kolejnym próbom. W przyległym pomieszczeniu, które mogło być ruinami jakiejś romańskiej świątyni, wyrysowany był na ziemi Krąg Mistrza. Kiedy zaprowadzono tam Diega, członkowie sekty wskazali mu jego przeciwnika, a sami ustawili się dokoła w charakterze sędziów. Mężczyzna przedstawił się jako Juliusz Cezar, gdyż wstępując do stowarzyszenia takie właśnie przybrał imię. Obaj zdjęli koszule i buty i zostali w samych spodniach. Ten rytualny pojedynek wymagał precyzji, szybkości i zimnej krwi. Walczono na ostre sztylety, jakby zamiarem przeciwników było zadanie śmiertelnego ciosu. Pchnięcia wykonywane były z wypadu, jednak w ostatnim ułamku sekundy walczący musieli zatrzymać cios w powietrzu. Najmniejsze draśnięcie ciała przeciwnika oznaczało natychmiastową eliminację. Nie można było wyjść poza narysowany na ziemi krąg. Wygrywał ten, któremu udało się położyć drugiego na łopatki w

samym środku koła. Diego trenował od miesięcy i liczył na swoją zwinność i wytrzymałość, jednak ledwo zaczął walczyć, zdał sobie sprawę, że nie ma nad swoim rywalem przewagi. Juliusz Cezar miał około czterdziestu lat, był szczupły i niższy od Diega, ale bardzo silny. Kiedy tak stał na szeroko rozstawionych nogach z połyskującym sztyletem w prawej dłoni, z łokciami zwróconymi na zewnątrz, naprężoną szyją, wyraźnie widocznymi wszystkimi mięśniami tułowia i ramion, nabrzmiałymi żyłami i absolutnym spokojem na twarzy, budził ogromny respekt. Na dany znak zaczęli krążyć wokół siebie wewnątrz kręgu, czekając na odpowiedni moment do ataku. Diego uderzył pierwszy, rzucając się w przód, jednak tamten wykonał w powietrzu obrót, zupełnie jakby frunął, po czym wylądował za jego plecami tak szybko, że Diego ledwo zdążył odwrócić się i schylić, w ostatniej chwili unikając ostrza noża. Zrobiwszy trzy czy cztery kroki Juliusz Cezar przerzucił sztylet do lewej ręki. Diego również był oburęczny, jednak dotąd nie zdarzyło mu się zmierzyć z takim przeciwnikiem i na moment się zawahał. Rywal wykorzystał okazję, skoczył naprzód i wymierzył mu kopniaka w pierś; Diego upadł na ziemię, jednak natychmiast się poderwał i wymierzył cios w szyję tamtego, a zrobił to tak celnie, że gdyby walka toczyła się naprawdę, zatopiłby mu sztylet w gardle. Wstrzymał rękę tak blisko ciała rywala, że sądził, iż go zranił. Ponieważ sędziowie nie interweniowali, domyślił się, że wszystko było w porządku. Tamten znowu na niego nacierał. Spletli się w walce wręcz, jedną ręką broniąc się przed ciosem przeciwnika, podczas gdy nogami i drugą ręką próbowali przewrócić się nawzajem na plecy. Diego zdołał się oswobodzić i ponownie zaczęli krążyć wokół siebie, gotując się do kolejnego starcia. Diego był cały czerwony i spocony, za to tamten nawet nie dyszał, a na jego twarzy malował się taki sam spokój jak na początku. Diego przypomniał sobie słowa Manuela Escalante: nie wolno walczyć w gniewie. Bacznie obserwując Juliusza Cezara, kilka razy odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Umysł natychmiast mu się rozjaśnił i Diego uświadomił sobie, że podobnie jak on, także jego przeciwnik nie jest przygotowany na walkę z człowiekiem oburęcznym. Błyskawicznie, jak podczas magicznych sztuczek, których wyuczył go Galileo Tempesta, przerzucił sztylet do drugiej ręki i zaatakował, zanim tamten zdał sobie sprawę, co się dzieje. Kompletnie zaskoczony, zrobił krok w tył, a wtedy Diego podciął mu nogi i rywal stracił równowagę. Diego w jednej chwili rzucił się na niego i przydusił do ziemi, przyciskając go prawą ręką, podczas gdy lewą bronił się przed jego sztyletem. Dłuższą chwilę mocowali się ze wszystkich sił, z mięśniami napiętymi niczym stalowe liny, z oczami wbitymi w oczy przeciwnika i z zaciśniętymi zębami. Diego nie tylko musiał przytrzymać go na ziemi, ale także wciągnąć na środek koła, co było zadaniem niezwykle trudnym, gdyż tamten nie zamierzał mu na to pozwolić. Kątem oka chłopiec ocenił odległość: wydała mu się ogromna; nigdy żaden łokieć nie był tak długi. Był tylko jeden sposób. Diego przekręcił się na plecy i Juliusz Cezar znalazł się nad nim. Mężczyzna wydał okrzyk triumfu, gdyż sądził, że ma już ostateczną przewagę, ale Diego nadludzkim wysiłkiem przekręcił się jeszcze raz i jego przeciwnik znalazł się na ziemi, dokładnie w miejscu, w którym zaznaczono środek kręgu. Kamienna twarz Juliusza Cezara drgnęła niemal niedostrzegalnie, wystarczająco jednak, aby Diego zdał sobie sprawę, że wygrał. Ostatkiem sił zdołał mu jeszcze przygnieść oba ramiona do ziemi.

- Dobra robota - powiedział Juliusz Cezar, wypuszczając sztylet z dłoni.

Teraz Diego musiał zmierzyć się z dwoma przeciwnikami na szpady. Jedną rękę przywiązano mu do pleców, żeby dać tamtym przewagę, gdyż żaden z nich nie znał się na szermierce tak jak on. Manuel Escalante przygotował go bardzo dobrze i Diego łatwo pokonał ich w niespełna dziesięć minut. Po próbach fizycznych przyszła pora na umysłowe. Kiedy już wykazał się dobrą znajomością historii Sprawiedliwości, postawiono przed nim szereg zadań, dla których musiał zaproponować oryginalne rozwiązania wymagające przebiegłości, odwagi i wiedzy. Na koniec, kiedy z powodzeniem przeszedł wszystkie próby, zaprowadzono go przed ołtarz. Leżały tam symbole wszystkiego, co powinien czcić: bochenek chleba, waga, szpada, kielich i róża. Chleb oznaczał obowiązek pomagania ubogim, waga - determinację w walce o sprawiedliwość, szpada - odwagę, kielich - współczucie, a róża przypominała członkom stowarzyszenia, że życie składa się nie tylko z poświęcenia i pracy, ale i piękna, którego także trzeba bronić. Po zakończeniu ceremonii mistrz Manuel Escalante, jako patron, zawiesił mu na szyi medalion.

- Jakie imię przyjmujesz? - zapytał Starszy Obrońca Świątyni.

- Zorro, czyli Lis - odparł Diego bez wahania.

Nie myślał o tym wcześniej, jednak w owej chwili wyraźnie zobaczył czerwone oczy lisa, którego spotkał podczas rytuału inicjacji, jaki przeszedł przed wielu laty w lasach Kalifornii.

- Witaj, Zorro - powiedział Starszy Obrońca Świątyni i wszyscy chórem powtórzyli jego imię.

Diego de la Vega wpadł w taką euforię po zwycięskim pokonaniu wszystkich prób, tak był poruszony powagą członków sekty i tak oszołomiony wyszukaną formą ceremonii i górnolotnymi nazwami stopni hierarchii - Kawaler Słońca, Templariusz Nilu, Mistrz Krzyża, Strażnik Węża - że nie potrafił jasno myśleć. Zgadzał się z założeniami sekty i czuł się zaszczycony faktem, że został do niej

przyjęty. Jednakże później, kiedy przypomniał sobie szczegóły i opowiedział o wszystkim Bernardowi, cały ten rytuał wydał mu się lekką dziecinadą. Próbował drwić z samego siebie, że potraktował to wszystko tak poważnie, ale Bernardo wcale się nie śmiał, zwrócił tylko uwagę na to, jak bardzo zasady Sprawiedliwości przypominają okahué jego plemienia.

Zaledwie po miesiącu od chwili, gdy decyzją Rady Sprawiedliwości został przyjęty do organizacji, Diego zaskoczył swego mistrza nedorzecznym pomysłem: zamierzał odbić grupę zakładników. Każdy atak partyzantów wywoływał natychmiast represje ze strony Francuzów. Brali zakładników - czterokrotnie więcej niż wynosiła liczba własnych poległych - i wieszali ich albo rozstrzelali w publicznym miejscu. Jednakże takie postępowanie, zamiast zniechęcać ludność Hiszpanii do oporu, jeszcze podsycalo nienawiść do okupanta, tym bardziej że ten tragiczny los był udziałem niewinnych ludzi, bezpośrednio nie biorących udziału w wojnie.

- Tym razem chodzi o pięć kobiet, dwóch mężczyzn i ośmioletnie dziecko, mają oni zapłacić za śmierć dwóch francuskich żołnierzy, maestro. Miejscowy ksiądz już został zabity pod drzwiami swojego kościoła. Trzymają ich w Cytadeli i rozstrzelają w niedzielę w południe - wyjaśnił Diego.

- Wiem o tym, Diego, widziałem ogłoszenia, są porozwieszane w całym mieście - odparł Escalante.

- Trzeba ich ratować, maestro.

- To byłoby szaleństwo. Cytadela jest nie do zdobycia. Poza tym, nawet gdyby to się udało, Francuzi zabiliby kolejnych zakładników, a ich liczba byłaby dwa lub trzy razy większa, zapewniam pana.

- A co w takiej sytuacji robi Sprawiedliwość, mistrzu?

- Czasami jedyne, co można zrobić, to pogodzić się z tym, co nieuchronne. Na wojnie ginie wielu niewinnych ludzi.

- Zapamiętam te słowa, mistrzu.

Diego nie zamierzał rezygnować między innymi dlatego, że jedną ze skazanych na śmierć była Amalia i nie mógł zostawić jej na pastwę losu. Fatalnym zbiegiem okoliczności, o którym karty zapomniały ją uprzedzić, Cyganka znalazła się na ulicy podczas łapanki i wraz z innymi osobami, równie niewinnymi jak ona, została pojmana. Kiedy Diego usłyszał od Bernarda, co się stało, natychmiast zdecydował, że musi ratować Amalię, odczuwając zarazem nieodpartą pokusę przeżycia przygody, i nawet nie pomyślał o przeszkodach, jakie będzie musiał pokonać.

- Ponieważ nie sposób wślizgnąć się do Cytadeli, Bernardo, wejdę do pałacyku Chevaliera Duchampa. Chciałbym sobie prywatnie z nim porozmawiać. Co o tym sądzisz? Widzę, że nie podoba ci się ten pomysł, ale żaden inny nie przychodzi mi do głowy. Wiem, co myślisz: że to taka sama głupia fanfaronada, jak tamta wyprawa na niedźwiedzia, kiedy byliśmy dziećmi. Nie, tym razem to poważna sprawa, chodzi o ludzkie życie. Nie możemy pozwolić, żeby Amalia została rozstrzelana. To nasza przyjaciółka. No, dobrze, w moim przypadku to więcej niż przyjaciółka, ale nie o to chodzi. Niestety, nie mogę liczyć na Sprawiedliwość, tak więc będę potrzebował twojej pomocy, braciszku. To niebezpieczne, ale nie aż tak, jak się wydaje. Posłuchaj...

Bernardo uniósł w górę ręce na znak, że się poddaje, i nastawił się na to, że będzie mu sekundował, jak zresztą zawsze. Czasami, w chwilach największego zmęczenia i osamotnienia, myślał, że pora wracać do Kalifornii i przyjąć do wiadomości fakt, że dzieciństwo ich obu się skończyło. Diego zachowywał się tak, jakby nigdy nie miał wydorosnąć. Bernardo zadawał sobie pytanie, jak to możliwe, że są tacy różni, a mimo to tak się kochają. Podczas gdy on czuł na barkach ciężar swego losu, jego brat był beztroski jak skowronek. Amalia, która umiała rozszyfrowywać tajemnice gwiazd, wyjaśniła mu, dlaczego ich osobowości są takie odmienne. Powiedziała, że chociaż urodzili się w tym samym miejscu i w tym samym tygodniu, każdy z nich jest spod innego zodiakalnego znaku. Bernardo jest Bykiem, a Diego Bliźniętami, co determinuje ich temperamenty. Bernardo wysłuchał planu Diega, nie dając po sobie poznać, że opadły go wątpliwości. Jednakże w głębi duszy wierzył w niewiarygodne szczęście brata, dorzucił więc kilka własnych pomysłów, po czym przystąpili do dzieła.

Bernardowi udało się zdobyć zaufanie, a następnie upić do nieprzytomności jakiegoś francuskiego żołnierza. Zdjął z niego mundur - ciemnoniebieski surdut z wysokim szkarłatnym kołnierzem, białe spodnie i napierśnik, czarne sztylpy i wysoki kapelusz - i sam go założył. W tym przebraniu nie zwrócił uwagi nocnej straży, kiedy wślizgnął się do pałacowych ogrodów, prowadząc za uzdę konia. Okazała rezydencja Chevaliera nie była zbyt pilnie strzeżona, gdyż nikomu nie przyszło do głowy, że ktoś może tu wtargnąć. Nocami posterunki obejmowali wartownicy z latarniami, jednak leniwie płynące godziny

sprawiły, że tracili czujność. Diego w swym czarnym stroju akrobaty, w pelerynie i masce - czyli jak sam to nazywał, w kostiumie Zorro - pod osłoną mroku przemknął w stronę budynku. W przebiegu natchnienia przykleił sobie wąsy, które znalazł w cyrku w kufrze z kostiumami; maska zakrywała mu tylko górną część twarzy i obawiał się, że Chevalier mógłby go rozpoznać, a ten cienki wąsik, jakby maźnięty pędzlem, powinien go zmylić. Pomagając sobie batem, wspiął się na balkon drugiego piętra i wszedł do środka. Bez trudu odnalazł skrzydło, w którym znajdowały się prywatne pokoje rodziny, albowiem nieraz w towarzystwie Juliany i Isabel bywał w tym domu z wizytą. Była późna godzina, prawie trzecia nad ranem, służący już się nie kręcili, a wartownicy drzemali na posterunkach. Pałac nie miał w sobie nic z hiszpańskiej surowości, był urządzony na modłę francuską; tyle w nim było zasłon, mebli, roślin i posągów, że Diego mógł się po nim poruszać, nie zwracając niczyjej uwagi. Musiał przejść niezliczone korytarze i otworzyć około dwadzieścioro drzwi, zanim trafił do komnaty Chevaliera, która - jak na kogoś o jego władzy i pochodzeniu - okazała się nieoczekiwanie skromna.

Przedstawiciel Napoleona spał na twardym żołnierskim łóżku w niemal pustym pokoju oświetlonym jednym trzyświecowym kandelabrem stojącym w kącie. Dzięki niedyskretnym komentarzom Agnès Duchamp Diego wiedział, że jej ojciec cierpi na bezsenność i żeby zasnąć, ucieka się do pomocy opium. Godzinę wcześniej lokaj pomógł mu się rozebrać, przyniósł kieliszek jerezu i fajkę z opium i jak zwykle usiadł w fotelu na korytarzu, na wypadek gdyby jego pan w nocy go potrzebował. Miał lekki sen, jednak owej nocy się nie obudził i nie wiedział, kto przeszedł obok niego, niemal go muskając. Diego wszedł do pokoju Chevaliera. Musiał teraz zrobić wszystko, aby się uspokoić, gdyż serce waliło mu jak oszalałe, a czoło miał złane potem. Gdyby dał się tutaj przyłapać, jego los byłby przesądzony. W kazamatach Cytadeli więźniowie polityczni przepadali jak kamień w wodę, a o tym, jak ich torturowano, krążyły straszliwe opowieści. Nagle pomyślał o ojcu i wspomnienie to było niczym cios między oczy. Gdyby zginął, Alejandro de la Vega nigdy nie dowiedziałby się dlaczego, poinformowano by go tylko, że jego syn został schwytany w cudzym domu jak zwykły złodziej. Odczekał chwilę, a kiedy był już spokojny i pewny, że wola, głos ani ręka nie odmówią mu posłuszeństwa, podszedł do łóżka, na którym w opiumowym letargu spoczywał Duchamp. Pomimo odurzenia narkotykiem Francuz natychmiast się obudził, jednak zanim zdolał krzyknąć, Diego dłonią w rękawiczce zasłonił mu usta.

- Cicho albo zabiję pana jak szczura, Ekscelencjo - wyszeptał.

Do piersi przyłożył mu sztych szpady. Chevalier uniósł się na łokciu, na ile pozwalała mu szpada, i skinął głową na znak, że zrozumiał. Diego półgłosem wyłuszczył mu, po co przyszedł.

- Zbyt wiele się po mnie spodziewacie, panie. Nie mam takiej władzy. Jeśli każe uwolnić tych zakładników, jutro komendant twierdzy weźmie innych - odparł Chevalier, również przyciszonym głosem.

- Szkoda by było, gdyby się tak stało. Pańska córka Agnès to cudowna dziewczyna i nie chcemy jej skrzywdzić, jednak, jak Ekscelencji wiadomo, na wojnie ginie wielu niewinnych ludzi - powiedział Diego.

Sięgnął do jedwabnej kamizelki, wyciągnął koronkową chusteczkę z wyhaftowanym imieniem i nazwiskiem Agnès Duchamp, którą Bernardo wydobyl ze śmieci, i potrząsnął nią przed nosem Chevaliera; ten, mimo skąpego światła, bez trudu ją rozpoznał po charakterystycznym zapachu fiołków.

- Lepiej, aby nie wołał pan na wartowników, Ekscelencjo, gdyż w tej chwili moi ludzie są już w pokoju pańskiej córki, Jeżeli coś mi się stanie, nie ujrzy jej pan więcej żywej. Pójdą sobie stamtąd tylko na mój znak - powiedział Diego najuprzejmiejszym tonem na świecie, wachając chusteczkę i na powrót chowając ją do kamizelki.

- Jeśli nawet tej nocy ujdziecie z życiem, panie, to i tak was dopadniemy, a wtedy pożałujecie, żeście się w ogóle urodzili. Wiemy, gdzie was szukać - rzucił przez zęby Chevalier.

- Nie sądzę, Ekscelencjo, gdyż nie jestem partyzantem ani nie mam zaszczytu być jednym z pańskich osobistych wrogów - uśmiechnął się Diego.

- Kim więc jesteście, panie?

- Ciii... Proszę nie podnosić głosu, proszę pamiętać, że Agnès Duchamp jest w dobrym towarzystwie... Mam na imię Zorro, do usług - wyszeptał Diego.

Francuz, nie mając innego wyjścia, podszedł do stołu i na swoim prywatnym papierze listowym napisał parę słów.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan postawić na nim swoją oficjalną pieczęć, Ekscelencjo - odezwał się Diego.

Zgrzytając zębami, tamten zrobił, czego od niego wymagano, po czym wezwał lokaja, który stanął w progu. Ukryty za drzwiami Diego trzymał w ręku wyciągniętą szpadę, gotów jej użyć przy pierwszym podejrzanym ruchu.

- Wyślij z tym listem któregoś strażnika do Cytadeli i powiedz mu, że musi mi go natychmiast przynieść z powrotem z podpisem komendanta twierdzy, tak abym mógł być pewien, że mój rozkaz zostanie wykonany. Zrozumiano? - polecił Chevalier.

- Tak jest, Ekscelencjo - odparł służący i pędem wybiegł z pokoju.

Diego poradził Chevalierowi, żeby wrócił do łóżka, bo się przeziębi; noc jest zimna, a czekać mogą długo. Żałuje, że musi tak się narzucać ze swoim towarzystwem, dodał, jednak dopóki nie wrócą z listem, nie może opuścić pokoju Ekscelencji. Może ma szachy albo karty? Przydałyby się dla zabicia czasu. Francuz nie zniżył się do tego, aby mu odpowiedzieć. Wściekły zanurzył się w pościeli, patrząc, jak zamaskowany intruz, nie spuszczać z niego oka, rozsiada się wygodnie w nogach jego łóżka, jakby byli bliskimi przyjaciółmi. Przez ponad dwie godziny jeden znosił obecność drugiego w milczeniu i kiedy Diego zaczął się już obawiać, że coś poszło nie tak, lokaj zastukał do drzwi i wręczył swemu panu list podpisany przez niejakiego kapitana Fugueta.

- Do zobaczenia, Ekscelencjo. Proszę pozdrowić ode mnie piękną Agnès - powiedział na pożegnanie Zorro.

Liczył na to, że Chevalier uwierzy w jego groźbę i nie będzie przedwcześnie wszczynał alarmu, jednak na wszelki wypadek związał go i zakneblował. Sztychem szpady wyciął na ścianie wielką literę Z, ukłonił się szyderczo i spuścił się z balkonu. W umówionym miejscu znalazł konia, któremu Bernardo szmatami owinął kopyta, aby nie było słychać ich stukotu, spokojnie wrócił do domu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, gdyż o tej porze na ulicach Barcelony nie było nikogo. Nazajutrz na murach budynków pojawiło się obwieszczenie, głoszące, że na dowód dobrej woli władz skazani na śmierć zakładnicy zostali zwolnieni. W tym samym czasie rozpoczęło się tajne polowanie na śmiałka występującego pod imieniem Zorro. Ostatnie, czego się przywódcy partyzantki spodziewali, to wypuszczenie zakładników; wywołało to w ich szeregach taką konsternację, że przez tydzień w całej Katalonii nie odnotowano żadnych zamachów na Francuzów.

Chevalier nie zdołał zapobiec temu, że - najpierw wśród służących i strażników pałacu, a potem już w całym mieście - rozeszła się wieść o tym, iż jakiś bezczelny bandyta zakradł się do jego sypialni. Katalończycy śmiali się do rozpuku, a imię tajemniczego Zorro podawano sobie z ust do ust przez wiele dni aż do chwili, gdy uwagę ludu przyciągnęły inne sprawy. Diego słyszał to imię w Kolegium Nauk Humanistycznych, w tawernach i w domu rodziny de Romeu. Gryzł się wówczas w język, żeby się swoim wyczynem nie pochwalić, i niewiele brakowało, aby wyznał całą prawdę Amalii. Cyganka sądziła, że uratowała się dzięki cudownej mocy talizmanów i amuletów, które zawsze przy sobie nosiła, oraz skutecznej interwencji ducha swego męża.

Część trzecia - Barcelona (1812-1814).

Nie mogę zdradzić wam więcej szczegółów na temat związku Diega i Amalii. Miłość cielesna to ten aspekt życia legendarnego Zorro, o którym nie pozwolił mi wszem wobec opowiadać, nie tyle z obawy, iżby go wyszydzono albo zadano mu kłam, ile przez zwykłą galanterię. Wiadomo, że żaden mężczyzna cieszący się powodzeniem u kobiet nie chwali się swymi podbojami, ci zaś, którzy to czynią, zmyślają. Co do mnie, nie lubię się zbytnio rozwodzić na temat czyichś intymnych spraw. Jeśli oczekujecie, że lektura kolejnych stron przyprawi was o wypieki na twarzy, srodze was rozczaruję. Mogę tylko powiedzieć, że w czasach, kiedy Diego zadawał się z Amalią, jego serce w całości należało do Juliany. Jak zatem wyglądały pieszczoty, które wymieniał z owdowiałą Cyganką? To można sobie jedynie wyobrazić. Może ona zamykała oczy i myślała o zamordowanym mężu, podczas gdy Diego oddawał się ulotnej rozkoszy, nie myśląc o niczym. Owe tajne schadzki bynajmniej nie mąciły czystego uczucia, jakie budziła w nim nieskalana Juliana; były to dwie różne sprawy, linie równoległe, które nigdy się nie przecinały. Obawiam się, że w życiu Zorro bardzo często tak właśnie bywało. Obserwuję go od trzech dziesiątków lat i znam go niemal tak dobrze jak Bernardo, dlatego mam odwagę wysunąć taką hipotezę. Dzięki swemu wrodzonemu wdziękowi - a to już niemało - i niezwykłemu szczęściu, nawet o to nie zabiegając, Zorro był kochany przez tuziny kobiet. Jakieś drobne pochlebstwo, znaczące spojrzenie z ukosa, jeden promienny uśmiech zazwyczaj wystarczają,

aby nawet niewiasty cieszące się opinią cnotliwych zapraszały go, by pod osłoną nocy wspiął się na ich balkon. Niemniej jednak Zorro woli zakochać się nieszczęśliwie. Mogłabym przysiąc, że ledwo opuścił się z balkonu i stanął na twardej ziemi, zapomina o damie, którą kilka chwil wcześniej trzymał w ramionach. On sam już nie wie, ile razy pojedynkował się ze zrozpaczonymi mężami albo znieważonymi ojcami, jednak ja prowadzę te rachunki (bynajmniej nie z zazdrości, lecz z kronikarskiego obowiązku). Diego pamięta tylko te kobiety, które dręczyły go swoją obojętnością, a pod tym względem Juliana była niezrównana. Wiele z jego bohaterskich wyczynów z tamtych lat nie było niczym więcej jak rozpaczliwą próbą zwrócenia na siebie uwagi tej dziewczyny. Przy niej nie odgrywał bojaźliwego chłopca, na co dawali się nabierać Agnès Duchamp, Chevalier i inne osoby; przeciwnie, w jej obecności puszył się niczym paw, kiedy dumnie stroży swe pióra. Dla niej byłby gotów walczyć ze smokiem, jednak w Barcelonie takowych nie było i musiał mu wystarczyć Rafael Moncada. A skoro już jesteśmy przy Moncadzie, to wydaje mi się słuszne, abyśmy docenili rolę, jaką odegrał w tej historii. W każdej historii czarny charakter ma fundamentalne znaczenie, albowiem bohater musi mieć godnego siebie przeciwnika. Mieliśmy niebywałe szczęście, że na drodze Zorro stanął Rafael Moncada, albowiem w przeciwnym razie nie miałabym o nim tak wiele do powiedzenia.

Juliana i Diego mieszkali pod jednym dachem, jednak każde z nich żyło swoim życiem i w tym wielkim domu, gdzie tak wiele pokoi było pustych, niewiele mieli okazji do spotkań, tym bardziej na osobności, albowiem Nuria pilnowała Juliany, Isabel zaś szpiegowała Diega, który godzinami wyczekiwał tylko na to, żeby w jakimś korytarzu zastać jej siostrę samą i przejść z nią kilka kroków bez świadków. Mógł ją spotkać w jadalni na obiedzie czy kolacji, w salonie podczas jej koncertów na harfie, w niedzielę na mszy oraz w teatrze, kiedy wystawiano dzieła Lopego de Vegi i komedie Molièra, które Tomás de Romeu wprost uwielbiał. Zarówno w kościele, jak i w teatrze mężczyźni i kobiety siadali osobno, tak więc jedyne, na co Diego mógł sobie pozwolić, to podziwiać z daleka kark ukochanej. Od ponad czterech lat podchodził ją z wytrwałością myśliwego, nie osiągając rezultatów wartych wzmianki, aż do chwili, gdy na rodzinę spadła tragedia; wtedy to, paradoksalnie, szala przechyliła się na korzyść Diega. Do tego czasu Juliana przyjmowała jego zaloty z takim spokojem, jakby w ogóle ich nie dostrzegała, jednak jemu wystarczał byle gest, aby robić sobie nadzieje. Sądził, że jej obojętność jest strategią, że Juliana w ten sposób maskuje prawdziwe uczucie. Ktoś mu powiedział, że kobiety zwykły tak czynić. Żał było patrzeć na biedaczynę, lepiej by było, gdyby Juliana go nienawidziła. Serce bywa kapryśne, zdarza się, że nagle robi całkowitą woltę, jednak letni siostrzany afekt jest praktycznie nieodwracalny.

Na wywczasy rodzina de Romeu jeździła do Santa Fé, do swojej rodowej siedziby, w owym czasie już na wpół opuszczonej. Była to kwadratowa budowla wzniesiona na szczycie skalistego wzgórza, skąd dziadkowie nieboszczki żony Tomása de Romeu zarządzili swymi dziećmi i wasalami. Widok, jaki się stamtąd rozciągał, był cudowny. Dawniej okoliczne pagórki porastała winorośl, a produkowane w niej wino mogło konkurować z najlepszymi trunkami francuskimi, jednak w owych wojennych czasach nikt się tym nie zajmował i teraz były to same suche łodygi stoczone przez robactwo. Dom przeżywał istną inwazję osławionych myszy z Santa Fé, tłustych zwierzątek o paskudnym charakterze, którymi w czasach największego głodu żywili się chłopcy. Ugotowane z czosnkiem i porami są bardzo smaczne. Na dwa tygodnie przed przyjazdem Tomas wysłał tam szwadron służących, żeby okadzili pokoje, gdyż był to jedyny sposób, aby gryzonie choć na chwilę się wyniosły. Wypadki rodziny na wieś stały się znacznie rzadsze, ponieważ na drogach zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Nienawiść ludu czuła się w powietrzu, była niczym ciężki oddech, złowieszcze ziajanie, od którego włos jeżył się na głowie. Tomás de Romeu - podobnie jak wielu innych właścicieli ziemskich - z obawy przed poderżnięciem gardła nie miał odwagi opuścić swojej miejskiej rezydencji ani tym bardziej ściągać podatków od swych dzierżawców. W czasie pobytu na wsi Juliana czytała, grała i niczym dobra wróżka próbowała jakoś ulżyć chłopom w ich ciężkiej doli i tak zdobyć ich sympatię, jednak efekty tego były bardzo mizerne. Nuria narzekała na wszystko, natomiast Isabel zabawiała się malowaniem akwarelek przedstawiających okoliczne krajobrazy albo portrety chłopów. Czy wspominałam, że dobrze rysowała? Chyba zapomniałam, a to karygodne niedopatrzenie, albowiem był to jej jedyny talent. Tymi obrazkami łatwiej zjednywała sobie ubogich niż Juliana całą swą dobroczynnością. Udało jej się uchwycić wyraźne podobieństwo, jednak upiększała swoich modeli, dodawała im zębów, ujmowała zmarszczek i nadawała im godność, jaką mało który z nich posiadał.

Wróćmy jednak do Barcelony, gdzie Diego zajęty był nauką, Sprawiedliwością, przesiadywaniem w tawernach z innymi studentami oraz licznymi przygodami „płaszczka i szpada”, jak je w romantycznym zapale nazywał, Juliana natomiast pędziła nudnawy żywot cnotliwej panienki. Nawet do spowiedzi nie mogła pójść bez przyzwoitki, Nuria chodziła za nią jak cień. Wykluczone także było, aby w cztery oczy

mogła rozmawiać z mężczyzną mającym mniej niż sześćdziesiąt lat. Na bale chodziła z ojcem; czasami towarzyszył im Diego, którego przedstawiali jako kuzyna z Indii Zachodnich. Julianie bynajmniej nie spieszyło się do ślubu, mimo iż epuzerzy tłoczyli się w kolejce. Ojciec miał obowiązek wydać ją dobrze za mąż, jednak nie potrafił znaleźć zięcia godnego jego córki. Brakowało jej zaledwie dwóch lat do skończenia dwudziestu; po przekroczeniu tego wieku jej szanse na zamążpójście będą maleć z miesiąca na miesiąc - obawiał się ojciec. Niepoprawny optymista Diego, który prowadził takie same kalkulacje, doszedł do wniosku, że czas działa na jego korzyść, albowiem kiedy Juliana stwierdzi, że zaczyna więdnąć, wyjdzie za niego, żeby nie zostać starą panną. Tym przedziwnym argumentem usiłował przekonać Bernarda, który jako jedyny miał wystarczająco dużo cierpliwości, aby bez końca wysłuchiwać dywagacji na temat jego nieszczęsnych amorów.

Pod koniec 1812 roku Napoleon Bonaparte poniósł klęskę w Rosji. Cesarz ruszył na ów olbrzymi kraj swoją Wielką Armią liczącą prawie dwieście tysięcy żołnierzy. Niezwyciężone wojska francuskie, w których panowała żelazna dyscyplina, posuwały się forsownym marszem znacznie szybciej od swych przeciwników, gdyż nosiły lekki ekwipunek, a żywiły się produktami podbitej ziemi. Mieszkańcy rosyjskich miast uciekali zawczasu przed Francuzami, a chłopci palili zbiory. Na trasie przemarszu wojsk Napoleona pozostawała jedynie goła ziemia. Najeźdźcy wkroczyli triumfalnie do Moskwy, gdzie powitał ich kłęb dymu gigantycznego pożaru i pojedyncze błyski strzałów desperatów ukrytych w ruinach i gotowych zginąć z bronią w ręku. Zanim moskwianie się ewakuowali, idąc za przykładem dzielnych chłopów, podpalili swoje posesje. Nie było komu wręczyć Napoleonowi kluczy do miasta, nie było ani jednego rosyjskiego żołnierza, którego można by wziąć do niewoli, zostało tylko kilka zrezygnowanych prostytutek, które utraciwszy swych dotychczasowych klientów, gotowe były obsłużyć zwycięzców. Napoleon zdobył miasto, w którym nie było nic oprócz popiołu. Czekał, sam nie wiedząc na co, i tak minęło lato. Nim zdecydował się na odwrót, spadły deszcze, a potem rosyjska ziemia stała się twarda jak granit i pokryła się śniegiem. Cesarz nie wyobrażał sobie, na jakie straszliwe próby wystawieni będą jego ludzie. Do wojny podjazdowej, jaką toczyli z nim kozacy, i zasadzek zastawianych przez chłopów doszły jeszcze głód i zimno jak na Księżycu, jakich jego żołnierze nigdy dotąd nie doświadczyli. Tysiące Francuzów zamienionych w bryły lodu na zawsze pozostało na trasie tego niechlubnego odwrotu. Ci, którzy przeżyli, musieli jeść konie, buty, a zdarzało się, że nawet ciała swych towarzyszy. Tylko dziesięć tysięcy wynędzniałych i upadłych na duchu mężczyzn wróciło do ojczyzny. Napoleon zrozumiał, że jego gwiazda zaczyna przygasać. Musiał przegrupować swoje oddziały okupujące znaczną część Europy. Między innymi wycofał dwie trzecie wojsk stacjonujących w Hiszpanii. Po latach krwawego oporu przed Hiszpanami pojawiła się wreszcie szansa na uwolnienie kraju, jednak na ostateczny triumf musieli czekać jeszcze szesnaście miesięcy.

W owym roku, w tym samym czasie, kiedy Napoleon lizał we Francji rany po poniesionej klęsce, Eulalia de Callís wysłała swojego bratanka Rafaela Moncadę w długą podróż po świecie w misji handlowej - najpierw miał udać się na Antyle, a potem do Stanów Zjednoczonych i Europy. Zamierzała sprzedawać aromatyczny trzcinowy cukier, czekoladę, masę migdałową oraz pastę z włoskich orzechów cukiernikom i producentom delikatnych karmelków. Zadaniem bratanka było nawiązanie kontaktów handlowych w najważniejszych miastach od Waszyngtonu po Paryż. Moskwę odłożyła na później, jako że była w ruinach, jednak Eulalia liczyła na to, że dymy wojennej pożogi wkrótce się rozwieją, a rosyjska stolica wkrótce zostanie odbudowana i odzyska dawny splendor. Wyprawa Rafaela miała potrwać jedenaście miesięcy; aby założyć aromatyczne bractwo czekolady, jakie wymarzyła sobie Eulalia, musiał przebyć ocean, a potem objąć sobie nerki w ciągłych konnych rozjazdach.

Przed wypłynięciem na Antyle, nie mówiąc ciotce ani słowa o swoich zamiarach, Rafael zdążył się jeszcze spotkać z Tomásem de Romeu. Ten nie przyjął go w domu, tylko w miejscu neutralnym, w siedzibie Towarzystwa Geograficznego i Filozoficznego, którego był członkiem. Zaprosił go do znakomitej restauracji, która mieściła się na drugim piętrze. Podziw Tomása de Romeu dla Francji nie obejmował jej wybornej kuchni; żadne tam jęczyczki kanarków, on wolał pożywne dania katalońskie, takie jak duszona escudella - która umarłego postawiłaby na nogi, estofat de toro - istna bomba mięsna, czy też butifarra del obispo - krwista kaszanka czarniejsza i grubsza od innych. Siedzący za stołem Rafael Moncada, mając przed sobą swego amfitriona oraz górę mięsa i tłuszczu, wydawał się nieco pobladły. Ledwo skosztował jedzenia, gdyż miał delikatny żołądek, a poza tym był zdenerwowany. Pokrótkie opowiedział ojcu Juliany o sobie, poczynając od tytułów aż do wypłacalności finansowej.

- Bardzo żałuję, señor de Romeu, że poznaliśmy się przy okazji tego nieszczęsnego pojedynku z Diegiem de la Vega. To porywczy młody człowiek, a i mnie, przyznaję, czasem ponieś. Od słowa do słowa i skończyło się na walce o honor. Na szczęście obyło się bez poważnych konsekwencji. Mam

nadzieję, że ta sprawa nie zaciążyła na opinii, jaką wasza miłość wyrobił sobie na mój temat... - powiedział kandydat na żięcia.

- Ależ skądże znowu, kawalerze. Celem pojedynku jest zmycie plamy na honorze. Kiedy już dwóch dżentelmenów się zmierzyło, to nie ma mowy o wzajemnych urazach - odparł tamten uprzejmie, chociaż nie zapomniał szczegółów wydarzenia.

Przy deserze z bakalii i orzechów zwanym *postre de music*, który w tej restauracji podawano w gigantycznych ilościach, Moncada wyraził pragnienie poślubienia Juliany i liczył na otrzymanie odpowiedzi w tej sprawie po swoim powrocie z podróży. Tomás de Romeu nie lubił mówić o uczuciach i nawet nie starał się zbliżyć się do swych córek, sprawy niewieście peszyły go i wołał ten obowiązek scedować na Nurię. Patrzył, jak Juliana, chwiejąc się na nóżkach, zaczynała chodzić po kamiennych korytarzach jego lodowatego domu, jak wypadały jej mleczone i wyrastały stałe zęby, jak nagle wystrzeliła w górę i dryfowała przez niewdzięczne lata pokwitania. Pewnego dnia, kiedy stanęła przed nim, zobaczył, że ma dziecięce warkoczyki, ale ciało kobiety, a jej sukienka pęka w szwach. Wówczas polecił Nuri zamówić dla niej odpowiednie stroje, zatrudnić nauczyciela tańca i ani na chwilę nie spuszczać jej z oka. Teraz Rafael Moncada - jak wcześniej inni dobrze sytuowani kawalerowie - prosi go, aby dał mu Julianę za żonę, a on nie wie, co odpowiedzieć. To był idealny kandydat, każdy ojciec na jego miejscu byłby zadowolony, jednak on nie czuł do Moncady sympatii, nie tyle ze względu na różniące ich poglądy polityczne, ile na niepokojące plotki, jakie krążyły na temat charakteru tego człowieka. W powszechnej opinii małżeństwo uważane było za umowę społeczną i ekonomiczną, w której brak uczucia nie jest najważniejszy, gdyż rodzi się ono w trakcie jego trwania, jednak on się z tym nie zgadzał. Sam ożenił się z miłości i był bardzo szczęśliwy; tak bardzo, że żadna kobieta nie zdołała mu zastąpić jego żony. Juliana pod tym względem była do niego podobna, a do tego naczytała się romantycznych powieści. Szanował swoją córkę i nie chciał narzucać jej swojej woli. Aby zgodziła się wyjść za mąż bez miłości, trzeba by złamać jej charakter, a on pragnął, aby była szczęśliwa, i wątpił, czy Moncada potrafi jej to szczęście zapewnić. Zauważył, o nic nie pytając, że jego córka jakoś dziwnie traktuje tego upartego zalotnika. Musiał porozmawiać z Julianą, ale nie wiedział jak, gdyż jej uroda i przymioty onieśmiały go. Swobodniej czuł się z Isabel, albowiem jej rzucające się w oczy niedostatki czyniły ją bardziej przystępną. Zrozumiał, że sprawy nie można odkładać, i jeszcze tej samej nocy powiedział Julianie, że Moncada poprosił o jej rękę. Dziewczyna wzruszyła ramionami i nie odrywając wzroku od krzyżkowego haftu - a dłoń, w której trzymała igłę, nawet jej nie drgnęła - odparła, że na Antylach dużo ludzi umiera na malarię, nie ma więc potrzeby spieszyć się z podjęciem decyzji.

Diego był szczęśliwy. Tak długa nieobecność rywala dawała mu ogromną szansę, aby w wyścigu do ręki Juliany zostawić go w tyle. Wyjazd Moncady nie zrobił na dziewczynie większego wrażenia, podobnie zresztą jak awanse Diega. Nadal traktowała chłopca z taką samą pobłażliwą serdecznością co zawsze, w jego obecności sprawiała wrażenie roztertargnionej i nie przejawiała najmniejszego zainteresowania jego tajemniczą działalnością. Równie niewzruszona pozostawała na jego wiersze, z trudem zachowywała powagę przy „zębach jak perełki”, „szmaragdach oczu” i „rubinowych wargach”. Szukając pretekstu, aby móc przebywać z nią częściej, Diego postanowił wziąć lekcje tańca, by stać się eleganckim i pełnym animuszu tancerzem. Udało mu się nawet nakłonić Nurię, aby w rytmie fandanga puściła się z nim w tany i rozruszała kości, jednak nie zdołał jej namówić, aby wstawiła się za nim do Juliany; pod tym względem ta dobra kobieta nieodmiennie okazywała się równie nieustępliwa co Isabel. Pragnąc wzbudzić podziw owych trzech kobiet mieszkających z nim pod wspólnym dachem, Diego jednym pchnięciem floretu tak precyzyjnie przecinał świece na pół, że płomień nawet nie drgnął, a odcięta część pozostawała na swoim miejscu. Potrafił również je gasić końcem bata. Udoskonalił umiejętności, jakie przekazał mu Galileo Tempesta, i nauczył się robić sztuczki z kartami. Świetnie też żonglował płonącymi pochodniami i bez niczyjej pomocy wychodził z kufra zamkniętego na kłódkę. Kiedy wyczerpał mu się repertuar, próbował wyrzeć wrażenie na ukochanej, opowiadając o swoich przygodach, nawet tych, o których - jak obiecał Bernardowi czy mistrzowi Escalante - nie miał nigdy nikomu wspominać. W chwili słabości dał jej nawet do zrozumienia, że należy do pewnego tajnego stowarzyszenia, którego członkami mogą być tylko nieliczni wybrani mężczyźni. Pogratulowała mu, sądząc, że chodzi o którąś ze studenckich trup, jakie krążyły po ulicach, grając sentymentalną muzykę. Postawa Juliany nie wynikała z pogardy - gdyż bardzo Diega cenila - ani ze złośliwości - gdyż nie była do niej zdolna - lecz z oderwania od rzeczywistości; Juliana żyła w świecie swoich lektur. Czekwała na bohatera z tych powieści, odważnego i tragicznego, który miał ją wyrwać z nudnej codzienności, i nawet jej w głowie nie powstało, że mógłby nim być Diego de la Vega. Albo Rafael Moncada.

Sytuacja polityczna w Hiszpanii zmieniała się z dnia na dzień i coraz bardziej było widoczne, że koniec wojny jest już blisko. Eulalia de Callís niecierpliwie przygotowywała się na tę chwilę, czekając

na powrót bratanka. Malaria nie rozwiązała za Julianę problemu Moncady, który w listopadzie 1813 roku wrócił jeszcze bogatszy niż przedtem, albowiem ciotka przyznała mu wysoki procent od wpływów z handlu słodyczami. Zrobił furorę w najwykwintniejszych salonach Europy i Stanów Zjednoczonych, gdzie poznał ni mniej, ni więcej tylko samego Thomasa Jeffersona, któremu zasugerował założenie w Wirginii plantacji kakao. Ledwie zdążył otrzepać się z kurzu po podróży, skomunikował się z Tomásem de Romeu, aby przypomnieć mu swoją prośbę o rękę Juliany. Od lat czekał na jej decyzję i nie zamierzał przyjmować kolejnej wykrętnej odpowiedzi. Dwie godziny później Tomas wezwał córkę do biblioteki, gdzie podejmował swoje najważniejsze decyzje i przy kieliszku koniaku rozwiązywał problemy egzystencjalne, i przekazał, co usłyszał od jej konkurenta.

- Jesteś w wieku stosownym do zamęścia, córko. Czas płynie dla nas wszystkich - argumentował. - Rafael Moncada to poważny kawaler, a po śmierci ciotki stanie się jednym z najbogatszych ludzi w Katalonii. Wiesz, że nie osądzam ludzi na podstawie ich sytuacji finansowej, jednak muszę myśleć o twoim zabezpieczeniu na przyszłość.

- Nieszczęśliwy związek to dla kobiety coś gorszego niż śmierć, ojcze. Myśl, że trzeba być posłuszną i usługiwać mężczyźnie, jest straszna, jeśli w małżeństwie brakuje uczucia i zaufania.

- To przychodzi po ślubie, Juliano.

- Nie zawsze, ojcze. Poza tym musimy pamiętać o waszych potrzebach i moich obowiązkach jako córki. Kto się wami zajmie, kiedy będziecie staruszkami? Isabel nie ma do tego głowy.

- Na Boga, Juliano! Nigdy nie sugerowałem, że moje córki mają się mną na starość opiekować. Pragnę tylko mieć wnuki i widzieć was obie dobrze zabezpieczone. Nie będę mógł spokojnie umrzeć, jeśli nie zostawię was pod dobrą opieką.

- Nie wiem, czy Rafael Moncada jest mężczyzną dla mnie. Nie wyobrażam sobie, jak miałabym zażywać z nim jakichkolwiek poufałości - wyszeptła dziewczyna, stając w pąsach.

- Pod tym względem nie różnisz się od innych, córko. Która cnotliwa panienka umiałaby to sobie wyobrazić? - odparł Tomás de Romeu równie skonfundowany co ona.

Nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie musiał rozmawiać z córkami o takich sprawach. Zakładał, że w stosownym momencie Nuria wyjaśni im, co niezbędne, chociaż pod tym względem ochmistryni była zapewne taką samą ignorantką co dziewczęta. Nie wiedział, że Juliana rozmawiała o tych rzeczach z Agnès Duchamp, a szczegółów dowiedziała się ze swoich romansideł.

- Potrzebuję trochę więcej czasu na decyzję, ojcze - poprosiła Juliana.

Tomás de Romeu pomyślał, że jeszcze nigdy tak mu nie brakowało jego zmarłej żony, która, jak każda matka, załatwiłaby sprawę mądrze i stanowczo. Był zmęczony tym ciągłym graniem na zwłokę. Spotkał się z Rafaelem Moncada i poprosił go o jeszcze trochę cierpliwości, a temu nie pozostało nic innego jak ustąpić. Julianie natomiast powiedział, że ma dwa tygodnie na zastanowienie się i jeśli do tego czasu nie da mu wiążącej odpowiedzi, to on przyjmie propozycję Moncady i kropka. To jego ostatnie słowo, powiedział, chociaż jego głos nie brzmiał przekonująco. Dodał jeszcze, że Moncada mógł potraktować tę zwłokę jako osobistą obrazę, jako że już nie tylko w pomieszczeniach dla służby, ale w najświetniejszych salonach szeroko komentowano fakt, że ta dziewczyna bez majątku i tytułów bawi się w kotka i myszkę z kimś, kto jest najlepszą partią w Barcelonie. Gdyby jego córka dalej tak traktowała Mocandę, Tomás de Romeu poważnie by mu się naraził, chociaż niewątpliwie nadal odwlekałby decyzję. Jednak pewne dziwne wydarzenie przyspieszyło bieg wypadków.

Tego dnia, jak w każdy pierwszy piątek miesiąca, siostry de Romeu poszły z Nurią rozdawać jałmużnę. W Barcelonie żyło tysiąc pięciuset zarejestrowanych żebraków oraz wiele tysięcy biedaków i nędzarzy, których nikt nie liczył. Od pięciu lat, zawsze tego samego dnia i o tej samej porze, widywano Julianę, jak z nieodłączną ochmistrynią przy boku odwiedza sierocińce i przytułki, również te prowadzone przez zakonnice. Gwoli przyzwoitości, a także nie chcąc nikogo urazić widomymi oznakami swojego bogactwa, obie od stóp do głów okrywały się ciemnymi mantylkami i płaszczami i obchodziły całą dzielnicę na piechotę; Jordi czekał na nie z powozem na pobliskim placu, dla zabicia nudy pociągając sobie z butelki. Na tej wyprawie schodziło im całe popołudnie. W tym roku zaczęła im towarzyszyć Isabel, która skończyła piętnaście lat, a tym samym - jak mawiała Nuria - osiągnęła wiek, kiedy panienka powinna zacząć się wprawiać w okazywaniu współczucia bliźnim, zamiast tracić czas na szpiegowanie Diega albo na pojedynkowanie się sama ze sobą przed lustrem. Musiały przejść przez wąskie zaułki największej nędzy, gdzie nie zapuszczały się nawet koty w obawie, że mogłyby zostać upolowane i sprzedane jako zające. Juliana przykładnie i bohatercko poddawała się owej srogiej próbie, za to Isabel robiło się od tego wszystkiego niedobrze, nie tylko z tego względu, że

przerażały ją rany i wrzody, łachmany i kule, bezzębne usta i przeżarte syfilisem nozdrza owych nieszczęśników, nad którymi jej siostra pochylała się niczym misjonarka, ale również dlatego, iż uważała, że cała ta dobroczynność to czysta kpina. W obliczu tak ogromnego ubóstwa piątki z sakiewki Juliana niczego nie załatwiają, twierdziła. Lepsze to niż nic, odpowiadała jej siostra.

Zaczęły swój obchód przed półgodziną i zdążyły odwiedzić dopiero jeden sierociniec, kiedy w pewnej chwili, gdy skręcały za róg, drogę zastąpiło im trzech typów spod ciemnej gwiazdy. Prawie nie było widać ich oczu, gdyż mieli naciągnięte głęboko na czoło kapelusze i twarze zasłonięte chustkami. Mimo oficjalnego zakazu noszenia peleryn najwyższy z nich miał narzuconą na ramiona grubą derkę. Była pora sjeisty, na ulicach było niewielu przechodniów. Uliczka biegła między dwoma masywnymi kamiennymi murami - z jednej strony jakiegoś kościoła, a z drugiej klasztoru - i nie było ani jednej pary drzwi, w których można by się schronić. Nuria zaczęła piszczeć z przerażenia, ale mocny cios w twarz przewrócił ją na ziemię i zamknął jej usta. Juliana próbowała ukryć pod płaszczem sakiewkę z pieniędzmi przeznaczonymi na jałmużnę, a tymczasem Isabel ukradkiem rozglądała się wokół, szukając pomocy. Jeden z opryszków wydarł Julianie sakiewkę, a drugi właśnie zamierzał wyrwać jej z uszu perłowe kolczyki, kiedy nagle na ulicy rozległ się stukot końskich kopyt. Isabel wrzasnęła na cały głos i w chwilę później okazało się, że opatrzność zesłała im na pomoc ni mniej, ni więcej tylko Rafaela Moncadę. W mieście tak rozległym jak Barcelona jego pojawienie się właśnie tutaj graniczyło z cudem. Moncadzie wystarczyło jedno spojrzenie, aby ocenić sytuację, po czym zręcznie dobył szpady i natarł na rzeźmieszków. Dwóch z nich zdążyło już sięgnąć po krótkie sztylety, jednak kilka zdecydowanych machnięć oburącz trzymaną szpadą sprawiło, że się zawahali. Moncada, wspięty na swym rumaku, w czarnych butach lśniących w srebrnych strzemionach, w białych, obcisłych pludrach i ciemnozielonym aksamitnym surducie z karakułowymi wyłogami i z długą szpadą z okrągłą, grawerowaną złotem gardą, wydawał się ogromny i dostojny. Z łatwością mógłby odesłać na tamten świat co najmniej jednego lub dwóch, jednak wyglądało na to, że sprawiało mu przyjemność samo ich zastraszanie. Z dzikim uśmiechem na ustach i szpadą migocącą w powietrzu jawił się niczym centralna postać jakiejś fantastycznej sceny batalistycznej. Tamci z trudem łapali oddech, on zaś nieustannie ich atakował. Rozjuszony koń stanął dęba i przez chwilę wydawało się, że zrzuci swego jeźdźcę, jednak ten utrzymał się w strzemionach, mocno przyciskając kolana do boków zwierzęcia. Wszystko to przypominało niezwykle efektowny taniec. Otoczony skrzącymi się sztyletami rumak obracał się dokoła, rżąc z przerażenia, podczas gdy Moncada jedną ręką ściągał mu cugle, a drugą machał szpadą, opędzając się od rzeźmieszków, którzy czekali na dogodny moment, aby go zasztyletować, ale bali się znaleźć w zasięgu jego szpady. Do krzyków Isabel doszły wrzaski Nurii i ulica zarojła się od ludzi, którzy jednak na widok połyskującej broni woleli trzymać się z daleka. Jakiś chłopak rzucił się biegiem na poszukiwanie miejskich strażników, lecz wątpla była nadzieja, że uda mu się sprowadzić pomoc na czas. Korzystając z zamieszania, Isabel jednym szarpnięciem wyrwała sakiewkę z łap bandziora okrytego derką i jedną ręką chwyciła za ramię siostrę, a drugą ręką Nurię, chcąc zmusić je do ucieczki, jednak nie udało się jej ruszyć ich z miejsca, gdyż obie stały jak zamurowane. Całe zajście trwało zaledwie kilka minut, które płynęły wolno jak w jakimś koszmarnym śnie, aż w końcu Rafaelowi Moncadzie udało się wytrącić sztylet jednemu z napastników i wtedy wszyscy dali drapakę. Moncada zrobił ruch, jakby chciał ich ścigać, ale widząc przerażenie kobiet, rozmyślił się i zeskoczył z siodła. Na jego jasnych spodniach widniała czerwona plama. Drżąc jak listek osiki, Juliana podbiegła, żeby ukryć się w jego ramionach.

- Jesteście ranni, panie! - zawołała, widząc krew na jego nodze.

- To tylko draśnięcie - odparł.

Tych wrażeń dla Juliany było za dużo. Oczy zaszyły jej mgłą i kolana się pod nią ugięły, jednak nie zdążyła osunąć się na ziemię, gdyż podtrzymały ją czułe ramiona Moncady. Zniecierpliwiona Isabel rzuciła kąśliwą uwagę, że tej scenie brakowało tylko tego, żeby jej siostra zemdląca. Moncada uśmiechnął się, że nie wyczuwa sarkazmu w jej głosie, i lekko kulejąc - lecz nie potykając się - objął Julianę ramieniem i poprowadził ją do placu. Za nimi, trzymając konia za uzdę, szły Nuria i Isabel w otoczeniu tłumu ciekawskich, z których każdy miał na temat zajścia swoje własne zdanie i każdy upierał się przy swoim. Na widok owej procesji Jordi zeskoczył z kozła i pomógł Moncadzie usadowić Julianę w powozie. Tłum gapiów nagroził ich gromkimi oklaskami. Rzadko kiedy na ulicach Barcelony działo się coś równie pełnego donkiszoterii i romantyzmu; będzie temat do rozmów na wiele dni. Dwadzieścia minut później Jordi wjeżdżał na dziedziniec domu rodziny de Romeu, za nim zaś przygalopował Moncada. Juliana płakała ze zdenerwowania, Nuria językiem obmacywała obruszone zęby, próbując je policzyć, Isabel zaś, tuląc do piersi sakiewkę, prychała ze złości.

Tomás de Romeu nie był człowiekiem, na którym nazwiska rodowe robiły wrażenie, gdyż uważał, że szlachta powinna zniknąć z powierzchni ziemi, fortuna Moncady też mu nie imponowała, gdyż nie przywiązywał specjalnej wagi do pieniędzy, jednak wzruszył się do łez, dowiedziawszy się, że ten

kawaler, który doznał od Juliany tylu afrontów, ryzykował życie dla ratowania jego córek z ciężkiej opresji. Chociaż twierdził, że jest ateistą, w zupełności zgodził się z Nurią, że to boska opatrzność zesłała im Moncadę na ratunek. Nalegał, aby bohater dnia odpoczął w ich domu, a w tym czasie Jordi pobiegł po medyka, żeby opatrzył mu ranę, jednak on wolał wrócić do siebie. Niczym nie okazywał, że cierpi, miał tylko lekko przyspieszony oddech. Wszyscy stwierdzili, że opanowanie, z jakim znosi ból, jest równie godne podziwu, co odwaga, jaką wykazał w obliczu niebezpieczeństwa. Jedynie Isabel zachowała się inaczej. Zamiast entuzjastycznie wyrażać mu wdzięczność jak reszta rodziny, pozwoliła sobie na kilka pogardliwych prychnięć, co zostało bardzo źle przyjęte. Ojciec kazał jej zamknąć się w swoim pokoju i nie wystawiać nosa, dopóki nie przeprosi za swoje nieprzystojne zachowanie.

Diego musiał cierpliwie wysłuchać z ust Juliany szczegółowej relacji z napaści oraz spekulacji na temat tego, co by było, gdyby wybawca nie przybył na czas. Dziewczynie nigdy nie zdarzyło się nic równie niebezpiecznego; Rafael Moncada urósł w jej oczach: teraz dostrzegła, że jest silny i przystojny, ma piękne dłonie i gęstą falującą czuprynę. W dziedzinie miłosnych podbojów mężczyzna z bujnymi włosami ma znacznie ułatwione zadanie. Nagle zauważyła, że jej konkurent jest podobny do najpopularniejszego hiszpańskiego toreadora, długonogiego kordobańczyka z ogniem w oczach. Nie jest taki zły, pomyślała. Pod wpływem ciężkich przeżyć dostała gorączki i poszła wcześniej do łóżka. Tego wieczoru medyk musiał dać jej coś na uspokojenie, zaaplikowawszy przedtem Nurii okłady z arniki, bo twarz jej spuchła jak dynia.

Widząc, że jego ukochanej nie będzie na kolacji, Diego udał się do swoich pokoi, gdzie czekał na niego Bernardo. Przez wzgląd na przyzwoitość dziewczęta nie mogły przebywać w skrzydle domu, w którym znajdowały się pokoje mężczyzn, jedyny wyjątek uczyniono, kiedy Diego dochodził do siebie po pojedynku, jednak Isabel niezbyt się przejmowała tym zakazem, podobnie jak nie poddawała się karom nakładanym przez ojca. Teraz również zignorowała jego polecenie, kiedy kazał jej zamknąć się w swojej sypialni, i bez pukania, jak to często robiła, zjawiła się w pokoju Diego.

- Nie mówiłem ci, że masz pukać? Któregoś dnia zastaniesz mnie gołego - zaprotestował Diego.
- Nie sądzę, aby to wywarło na mnie jakieś niezapomniane wrażenie - odparła.

Usiadła na łóżku Diego z przebiegłym wyrazem twarzy kogoś, kto coś wie, ale sam nie chce powiedzieć, i każe się prosić, jednak Diego, znając jej fortele, dla zasady nie zamierzał ustąpić. Minęła długa minuta, aż w końcu Isabel nie wytrzymała i kwiecistym językiem, jakiego używała z dala od uszu Nurii, powiedziała, że jeśli jej siostra wierzy Moncadzie, to widocznie jest głupia jak but. Dodała, że cała ta sprawa śmierdzi zdechłą rybą, gdyż jednym z napastników był Rodolfo, olbrzym z cyrku. Diego podskoczył jak małpa, a Bernardo wypuścił z rąk linę, na której robił węzły.

- Jesteś pewna? Mówiłyście, że ci zbóje mieli zasłonięte twarze! - natarł na nią Diego.
- Tak, mieli, a w dodatku ten, o którym mówię, ten okryty derką, był ogromny, a kiedy wrywałam mu sakiewkę, zobaczyłam jego ramiona. Miał na nich tatuaże.
- To mógł być jakiś marynarz. Wielu z nich ma tatuaże, Isabel - zwrócił jej uwagę Diego.
- Były takie same jak u tego Cygana z cyrku, nie mam cienia wątpliwości, tak więc lepiej, żebyś mi uwierzył - odparła.

Od tego do wyciągnięcia wniosku, że Cyganie są w to zamieszani, był zaledwie krok, który Diego i Bernardo zrobili bez wahania. Wiedzieli, że już od dawna Pelayo i jego kompani co jakiś czas wykonują na zlecenie Moncady jakąś czarną robotę, ale nie mogli tego udowodnić. Nie mieli odwagi zapytać o to Cygana, który zresztą zawsze milczał jak grób i do niczego by się nie przyznał. Również Amalia nie dawała się podejść; nawet w najintymniej szych chwilach strzegła rodzinnych sekretów. Nie mając dowodów Diego nie mógł zgłosić się z tymi podejrzeniami do Tomása de Romeu, tym bardziej że przy okazji musiałby się przyznać do swoich potajemnych kontaktów z Romami. Musiał jednak zacząć działać. Jak stwierdziła Isabel, nie można było dopuścić, żeby Juliana wyszła za Moncadę, kierując się wdzięcznością, do której nie było żadnych podstaw.

Nazajutrz udało im się przekonać Julianę, aby wstała z łóżka, opanowała się i udała się z nimi do starej dzielnicy portowej, w której zwykle urzędowała Amalia. Nuria pojechała z nimi, gdyż był to jej obowiązek, mimo iż twarz jej wyglądała znacznie gorzej niż poprzedniego dnia. Policzek miała siny, a powieki opuchnięte jak u żaby. W ciągu niespełna pół godziny odszukali Amalię. Podczas gdy dziewczęta i ochmistrzyni czekały w powozie, Diego - z elokwencją, o jaką nawet on sam siebie nie podejrzewał - uprosił Cyganek, aby ocaliła Julianę przed fatalnym losem.

- Jedno twoje słowo może uratować niewinną dziewczynę od tragedii małżeństwa bez miłości. Nie wolno nam dopuścić, by wyszła za tego szubrawca. Musisz powiedzieć jej prawdę - zwrócił się do niej dramatycznym tonem.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała Amalia.

- Oczywiście, że wiesz. Ci szubrawcy, którzy na nie napadli, należą do twojego klanu. Wiem, że jeden z nich to Rodolfo. Myślę, że Moncada zainscenizował tę scenę, żeby przed siostrami de Romeu odegrać rolę bohatera. Wszystko było uzgodnione, prawda? - nalegał Diego.

- Jesteś w niej zakochany? - zapytała Amalia dobrotliwie.

Zaślepiony miłością Diego musiał przyznać, że tak. Wzięła go za rękę, uśmiechając się tajemniczo, obejrzała je uważnie, pośliniła palec i zrobiła na jego dłoniach znak krzyża.

- Co robisz? To jakieś przekleństwo? - zapytał przestraszony Diego.

- To przepowiednia. Nigdy się z nią nie ożenisz.

- Chcesz powiedzieć, że Juliana wyjdzie za Moncadę?

- Tego nie wiem. Uczynię, o co prosisz, ale nie rób sobie nadziei, albowiem ani ta kobieta, ani ty nie jesteście w stanie zmienić waszego przeznaczenia, i nic, co ja mogłabym powiedzieć, nie odwróci tego, co zapisane jest w niebie.

Amalia weszła do powozu, przywitała się z Isabel, którą widziała kilka razy w towarzystwie Diega i Bernarda, i usiadła na ławeczce twarzą do Juliany. Przerażona Nuria wstrzymywała oddech, gdyż była przekonana, że Cyganie to potomkowie Kaina i zawodowi złodzieje. Juliana wyprosiła ochmistrzynię i Isabel, które jak niepyszne, zgrzytając zębami, wysiadły z powozu. Zostawszy same, obie kobiety obserwowały się nawzajem przez jakąś minutę. Amalia zlustrowała wzrokiem klasyczne rysy twarzy Juliany w obramowaniu czarnych loków, zielone kocie oczy, smukłą szyję, kaptur i skórzany kapelusz, miękkie trzewiczki z koźlej skóry. Juliana zaś przypatrywała się Amalii z ciekawością, gdyż jeszcze nigdy nie widziała żadnej Cyganki z tak bliska. Gdyby kochała Diega, instynkt ostrzegłby ją, że to jej rywalka, jednak taka myśl nawet jej nie zaświtała w głowie. Dziewczynie spodobał się bijący od tamtej zapach dymu, twarz o szerokich kościach policzkowych, obszerne spódnice i pobrzękiwanie srebrnych ozdób. Wydała się Julianie piękna. W przyпіlywie czułości dziewczyna ściągnęła rękawiczki i ujęła rękę Amalii w swoje. „Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać” - powiedziała z prostotą. Rozbrojona spontanicznością jej zachowania Amalia postanowiła złamać podstawową zasadę swojego ludu, że nie wolno ufać żadnemu gadzowi, zwłaszcza że mogło to narazić jej grupę na niebezpieczeństwo. Wyznała, że faktycznie napad został ukartowany, a siostrze i jej samej nic nie groziło, że plama na spodniach Moncady nie pochodziła z rany, tylko z kawałka flaków wypełnionych krwią kury. Powiedziała, że niektórzy jej towarzysze od czasu do czasu wykonują różne zlecenia Moncady, zazwyczaj są to drobne sprawy, tylko kilka razy popełnili jakieś poważne wykroczenie, takie jak napad na hrabiego Orłowa. „Nie jesteśmy złoczyńcami” - powiedziała Amalia i dodała, że żałują, iż pobili Rosjanina i uderzyli Nurię, gdyż stosowanie przemocy jest wśród nich zakazane. Na koniec dodała, że to Pelayo śpiewał jej serenady, bo Moncada fałszuje jak zarzynane prosię. Juliana wysłuchała tego wszystkiego, nie zadając żadnych pytań. Kobiety pożegnały się lekkim skinieniem głowy i Amalia wysiadła z powozu, a wtedy Juliana wybuchnęła płaczem.

Tego samego wieczoru Tomás de Romeu przyjął w swojej rezydencji Rafaela Moncadę, który przedtem w krótkim liście poinformował go, że już odzyskał siły utracone z powodu upływu krwi i pragnie złożyć Julianie wyrazy uszanowania. Jeszcze rano lokaj przyniósł bukiet kwiatów dla niej i pudełko migdałowego nugatu dla Isabel, a subtelność tych podarunków Tomas zaliczył pretendentowi do ręki jego córki na plus. Moncada przybył ubrany z nienaganną elegancją, wspierając się na lasce. Tomas przyjął go w głównym salonie odkurzonym na cześć przyszłego zięcia, zaoferował mu kieliszek jerezu i kiedy już usiedli, jeszcze raz podziękował za skuteczną interwencję, która przyszła w samą porę. Zaraz też kazał wezwać obie córki. Juliana, wymizerowana na twarzy, zjawiła się w sukni mniszki niezbyt odpowiedniej na tak ważną okazję. Isabel z płonącymi oczami i drwiącym grymasem na twarzy trzymała ją pod ramię tak mocno, że zdawało się, iż ją wlecze. Rafael Moncada przypisał zle samopoczucie Juliany jej zdenerwowaniu. „Nic dziwnego, po tak straszliwej napaści, jaką przeżyłyście, pani...” - zdolał powiedzieć, zanim mu przerwała, aby drżącym głosem, w którym jednak dało się wyczuć żelazną stanowczość, poinformować go, że pierwej umrze, niż go poślubi.

Wobec tak zdecydowanego odrzucenia go przez Julianę Rafael Moncada posiniał na twarzy i jak niepyszny opuścił dom rodziny de Romeu, zachowując jednak resztki dobrych manier. W trakcie swego dwudziestosiedmioletniego życia zdarzało mu się napotykać przeszkody, jednak zawsze

udawało mu się je pokonać. Nie zamierzał się poddawać i teraz miał jeszcze wiele asów w rękawie, w końcu pozycja społeczna, majątek i koneksje to niebagatelne atuty. Powstrzymał się od wypytywania Juliany o jej racje, gdyż intuicja podpowiadała mu, że coś zawiodło w jego strategii. Dziewczyna chyba czegoś się dowiedziała, a on nie mógł ryzykować, że zostanie do końca zdemaskowany. Jeśli Juliana domyślała się, że ten uliczny napad był zainscenizowany, źródło tych podejrzeń mogło być tylko jedno: Pelayo. Nie wierzył, aby Cygan ośmielił się go wydać, gdyż nic na tym nie zyskiwał, niemniej jednak mógł popełnić jakąś niedyskrecję. Na dłuższą metę nie sposób było utrzymać coś w sekrecie; służba zdobywała i przekazywała sobie informacje znacznie skuteczniej niż cała siatka francuskich szpiegów. Wystarczyło, by któraś z zamieszanych w sprawę osób chlapnęła językiem, aby wieść dotarła do uszu Juliany. Przy różnych okazjach zatrudniał Cyganów właśnie dlatego, że byli nomadami, przyjeżdżali i wyjeżdżali, nie nawiązując kontaktów z nikim spoza swego środowiska, w Barcelonie nie mieli przyjaciół ani znajomych i chcąc nie chcąc nikomu nie mogli się wygadać. Jednak kontakty z tymi ludźmi bardzo mu ciążyły i dużo o tym myślał w czasie swojej ostatniej podróży. Miał nadzieję, że po powrocie zdola wymazać ich z pamięci, zapomnieć o grzeszkach z przeszłości i zacząć od nowa z czystą kartą, z dala od owego podziemnego świata płatnej niegodziwości, jednak w chlubnym zamiarze odnowy życia wytrwał zaledwie kilka dni. Kiedy Juliana poprosiła o kolejne dwa tygodnie do namysłu nad jego matrymonialną propozycją, Moncada wpadł w panikę, co w jego przypadku - chełpił się tym, że potrafi zapanować nawet nad potworami ze swych koszmarnych snów - było co najmniej dziwne. Wojażując po świecie napisał do niej wiele listów, na które nie odpowiedziała. Milczenie owo przypisywał jej nieśmiałości, gdyż będąc w wieku, kiedy inne kobiety były już matkami, Juliana zachowywała się jak nowicjuszka w klasztorze. W jego oczach owa niewinność stanowiła największą zaletę dziewczyny, gdyż gwarantowała, że kiedy już mu się odda, zrobi to bez zastrzeżeń. Ale kiedy Juliana ciągle zwlekała z podjęciem decyzji, stracił pewność siebie i postanowił ją do tego przymusić. Przyszło mu do głowy, że bardzo by mu w tym pomogło jakieś zdarzenie rodem z romansideł, w których tak się zaczytywała, jednak nie mógł czekać, aż taka okazja przyjdzie sama, musiał ją sprowokować. Zdobędzie, czego pragnie, nikomu nie robiąc krzywdy; przecież nie było to żadne oszustwo, bo gdyby tak się zdarzyło, że Juliana - albo jakakolwiek inna kobieta - została zaatakowana przez złoczyńców, bez wahania przyszedłby jej z pomocą. Oczywiście nie uznał za konieczne przytaczać tych argumentów Pelayowi; wydał mu tylko polecenia, które tamten skrzętnie wypełnił. Scena, jaką odegrali Cyganie, okazała się nie tak dramatyczna, jak planowali, gdyż rzucili się do ucieczki już po kilku minutach, kiedy stwierdzili, że ze szpadą Moncady nie ma żartów. Nie dali mu okazji pokazać się w pełnej chwale, tak jak zamierzał, dlatego kiedy Pelayo przyszedł do niego po zapłatę, uznał za słuszne zmniejszyć ustaloną kwotę. Pokłócili się, ostatecznie Pelayo przystał na obniżkę, jednak Rafaela Moncadę ogarnął niepokój; ten człowiek za dużo wiedział i mogłoby mu przyjść do głowy, by go szantażować. Ostatecznie, doszedł do wniosku, iż jest niedopuszczalne, aby typ tego pokroju, bez wiary ani moralności, miał na niego haka. Musi się go pozbyć jak najprędzej, jego i całego tego wrażego plemienia.

Bernardo dobrze znał gęstą sieć kanałów, jakimi wędrowały plotki, których Moncada i osoby należące do jego klasy tak się obawiali. Jego grobowe milczenie, godność bijąca z twarzy oraz gotowość do wyświadczenia przysług zyskały mu przychylność wielu ludzi: przekupek na rynku, robotników portowych, rzemieślników, wozaków, lokajów i służących z zamożnych domów. W swojej cudownej pamięci podzielonej na szufladki niczym w ogromnym archiwum gromadził informacje, uporządkowane i gotowe do wykorzystania w stosownym momencie. W nocy, kiedy na dziedzińcu rezydencji Eulalii de Callís Moncada uderzył go laską, poznał Juanilla, jednego z jego służących. W jego archiwum owa noc została zapamiętana nie ze względu na otrzymane razy, lecz z uwagi na napad na hrabiego Orłowa. Dzięki kontaktom z Juanillem mógł z daleka szpiegować Moncadę. Juanillo nie miał zbyt lotnego umysłu i nienawidził każdego, kto nie był Katalończykiem, jednak tolerował Bernarda, gdyż ten mu nie przerywał i choć był Indianinem, został ochrzczony. Kiedy już Amalia przyznała, że Cyganie mieli kontakty z Moncadą, Bernardo postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku. Poszedł do Juanilla z butelką najlepszego koniaku Tomása de Romeu, którą zdobyła dla niego Isabel, dowiedziawszy się, że zostanie wykorzystana w zbożnych celach. Zresztą alkohol nie był potrzebny, aby Juanilla skłonić do mówienia, bo ledwie podziękował za koniak, a i już opowiadał ostatnie nowiny: on sam zaniósł komendantowi Cytadeli liścik od swego pana, w którym ten oskarżał Cyganów o przemyt broni do miasta i antyrządową konspirację.

- Cyganie są przeklęci na wieki, bo to oni wykuli gwoździe do krzyża Chrystusa. Zasługują na to, żeby ich wszystkich bez żadnej litości spalić na stosie, ot co - brzmiała konkluzja Juanilla.

Bernardo wiedział, gdzie o tej porze znaleźć Diega. Bez wahania ruszył w kierunku pola za murami miasta, gdzie Cyganie rozbili swoje brudne namioty i rozstawili rozklekotane wozy. W ciągu trzech lat, odkąd tam mieszkali, obóz nabrał wyglądu nędznej wioski ze szmat. Diego de la Vega zaprzestał schadzek z Amalią, gdyż ta obawiała się, że jej dobra gwiazda raz na zawsze ją opuści. Udało jej się

uniknąć egzekucji z rąk Francuzów, co było aż nazbyt przekonującym dowodem na to, że duch jej męża Ramona czuwa nad nią z tamtego świata. Nie należało wywoływać jego gniewu, oddając się miłosnym igraszkom z młodym gadżem. Na jej postawę wpłynął również fakt, że Diego wyznał jej, iż kocha Julianę; gdyby nadal utrzymywali intymne kontakty, oboje dopuszczaliby się zdrady: ona - wobec pamięci o nieboszczyku, a on - wobec ukochanej czystej dziewczyny. Zgodnie z przypuszczeniami Bernardo znalazł Diega w obozie; pomagał przyjaciołom rozstawić cyrkowy namiot na niedzielne przedstawienie, które tym razem miało się odbyć nie jak zwykle na placu w mieście, lecz na terenie obozowiska. Mieli jeszcze kilka godzin, gdyż spektakl zaczynał się o czwartej po południu. Kiedy nadszedł Bernardo, Diego wraz z innymi ciągnął liny, żeby naprężyć płótna; pracę uprzyjemniał sobie nucąc jedną z piosenek, których nauczył się od marynarzy z „Madre de Dios”. Wyczuł obecność brata w pobliżu, zanim go zobaczył, i nie musiał widzieć chmury na jego czole, żeby wiedzieć, że stało się coś złego. Uśmiech, który niemal zawsze błędził na jego twarzy, zgasł. Po rozmowie z Bernardem Diego natychmiast zwołał wszystkich Cyganów z obozu i powiedział im, czego Bernardo dowiedział się od Juanilla.

- Jeśli ta informacja jest prawdziwa, grozi wam wielkie niebezpieczeństwo. Właściwie można by się zastanawiać, dlaczego jeszcze was nie aresztowano - zakończył.

- Pewnie przyjdą po nas w czasie przedstawienia. Francuzi lubią publiczne aresztowania, to utrzymuje ludzi w strachu, a cyrk pełen widzów to dla nich prawdziwa gratka - stwierdził Rodolfo.

Zebrawi dzieci i zwierzęta i w ciszy, tak jak ich tego nauczyły wieki prześladowań i tułaczki, spakowali to, co niezbędne, wsiedli na konie i nim upłynęło pół godziny, ruszyli, kierując się w stronę gór. Przy pożegnaniu Diego poprosił, żeby następnego dnia przysłali kogoś do katedry w starej dzielnicy miasta. „Będę coś dla was miał” - powiedział i dodał, że teraz postara się zatrzymać żołnierzy, dając im czas do ucieczki. Cyganie tracili wszystko. Zostawiali za sobą opustoszałe obozowisko, pośrodku którego wznosił się smętny cyrkowy namiot, wozy bez koni, jeszcze dymiące ogniska, opuszczone namioty i porzucane sprzęty, sienniki i szmaty. Tymczasem Diego i Bernardo w błazeńskich czapkach na głowach, grając na bębenkach, obeszlili przyległe ulice, wzywając publiczność, żeby ruszyła za nimi w stronę cyrku. Wkrótce przed namiotem zebrała się wystarczająco duża grupa widzów. Gwizdy najbardziej zniecierpliwionych powitały Diega, kiedy ten w stroju Zorro, w masce i z wąsami, stanął na arenie i zaczął zonglować w powietrzu trzema płonącymi pochodniami, które chwycił w locie, przerzucał sobie między nogami i za plecami, po czym ponownie cisnął w górę. Pokaz nie wywarł większego wrażenia na publiczności, która zaczęła głośno sobie z niego żartować. Bernardo wyniósł pochodnie, Diego zaś zapytał, kto na ochotnika chciałby wziąć udział w „mrożącym krew w żyłach” numerze, jak go zapowiedział. Z tłumu wysunął się jakiś postawny marynarz z wyzywającą miną, który zgodnie z poleceniem Diega stanął o pięć kroków od niego z cygarem w ustach. Diego kilkakrotnie strzelił z bata przy samej ziemi, po czym machnął nim przed sobą. Usłyszawszy świst tuż przy twarzy mężczyzna poczerwieniał z gniewu, jednak kiedy cygaro poprunęło w powietrze, a bat nawet go nie musnął, wybuchnął gromkim śmiechem, a wraz z nim reszta zgromadzonych. W tym momencie ktoś przypomniał sobie krążącą po mieście historię o jakimś Zorro w czarnej pelerynie i masce, który z przebiegłością lisa dla ratowania kilku zakładników ośmielił się wyciągnąć Chevaliera z łóżka. Zorro... lis?... jaki lis?... rozszedł się szmer i ktoś wskazał na Diega, który skłonił się głęboko i jednym skokiem wspiął się na trapez. Gdy Bernardo usłyszał tętent końskich kopyt, dał mu znak. Diego tylko na to czekał. Zrobił fikołka i przytrzymując się stopami zawisł na drążku do góry nogami, huśtając się w powietrzu nad głowami widzów.

Kilka minut później za wściekłym oficerem do cyrku wpadła grupa francuskich żołnierzy z bagnętami na sztorc. Wybuchła panika i w chwili, gdy ludzie rzucili się do ucieczki, Diego po sznurze spuścił się na ziemię. Rozległy się strzały i podniósł się nieopisany harmider, widzowie przepychali się do wyjścia, wpadając na żołnierzy. Zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, Diego wymknął się jak łasica i wspólnie z Bernardem zaczęli przecinać liny podtrzymujące namiot od zewnątrz. Tkanina spadła na głowy żołnierzy i widzów, którzy utknęli w środku jak w pułapce. Zamieszanie dało chłopcom czas, aby skoczyć na konie i pogalopować do domu Tomása de Romeu. Jeszcze w siodle Diego zerwał z siebie pelerynę, kapelusz, maskę i wąsy. Zakładali, że upłynie sporo czasu, zanim żołnierze wydostaną się spod namiotu, zauważą ucieczkę Cyganów i zorganizują za nimi pościg. Diego wiedział, że nazajutrz imię Zorro znowu będzie na ustach wszystkich. Ze swego konia Bernardo rzucił mu wymowne, pełne nagany spojrzenie: ta fanfaronada mogła go drogo kosztować, Francuzi poruszą niebo i ziemię, byle tylko znaleźć tajemniczego mężczyznę. Nie zwracając niczyjej uwagi dotarli do domu, weszli drzwiami dla służby i wkrótce potem w towarzystwie Juliany i Isabel raczyli się czekoladą i biszkoptami. Nie wiedzieli, że w tym czasie obozowisko Cyganów stanęło w ogniu. Żołnierze podpalili wyściełającą arenę słomę, która zapłonęła jak hubka, w ciągu kilku minut sięgając starego brezentu.

Nazajutrz w południe Diego stanął w jednej z naw katedry, plotki o ponownym pojawieniu się Zorro obiegły całą Barcelonę i dotarły również do jego uszu. Wystarczył jeden dzień, aby tajemniczy bohater zawiądnął powszechną wyobraźnią. Litera Z wycięta nożem przez malców ogarniętych entuzjazmem, który kazał im naśladować Zorro, pojawiła się na wielu murach. „O to właśnie chodzi, Bernardo, potrzebujemy dużo lisów, które odwrócą uwagę myśliwych”, stwierdził Diego. O tej porze w kościele nie było nikogo nie licząc dwóch zakrystianów, którzy zmieniali kwiaty przy głównym ołtarzu. W środku było cicho jak w grobie i panował zimny półmrok, nie docierał tu ani ostry blask słońca, ani zgiełk ulicy. Diego czekał w ławce w otoczeniu figur świętych, wdychając jedyny w swoim rodzaju metaliczny zapach kadzidła, jakim przesiąknięte były ściany. Przez wiekowe witraże przebijały nieśmiało barwne refleksy, które zalewały wszystko dokoła jakimś nierzeczywistym światłem. Spokój tej chwili przywiódł mu na myśl matkę. Nie miał od niej żadnych wiadomości, zupełnie jakby zniknęła z powierzchni ziemi. Dziwiło go, że ani jego ojciec, ani ojciec Mendoza w swoich listach o niej nie wspominali, ani że ona sama nie napisała do niego choćby kilku linijek, ale nie był tym zmartwiony. Wierzył, że gdyby jej się coś stało, czułby to. Po godzinie, kiedy już miał odejść, przekonany, że nikt nie przyjdzie na spotkanie, niczym duch wyrosła obok niego szczupła postać Amalii. Przywitani się spojrzeniem, nie dotykając się.

- Co teraz z wami będzie? - wyszeptał Diego.

- Przeczekamy gdzieś, aż się wszystko uspokoi. Francuzi szybko o nas zapomną - odparła.

- Spalili obóz, straciliście wszystko.

- To dla nas nic nowego, Diego. My, Romowie, przywykliśmy tracić wszystko, zdarzało się to nam wcześniej i będzie się zdarzało w przyszłości.

- Czy spotkam cię jeszcze, Amalio?

- Nie wiem, nie mam przy sobie szklanej kuli - uśmiechnęła się, wzruszając ramionami.

Diego dał jej trochę pieniędzy, które w ciągu tych kilku godzin udało mu się zgromadzić: większość tego, co zostało mu z ostatniej przesyłki ojca, i te, które zdobyły siostry de Romeu, usłyszawszy, co się stało. Wręczył jej też zawiniętą w chusteczkę paczuszkę.

- To od Juliany, na pamiątkę.

Amalia rozwiązała chusteczkę. W środku był delikatny perłowy diadem, ten, który Diego często widywał na głowie Juliany. Był to bardzo cenny klejnot.

- Za co? - zapytała zaskoczona kobieta.

- Pewnie za to, że uratowałaś ją przed małżeństwem z Moncada.

- To nie jest pewne. Może jej przeznaczeniem jest mimo wszystko go poślubić...

- Nigdy! Teraz Juliana wie, co z niego za kanalia! - przerwał jej Diego.

- Serce jest kapryśne - odrzekła. Schowała klejnot do sakiewki, która utonęła wśród fałd jej szerokich spódnic włożonych jedna na drugą, skinęła Diegowi palcami na pożegnanie i zniknęła w chłodnym półmroku katedry. Kilka chwil później biegła uliczkami w stronę bulwarów.

Wkrótce po ucieczce Cyganów, a jeszcze przed Bożym Narodzeniem przyszedł list od ojca Mendozy. Duchowny pisał do Diega co sześć miesięcy, przekazując mu wiadomości o rodzinie i misji. O tym na przykład, że w przybrzeżnych wodach znów pokazały się delfiny, że wino owego roku okazało się kwaśne, że żołnierze zatrzymali Białą Sowę, albowiem rzuciła się na nich z laską w obronie jakiegoś Indianina, jednak po interwencji Alejandra de la Vegi ją wypuścili. Od tamtej pory, pisał, znachorki w tych stronach więcej nie widziano. Swoim precyzyjnym i zwięzłym stylem udawało mu się wzruszyć Diega znacznie bardziej niż Alejandrowi de la Vedze, którego listy przypominały kazania naszpikowane umoralniającymi radami. Ich ton niewiele różnił się od tego, jaki Alejandro przyjął w relacjach z synem. Tym razem krótki list od ojca Mendozy był skierowany nie do Diega, tylko do Bernarda. Był zalakowany. Bernardo przeciął nożem pieczęć i usiadł przy oknie. Diego, który obserwował go z odległości kilku kroków, widział, że w miarę jak jego oczy przebiegły kanciaste pismo misjonarza, coraz bardziej mienił się na twarzy. Bernardo przeczytał list dwukrotnie, po czym podał go bratu.

Wczoraj, drugiego sierpnia roku tysiąc osiemset trzynastego, do mojej misji przysłała młoda Indianka z plemienia Białej Sowy. Prowadziła ze sobą syna liczącego nieco ponad dwa lata, o którym mówiła po prostu „dziecko”. Zaproponowałem, że go ochrzczę, i wyjaśniłem jej, iż inaczej duszy tego niewiniątka grozi, że - gdyby Bóg postanowił zabrać je do siebie - nie będzie mogła pójść do nieba i

zostanie zatrzymana w przedpieklu. Indianka nie zgodziła się na chrzest. Powiedziała, że zaczeka do powrotu ojca, aby to on wybrał mu imię. Nie chciała również przyjąć Słowa Bożego ani zamieszkać w misji, gdzie ona i jej syn wiedliby cywilizowane życie. Podała mi ten sam argument: że kiedy wróci ojciec dziecka, podejmie decyzję z tej sprawie. Nie nalegałem, gdyż nauczyłem się cierpliwie czekać, aż Indianie zgłoszą się tutaj z własnej woli, w przeciwnym wypadku ich nawrócenie na prawdziwą wiarę okazuje się powierzchowne. Imię tej kobiety brzmi Nocna Błyskawica. Niech Bóg Cię błogosławi i zawsze kieruje Twymi krokami, mój synu.

W imię Chrystusa Pana Naszego ściska Cię
o. Mendoza

Diego oddał Bernardowi list i obaj zastygli w milczeniu, podczas gdy w oknie gasło światło dnia. Twarz Bernarda, która z latami stawała się coraz bardziej wyrazista, w tym momencie wyglądała jak wyrzeźbiona w granicie. Żeby nie musieć wdawać się w wyjaśnienia, sięgnął po flet, na którym zaczął grać jakąś smutną melodyjkę. Diego o nic go nie pytał, gdyż we własnej piersi czuł bicie serca brata. Nadeszła chwila rozstania. Bernardo nie mógł dłużej prowadzić życia bez troskiego młodzieńca, wzywała go ziemia przodków, musiał wrócić do Kalifornii i przyjąć na siebie nowe obowiązki. Nigdy nie czuł się dobrze z dala od swego ludu. Powodowany żelazną lojalnością wobec Diega wiele lat przeżył w tym kamiennym mieście lodowatych zim, licząc dni i godziny, ale dłużej już nie mógł, pustka, jaką czuł w piersi, nabrała rozmiarów niezgłębionej jaskini. Szczera miłość, jaką czuł wobec Nocnej Błyskawicy, teraz zapłonęła gwałtownym płomieniem, gdyż nie miał najmniejszych wątpliwości, że to dziecko jest jego synem. Diego rozumiał Bernarda i czując, jak jakiś szpon chwytą go za gardło, przerywanym głosem płynącym z głębi duszy mu odpowiedział.

Będziesz musiał popłynąć sam, braciszku, bo mnie brakuje jeszcze kilku miesięcy do skończenia Kolegium Nauk Humanistycznych, a w tym czasie zamierzam przekonać Julianę, żeby za mnie wyszła, jednak zanim się oświadczę i poproszę don Tomasa o jej rękę, muszę poczekać, aż dojdzie do siebie po rozczarowaniu, jakiego doznała z powodu postępowania Rafaela Moncady. Wybacz, bracie, straszny ze mnie egoista, to nie moment, żeby znowu zawracać ci głowę moimi amatorami, tylko żeby mówić o tobie. Przez te wszystkie lata ja bawiłem się jak rozkapryszony dzieciak, podczas gdy ty umierałeś z tęsknoty za Nocną Błyskawicą i nawet nie wiedziałeś, że dała ci syna. Jak mogłeś wytrzymać tak długo? Nie chcę, żebyś wyjeżdżał, ale twoje miejsce jest w Kalifornii, nie ma co do tego wątpliwości. Teraz rozumiem, co mój ojciec i ty, Bernardo, mieliście na myśli, mówiąc mi często, że przeznaczeniem każdego z nas jest co innego; ja urodziłem się obdarzony fortuną i przywilejami, których ty nie masz. To niesprawiedliwe, bo jesteśmy braćmi. Któregoś dnia stanę właścicielem hacjendy de la Vegów, a wtedy dam ci połowę, która ci się należy, tymczasem napiszę do ojca i poproszę go, aby dał ci dość pieniędzy, żebyście ty, Nocna Błyskawica i twój syn mogli osiedlić się, gdzie zechcecie, nie musicie mieszkać w misji. Obiecuję ci, że póki będę żył, twojej rodzinie nigdy niczego nie zabraknie. Nie wiem, dlaczego płaczę jak dzieciak, może dlatego, że już teraz za tobą tęsknię. Co ja bez ciebie pocznę? Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo potrzebuję twojej siły i mądrości, Bernardo.

Młodzieńcy objęli się, najpierw wzruszeni, a potem siląc się na uśmiech, gdyż zawsze twierdzili, że nie są sentymentalni. Zakończył się pewien etap ich młodości.

Bernardo nie mógł wyjechać natychmiast, jak tego pragnął. Musiał poczekać do stycznia, aby znaleźć jakąś handlową fregatę, która zabrałaby go do Ameryki. Miał bardzo mało pieniędzy, jednak uzgodniono, że za podróż zapłaci, pracując jako marynarz. Zostawił Diegowi list z przestrożą, aby strzegł się Zorro - nie tyle z obawy przed zdemaskowaniem, lecz aby postać ta nim w końcu nie zawładnęła. Nie zapominaj, że jesteś Diego de la Vega, a Zorro to tylko wytwór twojej wyobraźni - pisał w liście. Z żalem pożegnał się z Isabel, którą pokochał jak młodszą siostrę; obawiał się, że więcej już jej nie zobaczy, mimo że ona solennie się zarzekała, że przyjedzie do Kalifornii, kiedy tylko ojciec jej pozwoli.

- Jeszcze się spotkamy, Bernardo, choćby nawet Diego nie ożenił się z Julianą. Świat jest okrągły i jeśli objadę go dokoła, pewnego dnia dotrę do twego domu - zapewniła go Isabel, pociągając nosem i wycierając łzy rękami.

Rok 1814 zapowiadał się dla Hiszpanów jako czas pełen nadziei. Napoleon był osłabiony klęskami w Europie i sytuacją wewnętrzną we Francji. Na mocy traktatu w Valençay Ferdynand VII odzyskał

koronę i pospiesznie zbierał się do powrotu do kraju. W styczniu Chevalier polecił swemu majordomusowi spakować rzeczy, co nie było zadaniem łatwym, gdyż zwykł był podróżować z istic księżącym przepychem. Domyślał się, że Napoleon już niedługo pozostanie u władzy, co oznaczało, że jego los jest niepewny, bo dla zaufanego człowieka cesarza nie będzie miejsca w żadnym przyszłym rządzie. Nie chcąc martwić córki, powiedział jej, że czekająca ich podróż wiąże się z awansem w jego karierze: nareszcie wracają do Paryża. Zachwycona Agnès rzuciła mu się na szyję. Miała dosyć ponurych Hiszpanów, niemych dzwonnicy, ulic wymarłych podczas godziny policyjnej, a przede wszystkim tego, że jej powóz obrzucano śmieciami, a jej samej robiono afronty. Nienawidziła wojny, wyrzeczeń, katalońskiego skąpstwa i Hiszpanii w ogóle. Jak szalona rzuciła się w wir przygotowań do drogi. Podczas wizyt w domu Juliany podekscytowana paplała o życiu towarzyskim i rozrywkach czekających na nią we Francji. „Musicie odwiedzić mnie latem, to w Paryżu najpiękniejsza pora roku. Do tego czasu papa i ja zdążymy się już urządzić. Zamieszkamy tuż obok Luwru”. Przy okazji zaferowała gościnę również Diegowi, gdyż jej zdaniem nie mógł wrócić do Kalifornii, nie poznawszy przedtem Paryża. Wszystko, co najważniejsze, rodzi się w tym mieście, moda, sztuka i idee, stwierdziła, nawet amerykańscy rewolucjoniści kształcili się we Francji. Czyż Kalifornia nie jest kolonią Hiszpanii? Ach! W takim razie należy ją wyzwolić. Może w Paryżu Diego przełamie swoje słabości i bóle głowy i stanie się jakimś sławnym wojskowym, jak ten, którego nazywają Wyzwolicielem Ameryki Południowej, Simon Bolivar czy jak mu tam.

Tymczasem Chevalier Duchamp wychylał w bibliotece ostatnią lampkę koniaku z Tomaszem de Romeu, jedynym człowiekiem, którego podczas wieloletniego pobytu w owym nieprzychylnym mieście mógł uważać za kogoś w rodzaju swego przyjaciela. Nie zdradzając przed nim informacji, które mogłyby mieć znaczenie strategiczne, przedstawił mu sytuację polityczną i zasugerował, aby wykorzystał ów moment na wyjazd z córkami za granicę. Dziewczęta są w najlepszym wieku, aby zwiedzić Florencję i Wenecję, powiedział, nikt, kto ceni kulturę, nie może nie znać tych miast. Tomasz odparł, że się zastanowi, to nie jest zły pomysł, może wybiorą się latem.

- Cesarz zezwolił na powrót Ferdynanda do Hiszpanii. To może się stać w każdej chwili. Sądzę, że do tego czasu już powinno was tu nie być - powiedział Chevalier.

- Ależ dlaczego, Ekscelencjo? Wie pan, jakże pozytywnie oceniam wpływy francuskie w Hiszpanii, myślę jednak, że powrót „Upragnionego” zakończy wojnę partyzancką, która trwa już sześć lat, i pozwoli temu krajowi ponownie się zorganizować. Ferdynand będzie musiał rządzić w oparciu o liberalną konstytucję z tysiąc osiemset dwunastego roku - odparł Tomasz de Romeu.

- Mam taką nadzieję, dla dobra Hiszpanii i pańskiego, przyjacielu - skwitował tamten.

Wkrótce potem Chevalier Duchamp wraz z córką Agnès wyruszył do Francji. U stóp Pirenejów konwój jego powozów został zatrzymany przez oddział partyzantów, ostatnich, jacy jeszcze walczyli z Francuzami. Napastnicy byli dobrze poinformowani, znali tożsamość eleganckiego podróżnego, wiedzieli, że był szarą eminencją Cytadeli i ponosi odpowiedzialność za niezliczone tortury i egzekucje. Nie udało im się dokonać na nim zemsty, jak zamierzali, gdyż Chevalier podróżował pod ochroną dobrze uzbrojonych strażników, którzy przywitani ich strzałami z muszkietów. Po pierwszej salwie większość Hiszpanów leżała w kałuży krwi, reszty zaś dokonały szpady Francuzów. Potyczka trwała niespełna dziesięć minut. Ci z partyzantów, którym udało się przeżyć, rozpierzchli się, pozostawiając wielu rannych, których bezlitośnie dobito. Chevalier, który nawet nie ruszył się z karety i wyglądał bardziej na znudzonego niż przestraszonego, zapewne wkrótce zapomniałby o zajściu, gdyby jakaś zabłąkana kula nie zraniła Agnès, rozrywając jej policzek i część nosa. Straszliwa bliźna miała odmienić życie dziewczyny, która na wiele lat zamknęła się w wiejskiej siedzibie rodziny w Saint-Maurice. Początkowo pogrążyła się w bezdennej rozpaczy po utracie urody, jednak z czasem przestała płakać i zaczęła się pasjonować lekturą, ale nie były to już tylko romansidła, jakimi zaczytywała się z Juliana de Romeu. Jedną po drugiej pochłaniała książki z biblioteki ojca, po czym poprosiła go o inne. Okaleczona nieszczęsna Agnès samotne wieczory swej młodości spędziła na studiowaniu filozofii, historii i polityki. Potem pod męskim pseudonimem zaczęła pisać, i dzisiaj, wiele lat od tego wydarzenia, jej utwory są znane w różnych częściach świata, jednak to nie należy do sprawy. Wróćmy do Hiszpanii i do czasów, które bezpośrednio dotyczą naszej historii.

Wbrew radom Bernarda w owym roku Diego de la Vega często podejmował awanturnicze działania, które ostatecznie miały uczynić z niego Zorro. Francuskie wojska opuściły Hiszpanię, część statkami, a część drogą lądową; maszerowały powoli, niczym ogromna bestia obrzucane przez lud obelgami i kamieniami. W marcu ze swego złotego wygnania we Francji powrócił Ferdynand VII. Królewski orszak z „Upragnionym” w kwietniu przekroczył granicę w Katalonii. Długa walka narodu o wyparcie najeźdźców nareszcie dobiegała końca. Początkowo radość, jaka ogarnęła Hiszpanię, była powszechna i bezwarunkowa. Poczynając od szlachty aż do ostatniego kmiecia, włącznie z większością „sfrancuziałych” jak Tomasz de Romeu, wszyscy z radością powitali powrót króla i

przymknęli oko na okropne wady charakteru, jakie przejawiał już od najwcześniejszego dzieciństwa. Zakładali, że na wygnaniu ów niezbyt rozgarnięty książę dojrzał i wyleczył się z zazdrości, małostkowości i zamiłowania do dworskich intryg. Mylili się. Ferdynand VII pozostał tym samym bojaźliwym człowiekiem, który wszędzie widział wrogów i otaczał się pochlebcami.

W miesiąc później Napoleona Bonapartego zmuszono do abdykacji. Ten najpotężniejszy monarcha Europy został pokonany przez imponującą koalicję sił politycznych i militarnych. Do powstań organizowanych na terenie krajów podbitych takich jak Hiszpania doszedł sojusz Prus, Austrii, Wielkiej Brytanii i Rosji, które porozumiały się, aby go obalić. Zesłano go na Elbę, jednak pozwolono mu zachować - co zakrawało na ironię - tytuł cesarza. Następnego dnia Napoleon nieudolnie usiłował popełnić samobójstwo.

W Hiszpanii powszechna radość z powrotu „Upragnionego” trwała zaledwie kilka tygodni i rozpoczęły się zamieszki. Otoczony przez kler katolicki i najbardziej konserwatywne siły szlachty, armii i administracji publicznej nowy król zniósł konstytucję z tysiąc osiemset dwunastego roku oraz liberalne reformy, w ciągu kilku miesięcy cofając kraj do epoki feudalnej. Przywrócono inkwizycję oraz przywileje szlachty, kleru i wojskowych, rozpoczęło się bezlitosne prześladowanie dysydentów i przedstawicieli opozycji, liberałów, „sfrancuziałych” i dawnych współpracowników rządu Józefa Bonapartego. Regenci, ministrowie i posłowie zostali zatrzymani, dwanaście tysięcy rodzin musiało przekroczyć granicę w poszukiwaniu schronienia na obczyźnie, a represje nabrały takich rozmiarów, że nikt nie był pewien dnia ani godziny, albowiem wystarczyło najmniejsze podejrzenie albo bezpodstawne oskarżenie, aby zostać zatrzymanym i bez zbędnych formalności straconym.

Eulalia de Callís była w siódmym niebie. Wiele lat czekała na powrót króla, chcąc odzyskać dawną pozycję. Nie znosiła zuchwalstwa gminu ani anarchii, wolała władzę absolutną jednego monarchy, choćby był całkiem przeciętny, zgodnie z zasadą: każdy na swoim miejscu i miejsce dla każdego. Jej należało się to na szczycie, oczywiście. W przeciwieństwie do innych magnatów, którzy przez zbytne przywiązanie do tradycji w owych rewolucyjnych latach utracili swe majątki, ona nie miała skrupułów przed sięgnięciem do metod burżuazji, byle tylko zbić kabzę. Miała głowę do interesów. Teraz była bogatsza niż kiedykolwiek, miała władzę, przyjaciół na dworze Ferdynanda VII i mogła spokojnie przyglądać się systematycznemu wykorzenianiu liberalnych idei, które stanowiły poważne zagrożenie dla podstaw jej egzystencji. Niemniej jednak w zakamarkach jej obfitego jestestwa zachowało się jeszcze coś z dawnej szczodroblewości, gdyż widząc dokoła siebie tyle cierpienia, otworzyła swój skarbiec, aby nakarmić głodujących, nie pytając, do jakiego stronnictwa politycznego należą, a w swych wiejskich rezydencjach ukrywała niejedną rodzinę uchodźców i szukała sposobu, aby bezpiecznie przerzucić ich do Francji.

Rafael Moncada - chociaż nie musiał tego robić, gdyż jego sytuacja i tak była znakomita - natychmiast wstąpił w szeregi oficerów wojska, gdzie tytuły i koneksje jego ciotki gwarantowały mu szybki awans. Z lubością rozgłaszał wszem wobec, iż nareszcie ma sposobność służyć Hiszpanii, będąc żołnierzem monarchistycznej, katolickiej i tradycyjnej armii. Ciotka poparła go w tej decyzji, gdyż uważała, że nawet największemu głupcowi w mundurze jest do twarzy.

Tomás de Romeu pojął wówczas, ile racji miał jego przyjaciel Chevalier Duchamp radząc mu, aby wyjechał z córkami za granicę. Wezwał rachmistrzów, chcąc sprawdzić stan swoich finansów i odkrył, że jego dochody nie wystarczą na dostatnie życie na obczyźnie. Ponadto obawiał się, że gdyby zwrócił się gdzieś o azyl, rząd Ferdynanda VII skonfiskowałby posiadłości, jakie mu jeszcze pozostały. Mimo iż przez całe życie głosił pogardę dla spraw materialnych, teraz musiał zająć się swoim majątkiem. Ubóstwo go przerażało. Nie przejmował się zbytńo postępującym kurczeniem się spadku po żonie, gdyż zakładał, że zawsze będzie go dosyć, aby nadal mógł żyć na poziomie, do jakiego był przyzwyczajony. Nigdy poważnie nie brał pod uwagę możliwości, iż mógłby stracić swoją pozycję społeczną. Nie wyobrażał sobie, że jego córki mogłyby zostać pozbawione wygód, jakimi zawsze były otoczone. Uznał, że najlepiej będzie wyjechać gdzieś daleko i przeczekać, aż fala przemocy i prześladowań opadnie. W swoim życiu widział już niejedno, wiedział, że prędzej czy później wahadło polityczne przechyli się w przeciwną stronę; wystarczy tylko zejść rządzącym z oczu, dopóki sytuacja się nie unormuje. Nie mógł wyjechać do Santa Fé, siedziby rodu, ponieważ był tam znany - i znienawidzony - ale przypomniał sobie o jakiejś posiadłości w okolicach Leridy, należącej kiedyś do jego żony, gdzie nawet nigdy dotąd nie był. Majątek ten, który nie przynosił mu dochodu, a sprawiał same kłopoty, teraz mógł okazać się jego ostatnią deską ratunku. Było to parę wzgórz porośniętych starymi drzewami oliwnymi, gdzie mieszkało kilka biednych i zacofanych chłopskich rodzin, które tak dawno nie widziały pana, że myślały, iż go nie mają. Na jednym ze wzgórz wznosił się okropny na wpół zrujnowany dom zbudowany około 1500 roku, masywna bryła przypominająca grobowiec, mający dawać schronienie swoim mieszkańcom przed atakami Saracenów, żołnierzy i zbójców, którzy przez wieki pustoszyli tamte regiony, jednak Tomás uznał, że i tak jemu i córkom będzie w nim lepiej

niż w więzieniu. Zamierzał tam pozostać parę miesięcy. Zwolnił większość służby, zamknął połowę rezydencji w Barcelonie, resztę zostawił pod opieką majordomusa i ruszył w kilka wozów, gdyż musiał przewieźć trochę mebli.

Diego przyglądał się wyjazdowi rodziny z niedobrymi przeczuciami, jednak Tomás de Romeu uspokoił go, argumentując, że w administracji napoleońskiej nie piastował żadnych urzędów, a o jego przyjaźni z Chevalierem wiedzieli tylko nieliczni, tak więc nie ma się czego obawiać. „Ten jeden raz cieszę się, że nie jestem żadną ważną osobistością” - powiedział z uśmiechem, żegnając się. Juliana i Isabel nie miały najmniejszego pojęcia o sytuacji, w jakiej znalazła się rodzina, im ta wyprawa przypominała jakieś dziwne wakacje. Nie rozumiały powodów, dla których ojciec wywozi je tak daleko od cywilizacji, ale nawykłe do posłuszeństwa o nic nie pytały. Diego ucałował Julianę w oba policzki i wyszeptał jej do ucha, żeby nie rozpacziała, gdyż rozstają się na krótko. Odpowiedziała nieobecny spojrzeniem. Diego kolejny raz dawał jej coś do zrozumienia, ale ona jak zwykle nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

Diego niczego bardziej by nie pragnął, jak wyjechać z nimi na wieś, co zresztą Tomás de Romeu mu proponował. Myśl o spędzeniu jakiegoś czasu z dala od świata, a do tego w towarzystwie Juliany, była bardzo kusząca, jednak w owym czasie nie mógł opuścić Barcelony. Członkowie Sprawiedliwości byli bardzo zajęci, musieli dwoić się i troić, aby dopomóc masie uchodźców usiłujących opuścić Hiszpanię. Trzeba było ich ukrywać, załatwiać im transport, przerzucać przez Pireneje do Francji albo kierować do innych krajów Europy. Anglia, która tak długo z zapałem walczyła z Napoleonem, teraz popierała króla Ferdynanda VII i - poza nielicznymi wyjątkami - nie udzielała schronienia przeciwnikom jego rządu. Jak wyjaśnił Diegowi mistrz Escalante, nigdy przedtem Sprawiedliwość nie była tak bliska zdekonspirowania. Inkwizycja była potężniejsza niż kiedykolwiek i miała pełne uprawnienia do obrony wiary za wszelką cenę, a ponieważ kryterium podziału podejrzanych na heretyków i przeciwników rządu było niejasne, każdy mógł wpaść w jej szpony. Po tym, jak została zniesiona, członkowie Sprawiedliwości - przekonani, że w nowoczesnym świecie nie ma miejsca dla fanatyzmu religijnego - przestali dbać o środki ostrożności. Wierzyli, że czasy, w których palono ludzi na stosach, minęły raz na zawsze. Teraz ponosili konsekwencje swego zbyt optymistycznego. Diego był tak pochłonięty zadaniami, jakie stawiała przed nim organizacja, że przestał chodzić na zajęcia do Kolegium Nauk Humanistycznych, gdzie edukacja - podobnie jak w pozostałej części kraju - podlegała cenzurze. Wielu jego profesorów i kolegów zostało zatrzymanych za głoszenie niezależnych poglądów. W owych dniach rektor uniwersytetu w mieście Cervera z dumą wypowiedział wobec króla zdanie, które określało poziom akademickiego życia Hiszpanii: „Dalecy jesteśmy od zgubnego nawyku myślenia”.

Na początku września aresztowano członka Sprawiedliwości, który przez wiele tygodni ukrywał się w domu mistrza Manuela Escalante. Inkwizycja, jako zbrojne ramię Kościoła, nie lubiła widoku krwi. Metody, do jakich najczęściej uciekała się podczas przesłuchań, polegały na łamaniu ofiarom kości albo przypiekaniu rozżarzonym do czerwoności żelazem. Torturowany więzień wyznał nazwiska tych, którzy mu pomagali, i wkrótce potem maestro został zatrzymany. Zanim zawleczono go do ponurej kibitki, zdążył jeszcze zawiadomić służącego, który zaniósł złą nowinę Diegowi. Nazajutrz o świcie ten zdołał ustalić, że Escalantego nie zawieziono do Cytadeli, jak to czyniono zazwyczaj w przypadku więźniów politycznych, lecz do koszar w dzielnicy portowej, gdyż w najbliższych dniach zamierzano odstawić go do Toledo, gdzie mieściła się niesławna główna siedziba inkwizycji. Diego natychmiast skontaktował się z Juliuszem Cezarem, mężczyzną, z którym walczył w świętym miejscu tajnego stowarzyszenia podczas obrzędu inicjacji.

- To bardzo poważna sprawa. Mogą nas wszystkich aresztować - stwierdził tamten.
- Nigdy nie uda im się zmusić mistrza Escalante do mówienia - odrzekł Diego.
- Mają niezawodne sposoby, wypracowane przez wieki. Zatrzymali wielu naszych, mają już dużo informacji. Sieć wokół nas się zaciska. Musimy na jakiś czas zawiesić działalność.
- A don Manuel Escalante?
- Mam nadzieję, że dla dobra nas wszystkich zdoła położyć kres swoim dniom zanim zostanie wydany na mękę - westchnął Juliusz Cezar.
- Trzymają mistrza w miejskich koszarach, nie w Cytadeli, musimy spróbować go odbić... - zaproponował Diego.
- Odbić? To niemożliwe!
- Trudne, ale nie niemożliwe. Będę potrzebował pomocy Sprawiedliwości. Zrobimy to jeszcze tej nocy - odparł Diego i zaczął wyjaśniać swój plan.

- Wydaje mi się, że to szaleństwo, ale warto spróbować. Pomożemy wam - postanowił jego towarzysz.

- Trzeba natychmiast wywieźć mistrza z miasta.

- Oczywiście. W porcie będzie czekała łódź z wioślarem, któremu można w pełni zaufać. Sądzę, że uda nam się wywieźć wartowników w pole. Wioślarz odstawi mistrza na statek, który jutro o brzasku odpływa do Neapolu. Tam będzie bezpieczny.

Diego westchnął. Rzadko kiedy tak mu brakowało Bernarda jak teraz. Ta próba była znacznie poważniejsza niż wśliznięcie się do pałacyku Chevaliera Duchampa. To nie żarty zaatakować koszary, zmusić do uległości strażników - nie wiadomo ilu - uwolnić więźnia i bezpiecznie odprowadzić do łodzi.

Konno udał się do domu Eulalii de Callís, którego rozkład uważnie studiował, ilekroć składał jej wizytę. Zostawił konia na ulicy i niepostrzeżenie przemknął przez ogrody, kierując się w stronę podwórka dla służby, gdzie między długimi stołami, na których zabijano świnie i drób, kadziami z praniem, kotłami do gotowania pościeli i sznurami z suszącą się bielizną biegały zwierzęta domowe. W głębi znajdowały się wozownie i stajnie. Wszędzie widać było krzątających się kucharzy, lokajów i służące. Nikt nawet na niego nie spojrzał. Zakradł się do wozowni i zniknął między karetami, wybrał tę, która najbardziej mu odpowiadała, i ukrył się w niej, modląc się, aby żaden ze stajennych go nie zauważył. Wiedział - gdyż opowiadała mu o tym sama Eulalia de Callís - że o piątej po południu rozległ się dzwon wzywający wszystkich do kuchni. O tej porze pani de Callís wydawała swojej armii służących podwieczorek: wielkie filiżanki pianistej mlecznej czekolady z bułką do namaczania. Pół godziny później uszu Diega dobiegły dźwięki dzwonu i w mgnieniu oka podwórko opustoszało. Powiew wiatru przyniósł mu delikatny aromat czekolady i ślina napłynęła mu do ust. Od kiedy rodzina de Romeu wyjechała na wieś, w domu jadano bardzo marnie. Wiedząc, że ma jedynie dziesięć czy piętnaście minut, Diego pospiesznie odczepił herb od drzwiczek karety i ściągnął z wieszaków parę surdutów z eleganckich lokajskich uniformów. Były to błękitne liberie z aksamitu ze szkarłatną podszewką i takimiż kołnierzami oraz złotymi guzikami i epoletami. Ich uzupełnienie stanowiły koronki przy szyi, białe pludry, czarne lakierowane buty ze srebrnymi sprzączkami i pas z czerwonego brokatu. Jak powiadał Tomás de Romeu, nawet Napoleon Bonaparte nie ubierał się tak wytwornie, jak służący Eulalii. Upewniwszy się, że na podwórku nie ma nikogo, wyszedł z wozowni z pakunkiem pod pachą i kryjąc się za krzakami, dotarł do swojego konia. Wkrótce potem jechał truchtem w dół ulicy.

W domu Tomása de Romeu została rozchwybotana rodzinna kareta, zbyt delikatna i zbyt stara, żeby zabierać ją na wieś. W porównaniu z powozami dońi Eulalii była gruchotem, jednak Diego liczył na to, że nocą i w pośpiechu nikt nie zauważy, w jak opłakanym jest stanie. Musiał poczekać do zachodu słońca i dokładnie wyliczyć czas, gdyż od tego zależało powodzenie jego misji. Przybiwszy herb do drzwiczek karety, skierował się do piwniczki z winami, którą majordomus zawsze zamykał na klucz, co dla Diega nie stanowiło żadnej przeszkody, gdyż nauczył się forsować najróżniejsze zamki. Otworzył piwniczkę, wyniósł antałek wina i przetoczył go na oczach służących, którzy o nic nie pytali, sądząc, że don Tomas przed wyjazdem dał mu klucz.

Przez ponad cztery lata Diego jak żrenicy oka strzegł buteleczki z usypiającym eliksirem, który na pożegnanie dała mu babcia Biała Sowa, odebrawszy od niego przyrzeczenie, że użyje go tylko do ratowania czyjegoś życia. Właśnie takiemu celowi miał teraz służyć. Przed wielu laty, posiłkując się tą miksturą, ojciec Mendoza amputował komuś nogę, a on sam oszołomił niedźwiedzia. Nie wiedział, jaką moc będzie miał ów syrop rozcieńczony w takiej ilości wina, obawiał się, że może nie odnieść spodziewanego efektu, jednak musiał spróbować. Wlał zawartość buteleczki do antałka i przeturlał go, żeby wymieszała się z winem. Niedługo potem przybyli dwaj współnicy ze Sprawiedliwości, którzy mieli mu towarzyszyć. Wcisnęli na siebie białe peruki i liberie lokajów domu de Callís. Diego ubrał się jak księżę w swój najlepszy aksamitny surdut w kolorze kawy ze srebrnym i złotym szamerunkiem oraz skórzanym kołnierzem, krawat w kształcie plastronu z perłową szpilką, kremowe spodnie, eleganckie buty ze złotymi klamerkami i cylinder. Tak wystrojony wraz z towarzyszami udał się kareta do koszar. Była głucha noc, kiedy stanął przed bramą słabo oświetloną przez latarnie. Władczym tonem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów Diego polecił dwóm wartownikom, aby wezwali swego przełożonego. Ten okazał się młodym chorążym, na którym duże wrażenie wywarła zwałająca z nóg elegancja Diega i herb na drzwiach karety.

- Jej Ekscelencja doña Eulalia de Callís posyła wam antałek najlepszego wina ze swej piwnicy, abyście, panie, wraz ze swymi ludźmi dzisiejszej nocy wzniesli za nią toast. To jej urodziny - powiedział Diego protekcyjnym tonem.

- Wydaje mi się dziwne... - zdołał wymamrotać zaskoczony mężczyzna z silnym andaluzyjskim akcentem.

- Dziwne? Musicie być od niedawna w Barcelonie! - przerwał mu Diego. - Jej Eksceleńcja zawsze posyłała wino do koszar z okazji swych urodzin, a tym bardziej czyni to teraz, kiedy ojczyzna jest już wolna od tego despoty i bezbożnika.

Skonsternowany chorąży rozkazał swoim podwładnym wynieść z powozu baryłkę, po czym zaprosił Diega, aby napił się z nimi, jednak ten wymówił się, wyjaśniając, że musi jeszcze zawieźć podobne prezenty do Cytadeli.

- Jej Eksceleńcja przyśle wam też swoje ulubione danie: nóżki wieprzowe duszone z brukwią. Ilu was tu jest? - zapytał Diego.

- Dziewiętnastu.

- W porządku. Dobranoc.

- Pańska godność...

- Jestem don Rafael Moncada, bratanek Jej Eksceleńcji doñi Eulalii de Callís - odparł Diego i stukając laską w drzwiczki karety, kazał fałszywemu stangretowi zawracać.

O trzeciej nad ranem, kiedy miasto spało i ulice były puste, Diego przystąpił do realizacji drugiego etapu swojego planu. Liczył na to, że do tej pory mężczyźni w koszarach zdążyli wypić jego wino i jeśli nawet nie śpią, to przynajmniej są zamroczeni. Miał na sobie kostium Zorro, wziął też bat, pistolet i szpadę ostrą jak brzytwę. Żeby nie zwracać uwagi stukiem końskich kopyt o bruk, szedł pieszo. Przemykając się pod murami, dotarł w pobliże koszar i wtedy zobaczył, że przed wejściem stoją pod latarniami ci sami ziewający ze zmęczenia wartownicy. Widocznie nie mieli okazji skosztować wina. W cieniu jakiejś bramy czekali na niego Juliusz Cezar z drugim członkiem Sprawiedliwości, przebrani za marynarzy, tak jak było uzgodnione. Diego wydał im instrukcje oraz kategorycznie nakazał, aby pod żadnym pozorem nie wkraczali do akcji i nie próbowali mu pomóc. Każdy musiał radzić sobie sam. Życzyli sobie nawzajem szczęścia w imię boże i rozeszli się.

„Marynarze” wdali się w pijacką bójkę tuż przy koszarach, podczas gdy Diego ukryty w mroku czekał na odpowiedni moment. Szamotanina przyciągnęła uwagę wartowników, którzy opuścili na chwilę swoje posterunki, żeby sprawdzić, skąd ta wrzawa. Podeszli do rzekomych pijaków, mówiąc, żeby się oddalili, bo inaczej ich aresztują, ale ci dalej niezdarne okładali się pięściami, jakby ich nie słyszeli. Widząc, że chwieją się na nogach i mamroczą od rzeczy, wartownicy wybuchnęli śmiechem, jednak kiedy zabrali się do rozdzielania walczących kułakami, ci jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskali równowagę i rzucili się na nich. Wzięci przez zaskoczenie strażnicy nie zdołali się obronić. W jednej chwili rzekomi marynarze ogłuszyli ich, chwycili za nogi i bez oglądania się zawlekli w boczną uliczkę. Zatrzymali się przy jednej z bram, na której dole widniała nieduża furtka. Zapukali trzy razy, wizjer otworzył się, podali hasło i jakaś na oko sześćdziesięcioletnia kobieta w czerni wpuściła ich do środka. Weszli, schylając się, żeby nie uderzyć głową o niziutką framugę, i wrzucili dwóch bezwładnych jeńców do piwnicy na węgiel. Tam rozebrali ich z mundurów i zostawili ze związanymi rękami, w kapturach na głowach. Włożyli mundury tamtych, wrócili pod drzwi koszar i stanęli pod latarniami. Podczas tej operacji wymiany wartowników, która trwała ledwie kilka minut, Diego zakradł się do budynku, trzymając w jednej ręce szpadę i pistolet w drugiej.

Wewnątrz miejsce wyglądało na opustoszałe, panowała grobowa cisza i było prawie ciemno, gdyż w połowie lamp wypalił się olej. Prawie niewidzialny - jego obecność zdradzał tylko błysk stali - Zorro jak widmo przeszedł przez sień. Ostrożnie pchnął jakieś drzwi i zajrzał do zbrojowni, gdzie niewątpliwie uraczono się zawartością baryłki, gdyż na podłodze chrapało pół tuzina mężczyzn z chorążym włącznie. Upewnił się, że wszyscy śpią, po czym potrząsnął antałkiem. Był wysączony do ostatniej kropli.

- Wasze zdrowie, panowie! - zawołał z satysfakcją i dla żartu trzema machnięciami szabli wyciął na murze literę Z. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie Bernarda, że Zorro w końcu nim zawładnie, ale było już za późno.

W pośpiechu pobierał broń palną i szable wartowników i złożył w skrzyniach stojących w sieni, po czym ruszył w głąb koszar, gasząc po drodze lampy i świece. Mrok zawsze był jego największym sprzymierzeńcem. Znalazł jeszcze trzech mężczyzn powalonych miksturą Białej Sowy i wyliczył sobie, że - o ile go nie oszukano - pozostało ich jeszcze chyba ośmiu. Miał nadzieję, że dotrze do cel więźniów, nie natykając się na strażników, ale dobiegły go dochodzące z bliska jakieś głosy i musiał szybko się ukryć. Znajdował się w obszernej, prawie pustej sali. Nie było gdzie się schować, nie zdążył również zgasić dwóch pochodni na przeciwległej ścianie o piętnaście kroków od niego. Rozejrzał się dokoła i jedyne, co zobaczył i co mogło mu się ewentualnie przydać, to grube belki

stropowe pod sufitem, znajdowały się jednak zbyt wysoko, by do nich doskoczyć. Włożył szpadę do pochwy, pistolet wetknął za pas, rozwinął bat i jednym ruchem nadgarstka owinął go wokół jednej z belek, szarpnął, aby go naprężyć, i kilkoma ruchami ramion wspiął się po nim jak po linie, co tylekroć robił na statku i w cyrku Cyganów. Znalazł się na górze, zwinął bat i przywarł do belki; był bezpieczny, gdyż światło pochodni tam nie docierało. W tym momencie do sali weszło dwóch zawzięcie dyskutujących ze sobą mężczyzn, którzy - sądząc po ich zachowaniu - nie dostali swojej porcji wina.

Diego postanowił ich zatrzymać, zanim dotrą do zbrojowni, gdzie ich towarzysze spali snem sprawiedliwego. Zaczekał, aż będą przechodzić pod belką, i spadł na nich niczym ogromne czarne ptaszysko, z peleryną rozpostartą jak wachlarz i batem w ręce. Zanim osłupiali mężczyźni zdążyli dobyć szabel, Zorro strzelił dwakroć z bata, podcinając im nogi.

- Dobry wieczór, panowie! - drwiącym pokłonem przywitał się ze swymi klęczącymi ofiarami. - Proszę, abyście zechcieli ostrożnie odłożyć wasze szable na podłogę.

Strzelił ostrzegawczo z bata, wyciągając jednocześnie zza pasa pistolet. Mężczyźni posłuchali bez szemrania, on zaś kopnął szable w ką.

- Liczę, że wasze miłości zechcą mi pomóc. Zakładam, że nie macie ochoty umierać, a i mnie przykro by było was zabijać. Gdzie mogę was zamknąć, tak byście nie sprawiali mi kłopotów? - zwrócił się do nich z ironicznym pytaniem.

Żołnierze popatrzyli na niego skonfundowani, nie mając pojęcia, o czym mówi. Byli to dwaj młodzi, prości chłopcy, którzy w swoim krótkim wojennym życiu zdążyli się już napatrzeć okropności, byli świadkami rzezi i cierpieli głód. Nie dla nich były zagadki. Zorro uprościł pytanie, podkreślając swoje słowa trzaskaniem z bata. Jeden z nich, zbyt przerażony, żeby się odezwać, wskazał na drzwi, którymi weszli. Człowiek w masce powiedział im, że jeśli go oszukali, zginą. Drzwi wychodziły na długi, pusty korytarz, który przeszli gęsiego - jeńcy przodem, a on z tyłu. Na końcu korytarz rozwidła się, na prawo znajdowały się jakieś odrapane drzwi, na lewo zaś drugie, w lepszym stanie, otwierane z przeciwnej strony. Zorro kazał więźniom otworzyć te po prawej. Oczom ich ukazała się odrażająca latryna, na widok której zbierało się na wymioty: cztery wypełnione ekskrementami dziury w podłodze, kilka wiader z wodą i lampa oblepiona muchami. Oprócz małych drzwiczek z żelaznymi okuciami, które właśnie uchylili, pomieszczenie nie miało innego połączenia z korytarzem.

- Doskonale! Żałuję, że ten smród to nie zapach gardenii. Może na przyszłość będziecie tu lepiej sprzątać - skomentował i machnięciem pistoletu nakazał wystraszonemu mężczyznom wejść do środka.

Zorro zamknął ubikację od zewnątrz i ruszył w kierunku drugich drzwi, których zamek okazał się bardzo prosty; stalową szpilką, którą zawsze nosił w szwie buta, albowiem służyła mu do magicznych sztuczek, poradził sobie z nim w ciągu paru sekund. Ostrożnie otworzył drzwi i po cichu zszedł po długich schodach. Domyślił się, że prowadzą do podziemi, gdzie zapewne znajdują się cele. Dotarłszy do końca schodów, rozejrzał się, przyklejony do muru. Pozbawionego wentylacji i oświetlonego zaledwie jedną pochodnią korytarza pilnował strażnik, który widocznie także nie spróbował wina z usypiającym płynem, gdyż siedział po turecku na podłodze i zatłuszczonymi kartami stawiał sobie pasjansa. Karabin miał w zasięgu ręki, ale nie zdążył go chwycić, kiedy nagle stanął przed nim Zorro i jednym kopniakiem w podbródek przewrócił go na plecy, drugim zaś odrzucił daleko jego broń. Feter, jaki tam panował, był tak obrzydliwy, że Zorro miał ochotę się cofnąć, nie był to jednak czas na strojenie fochów. Wziął pochodnię i zbliżył się do małych, wilgotnych i opanowanych przez robactwo nor, w których w ciemnościach tłoczyli się więźniowie. W każdej celi było ich trzech lub czterech i cały czas stali, a kiedy chcieli usiąść, musieli robić to na zmianę. Wyglądali jak szkielety, mieli obłąd w oczach. Cuchnące powietrze wibrowało w takt ciężkich oddechów nieszczęśników. Zorro wykrzyknął nazwisko Manuela Escalante i z któregoś lochu odpowiedział mu słaby głos. Uniósł pochodnię i zobaczył jakiegoś człowieka uczeponego krat; był ciężko pobity, a jego twarz wyglądała jak posiniaczona, bezkształtna masa, w której nie sposób było dopatrzeć się jakichkolwiek rysów.

- Witaj, jeżeli jesteś katem - powiedział więzień i wtedy Diego poznał go po godności postawy i sile głosu.

- Przychodzę pana uwolnić, mistrzu, jestem Zorro.

- Doskonały pomysł! Klucze wiszą przy drzwiach. A przy tej okazji, byłoby dobrze zająć się strażnikiem, który zaczyna się budzić... - odparł spokojnie Manuel Escalante.

Jego uczeń wziął pęk kluczy i otworzył kratę. Trzej więźniowie, którzy dzielili z mistrzem celę, z przerażeniem zmieszonym z nadzieją, przepychając się i potykając niczym oszalałe zwierzęta, rzucili się do wyjścia. Zorro wymierzył do nich z pistoletu.

- Nie tak szybko, panowie, pierwszej musicie pomóc waszym towarzyszom! - rozkazał.

Widok pistoletu sprawił, że odzyskali nieco ludzkiej godności. Podczas gdy tamci trzej, mocując się z kluczami i zamkami, uwalniali pozostałych więźniów, Diego zamknął strażnika w opróżnionej celi, a Escalante podniósł z ziemi karabin. Kiedy wszystkie cele zostały już otwarte i wyszły z nich owe żalosne widma w łachmanach, pokryte zakrzepłą krwią, odchodami i wymiocinami, poprowadzili je ku wyjściu. Weszli po schodach, przemierzili korytarz, przecięli pustą salę, w której Diego wcześniej wspiął się na belkę, i byli już blisko zbrojowni, kiedy nagle wyrosła przed nimi grupa strażników zaniepokojonych hałasem dochodzącym z lochów. Ze szpadami w dłoniach gotowali się do ataku. Zorro zdążył tylko raz strzelić z pistoletu, raniąc jednego z wartowników, który padł jak długi, Escalante zaś zorientował się, że jego karabin jest rozładowany i nie zdąży przygotować go do strzału. Obiema rękami chwycił go za lufę i jak trąba powietrzna rzucił się do przodu, rozdając ciosy na lewo i prawo. Zorro dobył szpady i również rzucił się do ataku. Na kilka sekund udało mu się zatrzymać przeciwników, dając Escalantemu czas na sięgnięcie po jedną ze szpad, które wcześniej odebrał strażnikom, nim zamknął ich w latrynie. We dwóch robili więcej hałasu i szkód niż cały batalion. Diego od małego na co dzień miał do czynienia z bronią, jednak jeszcze nigdy nie musiał walczyć na serio. Stoczył wprawdzie już jeden pojedynek na śmierć i życie, ale była to walka na pistolety, a poza tym obowiązywały w niej pewne określone zasady. Stwierdził, że prawdziwe starcie nie ma nic wspólnego z honorem, gdyż przeciwników nie obowiązują żadne reguły. Jedyne, co się liczy, to zwycięstwo za wszelką cenę. Tym razem sztychy szpad nie dźwięczały w rytm eleganckiej choreografii jak podczas lekcji fechtunku. Rycerskość nie istniała, pchnięcia były brutalne, tak by przeszyć wroga na wylot, i nikt nie mógł liczyć na litość. Uczucie, jakiego doznawał, kiedy stał jego szpady wnikała w ludzkie ciało, było wręcz nie do opisanie. Ogarnęła go mieszanina bezlitosnego podniecenia, odrazy i triumfu, stracił poczucie rzeczywistości i przeistoczył się w bestię. Okrzyki bólu i widok zakrwawionych mundurów kazały mu docenić technikę walki członków Sprawiedliwości, sprawdzając się zarówno w Kręgu Mistrza, jak i w zaciekłym starciu wręcz. Potem, gdy pozbierał już myśli, docenił miesiące ćwiczeń z Bernardem, kiedy to bywał tak wyczerpany, że ledwo trzymał się na nogach. Zawdzięczał im błyskawiczny refleks i umiejętność oceny sytuacji, instynktownie odgadywał, co dzieje się za jego plecami. W ułamku sekundy potrafił przewidzieć ruchy kilku strażników naraz, oszacować odległość i szybkość każdego pchnięcia, odgadnąć jego kierunek, zasłonić się i przypuścić atak.

Choć znacznie starszy od Diega i wycieńczony po torturach, jakim poddali go prześladowcy, maestro Escalante okazał się równie skuteczny co jego uczeń. Nie miał zwinności i siły Zorro, ale jego doświadczenie i opanowanie aż nadto rekompensowały owe niedostatki. W ferworze walki młodzian zalewał się potem i tracił oddech, podczas gdy jego mistrz wywijał szpadą z równą determinacją, ale ze znacznie większym spokojem. W ciągu kilku minut zdołali obezwładnić, rozbroić albo ranić wszystkich swoich przeciwników. Dopiero kiedy było już po wszystkim, uwolnieni więźniowie ośmielili się podejść bliżej. Żaden z nich nie miał odwagi wesprzeć w walce swych wybawców, za to teraz gorliwie zabrali się do wynoszenia poturbowanych strażników do cel, które sami zajmowali kilka minut wcześniej, a gdy je zamknęli, nie szczędzili tamtym zniewag. Dopiero wtedy Zorro otrzeźwiał i rozejrzał się dokoła. Kałuże krwi na podłodze, krew rozbryzgana na ścianach, krew na ciałach rannych, którzy zostali zaciągnięci do lochów, krew na jego szpadzie, wszędzie krew.

- O Matko Boska! - wykrzyknął przerażony.

- Chodźmy, nie czas na to! - zwrócił mu uwagę maestro Escalante.

Wyszli z koszar, nie napotykając na opór. Uwolnieni więźniowie rozbiegli się po ciemnych uliczkach miasta. Niektórzy uratowali życie, uchodząc za granicę albo ukrywając się przez całe lata, jednak wielu schwytano i przed straceniem poddano torturom, aby wyznali, jak zdołali uciec. Mężczyźni nie potrafili powiedzieć, kim był ten zamaskowany śmiałek, który ich oswobodził, albowiem tego nie wiedzieli. Słyszeli tylko jego imię: Zorro, które pasowało do litery Z wyciętej na ścianie zbrojowni.

Od chwili, gdy dwaj rzekomi marynarze odwrócili uwagę wartowników, do momentu, w którym Zorro ze swoim mistrzem opuścił koszary, upłynęło w sumie czterdzieści minut. Na ulicy czekali - nadal w mundurach strażników - członkowie Sprawiedliwości, którzy mieli się zaopiekować mistrzem udającym się na wygnanie. Na pożegnanie Diego i Manuel Escalante objęli się - pierwszy i zarazem ostatni raz.

O świcie żołnierze w koszarach otrzęśli się z efektów działania narkotyku i przystąpili do opatrywania rannych, a nieszczęsny chorąży stanął przed swoimi przełożonymi, by zdać sprawę z zajścia. Na jego szczęście w potyczce nie zginął żaden z jego podwładnych. Poinformował, że o ile mu wiadomo, w sprawę są zamieszani Eulalia de Callís i Rafael Moncada, gdyż to od nich pochodził ów fatalny antałk wina, którym zatrzał się cały oddział.

Jeszcze tego samego wieczoru u podejrzanych zjawił się kapitan - wprawdzie w towarzystwie czterech uzbrojonych strażników, lecz ze służalczym uśmiechem i długą litanią pochlebstw na końcu języka. Eulalia i Rafael przyjęli go jak swego wasala, dając mu do zrozumienia, że głupstwami zakłóca ich spokój.

Dama odesłała go do wozowni, żeby przekonał się, iż jej herb został oderwany od jednej z karet, co miało świadczyć o ich niewinności. Dowód ten wydał się kapitanowi niewystarczający, jednak nie ośmielił się powiedzieć tego głośno. Rafael Moncada w mundurze oficera królewskiej armii wyglądał tak groźnie, że kapitan nawet nie zażądał od niego wyjaśnień. Moncada nie miał alibi, jednak przy swojej pozycji społecznej bynajmniej go nie potrzebował. W mgnieniu oka para wysoko postawionych osób została uwolniona od jakichkolwiek podejrzeń.

- Oficer, który dał się tak oszukać, to jakiś ciężki imbecyl i powinien zostać przykładownie ukarany. Chcę wiedzieć, co oznacza litera Z na ścianie koszar, a także domagam się ustalenia tożsamości bandyty, który ma czelność używać imienia mego i mego bratanek. Zrozumiał mnie pan, oficerze? - natarła Eulalia na kapitana.

- Proszę nie wątpić, że uczynimy wszystko, aby wyjaśnić ten nieszczęsny wypadek, Ekscelencjo - zapewnił ją kapitan, po czym skierował się do wyjścia, bijąc głębokie pokłony.

W październiku Rafael Moncada uznał, że skoro dyplomacja i cierpliwość nie przyniosły żadnego rezultatu, przyszedł moment, aby dać odczuć Julianie jego siłę. Może i domyślała się, że zaaranżował tamten napad na ulicy, jednak nie miała dowodów, a ci, którzy mogliby ich jej dostarczyć, czyli Cyganie, są daleko i nie ośmielią się wrócić do Barcelony. Tymczasem dowiedział się, że Tomás de Romeu stał się niewypłacalny finansowo. Czasy się zmieniły i rodzina de Romeu nie mogła już tak kapryścić. Jego własna pozycja była znakomita, brakowało mu tylko Juliany, aby mógł poczuć, że cugle swej przyszłości dzierży mocno w dłoni. Co prawda Eulalia de Callís nie popierała jego starań się o dziewczynę, uznał jednak, iż jest już w takim wieku, że nie może pozwalać się wodzić za nos dominującej ciotce. Kiedy jednak usiłował zapowiedzieć

Tomasowi de Romeu swoją wizytę, aby powiadomić go o swych planach, zwrócono mu liścik, gdyż gospodarz wraz z córkami wyjechał z miasta. Nie umiano mu wyjaśnić, gdzie przebywa, jednak on miał sposoby, aby to ustalić. Przypadkowo tego samego dnia Eulalia wezwała go do siebie, chcąc uzgodnić z nim dzień, w którym miała go przedstawić córce księżąt Medina-cellich.

- Przykro mi, ciociu. Choćby ów związek był nie wiem jak korzystny, nie mogę się nań zgodzić. Jak cioci wiadomo, kocham Julianę de Romeu - odrzekł Rafael z całą stanowczością, na jaką było go stać.

- Wybierz sobie tę młodkę z głowy, Rafaelu - odparła Eulalia.

- Nigdy nie była dobrą partią, a teraz małżeństwo z nią oznaczałoby śmierć towarzyską. Sądziś, że przyjmą ją na dworze, kiedy się dowiedzą, że jej ojciec jest „sfrancuział”? -

- Jestem przygotowany na takie ryzyko. To jedyna kobieta, jaka mnie w życiu interesuje.

- Twoje życie dopiero się zaczyna. Pragniesz jej, bo cię odtrąciła. Gdybyś ją zdobył, już miałbyś jej dosyć. Potrzebujesz żony na swoim poziomie, Rafaelu, kogoś, kto dopomoże ci w karierze. Ta cała de Romeu nadaje się co najwyżej na kochankę.

- Nie mów tak o Julianie! - zawołał Rafael.

- A czemuż by nie? Mówię, co mi się podoba, zwłaszcza że mam rację - odparła dama tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Z tytułami tej małej Medinacelli i moją fortuną możesz zająć bardzo daleko. Od śmierci mego syna jesteś całą moją rodziną, dlatego troszczę się o ciebie jak matka, ale moja cierpliwość ma swoje granice, Rafaelu.

- O ile wiem, ciociu, twój nieboszczyk mąż, Pedro Fages, Panie, świeć nad jego duszą, również nie miał tytułów ani pieniędzy, kiedyście się poznali - przypomniał bratanek.

- Różnica jest taka, że Pedro był odważny, miał nienaganny przebieg służby wojskowej i gotów był w Nowym Świecie jeść jaszczurki, byle zdobyć fortunę. A Juliana to rozkapryszona pannica, jej ojciec zaś jest nikim. Jeśli chcesz zrujnować sobie dla niej życie, nie licz na mnie. Czy to jasne? - Jak słońce, ciociu. Dobranoc.

Stuknąwszy obcasami, Moncada skłonił się i wyszedł z salonu. W mundurze oficera, lśniących butach i ze szpadą z pomponami u pasa prezentował się wspaniale. Doña Eulalia była spokojna. Znała ludzką naturę i wiedziała, że ogromna ambicja da sobie radę z każdym miłosnym zadurzeniem. Nie ma powodu, aby przypadek jej bratanek miał być pod tym względem wyjątkiem.

Kilka dni później Juliana, Isabel i Nuria, pędząc co koń wyskoczy, przyjechały rodzinnym powozem do Barcelony, za całą eskortę mając jedynie Jordiego i dwóch lokajów. Stukot podków i zamieszanie na dziedzińcu zaalarmowały Diega, który akurat zbierał się do wyjścia. Trzy wymizerowane i pokryte kurzem kobiety przybywały z wiadomością, że Tomás de Romeu został aresztowany. Oddział

żołnierzy zjawili się ich w wiejskim domu, wdarł się do środka i zabrał Tomasa, nie dając mu nawet czasu na włożenie płaszczu. Dziewczęta wiedziały tylko tyle, że oskarżono go o zdradę i miał zostać osadzony w budzącej grozę Cytadeli.

Kiedy Tomás de Romeu został zatrzymany, odpowiedzialność za rodzinę wzięła na siebie Isabel, gdyż o cztery lata starsza Juliana straciła głowę. Z dojrzałością, którą do tej pory bynajmniej się nie wykazywała, Isabel poleciła spakować najniezbędniejsze rzeczy i zamknąć dom. Nie minęły trzy godziny, jak ona, Nuria i siostra siedziały już w pędzącym do Barcelony powozie. Po drodze Isabel miała czas, by się nad zaistniałą sytuacją zastanowić i uświadomiła sobie, że w tej trudnej chwili nie mają kogo poprosić o pomoc. Jej ojciec, który - jak sądziła - nigdy nikogo nie skrzywdził, teraz miał samych przeciwników. Nikt nie chciał się angażować w pomaganie ludziom represjonowanym przez państwo. Jedynym człowiekiem, do którego mogły się zwrócić, był nie przyjaciel, ale wróg. Jeśli okaże się to konieczne, Juliana będzie musiała paść Rafaelowi Moncadzie do nóg. I Isabel ani przez chwilę nie wątpiła, że to zrobi. Żadne upokorzenie nie jest zbyt wielkie, kiedy chodzi o ratowanie życia ojca, powiedziała, nawet gdyby to wyglądało na melodramat. Juliana przyznała jej rację. Z tą decyzją musiał pogodzić się również Diego, albowiem nawet tuzin śmiazków takich jak Zorro nie zdołałby uwolnić więźnia z Cytadeli. Forteca była nie do zdobycia. Co innego zakraść się do miejskich koszar strzeżonych przez jakiegoś chorążego gołowąsa, a co innego zaatakować Cytadelę i zmierzyć się z głównymi siłami stacjonujących w Barcelonie wojsk królewskich. Jednakże na myśl o tym, że Juliana miałaby błagać o pomoc Moncadę, burzyła się w nim krew. Uparł się, że to on pójdzie do niego.

- Nie bądź naiwny, Diego. Jediną osobą, która może coś wskórać u tego człowieka, jest Juliana. Ty nie masz mu nic do zaoferowania - odparła Isabel tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Sama napisała liścik zapowiadający wizytę siostry i przez służącego wysłała go do domu Rafaela Mocandy, po czym kazała siostrze wykąpać się i założyć najpiękniejszą suknię. Juliana uparła się, że będzie jej towarzyszyć tylko Nuria, gdyż Isabel łatwo traci nad sobą panowanie, Diego zaś nie należy do rodziny. Ponadto on i Moncada się nienawidzą. Kilka godzin później, mając jeszcze podkrążone oczy po trudach podróży, Juliana zapukała do drzwi mężczyzny, którego nie znosiła, gwałcąc ustanowione przed wiekami zasady przyzwoitości. Tylko kobieta podejrzanego konduity mogła przyjść z wizytą do samotnego mężczyzny, nawet jeśli towarzyszyła jej surowa ochmistryni. Chociaż wiały już jesienne wiatry, pod czarnym płaszczem miała tylko zwiewną letnią suknię koloru kukurydzy, przewiazaną zieloną szarfą i zwieńczoną białymi strusimi piórami, krótki zakieciak wyszywany drobnymi paciorkami i pelerynkę w tym samym odcieniu co suknia. Z daleka wyglądała jak jakiś egzotyczny ptak, z bliska zaś - piękniej niż kiedykolwiek. Nuria zaczęła w sieni, podczas gdy służący prowadził Julianę do salonu, gdzie czekał na nią jej adorator.

Rafaël patrzył, jak wchodzi, unosząc się niczym nimfa w nieruchomym powietrzu wieczoru, i zdał sobie sprawę, że czekał na ten moment od czterech lat. Mało brakowało, by kazał jej zapłacić za dawne upokorzenia, jednak domyślił się, że nie może przeciągać struny; ta słodka gołąbeczka z pewnością doszła już do kresu wytrzymałości w stawianiu mu oporu. Ostatnią rzeczą, jakiej mógł się domyślać, było to, że ta słodka gołąbeczka potrafi się targować równie skutecznie co kupiec z tureckiego bazaru. Nikt nigdy nie dowiedział się szczegółów negocjacji, gdyż Juliana wyjaśniła później tylko dwa podstawowe punkty umowy, jaką między sobą zawarli: on uzyska zwolnienie Tomása de Romeu, w zamian za co ona go poślubi. Ani gestem, ani jednym słowem Juliana nie zdradziła swoich uczuć. Po półgodzinie całkowicie opanowana opuściła salon w towarzystwie Moncady, który delikatnie trzymał ją pod ramię. Skinęła na Nurię i skierowała się do powozu, gdzie na koźle drzemał wyczerpany Jordi. Odjechała, nie spojrzawszy nawet na mężczyznę, któremu przyrzekła swą rękę.

Siostry de Romeu przeszło trzy tygodnie czekały na wyniki starań Moncady. W tym czasie wychodziły z domu jedynie do kościoła, aby błagać o pomoc świętą Eulalię, patronkę miasta. „Jaka szkoda, że nie ma tu z nami Bernarda!”, wzdychała w tych dniach Isabel, albowiem była przekonana, że jemu udałoby się dowiedzieć, w jakich warunkach przetrzymywany jest jej ojciec, a nawet przesać mu jakąś wiadomość. To, czego nie można było zdziałać drogą oficjalną, Bernardo potrafił osiągnąć dzięki swoim kontaktom.

- Tak, dobrze by było mieć go tutaj, ale cieszę się, że wyjechał. Nareszcie jest razem z Nocną Błyskawicą tam, gdzie zawsze chciał być - zapewnił ją Diego.

- Miałeś od niego wiadomości?

- Jeszcze nie, listy długo idą.

- No to skąd wiesz?

Diego wzruszył ramionami. Nie potrafił jej wyjaśnić, na czym polega to, co biali w Kalifornii nazywali „indiańską pocztą”. Między nim a Bernardem działało to bez zarzutu; od małego umieli porozumiewać się bez słów i nie było powodów, aby nie mogli robić tego teraz. Rozdzielało ich morze, ale nadal pozostawali w stałym kontakcie.

Nuria kupiła sztukę zgrzebnej wełny w kolorze brązowym i zabrała się do szycia strojów pątnicznych. Pragnąc znaleźć wsparcie dla świętej Eulalii w jej staraniach w niebiosach, zwróciła się również do świętego Jakuba z Composteli. Przyrzekła mu, że jeśli uwolni jej pana, uda się pieszo z dziewczętami do jego sanktuarium. Nie miała najmniejszego pojęcia, ile staj będą miały do przejścia, ale zakładała, że skoro są tacy, którzy idą aż z Francji, to nie może być ich zbyt wiele.

Sytuacja rodziny była bardzo zła. Majordomus, dowiedziawszy się, że jego pan został zatrzymany, odszedł z pracy bez żadnych wyjaśnień. Nieliczni służący, jacy jeszcze zostali, chodzili po domu z kwaśną miną i pozwalali sobie na zuchwalstwa, gdyż stracili już nadzieję na odzyskanie zaległych pensji. A nie odchodzili z domu rodziny de Romeu tylko dlatego, że nie mieli dokąd iść. Rachmistrze i kauzyperdzi, którzy zarządzali majątkiem don Tomasa, nie przyjęli jego córek, kiedy przyszły prosić o pieniądze na codzienne wydatki. Diego nie mógł im pomóc, gdyż wszystko, co miał, oddał Cyganom; czekał na przekaz od ojca, ale ten wciąż nie nadchodził. Tymczasem chcąc dowiedzieć się o warunki, w jakich przebywał więzień, próbował nawiązać kontakty bardziej przyziemne niż Nuria. Sprawiedliwość nie mogła już mu pomóc, jej członkowie się rozpierzchli. Po raz pierwszy od dwóch wieków to tajne stowarzyszenie zawiesiło swoją działalność, choć już nieraz w swojej historii bywało w ciężkich opałach. Niektórzy jego członkowie zbiegli za granicę, inni pozostawali w ukryciu, a ci, którzy mieli najmniej szczęścia, wpadli w szpony inkwizycji, która już nie skazywała swych ofiar na stos, lecz sprawiała, że dyskretnie znikali.

Pod koniec października Rafael Moncada przyszedł porozmawiać z Julianą. Na twarzy wypisaną miał troskę. W trakcie tych trzech tygodni przekonał się, że jego wpływy są znacznie bardziej ograniczone niż przypuszczał, wyjaśnił. Kiedy przyszło co do czego, w zderzeniu z ciężką biurokracją państwową mógł zdziałać bardzo niewiele. Co koń wyskoczy pognał do Madrytu, aby osobiście wstawić się za Tomásem de Romeu u króla, jednak ten odesłał go do swego sekretarza, jednej ze znaczniejszych osób na dworze królewskim, z pretensją, że zawraca mu głowę głupstwami. U sekretarza nic nie wskórał, a nie miał odwagi proponować mu łapówki, bo gdyby się co do niego pomylił, zbyt drogo by za to zapłacił. Powiadomiono go, że Tomás de Romeu wraz z garścią zdrajców ma zostać rozstrzelany. Sekretarz dodał, że nie powinien wstawiać się za tym ścierwojadem, gdyż może tego pożałować. Groźba nie mogła być wyraźniejsza. Wróciwszy do Barcelony, zdążył tylko zmyć z siebie trudy podróży i natychmiast udał się z wizytą do dziewcząt, które przyjęły go pobladłe, ale opanowane. Opowiedział im o wszystkim i na pocieszenie zapewnił je, że nie zamierza dawać za wygraną i w dalszym ciągu wszystkimi sposobami będzie zabiegał o zmianę wyroku.

- Tak czy inaczej wasze miłości nie zostaną same na świecie. Zawsze będą mogły liczyć na mój szacunek i opiekę - dodał przygnębiony.

- Zobaczymy - odparła Juliana, nie uroniwszy jednej łzy.

Kiedy do Diega dotarły te tragiczne nowiny, chłopiec uznał, że skoro święta Eulalia nie mogła nic dla nich zrobić, powinni zwrócić się do jej imienniczki.

- Ta señora ma duże wpływy. Zna tajemnice połowy możliwych tego miasta. Boją się jej. Ponadto bardziej niż cokolwiek innego liczą się tutaj pieniądze. Pójdziemy do niej wszyscy troje - powiedział Diego.

- Eulalia de Callís nie zna mojego ojca i, jak powiadają, nienawidzi mojej siostry - uprzedziła go Isabel, ale on nie mógł nie spróbować.

Kontrast między owym przeładowanym ozdobami pałacykiem, podobnym do tych, jakie wznoszono w Meksyku w czasach jego największej świetności, a surowością Barcelony w ogóle i domu de Romeu w szczególności, był uderzający. Diego, Juliana i Isabel przeszli przez ogromne salony, jedne pokryte freskami, inne obwieszane kobiercami z Flandrii, olejnymi wizerunkami przodków oraz obrazami przedstawiającymi sceny batalistyczne. Przy każdym drzwiach stali lokaje w liberach oraz spowite w holenderskie koronki damy dworu pilnujące obrzydliwych piesków chihuahua, które wbijały wzrok w podłogę, ilekroć mijał je ktoś o wyższej pozycji społecznej. Mam na myśli oczywiście służące, a nie pieski. Doña Eulalia przyjęła swoich gości, siedząc na tronie pod baldachimem w głównym salonie wystrojona jak na bal, chociaż jak zwykle w głębokiej żałobie. Ze swoją małą główką i lśniącymi jak oliwki, pięknymi oczami o długich rzęsach wyglądała jak olbrzymi stoń morski zawinięty w kilka warstw gazy. Jeśli podstarzała señora chciała ich onieśmielić, w pełni jej się to udało. Młodzi ludzie dusili się

ze wstydu w przeładowanym przepychem wnętrzu pałacyku, nigdy jeszcze nie byli w podobnej sytuacji, urodzili się po to, by dawać, a nie żeby prosić.

Eulalia dotąd widywała Julianę tylko z daleka, postanowiła zatem zaspokoić swoją ciekawość i przyrzeć się jej dokładnie. Nie mogła odmówić dziewczynie wdzięku, jednak miły wygląd nie uzasadniał głupstwa, jakie gotów był popełnić jej bratanek. Przypomniała sobie swoje młode lata i uznała, że ona sama też była taka piękna jak ta de Romeu. Poza ognistą czupryną miała jeszcze ciało amazonki. Pod warstwami tłuszczu, który teraz przeszkadzał jej chodzić, kryło się niezatarte wspomnienie o kobiecie, jaką kiedyś była, zmysłowej, pełnej fantazji i tryskającej energią. Nie bez powodu Pedro Fages darzył ją niesłabnącym, namiętym uczuciem, wszak wielu mężczyzn mu jej zazdrościło. Tymczasem Juliana miała postawę zranionej gazeli. Cóż takiego widział Rafael w tej wydelikaczonej i bladej panience, która w łóżku niewątpliwie będzie się zachowywać jak mniszka? Mężczyźni są bardzo głupi, stwierdziła. Druga z panien de Romeu - jak też ona ma na imię? - wydała jej się ciekawsza, gdyż nie sprawiała wrażenia nieśmiałej, jednak jej wygląd, zwłaszcza w zestawieniu z Julianą, pozostawiał wiele do życzenia. To pech mieć za siostrę taką piękność. W normalnych warunkach zaproponowałaby swoim gościom przynajmniej kieliszek jerezu i jakiś poczęstunek, nikt nie mógł jej zarzucić, że oszczędza na jedzeniu, jej dom słynął z dobrej kuchni, jednak nie chciała, aby poczuli się pewnie, musiała mieć przewagę w negocjacjach, jakie zapewne ją czekały.

Głos zabrał Diego, który przedstawił sytuację ojca dziewcząt, nie pomijając faktu, że Rafael Moncada pojechał do Madrytu, żeby się za nim wstawić. Eulalia wysłuchała go w milczeniu, wpatrując się w każde z nich przeszywającym wzrokiem i wyciągając własne wnioski. Domyśliła się warunków umowy, jaką Juliana musiała zawrzeć z jej bratankiem, inaczej ten nie ryzykowałby swojej reputacji, żeby bronić liberała oskarżonego o zdradę. Takie niezręczne posunięcie mogło go kosztować utratę łask u króla. Przez chwilę cieszyła się, że plan Rafaela spalił na panewce, jednak kiedy w oczach dziewcząt zobaczyła łzy, jej stare serce znowu ją zdradziło. Często zdarzało się, że głowa do interesów i zdrowy rozsądek walczyły z jej uczuciami. Sporo ją to wówczas kosztowało, jednak pieniądze wydawała bez żalu, gdyż owe spontaniczne porwy współczucia były ostatnimi odruchami, jakie jej pozostały z utraczonej młodości.

Po wystąpieniu Diega zapadła długa cisza. W końcu matrona - która niechęć się wzruszyła - poinformowała ich, że przeceniają jej możliwości. Ocalenie Tomása de Romeu nie jest w jej mocy. Wszystko, co można było zrobić, zrobił już jej bratanek, powiedziała, oprócz przekupienia strażników więziennych, aby do chwili, gdy zostanie stracony, de Romeu był traktowany ze szczególnymi względami. Muszą zrozumieć, że w Hiszpanii, czy w jakimkolwiek innym kraju Europy, Juliana i Isabel nie mają przed sobą żadnej przyszłości. Są córkami zdrajcy i ich nazwisko zostanie odsądzone od czci. Korona skonfiskuje ich dobra, zostaną na ulicy bez środków do życia. Co się z nimi stanie? Będą musiały zarabiać na utrzymanie haftowaniem pościeli na posagi dla panien na wydaniu albo jako guwernantki w domach bogatych ludzi. Oczywiście Juliana na upartego może złapać na męża jakiegoś nieroztropnego mężczyznę, choćby nawet samego Rafaela Moncadę, ona jednak ma nadzieję, że - gdyby przyszło do podjęcia tak poważnej decyzji - jej bratanek, który nie jest w ciemną bity, położy na szali swoją karierę i pozycję społeczną. Juliana nie dorównuje poziomem Rafaelowi. Poza tym nie ma nic gorszego dla mężczyzny niż nazbyt piękna żona, gdyż sprowadza na niego tylko same kłopoty. Dodała, że - jak powszechnie wiadomo - w Hiszpanii ślicznotka pozbawiona majątku kończy zazwyczaj jako aktoreczka w podrzędnym teatryku albo utrzymanka jakiegoś „dobroczyńcy”. Z całego serca życzy Julianie, aby uniknęła takiego losu. Podczas owej straszliwej rozmowy Juliana starała się zachować zimną krew, jednak stopniowo traciła nad sobą kontrolę i na koniec wybuchnęła płaczem, a morze łez zalało jej policzki i dekolt. Diego uznał, że już dosyć się nasłuchali, i pożałował, iż doña Eulalia nie jest mężczyzną, gdyż z miejsca wyzwaliłby ją na pojedynek. Chwycił Julianę i Isabel za ręce i nie żegnając się, popchnął je do wyjścia. Nie zdążyli dojść do drzwi, gdy dobiegł ich głos Eulalii.

- Jak powiedziałam, nie mogę nic zrobić dla don Tomása de Romeu, ale mogę zrobić coś dla was.

Zaproponowała, że kupi od nich rodowe posiadłości, począwszy od zrujnowanej rezydencji w Barcelonie po najdalsze opuszczone majątki na prowincji, dając im dobrą cenę i płacąc od ręki. W ten sposób dziewczęta będą miały do dyspozycji niezbędny kapitał, dzięki któremu będą mogły rozpocząć nowe życie gdzieś daleko, gdzie nikt ich nie zna. Już jutro może wysłać notariusza, który sprawdzi tytuły własności i zredaguje potrzebne dokumenty. Od komendanta Barcelony uzyska dla nich pozwolenie na ostatnią wizytę u ojca, żeby mogły się z nim zobaczyć, pożegnać i dać mu do podpisania akty sprzedaży, którą to operację należy przeprowadzić szybko, zanim władze zdążą skonfiskować ich dobra.

- Pani usiłuje pozbyć się mojej siostry, bo nie chce, aby Rafael Moncada się z nią ożenił! - rzuciła jej w twarz Isabel, trzęsąc się z wściekłości.

Eulalia odebrała zarzut jak policzek. Nie nawykła, aby ktoś podnosił na nią głos; od kiedy zmarł jej mąż, nikt tego nie robił. Na kilka sekund odjęto jej mowę, jednak z latami nauczyła się panować nad swoim wybuchowym temperamentem i doceniać prawdę, jeśli mówiono ją jej prosto w oczy. Zanim odpowiedziała, policzyła w duchu do trzydziestu.

- Nie stać was na odrzucenie mojej propozycji. Układ jest jasny i prosty: gdy tylko dostaniecie pieniądze, natychmiast wyjedziecie.

- Pani bratanek wymusił na mojej siostrze obietnicę, że go poślubi, a teraz pani wymusza na niej, żeby tego nie robiła! - wykrzyknęła Isabel.

- Dosyć, Isabel, proszę! - wymamrotała Juliana, ocierając łzy. - Podjęłam decyzję. Przyjmuję ofertę i dziękuję pani za jej szlachetność, Ekscelencjo. Kiedy będziemy mogli zobaczyć się z ojcem?

- Wkrótce, dziewczęta. Zawiadomię was, kiedy dostanę zgodę na widzenie - odparła Eulalia z satysfakcją.

- Jutro o jedenastej czekamy na pani administratora, señora. Zegnamy panią - powiedziała Juliana, kierując się ku wyjściu.

Eulalia w pełni wywiązała się z obietnicy. Nazajutrz punktualnie o jedenastej w rezydencji Tomása de Romeu zjawili się trzech rachmistrzów, którzy zaczęli grzebać w jego papierach, wywracać zawartość biurka, sprawdzać zabałaganione rachunki i sporządzać przybliżoną wycenę majątku. Doszli do wniosku, że nie dość, iż don Tomas miał znacznie mniej, niż można było przypuszczać, to jeszcze tonął w długach. W takiej sytuacji dochód ze sprzedaży dóbr byłby niewystarczający, aby dziewczęta nadal mogły żyć na dotychczasowym poziomie. Niemniej jednak notariusz otrzymał od swej pracodawczyni szczegółowe instrukcje. Występując ze swoją ofertą Eulalia nie brała pod uwagę wartości tego, co zamierzała nabyć, ale to, ile dziewczęta potrzebowały, aby na nowo zorganizować sobie życie. I tyle im zaproponowała. Nie wydało im się to ani dużo, ani mało, gdyż nie wiedziały, ile kosztuje bochenek chleba. Nie umiały wyobrazić sobie sumy, którą zaproponowała im doña Eulalia. Diego również nie miał doświadczenia w finansach i nie był w stanie nic doradzić Julianie i Isabel. Siostry przyjęły ustaloną kwotę, nie mając pojęcia, że była ona dwukrotnie wyższa niż rzeczywista wartość dóbr ich ojca. Gdy tylko adwokaci zredagowali dokumenty, Eulalia załatwiła im widzenie w więzieniu.

Górująca nad miastem Cytadela była mostrualnym pięciobokiem z kamienia, drewna i betonu zaprojektowanym w 1715 roku przez pewnego holenderskiego inżyniera. Niegdyś stanowiła militarny bastion rządzących Katalonią królów z dynastii Burbonów. Szerokie mury z basztami we wszystkich pięciu narożnikach otaczały jej rozległy dziedziniec. Dla wzniesienia tej twierdzy nie do zdobycia wojska króla Filipa V wyburzyły całe dzielnice, szpitale, klasztory, tysiąc dwieście budynków mieszkalnych oraz wycięły okoliczne lasy. Masywna budowla ze swą złej sławy legendą ciążyła nad Barceloną niczym czarna chmura. Była odpowiednikiem francuskiej Bastylji, symbolem ucisku. W jej murach stacjonowały wojska kolejnych okupantów, a w jej lochach zginęło wiele tysięcy więźniów. Na jej basztach - mieszkańcom ku przestrodze - wieszano ciała skazańców. Jak głosiło ludowe porzekadło, łatwiej było wyrwać się z piekła niż z Cytadeli.

Jordi podwiózł Diega, Julianę i Isabel do bramy wjazdowej, gdzie pokazał strażnikom glejt zdobyty przez Eulalię de Callís. Kazano mu czekać z powozem na zewnątrz, młodzi ludzie zaś weszli na dziedziniec w towarzystwie czterech żołnierzy z karabinami i z bagnietami założonymi na sztorc. Ta droga okazała się prawdziwym koszmarem. Na zewnątrz murów panował wprawdzie chłód, ale dzień był piękny, niebo jasne, powietrze przejrzyste, tafla morza mieniła się niczym srebrne zwierciadło, a słońce rzucało refleksy na białe ściany domów Barcelony. Tutaj, wewnątrz fortecy, było nie tylko zimno, ale wszystko było pogrążone w mroku. Długą drogę od bramy wjazdowej do głównego budynku przebyli w milczeniu. Weszli do tej posępnej budowli bocznymi drzwiami, grubymi, solidnymi, ze stalowymi nitami - a następnie poprowadzono ich przez długie korytarze, gdzie echo powtarzało odgłos ich kroków. Słychać było świst wiatru i czuło się ów specyficzny zapach wojskowego garnizonu. Grzyb wilgoci sączył się z sufitu, kreśląc na murach zielonkawę mapy. Przekroczyli wiele progów i za każdym razem za ich plecami zamykały się kolejne ciężkie drzwi. Czuli, że za każdym ich trzaśnięciem coraz bardziej oddalają się od świata ludzi wolnych i od znanej sobie rzeczywistości i coraz głębiej zanurzają się we wnętrzościach jakiejś gigantycznej bestii. Dziewczęta drżały, a Diego zapytywał się w duchu, czy z tego ponurego miejsca uda im się ująć z życiem. Zaprowadzono ich do jakiejś sieni, gdzie pod okiem żołnierzy przez dłuższy czas musieli na stojąco czekać. W końcu przyjął ich jakiś oficer urzędujący w niedużym pokoju, którego całe umeblowanie stanowił toporny stół i kilka krzesel. Wojskowy rzucił okiem na glejt, sprawdzając pieczęć i podpis, jednak można było się

zorientować, że nie umie czytać. Oddał go bez komentarzy. Był to mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, o gładkiej twarzy, włosach koloru stali i oczach o dziwnym odcieniu błękitu wpadającego w fiolet. Zwrócił się do nich po katalońsku, uprzedzając, że na rozmowę z więźniem mają piętnaście minut i że nie wolno im do niego podchodzić bliżej jak na trzy kroki. Diego wyjaśnił mu, że señor de Romeu musi podpisać pewne dokumenty i będzie potrzebował czasu, żeby je przeczytać.

- Panie oficerze, proszę! Po raz ostatni widzimy się z ojcem! Błagam pana, proszę nam pozwolić go uściskać! - zanosząc się szlochem, Juliana rzuciła się przed mężczyzną na kolana.

Mężczyzna w mundurze cofnął się, czując po części niesmak, a po części fascynację, podczas gdy Diego i Isabel próbowali zmusić Julianę do powstania, jednak ona jakby wrosła w ziemię.

- Na Boga! Proszę wstać, panienko! - zawołał wojskowy kategorycznym tonem, jednak po chwili ujął Julianę delikatnie za ręce i podniósł ją z klęczek. - Nie jestem jakimś bezdusznym zwierzęciem, panienko. Też jestem ojcem rodziny, mam dzieci i rozumiem, jak bolesna jest dla was ta sytuacja. Dobrze, daję wam pół godziny, żebyście mogli pobyć z więźniem na osobności i pokazać mu te dokumenty.

Kazał strażnikowi przyprowadzić więźnia. Juliana miała kilka minut, żeby zapanować nad sobą i przygotować się na to spotkanie. Niedługo potem do pokoju wszedł Tomás de Romeu w eskorcie dwóch strażników. Był zarośnięty, brudny, mizerny, ale zdjęto mu kajdany. Od tygodni nie golił się ani nie mył, cuchnął jak żebrak i miał rozbiegany wzrok szaleńca. Na nędznym jedzeniu w lochach stracił brzuch smakosza, rysy twarzy mu się wyostrzyły, na tle zielonkawej cery jego orli nos wydawał się ogromny, a pokryte rzadkim siwym zarostem policzki, przedtem pełne i rumiane, zwisały mu smętnie jak worki. Oficer i wartownicy wyszli. Upłynęło kilka minut, zanim córki rozpoznały go i z płaczem padły mu w ramiona. Widok ten był tak przejmujący, że wstrząśnięty tą sceną Diego odwrócił oczy i przywarł do ściany ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- No, no, dziewczynki, uspokójcie się, nie płaczcie, proszę. Mamy mało czasu, a jest wiele do zrobienia - powiedział Tomás de Romeu, ocierając łzy wierzchem dłoni. - Powiedziano mi, że mam podpisać jakieś papiery...

Diego wyjaśnił pokrótce, na czym polega oferta Eulalii, i podsunął Tomasowi akty sprzedaży, prosząc, aby dla zabezpieczenia przyszłości córek zechciał je podpisać.

- A więc potwierdza się to, czego się domyślałem. Nie wyjdę stąd żywy - westchnął więzień.

Diego zwrócił mu uwagę na fakt, że nawet jeśli królewskie ułaskawienie przyjdzie na czas, i tak cała rodzina musi wyjechać za granicę, a może to zrobić tylko z dużą gotówką w kieszeni. Tomás de Romeu wziął pióro i kałamarz przyniesione przez Diega i podpisał przekazanie wszystkich swoich posiadłości na rzecz Eulalii de Callís. Następnie spokojnie poprosił Diega, aby zaopiekował się jego córkami, żeby wywiózł je gdzieś daleko, gdzie nikt nie będzie wiedział, że ich ojciec został stracony jak jakiś zbrodniarz.

- Przez te lata, od kiedy cię znam, Diego, nauczyłem się ufać ci jak synowi, którego nie miałem. Jeśli moje córki będą pod twoją opieką, umrę spokojnie. Zawieź je do Kalifornii i poproś mego przyjaciela Alejandra de la Vegę, aby dbał o moje córki, jak o swoje własne - poprosił.

- Nie rozpaczajcie, ojczu, proszę. Rafael Moncada zapewnił nas, że użyje wszystkich swoich wpływów, aby was uwolnić - wyjęczała Juliana.

- Egzekucja została wyznaczona za dwa dni, Juliano. Moncada nie zrobi nic, żeby mi pomóc, bo to on mnie wydał.

- Ojczu! Jesteście pewni? - zawołała dziewczyna.

- Nie mam dowodów, ale słyszałem to z ust tych, którzy mnie pojмали - cicho powiedział Tomas.

- Przecież Rafael prosił króla o wasze ułaskawienie!

- Nie wierzę mu, dziecko. Może i pojechał do Madrytu, ale z innych powodów.

- W takim razie to moja wina!

- Nie jesteś winna cudzej nikczemności, córko. Nie odpowiadasz za moją śmierć. Odwagi! Nie chcę widzieć łez.

De Romeu powiedział, że jego zdaniem Moncada wydał go nie tyle z powodów politycznych czy też z zemsty za odrzucenie go przez Julianę, ile z wyrachowania. Jeśli umrze, jego córki pozostaną bez opieki i będą musiały jej szukać u pierwszego, kto im ją zaproponuje. A Moncada tylko czeka, aż Juliana sama wpadnie mu w ręce jak mucha w pajęczynę. Dlatego w tym momencie taka ważna jest pomoc Diega, dodał Tomas. Mało brakowało, aby chłopak wyznał mu, że Juliana nigdy nie dostanie się w łapy Moncady, bo to on ją uwielbia i na kolanach prosi go, by mu ją dał za żonę, ale ugryzł się w

język. Juliana nigdy nie dała mu powodów do przypuszczeń, że odwzajemnia jego miłość. To nie był moment, by poruszać ten temat. Poza tym nie mógł zapewnić dziewczętom nawet minimum bezpieczeństwa. Jego odwaga, szpada, miłość to stanowczo za mało. Zrozumiał, że on sam, bez wsparcia w postaci fortuny swego ojca, nic nie może dla nich zrobić.

- Może pan być spokojny, señor de Romeu. Oddałbym życie za pańskie córki. Zawsze będę ich strzegł - powiedział po prostu.

Dwa dni później, o świcie, kiedy gęsta mgła od morza okryła miasto, jedenastu więźniów politycznych oskarżonych o kolaborację z Francuzami zostało straconych na jednym z dziedzińców Cytadeli. Pół godziny wcześniej ksiądz udzielił im ostatniego namaszczenia, aby, jak im powiedział, odeszli na tamten świat wolni od grzechów. Tomás de Romeu, który przez pięćdziesiąt lat buntował się przeciwko klerowi i dogmatom Kościoła, wraz z pozostałymi skazańcami przyjął sakrament, a nawet przystąpił do komunii. „To tak na wszelki wypadek, ojcze, w końcu nic się nie traci”, zażartował. Przez cały czas, odkąd usłyszał, jak do jego domu na wsi zbliżają się żołnierze, cierpiał katusze, teraz jednak był spokojny. Jego udręka skończyła się w chwili, gdy pożegnał się z córkami. Dwie następne noce przespał, nie śniąc o niczym, a dni przeżył w dobrym nastroju. Pogodził się z bliską śmiercią ze spokojem, jakiego nie zaznał w ciągu całego życia. To, że kres jego dniom położy strzał w głowę i że nie będzie umierał powoli, pograżając się nieuchronnie w starczym zniedołężnieniu, zaczęło mu się podobać. Może myśląc o córkach pozostawionych własnemu losowi, uwierzył, że Diego de la Vega dotrzyma danego słowa i się nimi zaopiekuje. Czuł, że stały się mu dalekie jak nigdy. W ciągu tygodni spędzonych w więzieniu powoli wyzbywał się wspomnień i sentymentów, zyskując dzięki temu swoiste poczucie wolności: nie miał już nic do stracenia. Kiedy myślał o swoich córkach, nie potrafił wyobrazić sobie ich twarzy ani przypomnieć głosów, były dwiema małymi pozbawionymi matki dziewczynkami, które w ponurych salonach jego domu bawiły się lalkami. Kiedy przed dwoma dniami odwiedziły go w więzieniu, zadziwił go widok owych kobiet, które zajęły miejsce dziewczynek z jego wspomnień: w trzewczkach i fartuszkach, i z kokardkami we włosach. Do kroćset, ależ ten czas leci, wyszeptał na ich widok. Pożegnał się z nimi bez żalu, zaskoczony własną obojętnością. Juliana i Isabel miały przeżyć swoje życie bez niego, już nie mógł ich chronić. Od tej chwili mógł rozkoszować się swoimi ostatnimi godzinami i z zaciekawieniem obserwować rytuał egzekucji.

O świcie w dniu egzekucji Tomás de Romeu otrzymał od Eulalii de Callís jeszcze jeden, już ostatni prezent: kosz z obfitym poczęstunkiem, butelką najlepszego wina i talerzyk najdelikatniejszych cukierków i czekoladek z jej spiżarni. Pod okiem strażnika pozwolono mu się umyć i ogolić i wręczono czystą zmianę bielizny przyslaną przez córki. Na miejsce egzekucji szedł dziarsko i bez lęku; stanął przy zakrwawionym słupie, a kiedy go do niego przywiązano, nie pozwolił zastonić sobie oczu. Plutonem egzekucyjnym dowodził ten sam oficer o błękitnych tęczęwkach, który przyjął Julianę i Isabel w Cytadeli. To jemu przypadło w udziale strzelić skazańcowi w skroń, kiedy przekonał się, że ten pół ciała ma rozszarpane od kul, a mimo to ciągle żyje. Ostatnim, co zobaczył Tomás de Romeu, zanim dobijająca go kula rozsadziła mu mózg, było przenikające mgłą złote światło brzasku.

Wojskowy, który niełatwo się wzruszał, gdyż wiele przeszedł na wojnie i był przyzwyczajony do okrucieństwa panującego w koszarach i lochach, nie mógł zapomnieć widoku klęczącej przed nim Juliany z twarzą zalaną łzami. Łamiąc własną zasadę zabraniającą mu łączenia obowiązków z uczuciami, osobiście zaniósł jej wiadomość. Nie chciał, aby córki dowiedziały się o tym, jak umierał ich ojciec, z innych źródeł.

- Nie cierpiał, señoritas - skłamał.

Rafael Moncada dowiedział się jednocześnie o śmierci Tomása de Romeu i o fortelu Eulalii, żeby pozbyć się Juliany z Hiszpanii. To pierwsze mieściło się w jego planach, lecz to drugie wywołało u niego gwałtowny wybuch gniewu. Mimo to pilnował się, żeby się z ciotką nie skłócić, gdyż nie zamierzał ani rzekać się spadku po niej, ani rezygnować z Juliany. Żałował, że ciotka cieszy się tak dobrym zdrowiem; pochodziła z długowiecznej rodziny i nie było nadziei, iż wkrótce umrze, zostawiając mu bogactwo i swobodę decydowania o swym losie. Musi ją jakoś przekonać, żeby zaakceptowała Julianę, to jedyne rozwiązanie. Nie ma mowy o tym, żeby postawić ją przed faktem dokonanym, gdyż nigdy by mu tego nie wybaczyła, przyszedł mu jednak do głowy pewien plan, dla którego inspiracją stało się pewne wydarzenie z życia ciotki: będąc żoną gubernatora Kalifornii, przemieniła groźnego indiańskiego wojownika w hiszpańską katolicką panienkę. Nie domyślał się, że chodziło tu o matkę Diega de la Vegi, jednak wielokrotnie słyszał tę historię z ust samej Eulalii, która

miała tę wadę, że lubiła kontrolować życie innych i jeszcze się tym chwaliła. Zamierzał ją błagać, aby - jako że siostry de Romeu straciły ojca i nie miały żadnej rodziny - przygarnęła je na swój dwór w charakterze protegowanych. Ocalić je od niesławy i sprawić, aby na nowo zostały przyjęte do towarzystwa - to mogłoby być dla Eulalii ciekawym wyzwaniem, podobnym do tego sprzed dwudziestu kilku lat dotyczącym tamtej Indianki. Kiedy ciotka otworzyła swe serce przed Julianem i Isabel - a wcześniej czy później otwierała je prawie przed wszystkimi - on wrócił do sprawy małżeństwa. Niemniej jednak, gdyby ów wyrafinowany plan nie wypalił, zawsze jeszcze istniała alternatywa zasugerowana przez samą Eulalię, której słowa ciągle jeszcze dźwięczały mu w uszach: Julian de Romeu może zostać jego kochanką. Nie mając ojca, który by nad nią czuwał, dziewczyna skończy jako utrzymanka jakiegoś możnego człowieka. Nikt lepiej od niego do tej roli się nie nadaje. To niezły pomysł. Znajdzie sobie żonę na odpowiednim poziomie, może nawet samą Medinacelli, a przy tym nie będzie musiał rezygnować z Juliany. Można to zrobić, byle dyskretnie, uznał. Z takimi przemyśleniami przybył do rezydencji Tomása de Romeu.

Dom, który zawsze wydawał mu się zaniedbany, teraz wyglądał na kompletną ruinę. W ciągu kilku miesięcy, od kiedy sytuacja polityczna w Hiszpanii uległa zmianie i Tomás de Romeu wpadł w kłopoty i w dług, budynek upodobił się do swego pokonanego przeciwnością losu, godnego pożalowania właściciela. Ogród zarósł chwastami, miniaturowe palmy i paprocie powysychały w doniczkach, na dziedzińcu, po którym kręciły się kury i psy, leżał koński nawóz i śmieci. W domu panował półmrok, wszystko było pokryte kurzem, od miesięcy nie odsuwano zasłon ani nie palono w kominkach. Wydawało się, że w niegościnnych salonach ktoś zatrasnął zimny powiew jesieni. Na powitanie Moncady nie wyszedł majordomus, zamiast niego pojawiła się Nuria, tak samo nieuprzejma i oschła co zawsze, i zaprowadziła go do biblioteki.

Ochmistrzyni próbowała zastąpić majordomusa i robiła, co mogła, aby utrzymać na powierzchni ten okręt, który lada chwila mógł zatonać, nie miała jednak posłuchu wśród reszty służby. Nie zbywała również gotówki, albowiem wszystko, co miały, do ostatniego maravedi, Juliana i Isabel odłożyły na przyszość. Z wekslami Eulalii de Callís, stanowiącymi ich jedyny posąg Diego poszedł do bankiera, którego ona sama im poleciła; ów skrupulatny i uczciwy człowiek wręczył mu równowartość w drogich kamieniach i złotych dublonach, radząc, aby dziewczęta zasyły swój skarb w halki. Wyjaśnił im, że przez wieki prześladowań Żydzi w ten sposób ratowali swe majątki, albowiem klejnoty można było łatwo przewozić i wszędzie były tyle samo warte. Juliana i Isabel nie mogły uwierzyć, że ta garść małych kolorowych kryształków mogła przedstawiać sobą cały dorobek ich rodziny.

Podczas gdy Rafael Moncada czekał w bibliotece pośród oprawnych w skórę książek, które jeszcze tak niedawno stanowiły prywatny świat Tomása de Romeu, Nuria poszła po Julianę, zmęczoną płaczem i modlitwami za duszę ojca. Dziewczyna była w swoim pokoju.

- Nie musisz rozmawiać z tym niegodziwcem, dziecino - poradziła jej ochmistrzyni. - Jeśli chcesz, mogę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł do diabła.

- Podaj mi tę wiśniową suknię i pomóż mi się uczesać, Nurio. Nie chcę, żeby mnie widział zrozpaczoną i w żałobie - odrzekła Juliana.

Pojawiła się w bibliotece tak olśniewająca, jak w swoich najlepszych czasach. W migotliwym blasku świec Rafael nie zauważył jej błości ani oczu zaczerwienionych od płaczu. Zerwał się na równe nogi, czując, że serce wali mu jak młotem i kolejny raz się przekonał, jak niewiarygodnie dziewczyna ta działa na jego zmysły. Spodziewał się ujrzeć ją cierpiącą, a tymczasem stała przed nim tak piękna, wyniosła i słodka jak zawsze. Z wrażenia aż zaniemówił, a kiedy udało mu się wreszcie wydobyć z siebie głos, wyznał, jak bardzo mu przykro z powodu straszliwej tragedii, jaka dotknęła jej rodzinę, i jeszcze raz powtórzył, że w poszukiwaniu pomocy dla don Tomasa poruszył niebo i ziemię, jednak jego wysiłki okazały się daremne. Wiadomo mu, dodał, że jego ciotka Eulalia poradziła jej, aby obie z siostrą wyjechały z Hiszpanii, jednak jemu nie wydaje się to konieczne. Jest przekonany, iż żelazny uścisk pięści, jakim Ferdynand VII dławi swoich przeciwników, wkrótce zelżeje. Kraj jest w ruinie, naród zbyt długo znosił przemoc i teraz woła o chleb, pracę i pokój. Zasugerował, aby od tej pory Juliana i Isabel używały wyłącznie nazwiska matki, albowiem nazwisko ich ojca raz na zawsze zostało splamione, i żeby na jakiś czas zeszyły ludziom z oczu, dopóki nie ucichną plotki wokół Tomása de Romeu. Może później będą mogły znowu pojawić się w towarzystwie. Tymczasem będą pod jego opieką.

- Co właściwie macie, panie, na myśli? - zapytała Juliana, przyjmując postawę obronną.

Moncada powtórzył jeszcze raz, że nic nie uczyniłoby go bardziej szczęśliwym, jak pojąć ją za żonę, i że jego oferta nadal jest aktualna, jednak w tych okolicznościach trzeba będzie kilka miesięcy poczekać. Muszą również przekonać Eulalię de Callís, która sprzeciwia się ich związkowi, nie jest to jednak problem nie do rozwiązania. Kiedy ciotka pozna Julianę lepiej, niewątpliwie zmieni zdanie.

Zakłada, że mając za sobą tak ciężkie przejścia, Juliana zastanowiła się nad swoją przyszłością. Mimo iż on na nią nie zasługuje - nie ma takiego mężczyzny, który w pełni by na nią zasługiwał - swoje życie i fortunę składa u jej stóp. Przy nim nigdy jej niczego nie zabraknie. Chociaż ślub trzeba odłożyć, może jej i jej siostrze zaoferować dobrobyt i bezpieczeństwo. Jego oferta to nie puste słowa, błaga, by zechciała należycie ją rozważyć.

- Nie proszę o natychmiastową odpowiedź. Rozumiem, że jesteście, pani, w żałobie i nie jest to może odpowiedni moment, aby mówić o miłości...

- Nigdy nie będziemy mówić o miłości, señor Moncada, ale możemy o interesach - przerwała mu Juliana. - To przez pański donos straciłam ojca.

Rafael Moncada poczuł, że krew uderza mu do głowy. Wziął głęboki oddech.

- Nie możecie mnie oskarżać o podobną nikczemność, pani! Wasz ojciec sam wykopał sobie grób. Wybaczam wam tę obelgę tylko dlatego, że zaślepiona bólem nie panujecie nad sobą.

- Jak zamierza pan zrekompensować mnie i mojej siostrze śmierć naszego ojca? - zapytała Juliana z gniewem, w pełni świadoma tego, co mówi.

Jej ton był tak pogardliwy, że Moncada całkiem stracił nad sobą panowanie i uznał, że nie warto nadal silić się na rycerskość. Widocznie ona należy do tych kobiet, które pokornieją, kiedy poczują nad sobą męską władzę. Chwycił ją za ramiona i mocno nią potrząsając, rzucił jej w twarz, że w sytuacji, w jakiej się znajduje, nie ma prawa stawiać żądań, powinna być mu wdzięczna za jego propozycję, czyż nie zdaje sobie sprawy, że razem z siostrą mogą skończyć na ulicy albo w więzieniu tak samo jak ten zdrajca jej ojciec; policja już się nimi interesuje i tylko jego skuteczna interwencja zapobiegła ich aresztowaniu, ale to może nastąpić każdej chwili, tylko on może je ocalić przed nędzą i więzieniem. Juliana próbowała się uwolnić i w trakcie szarpaniny rozerwał się rękaw jej sukni, odsłaniając ramię, i wysunęły się szpilki podtrzymujące kok na głowie. Jej czarne włosy opadły na dłonie Moncady. Nie mogąc nad sobą zapanować, mężczyzna zacisnął w garści pachnącą falę włosów, odciągnął głowę dziewczyny do tyłu i mocno pocałował ją w usta.

Zza uchylonych drzwi Diego od początku obserwował, co dzieje się w bibliotece, niczym zakłęcie powtarzając sobie w duchu radę mistrza Escalante, jakiej ten udzielił mu podczas pierwszej lekcji szermierki: nigdy nie należy walczyć w gniewie. Jednakże kiedy Moncada rzucił się na Julianę i siłą ją pocałował, nie wytrzymał i kipiąc z oburzenia, wpadł do środka ze szpadą w ręce.

Moncada puścił dziewczynę, popchnął ją na ścianę i dobył szpady. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie: mieli ugięte kolana, każdy z nich w prawej dłoni dzierżył szpadę, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do tułowia, drugie ramię zaś dla zachowania równowagi unosił w górę powyżej linii barków. W chwili gdy przyjął tę pozycję, Diego poczuł, że jego wściekłość ulatnia się i ogarnia go absolutny spokój. Wciągnął powietrze głęboko do płuc, wypuścił je i uśmiechnął się z satysfakcją. Nareszcie udało mu się zapanować nad swoją zapalczywością, czego od początku wymagał od niego mistrz Escalante. Nie ma mowy, aby stracił oddech. Spokój ducha, jasność myśli, pewność ramienia. Zimne ciarki, jakie przebiegały mu po plecach niczym podmuch zimowego wiatru, stanowiły zapowiedź euforii walki. W tym stanie umysł przestawał funkcjonować i ciało reagowało odruchowo. Celem ostrej szkoły, jaką Diego przeszedł w Sprawiedliwości, było doprowadzenie do tego, aby jego ruchami kierowały instynkt i zręczność. Kilka razy skrzyżowali szpady, wyczuwając się nawzajem, po czym Moncada wykonał pchnięcie z długim wypadem, które Diego odparował. Po pierwszych zwodach zorientował się, z jakiego rodzaju przeciwnikiem ma do czynienia. Moncada świetnie władał szpadą, jednak on był zwinniej szy i miał więcej praktyki; nie bez powodu na fechtunek poświęcał gros swego czasu. Zamiast ciosami odpowiedzieć na atak przeciwnika, udął niezdarność, cofając się w pozycji obronnej, aż oparł się plecami o ścianę. Odpierał uderzenia z pozornym wysiłkiem, na łapu-capu, jednak w rzeczywistości Moncada nie miał szans dosięgnąć go szpadą.

Później, analizując swoje postępowanie, Diego uświadomił sobie, że bynajmniej tego nie planując, zależnie od okoliczności i stroju, jaki ma na sobie, staje się dwiema różnymi osobami. Dzięki temu udawało mu się zmylić przeciwników. Wiedział, że Rafael Moncada nim pogardza, sam się o to postarał, udając przed nim zmanierowanego chłoptasia. Robiąc to, powodował się tym samym, co wobec Chevaliera i jego córki Agnès: przezornością. Kiedy pojedykował się z Moncadą, ten miał okazję przekonać się o jego odwadze, jednak urażona duma kazała mu o tym zapomnieć. Potem spotykali się przy różnych okazjach i za każdym razem Diego utwierdzał swego rywala w kiepskiej opinii, jaką tamten zdążył sobie wyrobić na jego temat, albowiem domyślał się, że jako przeciwnik Moncada nie będzie miał żadnych skrupułów. Teraz postanowił go pokonać raczej przebiegłością niż brawurą. Lisy, chcąc przyciągnąć uwagę koźląt - co obserwował na hacjendzie ojca - zwykły

wykonywać specjalny taniec; koźłeta podchodziły zaciekawione, a wtedy wystarczyła chwila nieuwagi, a kończyły jako ich ofiary. Błążując, Diego wyprowadzał Moncadę w pole. Do tej chwili nie zdawał sobie do końca sprawy ze swej podwójnej osobowości: z jednej strony Diego de la Vega - elegancki, afektowany goguś i hipochondryk, z drugiej zaś Zorro - nieustraszony, waleczny i kpiarz. Sam już nie wiedział, kim jest: czy żadną z tych osób, czy sumą ich obu. Przypuszczał, że jego prawdziwy charakter jest gdzieś pośrodku. Zadawał sobie pytanie, jakim widzą go na przykład Juliana i Isabel, i doszedł do wniosku, że może przesadził z tym udawaniem i mają go za komedianta. Jednak nie było czasu na roztrząsanie tych wątpliwości, gdyż życie mu się skomplikowało i musiał działać. Przyjął, że jest dwiema osobami naraz i postanowił obrócić to na swoją korzyść.

Pośród deszczu ciosów i błysków stali Diego biegał między meblami biblioteki, że niby ucieka przed atakami Moncady, prowokując go jednocześnie ironicznymi uwagami. Udało mu się doprowadzić tamtego do szału. Rafael stracił opanowanie, którym tak się szczycił, i zaczął ciężko dyszeć. Ściekający z czoła pot zalewał mu oczy. Niczym byka na arenie najpierw trzeba go było zmęczyć. Diego uznał, że ma go już w ręku.

- Ostrożnie, Ekscelencjo, może pan kogoś zranić tą szpadą! - zawołał.

W tym czasie Juliana zdążyła już nieco dojść do siebie i zaczęła ich głośno błagać, aby - na miłość boską - z uwagi na pamięć jej ojca opuścili broń. Diego wykonał jeszcze kilka pchnięć, po czym odrzucił broń i podniósł ręce nad głowę, prosząc o litość. Było to posunięcie ryzykowne, sądził jednak, że Moncada nie zabije bezbronnego człowieka na oczach Juliany, tymczasem jego przeciwnik całym impetem rzucił się na niego z okrzykiem triumfu. Diego uchylił się przed ostrzem, które musnęło mu biodro, i dwoma skokami dopadł okna, kryjąc się za ciężką pluszową zasłoną sięgającą aż do podłogi. Wzbijając chmurę kurzu, szpada Moncady przeszła tkaninę, ale się w nią zaplątała. Zanim zdążył wyciągnąć broń, Diego zarzucił mu kotarę na głowę, a sam wskoczył na mahoniowy stół. Chwył jakąś księgę oprawną w skórę i cisnął w przeciwnika, uderzając go w pierś. Mało brakowało, aby Moncada się przewrócił, jednak wyprostował się szybko i ponownie ruszył do natarcia. Diego umykał przed jego ciosami, posyłając w jego stronę jeszcze kilka książek, po czym rzucił się na podłogę i wczółgał pod stół.

- Litości, litości! Nie chcę ginąć jak kurczak! - jęczał drwiącym tonem, kuląc się pod stołem i trzymając w rękach książkę, którą osłaniał się jak tarczą przed atakującym go z furią przeciwnikiem.

Obok krzesła stała laska z marmurową rączką, na której Tomás de Romeu opierał się podczas swoich ataków podagry. Diego chwycił za nią i zahaczył Moncadę za kostkę. Pociągnął mocno i tamten usiadł raptownie na ziemi, ponieważ jednak był bardzo sprawny fizycznie, w jednej sekundzie poderwał się na równe nogi i znów ruszył do ataku. Tymczasem krzyki Juliany ściągnęły do biblioteki Isabel i Nurię. Isabel jednym spojrzeniem oceniła sytuację i sądząc, że Diego jest już w drodze na tamten świat, sięgnęła po jego szpadę, która kilka chwil wcześniej przefrunęła na drugą stronę pokoju, i bez wahania stanęła przed Moncadą. Pierwszy raz miała okazję wypraktykować umiejętność nabytą podczas czterech lat ćwiczenia szermierki przed lustrem.

- En garde - wyzwała go w euforii.

Rafael Moncada instynktownie wykonał pchnięcie, przekonany, że rozbroi ją pierwszym ciosem, jednak napotkał na zdecydowany opór. Wówczas - zdając sobie sprawę z szaleństwa, jakim była walka z dziewczynką, a tym bardziej z siostrą kobiety, którą zamierzał zdobyć - pomimo zaślepiącej go wściekłości wypuścił broń, która bezgłośnie upadła na dywan.

- Zamierza mnie pani zabić z zimną krwią, Isabel? - zapytał ironicznie.

- Podnieś szpadę, tchórze!

W odpowiedzi skrzyżował ręce na piersi, uśmiechając się pogardliwie.

- Isabel! Co robisz?! - wtrąciła się przestraszona Juliana.

Siostra zignorowała ją. Przyłożyła czubek szpady do podbródka Rafaela Moncady, lecz nie wiedziała, co dalej. Śmieszność tej sceny dotarła do niej w całej rozciągłości.

- Przebicie grdyki temu kawalerowi, na co niewątpliwie zasługuje, może ściągnąć na ciebie niejakie kłopoty natury prawnej, Isabel. Nie można ot tak chodzić sobie po świecie i zabijać ludzi na lewo i prawo. Coś jednak musimy z nim zrobić... - wtrącił Diego, wyciągając z rękawa chusteczkę i potrząsając nią w powietrzu, a następnie ocierając nią czoło afektowanym gestem.

Tych kilka sekund nieuwagi tamtych wystarczyło Moncadzie, aby chwycić Isabel za ramię i wykręcić je, zmuszając dziewczynę do wypuszczenia broni. Odepchnął ją tak silnie, że zatoczyła się daleko, uderzając głową o stół. Upadła na ziemię nieco zamroczona, a tymczasem Moncada podniósł jej szpadę i natarł na Diega, który cofał się najszybciej jak mógł, robiąc uniki przed kolejnymi pchnięciami wroga i szukając sposobu, żeby go rozbroić i zmusić do walki wręcz. Isabel prędko oprzytomniała,

chwyciła szpadę Moncady i z okrzykiem „Łap!” rzuciła ją Diegowi, któremu udało się schwytać jawnocie. Ubrojony poczuł się pewnie i przybrał szyderczą postawę, co wcześniej tak wyprowadzało Moncada z równowagi. Szybkim pchnięciem zranił go w lewe ramię; było to zaledwie draśnięcie, jednak wymierzone dokładnie w to miejsce, w jakie sam został postrzelony podczas pojedynku. Moncada wydał okrzyk zaskoczenia i bólu.

- Teraz jesteście kwita - powiedział Diego i wrzuceniem wytrącił mu broń.

Wróg zdany był na jego łaskę. Prawą ręką trzymał się za zranione ramię, przyciskając ją do przeciętego rękawa surduta, na którym pojawiła się już strużka krwi. Raczej z wściekłości niż ze strachu mienił się na twarzy. Diego przytknął mu do piersi szpadę, jakby zamierzał nią go przeszyć, zamiast tego jednak tylko się uśmiechnął.

- Drugi raz mam przyjemność darować panu życie, señor Moncada. Pierwszy raz było to podczas naszego pamiętnego pojedynku. Mam nadzieję, że nie wejdzie mi to w nawyk - powiedział, opuszczając broń.

Zarówno Diego, jak i siostry de Romeu zdawali sobie sprawę, że groźba Moncady jest realna i królewscy siepacze mogą pojawić się w domu w każdej chwili. Przyszedł czas, by wyruszyć w drogę. Nie musieli nad tym zbytnio dyskutować. Byli przygotowani na taką ewentualność, od kiedy Eulalia wykupiła posiadłości rodziny de Romeu, a don Tomas został stracony, jednak sądzili, że wyjdą głównymi drzwiami, a tymczasem musieli uciekać jak jacyś złoczyńcy. Dali sobie pół godziny na opuszczenie domu. Postanowili, że wezmą tylko złoto i drogie kamienie; idąc za radą bankiera, dziewczęta i Nuria pozaszywały kosztowności w halki marszczone w talii, ukryte pod ubraniem. Nuria wymyśliła, aby zamknąć Moncadę w sekretnym pokoiku za biblioteką. Wyjęła z regału jedną z książek, pociągnęła za jakąś dzwignię i regał obrócił się powoli wokół własnej osi, ukazując wejście do przyległego pomieszczenia, o którego istnieniu Juliana i Isabel nie miały najmniejszego pojęcia.

- Wasz ojciec miał swoje tajemnice, ale nie było takiej, o której bym nie wiedziała - wyjaśniła.

Był to niewielki pokoik bez okien, oprócz drzwi schowanych za regalem nie miał innego wyjścia na zewnątrz. Zapaliwszy lampę, w środku ujrzeli skrzynie z butelkami koniaku i ulubionymi cygarami pana domu, regały z książkami, a na ścianach jakieś dziwne obrazy. Podeszedłszy bliżej, stwierdzili, że to kolekcja sześciu rysunków tuszem - której Tomás de Romeu nigdy nie chciał pokazać swoim córkom - przedstawiających najokrutniejsze sceny wojenne: ćwiartowanie, gwałty, a nawet akty kanibalizmu.

- Coś przerażającego! - zawołała Juliana.

- Namalował je maestro Goya! To jest dużo warte, możemy je sprzedać - powiedziała Isabel.

- Nie są nasze. Wszystko, co jest w tym domu, należy teraz do doñi Eulalii de Callís - przypomniała jej siostra.

Wszystkie książki na półkach sekretnego pokoiku - w różnych językach - należały do dzieł zakazanych, znajdowały się na czarnej liście Kościoła albo rządu. Diego wziął do ręki pierwszy z brzegu tom i okazało się, że to ilustrowana historia inkwizycji z wielce realistycznymi rysunkami ukazującymi rozliczne wymyślne tortury. Zamknął go od razu, zanim Isabel, która już zaglądała mu przez ramię, zdążyła zapuścić w niego wzrok. Część książek dotyczyła erotyzmu, jednak nie było czasu wgłębiać się w ten temat. Hermetyczny pokoik był doskonałym miejscem do uwięzienia Rafaela Moncady.

- Czyście rozum stracili? Umrę tu z wycieńczenia albo uduszę się z braku powietrza! - zawołał tamten, pojawiając się ich podstępne zamiary.

- Jego Eksceleńcja ma słuszość, Nurio. Taki dystyngowany kawaler jak on nie przeżyje, żywiąc się jedynie alkoholem i tytoniem. Przynieście mu z kuchni kawał szynki, żeby nie był głodny, i jakiś ręcznik, żeby opatrzyć mu ramię - powiedział Diego, popychając swego rywala do pokoiku.

- Jak ja stąd wyjdę? - wyjęczał przerażony jeniec.

- Zapewne jest tu jakiś tajny mechanizm pozwalający otworzyć drzwi od wewnątrz. Na znalezienie go będziecie mieli, panie, czasu aż nadto. Trochę sprytu i szczęścia, a nim zapieje kur, będziecie wolni - uśmiechnął się Diego.

- Zostawimy wam lampę, señor Moncada, ale nie radzę wam jej zapalać, gdyż zużyje całe powietrze. Jak myślisz, Diego, jak długo jedna osoba może tu przeżyć? - dodała Isabel zachwycona tym pomysłem.

- Kilka dni. Wystarczająco długo, żeby dogłębnie rozważyć mądre przysłowie mówiące, iż cel nie uświęca środków - odparł Diego.

Zostawili Rafaelowi Moncadzie zapas wody, chleba i szynki, następnie Nuria oczyściła i obwiązała mu zranione ramię. „Niestety, przez takie nic nieznaczące skaleczenie na pewno się nie wykrwawi”, stwierdziła Isabel. Poradzili mu, żeby nie marnował powietrza i sił na krzyki, albowiem i tak nikt go nie usłyszy, nieliczni służący, jacy jeszcze zostali, nie zbliżają się do tej części domu. Ostatnie słowa więźnia, które zdążył wypowiedzieć, zanim regał z książkami ponownie się obrócił, zamykając drzwi do pokoiku, i zanim pogrążył się w ciszy i ciemnościach, brzmiały, iż jeszcze się przekonają, kim jest Rafael Moncada, jeszcze pożałują, że go nie zabili, że wydostanie się z tej dziury i wcześniej czy później znajdzie Julianę, choćby miał ją ścigać aż do samych piekieł.

- Nie trzeba będzie szukać aż tak daleko, wyruszamy do Kalifornii - pożegnał go Diego.

Przykro mi, ale muszę was poinformować, że nie mogę teraz pisać dalej, albowiem skończyły mi się gęsie pióra, jakich zawsze używam, ale już zamówiłam następne i wkrótce będę mogła dokończyć tę historię. Nie lubię piór zwykłych ptaków, bo robią kleksy na papierze i odbierają tekstowi elegancję. Słyszałam, że niektórzy wynalazcy marzą o stworzeniu jakiegoś mechanicznego urządzenia do pisania, jednak jestem pewna, że taki dziwaczny wynalazek nigdy nie odniesie sukcesu. Pewnych czynności nie można zmechanizować, wymagają bowiem dopieszczenia, a pisanie jest jednym z nich.

Obawiam się, że opowieść ta trochę mi się wydłużyła, mimo że i tak wiele w niej opuściłam. W życiu Zorro, jak w życiu wszystkich ludzi, są chwile jasne i ciemne, ale między tymi skrajnościami jest wiele stref pośrednich. Zauważyliście na przykład, że rok 1813 przyniósł naszemu bohaterowi bardzo mało wydarzeń godnych zapamiętania. Bez większych wzlotów i upadków zajmował się swoimi sprawami i w podboju Juliany nie posunął się ani o krok. Aby ta historia znów nabrała pewnej dynamiki, ze swej czekoladowej odysei musiał wrócić Rafael Moncada. Jak już wspomniałam, bohaterowie określani mianem czarnych charakterów, tak niemile widziani w realnym życiu, w powieści okazują się nieodzowni, co potwierdzają niniejsze strony. Początkowo postanowiłam napisać kronikę czy też biografię, jednak nie udaje mi się opowiedzieć legendy Zorro, nie popadając w pogardzany gatunek powieści. Między jedną jego przygodą a drugą upływały długie okresy, w których nie działo się nic ciekawego i które pominęłam, aby nie zanudzić na śmierć moich czytelników. Z tego samego powodu jeszcze ubarwiłam epizody warte zapamiętania, hojną ręką sypnęłam przymiotnikami i dodałam suspensu, chociaż nie przesadziłam zbytnio, opisując jego wyczyny i chwalebne cnoty. Nazywają to licencja literańa i, jak rozumiem, takie postępowanie łatwiej się wybacza niż zwykłe kłamstwo.

W każdym razie, drodzy przyjaciele, w kałamarzu zostało mi jeszcze sporo inkaustu. Na kolejnych stronach, których - jak oceniam - będzie nie mniej niż sto, opowiem o podróży Zorro z siostrami de Romeu i Nurią przez pół świata i o niebezpieczeństwach, z jakimi się zmierzili, aby spełnić się to, co było im przeznaczone. Bez obawy, że popsuję zakończenie, mogę was uprzedzić, że przeżyją cało i zdrowo i przynajmniej niektórzy z nich dotrą do Górnej Kalifornii, gdzie niestety nie wszystko pójdzie jak po maśle. Właściwie dopiero tam rozpoczyna się prawdziwa epopeja Zorro, która przyniosła mu sławę na całym świecie. Tak więc proszę was o jeszcze trochę cierpliwości.

Część czwarta - Hiszpania (koniec 1814 - początek 1815).

Zdobyłam nowe gęsie pióra, mogę więc kontynuować opowieść o młodości Zorro. Minął miesiąc, nim dotarli do mnie z Meksyku, a tymczasem wybiłam się z rytmu pracy. Zobaczmy, czy uda mi się go odzyskać. Pozostawiliśmy Diega de la Vegę w chwili, gdy wraz z siostrami de Romeu i Nurią ucieka przed Rafaelem Moncadą z Hiszpanii, gdzie trwają prześladowania polityczne i terror. Nasi bohaterowie znaleźli się na niebezpiecznym zakręcie drogi swego życia, jednak zakochanemu Zorro nie spędzały snu z powiek zagrożenia z zewnątrz, lecz drgnienia jego wiernego serca. Stan zakochania przyćmiewa zwykle męskie umysły, ale to nic groźnego; zazwyczaj wystarczy, że uczucia nieszczęśnika zostaną odwzajemnione, a ten odzyskuje rozum i nawet zaczyna węszyć w powietrzu w poszukiwaniu nowej ofiary. Jako kronikarka tej historii będę miała niejaki kłopoty z klasycznym zakończeniem w stylu „i żyli długo i szczęśliwie”. Nic to, wróćmy lepiej do pisania, zanim popadnę w przygnębienie.

Drzwi ukryte za regałem biblioteki zatrzasnęły się i Rafael Moncada został zamknięty w sekretnym pokoiku. Jego wołanie o pomoc nie docierało na zewnątrz, albowiem grube ściany, książki, zasłony i dywany tłumiły głos.

- Wyjedziemy stąd, jak zaczniesz się ściemniać - powiedział Diego de la Vega. - Weźmiemy na drogę tylko to, co najniezbędniejsze, tak jak uzgodniliśmy.

- Jesteś pewien, że istnieje jakiś mechanizm pozwalający otworzyć drzwi pokoiku od środka? - spytała Juliana.

- Nie.

- Posuwasz się za daleko, Diego. Nie możemy brać na swoje sumienie śmierci Rafaela Moncady, i to jeszcze śmierci tak powolnej i okrutnej - w hermetycznym grobie.

- Należy mu się za tę krzywdę, jaką nam wyrządził! - zawołała Isabel.

- Nie będziemy mu odpłacać tą samą monetą - odparła krótko Juliana.

- Nie martw się, Juliano, twój adorator tam się nie udusi - roześmiał się Diego.

- A czemu nie? - zdziwiła się Isabel.

Diego dał jej kuksańca i oznajmił, że zanim wyjadą, poproszą Jordiego, aby za dwa dni do rąk własnych Eulalii de Callís przekazał kopertę. Będą tam klucze do domu oraz instrukcja, jak znaleźć i otworzyć pokoi. Gdyby Rafaelowi nie udało się samemu wydostać, uratuje go ciotka. Ten dom, podobnie jak cała reszta dóbr rodziny de Romeu, należy teraz do owej damy, która pospieszy ukochanemu bratankowi na pomoc, zanim ten zdąży wysączyć cały koniak. Żeby mieć pewność, że Jordi nie zawiedzie, dadzą mu kilka maravedies, a zapewne doña Eulalia wynagrodzi go jeszcze hojniej.

Wyjechali nocą. Juliana i Isabel z powozu rzuciły ostatnie pożegnalne spojrzenie na rodzinny dom, w którym upłynęło im całe ich dotychczasowe życie. Pozostawiały za sobą wspomnienia bezpiecznych i szczęśliwych dni oraz wszystkie świadectwa pobytu ich ojca na ziemi. Córki nie mogły go godnie pochować, jego doczesne szczątki spoczęły w zbiorowym grobie obok ciał innych więźniów rozstrzelanych w Cytadeli. Jedyne, co zachowały, to miniaturowy portret ojca pędzla jakiegoś katalońskiego artysty; wyglądał na nim tak młodo i szczupło, że był nie do poznania. Wszystkie trzy zdawały sobie sprawę, że raz na zawsze przekroczyły próg tego domu i że w tym momencie w ich życiu rozpoczyna się nowy etap. Jechały w milczeniu, zaleknione i smutne. Nuria półgłosem zaczęła odmawiać różaniec; dziewczęta przez jakiś czas wsłuchiwały się w uspokajającą kadencję modlitwy, aż w końcu zasnęły.

Siedzący na koźle Diego poganiał konie i, jak prawie co dzień, myślał o Bernardzie. Tęsknił za nim tak bardzo, że często łapał się na tym, iż mówi do niego i zamiast niego, jak to robił zawsze, gdy byli razem. Milcząca obecność brata, który stał za nim murem i strzegł przed wszelkimi niebezpieczeństwami, była dokładnie tym, czego Diego najbardziej potrzebował. Zadawał sobie pytanie, czy jest w stanie pomóc siostrze de Romeu, czy też może wiedzie je na zatracenie. Pomysł, aby na własną rękę przebyć całą Hiszpanię, mógł się okazać czystym szaleństwem. Podobnie jak jego towarzyszyki był po prostu wystraszony. Nie był to ów dobrze mu znany, rozkoszny lęk poprzedzający walkę - owa zaciśnięta pięść w żołądku, ów lodowaty chłód na karku - lecz przygniatający ciężar odpowiedzialności, na który nie był przygotowany. Gdyby coś się stało tym kobietom, a zwłaszcza Julianie... Nie, wolał nie myśleć o takiej ewentualności. Krzyknął, wzywając na pomoc Bernarda i babcię Białą Sowę, jednak jego głos zaginął w nocnych ciemnościach, zagłuszony przez szum wiatru i stukot końskich kopyt. Wiedział, że Rafael Moncada będzie ich szukał w Madrycie i innych ważniejszych miastach, że każe pilnować granicy z Francją i sprawdzać każdy statek odpływający z Barcelony czy z jakiegokolwiek innego portu nad Morzem Śródziemnym, zakładał jednak, że jego rywal nie wpadnie na to, aby ich szukać na przeciwległym wybrzeżu. Odpływając do Ameryki z La Coruñi nad Atlantyką zamierzał wywieść Moncadę w pole; nikt będący przy zdrowych zmysłach, mając zamiar uciec z Hiszpanii na statku, nie kierowałby się z Barcelony na zachód. Trudno będzie znaleźć kapitana, który zechce nadstawić karku, udzielając schronienia ludziom uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości, zwróciła mu uwagę Juliana, jednak nic innego nie przyszło mu do głowy. Jeszcze się zastanowi, jak rozwiązać problem z przepłynięciem oceanu, najpierw musi pokonać przeszkody na stałym lądzie. Postanowił, że w ciągu najbliższych godzin odjadą najdalej jak to możliwe, po czym pozbędą się powozu, gdyż ktoś mógł widzieć, jak opuszczali Barcelonę.

Po północy Diego uznał, że są już wystarczająco daleko od miasta, aby trochę odpocząć, zwłaszcza że konie zaczęły wyglądać na zmęczone. W świetle księżyca zjechał z drogi i skierował powóz w stronę lasu, gdzie wyprzągnął zwierzęta i puścił na popas. Noc była jasna i chłodna. Cała

czwórka przespała się w powozie, okryta pledami. Po kilku godzinach, kiedy jeszcze było ciemno, Diego obudził swoje towarzyski i wspólnie posilili się chlebem i kiełbasą. Następnie Nuria rozdała im ubrania, jakie mieli nosić przez resztę podróży: pątnicze habity, które sama poszyła na wypadek, gdyby święty Jakub z Composteli zechciał Tomasowi de Romeu ocalić życie. Na strój składały się tuniki do połowy łydki, kapelusze z szerokim rondem oraz długie kostury czy też żerdzie o zakrzywionych końcach, na których można było zawiesić tykwę z wodą. Dla ochrony przed zimnem kobiety założyły ciepłe halki oraz pończochy i rękawiczki z grubej wełny. Ponadto Nuria wzięła ze sobą kilka butelek mocnego trunku, wielce przydatnego do odpędzania trosk. Ochmistrzyni nigdy nie przypuszczała, że owe proste ubrania okażą się im przydatne w takich smutnych okolicznościach, ani tym bardziej że ona spełni obietnicę złożoną świętemu, mimo iż ten nie dotrzymał swojej części umowy. Uznała, że jest to drwina niegodna osoby tak poważnej jak apostoł Jakub, sądziła jednak, że musi w tym być jakiś ukryty cel, który w odpowiednim momencie zostanie jej objawiony. Początkowo pomysł Diega wydał się jej sprytny, jednak kiedy rzuciła okiem na mapę, zdała sobie sprawę, co to znaczy pieszo przemierzyć Hiszpanię w jej najszerszym miejscu. To nie był spacer, tylko wielka wyprawa. Czekali ich co najmniej dwa miesiące marszu, podczas którego żywić mieli się tym, co zdołają wyżebrać u dobrych ludzi, a spać pod gwiazdami. W dodatku był listopad, często padały deszcze i już wkrótce miały nadejść poranne przymrozki. Żadne z nich nie nawykło do długich pieszych wędrówek, a tym bardziej w chłopskich sandałach. Nuria nie wytrzymała i przez zaciśnięte zęby zaczęła ubliżać świętemu Jakubowi, przy okazji wygarniając Diegowi, co myśli o tej niedorzecznej pielgrzymce.

Kiedy przebrali się i zjedli śniadanie, Diego ukrył powóz w lesie. Każde wzięło swoje rzeczy, owinęło je w pled i taki tobolek przywiązało sobie na plecach, resztą bagażu objuczono konie. Isabel miała pod ubraniem pistolet ojca. Diego w swoim toboleku niósł strój Zorro, którego nie potrafił wyrzucić, pod tuniką zaś miał dwa baskijskie obosieczne sztylety długości dłoni. U pasa jak zawsze zwiślał mu bat. Ze szpadą, którą podarował mu ojciec i z którą do tej pory nigdy się nie rozstawał, musiał się pożegnać, albowiem nie miał jej gdzie schować. Pątnicy nie nosili broni. Na drogach roiło się od łotrów wszelkiego autoramentu, jednak zazwyczaj nie interesowali ich wędrowcy udający się do Composteli, jako że ci na czas podróży składali śluby ubóstwa. Nikt by się nie domyślił, iż owi skromni pielgrzymi mają zaszytą w ubraniu sporą fortunę w drogich kamieniach.

W niczym się nie odróżniali od prawdziwych pątników, zamierzających paść na twarz przed sławnym świętym Jakubem, któremu przypisywano cudowne ocalenie Hiszpanii przed muzułmańskim najeźdźcą. Przez całe wieki Arabowie z imieniem niepokonanego Mahometa na ustach wychodzili zwycięsko ze wszystkich bitew, dopóki jakiś pasterz nie znalazł przypadkiem na galisyjskim polu kości świętego Jakuba. To, jak tam z Ziemi Świętej dotarli, też było cudem. Relikwia zdołała zjednoczyć małe chrześcijańskie królestwa tego regionu i dzięki temu waleczni Hiszpanie wyrzucili Maurów i odzyskali dla chrześcijaństwa podbite przez nich ziemie. Santiago de Compostela stało się najważniejszym celem pielgrzymek w Europie. Tak przynajmniej brzmiała opowieść Nurii, tyle że nieco ubarwiona. Ochmistrzyni wierzyła, że głowa apostoła pozostała nietknięta i w każdy Wielki Piątek płacze prawdziwymi łzami. Rzekome szczątki pierwotnie spoczywały w srebrnej trumnie pod głównym ołtarzem katedry, jednak swojego czasu, pragnąc je uchronić przed zakusami pirata Francisa Drake'a, pewien biskup kazał je stamtąd zabrać, dobrze ukryć i dość długo nie można ich było znaleźć. Dlatego też, a także z powodu wojny i upadku wiary, liczba pielgrzymów, która wcześniej sięgała setek tysięcy, ostatnio zmalała. Przybysze z Francji obierali północny szlak biegnący przez Kraj Basków, i tą właśnie drogą ruszyli nasi przyjaciele. Od wieków schronienie i jadło pątnicy znajdowali w kościołach, klasztorach, przytułkach, a nawet u najbiedniejszych chłopów. Owa tradycyjna gościnność była okolicznością bardzo korzystną dla Diega i jego towarzyszek, albowiem nie musieli dźwigać ze sobą zapasów. Chociaż o tej porze roku pątnicy byli rzadkością - większość pielgrzymów wolała podróżować wiosną i latem - zbiegowie mieli nadzieję, że ich obecność nie będzie nikogo dziwiła, albowiem odkąd Francuzi wycofali się z kraju, zapał religijny Hiszpanów znowu wzrósł, gdyż wielu z nich ślubowało odwiedzić świętego, jeśli wygrają wojnę.

Gdy wrócili na drogę i ruszyli przed siebie, zaczęło świtać. Zdążyli tego dnia przejść ponad pięć staj, kiedy Juliana i Nuria dały za wygraną, albowiem miały pokrwawione stopy i umierały z głodu. Około czwartej po południu zatrzymali się w jakiejś chłopskiej chacie; jej właścicielka, jak się okazało, straciła na wojnie męża. Powiedziała im, że mąż nie zginął z rąk Francuzów, lecz brutalnie zamordowany przez Hiszpanów, którzy oskarżyli go o to, że ukrywa przed partyzantami jedzenie. Wiedziała, kim są zabójcy, dobrze widziała ich twarze; byli to tacy sami chłopci jak ona, tyle że korzystając z wojennego chaosu wychodzili na rozbój. To nie byli żadni partyzanci, tylko przestępcy, zgwałcili jej biedną córkę, wariatkę od urodzenia, która nigdy nikomu nie zrobiła nic złego, i uprowadzili zwierzęta. Uratowała się tylko jedna koza, która w tym czasie biegała po wzgórzach. Jeden z nich miał nos zżarty syfilisem, drugi zaś długą bliznę na twarzy, pamięta ich bardzo dobrze i

nie ma dnia, żeby ich nie przeklinała i nie wołała o pomstę do nieba. Jej jedyne towarzystwo stanowiła córka, którą trzymała przywiązana do krzesła, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. W chacie - niskiej, cuchnącej i pozbawionej okien konstrukcji z kamienia i gliny - była jeszcze sfora psów. Kobieta miała bardzo niewiele do zaoferowania i była zmęczona nieustannymi wizytami żebraków, jednak przyjęła podróżnych pod swój dach. Przez to, że świętemu Józefowi i Najświętszej Panience odmówiono gościny, Dzieciątko Jezus urodziło się w żłobie, powiedziała. Wierzyła, że za odmówienie pielgrzymowi noclegu grożą setki lat męki czyścicowej. Wędrowcy usiedli na klepisku w otoczeniu zapchlonych psów, żeby nieco odpocząć po trudach podróży, a tymczasem kobieta upiekła w żarze kilka ziemniaków i wyrwała parę cebul ze swego nędznego ogródka.

- To wszystko co mam. Od miesiący nie jemy nic innego, ale jutro rano może uda mi się wydoić kozę - powiedziała.

- Bóg wam zapłać, señora - wyszeptał Diego.

Do wnętrza chaty wpadało nieco światła przez otwór w drzwiach, zasłaniany na noc sztywną końską skórą, a teraz rozjaśniał je dodatkowo blask żaru, w którym piekły się ziemniaki. Podczas gdy podróżni posilali się skromną strawą, chłopka przyglądała im się z ukosa kaprawymi oczkami. Patrzyła na ich białe i delikatne ręce, szlachetne oblicza, szczupłe sylwetki, przypomniała sobie, że mają ze sobą dwa konie, i wyciągnęła wnioski. Nie chciała wypytować ich o szczegóły, pomyślała, że im mniej wie, tym na mniej problemów się naraża, to nie były czasy na zadawanie zbyt wielu pytań. Kiedy goście skończyli jeść, pożyczyła im kilka kieszko wyprawionych jagnięcych skór i zaprowadziła do szopy, w której trzymała drewno na opał i kolby kukurydzy. Tam sobie posłali. Nuria stwierdziła, że szopa jest znacznie przytulniejsza niż wnętrze chaty wypełnionej smrodem psów i rykami wariatki. Rozdzielili między siebie skóry i zaczęli układać się do snu; starali się umościć jak najwygodniej, by się przygotować na długą noc. Niespodziewanie chłopka pojawiła się w szopie ponownie, przynosząc naczynko z tłuszczem, radząc, aby sobie posmarowali nim obtarte stopy. Przez chwilę przyglądała się zmęczonym wędrowcom z mieszaniną nieufności i zaciekawienia.

- Zadni z was pielgrzymi. Widać, żeście lepsze państwo. Nie chcę wiedzieć, przed czym uciekacie, ale dam wam za darmo jedną radę. Na tych drogach roi się od łotrów. Nikomu nie wierzcie. A panienki to niech sobie chociaż twarze zasłonią - dodała, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła.

Diego nie wiedział, jak oszczędzić kobietom niewygód, zwłaszcza tej, na której najbardziej mu zależało. Tomás de Romeu powierzył mu swoje córki, a on dopuścił do tego, że znalazły się, biedactwa, w takich warunkach. Przyzwyczajone do materaca z piór i haftowanej pościeli, teraz układały się do snu na stosie kolb kukurydzy i drapały się obiema rękami, kąsane przez pchły. Zachowanie Juliany było godne podziwu, przez cały ten ciężki dzień ani razu się nie poskarżyła, a nawet bez grymasów zjadła na kolację surową cebulę. Gwoli sprawiedliwości musiał przyznać, że Nuria również nawet się nie skrzywiła, co zaś do Isabel, no cóż, ta wyglądała na zachwyconą całą tą przygodą. Czułość, jaką Diego je darzył, jeszcze przybrała na sile, kiedy zobaczył, jakie są kruche i zarazem dzielne. Ogarnęła go fala bezmiernej tkliwości oraz ogromne pragnienie, aby im ulżyć w niedoli, osłonić przed zimnem, zapewnić bezpieczeństwo. Nie tyle martwił się o Isabel, która miała wytrzymałość młodej klaczy, i o Nurię, która wzmacniała się łykami trunku, co o Julianę. Mimo iż miała na nogach wełniane pończochy, chłopskie sandały narobiły jej odcisków na stopach, a szorstki habit do czerwoności otarł jej skórę. A o czym wtedy myślała Juliana? Tego nie wiem, ale wyobrażam sobie, że w nikłym świetle wieczoru Diego wydał jej się przystojny. Od kilku dni się nie golił i ciemny cień zarostu nadawał mu surowy i męski wygląd. Nie był już tamtym niezgrabnym, narwanym, chudym młodziekiem o roześmianej twarzy i odstających uszach, który przed czterema laty pojawił się w ich domu. Teraz był mężczyzną, za kilka miesięcy miał skończyć dwadzieścia lat, które przeżył intensywnie. Prezentował się wcale nieźle, nabrał ciała i pewności siebie, a do tego jeszcze kochał ją wzruszającą i szczeniacką miłością. A Juliana przecież nie była z kamienia. Leczniczy tłuszcz dostarczył Diegowi pretekstu, aby przez dłuższą chwilę pieścił stopy ukochanej, a przy okazji oderwać się od swych ponurych myśli. Wkrótce jego figlarna natura wzięła w nim górę i zaproponował, że wymasuje jej również łydki. „Nie bądź zbereźnikiem, Diego” - skarciła go Isabel, sprawiając, iż urok tej chwili w mgnieniu oka przysł jak bańka mydlana.

Siostry usnęły, a on powrócił do swych niewesołych myśli i rozpamiętywać. Doszedł do wniosku, że ta podróż, choć męcząca i niebezpieczna, niesie ze sobą pewne korzyści dla niego. Rafael Moncada i inni ewentualni pretendenci do ręki Juliany wypadli z gry, nareszcie miał wszelkie dane po temu, aby zdobyć serce urodziwej dziewczyny. Oto leżała w odległości niespełna łokcia od niego, wyczerpana, brudna, obolała i krucha. Mógł wyciągnąć rękę i dotknąć jej zaróżowionego od snu policzka, ale nie śmiał tego zrobić. Mógłby spędzić obok niej całą noc, jak małżonek, który ślubował czystość, i dzielić z nią każdą chwilę dnia. Poza nim Juliana nie miała na tym świecie nikogo, kto by się nią zaopiekował, a to dawało mu ogromne szanse. Oczywiście nigdy by jej nie wykorzystał - jest wszak dżentelmenem -

jednak nie mógł nie zauważyć, że wystarczył jeden dzień, a nastąpiła w niej jakaś zmiana. Juliana patrzyła na niego innymi oczami. Zwinięta w kłębek, dygocąc, cała nakryła się jagnięcymi skórami w kącie szopy, lecz po chwili zrobiło się jej cieplej i wysunęła głowę do połowy, starając się ułożyć ją jak najwygodniej na kolbach kukurydzy. Przez szczeliny w deskach wpadał niebieski księżycowy blask i oświetlał jej doskonale piękną twarz. Diego pragnął w tej chwili, aby ta pielgrzymka nigdy się nie skończyła. Przysunął się tak blisko, że czuł ciepło oddechu Juliany i zapach ciemnych włosów. Pocziwa wieśniaczka miała rację, trzeba ukryć jej urodę, żeby nie kusić losu. Gdyby zostali napadnięci przez jakąś bandę, on sam nie zdołałby jej obronić, nie miał wszak nawet szpady. Miał aż nadto powodów do zmartwienia, niemniej jednak nie było nic grzesznego w tym, aby uwolnić wyobraźnię, w związku z czym z upodobaniem zaczął wyobrażać sobie tę niewinną dziewczynę narażoną na straszliwe niebezpieczeństwa i raz po raz ratowaną przez niezwycięzonego Zorro. Jeśli teraz jej w sobie nie rozkocham, to będzie znaczyło, że jestem skończonym bałwanem, pomyślał sobie w duchu.

Julianę i Isabel obudziło pianie koguta i poszturchiwanie Nurii, która zdobyła dla nich kubek mleka prosto od kozy. Ona i Diego nie spali tak smacznie jak dziewczęta. Nuria modliła się długie godziny, z przerażeniem myśląc o przyszłości, Diego zaś był zbyt poruszony bliskością Juliany. Z jednym okiem otwartym i z ręką na sztylcie gotów bronić dziewczyny przeleżał długie godziny, dopóki nieśmiały chłodny świt nie zakończył owej bezkresnej nocy. Podróżni zbierali się do kolejnej całodziennego wędrowki, jednak okazało się, że w przypadku Juliany i Nurii sprawa nie była taka prosta: nogi odmówiły im posłuszeństwa i już po kilku krokach po wyjściu z szopy obie musiały się o coś oprzeć, żeby się nie przewrócić. Za to Isabel, robiąc skłony, z dumą popisowała się swoją świetną kondycją, chwając sobie niekończące się godziny, jakie spędziła, ćwicząc szermierkę przed lustrem. Diego nalegał, aby jak najszybciej ruszać w drogę, wtedy mięśnie im się rozgrzeją i zmęczenie minie. Na odjeźdźnym podziękowali wieśniaczce za gościnność i zostawili jej kilka maravedies, które zdumiona zaczęła oglądać ze wszystkich stron, jakby w życiu nie widziała bitych monet. Niestety, Juliana i Nuria wcale nie poczuły się lepiej i w końcu musiały wsiąść na konie, pakunki zaś spoczęły na barkach Diega i Isabel. Dopiero po tygodniu zaczęli pokonywać sześć staj dziennie, tak jak to sobie założyli na początku.

Na niektórych odcinkach wędrowali szeroką drogą, po której mogły się poruszać karawany mulic, na innych wąską ścieżką wijącą się wśród zarośli. Spokój i cisza kazały im słuchać, patrzeć na drzewa i góry innymi oczami, otworzyć serce na owo wyjątkowe doświadczenie, jakim było kroczenie po śladach tysięcy wędrowców, którzy pokonywali tę trasę od dziewięciu wieków. Jacyś przypadkowo spotkani braciszczkowie zakonni nauczyli ich orientować się na podstawie obserwacji gwiazd, tak jak to robili średniowieczni podróżnicy, oraz kamieni i znaków granicznych opatrzonych symbolem świętego Jakuba - muszlą małża przegrzebka - pozostawionych przez poprzednich wędrowców. Gdziekolwiek znajdowali całe zdania wyrżnięte na kawałkach drewna albo wypisane na wyblakłych strzępach pergaminu, zawierające przesłania nadziei i życzenia pomyślności. Owa podróż do grobu apostoła każdemu z nich pozwoliła zajrzeć w głąb własnej duszy. Szli w milczeniu, obolali i strudzeni, ale radośni. Opuścił ich początkowy strach i wkrótce niemal zapomnieli, przed czym uciekają. Nocami słyszeli wycie wilków i za każdym zakrętem drogi mogli się spodziewać rozbójników, jednak nie czuli lęku, wierząc, że czuwa nad nimi jakaś siła wyższa. Nuria pogodziła się w końcu ze świętym Jakubem, którego obrzuciła wyzwiskami, kiedy stracono Tomása de Romeu. Minęli lasy, rozległe równiny i pojedyncze pagórki, podziwiając zróżnicowany, lecz nieodmiennie piękny krajobraz. Nikt nie odmówił im gościny. Sypiali w chłopskich chatkach, klasztorach i zakonach. Nie zabrakło im również chleba ani zupy, którymi dzielili się z nimi nieznajomi. Pewnego razu nocowali w jakimś kościele i obudziły ich śpiewy gregoriańskie; spowijała ich gęsta niebieska mgła, w której poczuli się tak, jakby byli już na tamym świecie. Przy innej okazji zatrzymali się na spoczynek w ruinach niewielkiej kapliczki, w której uwiły sobie gniazda tysiące gołębi, zdaniem Nurii zesłanych przez Ducha Świętego. Idąc za radą wieśniaczki, która przygarnęła ich pierwszej nocy, kiedy zbliżali się do miejsc zamieszkałych przez ludzi, dziewczęta zasłaniały sobie twarze. Nuria i Diego zawsze szli przodem i udając matkę i syna, prosili o pomoc. O Julianie i Isabel mówili tak, jakby byli mężczyznami, i wyjaśniali, że nie odkrywają twarzy, gdyż są oszpecceni przez zarazę; dzięki temu dziewczęta nie budziły zainteresowania bandytów, parobków i dezertów z wojska, którzy od początku wojny wałęsali się po tych odludnych okolicach.

Diego mierzył odległość i czas, jakie dzieliły ich od portu w La Coruñi, a podczas owych rachunków podsumowywał swoje postępy w zdobywaniu Juliany, które nie były może spektakularne, ale przynajmniej wydawało się, że dziewczyna czuje się w jego towarzystwie bezpiecznie i traktuje go już

nie tylko poważniej niż przedtem, ale nawet z lekką kokieterią. Opierała mu się na ramieniu, pozwalając, aby pieścił jej stopy, przygotowywał posiłek, a nawet karmił zupą, którą podawał jej łyżką do ust, kiedy była tak zmęczona, że nawet nie miała siły jeść.

Diego czekał, aż reszta grupy zaśnie i dopiero wtedy szedł spać, kładąc się przy Julianie tak blisko, jak tylko obyczajność pozwalała. Śnił o niej i był w siódmym niebie, ilekroć przez sen zdarzyło mu się objąć ją ramieniem w pasie. Ona w ciągu dnia zachowywała się tak, jakby nie zdawała sobie sprawy z tej narastającej bliskości, jednak pod osłoną nocy ułatwiała owe kontakty, a on zadawał sobie pytanie, czy robi to dlatego, że jest jej zimno, czy chce poczuć się bezpieczniej, czy też idzie za głosem tej samej namiętności, jaka kierowała nim. Czekał na te chwile, tęskniąc do nich jak szaleniec, i wykorzystywał je, na ile tylko mógł. Isabel znała tajemnicę ich nocnych zalotów i bezwstydnie sobie z obojga dworowała. Skąd ta dzierlatka o nich wiedziała, było zagadką, gdyż zasypiała jako pierwsza, a budziła się jako ostatnia.

Tamtego dnia szli już wiele godzin i byli zmęczeni, a do tego jeszcze spóźnieni, albowiem jeden z koni zranił się w nogę i okulał. Słońce już zaszło, a do klasztoru, w którym zamierzali przenocować, pozostał im jeszcze spory kawał drogi. Zauważyli dym unoszący się z komina pobliskiej chaty i uznali, że warto podejść bliżej. Diego ruszył przodem, mając nadzieję, że zostaną dobrze przyjęci, gdyż obejście wyglądało na dość zamożne, przynajmniej w porównaniu z innymi. Mimo iż panował półmrok, zanim zapukał do drzwi, uprzedził dziewczęta, żeby się zastłoniły. Owinęły twarze poszarzałymi już od kurzu szmatami z otworami na oczy, w których wyglądały jak trędowne. Otworzył im zwałisty mężczyzna, który - kiedy patrzyli na niego pod światło - wydawał się kwadratowy niczym orangutan. Nie widzieli wyraźnie rysów jego twarzy, jednak sądząc po postawie i nieuprzejmym tonie, nie wyglądał na zadowolonego z ich przybycia. Już na wstępie odmówił im gościny, oświadczając, że nie ma obowiązku pomagać pielgrzymom, od tego są tacy bogacze jak bracia i siostry zakonne. Potem stwierdził, że skoro podróżują z dwoma końmi, widocznie nie składali ślubów ubóstwa i mogą za siebie zapłacić. Diego targował się chwilę i w końcu wieśniak zgodził się dać im coś do jedzenia i przenocować pod swoim dachem w zamian za kilka monet, które miał otrzymać z góry. Zaprowadził ich do stajni, w której znajdowały się krowa i dwa konie pociągowe; pokazał stertę słomy, na której mogli się rozłożyć i zapowiedział, że przyniesie coś do jedzenia. Po półgodzinie, kiedy zaczęli już tracić nadzieję, że uda im się wrzucić coś do żołądka, mężczyzna znowu się pojawił przyprowadzając ze sobą drugiego. W stajni było ciemno jak w jaskini, ale mieli ze sobą latarnię. Postawili na ziemi kilka misek z treściwą chłopską zupą, położyli bochenek czarnego chleba i pół tuzina jaj. Wówczas w świetle latarni podróżnicy spostrzegli, że twarz jednego z nich jest zniekształcona blizną biegnącą mu przez oko i policzek, natomiast drugi nie ma nosa. Byli niscy, silni, niemal pozbawieni szyi, mieli ramiona długie jak polana, a wygląd tak odpychający, że Diego odruchowo dotknął swoich sztyletów, a Isabel pistoletu. Odrażający osobnicy nie ruszyli się z miejsca i podczas gdy ich goście jedli zupę i łamali chleb, ze złośliwą ciekawością obserwowali Julianę i Isabel, które usiłowały jeść, sięgając łyżkami pod chustki, nie odsłaniając twarzy.

- A tym co jest? - zapytał jeden z nich, pokazując na dziewczęta.

- Żółta febra - powiedziała Nuria, która słyszała, jak Diego wspominał o tej zarazie, ale nie wiedziała, czym się objawia.

- To gorączka tropikalna, która zżera skórę niczym kwas, a język i oczy od niej gniją. Powinni byli umrzeć, ale święty Jakub ich ocalił. Dlatego idziemy z pielgrzymką do sanktuarium, żeby złożyć mu dziękę - dodał Diego wymyśloną na poczekaniu historyjkę.

- Można to złapać? - dopytywał się gospodarz domu.

- Z daleka nie, tylko przez kontakt. Nie wolno ich dotykać - wyjaśnił Diego.

Mężczyźni nie wyglądali na przekonanych, zauważyli bowiem pod pątniczymi habitami zdrowe dłonie i młode ciała dziewcząt, których te nie zdołały ukryć. Ponadto podejrzewali, że ich goście mają więcej pieniędzy, niż zazwyczaj noszą przy sobie pielgrzymi. W oko wpadły im także konie; chociaż jeden z nich nieco kulał, były to zwierzęta dobrej rasy i coś niecoś musiały być warte. W końcu wyszli, zabierając ze sobą latarnię i pozostawiając ich pogrążonych w ciemnościach.

- Musimy stąd iść, te typy są straszne - wyszeptwała Isabel.

- Nie możemy podróżować nocą i musimy odpocząć, ja będę czuwał - odparł Diego równie cicho.

- Prześpię się kilka godzin, a potem zastąpię cię na warcie - zaproponowała Isabel.

Mieli jeszcze sześć surowych jajek; w skorupce czterech Nuria zrobiła dziurki, przez które je wypili, a pozostałe dwa schowała. „Szkoda, że boję się krów, gdyby nie to, moglibyśmy napić się trochę mleka” - westchnęła ochmistrzyni. Następnie poprosiła Diega, aby wyszedł na chwilę, żeby dziewczęta mogły się umyć namoczoną szmatką. Na koniec ułożyły się na słomie, okryły pledami i

zasnęły. Minęły jakieś trzy czy cztery godziny. Diego przesiedział ten czas z głową opadającą ze zmęczenia, ze sztyletami pod ręką, z trudem starając się mieć otwarte oczy. Nagle usłyszał szczekanie psa i zdał sobie sprawę, że zasnął. Na jak długo? Nie miał pojęcia, jednak w tych okolicznościach nie mógł sobie pozwolić na taką przyjemność jak sen. Żeby się na dobre rozbudzić, wyszedł ze stajni i pełną piersią zaczął wdychać lodowate nocne powietrze. Znad domu unosił się jeszcze dym z komina, a w jedynym okienku wybitym w solidnym kamiennym murze widać było światło, co pozwoliło mu przypuszczać, że być może nie spał tak długo, jak się obawiał. Postanowił odejść na stronę za potrzebą.

Kiedy po kilku minutach wracał, zauważył jakieś poruszające się sylwetki i domyślił się, że to ci dwaj wieśniacy zmierzający w stronę stajni. Zachowywali się podejrzanie ostrożnie. W rękach nieśli jakieś masywne narzędzia, które wyglądały na strzelby albo pałki. Zrozumiał, że jego sztylety o krótkim ostrzu na tych dwóch uzbrojonych prostaków to za mało. Rozwinął bat, który nosił u pasa, i w tej samej chwili poczuł zimno na karku - jak zawsze przed potyczką. Wiedział, że Isabel ma pistolet w pogotowiu, jednak kiedy wychodził, spała, a ponadto dziewczyna nigdy jeszcze nie strzelała. Uznał, że ma nad nimi pewną przewagę, ponieważ może działać z zaskoczenia, jednak w ciemnościach niewiele mógł zrobić. Modląc się, aby psy go nie wyczuły i nie zaczęły szczekać, ruszył za mężczyznami do stajni. Przez chwilę panowała absolutna cisza; kiedy złoczyńcy upewnili się, że ich goście pogrążeni są we śnie, zapalili kaganek i przyjrzeni się postaciom leżącym na słomie. Nie zorientowali się, że jednej osoby brakuje, gdyż derkę Diega wzięli za śpiącego człowieka. W tym momencie jeden z koni zarżał i Isabel poderwała się ze snu i usiadła. Potrzebowała kilka sekund, żeby przypomnieć sobie, gdzie jest, zobaczyć mężczyzn, zdać sobie sprawę z sytuacji i sięgnąć po pistolet. Nie zdążyła go wyciągnąć, ponieważ zmroził ją ryk osobników ściskających w rękach grube bierwiona. Do tego czasu Juliana i Nuria zdążyły się już obudzić.

- Czego chcecie?! - zawołała Juliana.

- Was, dziewczki, i waszej forsy, którą macie! - warknął jeden z mężczyzn, podchodząc do nich z uniesioną pałką.

W migotliwym świetle kaganka złoczyńcy ujrzeli twarze swych ofiar. Z okrzykiem największego przerażenia cofnęli się i wpadli na Diega, który właśnie podnosił ramię w górę. Zanim zdążyli ochłonąć ze strachu, Diego strzelił z bata w stronę bliżej stojącego; tamten krzyknął z bólu i wypuścił pałkę z rąk. Drugi rzucił się na Diega, jednak nie udało mu się go dosięgnąć, gdyż ten zrobił unik, po czym kopnął go w brzuch, aż napastnik zgiał się w pół. Tymczasem pierwszy z nich doszedł do siebie po smagnięciu batem i ze zrećznością niespodziewaną u kogoś jego tuszy rzucił się na chłopaka, spadając na niego niczym wór kamieni. W walce wręcz bat był bezużyteczny, wieśniak zaś trzymał Diega za nadgarstek dłoni, w której ten ścisnął sztylet. Miał mocny chwyt i był nad podziw silny. Jego cuchnący oddech i odrażająca woń śliny uderzyły w nozdrza chłopaka, który bronił się rozpaczliwie, nie mogąc pojąć, jak owa bestia w jednej chwili zdołała dokonać tego, co nie udało się Juliuszowi Cezarowi, doświadczonemu zapaśnikowi, podczas próby odwagi, kiedy wstępował do Sprawiedliwości. Kątem oka zauważył, że drugi bandzior zdążył już wstać i sięga po pałkę. Zrobiło się jaśniej, albowiem kaganek potoczył się po klepisku i słoma zaczęła się palić. W tym momencie huknął strzał i mężczyzna padł, rycząc jak lew. To na ułamek sekundy odwróciło uwagę tego, który leżał na Diegu, co wystarczyło, aby ten zrzucił go z siebie, z całej siły kopiąc go w pachwinę.

Siła odrzutu była tak wielka, że Isabel aż usiadła na ziemi. Strzeliła prawie na oślep, trzymając broń obiema rękami, i szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiła swego napastnika w kolano. Nie mogła w to uwierzyć. Myśl, że lekki ruch palca na spuście może mieć takie konsekwencje, z trudem do niej docierała. Z szoku wyrwał ją krzyk Diega, który zdołał w tym czasie unieruchomić batem drugiego typu: „Stajnia się pali! Trzeba wyprowadzić zwierzęta! Szybko!”. Kobiety rzuciły się do ratowania krowy i koni, które rżały z przerażenia, podczas gdy Diego wyciągał na zewnątrz dwóch rzezimieszków, z których jeden ciągle ryczał z bólu, brocząc krwią.

Stajnia płonąła niczym olbrzymie ognisko, rozjaśniając noc. W blasku pożaru Diego ujrzął twarze Juliany i Isabel, które takiego stracha napędziły napastnikom, i również wydał okrzyk przerażenia. Skóra żółtawa i porysowana niczym u krokodyla miejscami lśniła wezbrana ropą, miejscami zaś była zaschnięta w szerokie strupy. Oczy były zniekształcone, wargi zniknęły, dziewczęta wyglądały jak dwa potwory.

- Co się stało?! - zawołał Diego.

- Żółta febra - roześmiała się Isabel.

Był to pomysł Nurii. Ochmistrzyńi skojarzyła wygląd tych dwóch mężczyzn z bandytami opisanymi przez wieśniaczkę, której zamordowano męża, i pomyślała, że gospodarze mogą ich w nocy zaatakować. Przypomniała sobie stary sposób na rozjaśnianie cery za pomocą żółtek, przejęty przez

Hiszpanki od kobiet muzułmańskich, i poświęciła na to dwa jajka, które zostały z kolacji. Po wyschnięciu twarze dziewcząt zmieniły się w popękane maski w paskudnym kolorze. „Zmywa się to wodą, a na cerę robi bardzo dobrze” - wyjaśniła chętnie Nuria.

Osiłkowi z bliźną, który wciąż wrzeszczał jak na mękach, obwiązali ranę, żeby się przynajmniej nie wykrwawił, chociaż słaba była nadzieja, że uratuje nogę rozerwaną kulą. Drugiego zostawili przywiązanego mocno do krzesła, ale go nie zakneblowali, aby mógł wezwać pomoc. Dom stał niedaleko od drogi i każdy przechodzień mógł go usłyszeć. „Oko za oko, ząb za ząb, za wszystko się płaci - jak nie w tym życiu, to w piekle”, tymi słowami pożegnała ich Nuria. Zabrali szynkę, która wisiała u powały, i dwa konie pociągowe, powolne i ciężkie. Nie były to dobre wierzchowce, ale zawsze lepiej było siedzieć na nich, niż iść piechotą, a ponadto nie chcieli zostawiać bandytom żadnych środków transportu, żeby nie mogli ruszyć za nimi w pogoń.

Incydent z mężczyzną bez nosa i jego kamratem z pokiereszowaną gębą posłużył wędrowcom za przestrozę, aby byli bardziej przewidujący. Od tej chwili postanowili nocować wyłącznie w miejscach, które od niepamiętnych czasów służyły pielgrzymom. Po wielu tygodniach marszu wszyscy czworo stracili na wadze, a ich ciała i dusze się zahartowały. Wiatr przyciemnił im skórę, a suche powietrze i przymrozki sprawiły, że stała się ona szorstka i popękana. Twarz Nuri pokryła się mapą delikatnych zmarszczek; nagle poczuła na barkach cały ciężar swych lat. Ta niegdyś na pozór twarda kobieta, po której nie było widać wieku, teraz powłóczyła nogami, a plecy przygarbiły się jej lekko, co jednak bynajmniej jej nie szpeciło, przeciwnie - przydało uroku. Surowe rysy jej twarzy złagodniały, w tym, co mówiła, zaczął się pojawiać szelmowski humor ekscentrycznej babuni, którego wcześniej nie przejawiała. Poza tym lepiej wyglądała w prostej pątniczej sukni niż w poważnym czarnym uniformie i czepku, jakie nosiła przez całe życie. Krągłości Juliany zniknęły, wyglądała na niższą i młodszą, miała spierzchnięte czerwone policzki, a jej oczy wydawały się teraz ogromne. Dla ochrony przed słońcem smarowała skórę lanoliną, jednak nie na wiele się to zdało. Isabel, silna i szczupła, ucierpiała w tej podróży najmniej. Rysy jej się wyostriły i stawiała długie i pewne kroki, co upodabniało ją do mężczyzny. Nigdy nie czuła się szczęśliwsza, była stworzona do życia na swobodzie. „Psiama! Czemu nie urodziłam się chłopakiem?” - wykrzyknęła przy jakiejś okazji. Nuria uszczypnęła ją, ostrzegając, że podobne bluźnierstwa mogą zaprowadzić ją prosto do szatańskiego kotła, w którym będzie się smażyć w smole, jednak potem roześmiała się szczerze i stwierdziła, że gdyby Isabel przyszła na świat jako mężczyzna, z pewnością byłaby kimś w rodzaju Napoleona, gdyż ciągle ze wszystkim wojuje. Przystosowały się do rutyny, jaką narzucała im wędrowka. Diego w sposób naturalny objął dowodzenie, podejmował decyzje i stawiał czoło obcym. Starał się zapewnić kobietom nieco prywatności, żeby mogły załatwić swoje najintymniejsze potrzeby, jednak nie spuszczał ich z oka na więcej niż kilka minut. Do picia i mycia używali wody, którą czerpali z rzek; służyły im do tego tykwy, symbol pielgrzymów. Z każdą pokonaną stają coraz bardziej blakły w ich pamięci dawne wygody, kawałek chleba smakował im niczym niebiański przysmak, a tyk wina był błogosławieństwem. W jakimś klasztorze dano im po filiżance słodkiej i gęstej czekolady, którą się rozkoszowali, siedząc na ławce na świeżym powietrzu. Przez wiele dni nie myśleli o niczym innym, nie pamiętali, aby kiedykolwiek wcześniej coś sprawiło im taką przyjemność jak ów gorący i aromatyczny napój, który pili wtedy pod gwiazdami. W ciągu dnia pożywiali się resztkami jedzenia otrzymanego w zajazdach: chlebem, twardym serem, cebulą, kawałkiem kiełbasy. Na wszelki wypadek Diego zawsze miał przy sobie trochę pieniędzy, jednak starali się ich nie wydawać; prawdziwym pielgrzymom musiały wystarczyć datki. Jeśli nie było już innej rady i musieli za coś zapłacić, Diego tak długo się targował, że dostawał to prawie za darmo; w ten sposób nie budził podejrzeń, że mogą mieć przy sobie większe pieniądze.

Przeszli połowę Kraju Basków, kiedy dopadła ich zima. Nagłe ulewy przemacały ich do suchej nitki, a przymrozki sprawiały, że pod mokrymi pledami dygotali z zimna. Konie szły powoli, również źle znosząc taką pogodę. Noce stały się dłuższe, marsz wolniejszy, szron grubszy i podróż trudniejsza, ale krajobrazy były zaskakująco piękne. Zieleń, wszędzie zieleń, zielone aksamitne wzgórza, bezkresne lasy we wszystkich odcieniach zieleni, rzeki i rwące strumienie o kryształowych wodach w kolorze szmaragdowej zieleni. Na długich odcinkach szlak ginął w wilgotnej ziemi, aby nieco dalej znowu się pojawić w postaci delikatnej ścieżki wijącej się między drzewami albo wydeptanych kamiennych płyt z antycznej drogi rzymskiej. Nuria przekonała Diega, że warto kupować mocne trunki, gdyż nocami pomagały im się rozgrzać i zapomnieć o ciężkim dniu. Czasami w jakimś zajazdzie zatrzymywali się na kilka dni, gdyż zbyt szybko padało, wówczas korzystali z okazji, by posłuchać opowieści innych podróżnych i duchownych, którzy na drodze do Santiago widzieli już wielu grzeszników.

Pewnego dnia w połowie grudnia, kiedy już od dawna nie widzieli żadnych ludzkich siedzib, między drzewami dostrzegli jakieś migoczące światła przypominające ogniska. Postanowili podejść ostrożnie, gdyż mogli to być dezenterzy z wojska, niebezpieczniejsi od najgorszego rzeźmieszka. Ci bezrobotni weterani wojenni chadzali zwykle grupami, byli uzbrojeni po zęby i gotowi na wszystko. W najlepszym wypadku zatrudniali się jako płatni najemnicy, żeby za kogoś stawać do walki, rozstrzygać sprzeczki czy dokonywać zemsty, bądź imali się innych niezbyt honorowych zajęć, niektórzy jednak woleli parać się rozbojem. Nie znali innego życia jak tylko ze szpadą w dłoni, a pojęcie pracy fizycznej nie mieściło im się w głowie. W Hiszpanii pracowali tylko chłopci, którzy w pocie czoła dźwigali na swych barkach ogromny ciężar imperium, utrzymując wszystkich pozostałych, od króla do ostatniego zbira, zarówno kauzy-perdę, zakonnika, karciarza i lokajczyka, jak dziwkę i żebraka.

Diego polecił kobietom schować się za krzakami, do obrony zostawił im pistolet, którym Isabel nauczyła się w końcu posługiwać, a sam pojechał sprawdzić, co to za błyski. Znalazłszy się bliżej, stwierdził, iż - tak jak się domyślał - było to kilka ognisk. Nie sądził jednak, aby natknęli się na bandę rozbójników czy dezenterów, gdyż uszu jego dobiegł cichy dźwięk gitary. Serce skoczyło mu w piersi, albowiem rozpoznał tę melodię: w rytm tej tęsknej pieśni rozpaczy i żalu tańczyła Amalia, wirując spódnicami i stukając kastanietami, podczas gdy reszta grupy przygrywała jej do taktu na tamburynie i klaskała. Ale wszyscy Cyganie śpiewali podobne pieśni. Siedząc na koniu, podjechał powoli i na leśnej polanie zauważył kilka namiotów. „Bogu niech będą dzięki!”, westchnął z ulgą, powstrzymując się, żeby nie krzyknąć, gdyż zobaczył tam swoich przyjaciół. Nie miał wątpliwości - była to rodzina Amalii i Pelaya. Kilku Cyganów zbliżyło się, żeby sprawdzić, kim jest intruz, i w szarym świetle zmierzchu ujrzeli jakiegoś obszarpanego i brodatego mnicha, który zbliżał się do nich na ciężkim koniu pociągowym. Nie rozpozнали go, dopóki nie zeskokczył z konia i nie podbiegł do nich, albowiem ostatnią osobą, jaką spodziewali się tu spotkać, a do tego jeszcze w habicie pątnika, był Diego de la Vega.

- Człowieku, skąd się tu wzięłeś, do diabła?! - zawołał Pelayo, klepiąc go serdecznie po ramieniu, i Diego sam już nie wiedział, czy to, co płynie mu po twarzy, to łzy, czy krople deszczu.

Cygan poszedł z nim po Nurię i dziewczęta. Kiedy już usiedli dokoła ogniska, wędrowcy opowiedzieli pokrótce o swych perypetiach od egzekucji Tomása de Romeu do zajścia z Rafaelem Moncada, pomijając drobniejsze zdarzenia, które nic nie wnosiły do ich historii.

- Jak widzicie, jesteśmy zbiegami, a nie pielgrzymami. Musimy dotrzeć do La Coruñi, może tam uda się nam wsiąść na statek do Ameryki, ale przed nami jeszcze połowa drogi, a zima depcze nam po piętach. Czy moglibyśmy odtąd jechać razem z wami? - zapytał ich Diego.

Jeszcze nigdy żaden gadźo nie zwrócił się do Romów z podobną prośbą. Tradycyjnie nie ufali obcy - zwłaszcza jeśli ci zapewniali ich, iż przychodzą w dobrych zamiarach, gdyż nieraz się okazywało, że w rękawie mają ukrytego węża - jednak mieli okazję dobrze poznać Diega i darzyli go szacunkiem. Pozostawili gadźów samych, aby rozwiesili swoje ubrania do wyschnięcia przy ognisku i postanowili się naradzić między sobą. Zebrali się w jednym z namiotów; był zrobiony z kawałków różnych tkanin, postrzępiony i pełen dziur, ale mimo swego opłakanego wyglądu stanowił dobre schronienie przed kaprysmi pogody. Narada grupy, czyli kris, trwała większą część nocy. Przewodził jej Rodolfo, baro Rom: mężczyzna najstarszy wiekiem, patriarcha, doradca i sędzia, który znał prawa Romów. Nie były one spisane ani skodyfikowane, lecz przenoszone z pokolenia na pokolenie w pamięci kolejnych baro Rom, którzy w zależności od miejsca i czasu odpowiednio je interpretowali. W podejmowaniu decyzji mogli uczestniczyć tylko mężczyźni, jednak w ostatnich czasach zwyczaj się rozluźnił i kobiety - a zwłaszcza Amalia - nie siedziały już cicho. Cyganka przypomniawsza zgromadzonym, że w Barcelonie udało im się ocalić głowy dzięki Diegowi, który w dodatku dał im sakiewkę pieniędzy, dzięki czemu zdołali uciec i przeżyć. Mimo to niektórzy z nich głosowali przeciwko, uważając, że zakaz zadawania się z gadźami jest ważniejszy od wdzięczności. Wszelkie z nimi kontakty - poza handlowymi - sprowadzają pecha, powiedzieli. W końcu Cyganom udało się dojść do porozumienia i Rodolfo zamknął sprawę nieodwołalną decyzją. W swoim życiu widzieli już wiele zdrad i nieszczemności, powiedział, i powinni docenić, kiedy ktoś wyciąga do nich pomocną dłoń; przygarną więc zbiegów, aby nikt nie mógł powiedzieć, że Romowie są niewdzięczni. Pelayo poszedł zakomunikować to Diegowi. Znalazł go śpiącego na ziemi, przytulonego do dziewcząt; wszyscy troje byli skuleni z zimna, gdyż ognisko już się dopaliło. Wyglądali jak gromadka wynędzniałych szczeniąt.

- Rada zgodziła się, żebyście towarzyszyli nam aż do morza, o ile nauczycie się żyć jak Romowie i nie pogwałcicie żadnego z naszych tabu - uprzedził.

Cyganie byli biedni jak nigdy. Ich wozy przed rokiem spalili francuscy żołnierze, ale mieli konie i udało im się zdobyć kilka zwykłych wozów drabiniastych, na których przewozili swój dobytek,

narzędzia kowalskie i rondle, a namioty zastąpili innymi, jeszcze bardziej obszarpanymi. Wspólnie udało im się jakoś przetrwać okresy niedostatku, nie zmarło ani jedno dziecko. Jedynym, który podupadł na zdrowiu, był Rodolfo; olbrzym, który niegdyś sam podnosił konia, teraz chorował na gruźlicę. Amalia nic się nie zmieniła, a Petrina wyrosła na dorodną nastolatkę, która nie mieściła się już w kadzi po oliwkach, choćby nie wiadomo jak się kuliła. Była zaręczona z dalekim krewnym z innego klanu, ale dotąd jeszcze go nie widziała. Ślub miał się odbyć latem, kiedy tylko rodzina pana młodego wpłaci darro, odpowiednią kwotę pieniędzy, która miała być dla plemienia rekompensatą za utratę Petriwy.

Juliana, Isabel i Nuria zostały ulokowane w namiocie kobiet. Początkowo ochmistrzyni była przerażona, sądziła, że Cyganie zamierzają porwać panienki de Romeu i sprzedać je w niewolę Maurom z północnej Afryki, którzy zrobią sobie z nich nałożnice. Musiał upłynąć tydzień, zanim odważyła się spuścić je z oka, i jeszcze jeden, zanim odezwała się do Amalii, która miała nauczyć je cygańskich obyczajów, żeby nie uchybiały ich etykiety. Amalia dała im falbaniaste spódnice, wydekoltowane bluzki i szale z frędzlami, stanowiące zwykły strój Cyganki. Wszystko to było stare i brudne, ale miało jaskrawe kolory i było wygodniejsze i lepiej chroniło przed zimnem niż pątnicze habitę. Romowie uważali, że kobiety od talii w dół są nieczyste, tak więc pokazywanie nóg było wielce obraźliwe; kiedy chciały się umyć w rzece, musiały to robić z dala od mężczyzn w dole jej nurtu, zwłaszcza w dniach, kiedy miesiączkowały. Były traktowane jako istoty niższego gatunku, winne im postuśczeństwo. Gwałtowne protesty Isabel na nic się nie zdały: idąc, musiała trzymać się z tyłu za mężczyznami i nie wolno jej było ich wyprzedzać, nie mogła ich także dotykać, gdyż to by ich splamiło. Amalia wyjaśniła dziewczętom, że żywych stale otaczają duchy, które trzeba sobie zjednywać czarami. Śmierć była czymś sprzecznym z naturą, zniewagą dla ofiary, dlatego trzeba się było strzec zemsty zmarłych za jakąkolwiek urazę. Rodolfo wyglądał na chorego, co bardzo wszystkim martwiło, zwłaszcza że ostatnio słyszeli pohukiwanie sowy zwiastujące śmierć. Gdyby Rodolfo zmarł, zachowując do kogoś żal, mógłby powrócić pod postacią mulo. Wieść o jego chorobie wysłali do dalekich krewnych, aby ci przybyli pożegnać się z nim z należytym szacunkiem, zanim odejdzie do świata duchów. Na wszelki wypadek rozpoczęto przygotowania do pogrzebu, mimo iż sam Rodolfo żartował sobie z tego, przekonany, że przeżyje jeszcze wiele lat. Amalia nauczyła dziewczęta i Nurię wróżyć z ręki, z płatków herbaty i szklanej kuli, jednak żadna z nich nie miała zadatków na prawdziwą drabowię. Nauczyły się za to stosować lecznicze rośliny i przyrządzać dania rzymskiej kuchni. Do podstawowych przepisów kulinarnych grupy, obejmujących tortillę z jarzynami, mięsem królika, jelenia, dzika czy jeżozwierza, Nuria wprowadziła dania z kuchni katalońskiej, co się spotkało z powszechną aprobatą. Romowie potępiali okrucieństwo wobec zwierząt, zabijali je wyłącznie z konieczności. W obozie było kilka psów, lecz ani jednego kota, bo te zwierzęta uważali za nieczyste.

Diego musiał ograniczyć się do obserwowania Juliany z daleka, gdyż zbliżenie się do kobiet bez szczególnego powodu było traktowane jako przejaw złego wychowania. W czasie, jaki w innej sytuacji poświęciłby w całości na adorowanie ukochanej, uczył się jeździć na koniu jak prawdziwy Rom. Wychował się galopując po rozległych równinach Górnej Kalifornii, i był przekonany, że jest dobrym jeźdźcą, dopóki nie miał okazji podziwiać akrobacji Pelaya i innych Cyganów. Przy nich był jak początkujący. Nikt na świecie nie wiedział tyle o koniach, co ci ludzie. Nie tylko je hodowali, trenowali i leczyli w razie choroby, ale także potrafili porozumiewać się z nimi, szepcząc im coś do ucha, tak jak to robił Bernardo. Żaden Cygan nigdy nie używał bata, bo koń uważany był za zwierzę święte. Po tygodniu Diego potrafił już w pełnym biegu zeskakować na ziemię, robić salto w powietrzu i opadać na grzbiet wierzchowca tyłem do przodu, przenosić się z jednego siodła na drugie, a także galopować na dwóch koniach, stojąc jedną nogą na jednym, a drugą na drugim siodle, trzymając się tylko wodzy. Starał się wykonywać te akrobacje w obecności kobiet, a raczej wtedy, gdy mogła go zobaczyć Juliana, w ten sposób rekompensował sobie frustrację z powodu ich rozdzielenia. Nosił ubrania Pelaya: spodnie do kolan, wysokie buty, koszulę z szerokimi rękawami, skórzaną kamizelkę, chustkę na głowie - spod której sterczały mu, niestety, jego odstające uszy - i muszkiet na ramieniu. Z efektownymi bokobrodami, osmaganą wiatrem skórą, która przybrała złotawy odcień, i oczami barwy karmelu tak emanował męskością, że Juliana rzucała mu z daleka pełne podziwu spojrzenia.

Po drodze Cyganie rozbijali obozy w pobliżu mijanych miasteczek, w których mężczyźni oferowali swoje usługi przy oswojaniu koni albo obróbce metalu, podczas gdy kobiety przepowiadały przyszłość i sprzedawały lecznicze wywary i zioła. Po kilku dniach, kiedy klienteli zaczynało ubywać, ruszali do następnej miejsciny. Wieczorami zasiadali przy ognisku, jedli, po czym snuli opowieści, śpiewali, grali i tańczyli. W wolnych chwilach Pelayo wyciągał swoje narzędzia kowalskie i zabierał się do wykuwania szpady, którą obiecał Diegowi; miała to być broń szczególna, znacznie lepsza od jakiegokolwiek toledańskiej szabli, jak zapowiedział, wykonana ze stopu metali, którego sekret liczył sobie tysiąc pięćset lat i pochodził z Indii.

- Dawniej broń bohaterów hartowano w ten sposób, że rozgrzane do czerwoności ostrze, ledwo wyciągnięte z paleniska, zagłębiano w ciele więźnia albo niewolnika - powiedział Pelayo.

- Mnie wystarczy, jeśli moją zahartujemy w rzece - odparł Diego. - To najcenniejszy dar, jaki kiedykolwiek dostałem. Nazwę ją Justina, Sprawiedliwa, albowiem zawsze będę jej dobywał w słusznej sprawie.

Podróżowali z Romami aż do lutego. Dwa razy natknęli się na gwardzistów, którzy przy każdej okazji starali się pokazać, kto tu rządzi, i uprzykrzali Cyganom życie, jednak nie zauważyli, że są wśród nich obcy. Diego domyślił się, że tak daleko od Barcelony nikt ich nie szuka i że jego pomysł, aby uciekać w kierunku Atlantyku nie był tak absurdalny, jak się początkowo wydawał. Ciepło przyjęci przez grupę Cyganów, która nigdy wcześniej nie przygarnęła żadnego gadza, spędzili w ich obozie najgorszą część zimy, chroniąc się w ten sposób przed złą pogodą i niebezpieczeństwami cyhającymi na drodze. Diego nie musiał bronić dziewcząt przed mężczyznami, gdyż myśl o poślubieniu obcej zadnemu z nich nawet nie zaświtała w głowie. Nic nie wskazywało również na to, aby uroda Juliany wywarła na nich jakieś większe wrażenie, natomiast intrygował ich fakt, że Isabel potrafi fechtować i stara się nauczyć po męsku dosiadać konia. W ciągu tych tygodni nasi przyjaciele przebyli resztę Kraju Basków i całą Galicję, i na koniec stanęli u bram La Coruñi. Nuria poprosiła, aby pozwolili jej udać się do Composteli, bo pragnęła zobaczyć katedrę i paść krzyżem u grobu świętego Jakuba. Kiedy wreszcie pojęła jego przewrotne poczucie humoru, zaprzyjaźniła się z apostołem. W drodze do Composteli towarzyszyła jej cała grupa.

Wąskie i pełne zaułków uliczki miasta z jego zabytkowymi domami, sklepami z wyrobami rzemiosła, tawernami, placami i kościołami rozchodziły się koncentrycznie od grobowca będącego dla chrześcijaństwa jednym z najświętszych miejsc. Dzień był jasny, niebo bezchmurne, a powietrze chłodne i rześkie. Imponująca i wyniosła katedra ze wspaniałymi łukami i smukłymi wieżami wyrosła przed nimi w całej swej tysiącletniej okazałości.

Zachwalając donośnym głosem swoje tandetne wyroby i usługi wróżbiarskie oraz wywary leczące choroby i wskrzeszające zmarłych, Romowie zakłócili panujący w mieście spokój. Tymczasem Diego i jego towarzyski, jak wszyscy pątnicy, którym udało się dotrzeć do Composteli, uklękli przed centralnym portykiem bazyliki i położyli dłonie na kamiennej podstawie jego środkowej kolumny. Ich wędrówka dobiegała końca. Podziękowali świętemu Jakubowi za opiekę i poprosili go, aby ich jednakowoż nie opuszczał, aby pomógł im cało i zdrowo przepłynąć morze. Nie zdążyli jeszcze do końca wypowiedzieć tych słów, kiedy Diego zauważył, że zaledwie o kilka kroków od niego klęczy jakiś mężczyzna modlący się z wyjątkową żarliwością. Widział go z profilu, w słabym świetle różnobarwnych refleksów padających od witraży, jednak natychmiast go poznał, mimo iż nie oglądał go od pięciu lat. Był to Galileo Tempesta. Diego zaczekał, aż marynarz skończy bić się w piersi, i kiedy już się przeżegnał, podszedł do niego. Kiedy Tempesta się odwrócił, z ogromnym zaskoczeniem stwierdził, że zaczyna go jakiś Cygan z wielkimi bokobrodami i wąsami.

- To ja, señor Tempesta, Diego de la Vega...

- Porca miserial Diego! - wykrzyknął kucharz i ściskając go w swych muskularnych ramionach, uniósł go o piędź nad ziemię.

- Ciiiiiii... Więcej szacunku, jesteście w katedrze - zwrócił im uwagę jakiś zakonnik.

Wyszli na zewnątrz, poklepując się po plecach, nie mogąc uwierzyć, że się spotkali, chociaż okoliczność owa miała swoje wyjaśnienie. Galileo Tempesta nadal pracował jako kuk na statku „Madre de Dios”, który stał zacumowany w porcie La Coruña, skąd miał wkrótce popłynąć z ładunkiem broni do Meksyku. Tempesta, korzystając z kilku dni wolnego na stałym lądzie, odwiedził świętego, by błagać go o wyleczenie z dolegliwości, której nazwy nie chciał wypowiedzieć. Szeptem wyznał, że na Karaibach nabawił się pewnej sekretnej choroby, która była karą bożą za jego grzechy, zwłaszcza za ów cios siekierą, jaki przed laty wymierzył swej nieszczęsnej małżonce; przyznaje, że był to rzeczywiście czyn karygodny, aczkolwiek ona w pełni sobie na to zasłużyła. Tylko cud może go uleczyć, dodał.

- Nie wiem, czy święty Jakub zajmuje się cudami tego rodzaju, señor Tempesta, ale może Amalia mogłaby wam pomóc.

- Kim jest Amalia?

- To drabari. Ma dar odczytywania cudzych losów i uzdrawiania chorych. Jej leki są bardzo skuteczne.

- Niech będzie błogosławiony święty Jakub, że postawił ją na mej drodze! To prawdziwy cud, nieprawdaż, kawalerze de la Vega?

- A propos: co się dzieje z kapitanem Santiagiem de León? - zapytał Diego.

- Nadal kieruje „Madre de Dios” i jest bardziej zdziwaczały niż kiedykolwiek, ale będzie bardzo zadowolony, jak was zobaczy.

- Niekoniecznie, albowiem jestem teraz zbiegiem, człowiekiem wyjętym spod prawa...

- A więc tym bardziej się uciesz. Od czego są przyjaciele, jeśli nie po to, aby podać pomocną dłoń, gdy fortuna pokazuje nam plecy? - przerwał mu kucharz.

Diego poprowadził go za róg placu, gdzie kilka Cyganek przepowiadało przyszłość, i przedstawił Amalii, która wysłuchała jego spowiedzi i za dość wygórowaną cenę zgodziła się wyleczyć jego dolegliwość. Po dwóch dniach Galileo Tempesta umówił Diega na spotkanie z Santiagiem de León w jednej z tawern La Coruñi. Przekonawszy się, że ów Cygan to rzeczywiście tamten młodzik, którego w 1810 roku przewoził na swoim statku, kapitan zapragnął go wysłuchać. Diego przedstawił mu zwięzłe historię swojego pobytu w Barcelonie i opowiedział o Julianie i Isabel de Romeu.

- Wydano nakaz aresztowania tych biednych dziewcząt. Gdyby je schwytano, to albo skończyłyby w więzieniu, albo zostałyby deportowane do którejś kolonii.

- Jakiż występki mogły popełnić te istoty?

- Żadnego. To ofiary pewnego bezdusznego niegodziwca. Ich ojciec, don Tomás de Romeu, przed śmiercią poprosił mnie, żebym je odwiózł do Kalifornii i oddał pod opiekę mego ojca, don Alejandra de la Vegi. Czy może nam pan pomóc dostać się do Ameryki, kapitanie?

- Pracuję dla rządu Hiszpanii, młodzieńcze. Nie mogę przewozić zbiegów.

- Wiem, że nieraz już pan to robił, kapitanie...

- Co pan chce przez to powiedzieć, señor?

W odpowiedzi Diego rozchylił koszulę i pokazał mu medalion Sprawiedliwości, który stale nosił na szyi. Santiago de León przyglądał się klejnotowi przez kilka sekund i z chwilą, gdy rozpoznał w nim towarzysza, wyraz jego ptasiej twarzy mruka rozjaśnił się, a głos złagodniał. Chociaż ich tajne stowarzyszenie czasowo zawiesiło działalność, obaj nadal byli związani przysięgą, iż będą bronić prześladowanych. De León powiedział, że jego statek wypływa za kilka dni. Zima to nie najlepsza pora roku na przepływanie oceanu, jednak lato, kiedy szaleją huragany, jest jeszcze gorsze. Kapitan musiał pilnie przewieźć ładunek broni, która miała posłużyć do stłumienia powstania w Meksyku: trzydzieści rozmontowanych armat, tysiąc muszkietów, milion sztuk ołowianej amunicji i proch. De León żałował, że jego zawód i potrzeby finansowe zmuszają go do podjęcia się takiego zadania, albowiem walkę każdego narodu o niepodległość uważał za słuszną. Hiszpania wysłała do Ameryki dziesięć tysięcy ludzi. W okrutnych starciach, podczas których przelano morze krwi i popełniano potworne zbrodnie, odzyskano Wenezuelę i Chile. Powstanie w Meksyku również zostało zdławione. „Gdyby nie moja lojalna żaloga, która była i jest ze mną od tyłu lat i potrzebuje tej pracy, porzuciłbym morze i poświęciłbym się całkowicie moim mapom” - wyznał kapitan. Uzgodnili, że Diego i kobiety wejdą na pokład pod osłoną mroku i pozostaną w ukryciu do chwili, aż znajdą się na pełnym morzu. Nikt poza kapitanem i Galileo Tempesta nie będzie znał tożsamości pasażerów. Diego podziękował mu wzruszony, ale kapitan odparł, że spełnia tylko swój obowiązek. Każdy członek Sprawiedliwości zrobiłby na jego miejscu to samo.

Tydzień upłynął im na przygotowaniach do podróży. Musieli rozpruć halki, żeby wydobyć złote dublony, gdyż chcieli dać coś Romom, którzy tak dobrze ich przyjęli, a ponadto musieli kupić odpowiednią odzież i inne rzeczy niezbędne w podróży. Garść drogich kamieni została ponownie zaszyta w fałdach bielizny, tak jak podpowiedział im ów bankier, tłumacząc, że w trudnych czasach nie ma lepszego sposobu przewożenia pieniędzy. Dziewczęta wybrały suknie praktyczne i proste, odpowiednie do trybu życia, jaki je czekał; wszystkie były czarne, albowiem siostry de Romeu nareszcie mogły zacząć nosić żałobę po ojcu. W okolicznych skromnych sklepikach nie było wielkiego wyboru, ale kilka sztuk odzieży zdobyły na angielskim statku zakotwiczonym w porcie. Podczas pobytu u Cyganów Nuria zagustowała w kolorowych szmatkach, jednak i ona przez pamięć na swego pana przynajmniej przez rok miała nosić się na czarno.

Pożegnali się z Romami z żalem, jednak nie dali po sobie poznać, co czują, gdyż owi ludzie zahartowani przez cierpienie bardzo źle by to przyjęli. Pelayo wręczył Diegowi szpadę, którą dla niego wykuł; była to doskonała broń, mocna, giętka i lekka, tak dobrze wyważona, że można ją było podrzucić młynkiem do góry i bez najmniejszego wysiłku złapać w powietrzu za rękojeść. W ostatniej chwili Amalia próbowała zwrócić Julianie perłowy diadem, ale ta powtórzyła, że dała go jej na

pamiętkę. „Nie potrzebuję tego, żeby o was pamiętać” - odparła Amalia niemal z oburzeniem, ale schowała klejnot.

Wsiedli na statek którejś nocy na początku marca, kilka godzin po tym, jak straż portowa weszła na pokład, żeby sprawdzić ładunek i zezwolić kapitanowi na podniesienie kotwicy. Galileo Tempesta i Santiago de León zaprowadzili swoich podopiecznych do przeznaczonych dla nich kabin. Kilka lat wcześniej statek został przebudowany i był w lepszym stanie niż za czasów pierwszej podróży Diega; teraz dla czworga pasażerów było miejsce w pojedynczych kajutach po obu stronach salonu oficerskiego na rufie. Każda z nich była zaopatrzona w drewnianą koję zawieszoną na linach, stół, krzesło, skrzynię i niewielką szafkę na ubrania. Wprawdzie były ciasne i niewygodne, ale zapewniały nieco prywatności, która na statku była największym luksusem. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny rejsu trzy kobiety spędziły w swych kajutach, nie biorąc nic do ust, pozieleniałe na twarzy od męczących je mdłości, przekonane, że nie przeżyją tego straszliwego, wielotygodniowego kołysania na falach. Kiedy tylko zostawili za sobą wybrzeże Hiszpanii, kapitan pozwolił pasażerom wyjść na pokład, jednak dla uniknięcia problemów nakazał dziewczętom, aby trzymały się od załogi z daleka. Nie udzielił marynarzom żadnych wyjaśnień, a oni nie śmieli go o nie pytać, jednak za jego plecami szemrali, że zabieranie kobiet na pokład nie jest dobrym pomysłem.

Następnego dnia głuchy tupot bosych stóp marynarzy zmieniających się na wachcie i aromat kawy obudziły siostry de Romeu i Nurię, które wstały rześkie i nie czuły mdłości. Zdążyły się już także przyzwyczaić do dzwonu, który bił co pół godziny. Umyły się w morskiej wodzie i szmatką zwilżoną słodką wodą starły z siebie sól, następnie ubrały się i chwiejnym krokiem opuściły swoje kabiny. W salonie oficerskim stał prostokątny stół z ośmioma krzesłami, na którym czekało przygotowane przez Galileę Tempeste śniadanie. Kawa słodzona melasą i wzmocniona łykiem rumu przywróciła ich ciałom dusze. Płatki owsiane aromatyzowane cynamonem i goździkami podane zostały z egzotycznym dla nich amerykańskim miodem, specjalnym prezentem od kapitana. Przez uchylone drzwi kobiety zobaczyły Santiaga de León i dwóch młodych oficerów, którzy siedzieli przy stole do pracy i sprawdzali listy wacht oraz raport dotyczący zapasów prowiantu, drewna i wody, które musiały być rozdzielane z rozwagą, tak aby wystarczyło ich aż do następnego portu, gdzie można je było uzupełnić. Na ścianie wisiał kompas oraz rtęciowy barometr. Na stole, w pięknym mahoniowym puzderku, którego Santiago de León strzegł jak relikwii, leżał chronometr. Kapitan przywitał się zdawkowym „dzień dobry”, nie wykazując zdziwienia na widok śmiertelnej bladeści swoich pasażerek. Isabel zapytała go o Diega, w odpowiedzi na co niedbałym gestem wskazał na pokład.

- Jeśli przez te lata kawaler de la Vega się nie zmienił, zapewne wdrapał się na najwyższy maszt albo siedzi na galionie na dziobie. Nie sądzę, aby się nudził, jednakże wam ten rejs będzie się bardzo dłużył - powiedział.

Ale tak się nie stało, jako że każda znalazła sobie jakieś zajęcie. Juliana zabrała się do haftowania, a także postanowiła przeczytać wszystkie po kolei książki kapitana. Początkowo wydały jej się nudne, potem jednak zaczęła wprowadzać do nich herosów i heroiny i tym sposobem wojny, rewolucje i traktaty filozoficzne nabrały odpowiednio romantycznego charakteru. Mogła dowolnie wymyślać gorące, nieszczęśliwe historie miłosne, a ponadto decydować o ich zakończeniu. Woląła tragiczne, bo przy nich więcej się płacze. Co do Isabel, to kiedy okazało się, że ma zdolności do rysunku, zaczęła pomagać kapitanowi przy wykreślaniu jego fantastycznych map, poprosiła także o pozwolenie na portretowanie załogi. W końcu kapitan udzielił jej zgody i w ten sposób zaskarbiła sobie sympatię marynarzy. Zgłębiała tajemnice nawigacji - od zastosowania sekstansu do rozpoznawania prądów morskich po kolorze wody albo po zachowaniu ryb. Dla zabawy rysowała marynarzy wykonujących na pokładzie wszelakie prace: uszczelnianie pęknięć w drewnianych burtach za pomocą smołowanego włókna dębowego, wypompowywanie wody zbierającej się pod pokładem, naprawianie żagli, wiązanie zerwanych lin, smarowanie masztów zjełczałym tłuszczem z kuchni, malowanie, szorowanie i mycie pokładów. Załoga pracowała bez przerwy, tylko w niedzielę marynarze mieli więcej swobody i w wolnym czasie łowili ryby, w kawałkach drewna wycinali figurki, strzygli się, cerowali ubranie oraz robili sobie tatuaże albo iskali jeden drugiego. Cuchnęli jak dzikie zwierzęta, gdyż rzadko zmieniali ubrania, a kąpiel uważali za szkodliwą dla zdrowia. Nie mogli pojąć, że kapitan robi to raz w tygodniu, a już całkiem ich zadziwiło, że czwórka pasażerów myje się codziennie. Na „Madre de Dios” nie obowiązywała taka żelazna dyscyplina jak na okrętach wojennych; Santiago de León zapewniał sobie posłuch, nie uciekając się do brutalnych kar. Zezwalał na grę w karty i kości (na innych statkach było to zakazane) pod warunkiem, że stawką nie były pieniądze, w niedzielę podwajał rację rumu, nigdy nie zalegał ludziom z wypłatą, a kiedy zawijali do portu, tak organizował wachty, aby wszyscy mogli zejść na ląd i się zabawić. Chociaż w czerwonej torbie na widocznym miejscu wisiał biał z dziewięcioma

rzemieniami, nigdy go nie użył. Winnych jakichś wykroczeń karał co najwyżej odebraniem racji trunku na kilka dni.

Nuria wymusiła dostęp do kuchni, uznała bowiem, że posiłki Galilea Tempesty pozostawiają wiele do życzenia. Jej innowacje kulinarne, choć były to dania przyrządzone z tych samych skromnych składników co zawsze, zostały owacyjnie przyjęte przez wszystkich, od kapitana aż do ostatniego chłopca okrętowego. Ochmistrzyń szybko przyzwyczaiła się do obrzydliwego zapachu prowiantu, zwłaszcza serów i suszonego mięsa, do gotowania w mętnej wodzie i do ryb, które Galileo Tempesta umieszczał na workach z herbatnikami, walcząc w ten sposób z wołkami zbożowymi. Kiedy jedna porcja ryb wypełniała się szkodnikami, w jej miejsce kładł nową i dzięki temu herbatniki były mniej więcej wolne od robactwa. Nuria nauczyła się doić kozy, które wieźli na pokładzie. Nie były to jedyne zwierzęta na statku, znajdowały się tu też kury, kaczkę i gęsi w klatkach, a w zagrodzie maciora z prosiętami, nie licząc ulubieńców marynarzy - małp i papug - oraz mnóstwa kotów, bez których panami i władcami statku byłyby szczury. Nuria wprowadziła nowe sposoby wykorzystywania mleka i jaj, dzięki czemu codzienny jadłospis wzbogacił się o deser. Galileo Tempesta był człowiekiem wybuchowym i wtargnięcie Nurii na jego terytorium dotknęło go do żywego, ale ona znalazła bardzo prosty sposób na rozwiązanie problemu. Przy pierwszej okazji, gdy tylko Tempesta podniósł na nią głos, dzieliła go warząchwią przez łeb i dalej z niezmałconym spokojem mieszała coś w kotle. Sześć godzin później genueńczyk zaproponował jej, by się pobrali. Wyznał, że leki Amalii przynoszą pożądane efekty i że ma odłożonych dziewięćset dolarów amerykańskich, co wystarczy, by założyli na Kubie restaurację i żyli po królewsku. Od jedenastu lat czeka na odpowiednią kobietę, powiedział, i wcale mu nie przeszkadza, że jest od niego nieco starsza. Nuria nawet nie była łaskawa mu odpowiedzieć.

Marynarze, którzy pracowali na statku również wtedy, kiedy Diego podróżował „Madre de Dios” po raz pierwszy, poznali go dopiero w chwili, gdy wygrał od nich w karty kilka garści ziaren ciecierzycy. Czas żeglarzy rządzi się własnymi prawami, lata mijają, nie znacząc gładkiej powierzchni nieba i morza, dlatego też zaskoczyło ich, że tamten gołowąs, który zaledwie wczoraj straszyl ich opowieściami o „żywych trupach”, dzisiaj jest mężczyzną. Gdzie się podziało te pięć lat? Cieszyło ich, że mimo iż się zmienił i wyrósł, nadal chętnie przebywa w ich towarzystwie. Przez większą część dnia Diego pracował wraz z nimi na pokładzie, najczęściej przy żaglach, które go fascynowały. Tylko wieczorem zniknął na krótko w swojej kajucie, żeby się umyć i elegancko ubrać, tak by móc pokazać się Julianie. Już pierwszego dnia marynarze dostrzegli, że jest w dziewczynie zakochany, i chociaż czasami z niego żartowali, patrzyli na młodzieńca z mieszaniną tęsknoty za czymś, czego sami nigdy mieli nie zaznać, i ciekawości, co też z tego wyniknie. Juliana wydawała im się równie nierealna co legendarne syreny. Ta nieskazitelna cera, te półprzezroczyste oczy, ta eteryczna gracia nie mogły być z tego świata.

Popychana przez prądy morskie i podmuchy wiatru „Madre de Dios” skierowała się na południe ku Afryce, minęła Wyspy Kanaryjskie i dotarła do Wysp Zielonego Przylądka, gdzie chcieli zaopatrzyć się w wodę i świeżą żywność przed wyruszeniem w rejs przez Atlantyk, co przy nieprzychylnym wietrze mogło potrwać nawet ponad trzy tygodnie. Tam dowiedzieli się, że Napoleon Bonaparte uciekł z Elby, gdzie go zesłano, i triumfalnie wkroczył do Francji, a wojska, które miały mu zagrozić drogę do Paryża - przeszły na jego stronę. Podczas gdy dwór króla Ludwika XVIII schronił się w Gandawie, Napoleon bez jednego wystrzału odzyskał władzę, po czym przystąpił do ponownego podboju Europy. Na Wyspach Zielonego Przylądka podróżni zostali ugoszczeni przez miejscowe władze, które wydały bal na cześć córek kapitana, jak przedstawił siostry de Romeu. Santiago de León uznał, że w ten sposób oddał od siebie podejrzenia, na wypadek gdyby nakaz ich aresztowania dotarł aż tam. Wielu urzędników było żonatych z pięknymi kobietami afrykańskimi, wysokimi i dumnymi, które przybyły na uroczystość wystrojone z wyjątkowym przepychem. Na ich tle Isabel wyglądała jak kudłaty pies i nawet sama Juliana wydawała się nijaka. Owo pierwsze wrażenie zmieniło się całkowicie, kiedy na usilne prośby Diega Juliana zgodziła się zagrać na harfie. Uczestnikom balu przygrywała orkiestra w pełnym składzie, jednak zaledwie dziewczyna dotknęła strun, w wielkim salonie zapadła cisza. Wystarczyło jej parę starych ballad, aby uwieść wszystkich obecnych. Przez resztę wieczoru Diego musiał stać w kolejce razem z innymi kawalerami, aby móc z nią zatańczyć.

Ledwie „Madre de Dios” rozwinęła żagle, pozostawiając wyspy za sobą, a w salonie oficerskim zjawili się dwaj marynarze z jakimś zawiniętym w płótno pakunkiem, który postawili na podłodze. Był to prezent od kapitana Santiaga de León dla Juliany. „Abyście, pani, obłaskawiła wiatr i fale”, powiedział, ściągając płótno eleganckim gestem. Była to włoska harfa w kształcie łabędzia. Od tej pory co wieczór wnoszono instrument na pokład, a podczas koncertów Juliany mężczyznom napływały łzy do oczu. Miała dobry słuch i potrafiła zagrać każdą melodię, jaką tylko zanucili. Wkrótce do harfy doszły gitary, harmonijki, flety oraz prowizoryczne bębny. Kapitan, który w swej kajucie ukrywał

skrzypce, aby potajemnie szukać w nich pociechy w długie noce, kiedy laudanum nie było w stanie uśmierzyć bólu jego chorej nogi, dołączył do grupy i statek napełnił się muzyką.

Właśnie podczas jednego z takich koncertów morska bryza przywiała tak odrażający smród, że nie sposób było go zignorować. W kilka chwil potem w oddali dostrzegli sylwetkę żaglowca. Kapitan sięgnął po lunetę, aby potwierdzić to, czego się już domyślał: był to statek wiozący niewolników. Ich transport odbywał się na dwa sposoby: jedni handlarze stosowali metodę „ciasnych”, drudzy zaś „luźnych pakunków”. Ci pierwsi upychali więźniów jak śledzie w beczce, najęśniej jak się da. Owi nieszczęśnicy powiązani łańcuchami siedzieli lub leżeli we własnych odchodach i wymiocinach, zdrowi razem z chorymi, umierającymi i trupami. Połowa umierała na pełnym morzu, ci zaś, co przeżyli, w porcie przeznaczenia byli „tuczeni” i ich sprzedaż rekompensowała straty, bo na miejsce docierali tylko najsilniejsi i można było za nich uzyskać dobrą cenę. Handlarze stosujący metodę „luźnego pakunku”, przewozili mniejszą liczbę niewolników i w nieco znośniej szych warunkach, dzięki czemu nie tracili zbyt wielu podczas rejsu.

- Ten statek musi wieźć „ciasny pakunek”, dlatego czuje się go z odległości wielu mil - powiedział kapitan.

- Musimy pomóc tym biednym ludziom, kapitanie! - zawołał ze zgrozą Diego.

- Obawiam się, że w tym przypadku Sprawiedliwość nie może nic zrobić, przyjacielu.

- Jesteśmy uzbrojeni, mamy czterdziestu członków załogi, możemy zaatakować ten statek i uwolnić ich.

- Handel ludźmi jest nielegalny, ten ładunek to kontrabanda. Jeśli się zbliżymy, skuci łańcuchami niewolnicy zostaną wrzuceni do morza. I jeśli nawet byśmy ich uwolnili, nie mieliby dokąd pójść. Zostali schwytani we własnym kraju przez afrykańskich handlarzy. Jedni czarni sprzedają drugich, nie wiedział pan o tym?

Podczas tygodni żeglugi Diego nadrabiał czas utracony w trakcie pobytu u Cyganów, kiedy to on i Juliana musieli trzymać się na odległość. Na statku również nie mogli spotykać się na osobności, teraz jednak nie brakowało zachodów słońca i innych okazji, by razem wpatrywać się w morze, jak to od niepamiętnych czasów robili wszyscy zakochani. W takich momentach Diego ośmielał się objąć ukochaną za ramiona albo w pasie, a robił to z wielką delikatnością, aby jej nie spłoszyć. Czytywał jej na głos wiersze miłosne z tomików poezji, albowiem jego własne były tak banalne, że nawet on sam się ich wstydził. Był na tyle przezorny, że w La Coruñi kupił parę książek, które teraz okazały mu się wielce przydatne. Słuchając słodkich metafor, Juliana miękla; w ten sposób Diego przygotowywał ją na moment, kiedy brał jej dłoń i zatrzymywał w swoich. I nic poza tym, niestety. O pocałunkach nawet nie było co myśleć; nie z powodu braku inicjatywy ze strony naszego bohatera, ale ponieważ Isabel, Nuria, kapitan i czterdziestu marynarzy nie spuszczało tych dwojga z oka. Ponadto Juliana unikała okazji do spotkań za jakimiś przymkniętymi drzwiami - po części dlatego, że na statku nie było zbyt dużo drzwi, ale też z tego powodu, iż nie była pewna swych uczuć, mimo iż przeżyła u boku Diega całe miesiące, a on był jedynym jej adoratorem. Wyjaśniała to swej siostrze podczas poufnych rozmów, jakie zwykły prowadzić nocami. Isabel zachowywała swoją opinię dla siebie, gdyż to, co mogłaby powiedzieć, jedynie zwiększałoby szanse Diega u Juliany. A nie było to po jej myśli. Na swój sposób Isabel kochała go, odkąd skończyła jedenaście lat, ale to i tak nie miało żadnego znaczenia, albowiem Diego nigdy się tego nie domyślił. Nadal uważał Isabel za dzierlatkę z czterema łokciami i szopą sterczących włosów, których starczyłoby na dwie głowy, mimo iż z latami jej wygląd nieco się poprawił; teraz miała piętnaście i nie wyglądała tak źle jak wtedy, gdy się poznali.

Wiele razy widywali w oddali inne żaglowce. Kapitan przezornie je omijał, gdyż na pełnym morzu czyhało na nich wiele niebezpieczeństw, od statków pirackich do szybkich amerykańskich brygantyn gotowych zająć przewożony przez „Madre de Dios” ładunek broni. Amerykanom przydałby się każdy karabin, albowiem w owym czasie prowadzili wojnę z Anglią. Santiago de León nie zwracał szczególnej uwagi na bandery na masztach mijanych statków, gdyż często wciągano fałszywe, żeby oszukać niedoświadczonych kapitanów; ich pochodzenie ustalał na podstawie innych znaków; chwalił się, że zna wszystkie jednostki pływające na tym szlaku.

W ciągu tych tygodni ich statek wstrząsnęło wiele zimowych burz, jednak kapitan potrafił wyczuć je w powietrzu, zanim zapowiedział je barometr. Wydawał wówczas rozkaz, by zwinąć żagle, przywiązać co potrzeba i pozamykać zwierzęta. Po kilku minutach, kiedy zrywał się wiatr, a lustro morza zaczynało się marszczyć, na pokładzie wszystko było już dobrze zabezpieczone. Kobiety na czas burzy chroniły się w swoich kajutach. Fale przelewały się przez pokład, zmywając wszystko, co znalazły na swej drodze; wystarczyła chwila nieuwagi, by skończyć na dnie Atlantyku. Po ulewie

statek był czysty, świeży, pachniał drewnem, niebo i morze uciszały się, a horyzont wyglądał, jakby był z czystego srebra. Na powierzchnię wypływały rozmaite ryby i niejedna trafiała na patelnię Galileo i Nurii. Kapitan dokonywał pomiarów, aby skorygować kurs, załoga naprawiała niewielkie zazwyczaj szkody i powracała do swych codziennych rutynowych zajęć. Wodę deszczową, która zbierała się w rozpostartych żaglowych płótnach, zlewano do beczek i pozwalało to pasażerom na luksus zażywania kąpeli z mydłem, co w wodzie słonej było niemożliwe.

W końcu wpłynęli na wody Morza Karaibskiego. Zobaczyli wielkie żółwie, ryby pily, przezroczyste meduzy o długich mackach i olbrzymie ośmiornice. Pogoda wydawała się łaskawa, jednak kapitan był niespokojny. Ból w nodze zwiastował zmianę ciśnienia. Wcześniejsze krótkotrwałe burze nie przygotowały Diega i jego przyjaciółek na prawdziwy sztorm. Właśnie mieli skierować się do Portoryko, a stamtąd na Jamajkę, kiedy kapitan zakomunikował im, że czeka ich wielkie wyzwanie. Niebo było jasne, a morze spokojne, jednak nie upłynęło pół godziny, jak wszystko się zmieniło: gęste chmurzyska przesłoniły słońce, powietrze zrobiło się lepkie i nagle lunął rzęsimy deszcz. Wkrótce firmament przecięły pierwsze błyskawice, a na morzu podniosły się wielkie fale z grzywami piany. Drewniane części statku zaskrzypiały i zdawało się, że lada chwila wiatr porwie maszty. W ostatniej chwili zwinęli żagle. Kapitan i sternicy starali się panować nad statkiem, wspólnymi siłami przytrzymując stery. Jeden z marynarzy, krzepki Murzyn z Santo Domingo z dwudziestoletnim doświadczeniem, walczył ze sterem, nie przestając żuć tytoniu, obojętny na strugi wody, które go oślepiały. Statek to kołysał się na wierzchołku ogromnej fali, to spadał na dno przepastnej otchłani. Podczas gwałtownego przechyłu otworzyła się zagroda dla zwierząt i jedna z kóz wyfrunęła niczym kometa, niknąc gdzieś w niebie. Marynarze na pokładzie przytrzymywali się, czego tylko mogli, gdyż każdy poślizg oznaczał pewną śmierć. Trzy kobiety kulily się w swoich kajutach, chore ze strachu i mdłości. Nawet sam Diego, który chwalił się, że ma żelazny żołądek, zwymiotował; jednak nie on jeden; wielu członków załogi spotkało to samo. Pomyślał, że tylko człowiek ze swoją arogancją ma odwagę wyzywać żywioły, „Madre de Dios” była łupinką i w każdej chwili mogła się roztrzaskać.

Kapitan rozkazał zabezpieczyć ładunek, gdyż jego utrata oznaczałaby dla niego ruinę finansową. Sztorm trwał całe dwa dni i kiedy już wydawało się, że zaczyna słabnąć, w główny maszt uderzył piorun. Siłę uderzenia załoga odczuła niczym smagnięcie batem. Nadłamany długi i ciężki maszt przez kilka minut - które wystraszonej załodze wydawały się wiecznością - kołysał się złowrogo i na koniec złamał ostatecznie, pograżając się wraz z żaglem i płataniną lin w morzu i pociągając za sobą dwóch marynarzy, którzy nie zdążyli uskoczyć na czas. Statek przechylił się i pozostał w takiej pozycji, grożąc zatonięciem. Kapitan zaczął wykrzykiwać rozkazy i kilku członków załogi chwyciło za siekiery, by przeciąć liny łączące statek z masztem. Było to zadanie niezwykle trudne, gdyż smagał ich wiatr i oślebiał deszcz, a do tego zalewany falami pokład był pochylony i śliski. Zmagali się z linami przez dłuższą chwilę, w końcu jednak maszt odpłynął, unoszony przez fale. Tymczasem rozchwyany statek powoli powracał do właściwej pozycji. Marynarzy, którzy zniknęli w odmętach czarnego oceanu, nie można było już uratować.

W końcu wiatr i fale uspokoiły się nieco, ale padało i grzmiało nieprzerwanie przez resztę nocy. O świcie można było przystąpić do szacowania strat. Utonęło dwóch marynarzy, a wielu innych odniosło kontuzje i rany. Galileo Tempesta poślizgnął się i złamał rękę, jednak kość nie przebiła skóry, kapitan uznał zatem, że nie ma potrzeby jej amputować. Dał mu podwójną rację rumu, po czym z pomocą Nurii umieścił kości na powrót na swoim miejscu i unieruchomił ramię. Załoga zabrała się do wypompowywania wody z ładowni i do ponownego rozmieszczania ładunku, a kapitan przebiegał pokład z jednego krańca na drugi, oceniając sytuację. Statek był tak uszkodzony, że nie sposób było go naprawić na pełnym morzu. Sztorm zniósł ich z kursu, spychając na północ od Portoryko, jednakże kapitan uznał, że z dwoma masztami i żaglami, które im jeszcze zostały, zdołają dotrzeć na Kubę.

Pozbawieni głównego masztu żeglowali powoli, a podziurawiony statek nabierał wody. Dzielni marynarze nieraz przeżywali już podobne sytuacje i nie upadli na duchu, teraz jednak zaczęli szemrać między sobą, że to kobiety sprowadziły owo nieszczęście. Kapitan wygłosił do nich przemowę i zdołał zapobiec buntowi, jednak niezadowolenie marynarzy nie minęło. Już ich nie interesowały koncerty na harfie, nie chcieli jeść posiłków sporządzanych przez Nurii i odwracali wzrok, kiedy pasażerki wychodziły na pokład, żeby się przewietrzyć. Nocami statek ledwo posuwał się naprzód, płynąc po wzburzonych wodach w kierunku Kuby. Wkrótce ujrzeli rekiny, błękitne delfiny i wielkie żółwie, a także mewy, pelikany i latające ryby, które niczym odłamki skał spadały na pokład, gotowe do przyrzędzenia przez Tempeste. Ciepły wietrzyk i słaby aromat dojrzałych owoców zapowiadał bliskość lądu.

O świcie Diego wyszedł z kajuty, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Niebo zaczynało się przejaśniać, przybierając pomarańczowawe tony, w delikatnej jak welon porannej mgiełce rozmywały

się kontury przedmiotów i majaczyły światła pozapalanych latarni. Płynęli między dwiema wysepkami porośniętymi zagajnikami mangrowców. Statek kołysał się lekko na falach i - jeśli nie liczyć nieustannego skrzypienia drewna - panowała cisza. Diego przeciągnął się, odetchnął głęboko, żeby się na dobre rozbudzić, i pomachał do sternika zmerzącego w stronę swego stanowiska, a następnie jak co rano zaczął biec, żeby rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Koja była dla niego za krótka i spał skulony, kilka zaś okrążeń truchcikiem wokół statku pomagało mu rozjaśnić umysł i rozruszać ciało. Na dziobie wychylił się, żeby poklepać po głowie galion; był to krótki codzienny rytuał, którego skrupulatnie przestrzegał. I wtedy we mgle ujrzał jakiś kształt. Wydawało mu się, że może to być jakiś żaglowiec, chociaż nie był tego pewien. W każdym razie, jako że kształt ów znajdował się blisko, Diego postanowił zawiadomić kapitana. W chwilę później Santiago de León zapinając w pośpiechu spodnie, wyszedł ze swej kabiny z lunetą w ręce. Wystarczyło mu jedno spojrzenie. Natychmiast uderzył w dzwon na alarm, wzywając na pokład całą załogę, jednak było już za późno: po burtach „Madre de Dios” pięli się piraci.

Diego zobaczył żelazne kotwiczki abordażowe, ale nie było czasu na przecinanie przyczepionych do nich lin. Rzucił się do kajut na rufie, krzycząc do Juliany, Isabel i Nurii, aby pod żadnym pozorem nie wychodziły, schwycił szpadę, prezent od Pelaya, i ruszył na napastników. Pierwsi piraci ze sztyletami w zębach wdarli się już na statek. Marynarze wybiegli spod pokładu, próbując się bronić czym popadnie, a tymczasem kapitan wykrzykiwał rozkazy - daremnie, albowiem w jednej chwili wybuchła piekielna wrzawa i nikt go nie słyszał. Diego i kapitan ramię w ramię walczyli z półtuzinem bandziorów; byli to odrażający, naznaczeni straszliwymi bliznami, zarośnięci i uzbrojeni po zęby osobnicy: sztylety mieli nawet w butach, za pasem po dwa czy trzy pistolety, a w dłoniach krótkie szable. Podczas walki robili dużo hałasu, ryczeli jak tygrysy, lecz wykazywali się raczej walecznością niż techniką. Żaden z nich nie miał odwagi w pojedynkę zmierzyć się z Diegiem, ale kilku go otoczyło. Chłopak zdołał się przedrzeć przez krąg, raniąc dwóch napastników, następnie skoczył w stronę masztu i uchwycił się żagla, wdrapał się po szczeblach drabinki i złapał za linę, rozhuśtał się na niej i przeskoczył na drugą stronę pokładu, ani na moment nie spuszczać oczu z kajut kobiet. Drzwi do tych pomieszczeń były cienkie, dałyby się wyważyć jednym kopnięciem. Oby tylko żadnej nie przyszło do głowy wystawić stamtąd nosa. Po wspaniałym skoku wylądował tuż przed jednym z piratów, który z szablą w dłoni spokojnie na niego czekał. W odróżnieniu od pozostałych członków owej bandy obszarpańców ten wyglądał jak książę: ubrany był w czarny surdut z koronkowym kołnierzem i takimiz mankietami, w talii był przepasany żółtym jedwabnym pasem, na nogach miał czarne spodnie i wytworne wysokie buty ze złotymi sprzączkami, na szyi złoty łańcuch i złote pierścionki na palcach. Diego obrzucił go szybkim spojrzeniem i dostrzegł długie lśniące włosy, gładko ogoloną twarz, wyraziste czarne oczy i drwiący uśmiešek na cienkich wargach otaczających śnieżnobiałe zęby. Domyślił się, że człowiek ten - sądząc po jego stroju i postawie - musi być wodzem piratów. Elegancki mężczyzna pozdrowił go po francusku i wykonał pierwszy ruch szablą, która przeszła o włos od Diega. Ostrza ich broni skrzyżowały się i po trzech czy czterech minutach pojęli, że są ulepiani z tej samej gliny, że jeden jest wart drugiego. Obaj byli doskonałymi szermierzami. Chociaż była to walka na śmierć i życie, odczuwali autentyczną przyjemność z pojedynku z godnym siebie przeciwnikiem i nie umawiając się, uznali, że rywal zasługuje na walkę czystą. Ich starcie miało wymiar artystycznego widowiska; maestro Manuel Escalante mógłby być z Diega dumny.

Na pokładzie „Madre de Dios” każdy mógł liczyć tylko na siebie. Santiago de León rozejrzał się dokoła i w mgnieniu oka ocenił sytuację. Piratów było dwa albo trzy razy więcej, byli dobrze uzbrojeni, umieli się bić i mieli przewagę zaskoczenia. Jego ludzie byli spokojnymi marynarzami żeglugi handlowej, wielu z nich miało włosy poprzetykane siwizną i marzyło o porzuceniu morza i założeniu rodziny, nie było powodu, dla którego mieliby oddawać życie, broniąc cudzego ładunku. Kapitan nadludzkim wysiłkiem zdołał się wyrwać napastnikom i dwoma skokami dosięgnął dzwonu, wzywając załogę do poddania się. Marynarze usłuchali i pośród triumfalnego wrzasku piratów złożyli broń. Tylko Diego i jego przeciwnik zignorowali dzwon i dalej walczyli przez kilka minut, aż w końcu elegancki pirat został rozbrojony. Zwycięstwo Diega okazało się chwilowe, albowiem w jednej sekundzie znalazł się w kręgu szabli, które już dotykały jego muskułów.

- Zostawcie go, chcę go mieć żywego, ale nie spuszczać z niego oka! - rozkazał dowódca piratów, po czym doskonałą hiszpańszczyzną zwrócił się do Santiaga de León: - Jean Lafitte, do usług, kapitanie.

- Tego się obawiałem, panie. Coś takiego mógł zrobić tylko pirat Lafitte - odparł de León, ocierając pot z czoła.

- Tylko nie pirat, kapitanie. Mam patent korsarski wydany przez Republikę Cartageny.

- W tym wypadku to wszystko jedno. Czego możemy się spodziewać?

- Sprawiedliwego traktowania. Nie zabijamy, chyba że to absolutnie niezbędne. Powinniśmy się dogadać, bo leży to w naszym wspólnym interesie. Proponuję, abyśmy się porozumieli jak dżentelmeni. Pańskie nazwisko?

- Santiago de León, kapitan marynarki handlowej.

- Interesuje mnie wyłącznie pański ładunek, kapitanie de León, o ile jestem dobrze poinformowany, jest to broń i amunicja.

- Co się stanie z moją załogą?

- Oddamy wam wasze szalupy. Przy dobrym wietrze w ciągu dwóch dni dotrzecie na Bahamy albo na Kubę, wszystko jest kwestią szczęścia. Czy oprócz broni na pokładzie jest jeszcze coś, co mogłoby mnie zainteresować?

- Książki i mapy... - odparł Santiago de León.

I właśnie w tym momencie Isabel zdecydowała się wyjść ze swej kajuty w nocnej koszuli i na bosaka, z pistoletem ojca w ręce. Posłuszna rozkazowi Diega przesiedziała w zamknięciu aż do chwili, gdy odgłosy walki i huki wystrzałów ucichły, a wtedy nie wytrzymała i wiedziona ciekawością wyszła, żeby sprawdzić, jak skończyła się bitwa.

- Pardieu! Cóż za piękna dama... - zawołał Lafitte na jej widok.

Isabel wzdrygnęła się, zaskoczona, i opuściła broń; pierwszy raz ktoś tak o niej mówił. Lafitte podszedł bliżej, zatrzymał się o krok przed nią, skłonił się głęboko, wyciągnął rękę, a Isabel bez słowa sprzeciwu oddała mu pistolet.

- To komplikuje nieco sprawę... Ilu pasażerów jest na pokładzie? - zwrócił się z pytaniem do kapitana.

- Dwie panienki i ich ochmistrzyni, które podróżują z don Diegiem de la Vega.

- Ciekawe.

Lafitte i Santiago de León zamknęli się celem przedyskutowania warunków poddania. W tym czasie dwóch piratów pilnowało Diega, trzymając go na muszce pistoletów, pozostali zaś obejmowali „Madre de Dios” w posiadanie. Kazali się położyć marynarzom twarzą do ziemi z rękami na karku, sami zaś rozbiegli się po statku w poszukiwaniu łupów, rannych wzmacniali rumem, zabitych zaś wyrzucali do morza. Swoich poszkodowanych bardzo ostrożnie ułożyli w szalupach, z których dokonali abordażu i przewieźli ich na swoją brygantynę. Tymczasem Diego przemyślał, jak by się tu uwolnić i uratować siostry de Romeu. Nawet gdyby udało mu się do nich dotrzeć, nie miał pojęcia, jak mogliby uciec. Za przeciwników miał bandę rzeźmieszków i myślał, że któryś z nich mógłby dotknąć swoją łapą którejkolwiek z dziewcząt, doprowadzając go do szału. Musi pomyśleć na zimno, stwierdził; żeby znaleźć wyjście z tej sytuacji, potrzeba sprytu i szczęścia, znajomość szermierki na nic się tu nie przyda.

Santiago de León, jego dwaj oficerowie i ocalała część załogi jak zwykle w takich wypadkach kupili wolność za jedną czwartą swojej rocznej pensji. Marynarzom Lafitte zaoferował możliwość przyłączenia się do jego bandy, z czego niektórzy skorzystali. Korsarz wiedział, że kapitan i jego ludzie wywiążą się ze swoich zobowiązań finansowych, gdyż tak nakazywał honor; kto nie regulował długów, narażał się na pogardę nawet ze strony najlepszych przyjaciół. Czwórkę pasażerów Santiago de León miał przekazać Lafitte'owi, który zamierzał dostać za nich okup. Kapitan wyjaśnił mu, że dziewczęta są sierotami bez majątku, jednak korsarz mimo wszystko postanowił je ze sobą zabrać, albowiem w domach uciechy w Nowym Orleanie było wielkie zapotrzebowanie na białe kobiety. De León błagał go, aby uszanował dwie cnotliwe panienki, które już tyle wycierpiały i nie zasługiwały na taki straszny los, jednak Lafitte nie mógł sobie pozwolić na żadne sentymenty, bo najważniejszy był interes, a poza tym, jak powiedział, bycie kurtyzaną nie jest takie straszne; większość kobiet bardzo sobie chwali to zajęcie. Kapitan wyszedł ze spotkania błądzący jak ściana. Nie obchodziło go, że straci przewożoną broń - wręcz przeciwnie, poddał się tak szybko między innymi dlatego, że mierzył go ten ładunek - natomiast przerażała go myśl, że siostry de Romeu, które szczerze pokochał, miałyby skończyć w burdelu. Musiał poinformować swoich pasażerów o tym, jaki los ich czeka, dodając, że szansę na uwolnienie ma jedynie Diego de la Vega, jako że jego ojciec z pewnością zrobi wszystko, żeby go uratować.

- Ojciec zapłaci okup za Julianę, Isabel i Nurię pod warunkiem, że nikt ich nie tknie nawet palcem. Zaraz do niego napiszemy do Kalifornii - zapewnił Diego Lafitte'a, jednak ledwie to powiedział, poczuł w piersiach jakiś dziwny ucisk, niczym zapowiedź nieszczęścia.

- Poczta zwykle się spóźnia, tak więc przez kilka tygodni, a może miesięcy, dopóki nie otrzymam okupu, będziecie moimi gośćmi. W tym czasie nikt nie uchybi czci siostr. Mam nadzieję, że ojciec nie każe zbyt długo czekać na odpowiedź - odrzekł korsarz, nie odrywając oczu od Juliany.

Pod kobietami, które ledwo zdążyły się ubrać, nogi się ugięły, kiedy ujrzały na mostku bandę straszliwych łotrów, krew i rannych. A Juliana, której przerażenie było zresztą jak najbardziej zrozumiałe, drżała też z innego powodu: dostrzegła niepokojące spojrzenie Jeana Lafitte'a.

Piraci zacumowali swoją brygantynę, między burtami obu statków przerzucili mostki i na swój pokład zaczęli przenosić ładunek, podając go sobie z rąk do rąk, włącznie ze zwierzętami, baryłkami piwa i szynką. Nie spieszyli się, albowiem „Madre de Dios” teraz należała do Lafitte'a. Kapitan de León z kamienną twarzą przyglądał się tym manewrom, jednak serce mu waliło jak młotem, albowiem kochał ten statek jak narzeczoną. Na maszcie wroga obok flagi Nowej Granady, jak nazywano wówczas Kolumbię, zawisła jeszcze jedna, czerwona, zwana jolie rouge; był to znak, że zwyciężeni w zamian za okup mogą liczyć na uwolnienie. To nieco uspokoiło kapitana, bo świadczyło o tym, że korsarz zamierza dotrzymać danego słowa. Czarny proporzec z czaszką i dwiema skrzyżowanymi puszczelami oznaczałby, że walka toczyć się będzie dopóty, dopóki ostatni przeciwnicy nie zostaną wycięci w pień. Kiedy piraci uporali się już z ładunkiem, Lafitte pozwolił kapitanowi załadować na szalupy słodką wodę i prowiant oraz instrumenty nawigacyjne i odpłynąć ze swymi ludźmi. W tym momencie pojawił się Galileo Tempesta, który pod pretekstem, że ma złamaną rękę, przesiedział w ukryciu całą potyczkę, teraz zaś jako jeden z pierwszych rozsiadł się w szalupie. Kapitan pożegnał się z Diegiem i kobietami mocnym uściskiem dłoni i obietnicą, że się jeszcze spotkają. Życzył im szczęścia i nie oglądając się za siebie, wsiadł do jednej z łodzi. Nie chciał patrzeć, jak po „Madre de Dios”, która przez trzy dziesięciolecia była jego jedynym domem, buszują piraci.

Na wyładowanym po brzegi pirackim statku nie było jak się ruszyć. Ponieważ Lafitte na pełne morze nigdy nie wypływał na dłużej niż na kilka dni, mógł na swojej brygantynie zmieścić aż stu pięćdziesięciu członków załogi, choć nie powinna ona była liczyć więcej jak trzydziestu. Swoją kwaterę miał na wysepce Grande Isle, w bagnistej zatoce Baratarii, w pobliżu Nowego Orleanu. Tam czekał, aż jego obserwatorzy doniosą mu, że zbliża się jakaś potencjalna ofiara, a wtedy ruszał do ataku. Szturm przypuszczał zniemacka i szybko, we mgle albo pod osłoną nocy, kiedy statki zmniejszały prędkość albo się zatrzymywały. Działanie z zaskoczenia zawsze dawało mu wielką przewagę. Armat używał zazwyczaj do zastraszania wroga, a nie do zatapiania jego okrętów, dzięki czemu mógł je włączać do swojej floty składającej się teraz z trzynastu jednostek: były to brygantyny, galeoty, szkunery i nieduże feluki.

Na morzu Jean i jego brat Pierre byli w owym czasie najgroźniejszymi korsarzami w tym rejonie świata, jednak na stałym lądzie uchodzili za ludzi interesu. W końcu gubernatorowi Nowego Orleanu dojadły już nielegalne sprawy braci Lafitte, takie jak przemyt, handel niewolnikami i inne, i wyznaczył cenę pięciuset dolarów za ich głowy. W odpowiedzi Jean zaoferował tysiąc pięćset za głowę gubernatora. Ten uznał, że miarka się przebrała. Grandę Isle została zaatakowana, a cały towar skonfiskowany. Jean zdołał zbiec, ale Pierre na kilka miesięcy trafił do więzienia. Sytuacja się zmieniła, kiedy bracia Lafitte stali się sojusznikami wojsk amerykańskich. Generał Jackson przybył do Nowego Orleanu na czele kontyngentu wynędzniałych i chorych na malarię żołnierzy z misją obrony ogromnego terytorium Luizjany przed Anglikami. Nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie pomocy oferowanej przez braci Lafitte. Siły pirackie, które rekrutowały się z czarnych, białych i mieszaneńców, okazały się podczas bitwy decydujące. Jackson zmierzył się z wrogiem 8 stycznia 1815 roku, to jest na trzy miesiące przed tym, jak wbrew własnej woli znaleźli się w tych stronach nasi bohaterowie. Wojna między Anglią a jej dawną kolonią skończyła się na dwa tygodnie przed tą bitwą, jednak żadna ze stron o tym nie wiedziała. Dowodząc garstką ludzi rozmaitego pochodzenia, którzy posługiwali się różnymi językami, Jackson pokonał zorganizowaną i dobrze uzbrojoną dwudziestotysięczną angielską armię. Podczas gdy mężczyźni wyrzynali się wzajemnie w Chalmette o kilka mil od Nowego Orleanu, kobiety i dzieci modliły się w pobliskim klasztorze urszulanek. Po zakończeniu bitwy, kiedy przystąpiono do liczenia poległych, okazało się, że Anglia straciła dwa tysiące żołnierzy, podczas gdy Jackson zostawił na polu walki zaledwie trzynastu. Najodważniejsi i najbardziej zaciekli byli Kreole - ludzie kolorowi, ale wolni - i piraci. Kilka dni później na przybranych girlandami kwiatów ulicach Nowego Orleanu świętowano zwycięstwo, a piękne, ubrane na biało dziewczęta, z których każda reprezentowała inny stan Unii, ukoronowały generała Jacksona laurowym wieńcem. Wśród zgromadzonych byli również bracia Lafitte oraz ich piraci, którzy z banitów nagle stali się bohaterami.

Pierre Lafitte, który bezpośrednio nie uczestniczył w ataku na „Madre de Dios”, albowiem dowodził statkiem piratów, znacznie się różnił od swego brata; był nieokrzesany, a nawet ordynarny, miał krępa

budowę ciała, jasne włosy i połowę twarzy porażoną po ataku apopleksji. Nie znał umiaru w jedzeniu i piciu i tracił głowę na widok każdej młodej kobiety, jednak powstrzymał się przed zaczepianiem Juliany i Isabel, gdyż brat przypomniał mu, że interesy są ważniejsze od przyjemności. Za te dziewczęta mogą dostać niezłą sumkę.

Jean trzymał swój rodowód w tajemnicy, nikt nie wiedział, skąd pochodził, przyznawał się jedynie do swego wieku - trzydziestu pięciu lat. Był taktowny w obejściu i miał wytworne maniery, mówił wieloma językami, między innymi po francusku, hiszpańsku i angielsku, kochał muzykę i przeznaczał wielkie sumy na nowoorleańską operę. Podobał się kobietom, ale w przeciwieństwie do swego brata wolał drogę cierpliwych podbojów; był towarzyski, świetnie tańczył i lubił opowiadać dowcipy, z których większość wymyślał na poczekaniu. Powszechnie znana, wręcz legendarna, była sympatia Jeana Lafitte'a dla amerykańskiej sprawy; kapitanowie jego statków wiedzieli, że „kto napadnie na statek amerykański, zginie”. Trzy tysiące ludzi, którymi dowodził, mówiły do niego „boss”, czyli „szefie”. Wartość towaru, który barkasami i pirogami przewoził gmatwaniną kanałów delty Missisipi, sięgała milionów dolarów. Nikt nie znał tego regionu tak jak on i jego ludzie, władze nie były w stanie ani ich kontrolować, ani aresztować. Swoje pirackie zdobycze sprzedawał w oddalonym o kilka mil od Nowego Orleanu dawnym świętym miejscu Indian zwanym El Templo. Plantatorzy, Kreole - i ci bogaci, i ci nie tak zamożni - a nawet krewni gubernatora zaopatrywali się u niego we wszystko, co sobie tylko zamarzyli, albowiem w El Templo mogli to robić w radosnej jarmarcznej atmosferze, a przy tym nie płacąc podatków i po rozsądnych cenach. Również tam odbywały się licytacje niewolników, których Lafitte tanio kupował na Kubie i drogo sprzedawał w amerykańskich stanach, gdzie handel czarnymi był zakazany, ale niewolnictwo już nie. Porozwieszane po całym mieście plakaty informowały: „Przybывajcie do El Templo na bazar i licytację niewolników Jeana Lafitte'a! Stroje, klejnoty, meble i inne artykuły z za siedmiu mórz!”.

Jean zaprosił wzięte do niewoli kobiety na poczęstunek na pokładzie, ale one odmówiły opuszczenia przydzielonej im kajuty. W odpowiedzi z wyrazami głębokiego szacunku posłał im półmisek serów, wędlin i butelkę zanego hiszpańskiego wina zabraną z „Madre de Dios”. Juliana nie mogła przestać o nim myśleć i umierała z chęci poznania go, jednak uznała, że bezpieczniej będzie pozostać w zamknięciu.

Diego spędził owych czterdzieści godzin na pokładzie pod gołym niebem, związany jak baleron, bez jedzenia. Zabrano mu medalion Sprawiedliwości i kilka monet, jakie miał w kieszeni, od czasu do czasu dostawał trochę wody i kopniaka, jeśli za bardzo się miotał. Jean Lafitte podszedł kilka razy, zapewniając go, że na wyspie będzie miał nieco więcej wygód, i prosząc, by zechciał wybaczyć jego ludziom brak wychowania. Nieczęsto mieli do czynienia z osobami na poziomie, powiedział. Diego musiał przełknąć ironię, mamrocząc do siebie, że wcześniej czy później przytrze mu nosa. Najważniejsze to przeżyć. Bez niego siostry de Romeu zginą. Słyszał o orgiach, podczas których równie obficie lały się alkohol i krew, istnych seansach bezeceństwa i rozpasania, jakie piraci urządzali w swoich spelunkach po zwycięskich powrotach z niecnym wypadów, o tym że nieszczęsne więzione przez nich kobiety cierpiały najgorszą przemoc, o pohańbionych i okaleczonych ciałach ofiar, które na zakończenie owych bachanaliów po prostu zakopywano w ziemi. Starał się o tym nie myśleć, chciał się skupić wyłącznie na szukaniu sposobu ucieczki, lecz przed oczami ciągle miał owe koszmarnie wizje. Poza tym nie opuszczało go niemiłe przeczucie, jakie dopadło go już wcześniej. Miało coś wspólnego z jego ojcem, tego był pewien. Od tygodni nie mógł nawiązać kontaktu z Bernardem i postanowił ponownie spróbować, wykorzystując te dłużące się godziny. Skoncentrował się na przywoływaniu brata, ale telepatia nie działała pod wpływem woli, przesłania krążyły między nimi w sposób niekontrolowany i bezładny. Owa przedłużająca się dziwna cisza wydawała mu się bardzo złą wróżbą. Łamał sobie głowę, co też się mogło stać w Górnej Kalifornii, co się działo z Bernardem i rodzicami.

Wysepka Grande Isle w zatoce Barataria, gdzie bracia Lafitte mieli swoje imperium, płaska i bagnista - jak każdy kawałek ziemi w tym regionie - była spowita aurą tajemniczości i wonią stęchlizny. Kapryśny i gorący klimat, gdzie sielankowa cisza niemal w jednej chwili przeradzała się w niszczący huragan, sprzyjał przeżywaniu wielkich namiętności. Wszystko, od roślinności po ludzką duszę, szybko ulegało tutaj rozkładowi. Przy dobrej pogodzie, jaka panowała, gdy przybijali do brzegu, podmuchy ciepłego wietrzyku przynosiły słodka-wy zapach kwiatu pomarańczy, jednak w przerwach między nimi upał lał się na głowy niczym płynny ołów. Piraci wysadzili jeńców i pod eskortą odprowadzili do siedziby Jeana Lafitte'a usytuowanej na niewielkim wzgórzu wśród palm i powykrzywianych dębów z liśćmi przeżartymi solą z bryzgów morskiej wody. Zabudowania, osłonięte od wiatru płataniną krzewów, przez liście były ledwo widoczne. Kolorowy akcent stanowiły kwiaty oleandra. Dwupiętrowy dom Lafitte'a, wzniesiony z cegieł i otynkowany mieszaniną gipsu i mielonych muszli ostryg, utrzymany był w stylu hiszpańskim, miał żaluzje w oknach i szeroki taras z widokiem na

morze. Bynajmniej nie przypominał jaskini, jak to sobie wyobrażali więźniowie, lecz okazał się czysty, dobrze rozplanowany, a nawet luksusowy. Pokoje były obszerne i wysprzątane, widok z balkonów wspaniały, drewniane schody lśniły, ściany były świeżo pomalowane, a na każdym stole stały wazon z kwiatami, półmiski owoców i dzbany z winem. Dwie czarne niewolnice zaprowadziły kobiety do wyznaczonych im pokoi. Diegowi przyniesiono miednicę z wodą do umycia, po czym podano kawę, a następnie zaprowadzono na taras, gdzie w czerwonym hamaku w towarzystwie dwóch papug o jaskrawym kolorowym upierzeniu, przygrywając sobie na jakimś strunowym instrumencie, ze wzrokiem zatopionym w horyzont odpoczywał Jean Lafitte.

- Może pan wybierać: albo będzie pan moim więźniem, albo gościem, panie de la Vega. Jako więzień ma pan prawo próbować uciekać, a ja mam prawo wszelkimi środkami to panu uniemożliwić. Jako mój gość będzie pan dobrze traktowany, dopóki nie otrzymamy okupu od pańskiego ojca, ale - zgodnie z zasadą gościnności - będzie pan zobowiązany szanować mój dom i słuchać moich poleceń. Rozumiemy się?

- Zanim odpowiem, señor, muszę poznać pańskie plany wobec sióstr de Romeu, które są pod moją opieką - odparł Diego.

- Były, señor, ale już nie są. Teraz są pod moją. Ich los zależy od tego, co odpowie pański ojciec.

- Jeśli zgodzę się być pańskim gościem, skąd pan wie, że tak czy inaczej nie będę próbował uciekać?

- Bo nie zrobi pan tego bez sióstr de Romeu i da mi słowo honoru - odrzekł korsarz.

- Ma je pan, kapitanie Lafitte - powiedział Diego z rezygnacją.

- Bardzo dobrze. Zechce pan wraz ze swymi przyjaciółkami towarzyszyć mi za godzinę przy kolacji. Myślę, że mój kucharz państwa nie rozczaruje.

Tymczasem Juliana, Isabel i Nuria przeżywały kłopotliwe chwile. Kilku mężczyzn wniosło do jednego z przeznaczonych dla nich pokoi balie, które napełnili wodą; następnie pojawiły się trzy młode niewolnice z mydłem i szczotkami, dowodzone przez jakąś wysoką i piękną kobietę o posągowych rysach twarzy i długiej szyi, w strojnym turbanie na głowie, w którym wydawała się jeszcze o piędź wyższa, niż była. Przedstawiła się po francusku jako madame Odilia i wyjaśniła, że to ona sprawuje rządy w domu Lafitte'a. Poprosiła kobiety, aby zechciały zrzucić swe odzienie i wejść do balii. Żadna z nich nigdy w życiu nie rozbierała się do kąpieli, myjąc się, sięgały wstydliwie ręką pod cienkie bawełniane koszule, które miały na sobie. Gwałtowne protesty Nurii wywołały u niewolnic atak śmiechu, dama w turbanie zaś zapewniła, iż od kąpieli nikt jeszcze nie umarł. Isabel uznała, że tamta ma rację, i zdjęła, co miała na sobie. Zasłaniając sobie wstydliwie części rękami, Juliana poszła za jej przykładem. To wywołało nowe wybuchy śmiechu u Murzynek, które porównywały swoją skórę barwy hebanu z białą jak zastawa stołowa skórą dziewczyny. Aby rozebrać Nurię, kilka z nich musiało ją przytrzymać, a krzyki ochmistrzyni wstrząsały ścianami domu. Niewolnice wsadziły kobiety do balii i namydliły od stóp do głów. Kiedy minął pierwszy strach, okazało się nie jest to takie przykre, jak się zrazu wydawało, a nawet zaczęło się dziewczętom podobać. Nie wdając się w wyjaśnienia, Murzynki zabrały ich ubrania i przyniosły im bogate suknie z brokatu, niezbyt stosowne w gorącym klimacie. Choć niewątpliwie używane, były w dobrym stanie; jedna z nich miała na rąbku plamy krwi. Jaki los spotkał jej poprzednią właścicielkę? Czy też została uwięziona? Lepiej było nie wyobrazać sobie, co się z nią stało, ani tego, co może stać się z nimi. Isabel domyśliła się, że rozebrano je z takim pośpiechem na wyraźne polecenie Lafitte'a, który chciał się upewnić, że pod sukniami niczego nie ukrywają. Jednak na tę ewentualność były przygotowane.

W oczekiwaniu na kolację Diego postanowił wykorzystać tę ograniczoną wolność, jaką go obdarzył korsarz, i wyszedł przejść się po okolicy. Ludność pirackiego miasteczka o takiej samej nazwie jak zatoka, nad którą leżało, stanowili włóczędzy przybyli ze wszystkich zakątków świata. Ci z żonami i dziećmi mieszkali w chatkach z palmowych liści, kawalerowie zaś nie mieli stałego dachu nad głową. Oprócz warsztatów i kramów rzemieślników były tam lokale oferujące smakowite dania kuchni francuskiej i kreolskiej, bary i burdele. Żyjących na wyspie mężczyzn różnych ras, języków, wierzeń i zwyczajów łączyło nieposkromione poczucie wolności, jednak wszyscy oni przestrzegali praw obowiązujących w Baratarii, albowiem uznawali je za słuszne, a system rządów za demokratyczny. O wszystkim, nawet o wyborze lub odwołaniu kapitana, decydowano przez głosowanie. Zasady były jasne: tego, kto zaczepiał cudzą kobietę, wywożono na bezludną wysepkę i pozostawiano tam z karafką wody i naładowanym pistoletem; karą za kradzież była chłosta, a za morderstwo szubienica. Nie obowiązywało ślepe posłuszeństwo wobec szefa - chyba że na pełnym morzu czy w trakcie operacji wojennych - ale za łamanie ustalonych reguł postępowania trzeba było ponosić

konsekwencje. Ci dawni przestępcy, poszukiwacze przygód albo dezercerzy z okrętów wojennych, którzy dotąd spychani byli na margines życia, teraz byli dumni z przynależności do wspólnoty. Na statki mustrowali się tylko najodważniejsi, pozostali pracowali w kuźniach, gotowali, hodowali zwierzęta, naprawiali statki i łodzie, budowali domy, łowili ryby. Weterani bitew, sieroty i wdowy po tych, którzy zginęli w walkach, byli otaczani opieką. Jeśli jakiś marynarz tracił na morzu nogę albo rękę, otrzymywał odszkodowanie w złocie. Łup dzielono po równo między wszystkich mężczyzn, co nieco skapywało również wdowom, pozostałe kobiety niewiele się liczyły. Były wśród nich prostytutki, niewolnice, branki, a także bardzo niewielka grupa odważnych wolnych kobiet, które przybyły tu z własnej woli.

Na plaży Diego natknął się na pijaków, chyba ze dwudziestu, którzy mocowali się dla zabawy i w świetle ognisk zabawiali się z kobietami. Rozpoznał wśród nich wielu marynarzy z brygantyny, która napadła na „Madre de Dios”, i uznał, że to dobra okazja, by odzyskać medalion Sprawiedliwości, jaki jeden z nich zdarł mu z szyi.

- Posłuchajcie mnie, panowie! - zawołał.

Udało mu się zwrócić na siebie uwagę mniej pijanych. Kobiety pozbierały swoje suknie i pospiesznie się oddaliły. Diego zobaczył wokół siebie opuchnięte od alkoholu twarze, oczy nabiegłe krwią, bezzębne ubliżające mu usta, łapska, które już sięgały po noże. Nie dał piratom czasu, żeby się skrzyknęli.

- Chcę się nieco zabawić. Czy któryś z was odważy się ze mną zmierzyć? - zapytał.

Chór głosów z entuzjazmem odpowiedział mu twierdząco, koło zamknęło się. Diego poczuł pot i oddechy mężczyzn przesiąknięte alkoholem, zapachem tytoniu i czosnku.

- Nie wszyscy naraz, proszę. Zacznę od tego śmiałka, który ma mój medalion, a potem rozprawię się po kolei z każdym z was. Co wy na to?

Kilku korsarzy padło na plecy na piasek i ze śmiechu zaczęło wierzgać nogami w powietrzu. Pozostali naradzili się między sobą i na koniec jeden z nich rozchylił brudną koszulę i pokazał medalion; bardzo chętnie powalczy z tym delikacikiem z rączkami jak u baby, co to jeszcze pachnie mleczkiem mamusi. Diego chciał się upewnić, że to rzeczywiście jego klejnot. Mężczyzna zdjął go z szyi i pomachał mu nim przed nosem.

- Nie trać z oczu mojego medalionu, przyjacielu, bo ani się spostrzeżesz, jak ci go odbiorę - powiedział Diego prowokująco.

Tamten błyskawicznie wydobyl z pasa krótki sztylet i próbował otrząsnąć się z alkoholowego zamroczenia, a pozostali rozstąpili się, żeby zrobić im miejsce. Pirat ruszył na Diega, który czekał na niego, mocno stojąc stopami na piasku. Nie na darmo zagłębiał się w tajniki walki wręcz w Sprawiedliwości. Atak przeciwnika odparł trzema jednoczesnymi ruchami: skierował w bok jego uzbrojoną dłoń, zrobił unik i przypadł do ziemi. Rozpędzony pirat stracił równowagę, wtedy Diego chwycił go za ramię i poderwał do góry, tak że tamten zrobił fikołka w powietrzu. W chwili, gdy wylądował na plecach, Diego postawił mu stopę na nadgarstku i wyrwał z dłoni sztylet. Następnie zwrócił się w stronę widzów z krótkim ukłonem.

- Gdzie jest mój medalion? - zapytał, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

Podszedł do najwyższego, stojącego o kilka dobrych kroków od niego, i zarzucił mu, że go schował. Mężczyzna wydobyl z pochwy sztylet, ale Diego powstrzymał go gestem i poprosił, aby zdjął czapkę. Zdezorientowany mężczyzna usłuchał, a wtedy Diego sięgnął dłonią do czapki i zręcznym ruchem wyciągnął z niej klejnot. Zaskoczenie sparaliżowało pozostałych, którzy nie wiedzieli, czy śmiać się, czy zaatakować Diega, aż na koniec wybrali to, co najbardziej odpowiadało ich temperamentom: postanowili dać nauczkę temu bezczelnemu świszczypale.

- Wszyscy na jednego? Nie sądzicie, że to tchórzostwo? - prowokował ich Diego krążąc ze sztyletem w dłoni, gotowy do skoku.

- Ten kawaler ma rację, byłoby to niegodne was tchórzostwo - rozległ się czyjś głos.

Był to Jean Lafitte, uprzejmy i uśmiechnięty, który zachowywał się jak ktoś, kto wyszedł na spacer poodychać świeżym powietrzem, jednak dłoń opierał na pistolecie. Ujął Diega za ramię i spokojnie odprowadził na bok; nikt nie próbował ich zatrzymać.

- Ten medalion musi być bardzo cenny, skoro ryzykuje pan dla niego życie - zauważył Lafitte.

- Dała mi go moja babcia na łożu śmierci - zażartował Diego. - Za niego będę mógł kupić wolność moją i moich przyjaciółek, kapitanie.

- Obawiam się, że nie jest tyle wart.

- Okup za nas może nigdy nie nadejść. Kalifornia jest bardzo daleko, po drodze zawsze może się coś zdarzyć. Jeśli pan pozwoli, pojedę do Nowego Orleanu zagrać w karty. Postawię ten medalion i wygram dosyć, aby wykupić naszą wolność.

- A jeśli pan przegra?

- W takim razie będzie pan musiał poczekać na pieniądze od mojego ojca. Ale ja nigdy nie przegrywam.

- Bardzo osobliwy z pana młodzian, myślę, że coś nas łączy - roześmiał się pirat.

Tego wieczoru zwrócono Diegowi Justinę oraz kufer z ubraniem wyniesiony z „Madre de Dios” przez jednego z piratów; nie mógł go otworzyć, więc zabrał kufer ze sobą sądząc, że zawiera coś cennego. Czwórka jeńców spożywała kolację w jadalni Lafitte'a. Gospodarz - cały w czerni, ogolony i ze świeżo utrefionymi włosami - wyglądał bardzo elegancko. Diego pomyślał, że w porównaniu z nim jego strój Zorro prezentował się żałośnie; musi skopiować niektóre pomysły korsarza, choćby taki pas w talii albo sute rękawy koszuli. Na posiłek składały się dania pochodzenia afrykańskiego, karaibskiego oraz kuchni Cajunów, jak nazywano przybyszów z Kanady: gumbo z kraba, czerwona fasola z ryżem, smażone ostrygi, pieczony indyk nadziewany włoskimi orzechami i rodzynkami, ryba w przyprawach i zrabowane z francuskich galeonów najlepsze wina, których gospodarz zaledwie skosztował. Nad stołem, rozpięty na drewnianej ramie, wisiał kawał płótna służący do wachlowania i odganiania much, wprawiany w ruch przez małe Murzyniátko, które pociągało za linkę, na balkonie zaś trzech muzyków grało urokliwą mieszankę rytmów karaibskich i pieśni afrykańskich. Milcząca jak grób madame Odilia, stojąc w drzwiach, dyrygowała podającymi do stołu niewolnicami.

Juliana pierwszy raz mogła się przyjrzeć Jeanowi Lafitte z bliska. Kiedy korsarz pochylał się, żeby ucałować jej dłoń, uznała, że długa, wielomiesięczna podróż dokoła świata tutaj się kończyła. Odkryła, dlaczego nie chciała poślubić żadnego ze swych pretendentów, dlaczego odrzuciła Rafaela Moncadę, doprowadzając go do szaleństwa, i dlaczego przez pięć lat nie odpowiadała na awanse Diega. Całe życie przygotowywała się na coś, co w jej ulubionych romantycznych powieściach określano jako „strzałę Amora”. Jak inaczej można by opisać tę nagłą miłość? Było to niczym uderzenie strzały prosto w pierś, ostry ból, rana. (Wybaczcie mi, zacni czytelnicy, ową banalną metaforę, ale wyświechtane frazesy kryją w sobie wielkie prawdy). Ciemne spojrzenie Lafitte'a zatoneło w zielonej toni jej oczu i męska ręka o długich palcach ujęła jej dłoń. Juliana zachwiała się, jakby miała upaść; nie było to nic nowego, gdyż pod wpływem silnych wzruszeń zwykle traciła równowagę. Isabel i Nuria sądziły, że to reakcja wywołana strachem przed korsarzem, albowiem objawy były podobne, lecz Diego od razu pojął, że coś nieodwołalnie odmieniło jego los. W porównaniu z Lafitte'em Rafael Moncada i pozostali adoratorzy wzdychający do Juliany wypadali niezwykle blado. Madame Odilia również zauważyła, jakie wrażenie wywarł korsarz na dziewczynie i podobnie jak Diego domyśliła się, że sprawa jest poważna.

Lafitte podprowadził je do stołu i usiadł u jego szczytu. Juliana patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, lecz on gawędząc sobie miło z gośćmi, ignorował ją, a robił to tak dobrze, że Isabel zaczęła się zastanawiać, czy korsarzowi czegoś nie brakuje. Może utracił swą męskość w jakiejś bitwie, takie rzeczy się zdarzają, wystarczy jedna zabłąkana kula, aby najciekawsza część ciała mężczyzny została zredukowana do rozmiarów suchej figi. Nie było innego wyjaśnienia dla takiego traktowania jej siostry.

- Jesteśmy wdzięczni za pańską gościnność, señor Lafitte, chociaż została nam narzucona siła, jednak nie wydaje mi się, aby to siedlisko piratów było odpowiednim miejscem dla panien de Romeu - powiedział Diego, uznawszy, że Juliana nie powinna tu przebywać ani chwili dłużej.

- Jakie inne rozwiązanie może pan zaproponować, señor de la Vega?

- Słyszałem, że w Nowym Orleanie jest klasztor urszulanek. Panienki mogłyby tam poczekać, aż przyjdą wieści od mojego ojca...

- Pierwej umrę, niż pójdę do sióstr! Nie ruszę się stąd! - przerwała mu Juliana z niespotykaną dotąd u niej zapalczywością.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę. Była zarumieniona, rozgorączkowana i pod ciężką brokatową suknią pocila się jak mysz. Wyraz jej twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości: była gotowa zamordować każdego, kto by spróbował rozdzielić ją z jej piratem. Diego otworzył usta, ale nie wiedział, co powiedzieć. Był wstrząśnięty. Jean Lafitte przyjął wybuch Juliany z pewnym lękiem, ale odebrał to jako upragnione przesłanie, niemal jak pieszczotę. Starał się unikać dziewczyny, powtarzając sobie w duchu to samo, co zawsze mówił swemu bratu Pierre'owi: „Najpierw interesy, a

potem przyjemności", jednak najwyraźniej ona była tak samo zakochana jak on. Ów nieodparty pociąg, jaki do niej czuł, niepokoił go, chełpił się wszak, iż nigdy nie traci głowy. Nie był mężczyzną impulsywnym, często przebywał w towarzystwie pięknych dam. Najbardziej lubił Mulatki, słynące ze swego wdzięku i urody, wyćwiczone w spełnianiu najszybszych męskich kaprysów. Białe kobiety wydawały mu się wyniosłe i skomplikowane, często zapadały na zdrowiu, nie umiały tańczyć, a gdy przychodziło do kochania, niewielki był z nich pożytek, albowiem martwiły się, że potargają sobie włosy. Ale jednak ta młoda Hiszpanka o kocich oczach była inna. Urodą mogła konkurować z najsłynniejszymi Kreolkami z Nowego Orleanu, a jej niewinność najwyraźniej nie kolidowała z namiętnością. Stłumił westchnienie, próbując powściągnąć wyobraźnię.

Przez resztę wieczoru wszyscy siedzieli jak na szpilkach. Rozmowa co chwila się rwała. Diego patrzył na Julianę, ona na Lafitte'a, reszta biesiadników zaś z wielką uwagą przyglądała się swoim talerzom. W domu było gorąco i duszno, więc po kolacji korsarz zaprosił wszystkich na taras, gdzie mieli napić się czegoś na ochłodę. Z sufitu zwisał się wachlarz z palmowych liści poruszany delikatnie przez jednego z niewolników. Lafitte wziął gitarę i dobrze postawionym, miłym głosem zaczął śpiewać. Na koniec Diego stwierdził, że są zmęczeni i powinni udać się na spoczynek. Juliana zgromiła go wzrokiem, ale nie odważyła się zaprotestować.

Nikt nie spał w całym domu. Zza okna dobiegał koncert ropuch i daleki odgłos bębnow, noc wlokła się przeraźliwie powoli. Nie mogąc dłużej wytrzymać, po katalońsku, tak aby niewolnica, która im usługiwała, nie mogła jej zrozumieć, Juliana wyjawiała swój sekret Nurii i Isabel.

- Teraz wiem, co to miłość. Chcę poślubić Jeana Lafitte'a - powiedziała.
- Święta Maryjo, wybaw nas od tego nieszczęścia - wyszeptła Nuria, robiąc znak krzyża.
- Jesteś jego branką, a nie narzeczoną. Jak zamierzasz rozwiązać ten drobny problem? - dopytywała się Isabel nie bez zazdrości, albowiem na niej ów korsarz również zrobił ogromne wrażenie.
- Jestem gotowa na wszystko, nie mogę bez niego żyć - odparła Juliana z obłudą w oczach.
- To się Diegowi nie spodoba.
- Co tam Diego! Mój ojciec przewraca się w grobie, ale nie dbam o to! - zawołała Juliana.

Diego nie mógł nie dostrzec przeistoczenia swej ukochanej. W drugim dniu niewoli w Baratarii Juliana pojawiła się pachnąca mydłem, ze spływającymi na plecy luźno rozpuszczonymi włosami, w podkreślającej jej wdzięki zwiewnej sukni, którą dostała od jednej z niewolnic. Tak ubrana zeszła w południe na śniadanie przygotowane przez madame Odilię. Jean Lafitte już na nią czekał i po błysku w jego oczach na widok Juliany można się było zorientować, że bardziej mu się podobał ów nieformalny styl ubierania niż moda europejska, która w owym klimacie była nie do przyjęcia. Tym razem także powitał dziewczynę pocałunkiem w rękę, jednak trwał on wyraźnie dłużej niż w dniu poprzednim. Służące wniosły soki z owoców z lodem sprowadzonym rzeką w skrzyniach z trocinami z odległych gór; był to luksus, na jaki mogli sobie pozwolić tylko bogacze. Podniecona i rozmowna Juliana, zazwyczaj bez apetytu, wypła dwie szklanki lodowatego napoju i łapczywie pochłaniała wszystko, co było na stole. A kiedy potem zaczęła z korsarzem gawędzić przyciszonym głosem, Diegowi i Isabel zrobiło się ciężko na duszy. Udało im się uchwycić strzępki rozmowy i zdali sobie sprawę, że Juliana bada teren, wypróbując swoją uwodzicielską broń, po którą nigdy wcześniej nie miała potrzeby sięgać. Śmiejąc się i trzepocząc rękami, właśnie tłumaczyła korsarzowi, że jej i siostrze nie zaszkodziłoby trochę wygód. Na początek harfa, fortepian i jakieś nuty, a także książki, najlepiej powieści i poezje, oraz lekkie stroje. Straciła wszak wszystko, co miała, i to z czyjej winy? - mówiła z nadąsaną minką. Poza tym chciałyby móc swobodnie chodzić po okolicy oraz mieć nieco prywatności, przeszkadza im ten nieustanny nadzór niewolnic. „A przy okazji, señor Lafitte, muszę panu powiedzieć, że nienawidzę niewolnictwa, to nieludzka praktyka”. Na to on odparł, że jeśli będą same spacerować po wyspie, spotkają prostych ludzi, nienawykłych do obcowania z tak delikatnymi panienkami jak ona i jej siostra. Dodał, że niewolnice są nie po to, aby ich pilnować, lecz aby im usługiwać i odpędzać komary, myszy i żmije, które wdzierają się do pokoi.

- Proszę dać mi miotłę, a sama zajmę się tym problemem - odpowiedziała z zalotnym uśmiechem, jakiego Diego nigdy wcześniej u niej nie widział.

- Co do pozostałych rzeczy, o które pani prosi, señorita, to może znajdziemy je na moim bazarze. Po sjeście, kiedy zrobi się trochę chłodniej, pojedziemy wszyscy do El Templo.

- Nie mamy pieniędzy, jednak zakładam, że pan zapłaci, skoro sprowadził nas pan tutaj siłą - odparła z kokieterią.

- Będzie to dla mnie zaszczyt, señorita.
- Może pan do mnie mówić po imieniu.

Owej wymianie grzeczności z taką samą uwagą co Diego i Isabel przysłuchiwała się z kąta sali madame Odilia. Jej obecność przypomniała Jeanowi, że nie może dalej kroczyć tą niebezpieczną ścieżką, ma obowiązki, przed którymi nie może się uchylać. Zdeterminowany, postanowił powiedzieć Julianie prawdę. Przywołał gestem piękność w turbanie i szepnął jej coś do ucha. Zniknęła na parę minut i wróciła z jakimś zawiniątkiem w ramionach.

- Madame Odilia jest moją teściową, a to mój syn Pierre - wyjaśnił pobladły Jean Lafitte.

Diego krzyknął z radości, a Juliana ze zgrozy. Isabel wstała i madame Odilia pokazała jej zawiniątko. Isabel nie lubiła dzieci, wolała psy, jednak musiała przyznać, że ten małeć był sympatyczny. Miał zadarty noseć i oczy takie same jak ojciec.

- Nie wiedziałam, że jest pan żonaty, panie piracie... - zauważyła Isabel.
- Korsarzu - poprawił ją Lafitte.
- Niech będzie korsarzu. Czy moglibyśmy poznać pańską małżonkę?
- Obawiam się, że nie. Ja sam nie widziałem jej już od kilku tygodni, jest osłabiona i nikogo nie przyjmuje.
- Jak się nazywa?
- Catherine Villars.
- Wybaczcie, jestem bardzo zmęczona... - wyszeptała Juliana słabym głosem.

Diego odsunął jej krzesło i odprowadził ją, udając zmartwionego, chociaż był zachwycony takim obrotem spraw. Cóż za niebywale szczęście! Julianie nie pozostanie nic innego, jak zmienić obiekt swoich uczuć. I nie chodziło tylko o to, że Lafitte był trzydziestopięcioletnim starcem, kobieciarzem, kryminalistą, przemytnikiem i handlarzem niewolników, albowiem dziewczyna taka jak Juliana wszystko to z łatwością potrafiła darować, ale że ma żonę i maleńkie dziecko. Dzięki Ci, Boże! Nie można było prosić o nic więcej.

Po południu Diego i Isabel udali się z Lafitte'em do El Templo, natomiast Nuria została z Julianą, bo ktoś musiał przykładać zimne okłady na jej rozpalone gorączką czoło. Łódką z czterema wiosłarzami popłynęli przez labirynt cuchnących bagien. Nad brzegami wylegiwały się tuziny kajmanów, a w wodzie zygakiem przepływały węże. Wszystkie kanały wyglądały identycznie, teren był płaski, nigdzie nie było widać ani jednego pagórka, który w tym morzu wybujałych traw mógłby posłużyć jako punkt odniesienia. Drzewa korzeniami tkwiły w wodzie, a z ich gałęzi zwisały się pęki mchu przypominające peruki. Piraci znali każde zakole rzeki, każde drzewo, każdą skałę w tej okolicy jak z koszmarnych snów i bez wahania posuwali się naprzód. Dotarwszy do El Templo, podróżni ujrzeli płaskie barki, którymi piraci przewozili towar, oraz pirogi i łodzie kupujących, chociaż większość z nich przybywało drogą lądową konno lub w okazałych powozach. Samo doborowe towarzystwo, od arystokratów po kolorowe kurtyzany, wyznaczyło sobie tu spotkanie. Panowie odpoczywali w porozstawianych przez niewolników namiotach, jedząc i popijając wino, natomiast damy obchodziły bazar, oglądając wystawiony towar. Piraci krzykiem zachwalali tkaniny z Chin, srebrne dzbany z Peru, meble z Wiednia, klejnoty ze wszystkich stron świata, wety, artykuły niezbędne w kobiecej gotowni; niczego nie brakowało na tym jarmarku, gdzie targowanie się stanowiło część zabawy. Pierre Lafitte już tam był i trzymając w ręku żyrandol z kryształków w kształcie łez, wykrzykiwał, że na wszystko obowiązują śmiesznie niskie ceny, kupujcie, messieurs et mesdames, albowiem druga taka okazja się nie zdarzy. Przybycie Jeana i jego towarzyszy wywołało szepty zaciekawienia. Kilka kobiet, wyglądających tajemniczo pod parasolkami w wesołych barwach, podeszło do atrakcyjnego korsarza; jedną z nich była żona gubernatora. Kawalerowie przyglądali się Isabel rozbawieni widokiem jej nieposkromionych włosów, które pod wpływem wilgoci poskręcane i zbite jak materac wystrzeliły we wszystkich kierunkach i teraz były podobne do mchu porastającego drzewa. W owej społeczności białych na jedną kobietę przypadało dwóch mężczyzn i każda nowa twarz była mile widziana, nawet tak osobliwa jak twarz Isabel. Jean dokonał prezentacji, nie wspominając ani słowem o tym, w jaki sposób zdobył swych nowych „przyjaciół”, po czym udał się na poszukiwanie przedmiotów wymienionych przez Julianę, chociaż wiedział, że żaden podarunek nie zdoła pocieszyć jej po ciocie, jaki jej zadał, tak otwarcie i kategorycznie mówiąc o Catherine. Nie było innej rady, musiał zdusić w zarodku ów pociąg, jaki nawzajem do siebie czuli, zanim ten zniszczy ich oboje.

W tym czasie w Baratarii Juliana leżała w łóżku, chora z miłości i upokorzona. Lafitte rozpałił w niej jakiś szatański płomień i teraz całą siłą swej woli musiała zwalczyć w sobie pokusę odebrania go Catherine Villars. Jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło jej do głowy, to wstąpić do klasztoru urszulanek w Nowym Orleanie i do końca życia opiekować się chorymi na ospę; przynajmniej będzie oddychać tym samym powietrzem co jej ukochany. Czuła, że już nigdy nie będzie mogła spojrzeć nikomu w oczy. Była zmieszana, zawstydzona, rzuciła się niespokojnie, jakby oblaży ją tysiące mrówek, siadała, chodziła, padała na łóżko, przewracała się w pościeli. W pewnej chwili pomyślała o dziecku i jeszcze rzewniej zapłakała. „Nie ma takiej choroby, która by trwała sto lat, dziecinko, to szaleństwo też ci minie, nikt przy zdrowych zmysłach nie zakochuje się w piracie” - pocieszała ją Nuria. W tej właśnie chwili weszła madame Odilia, pytając, jak się panienka czuje. Na tacy niosła kieliszek jerezu i ciasteczka. Juliana uznała, że to dla niej jedyna okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Chowając głęboko swą zranioną dumę i połykając łzy, postanowiła z nią porozmawiać.

- Czy możecie mi powiedzieć, madame, czy Catherine jest niewolnicą?

- Moja córka jest wolna, tak jak ja. Moja matka była królową Senegalu i ja też byłabym tam królową. Mój ojciec i ojciec moich córek to biali, byli właścicielami plantacji trzciny cukrowej na Santo Domingo. Musieliśmy stamtąd uciekać podczas buntu niewolników - odparła z dumą madame Odilia.

- Rozumiem, że biali nie mogą zawierać małżeństw z kolorowymi... - upierała się Juliana.

- Biali żenią się z białymi, ale ich prawdziwymi żonami jesteśmy my. Nie potrzebujemy błogosławieństwa księdza, wystarczy nam sama miłość. Jean i Catherine się kochają.

Juliana ponownie wybuchnęła płaczem. Nuria uszczypnęła ją, żeby się opanowała, ale to tylko zwiększyło rozpacz dziewczyny, która poprosiła madame Odilię, aby pozwoliła jej zobaczyć się z Catherine. Może w ten sposób będzie jej łatwiej poskromić miłosny szal, powiedziała.

- To niemożliwe. Napijcie się, panienko, dobrze wam to zrobi - po tych słowach madame Odilia odwróciła się na pięcie i odeszła.

Juliana czterema łapczywymi łykami wychyliła zawartość kieliszka. Kilka minut później zasnęła i spała jak zabita trzydzieści sześć godzin. Jerez, do którego dodano środka nasennego, nie uleczył jej z namiętności, ale - jak przepowiedziała madame Odilia - dodał jej sił. Obudziła się obolała na całym ciele, ale z jasnym umysłem, zdecydowana stawić czoło przyszłości i wybić sobie Lafitte'a z głowy.

Korsarz także postanowił wyrwać Julianę ze swego serca i poszukać jakiegoś miejsca z dala od domu, dokąd mógłby ją przenieść, aby nie torturować się jej bliskością. Dziewczyna unikała go, nie schodziła na posiłki, lecz wyczuwał jej obecność przez ściany. Wydawało mu się, że widzi jej postać w korytarzach, słyszy głos na tarasie, czuje jej zapach, ale był to tylko jakiś cień, jakiś ptak, aromat przyniesiony przez morską bryzę. Niczym zwierzę w klatce krążył po całym domu z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami, szukając Juliany. Pomysł Diega z klasztorem urszulanek mu się nie podobał, byłoby to jak skazywanie jej na więzienie. Znał w Nowym Orleanie wiele Kreolek, które mogłyby przyjąć dziewczynę pod swój dach, jednak ryzykował, że rozniesie się wieść, iż więzi kobietę. Gdyby wiadomość ta dotarła do władz amerykańskich, miałby poważne kłopoty. Mógł przekupić sędziego, ale nie gubernatora; wystarczyłoby jedno potknięcie, a za jego głowę znowu wyznaczono by cenę. Rozważał nawet możliwość, żeby zapomnieć o okupie i natychmiast odesłać więźniów do Kalifornii, w ten sposób uwolniłby się od kłopotów, w jakie się wpakował, jednak do tego potrzebował zgody brata Pierre'a, pozostałych kapitanów i reszty piratów; taka była zła strona ich demokracji. Myślał o Julianie, porównując ją ze słodką i uległą Catherine, dziewczynką, która w wieku czternastu lat została jego żoną, a teraz dała mu syna. Catherine bezwarunkowo zasługiwała na jego miłość. Tęsknił za nią. Tylko jej przedłużającą się nieobecnością mógł wytłumaczyć fakt, iż zakochał się w Julianie; gdyby w nocy mógł obejmować swoją żonę, nigdy by do tego nie doszło. Od chwili, gdy wydała na świat synka, Catherine ginęła w oczach. Szukając dla niej ratunku madame Odilia oddalają pod opiekę afrykańskich znachorek z Nowego Orleanu. Lafitte nie protestował, albowiem medycy już położyli na niej krzyżyk. Kiedy tydzień po porodzie Catherine nadal trawiona była gorączką, madame Odilia uznała, że to jakaś zazdrosna rywalka rzuciła na nią urok i tylko magia może ją uratować. Oboje z Jeanem zawieźli Catherine, która nie była w stanie utrzymać się na nogach, na konsultację do Marie Laveau, najwyższej kapłanki wudu. Zapuscili się w najgłębsze lasy, między wysepki i mokradła, gdzie z dala od należących do białych plantacji trzciny cukrowej bębny zaklinały duchy. W świetle ognisk i pochodni kapłani z ciałami wymalowanymi krwią kogutów tańczyli w maskach przedstawiających zwierzęta i demony. Głosy potężnych bębnow wibrowały, wstrząsając lasem i burząc krew niewolników. Jakaś niezwykła energia łączyła istoty ludzkie z bogami i przyrodą, uczestnicy obrzędu zlewali się w jedną istotę, nikt nie mógł wyzwolić się spod mocy czarów. W środku koła, na skrzyni ze świętym węzłem, tańczyła Marie Laveau, wyniosła, piękna, złana potem, prawie naga, w ostatnim miesiącu ciąży. Wpadłszy w trans bez opamiętania potrząsała członkami, skręcała się, brzuch

przelewał się jej z boku na bok, a ona wyrzucała z ust litanię słów w językach, których nikt już nie pamiętał. Pieśń wznosiła się i opadała falami, a w tym czasie naczynia z krwią ofiar przechodziły z rąk do rąk, aby wszyscy obecni mogli się napić. Bębny grały coraz szybciej, mężczyźni i kobiety padali w konwulsjach na ziemię, zachowywali się jak zwierzęta, jedli trawę, gryźli i drapali, niektórzy tracili zmysły, inni łączyli się w pary i odchodzili w stronę lasu. Madame Odilia wyjaśniła korsarzowi, że w religii wudu, która dotarła do Nowego Świata przeniesiona w sercach niewolników należących do plemion Dahomej i Joruba, istniały trzy łączące się ze sobą światy: żywych, martwych i tych, którzy jeszcze się nie narodzili. W obrzędach czczono pamięć przodków, wzywano bogów, błagano o wolność. Kapłanki takie jak Marie Laveau rzuciły uroki, wbijały szpilki w lalecзки, aby sprowadzać choroby i za pomocą magicznych proszków gris-grís leczyły wiele dolegliwości, jednak żaden z tych sposobów w przypadku Catherine nie zadziałał.

Mimo iż Lafitte go więził i był jego rywalem w miłosnych podchodach, Diego nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla tego człowieka. Jako korsarz nie miał skrupułów ani litości, ale kiedy pozował na dżentelmena, nikt nie mógł go prześcignąć pod względem dobrych manier, kultury osobistej i uroku. Jego podwójna osobowość fascynowała Diega, albowiem on sam doświadczał czegoś podobnego. Ponadto Lafitte był jednym z najlepszych szermierzy, jakich znał. Tylko Manuel Escalante mógł się z nim równać; Diego czuł się zaszczycony, ilekroć ten, który go więził, krzyżował z nim szpadę w przyjacielskich pojedynkach. W trakcie owych tygodni młodzian przekonał się, jak działa demokracja, która do tej pory była dla niego abstrakcyjnym pojęciem. W młodym narodzie amerykańskim była ona przywilejem białych, na Grande Isle dotyczyła wszystkich, oczywiście oprócz kobiet i dzieci. Osobliwe poglądy Lafitte'a wydawały się Diegowi godne zastanowienia. Korsarz utrzymywał, że moiżni wymyślają prawa, aby zachować swoją pozycję i podporządkować sobie ubogich, w związku z czym byłoby głupotą z jego strony, gdyby miał się do owych praw stosować. Takie na przykład podatki: koniec końców płacą je biedacy, gdyż bogacze zawsze jakoś potrafią się od nich wykręcić. Twierdził, że nikt, a już na pewno nie rząd, nie ma prawa uszczknąć bodaj krztyny z tego, co należy do niego. Diego zwrócił mu uwagę, że w jego rozumowaniu tkwią pewne sprzeczności. Wśród swoich ludzi Lafitte kradzież karze chłostą, jednak jego gospodarcze imperium opiera się na piractwie będącym przecież także formą kradzieży. Korsarz odparł, że nigdy nie okrada biednych, a jedynie bogatych. To nie grzech, lecz cnota ograbiać statki cesarstwa z tego, co wcześniej zostało wydarte kolonom. Zawłaszczył broń, którą kapitan Santiago de León wiozł do Meksyku z przeznaczeniem dla armii regalistów, i zamierza sprzedać ją za bardzo rozsądną cenę tamtejszym powstańcom. Nie ma sobie nic do zarzucenia, albowiem operację tę uważa za jak najbardziej słuszną i sprawiedliwą.

Lafitte zabrał Diega do Nowego Orleanu, miasta, które zdawało się być stworzone na miarę tego korsarza; jego mieszkańcy byli dumni ze swego poczucia wolności, mieli zamiłowanie do przygód, potrafili używać życia, byli zmienni i wybuchowi. Przeżyli wojny z Anglikami i Indianami, huragany, powodzie, pożary, epidemie, jednak nic nie było w stanie odebrać im ducha. Miasto było jednym z najważniejszych amerykańskich portów; wywożono stąd głównie tytoń, inkaust i cukier, wwożono najróżniejsze towary ze wszystkich stron świata. Jego kosmopolityczna ludność żyła ze sobą w zgodzie, nie przejmując się upałem, komarami, moczarami ani tym bardziej prawem. Muzyka, alkohol, rozpusta, hazard - wszystko to brało w posiadanie ulice Nowego Orleanu, gdzie życie zaczynało się wraz z zachodem słońca. Diego stawał na Plaza de Armas i patrzył na Murzynów z koszami pomarańczy i bananów, na kobiety przepowiadające przyszłość i handlujące fetyszami wudu, na teatryki kukielkowe, tancerzy, muzyków. Sprzedawczynie słodczy w niebieskich turbanach i fartuchach roznosiły na tacach imbirowe, miodowe i orzechowe ciastka. W obwoźnych kramach można było kupić piwo, świeże ostrygi, dania z krewetek. Nigdy nie brakowało pijanych, którzy wywoływali awantury tuż pod nosem zacnych kawalerów, plantatorów, kupców i urzędników. Zakonnice i księża mieszały się z prostytutkami, żołnierzami, bandytami i niewolnikami. Słynne Cuarentonas (czyli córki Metysów i Mulatek lub Mulatów i Metysek) przechadzały się dumnie wolnym krokiem, przyjmując komplementy kawalerów i nie reagując na wrogie spojżenia rywalek. Nie nosiły klejnotów ni kapeluszy, ponieważ tego - dla usatysfakcjonowania białych kobiet, które pod względem urody nie mogły się z nimi równać - dekretem im zabroniono. Ozdoby zresztą nie były im potrzebne, albowiem i tak dzięki swej złocistej skórze, delikatnym rysom, wielkim przejrzystym oczom i falującym włosom cieszyły się sławą najpiękniejszych kobiet na świecie. Chodziły zawsze w towarzystwie matek albo przyzwoitek, które nie spuszczały ich z oka. Catherine Villars była jedną z takich kreolskich piękności. Lafitte poznał ją na jednym z balów, które wydawały matki, aby przedstawić swoje córki bogatym mężczyznom; był to jeden z wielu sposobów na obejście absurdalnych praw, jak wyjaśnił korsarz Diegowi. Białych kobiet brakowało, kolorowych zaś było aż nadto; nie potrzeba było matematyki, aby znaleźć rozwiązanie tego dylematu, a mimo to mieszane małżeństwa były zabronione. Ów zakaz utrwalał istniejący porządek społeczny, czyli dyskryminację ludności kolorowej, jednakże nie przeszkadzał białym mieć kolorowych konkubin. Cuarentonas znalazły rozwiązanie, które

odpowiadało wszystkim. Przyuczały swoje córki do zajęć domowych i do miłosnych sztuczek, o jakich żadna biała nie miała pojęcia, i w ten sposób wychowywały je na kobiety będące dziwną kombinacją pani domu i kurtyzany. Stroiły je, ale także uczyły szyc sobie suknie. Ich córki były eleganckie i gospodarne. Na balach, w których oprócz nich uczestniczyli wyłącznie biali mężczyźni, matki rały je tym, którzy mogli im zapewnić wysoki poziom życia. Utrzymywanie którejś z owych pięknych dziewcząt było uważane za oznakę dystynkcji dżentelmena; celibat i wstrzemięźliwość nie były cnotami, chyba że w środowisku purytanów, jednak tych w Nowym Orleanie było niewiele. Cuarentonas mieszkaly w domach nierzucających się w oczy, ale wygodnych i stylowych, zatrudniały niewolników, dzieci posyłały do najlepszych szkół i w zaciszu domu stroiły się jak królowe, publicznie jednak pokazywały się ubrane skromnie. Takie ustalenia były niepisany prawem wprowadzonym za milczącą zgodą wszystkich zainteresowanych, wyznaczającym normy obyczajowe i etykiety.

- Krótko mówiąc, matki stręczą swoje córki białym mężczyznom - podsumował oburzony Diego.

- A czyż nie jest tak zawsze? Małżeństwo to umowa, na podstawie której kobieta świadczy usługi i rodzi dzieci mężczyźnie, który ją utrzymuje. Biała kobieta ma tutaj mniejszą swobodę wyboru niż Kreolka - odparł Lafitte.

- Ale Kreolki nic nie chroni, kiedy jej kochanek postanawia się ożenić albo zastąpić ją inną konkubina.

- Mężczyzna zostawia jej dom i wyznacza pensję, a ponadto łoży na dzieci. Czasami porzucona kobieta zakłada rodzinę z innym Kreolem. Wielu z nich, będących także dziećmi Cuarentonas, to przedstawiciele różnych zawodów wykształceni we Francji.

- A pan, kapitanie Lafitte, mógłby mieć dwie rodziny? - zapytał Diego, mając na myśli Julianę i Catherine.

- Życie jest skomplikowane, wszystko może się zdarzyć - odrzekł pirat.

Lafitte zapraszał Diega do najlepszych restauracji, do teatru, opery i przedstawiał swoim znajomym - w większości kolorowym - jako „przyjaciela z Kalifornii”. Byli to rzemieślnicy, kupcy, artyści, ludzie różnych zawodów. Znał też kilku Amerykanów, ale ci od ludności kreolskiej i francuskiej trzymali się na dystans, oddzieleni istniejącą tylko w ich wyobraźni linią biegnącą przez miasto. Wolał jej nie przekraczać, albowiem po drugiej stronie panowała atmosfera moralizatorstwa, która mu nie odpowiadała. Zabrał Diega do kilku domów gry, tak jak tamten prosił. Wydało mu się podejrzanym, że młodzieniec jest taki pewien wygranej i ostrzegł go, aby lepiej nie próbował żadnych sztuczek, gdyż w Nowym Orleanie za coś takiego można zarobić cios sztyltem między żebra.

Diego nie słuchał rad Lafitte'a, albowiem złe przeczucie, które dopadło go kilka dni wcześniej, stało się jeszcze się wyraźniejsze. Potrzebował pieniędzy. Nie słyszał Bernarda tak wyraźnie jak zwykle, jednak czuł, że tamten go wzywa. Musiał wracać do Kalifornii nie tylko dlatego, aby ocalić Julianę przed Lafitte'em, lecz ponieważ wydarzyło się tam coś, co wymagało jego obecności. Stawiając medalion, siadał do kartanego stołu w różnych miejscach, by nie wzbudzać podejrzeń swym niebywałym szczęściem do kart. Zaprawiony w magicznych sztuczkach z łatwością zastępował jedną kartę inną albo sprawiał, że zniknęła. Ponadto miał dobrą pamięć i talent do liczenia, po kilku minutach przewidywał, jak zagrają jego przeciwnicy. Powoli napełniał sobie sakiewkę; w tym tempie w krótkim czasie miał szansę zebrać osiem tysięcy dolarów amerykańskich na okup. Potrafił się kontrolować. Zaczynał od przegrywania, aby pozostali gracze nabrali do niego zaufania, w pewnym momencie wyznaczał sobie godzinę, o której zamierzał zakończyć grę, i od tej chwili już tylko wygrywał. Nigdy nie przesadzał. Kiedy zaczynano uważnie patrzeć mu na ręce, zmieniał lokal. Jednakże któregoś dnia szczęście sprzyjało mu tak bardzo, że nie chciał przerywać gry. Jego oponenti dużo wypili i ledwo potrafili skupić się na kartach, jednak byli na tyle trzeźwi, że zdali sobie sprawę, iż oszukuje. Wywiązała się bójka i mężczyźni kuksańcami wypchnęli Diega na ulicę, słusznie zamierzając rozerwać go na kawałki. Wtedy jednak Diego, gdy tylko udało mu się przekrzyczeć wrzawę, złożył im oryginalną propozycję:

- Chwileczkę, panowie! Jestem gotów oddać te uczciwie wygrane pieniądze temu, kto głową rozbije tamte drzwi - ogłosił, wskazując na grubą drewnianą bramę z metalowymi okuciami prowadzącą do plebanii, budynku w stylu kolonialnym wznoszącego się obok katedry.

To natychmiast odwróciło uwagę pijaczków. Dyskutowali właśnie szczegóły zakładu, kiedy pojawił się jakiś sierżant, który zamiast zaprowadzić porządek, przyglądał się tej scenie. Poprosili go, aby został sędzią, na co z chęcią się zgodził. Z kilku lokali wyszli muzycy i zaczęli grać skoczne melodyjki, po kilku minutach plac zapełnił się gapiami. Zaczęło się zmierzchać i sierżant kazał zapalić latarnie. Do graczy dołączyli przechodnie, którzy również zapragnęli wziąć udział w tych nowych zawodach, albowiem pomysł rozbicia głową drzwi wydał im się niebywale zabawny. Diego stwierdził, że każdy „twardogłowy”, który zechce uczestniczyć w rywalizacji, musi wpłacić pięć dolarów. W jednej chwili

sierżant uzbierał czterdzieści pięć dolarów, po czym ustawił zawodników w szeregu. Muzycy zaimprovizowali werble i pierwszy uczestnik rozpędził się, i głową obwiązaną szalikiem uderzył w drzwi plebanii. Siła uderzenia była tak wielka, że nogi się pod nim ugięły i padł na ziemię. Jego wyczyn powitała salwa okłasków, gwizdów i śmiechu. Dwie piękne Kreolki podbiegły ze szklanką orszady, aby udzielić pomocy leżącemu, a tymczasem następny korzystał z okazji, by rozbić sobie głowę, z nie lepszym skutkiem niż pierwszy. Kilku uczestników wycofało się w ostatniej chwili, jednak nie zwrócono im ich pięciu dolarów. Ostatecznie nikt nie zdołał rozbić drzwi i Diego zatrzymał pieniądze wygrane przy karcianym stoliku oraz trzydzieści pięć dolarów ze zbiórki. Sierżant dostał dziesięć za fatygę i wszyscy byli zadowoleni.

Pewnej nocy do posiadłości Lafitte'a przywieziono niewolników. Wyszadli ich ukradkiem na plażę i zamknięto w drewnianym baraku; było to pięciu młodych ludzi i dwóch nieco starszych, dwoje dziewcząt oraz kobieta z jednym dzieckiem w wieku około sześciu lat uczeponym jej nóg i drugim, kilkumiesięcznym, w ramionach. Isabel wyszła właśnie na taras, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, i dostrzegła w świetle pochodni poruszające się sylwetki. Zainteresowana podeszła bliżej i przyjrzała się owym żalonym istotom ludzkim w łańcuchach. Dziewczęta płakały, ale matka szła w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt niczym zombi: wszyscy powłóczyli nogami, byli wycieńczeni i wygodzeni. Pilnowała ich grupa uzbrojonych piratów pod wodzą Pierre'a Lafitte'a, który zostawił „twarze” w baraku, po czym poszedł zdać sprawę bratu Jeanowi. Tymczasem Isabel pobiegła opowiedzieć o tym Diegowi, Julianie i Nurii. Diego widział w mieście ogłoszenia, wiedział, że za kilka dni w El Templo odbędzie się licytacja niewolników.

Mieli tutaj wystarczająco dużo czasu, żeby przekonać się, czym jest niewolnictwo. Sprowadzanie niewolników z Afryki było zabronione, a mimo to w Ameryce „hodowano” ich i sprzedawano. W pierwszym odruchu Diego chciał uwolnić nieszczęśników, ale przyjaciółki zwróciły mu uwagę, że nawet gdyby udało mu się wejść do baraku, rozerwać łańcuchy i nakłonić owych ludzi do ucieczki, nie miałoby to sensu. Urządzono by na nich polowanie z psami. Ich jedyną nadzieją było przedostanie się do Kanady, jednak sami nigdy nie zdołaliby tam dotrzeć. Diego postanowił przynajmniej sprawdzić, w jakich warunkach są przetrzymywani. Nie mówiąc przyjaciółkom, co zamierza zrobić, przebrał się za Zorro i korzystając z ciemności, wyszedł z domu. Bracia Lafitte byli na tarasie, Pierre trzymał w dłoni kieliszek jakiegoś trunku, Jean palił. Diego nie mógł podejść na tyle blisko, by podsłuchać ich rozmowę, więc ruszył w stronę baraku. W blasku pochodni stwierdził, iż straż trzyma tylko jeden pirat z muszkietem na ramieniu. Podeszedł do niego, zamierzając wykorzystać moment zaskoczenia, jednak zaskoczenie przeżył on sam, albowiem nagle za jego plecami wyrósł drugi mężczyzna.

- Dobry wieczór, boss - przywitał go pirat.

Diego odwrócił się twarzą do niego, gotów się z nim zmierzyć, lecz tamten zachowywał się swobodnie i uprzejmie. Wówczas Diego zdał sobie sprawę, że w ciemnościach został wzięty za Jeana Lafitte'a, który zawsze nosił się na czarno. Drugi strażnik także podeszedł bliżej.

- Daliśmy im jeść i odpoczywają, boss. Jutro ich umyjemy i damy im ubranie. Trzymają się nieźle poza dziećmi, który ma gorączkę. Nie sądzę, aby długo pociągnął.

- Otwórzcie drzwi, chcę ich zobaczyć - odezwał się Diego po francusku, naśladowując głos korsarza Jeana Lafitte'a.

Gdy piraci podnosili rygiel w drzwiach, trzymał twarz w cieniu; była to zbyt duża ostrożność, albowiem tamci niczego nie podejrzewali. Kazał im zaczekać na zewnątrz, a sam wszedł do środka. W kącie baraku wisiła latarnia dająca słabe światło, wystarczające jednak, aby odróżnić każdą z owych twarzy, które patrzyły na niego w milczeniu i przerażeniu. Wszyscy z wyjątkiem niemowlęcia mieli na szyjach żelazne obroże, od których odchodziły łańcuchy przymocowane do słupów. Diego zbliżył się, robiąc uspokajające gesty, jednak widząc maskę, niewolnicy uznali, że mają przed sobą jakiegoś demona, i skulili się, na ile pozwalały im łańcuchy. Próbowano do nich przemówić, nie rozumieli go. Musieli przypląć prosto z Afryki, stanowili „świeży towar”, jak mawiali handlarze niewolników, nie mieli czasu nauczyć się języka tych, którzy ich pojmali. Prawdopodobnie sprowadzono ich na Kubę, gdzie bracia Lafitte kupili ich, aby odsprzedać w Nowym Orleanie. Mieli za sobą podróż drogą morską, którą odbyli w straszliwych warunkach, i poniewierkę na łodzi. Czy pochodzili z tej samej wioski, należeli do tej samej rodziny? Podczas licytacji zostaną rozdzieleni i więcej się nie zobaczą. Cierpienia ich załamały, w oczach mieli szaleństwo. Opuszczając ich, Diego poczuł nieznośny ucisk w sercu. Już raz, jeszcze w Kalifornii, czuł się podobnie, kiedy wraz z Bernardem był świadkiem ataku żołnierzy na indiańską wioskę. Pamiętał uczucie bezradności, jakie go wówczas ogarnęło, identyczne z tym, jakie go doznawał w tej chwili.

Wrócił do domu Lafitte'a, przebrał się i poszedł do sióstr de Romeu i Nurii, aby przekazać im, co widział. Był zrozpaczony.

- Ile mogą kosztować ci niewolnicy, Diego? - zapytała Juliana.

- Nie wiem dokładnie, ale w Nowym Orleanie widziałem cenniki z licytacji i tak na oko sądzę, że bracia Lafitte za tych młodych mężczyzn mogą dostać po tysiąc dolarów, za pozostałych dwóch po osiemset, po sześćset za dziewczęta i mniej więcej tysiąc za matkę z dziećmi. Nie wiem, czy mogą sprzedać dzieci osobno, nie mają jeszcze siedmiu lat.

- Ile to byłoby razem?

- Powiedzmy, że około ośmiu tysięcy ośmiuset dolarów.

- To tylko trochę więcej, niż żądają za nas.

- Nie widzę związku - powiedział Diego.

- Mamy pieniądze. Postanowiliśmy przeznaczyć je na wykupienie tych niewolników - powiedziała Juliana.

- Macie pieniądze? - spytał zaskoczony Diego.

- W drogich kamieniach, nie pamiętasz?

- Myślałem, że piraci wam je zabrali!

Juliana i Isabel wyjaśniły mu, w jaki sposób uratowały swoją skromną fortunę. Kiedy płynęły statkiem piratów, Nurii przyszedł do głowy znakomity pomysł, gdzie ukryć kamienie. Jeden po drugim poknęły diamenty, rubiny i szmaragdy, popijając winem. Odzyskały je prędzej, niż się spodziewały, musiały tylko zwracać uwagę na zawartość swoich nocników. Nie było to rozwiązanie przyjemne, ale za to skuteczne, i po dokładnym umyciu kamienie ponownie zostały zaszyte w halkach.

- Możecie nimi zapłacić za siebie okup! - wykrzyknął Diego.

- Racja, jednak wolimy wyzwolić niewolników, albowiem nawet jeśli pieniądze od twojego ojca nigdy nie przyjdą, wiemy, że ty je wygrasz w karty - odparła Isabel.

Jean Lafitte siedział na tarasie z filiżanką kawy i talerzykiem beignets, pysznych francuskich pączków, zapisując jakieś liczby w swej księdze rachunkowej, kiedy stanęła przed nim Juliana z zawiązaną na krzyż chusteczką, którą położyła na stole. Korsarz podniósł wzrok i kolejny raz serce skoczyło mu na widok tej dziewczyny, która każdej nocy towarzyszyła mu we snach. Rozwiązał pakuneczek i nie zdołał powstrzymać okrzyku.

- Jak pan sądzi, ile to jest warte? - zapytała z rumieńcem na twarzy, po czym przeszła do interesu, jaki zamierzała z nim ubić.

Dla korsarza pierwszym zaskoczeniem było to, że siostry zdołały ukryć kosztowności; drugim - że przeznaczały je na wykupienie niewolników zamiast siebie. Co powiedzą na to Pierre i pozostali kapitanowie? Dla niego było najważniejsze, aby Juliana zmieniła o nim zdanie. Wiedział, co dziewczyna myśli o jego profesji, a teraz jeszcze odkryła, że handluje niewolnikami. Pierwszy raz wstydził się swojego postępowania, czuł się niegodziwy. Nie próbował zdobyć miłości dziewczyny, albowiem sam nie był na tyle wolny, aby odpłacić jej tym samym, ale zależało mu przynajmniej na jej szacunku. A pieniądze nie były problemem; mógł je odzyskać, w dodatku miał ich wystarczająco dużo, aby zamknąć usta współnikom.

- Jest warte bardzo dużo, Juliano. Jest tego aż nadto, żeby wykupić niewolników, zapłacić okup za panią i pani przyjaciół i odpłynąć do Kalifornii. Wystarczy nawet na posag dla pani i jej siostry - powiedział.

Juliana nie wyobrażała sobie, że owe kolorowe kamyczki mogą okazać się aż tak cenne. Podzieliła kosztowności na dwie kupki, większą i mniejszą, pierwszą z nich zawinęła w chusteczkę i schowała za dekolt, resztę zaś zostawiła na stole. Zrobiła ruch, jakby chciała odejść, ale on poderwał się nerwowo i przytrzymał ją za ramię.

- Co pani zrobi z tymi niewolnikami?

- Przede wszystkim zdejmę im łańcuchy, a potem się zastanowię, jak im pomóc.

- W porządku. Jest pani wolna, Juliano. Postaram się, abyście mogli jak najszybciej wyjechać. Proszę wybaczyć wszystkie nieprzyjemności, jakie musiała tu pani znosić, nawet pani nie wie, jak bym pragnął, abyśmy się spotkali w innych okolicznościach. Proszę to przyjąć jako prezent ode mnie - powiedział pirat wręczając jej kamienie, które zostawiła na stole.

Juliana zebrała wszystkie siły, aby zdobyć się na rozmowę z tym mężczyzną, i teraz ten jego gest całkiem ją rozbroił. Nie była pewna, co miał oznaczać, ale instynkt podpowiadał jej, że uczucie, które nią targało, było w pełni odwzajemnione: prezent był wyznaniem miłości ze strony Lafitte'a. Korsarz dostrzegł jej rozterkę i nie namyślając się wiele, wziął ją w ramiona i mocno pocałował w usta. Był to pierwszy pocałunek Juliany i zapewne najdłuższy i najbardziej namiętny ze wszystkich, jakich miała doświadczyć w życiu. W każdym razie był najbardziej pamiętny, jak to zwykle bywa z tym, co zdarza się po raz pierwszy. Bliskość pirata, jego otaczające ją ramiona, jego oddech, ciepło, jego język w jej ustach - to wszystko sprawiło, że zaczęła drżeć na całym ciele. Przygotowywała się na tę chwilę. Przeczytała setki romansów i od lat wyobrażała sobie mężczyznę, który był jej przeznaczony. Pragnęła Lafitte'a z całą swą świeżo rozbudzoną namiętnością, była o tym święcie i absolutnie przekonana. Nigdy nie pokocha innego, ta zakazana miłość będzie jedyną, jaką przeżyje na tym świecie. Wtuliła się w niego i oddała mu pocałunek z taką samą namiętnością, czując wewnętrzne rozdarcie, albowiem wiedziała, że owa pieszczota to pożegnanie. Kiedy na koniec oderwali się od siebie, oszołomiona oparła mu głowę na piersi, starając się złapać oddech i uspokoić rozszalałe serce, on zaś szeptem powtarzał jej imię: Juliana, Juliana...

- Muszę już iść - powiedziała, uwalniając się z jego objęć.

- Kocham panią całą duszą, lecz zarazem kocham Catherine. Nigdy jej nie opuszczę. Czy może to pani zrozumieć?

- Tak, Jeanie. Miałam nieszczęście się w pana zakochać, chociaż wiem, że nigdy nie będziemy razem. Ale kocham pana jeszcze bardziej za pańską wierność Catherine. Oby Bóg zechciał, by wkrótce wyzdrowiała i byście byli szczęśliwi...

Jean Lafitte chciał ją jeszcze raz pocałować, ale wyrwała się i uciekła. Oboje byli tak wzruszeni, że żadne z nich nie zauważyło madame Odilii, która stojąc w pobliżu, uważnie ich obserwowała.

Juliana uznała, że życie bez Jeana nie ma sensu. Postanowiła umrzeć jak owe tragiczne heroiny z kart literatury, ale nie wiedziała, jak zapaść na gruźlicę czy jakąś inną subtelną chorobę; tyfus wydawał się jej zbyt pospolity. Odrzuciła myśl o tym, aby własnoręcznie zadać sobie śmierć, choć bowiem cierpiała teraz straszliwie, to jednak nie mogła skazywać się na piekło; nawet Lafitte nie zasługiwał na takie poświęcenie. Poza tym gdyby popełniła samobójstwo, narobiłaby kłopotów Isabel i Nurii. Jedynym rozwiązaniem było wstąpić do klasztoru, ale perspektywa chodzenia w upale Nowego Orleanu w habcie była mało pociągająca. Wyobrażała sobie, co by na to powiedział jej nieboszczyk ojciec, który przecież był ateistą. Tomás de Romeu wolałby ją widzieć jako żonę pirata niż jako mniszkę. Najlepiej wyjechać stąd jak najszybciej, kiedy tylko zdoła znaleźć jakiś transport, i do końca życia opiekować się Indianami ojca Men-dozy, który zdaniem Diega jest dobrym człowiekiem. W pamięci zachowa jasne i czyste wspomnienie owego pocałunku i obraz Jeana Lafitte'a, jego roznamiętnioną twarz, jego oczy z agatu, włosy zaczesane do tyłu, szyję i pierś wyłaniające się z jedwabiu czarnej koszuli, złoty łańcuch i silne ramiona. Nie mogła nawet płakać. Była jak wyschnięta studnia - w poprzednich dniach wyczerpała swoje ostatnie zapasy łez i sądziła, że nie zapłacze już nigdy w życiu.

Stała tak, patrząc przez okno na plażę i w milczeniu znosząc ból swego złamanego serca, kiedy nagle za plecami wyczuła czyjąś obecność. Była to madame Odilia jeszcze bardziej zjawiskowa niż kiedykolwiek: miała na sobie długą płócienną suknię, takiż turban na głowie, na szyi mnóstwo naszyjników z bursztynu, bransolety na rękach i złote kolczyki w uszach. Wyglądała jak prawdziwa królowa Senegal, jej matka.

- Zakochałaś się w Jeanie - stwierdziła obojętnym tonem; pierwszy raz zwracała się do niej na ty.

- Proszę się nie martwić, madame Odilio, nigdy nie stanę między pani córką a zięciem. Wyjadę stąd, a on o mnie zapomni - odparła Juliana.

- Dlaczego kupiłaś niewolników?

- Żeby ich uwolnić. Może im pani pomóc? Słyszałam, że kwakrzy opiekują się niewolnikami i odsyłają ich do Kanady, ale nie wiem, jak się z nimi skontaktować.

- W Nowym Orleanie jest wielu czarnych, którzy są wolni. Ci także mogą znaleźć pracę i mieszkać tutaj, ja się tym zajmę - powiedziała senegalska księżniczka.

Zamilkła i przez dłuższą chwilę, gładząc bursztynowe paciorki swoich naszyjników, obserwowała Julianę orzechowymi oczami, starając się ją wy badać i rozważając coś w duszy. W końcu jej twarde spojrzenie nieco złagodniało.

- Chcesz zobaczyć Catherine? - zapytała niespodziewanie.

- Tak, madame. I chciałabym także popatrzeć na dziecko, żeby zabrać ze sobą obraz ich obojga, w ten sposób będzie mi łatwiej wyobrazić sobie szczęście Jeana, kiedy już będę w Kalifornii.

Madame Odilia zaprowadziła Julianę do drugiego skrzydła domu, równie czystego i dobrze umeblowanego jak reszta, w którym urządziła pokój dla swego wnuka, a właściwie książęcą komnatę. Gdyby nie fetysze wudu mające chronić od uroków, miałby on w pełni europejski wystrój. W kołysce z brązu w koronkowej pościeli spał Pierre, w pokoju była również jego mamka, młoda Murzynka o wielkich piersiach i apatycznym spojrzeniu, oraz kilkuletnia dziewczynka, której zadaniem było wprawianie w ruch wachlarzy. Babka odsunęła moskitierę, a Juliana pochyliła się, żeby zobaczyć syna mężczyzny, którego uwielbiała. Wydał jej się przepiękny. Niewiele niemowląt dotąd widziała, ale przysięgłaby, że na całym świecie nie ma ładniejszego. Miał na sobie tylko pieluszkę i spał smacznie na pleckach, z rozłożonymi rączkami i nóżkami. Kiwnąwszy głową, madame Odilia pozwoliła Julianie wyjąć go z kołyski. Kiedy wzięła go na ręce i poczuła zapach prawie tysej główki, zobaczyła bezzębny uśmiech i dotknęła przypominających robaczki paluszków, nagle zdała sobie sprawę, że ogromny czarny gład w jej piersiach kurczy się, kruszy i na koniec znika. Zaczęła okrywać dziecko pocałunkami; całowała je wszędzie, w nagie stopki, brzusek z wypukłym pępusem, szyjkę wilgotną od potu i raptem rzeka gorących łez spłynęła jej po twarzy i zmoczyła dziecko. Nie płakała z zazdrości o to, czego nigdy nie miała zaznać, ale z niepoohamowanej czułości. Babka odłożyła Pierre'a do kołyski i nie mówiąc ani słowa, gestem nakazała Julianie pójść za sobą.

Przecięty ogród z drzewami pomarańczy i krzewami oleandrów, zostawiły dom daleko za sobą i znalazły się na plaży; tam już czekała na nie łódź, która przewiozła je do Nowego Orleanu. Szybko przeszły ulicami centrum i dotarły na cmentarz. Z powodu częstych powodzi nie można było grzebać ludzi w ziemi, tak więc cmentarz przypominał niewielkie miasteczko mauzoleów; niektóre z nich zdobiły marmurowe posągi, inne kraty z kutego żelaza, kopuły i dzwonnice. W końcu znalazły się na jakiejś ulicy z jednakowymi domami, wysokimi i wąskimi, z drzwiami pośrodku i dwoma oknami po obu ich stronach. Mówiono o nich, że są „na przestrzał”, albowiem gdyby strzelić w główne drzwi, kula przeleciałaby przez dom i wyleciała tylnymi drzwiami, nie musnąwszy żadnej ze ścian. Weszły do jednego z nich bez pukania. Znalazły się w dużym pomieszczeniu, gdzie panował niesłychany bałagan, który robiła gromadka dzieci w różnym wieku. Opiekowały się nimi dwie kobiety w perkalowych fartuchach. Pełno tu było fetyszy, flaszeczek z leczniczymi płynami, bukietów ziół zwieszających się spod sufitu, drewnianych figurek najeżonych gwoździami, masek i mnóstwa innych przedmiotów właściwych religii wudu. W powietrzu unosił się słodki i lepki zapach przypominający melasę. Madame Odilia przywitała się z kobietami, po czym otworzyła drzwi do jednego z niewielkich pokoi. Juliana zobaczyła w nim ciemnoskórą Mulatkę o smukłych kościach i żółtych oczach pantery. Miała skórę błyszczącą od potu, włosy zebrane w pół setki warkoczyków przyozdobionych kolorowymi wstążkami i paciorkami. Karmiła piersią noworodka. Była to słynna Marie Laveau, wróżka, która co niedziela tańczyła z niewolnikami na Plaża del Congo, a podczas świątecznych obrzędów w lesie wpadała w trans, użyczając swego ciała bogom, którzy w nie wstępowali. Postanowiła, że dopóki będzie młoda, każdego roku będzie rodzić dziecko i miała już pięcioro.

- Przyprowadziłam ci ją, żebyś mi powiedziała, czy to ona - powiedziała madame Odilia.

Marie Laveau wstała i z dzieckiem przy piersi podeszła do Juliany. Przyłożyła trzy palce do jej czoła i długo patrzyła jej w oczy. Juliana poczuła, że przepływa przez nią jakaś cudowna energia; było to niczym smagnięcie batem, które wstrząsnęło nią od stóp do głów. Minęła cała minuta.

- To ona - odezwała się Marie Laveau.

- Przecież jest biała - zaprotestowała madame Odilia.

- Mówię ci, że to ona - powtórzyła kapłanka i tym samym uznała wizytę za skończoną.

Senegalska księżniczka prowadziła Julianę z powrotem na nabrzeże - znowu minęły cmentarz i Plaża de Armas i ponownie spotkały się z wioślarem, który czekał na nie cierpliwie, paląc cygaro. Ale zamiast do domu popłynęły na mokradła. Wkrótce znalazły się w labiryncie bagien składającym się z kanałów, rozlewisk, lagun i wysepek. Całkowite odosobnienie tej okolicy, opary unoszące się z nad moczarów, pluski powodowane przez kajmany bijące ogonami o wodę, krzyki ptaków - wszystko to wprowadzało atmosferę tajemnicy i zagrożenia.

Juliana zdała sobie sprawę, że nikogo nie uprzedziła o swoim wyjeździe. Siostra i Nuria pewnie już jej szukają. Przyszło jej do głowy, że ta kobieta może mieć jakieś nieczne zamiary, w końcu była matką Catherine, jednak natychmiast odsunęła od siebie tę myśl. Wydawało się jej, że płyną już bardzo długo, od gorąca zaczęła przysypiać, chciało się jej pić, zapadł wieczór i w powietrzu zaroilo się od komarów. Nie miała odwagi zapytać, dokąd ją wiozą. Po dłuższym czasie, kiedy zaczynało się już ściemniać, dobili do brzegu. Wioślarz został przy łodzi, a madame Odilia zapaliła latarnię, wzięła

Julianę za rękę i poprowadziła ją przez wybujałe łąki, gdzie nie było żadnych znaków orientacyjnych. „Uważaj, nie nadepnij na węża” - tylko tyle jej powiedziała. Przeszły spory kawał drogi, aż w końcu księżniczka znalazła miejsce, którego szukała. Była to niewielka pusta przestrzeń wśród wysokich traw, a na niej dwa wysokie, porośnięte mchem drzewa z wyrzniętymi na korze krzyżami. Nie były to krzyże chrześcijańskie, ale krzyże wudu symbolizujące przecinanie się dwóch światów: świata żywych i świata umarłych. Miejsca strzegły liczne maski i wyrżnięte w drewnie figurki afrykańskich bogów. W świetle latarni i księżycy sceneria tego miejsca była przerażająca.

- Tam jest moja córka - powiedziała madame Odilia, wskazując na ziemię.

Catherine Villars zmarła na gorączkę pługową pięć tygodni wcześniej. Nie zdołały jej uratować ani wiedza medyczna, ani chrześcijańskie modlitwy, ani afrykańskie magiczne zaklęcia i zioła. Jej matka wraz z innymi kobietami zawinęły jej wyniszczone infekcją i krwotokami ciało i przewiozły je w to święte miejsce na mokradłach, gdzie miało spoczywać do chwili, aż młoda nieboszczka wskaże osobę, której przeznaczeniem będzie ją zastąpić. Catherine nie mogła pozwolić, aby jej syn dostał się w ręce przypadkowej kobiety wybranej przez Jeana Lafitte'a, wyjaśniła senegalska księżniczka. Jej obowiązkiem jako matki było dopomóc córce, dlatego przemilczała jej śmierć. Catherine znajdowała się w miejscu pośrednim, krążyła w tę i z powrotem między dwoma światami. Czyżby Juliana nie słyszała jej kroków w domu Lafitte'a? Nie widziała, jak nocą stoi przy jej łóżku? Ta woń pomarańczy, jaka unosi się na wyspie, to zapach Catherine, która pod swoją nową postacią czuwa nad małym Pierre'em i szuka dla niego odpowiedniej macochy. Madame Odilia dziwi się, że Catherine, żeby znaleźć Julianę, udała się na drugą stronę świata, i nie podoba się jej, że wybrała białą, ale kimże ona jest, aby się sprzeciwiać? Jako duch Catherine lepiej niż ktokolwiek inny może zdecydować o tym, co jest najważniejsze. Tak powiedziała Marie Laveau, kiedy ją o to spytała. „Kiedy się zjawi odpowiednia kobieta, potrafię ją rozpoznać”, przyrzekła kapłanka. Madame Odilia zresztą sama zaczęła podejrzewać, że to może być Juliana; najpierw kiedy zobaczyła, że dziewczyna kocha Jeana Lafitte'a, ale z szacunku dla Catherine jest gotowa z niego zrezygnować, i później, kiedy użaliła się nad losem niewolników. Teraz jest zadowolona, powiedziała, bo jej biedna córka będzie mogła spokojnie odpoczywać w niebie i będzie ją można pochować na cmentarzu, skąd przyplływ wód nie porwie jej ciała do morza.

Musiła wracać do wielu szczegółów, albowiem Julianie cała ta historia nie mieściła się w głowie. Nie mogła uwierzyć, że owa kobieta przez pięć tygodni ukrywała przed Jeanem Lafitte'em prawdę. Jak mu to teraz wytłumaczy? Madame Odilia powiedziała, że jej zięć nie musi wiedzieć wszystkiego. Dokładna data śmierci nie ma znaczenia; powie mu, że Catherine umarła poprzedniego dnia.

- Ale Jean będzie chciał zobaczyć ciało! - wciąż miała wątpliwości Juliana.

- To niemożliwe. Tylko my, kobiety, możemy oglądać zwłoki. To nasza rola wydawać na świat dzieci i żegnać zmarłych. Jean będzie musiał się z tym pogodzić. Po pogrzebie Catherine jej mąż należy do ciebie - odparła senegalska księżniczka.

- Do mnie...? - wyszeptwała zdezorientowana Juliana.

- Jedyne, co w tej sytuacji jest ważne, to mój wnuk Pierre. Lafitte to tylko środek, którym posłużyła się Catherine, żeby powierzyć ci swojego syna. Ona i ja przypilnujemy, abyś wypełniła swój obowiązek. W tym celu musisz trwać przy ojcu dziecka i sprawić, że będzie zadowolony i spokojny.

- Jean nie jest typem mężczyzny, któremu wystarczą zadowolenie i spokój; to korsarz, awanturnik...

- Dam ci magiczne napoje i zdradzę sekrety, jak zadowolić go w łóżku. Tak pomogłam Catherine, kiedy skończyła dwanaście lat.

- Nie jestem taka... - broniła się Juliana, oblewając się rumieńcem.

- Nie martw się, jeszcze będziesz, chociaż nigdy nie osiągniesz tej biegłości co Catherine, bo jesteś już trochę za stara na naukę i masz głowę nabitą głupimi myślami, ale Jean i tak nie zauważy między wami różnicy. Mężczyźni są tępi, zaślepią ich pożądanie, bardzo mało wiedzą o rozkoszy.

- Nie mogę używać sztuczek kurtyzany ani magicznych napojów, madame!

- Kochasz Jeana czy nie, dziecinko?

- Kocham - przyznała Juliana.

- W takim razie będziesz się musiała postarać. Ja się tym zajmę. Uczynisz go szczęśliwym i możliwe nawet, że ty także będziesz szczęśliwa, ale uprzedzam cię, że musisz traktować Pierre'a jak własnego syna, bo inaczej będziesz miała ze mną do czynienia. Rozumiemy się?

Nie jest mi łatwo, szanowni czytelnicy, opisać wam dokładnie, jak nieszczęsny Diego de la Vega zareagował na wiadomość o tym, co się stało. Następny statek na Kubę odpływał z Nowego Orleanu za dwa dni, Diego kupił już bilety i zamierzał jak najszybciej opuścić tereny łowieckie Jeana Lafitte'a, zabierając ze sobą Julianę, choćby nawet miał to zrobić siłą. Koniec końców chodziło przecież o jej dobro. Ledwo zdążył odzyskać nadzieję, a tu nagle wszystko wywróciło się do góry nogami i okazało się, że jego rywal jest wdowcem. Diego rzucił się do stóp Juliany i zaczął ją przekonywać, iż to, co chce zrobić, jest głupotą. No dobrze, to taka przenośnia. Stał, chodził wielkimi krokami, gestykulował, rwał włosy z głowy, krzyczał, a ona patrzyła na niego niewzruszona z głupim uśmiechem na syreniej twarzy. Kto by tam przekonał zakochaną kobietę! Diego wierzył, że w Kalifornii, daleko od korsarza, dziewczyna odzyska rozum i znowu zacznie na niego patrzeć przychylnym wzrokiem. Juliana musiałaby być bardzo niemądra, aby nadal kochać typa, który handluje niewolnikami. Miał nadzieję, że w końcu potrafi docenić mężczyznę takiego jak on, równie przystojnego i odważnego co Lafitte, ale znacznie młodszego, zacnego, o prawym sercu i uczciwych zamiarach, który może zapewnić jej wygodne życie, nie mordując ani nie okradając niewinnych ludzi. On, Diego, jest niemal doskonały, a do tego ją uwielbia. Do kroćset! Czego ta Juliana jeszcze chce? Ciągłe jej mało! Jest jak worek bez dna! Wystarczyło, że pobyła kilka tygodni w upale Baratarii, i diabli wzięli wszystko, co udało mu się osiągnąć przez pięć lat załotów. Inny, bystrzejszy, doszedłby może do wniosku, że to płocha, niestała w uczuciach dziewczyna, ale nie Diego. Próżność odbierała mu rozsądek, jak to bywa w przypadku takich przystojniaków jak on.

Isabel patrzyła na nich oboje w osłupieniu. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin tyle się wydarzyło, że już się w tym wszystkim pogubiła. Spróbujmy więc to jakoś uporządkować. Kiedy zdjęli niewolnikom kajdany, nakarmili ich i ubrali, byli świadkami rozzwierającej sceny śmierci niemowlęcia, które przywieziono już w agonii. Trzeba było trzech mężczyzn, aby odebrać matce jego bezwładne ciało, lecz nie sposób było ją pocieszyć; długo jeszcze słychać było wycie kobiety, któremu wtórowały mieszkające na wyspie psy. Potem próbowali wyjaśnić tym ludziom, że są wolni. Oni jednak tego nie rozumieli. Co to za różnica, czy są wolni, czy nie, skoro muszą pozostać w tym odrażającym miejscu. Ich jedynym pragnieniem jest powrócić do Afryki. Jak mają żyć na tej wrogiej, barbarzyńskiej ziemi? Murzyn, który występował w roli tłumacza, usiłował ich uspokoić, obiecując, że znajdzie się sposób, aby mogli zarobić na życie, na wyspie zawsze się przydadzą nowi piraci, przy odrobinie szczęścia dziewczęta znajdą mężów, a biedna matka może się zatrudnić u jakiejś rodziny, nauczy się gotować, nie będzie musiała rozstawać się z drugim dzieckiem. Wszystko na nic - wynędziali niewolnicy jak litanie powtarzali, żeby ich odesłać z powrotem do Afryki.

Juliana wróciła ze swej długiej wycieczki z madame Odilią odmieniona i promienna. Kazała przysiąc Diegowi, Isabel i Nurii, że nie pisną ani słowa, po czym opowiedziała im historię, od której każdemu włos zjeżyłby się na głowie. Catherine Villars bynajmniej nie choruje, tylko jest czymś w rodzaju zombi, a do tego wybrała ją sobie na macochę swojego małego Pierre'a. Ona sama poślubi Jeana Lafitte'a, tylko on jeszcze o tym nie wie, powie mu to po pogrzebie Catherine. Zamierza go poprosić, aby - niejako w ślubnym prezencie - złożył jej obietnicę, że raz na zawsze zrezygnuje z handlu niewolnikami; to jedyne, czego nie może tolerować, inne jego łajdactwa nie są tak istotne. Nieco zawstydzona wyznała również, iż madame Odilia ma ją nauczyć się kochać, tak jak pirat lubi. W tym momencie Diego wyszedł z siebie. Juliana bredzi, nie ma wątpliwości, to obłąd. Jest taka mucha, która przenosi tę chorobę, z pewnością ją ugryzła. Myśli, że on ją zostawi w rękach tego kryminalisty? Czyż nie obiecał don Tomasowi de Romeu, niech spoczywa w pokoju, że ją dowiezie całą i zdrową do Kalifornii? Spełni swą obietnicę, choćby miał zawlec ją tam siłą.

W tym czasie Jeanem Lafitte'em targaly liczne i bardzo różne uczucia. Pocałunek oszołomił go. Zrezygnować z Juliany było najtrudniejszym zadaniem, z jakim przyszło mu się w życiu zmierzyć, musiał zebrać wszystkie siły - a potrzebował ich niemało - aby się pozbierać. Spotkał się z bratem i innymi kapitanami i wręczył im przypadającą na nich część dochodu ze sprzedaży niewolników i okupu za jeńców, którą oni mieli następnie sprawiedliwie rozdzielić między pozostałych piratów. Jedyne wyjaśnienie, jakiego im udzielił, brzniało, iż pieniądze pochodzą z jego własnej kieszeni. Zaskoczeni kapitanowie zwrócili mu uwagę, iż z handlowego punktu widzenia jego postępowanie nie miało najmniejszego sensu: po co, u diaska, nie szczczędając wydatków ani trudu, sprowadził niewolników i jeńców, skoro zamierzał za darmo ich uwolnić? Pierre Lafitte odczekał, aż wszyscy sobie poszli, po czym wygarnął Jeanowi, co o tym myśli. Sądzi, że brat utracił zdolność do prowadzenia interesów, widocznie dostał rozmiękczenia mózgu i może należy odwołać go ze stanowiska.

- Zgoda, Pierre. Poddamy to pod głosowanie, jak zwykle. Chcesz zająć moje miejsce? - spytał Jean prowokująco.

Jakby tego było mało, kilka godzin później teściowa zawiadomiła go o śmierci Catherine. Nie, nie może jej zobaczyć. Pogrzeb odbędzie się za kilka dni w Nowym Orleanie i uczestniczyć w nim będzie kreolska społeczność. Najpierw odbędzie się krótka ceremonia katolicka, tak aby usatysfakcjonować księdza, a następnie afrykańska - z zabawą, muzyką i tańcami, jak należy. Kobieta była smutna, ale spokojna, i miała dość siły, aby go pocieszyć, kiedy rozplakał się jak dziecko. Uwielbiał Catherine, była jego towarzyszką, jego jedyną miłością, szlochał Lafitte. Madame Odilia dała mu tyk rumu i poklepała go po plecach. Nie współczuła zbyt wduwcowi, albowiem wiedziała, że wkrótce zapomni o Catherine w ramionach innej. Gwoli przyzwoitości Jean Lafitte musiał odczekać jakiś czas, nie mógł zaraz pobiec do Juliany i prosić, by go poślubiła, ale myśl o tym już nabierała kształtu w jego umyśle i sercu, chociaż jeszcze nie miał odwagi ubrać jej w słowa. Strata żony była straszna, lecz nieoczekiwanie dała mu wolność. Nawet w trumnie jego słodka Catherine spełniała jego najskrytsze pragnienia. Dla Juliany gotów był zacząć wszystko od nowa. Latka lecą, już dosyć życia banity, biegania z pistoletem za pasem, ciągłej groźby, że w każdej chwili może zostać wyznaczona cena na jego głowę. Przez ostatnie lata dorobił się fortuny, z Juliana i z małym Pierre'em mogą wyjechać do Teksasu, gdzie zwykle chronią się szubrawcy, i znaleźć sobie jakieś inne, już nie tak niebezpieczne, chociaż - ma się rozumieć - równie nielegalne zajęcie. Oczywiście żadnego handlu niewolnikami, to najwyraźniej rani wrażliwą duszę Juliany. Lafitte nigdy nie pozwalał, aby jakakolwiek kobieta wtrącała się do jego interesów - a ona nie jest pierwszą, która tego próbuje - nie zamierzał jednak rujnować sobie małżeństwa, spierając się o tak błahą sprawę. Tak, wyjadą do Teksasu, już postanowione. Przed mężczyzną o elastycznej moralności i duszy awanturnika otwierało się tam wiele możliwości. Jest gotów zrezygnować z piractwa, co nie oznacza jednak, że miałby stać się szanowanym obywatelem. Bez przesady.

Część piąta - Górna Kalifornia (1815).

Diego, Isabel i Nuria wsiedli na statek w Nowym Orleanie wiosną 1815 roku. Juliana została. Żałuję, że sprawy tak się potoczyły, albowiem każdy czytelnik oczekuje szczęśliwego zakończenia romantycznej historii bohatera opowieści. Rozumiem, że decyzja Juliany budzi rozczarowanie, jednak nie mogła być inna, jako że na jej miejscu większość kobiet postąpiłaby tak samo. Sprowadzenie grzesznika na dobrą drogę to pokusa nie do odparcia i Juliana zabrała się do tego z niemal religijnym zapałem. Na pytanie Isabel, dlaczego zatem nigdy nie spróbowała nawrócić Rafaela Moncady, odpowiedziała, że nad nim nie warto się aż tak wysilać, albowiem Moncada nie jest człowiekiem, który dokonuje wielkich występków tak jak Lafitte, on popełnia zaledwie drobne grzeszki. A to, jak powszechnie wiadomo, jest nieuleczalne, dodała nasza piękność. Jak więc widać, Zorro miał przed sobą jeszcze wiele pracy i upłynie sporo czasu, zanim zasłuży sobie na to, aby jakaś kobieta zadała sobie trud, by go zreformować.

Dotarliśmy do piątej i ostatniej części tej książki. Już niedługo się pożegnamy, szanowni czytelnicy, albowiem historia kończy się w chwili, gdy jej bohater - już nie ten sam, albowiem odmieniony go przeżyte przygody i przeszkody, jakie musiał pokonać - wraca do punktu wyjścia. Tak to się zwykle dzieje w epickich opowieściach, poczynając od Odisei na bajkach dla dzieci kończąc, i nie mnie to zmieniać.

Okropna scena zazdrości, jaką urządził Diego, dowiedziawszy się, że Juliana postanowiła zostać z Jeanem Lafitte'em w Nowym Orleanie, na nic się nie zdała, a dziewczyna opędzała się od niego jak od komara. Kimże on jest, aby jej rozkazywać? Nie łączą ich nawet więzy krwi, stwierdziła. Poza tym jest wystarczająco dorosła, aby wiedzieć, co dla niej najlepsze. W akcie rozpaczony Diego sięgnął po ostateczny argument i wyzwiał pirata na pojedynek na śmierć i życie „w obronie czci paniienki de Romeu”, jak się wyraził, na co tamten poinformował go, iż właśnie tego ranka, w ścisłej tajemnicy, w obecności jedynie Pierre'a i madame Odilii, w pewnej kreolskiej parafii wzięli ślub. Postąpili tak, pragnąc uniknąć scen ze strony tych, którzy nie pojmują, co znaczy gwałtowny wybuch miłości. Nic nie można było poradzić, związek był legalny. Tak oto Diego na zawsze utracił swą ukochaną i głęboko załamany poprzysiągł aż po kres swych dni żyć w celibacie. Nikt mu nie uwierzył. Isabel zauważyła, iż przy swojej niebezpiecznej profesji Lafitte długo nie pociągnie, a kiedy Juliana zostanie wdową, Diego

będzie mógł zabiegać o nią do upadłego, jednak argument ten nie był dla niego żadną wystarczającą pociechą.

Nuria i Isabel pożegnały się z Julianą, wylewając morze łez, mimo iż Lafitte obiecał, że wkrótce odwiedzą je w Kalifornii. Nuria, dla której siostry de Romeu były niczym własne córki, wahała się, czy nie zostać z Julianą, aby bronić jej przed wudu, piratami i innymi gorzkimi pigułkami, jakie z pewnością gotował dla niej los, czy też popłynąć do Kalifornii z Isabel, chociaż ta, mimo iż była o kilka lat młodsza, w mniejszym stopniu potrzebowała jej opieki. Juliana położyła kres jej wahaniom, każąc jej jechać z Isabel, bo gdyby dziewczyna podróżowała w towarzystwie Diega de la Vegi sama, jej reputacja zostałaby na zawsze splamiona. Na pożegnanie Lafitte podarował Nurii złoty łańcuch i sztukę najcieńszej jedwabnej tafty. Nuria wybrała kolor czarny na znak żałoby.

Statek wypłynął z portu w samym środku gorącej ulewy, jednej z tych, które o tej porze roku nawiedzają Nowy Orlean codziennie. Juliana stała na nabrzeżu zalana łzami i zmoczona deszczem z maleńkim Pierre'em w ramionach, w eskorcie swego niesamowitego korsarza i księżniczki Senegalu, która została jej nauczycielką i opiekunką. Dziewczyna ubrana była z prostotą, w guście swojego męża, i promieniała takim szczęściem, że Diego wybuchnął płaczem. Nigdy nie wydawała mu się taka piękna jak w chwili, gdy ją tracił. Juliana i Lafitte stanowili wspaniałą parę: on cały w czerni, z papugą na ramieniu, ona w białym muślinie, stali pod parasolami podtrzymywanymi przez dwoje afrykańskich dziewcząt, kiedyś niewolnic, a teraz wolnych. Nuria uciekła do swojej kabiny, żeby nikt nie słyszał jej szlochu, podczas gdy Diego i Isabel machali Julianie i jej mężowi na pożegnanie, dopóki nie stracili ich z oczu. Diego przelykał łzy ze znanych nam powodów, Isabel zaś nie tylko dlatego, że rozstawała się z siostrą. Trzeba to powiedzieć: ona również robiła sobie nadzieje co do Lafitte'a, pierwszego mężczyzny, który nazwał ją piękną. No cóż, takie jest życie, czysta ironia. Wróćmy do naszej historii.

Trójka naszych bohaterów popłynęła na Kubę, do Hawany, gdzie zatrzymała się na kilka dni. To historyczne miasto o kolonialnej zabudowie i długim nadmorskim bulwarze Malecón, skąpane w krystalicznie czystym morskim powietrzu i nieprawdopodobnym słońcu Karaibów, oferowało rozliczne uciechy, z których jednak żadne z nich nie skorzystało: Diego pogrążony był w rozpacz, Nuria czuła się na to za stara, Isabel zaś - ponieważ jej nie pozwolono. Pilnowanej przez tamtych dwoje dziewczyn nie było dane odwiedzić kasyn ani posłuchać wesolej muzyki na ulicach, gdzie biedni i bogaci, biali i czarni mieszkańcy Hawany posilali się w ulicznych tawernach i gospodach, bez umiaru pili rum i tańczyli aż do świtu. Gdyby tylko miała ku temu okazję, Isabel porzuciłaby hiszpańską cnotliwość - a nie miała z niej dotąd większego pożytku - na rzecz karaibskiej rozwiązłości, która wydawała się jej znacznie bardziej pociągająca, jednak musiała obejść się smakiem. Od właściciela hotelu podróżni dowiedzieli się o losach kapitana Santiaga de León. Wraz z innymi rozbitkami udało mu się szczęśliwie dotrzeć na Kubę i gdy tylko przeszło mu porażenie słoneczne i szok, zamustrował się na statek płynący do Anglii. Zamierzał odebrać pieniądze należne mu z tytułu ubezpieczenia i zamieszkać w jakimś małym domku na wsi, gdzie dalej mógłby rysować swe fantastyczne mapy dla kolekcjonerów osobliwości.

Diego wykorzystał pobyt w Hawanie na obstalowanie pary kompletnych kostiumów Zorro wzorowanych na strojach Jeana Lafitte'a. Spojrzawszy na siebie w lustrze pracowni krawieckiej, musiał przyznać, że jego rywalowi nie sposób było odmówić elegancji. Obejrzał się z przodu i z profilu, oparł jedną dłoń na biodrze, drugą zaś na rękojeści szpady, uniósł podbródek i uśmiechnął się z satysfakcją; miał piękne zęby i lubił je pokazywać. Pierwszy raz pożałował, że ma podwójną osobowość; chętnie by stale chodził tak odziany. No cóż, nie można mieć wszystkiego, westchnął. Brakowało tylko maski, która spłaszczyłaby mu uszy, i sztucznego wąsika, który zmyliłby jego wrogów, i Zorro był gotów pojawić się wszędzie tam, gdzie ktoś potrzebowałby jego szpady. „A propos, młodzieńcze, potrzebujemy drugiej szpady” - zwrócił się do swego odbicia w lustrze. Nie zamierzał bynajmniej rozstawać się ze swoją ukochaną Justyną. Kazał odnieść swój galowy strój do hotelu, sam zaś udał się w stronę portowych rusznikarni na poszukiwanie szpady podobnej do tej, którą podarował mu Pelayo. Znalazł dokładnie to, czego potrzebował; zakupił także parę mauretańskich sztyletów, wąskich i giętkich, ale bardzo ostrych. Pieniądze nieuczciwie zarobione w domach gry Nowego Orleanu szybko przeciekły mu przez palce i po kilku dniach, kiedy wreszcie cała trójka mogła wsiąść na statek płynący do Portobelo, Diego był równie goły jak w chwili, gdy Jean Lafitte go uprowadził.

Dla Diega, który wcześniej przebył Przesmyk Panamski, płynąc w odwrotnym kierunku, ta część podróży nie była tak zajmująca jak dla Nurii i Isabel, które nigdy przedtem nie widziały jadowitych ropuch ani tym bardziej nagich tubylców. Przerażona Nuria wpatrywała się w rzekę Chagres w przekonaniu, że jej najgorsze obawy co do dzikości Ameryki właśnie się potwierdzają. Za to Isabel wykorzystwała ten pokaz nagości, by zaspokoić ciekawość, która zżerała ją już od dawna. Od lat

zadawała sobie pytanie, jak też może wyglądać to, co odróżnia mężczyzn i kobiety. Srodze się rozczarowała, albowiem owa różnica z łatwością zmieściłaby się w sakiewce, nawet jej nie zapełniając, jak to skomentowała w rozmowie z ochmistrzynią. W każdym razie dzięki różańcom odmawianym przez Nurię udało im się nie zarazić malarią ani nie ukąsił ich żaden wąż i bez przeszkód dotarli do portu w Panamie. Tam znaleźli statek, który zabrał ich do Górnej Kalifornii.

Statek zarzucił kotwicę w niewielkim porcie San Pedro w pobliżu Los Angeles i podróżni łódkami zostali przewiezieni na plażę. Dla Nurii zejście do szalupy po sznurkowej drabince okazało się zbyt trudne. Jakiś marynarz o dobrej woli i stalowych mięśniach, nie pytając o pozwolenie, chwycił ją w pasie, zarzucił sobie na ramię i zniósł na dół jak worek cukru. Zbliżywszy się do łądu, ujrzeli Indianina, który machał do nich ręką. Po chwili Diego i Isabel zaczęli krzyczeć z radości, albowiem rozpoznali Bernarda.

- Skąd wiedział, że dziś przyjeżdżamy? - zapytała zdziwiona Nuria.

- Ja go uprzedziłem - odparł Diego, nie wyjaśniając, jak to zrobił.

Bernardo czekał tam już przeszło tydzień; od chwili gdy zaczął mieć wyraźne przeczucie, że jego brat przybędzie lada chwila. Nie wątpił w to, co tamten telepatycznie mu przekazywał, usiadł zatem na plaży i z łącie anielską cierpliwością wpatrywał się w morze. Nie wiedział, że Diego przybywał w towarzystwie, jednak domyślił się, że może mieć sporo bagażu, dlatego na wszelki wypadek przyprowadził kilka koni. Bardzo się zmienił i Nuria w tym krzepkim Indianinie z trudem rozpoznała dyskretnego służącego, jakim był w Barcelonie. Bernardo ubrany był tylko w płócienne spodnie przytrzymywane w talii skórzanym pasem. Miał bardzo ciemną, spaloną słońcem skórę i długie włosy zaplecione w warkocze. Za pasem nosił sztylet, a przez plecy miał przewieszony muszkiet.

- Jak tam moi rodzice? A Nocna Błyskawica i twój syn? - brzmiały pierwsze pytania Diega.

Bernardo odparł na migi, że wieści są złe i że wszyscy muszą jechać prosto do misji San Gabriel, gdzie ojciec Mendoza wyjaśni, w czym rzecz. On sam od wielu miesięcy mieszka wśród Indian i nie zna szczegółów. Część bagażu przybysze przytroczyli do siodła jednego z koni, resztę zakopali, zaznaczając miejsce kamieniami, aby przyjść po te rzeczy później, następnie dosiedli pozostałych koni i ruszyli gęsiego do misji. Diego zorientował się, że Bernardo prowadzi ich naokoło, omijając Królewską Drogę i hacjendę de la Vegów. Po przejechaniu galopem kilku staj ujrzeli tereny misji. Na widok zarośniętych chwastami pól, które ojciec Mendoza kiedyś z takim poświęceniem uprawiał, dachów, którym brakowało połowy dachówek, i szałasów neofitów, które wyglądały na opustoszałe, z ust Diega wyrwał się okrzyk zaskoczenia. To znakomicie prosperujące niegdyś gospodarstwo stanowiło teraz obraz nędzy i rozpacz. Na odgłos końskich kopyt zza budynku wyszło kilka Indianek z dziećmi, a po chwili na dziedzińcu pojawił się ojciec Mendoza. W ciągu tych pięciu lat misjonarz bardzo się posunął, wyglądał jak staruszek z czaszką z rzadka porośniętą włosami, które nie zasłaniały blizny po odciętym uchu. Wiedział, że Bernardo czeka na brata, i nie wątpił w jego przeczucie, dlatego też przybycie Diega nie było dla niego zaskoczeniem. Otworzył ramiona, chłopak zaś zeskokczył z konia i podbiegł, by się z nim przywitać. Diego, który przerastał teraz duchownego o pół głowy, miał wrażenie, że przytula same kości, i serce ścisnęło mu się z żalu, gdy zobaczył, co uczynił z misjonarzem upływający czas.

- To dziewczę to Isabel, córka don Tomása de Romeu, święć, Panie, nad jego duszą, a ta señora to Nuria, ochmistrzyń - przedstawił swoje towarzyski Diego.

- Witajcie w misji, moje córki. Przypuszczam, że droga była bardzo męcząca. Możecie się umyć i odpocząć, a tymczasem Diego i ja wszystko sobie opowiemy. Zawiadomię was, kiedy będziemy gotowi do kolacji - powiedział ojciec Mendoza.

Wieści były gorsze, niż się Diego spodziewał. Jego rodzice od pięciu lat żyli w separacji; tego samego dnia, kiedy on wyjechał do Hiszpanii, Regina, tak jak stała, odeszła z domu. Od tamtej pory mieszkała z plemieniem Białej Sowy i ani w mieście, ani w misji nikt jej więcej nie widział, powiadano, że odrzuciła maniery hiszpańskiej damy i ponownie przeistoczyła się w tę samą dziką Indiankę, jaką była za młodu. Bernardo, który należał do tego samego plemienia, potwierdził jego słowa. Matka Diega powróciła do swego indiańskiego imienia Toypurnia i sposobila się do tego, aby któregoś dnia zastąpić Białą Sowę w roli znachorki i szamanki. Sława obu kobiet potrafiących przepowiedzieć przyszłość rozeszła się tak szeroko, że dotarła aż na drugą stronę łańcucha gór; Indianie z innych plemion z daleka przybywali do nich po poradę. Alejandro de la Vega nie pozwolił, nawet wypowiedzieć imienia żony, jednak nigdy nie pogodził się z jej odejściem i postarzał się ze zmartwienia. Nie chcąc się tłumaczyć przed złośliwą białą społecznością kolonii, ustąpił ze stanowiska alkada i bez reszty poświęcił się sprawom hacjendy i interesom, pomnażając swoją fortunę. Jego trud nie na wiele się

zdał, albowiem przed kilkoma miesiącami, dokładnie wtedy, kiedy Diego wędrował z Cyganami przez Hiszpanię, do Kalifornii z oficjalną misją przybył Rafael Moncada. Jako pełnomocny wysłannik króla Ferdynanda VII miał się zapoznać z polityczną i gospodarczą sytuacją kolonii. Posiadał większe uprawnienia niż gubernator i wojskowy dowódca twierdzy razem wzięci. Diego ani przez chwilę nie wątpił, że Moncada zawdzięczał to stanowisko wpływowi ciotki Eulalii de Callís i że jedynym powodem, dla którego opuścił hiszpański dwór, była nadzieja, iż uda mu się dopaść Julianę. Tak to przedstawił ojcu Mendozie.

- Moncada musiał zapewne mieć się z pyszna, kiedy się przekonał, że panienki de Romeu tutaj nie ma - powiedział Diego.

- Domyślił się, że musicie być jeszcze w drodze, albowiem został tu na dłużej. Tymczasem nie zasypia gruszek w popiele, mówi się, że zbija majątek - odparł misjonarz.

- Ten człowiek mnie nienawidzi z wielu powodów, a pierwszy to ten, że pomogłem Julianie od niego się uwolnić - wyjaśnił mu Diego.

- Teraz lepiej rozumiem to, co się stało. Moncada kierował się nie tylko chciwością, chciał się także zemścić na tobie... - westchnął ojciec Mendoza.

Rafael Moncada rozpoczął swoje rządy w Kalifornii od skonfiskowania hacjendy de la Vega, której właściciela kazał wcześniej aresztować, oskarżając go o nawoływanie osadników do powstania, którego celem miało być uwolnienie Kalifornii spod władzy królestwa Hiszpanii. To wszystko nieprawda, zapewnił Diego ojciec Mendoza, idea niepodległości jeszcze nie zaświtała w głowach osadników, chociaż w niektórych państwach Ameryki Południowej zarzewie buntu już się tli, ogarniając stopniowo resztę kontynentu. Z piętnem zdrajcy Alejandro de la Vega został wtrącony do straszliwego więzienia El Diablo. Moncada wraz ze swym oddziałem ulokował się w jego hacjendzie, z której uczynił swą rezydencję i koszary. Misjonarz dodał, że człowiek ten w krótkim czasie uczynił wiele złego. Jego samego Moncada również ma na oku, bo broni Indian i ma odwagę mówić prawdę prosto w oczy, jednak drogo za to płaci. Misja jest w ruinie. Moncada zabrał wszystkich mężczyzn; brakuje rąk do pracy w polu, w misji pozostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Mówi się o jakimś przedsięwzięciu związanym z perłami, którym miałby kierować Rafael Moncada, zmuszając przy tym Indian do niewolniczej pracy. Chodzi o kalifornijskie perły - cenniejsze niż złoto i srebro sprowadzane z innych kolonii - które przez dwa wieki ciągną strugą płynęły do skarbcza Hiszpanii; w końcu jednak ten niekontrolowany połów doprowadził do ich wyczerpania, wyjaśnił misjonarz. Na pięćdziesiąt lat ludzie o nich zapomnieli, dzięki czemu ostrygi miały czas na odbudowanie zasobów. Zajęte innymi sprawami i pochłonięte biurokracją władze nie miały głowy do tego, by ponownie przystąpić do poszukiwania pereł. Domyślano się tylko, że nowe ławice ostryg mogą się znajdować bardziej na północ, właśnie w pobliżu Los Angeles, jednak nikt nie zadał sobie trudu, aby to sprawdzić, aż do czasu, gdy pojawił się Moncada z jakimiś „listami morskimi”. Ojciec Mendoza sądził, że Moncada wydobywa perły na własną rękę, nie informując o niczym władz Hiszpanii. Nawiązał współpracę z Carlosem Alcázarem, szefem więzienia El Diablo, który dostarcza mu niewolników do nurkowania. Obaj bogacą się szybko i dyskretnie. Najlepszymi poszukiwaczami pereł byli Indianie Yaqui z Meksyku, którzy zajmowali się tym od pokoleń i potrafili zanurkować na blisko dwie minuty, jednak sprowadzenie ich do Górnej Kalifornii mogłoby się wydać podejrzanym. Zamiast nich wspólnicy postanowili wykorzystać miejscowych Indian, którzy nie byli wprawnymi pływakami i z własnej woli nigdy by się tym nie zajęli. Upijano ich albo dotkliwie bito, polewano ich odzież alkoholem i zaciągano przed oblicze sędziego, który patrzy! na ów proceder przez palce i pod byle pretekstem wydawał nakazy aresztowania. W końcu pomimo rozpaczliwych starań misjonarza ci nieszczęśnicy trafiali do El Diablo, gdzie zmuszano ich do pracy na takich głębokościach, że pękały im płuca. Diego chciał wiedzieć, czy i jego ojciec tam jest, i duchowny przyznał, że tak. Don Alejandro jest chory i słaby, długo w tym miejscu nie wytrzyma, dodał. Jest najstarszym więźniem i jedynym białym, pozostali to Indianie i Metysi. Kto raz wejdzie do tego piekła, żywy już nie wychodzi; w ostatnich miesiącach wielu więźniów umarło. Nikt - ani strażnicy, ani ofiary - nie miał odwagi mówić o tym, co działo się w tych murach, El Diablo otaczało grobowe milczenie.

- Już nie mogę nawet nieść tym biedakom pociechy duchowej. Przedtem często tam przychodziłem, żeby odprawić mszę, ale przemówiłem się z Carlosem Alcázarem i zabronił mi wstępu. Na moje miejsce przyjedzie jakiś duszpasterz z Dolnej Kalifornii.

- Czy ów Carlos Alcázar to nie ten łotr, którego tak się wszyscy bali, kiedy byliśmy dziećmi?

- Tenże sam, synu. Z latami jego charakter jeszcze się pogorszył, to despotyczny i tchórzliwy człowiek. Za to jego kuzynka Lolita to prawdziwa święta. Często towarzyszyła mi podczas wizyt w więzieniu, gdzie rozdawała leki, jedzenie i ubrania. Niestety, nie ma ona na Carlosa żadnego wpływu.

- Pamiętam Lolitę. Pulidowie to szlachetna i zacna rodzina. Francisco, brat Lolity, studiował w Madrycie. Pisywaliśmy do siebie, kiedy byłem w Barcelonie - powiedział Diego.

- Tak więc, mój synu, sytuacja don Alejandra jest bardzo ciężka, jesteś jego jedyną nadzieją, musisz natychmiast go ratować - podsumował ojciec Mendoza.

Już od dłuższej chwili Diego miotał się po pokoju, starając się opanować narastający w nim gniew. Siedzący w kącie Bernardo przysłuchiwał się rozmowie i nie odrywając wzroku od brata, telepatycznie przekazywał mu swoje myśli. W pierwszym odruchu Diego postanowił stanąć do walki z Moncada, jednak spojrzenie Bernarda podpowiedziało mu, że w tych okolicznościach potrzebny jest raczej spryt niż odwaga; było to zadanie dla Zorro i należało działać na chłodno. Diego wyciągnął haftowaną chusteczkę, afektowanym gestem przetarł czoło i westchnął.

- Pojadę do Monterrey porozmawiać z gubernatorem. To przyjaciel ojca - zaproponował.

- Już to zrobiłem, Diego. Osobiście z nim rozmawiałem zaraz po tym, jak don Alejandro został aresztowany. Powiedział mi, że nie ma nad Moncada władzy. Nie podchwycił też mojej sugestii, aby sprawdzić, dlaczego w El Diablo umiera tylu więźniów - odparł misjonarz.

- W takim razie pojadę do Meksyku do wicekróla.

- To potrwa miesiące! - zaproponował ojciec Mendoza.

Nie mógł uwierzyć, że ten odważny chłopak, którego własnymi rękami przyjął na ten świat i którego dorastanie obserwował, stał się dandysem. Hiszpania rozmiękczyła mu mózg i mięśnie, o, wstydzie! Tyle się modlił, aby powrócił na czas, by uratować swego ojca, a w odpowiedzi na jego pacierze pojawił się ten fircyk z koronkową chusteczką. Z trudem ukrywał uczucie pogardy, jakie w tej chwili budził w nim Diego.

Misjonarz kazał powiedzieć Isabel i Nuri, że kolacja gotowa, i wszyscy czworo usiedli do stołu. Indianka wniosła glinianą miskę z kukurydzianą kaszą z kawałkami gotowanego mięsa, twardego i mdłego jak podeszwa. Nie było chleba, wina ani jarzyn, brakowało nawet kawy, jedynej używki, na jaką ojciec Mendoza sobie pozwalał. Jedli w milczeniu, kiedy nagle usłyszeli tętent kopyt i jakieś głosy dochodzące z dziedzińca; w kilka chwil później do pokoju wpadła grupa umundurowanych mężczyzn pod wodzą Rafaela Moncady.

- Ekscelencjo! Cóż za niespodzianka! - zawołał Diego, nie wstając.

- Właśnie się dowiedziałem o waszym przybyciu - odparł Moncada, szukając wzrokiem Juliany.

- Otóż i jesteśmy, tak jak obiecaliśmy panu w Barcelonie, señor Moncada. Można wiedzieć, jak wyszliście, panie, z sekretnego pokoiku? - zapytała drwiąco Isabel.

- Gdzie jest pani siostra? - przerwał jej Moncada.

- Ach! W Nowym Orleanie. Mam przyjemność powiadomić was, panie, iż Juliana została szczęśliwą mężatką.

- Mężatką! Nie może być! Kto jest jej mężem? - krzyknął epuzer z rozpaczą w głosie.

- Pewien zamożny i przystojny człowiek interesów, w którym się zakochała od pierwszego wejrzenia - wyjaśniła Isabel z najniewinniejszą miną na świecie.

Rafael Moncada uderzył pięścią w stół i zacisnął wargi, aby nie wyrzucić z siebie litanii przekleństw. Nie mógł uwierzyć, że Juliana kolejny raz wymknęła mu się z rąk. Przejechał dla niej pół świata, zrezygnował ze stanowiska na królewskim dworze i zaniedbał karierę. Był tak rozjuszony, że w tej chwili udusiłby ją własnymi rękami. Diego, wykorzystując chwilę milczenia tamtego, podszedł do grubego i spoconego sierżanta, który wpatrywał się w niego psim wzrokiem.

- García? - zapytał.

- Don Diego de la Vega... poznaliście mnie, panie... cóż za zaszczyt! - wymamrotał uszczęśliwiony grubas.

- Jakżeby nie! Na całym świecie nie ma drugiego takiego jak wy, García! - zawołał Diego, obejmując go.

Ta niestosowna demonstracja sympatii łączącej sierżanta z Diegiem zbita Moncadę z pantalyku.

- Pozwoli pan, że korzystając z okazji, zapytam o mego ojca, Ekscelencjo - odezwał się Diego.

- To zdrajca i jako taki zostanie ukarany - odparł Moncada, cedząc każde słowo.

- Zdrajca? Nie może pan tak mówić o panu de la Vegdze, Ekscelencjo! Pan jest nowy w tych stronach, nikogo pan nie zna. Ale ja się tu urodziłem i mogę zaświadczyć, że de la Vegowie to najzacniejsi i najszlachetniejsi ludzie w całej Kalifornii... - wtrącił wylęknięty García.

- Milczeń, García! Nikt cię nie pytał o zdanie! - przerwał mu Moncada, przesywając go spojrzeniem niczym sztyłem.

Po czym szczerką jakiś rozkaz i spoconemu sierżantowi nie pozostało nic innego, jak stuknąć obcasami i wyprowadzić żołnierzy. W drzwiach zawahał się, odwrócił się do Diega i rozłożył bezradnie ręce, na co tamten mrugnął porozumiewawczo okiem.

- Pozwolę sobie przypomnieć panu, że mój ojciec, don Alejandro de la Vega, to hiszpański hidalgo i bohater wielu bitew, w których brał udział, służąc królowi. Tylko stosowny hiszpański trybunał może go sądzić - powiedział Diego do Moncady.

- Sprawa będzie rozpatrywana przez odpowiednie władze w Meksyku. Do tego czasu pański ojciec pozostanie w dobrze strzeżonym miejscu, gdzie nie będzie mógł już knuć spisków przeciwko Hiszpanii.

- Proces będzie się ciągnął latami, a don Alejandro to starzec. Nie może przebywać w El Diablo - ujął się za Alejandrem de la Vega ojciec Mendoza.

- Zanim pogwałcił prawo, powinien był pomyśleć, że ryzykuje utratę wolności i majątku. Przez nierozagę skazał rodzinę na ubóstwo - odparł Moncada pogardliwym tonem.

Diego zacisnął dłoń na rękojeści szpady, ale Bernardo chwycił go za ramię i przytrzymał, przypominając mu, iż musi być cierpliwy. Moncada poradził mu, aby znalazł sobie jakiś sposób zarabiania na życie, jako że nie dysponuje już ojcowską fortuną, i po tych słowach odwrócił się i wyszedł za swymi ludźmi.

Ojciec Mendoza w geście solidarności poklepał Diega po plecach i ponownie zaproponował im gościnę. Życie w misji jest surowe i znojne, powiedział, brakuje wygód, do jakich nawykli, ale przynajmniej będą mieć dach nad głową.

- Dzięki, ojczu. Któregoś dnia dokładnie wam opowiem, co musieliśmy wycierpieć po śmierci mojego biednego ojca. Wiedźcie tylko, że piechotą przeszliśmy całą Hiszpanię, żyliśmy wśród Cyganów i porwali nas piraci. Nie raz i nie dwa cudem uszliśmy z życiem. Tak więc co do braku wygód, to zapewniam, że jesteśmy dobrze zahartowani - roześmiała się Isabel.

- A ja od jutra obejmuję rządy w kuchni, ojczu, bo tutaj jada się gorzej niż na wojnie - dodała Nuria.

- Misja jest bardzo biedna - sumitował się ojciec Mendoza.

- Przy odrobinie pomysłu nawet z tych samych składników da się przyrządzić coś dla ludzi - odparła Nuria.

Tej nocy, podczas gdy inni spali, Diego i Bernardo wymknęli się ze swych pokoi, wyprowadzili dwa konie i nie tracąc czasu na ich siodłanie, pogalopowali na oklep w kierunku indiańskich jaskiń, gdzie jako dzieci często się bawili. Wcześniej zgodzili się co do tego, że pierwsze, co muszą zrobić, to uwolnić Alejandra de la Vegę z więzienia i ukryć go w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie Moncada nie będzie mógł go znaleźć; następnie czekało ich trudne zadanie oczyszczenia go z oskarżenia o zdradę. Był to tydzień, w którym obaj obchodzili urodziny, miało właśnie dwadzieścia lat, odkąd przyszedł na świat. Diego uznał, że to bardzo istotny moment w ich życiu, i chciał to uczcić w jakiś szczególny sposób, dlatego zaproponował swemu mlecznemu bratu, aby udali się do jaskiń. Przy okazji, jeśli korytarz łączący je z domem de la Vegi nie został w trakcie trzęsienia ziemi zasypany, może przez drzwi w kominku uda im się podpatrzeć, co robi Rafael Moncada.

Diego z trudem poznawał teren, lecz Bernardo od razu podszedł do wejścia ukrytego w gęstych krzakach. Znalazłszy się wewnątrz, zapalili świecę i w labiryncie korytarzy odnaleźli drogę, która zaprowadziła ich do głównej pieczary. Pełnymi ustami wdychali ów niemożliwy do opisanego zapach podziemi, który w dzieciństwie tak lubili. Diego wrócił myślami do tamtego fatalnego dnia, kiedy na ich dom napadli piraci, a on z ranną matką ukrył się w tych lochach i wydało mu się, że w zatęchłym zapachu ziemi wyczuwa woń krwi, potu i lęku. Wszystko, co zostawili pięć lat temu, było na swoim miejscu, począwszy od łuków i strzał, świec i słoików miodu aż po Magiczny Krąg, który wytoczyli przy użyciu kamieni, kiedy usiłowali osiągnąć okahué. Diego oświetlił krąg dwiema pochodniami, w środku zaś położył przyniesiony przez siebie pakunek owinięty w ciemny materiał i obwiązany sznurkiem.

- Bracie, czekałem na tę chwilę od bardzo dawna. Skończyliśmy dwadzieścia lat i obaj jesteśmy gotowi na to, co chcę ci zaproponować - zwrócił się do Bernarda nieoczekiwanie uroczyście. - Pamiętasz cnoty okahué? To honor, sprawiedliwość, szacunek, godność i odwaga. Starłem się kierować nimi w swoim życiu i wiem, że ty także się nimi kierujesz.

W czerwonym blasku pochodni Diego zaczął rozwiązywać pakunek zawierający kompletny strój Zorro - spodnie, koszulę, pelerynę, buty, kapelusz i maskę - i wręczył go Bernardowi.

- Od teraz działania Zorro staną się dla mnie czymś najważniejszym w życiu, Bernardo. Będę walczył o sprawiedliwość i proszę cię, abyś mi towarzyszył. Razem będziemy tysiącem i zmylimy naszych wrogów. Będzie dwóch Zorro, ty i ja, ale nikt nigdy nie zobaczy ich razem.

Ton Diega był tak poważny, że tym razem Bernardo nie odważył się odpowiedzieć mu jakimś kpiącym gestem. Zdał sobie sprawę, że jego mleczny brat dokładnie wszystko przemyślał, nie działał pod wpływem chwili, kiedy dowiedział się o uwięzieniu ojca; potwierdzał to ów czarny strój, który przywiózł z podróży. Młody Indianin zdjął spodnie i równie uroczyście co Diego zaczął wkładać kolejne sztuki odzieży, aż na koniec stał się sobowtórem Zorro. Wówczas Diego odpiął od pasa szpadę zakupioną na Kubie i podał mu ją obiema rękami.

- Przysięgam bronić słabszych i walczyć o sprawiedliwość! - zawołał Diego.

Bernardo przyjął oręż i niedosłyszalnym szeptem powtórzył słowa brata.

Ostrożnie otworzyli tajne drzwi w kominku prowadzące do salonu, z satysfakcją stwierdzając, że pomimo upływu lat przesuwają się po szynie bez hałasu; zawsze pamiętali o tym, aby naoliwić metal, toteż po pięciu latach nadal był śliski. W kominku leżały te same co wtedy wielkie polana, tyle że teraz pokrywała je gruba warstwa kurzu. Nikt w tym czasie nie rozpałał ognia. Reszta pokoju pozostała nietknięta: te same meble, które Alejandro de la Vega zakupił w Meksyku, aby sprawić przyjemność swojej żonie, ta sama wielka lampa o stu pięćdziesięciu świecach zwieszająca się z sufitu, ten sam drewniany stół i te same wyściełane krzesła, te same pretensjonalne obrazy. Wszystko było takie jak dawniej, a mimo to wydało się im, że dom jest mniejszy i mniej przytulny, niż go zapamiętali. Szpeciła go patyna zapomnienia; wszędzie panowała grobowa cisza, ściany były przesiąknięte specyficznym zapachem wiecznie zamkniętych pomieszczeń i tłustego brudu. Jak koty przemknęli korytarzami skąpo oświetlonymi przez nieliczne latarnie. Przedtem był tu zatrudniony specjalny człowiek, który w dzień spał, w nocy zaś doglądał świec i łojowych lampek. Zastanawiali się, czy ów starszek i inni dawni służący mieszkają jeszcze w hacjendzie, czy też Moncada zastąpił ich własnymi ludźmi.

O tej późnej nocnej porze spały nawet psy, tylko na dziedzińcu stał na straży z bronią na ramieniu jeden człowiek, który walczył ze snem, starając się mieć otwarte oczy. Zlokalizowali sypialnię żołnierzy, gdzie naliczyli dwanaście hamaków rozwieszonych na różnych wysokościach jeden nad drugim, z czego zajętych było tylko osiem. W sąsiednim pokoju urządzono skład broni palnej, prochu i szabli. Obawiając się, iż ktoś może ich zobaczyć, nie ośmielili się zajrzeć do pozostałych pomieszczeń, jednak przez uchylone drzwi biblioteki dostrzegli Rafaela Moncadę, który coś pisał albo rachował. Diego stłumił okrzyk wściekłości, widząc, że jego wróg rozsiadł się w ojcowskim fotelu i używa jego papieru i inkaustu. Bernardo szturchnął brata łokciem, dając mu znak, że lepiej będzie, jak już sobie pójdą, wyprawa zaczyna być niebezpieczna. Wycofali się ostrożnie tą samą drogą, którą weszli, dla zatarcia śladów rozdmuchawszy uprzednio grubą warstwę kurzu z kominka.

Do misji dotarli o brzasku. Diego rzucił się na łóżko i spał do późnych godzin rannych, kiedy to Bernardo obudził go i powiedział, że konie są gotowe do drogi. To on wpadł na pomysł, aby pojechać do Toypurni i poprosić ją o pomoc w uwolnieniu Alejandra de la Vegi. Nie widzieli ojca Mendozy, bo ten wcześniej rano wyjechał do Los Angeles, ale Nuria podała im obfite śniadanie składające się z fasoli, ryżu i sadzonych jaj. Isabel zjawiła się przy stole z włosami zebranymi w warkocz, ubrana w podróżną spódnicę i płócienną bluzkę, jakie w misji nosili neofici, oświadczając, że wybiera się z nimi, albowiem chce poznać matkę Diega i zobaczyć, jak wygląda indiańska wioska.

- W takim razie ja też muszę jechać - zaczęła gderać Nuria; długa galopada przez tę ziemię barbarzyńców wcale się jej nie uśmiechała.

- Nie. Ojciec Mendoza potrzebuje cię tutaj. Niedługo wrócimy - odparła Isabel, na pociechę dając jej całusa.

Dosiedli trzech najlepszych koni, jakie były w misji, zabierając jeszcze jednego do przewiezienia bagażu. Mieli jechać cały dzień, na noc pod gwiazdami rozłożyć obóz i rankiem następnego dnia ruszyć w góry. Uciekając przed żołnierzami, Indianie przenosili się z miejsca na miejsce, ale Bernardo potrafił ich zlokalizować. Isabel, która wprawdzie nauczyła się już jeździć okrakiem, jednak nie nawykła do długich przejażdżek, bez słowa skargi podążała za przyjaciółmi. Na pierwszym postoju, jaki zrobili, aby odświeżyć się w strumieniu i posilić przygotowanym przez Nurię prowiantem, zdała sobie sprawę, że jest cała poobijana. Diego dworował sobie z niej, że chodzi jak kaczka, ale Bernardo dał jej ziołową maść sporządzoną przez Białą Sowę, żeby posmarowała sobie obolałe miejsca.

W południe następnego dnia Bernardo pokazał im na drzewach jakieś znaki i oznajmił, że plemię jest już blisko. Kilka chwil później natknęli się na dwóch niemal nagich mężczyzn z wymalowanymi

ciałami i łukami gotowymi do strzału, którzy ujrzawszy Bernarda, opuścili broń i podeszli się przywitać. Po dokonaniu stosownej prezentacji przybysze zostali poprowadzeni do ukrytej wśród drzew wioski, nędznego skupiska szałasów, pomiędzy którymi wałęsało się kilka psów. Indianie zagwizdali i niemal natychmiast pojawili się mieszkańcy owej zapomnianej przez Boga i ludzi osady - wynędzniali, nadzy lub okryci łachmanami. Diego z przerażeniem rozpoznał wśród nich swoją babcię Białą Sowę i matkę. Minęła dobra chwila, zanim zdołał otrząsnąć się z szoku, że widzi je w tak opłakany stan, zeskoczył z siodła i podbiegł, by je uściskać. Już nie pamiętał, jak biedni byli Indianie, ale nie zapomniał woni dymu i ziół zawsze towarzyszącej jego babce. Uderzył go również nowy zapach matki. Regina pachniała mydłem z mleka i wodą kwiatową, Toypurnia - szałwią i potem. - Diego, jak ty urosłeś... - wyszeptła matka, Toypurnia mówiła do niego językiem tubylców, wydając dźwięki, które Diego usłyszał jako pierwsze w życiu i których nie zapomniał. Ten język był jak pieszczota, był wyrazem ich wzajemnej czułości, po hiszpańsku zwracali się do siebie w sytuacjach oficjalnych, gdy nie mogli pozwolić sobie na dotyk. Pierwszy język służył do wyrażania uczuć, drugi - do wymiany myśli. Pełnymi odcisków dłońmi Toypurnia dotykała syna, jego ramion, piersi, szyi, rozpoznawała go, mierzyła, zaskoczona zmianami, jakie w nim zaszły. Potem przyszła kolej na babcię. Biała Sowa odgarnęła mu włosy i przyjrzała się uważnie jego uszom, jakby był to jedyny i niezawodny sposób ustalenia jego tożsamości. Diego roześmiał się głośno i objął ją w pasie, uniósł piędź nad ziemią. Była lekka jak piórko. Miał wrażenie, że podnosi dziecko, jednak pod okrywającymi ją łachmanami i króliczymi skórkami wyczuł jej ciało żyłaste i twarde jak z drewna. Nie była ani taka stara, ani taka krucha, jak mu się na pierwszy rzut oka wydawało. Idąc za wzrokiem Bernarda, zobaczył Nocną Błyskawicę i ich synka, małego Diega. Pięcioletni chłopczyk nagi i uzbrojony w miniaturowy łuk i strzały miał ciało barwy cegły, ciemne oczy i ten sam uśmiech co matka. Nocną Błyskawicę widział Diego bardzo dawno, jeszcze w dzieciństwie, kiedy odwiedzał wioskę babci, był teraz zaskoczony jej urodą. Zauważył, że przy niej i przy dziecku Bernardo stał się innym mężczyzną, twarz mu się rozjaśniła i wydawał się wyższy.

Kiedy minęła początkowa euforia spotkania, Diego przypomniał sobie o Isabel, która z pewnej odległości przyglądała się scenie powitania, i przedstawił ją matce i babci. Na podstawie anegdot, jakie Diego jej o nich opowiadał, Isabel wyobrażała sobie, że są one kimś w rodzaju postaci z popularnych malowideł, na których konkwistadorzy przedstawiani są w błyszczących zbrojach, amerykańscy tubylcy zaś w pióropuszcach i wyglądają niczym półbogowie. Tymczasem te Indianki, wychudzone, rozczochrane i brudne, z wyglądu nawet z daleka nie przypominały nikogo takiego, jednak emanowała od nich ta sama godność. Nie potrafiła porozumieć się z babcią, za to już w chwili po przybyciu zaprzyjaźniła się z Toypurnią.

Postanowiła ją często odwiedzać, uznała bowiem, że od tej dziwnej i mądrej kobiety może się wiele nauczyć. Chciałabym być taka dzika, pomyślała. Sympatia była obopólna, albowiem Toypurni spodobała się młoda Hiszpanka z zezem; wierzyła, że świadczy to o jej zdolności widzenia tego, czego nie widzą inni.

W wiosce Białej Sowy było wiele dzieci, kobiet i starców, lecz z całej grupy myśliwych pozostało zaledwie pięciu. W poszukiwaniu zwierzyny musieli zapuszczać się daleko, biali rozdzielili bowiem tereny łowieckie między siebie i bronili ich, strzelając do intruzów. Czasami głód zmuszał Indian do kradzieży bydła, a kiedy zostali przyłapani, skazywano ich na chłostę lub szubienicę. Mężczyźni często zatrudniali się na ranczach, ale Indianie z wioski Białej Sowy wybrali wolność i teraz ponosili konsekwencje tej decyzji. Dzięki sławie szamanek i znachorek, jaką cieszyły się obie kobiety, inne wojownicze plemiona żyły z nimi w pokoju. Obcy, którzy zjawiali się w obozie, przybywali prosić o radę albo leki, w zamian za co oferowali żywność i skóry. Plemię przetrwało, jednak odkąd Rafael Moncada i Carlos Alcázar uwięzili młodych mężczyzn, nie mogło na dłużej osiąść w jednym miejscu. Przechodząc na wędrowny tryb życia, musiało porzucić uprawy kukurydzy i innych zbóż i zadowolić się grzybami i leśnymi owocami, rybami i mięsem, o ile udało mu się je zdobyć.

Bernardo i Nocna Błyskawica mieli prezent dla Diega - czarnego rumaka o wielkich inteligentnych oczach. Był to Tornado, ów osierocony żreback towarzyszący Bernardowi podczas jego obrzędu inicjacji przed siedmioma laty, którego Nocna Błyskawica oswoiła i nauczyła posłuszeństwa i reagowania na gwizd. Było to zwierzę szlachetnych kształtów, wspaniały przyjaciel człowieka. Diego pogłaskał konia po nosie i zanurzył twarz w długiej grzywie, wypowiadając wielokrotnie jego imię.

- Będziemy musieli trzymać cię w ukryciu, Tornado. Tylko Zorro będzie cię dosiadał - powiedział, a rumak w odpowiedzi zarżał i machnął ogonem.

Reszta popołudnia upłynęła im na pieczeniu oposów i ptaków, które udało im się upolować, i dzieleniu się kolejnymi niepomyślnymi wieściami. Gdy zapadła noc, wyczerpana Isabel owinęła się w koc i usnęła przy ognisku. Tymczasem Toypurnia z ust syna dowiedziała się o tragicznym losie Alejandra de la Vegi. Wyznała mu, że za nim tęskni, to jedynej mężczyzna, jakiego kiedykolwiek kochała, ale nie może nadal być jego żoną. Woli nędzną egzystencję swego plemienia nomadów od zbytku hacjendy, w której czuła się jak w więzieniu. Swoje dzieciństwo i młodość spędziła na otwartej przestrzeni, nie mogła znieść murów z niewypalanej cegły i dachu nad głową, nadętych i sztucznych zachowań, niewygodnych hiszpańskich strojów, ograniczeń chrześcijańskiej religii. Z wiekiem Alejandro stawał się coraz bardziej surowy w osądzaniu bliźnich. Kiedy ich syn wyjechał do Hiszpanii, nie mieli już ze sobą nic wspólnego, a łącząca ich od czasów młodości namiętność wygasła. Niemniej jednak przejęła się losem męża i zaferowała swoją pomoc w uwolnieniu go z El Diablo i znalezieniu dla niego odpowiedniej kryjówki. Kalifornia jest bardzo rozległa, a ona zna niemal wszystkie ścieżki. Potwierdziła również słuszność podejrzeń ojca Mendozy.

Od kilku miesięcy, mówiła, w pobliżu ławic ostryg stoi na kotwicy duży barkas, do którego niewielkimi łódkami dowożeni są więźniowie. Z ich plemienia uprowadzono wielu młodych mężczyzn, którzy pod przymusem nurkują od świtu aż do zachodu słońca. Spuszczają się do morza na linie z kamieniem dla obciążenia oraz z koszem na ostrygi. Gdy pociągają za sznur, wciągani są do łodzi. Połów składowany jest na barkasie, gdzie inni więźniowie, kalecząc sobie ręce, otwierają ostrygi i szukają w nich pereł. Alejandro może być wśród tych ostatnich, albowiem na nurkowanie jest już za stary. Dodała, że skuci łańcuchami więźniowie śpią na plaży i cierpią okrutny głód, albowiem za jedyne pożywienie mają ostrygi.

- Nie wiem, jak zdołasz wydostać ojca z tego piekła - powiedziała.

Dopóki przebywał na statku, rzeczywiście było to niemożliwe. Ale Diego wiedział od ojca Mendozy, że więzienie ma odwiedzić jakiś ksiądz... Moncada i Alcázar, którym zależy, by sprawa pereł nie wyszła na światło dzienne, na kilka dni przerwą ich połów, tak aby w chwili przybycia duchownego więźniowie znajdowali się w El Diablo. To jest jedyna nasza szansa, powiedział Diego. Zrozumiał, że przed matką i babcią nie może zataić, prawdy o Zorro, bo była mu potrzebna ich pomoc. Kiedy wyjaśniał im swój plan, nagle zdał sobie sprawę, że jego słowa brzmią jak czysty bełkot, dlatego bardzo się zdziwił, że obie kobiety nawet nie mrugnęły okiem, jakby przeistoczenie się w Zorro i atak na El Diablo było czymś najnormalniejszym w świecie. Obiecały dochować tajemnicy. Uzgodnili, że za kilka dni Bernardo w towarzystwie trzech najsilniejszych i najodważniejszych członków plemienia przyprowadzi kilka koni na La Cruz de las Calaveras. Było to skrzyżowanie dróg niedaleko od El Diablo, tam, gdzie kiedyś powieszono dwóch bandytów. Ich wyblakłe od deszczu i słońca czaszki nadal tkwią na drewnianym krzyżu. Indianie mieli nie znać szczegółów - jeżeli zostaną schwytani, im mniej będą wiedzieli, tym dla nich lepiej.

Diego z grubsza przedstawił swój plan ratowania ojca oraz, jeśli to będzie możliwe, także pozostałych więźniów. Większość z nich stanowią Indianie, którzy bardzo dobrze znają teren i - w razie potrzeby - zapadną się pod ziemię. Biała Sowa powiedziała, że przy budowie El Diablo pracowało wielu Indian, a wśród nich jej rodzony brat. Nadal tam pracuje. Biali nazywają go Arsenio, lecz jego prawdziwe imię brzmi Oczy, Które Widzą w Mroku. Jest niewidomy. Indianie wierzą, że ci, którzy przychodzą na świat, nie widząc słońca, mogą widzieć w ciemnościach jak nietoperze, Arsenio zaś jest tego najlepszym przykładem. Ma złote ręce, potrafi wyrabiać różne narzędzia i naprawić każdy mechanizm. Zna więzienie jak nikt, porusza się po nim swobodnie, albowiem od ponad czterdziestu lat jest ono jego jedynym światem. Zaczął w nim pracować na długo przed tym, zanim pojawił się tam Carlos, i w swej nadzwyczajnej pamięci przechowywał wszystkich więźniów, jacy przez nie przeszli. Babcia wręczyła Diegowi kilka sowych piór.

- Może mój brat będzie mógł ci pomóc. Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że jesteś moim wnukiem, i daj mu te pióra, wtedy będzie wiedział, że nie kłamiesz - powiedziała.

Wczesnym rankiem następnego dnia Diego wyruszył w powrotną drogę do misji, uzgodniwszy wcześniej z Bernardem miejsce i czas ich ponownego spotkania. Bernardo został w wiosce, aby z materiałów, które wspólnie z Diegiem wykradli ojcu Mendozie, przygotować niezbędny sprzęt. „To jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy cel uświęca środki...” - zapewniał go Diego, kiedy przetrząsał piwnicę misjonarza w poszukiwaniu długiego sznura, saletry, cynkowego proszku i lontów.

Zanim odjechał, zapytał matkę, dlaczego wybrała dla niego imię Diego.

- Tak nazywał się mój ojciec, a twój hiszpański dziadek: Diego Salazar. To był odważny i dobry człowiek, który rozumiał duszę Indian. Zdezerterował ze statku, bo chciał być wolny, nie uznawał ślepego posłuszeństwa, którego wymagano od niego na pokładzie. Szanował moją matkę i przejął

obyczaje naszego plemienia. Wiele mnie nauczył, między innymi mówić po hiszpańsku. Dlaczego o to pytasz?

- Zawsze byłem ciekaw. Wiedziałaś, że Diego pochodzi od „di-ego”, co znaczy „drugi ja”, czyli sobowtór?

- Nie. A kto to taki ten sobowtór?

- Ktoś, kto może zająć miejsce innego - wyjaśnił Diego.

Diego pożegnał się z przyjaciółmi w misji, powiadamiając ich, że jedzie do Monterrey. Będzie nalegał, aby gubernator oddał jego ojcu sprawiedliwość. Nie chce, aby ktoś mu towarzyszył, powiedział, nie zmęczy się podróżą, będzie się bowiem zatrzymywał w misjach położonych wzdłuż Królewskiej Drogi. Ojciec Mendoza, Isabel i Nuria patrzyli, jak się oddala na siwym koniu, prowadząc z tyłu drugiego z sakwami na grzbiecie. Misjonarz był przekonany, że ta wyprawa do Monterrey jest niepotrzebną stratą czasu, a przecież należało się spieszyć, bowiem każdy kolejny dzień, jaki don Alejandro spędzał w El Diablo, mógł być dla niego ostatnim. Diego jednak był głuchy na argumenty duchownego.

Pozostawiając misję za sobą, Diego zbiegł z drogi i zawróciwszy o sto osiemdziesiąt stopni, skierował się w stronę pustkowi na południu. Miał nadzieję, że Bernardo przygotował, co do niego należało, i będzie czekał na skrzyżowaniu de las Calaveras. Po kilku godzinach, kiedy do wyznaczonego miejsca było już niedaleko, Diego zmienił ubranie. Założył polatany mnisi habit, który podkraść pocziwemu ojcu Mendozie, i przykleił sobie sztuczną brodę z kosmyków włosów Białej Sowy. Dopelnieniem jego przebrania były okulary Nurii, która w poszukiwaniu ich zapewne poruszyła niebo i ziemię. Dotarł na skrzyżowanie, gdzie przytwierdzone do ramion krzyża bandyckie głowy pozdrawiały przejezdnych, i nie musiał długo czekać, albowiem wkrótce jak spod ziemi wychynęli Bernardo i trzech młodzi Indianie. Mieli jedynie przepaski na biodrach, uzbrojeni byli w łuki i strzały, ciała zaś wymalowali w barwy wojenne. Bernardo nie wyjawiał im, kim jest jeździec, ani nie udzielił żadnych wyjaśnień, kiedy wręczył owemu rzekomemu duchownemu worki z bombami i linę. Bracia mrugnęli do siebie porozumiewawczo: wszystko gotowe. Diego zauważył, że wśród półtuzina koni przyprowadzonych przez Indian jest Tornado i nie mógł oprzeć się pokusie, by do niego podejść i pogłaskać go po szyi.

Diego postanowił dojść do więzienia pieszo, albowiem uznał, iż wtedy mniej będzie rzucał się w oczy; ot, jakaś smętna postać ledwie widoczna w blasku słońca. Jeden z koni niósł jego bagaż, drugi zaś rzeczy przygotowane przez Bernarda, w tym wielki drewniany krzyż wysoki na sześć piędzi. Wspiąwszy się na wierzchołek niewielkiego wzgórza Diego ujrzał w oddali morze i czarną plamę ponurego, wzniesionego na skałach więzienia El Diablo. Chciało mu się pić, habit lepił się od potu, jednak przyspieszył kroku, albowiem spieszno mu było do spotkania z ojcem i do nowej przygody. Minęło może dwadzieścia minut, kiedy nagle usłyszał tętent końskich kopyt i w tumanie kurzu zobaczył zbliżający się powóz. Nie udało mu się powstrzymać okrzyku gniewu; to z pewnością skomplikuje jego plany, jeśli już ktoś tędy jechał, to z pewnością zmierzał do fortecy. Pochylił głowę, poprawił kaptur i upewnił się, że broda jest na swoim miejscu. Pod wpływem potu mogła się przekrzywić, chociaż użył gęstego kleju z najtwardszej żywicy. Powóz zatrzymał się obok niego. Ku ogromnemu zdumieniu Diega z okienka wyjrzało jakieś bardzo urodziwe dziewczę.

- Ojciec musi być tym duchownym, który zapowiedział swoje przybycie do więzienia, prawda? Czekaliśmy na ojca - powiedziała dziewczyna.

Jej uśmiech był zachwycający i serce Diega zaczęło bić szybciej. Powoli wracał do siebie z rozpacz po stracie Juliany i był w stanie podziwiać inne kobiety, zwłaszcza tak pełne wdzięku jak ta dziewczynka. Jednak szybko wrócił do swojej nowej roli.

- Faktycznie, córko, jestem ojciec Aguilar - odparł głosem zgrzybiałego staruszka.

- Wejdźcie, ojcze, do mojego powozu, będziecie mogli trochę odpocząć - zaproponowała dziewczyna. - Ja też jadę do El Diablo do mojego kuzyna.

- Bóg ci zapłać, córko.

A więc ta ślicznotka to Lolita Pulido! Owo chude dziewczętko, które posyłało mu miłosne liściki, kiedy miał piętnaście lat. Cóż za szczęśliwe zrządzenie losu! Kiedy tylko powóz Lolity, do którego przywiązano dwa konie rzekomego księdza, dotarł do więzienia, Diego nie musiał już sam niczego wyjaśniać. Gdy tylko stangret zapowiedział przybycie dziewczyny i ojca Aguilara, strażnicy otworzyli im bramę i uprzejmie ich powitali. Żołnierze znali Lolitę, mówili jej po imieniu i nawet dwóch zakutych w dyby więźniów uśmiechnęło się do niej. „Dajcie tym biedakom wody, przecież się smażą na słońcu”

- poprosiła jednego z wartowników, a ten natychmiast pobiegł spełnić jej życzenie. W tym czasie Diego ukradkiem obserwował więzienie i liczył mężczyzn w mundurach. Na linie mógł spuścić się na zewnątrz budynku, jednak nie miał pojęcia, jak wydostać ojca.

Gości od razu zaprowadzono do biura Carlosa Alcázara. Jedyne umeblowanie tego pomieszczenia stanowiły stół, krzesła i regały z więziennymi rejestrami. W owych zniszczonych tomiszczach notowano wszystko, od kosztów paszy dla koni do liczby zmarłych więźniów; wszystko z wyjątkiem spraw dotyczących pereł, które trafiały bezpośrednio z ostryg do kufrów Moncady i Alcázara. W kącie stała gipsowa figurka Matki Boskiej przygniatającej nogą szatana.

- Witajcie, ojcze - powiedział Carlos Alcázar, ucałował policzki kuzynki, w której nadal był zakochany równie mocno co w dzieciństwie. - Nie spodziewaliśmy się was wcześniej jak dopiero jutro.

W odpowiedzi Diego z pochyloną głową i spuszczonego wzrokiem z namaszczeniem wyrecytował po łacinie pierwsze zdanie, jakie mu przyszło do głowy, na zakończenie dodając z emfazą Sursum corda, co nie miało się nijak do rzeczy, za to zamknęło pozostałym usta. Carlos rozdziawił gębę; jako uczeń nigdy nie był dobry z martwych języków. Był jeszcze młody, nie mógł mieć więcej jak dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, jednak jego cyniczny wyraz twarzy sprawiał, że wyglądał na starszego. Miał wargi wykrzywione w grymasie okrucieństwa i szurze oczy. Diego pomyślał, że Lolita nie mogła należeć do tej samej rodziny; ta dziewczyna zasługiwała na lepszy los niż bycie kuzynką Carlosa.

„Ksiądz” przyjął szklanekę wody i oznajmił, że nazajutrz odprawi mszę, będzie słuchał spowiedzi i udzieli komunii wszystkim, którzy zechcą przystąpić do sakramentów. Jest bardzo zmęczony, dodał, jednak jeszcze tego wieczoru pragnie odwiedzić więźniów chorych i odbywających dodatkową karę, włącznie z tymi dwoma w dybach. Lolita poparła jego prośbę; oprócz innych rzeczy, powiedziała, przywiozła skrzynkę lekarstw, które oddaje teraz ojcu Aguilarowi do dyspozycji.

- Moja kuzynka ma bardzo miękkie serce, ojcze. Mówiłem jej, że El Diablo to nie miejsce dla pańienek, ale mnie nie słucha. Tak samo nie może zrozumieć, że większość tych ludzi to bestie pozbawione moralności i uczuć, gotowe gryźć rękę, która ich karmi.

- Żaden z nich mnie jeszcze nie ugryzł - odparła Lolita.

- Niedługo będzie kolacja, ojcze. Nie oczekujcie uczyty, tutaj żyje się skromnie - powiedział Alcázar.

- Nie przejmuj się, synu, jadam bardzo niewiele, a w tym tygodniu poszczę. Wystarczy mi chleb i woda. Wolę posilić się w moim pokoju, bo nim spotkam się z chorymi, muszę się pomodlić.

- Arsenio! - zawołał Alcázar.

Indianin wyłonił się z mroku. Cały czas stał w kącie, tak milczący i nieruchomy, że Diego nie zauważył jego obecności.

Poznał go z opisu Białej Sowy. Miał na oczach białą przepaskę, ale poruszał się pewnie.

- Zaprowadź ojca do jego pokoju, aby odpoczął. Masz być na jego rozkazy, słyszałeś? - rozkazał Alcázar.

- Tak, panie.

- Możesz go zaprowadzić do chorych.

- Do Sebastiana też, panie?

- Nie, do tego nikczemnika nie.

- Dlaczego? - wtrącił się Diego.

- On nie jest chory. Musieliśmy trochę mu przylać, ale to nic groźnego, nie martwcie się, ojcze.

Lolita wybuchnęła płaczem: kuzyn obiecał jej, że nie będzie już więcej stosował takich kar. Zaczęli się kłócić, więc Diego zostawił ich i ruszył za Arseniem do pokoju, który mu wyznaczono, gdzie czekały na niego nietknięte sakwy z jego bagażem oraz wielki krzyż.

- Nie jesteście, panie, człowiekiem Kościoła - odezwał się Arsenio, kiedy znaleźli się za zamkniętymi drzwiami gościnnego pokoju.

Diego wzdygnął się ze strachu; jeśli ślepiec potrafił zgadnąć, że nie jest prawdziwym duchownym, próżno liczyć, że uda mu się oszukać widzających.

- Nie pachniecie księdzem - dodał Arsenio tonem wyjaśnienia.

- Nie? A czym pachnę? - zapytał zdziwiony Diego, miał wszak na sobie habit ojca Mendozy.

- Włosami Indianki i klejem do drewna - odparł Arsenio.

Chłopak pomacał się po sztucznej brodzie i nie zdołał powstrzymać śmiechu. Postanowił skorzystać z okazji - albowiem zapewne kolejna się nie trafi - i wyznał Arseniowi, że przybył w szczególnej misji i potrzebuje jego pomocy. Włożył mu do ręki pióra otrzymane od babci. Ślepiec pomacał je swymi widzącymi palcami i zmieniony wyraz jego twarzy oznaczał, iż rozpoznał siostrę, o której od lat nie miał żadnych wiadomości. Diego wyjaśnił mu, że jest wnukiem Białej Sowy, i to wystarczyło, aby Arsenio się przed nim otworzył. Potwierdził, że zanim El Diablo zostało przerobione na więzienie, było fortecą, i że pomagał przy jej budowie, po czym został w niej - najpierw w służbie u żołnierzy, a teraz strażników więziennych. Życie w tych murach zawsze było trudne, jednak odkąd kierownictwo objął Carlos Alcázar, stało się piekłem; chciwość i okrucieństwo tego człowieka są nie do opisania, powiedział. Alcázar zmuszał więźniów do pracy i stosował brutalne kary, zatrzymywał dla siebie pieniądze przeznaczone na ich wyżywienie, karmił zaś odpadkami z rancza prowadzonego przez żołnierzy. W tej chwili jeden z więźniów jest w agonii, kilku ma gorączkę wywołaną jadem trujących meduz, a jeszcze inni cierpią na rozedmę płuc i krwotoki z nosa i uszu.

- A Alejandro de la Vega? - zapytał Diego słabym głosem.

- Nie pociągnie długo, stracił chęć do życia, już prawie się nie rusza. Inni pracują za niego, aby nie został ukarany, i karmią go, wkładając mu jedzenie do ust - powiedział Arsenio.

- Oczy Które Widzą w Mroku, zaprowadź mnie, proszę, do niego.

Słońce jeszcze nie zachodziło, ale w środku więzienia było ciemno. Grube mury i wąskie okienka prawie nie wpuszczały światła. Arsenio, któremu do orientacji w terenie świeca była niepotrzebna, wziął Diega za rękaw i bez wahania powiodł go przez korytarze, w których panował półmrok. Wkrótce dotarli do wąskich schodków prowadzących do cel w podziemiach, które zostały urządzone w fortecy, kiedy postanowiono przekształcić ją na więzienie. Znajdowały się poniżej poziomu wody i podczas przyływu kamienne ściany nasiąkały wilgocią, od której pokrywały się zieloną pleśnią, a w powietrzu unosił się wstrętny zapach wywołujący mdłości. Wartownik pełniący straż - Metys z dziobami po ospie i wąsami jak u foki - otworzył żelazną kratę prowadzącą na korytarz i wręczył Arseniowi pęk kluczy. Diego był zaskoczony, że jest tak cicho. Domyślił się, że więźniów jest wielu, lecz najwidoczniej nie mieli nawet sił, by rozmawiać choćby szeptem. Arsenio skierował się do jednej z cel, pomacał pęk kluczy, wybrał właściwy i bez wahania otworzył kratę. Dopiero po kilkunastu sekundach wzrok Diega przyzwyczaił się do ciemności na tyle, że zdołał dostrzec kilka siedzących postaci opartych o ścianę, na ziemi zaś kogoś skulonego, kto przypominał porzucony tobołek. Arsenio zapalił świecę, Diego zaś ukląkł przy ojcu tak wzruszony, że nie mógł mówić. Ostrożnie unióś głowę Alejandra de la Vegi i położył ją sobie na kolanach, po czym odgarnął mu z czoła posklejane kosmyki włosów. W drżącym świetle płomyka widział go lepiej, ale nie poznał ojca. Z postawnego i dumnego hidalga, bohatera dawnych bitew, alkada Los Angeles i zamożnego właściciela ziemskiego nie zostało nic. Był brudny, wyschnięty na wiór, miał pomarszczoną, ziemistą skórę i zaropiałe oczy, dygotał w gorączce, a z podbródka ściekała mu strużka śliny.

- Don Alejandro, słyszycie mnie, panie? To ojciec Aguilar... - odezwał się Arsenio.

- Przyszedłem was uratować, panie, wyciągniemy was stąd - wyszeptał Diego.

Pozostali trzej mężczyźni przebywający w celi jakby obudzili się z letargu, jednak zaraz z powrotem usiedli pod ścianą. Stracili już wszelką nadzieję.

- Udzielcie mi, ojcze, ostatnich sakramentów. Dla mnie już za późno - wymamrotał Alejandro de la Vega ledwie dosłyszalnym głosem.

- Nie jest za późno. Spróbujcie usiąść, panie... - poprosił Diego.

Zdołał posadzić go i napoić wodą, po czym przetaił mu oczy wilgotnym rąbkiem habitu.

- Postarajcie się wstać, panie, musicie chodzić, inaczej was stąd nie wydobanę - nalegał Diego.

- Zostawcie mnie, ojcze, nie wyjdę stąd żywy.

- Wyjdziecie, panie. Zapewniam was, że znowu zobaczycie waszego syna i to nie na tamtym, ale na tym świecie...

- Mojego syna, powiadacie?

- To ja, Diego, wasza miłość mnie nie poznaje? - wyszeptał chłopak, starając się, aby inni go nie usłyszeli.

Alejandro de la Vega przyglądał mu się przez kilka sekund zamglonym wzrokiem, jednak w tym zakapturzonym i zarośniętym księdzu nie dopatrzył się znajomej twarzy. Nadal szeptem Diego wyjaśnił mu, że włożył habit i przykleił sobie sztuczną brodę, żeby móc w tym przebraniu wejść do El Diablo.

- Diego... Diego... Bóg wysłuchał mojego błagania! Tak bardzo się modliłem, żeby cię jeszcze przed śmiercią zobaczyć, mój synu!

- Wasza miłość był zawsze człowiekiem walecznym i dzielnym. Błagam, nie sprawcie mi zawodu, panie. Musicie żyć. Teraz muszę odejść, ale bądźcie gotowi, bo niedługo przyjdzie po was mój przyjaciel.

- Powiedz swojemu przyjacielowi, Diego, że nie mnie ma ratować, ale moich towarzyszy. Wiele im zawdzięczam, odejmowali sobie od ust, aby podzielić się ze mną kawałkiem chleba.

Diego odwrócił się i spojrzał na pozostałych więźniów. Byli to trzej Indianie równie brudni i wychudzeni jak jego ojciec, z tym samym wyrazem całkowitego pogodzenia się z losem, jednak młodzi i jeszcze zdrowi. Najwyraźniej w ciągu kilku zaledwie tygodni zdołali uleczyć owego hiszpańskiego hidalga z poczucia wyższości, jakie cechowało go przez całe życie. Pomyślał o zmienności losu. Kapitan Santiago de León powiedział mu któregoś dnia, kiedy na pełnym morzu obserwowali gwiazdy, że jeśli żyje się wystarczająco długo, można zrewidować swoje poglądy i z niektórych się wycofać.

- Wyjdą z wami, wasza miłość, obiecuję - zapewnił go Diego na pożegnanie.

Arsenio zostawił rzekomego duchownego w jego pokoju i niedługo potem przyniósł mu skromny posiłek w postaci czerstwego chleba, wodnistej zupy i kieliszka cienkiego wina. Diego zdał sobie sprawę, że jest głodny jak wilk i pożałował, iż powiedział Carlosowi Alcázarowi o tym poście. Niepotrzebnie posunął się aż tak daleko w udawaniu. Pomyślał, że o tej porze w misji San Gabriel Nuria przygotowuje zapewne zupę na wołowym ogniu.

- Ja tylko badam teren, Arsenio. Ktoś inny spróbuje uwolnić więźniów i wywieźć don Alejandra de la Vegę w bezpieczne miejsce. Ten ktoś to Zorro, mężny kawaler w czarnym stroju i czarnej masce, który pojawia się zawsze, kiedy trzeba zaprowadzić sprawiedliwość - wyjaśnił ślepcowi.

Arsenio pomyślał, że przybysz sobie z niego żartuje. Od pięćdziesięciu lat żył w świecie bezprawia i nigdy nie słyszał, aby ktoś choćby wspomniał o jakimś człowieku w masce. Diego zapewnił go, że w Kalifornii wiele się teraz zmieni. Jeszcze się przekonają, kim jest Zorro! Słabi zyskają opiekuna, a złoczyńcy poznają ostrze jego szpady i uderzenie jego bata. Arsenio zaczął się śmiać; teraz był już całkowicie przekonany, że ów człowiek ma niedobrze w głowie.

- Sądysz, że Biała Sowa przysyłałaby mnie do ciebie, gdyby chodziło o żart? - zawołał Diego obrażony.

Argument musiał wyrzucić na Indianinie pewne wrażenie, gdyż zapytał, jak Zorro zamierza uwolnić więźniów, zważywszy, że z El Diablo jeszcze nikt nigdy nie uciekł. Nie da się tak po prostu wyjść przez główną bramę. Diego wyjaśnił mu, że choćby Zorro był nie wiadomo jak odważny, nie poradzi sobie sam, będzie potrzebował pomocy. Arsenio zastanawiał się przez dłuższą chwilę i na koniec stwierdził, że budynek ma jeszcze jedno wyjście, ale nie wie, czy nie jest zatarasowane. Kiedy budowano fortecę, wydrążono tunel mający służyć jako droga ucieczki na wypadek napaści. W owym czasie okolicę często nękali piraci. Obawiano się, że Kalifornię zaatakują Rosjanie. Ten krótki tunel, który nigdy nie był używany i o którym już nikt nie pamiętał, kończył się niedaleko, w środku gęstego lasu na zachód od fortecy, dokładnie w dawnym świętym miejscu Indian.

- Bogu niech będą dzięki! Dokładnie tego potrzebuję, to znaczy Zorro tego potrzebuje. Gdzie jest wejście do tunelu?

- Jak przyjdzie Zorro, to mu pokażę - odparł Arsenio chytrym tonem.

Kiedy Diego został sam, otworzył swój bagaż zawierający jego czarny strój, bat i pistolet. W sakwach przygotowanych przez Bernarda znalazł sznur zakończony metalową kotwiczką i kilka glinianych naczynek. Były to bomby dymne z saletry i sproszkowanego cynku sporządzone według receptury, jaką - obok innych ciekawostek - Diego przepisał z książek kapitana Santiaga de León. Zamierzał zrobić taką bombę, żeby przestraszyć Bernarda, nigdy nie przypuszczał, że posłuży mu do ratowania ojca. Zagryzając wargi, by nie krzyknąć z bólu, z trudem oderwał brodę. Klej podrażnił mu twarz, która teraz wyglądała jak oparzona. Uznał, że nie warto przyklejać wąsa, wystarczy maska, jednak wcześniej czy później będzie musiał zapaść sobie wąsik. Umył się w miednicy, do której Arsenio nalał mu wody, i przebrał się za Zorro. Następnie zabrał się do demontowania krzyża i wydobyl ukrytą w nim szpadę. Wciągnął skórzane rękawiczki i zrobił kilka kroków, sprawdzając giętkość stali i twardość mięśni. Uśmiechnął się z satysfakcją.

Wyjrzał przez okno, zobaczył, że na zewnątrz jest ciemno, i domyślił się, że Carlos i Lolita zapewne zjedli już kolację i każde z nich jest teraz w swoim pokoju. W więzieniu panowały spokój i cisza, najwyższa pora, by zacząć działać. Włożył bat i pistolet za pas, schował szpadę do pochwy i skierował się do wyjścia. „W imię boże...” - wymamrotał, ściskając jednocześnie kciuki, tak aby oprócz opieki Opatrzności zapewnić sobie jeszcze odrobinę szczęścia. Zdążył zapamiętać rozplanowanie budynku i policzyć stopnie schodów, dzięki czemu mógł się poruszać bez światła. Jego ubranie pozwalało mu wtopić się w ciemność; miał też nadzieję, że strażników nie będzie zbyt wielu.

Przemknął bezszelestnie na jeden z tarasów, rozejrzał się za miejscem, gdzie mógłby ukryć bomby, i biorąc po dwie, zaczął je przenosić. Były ciężkie i musiał bardzo uważać, by ich nie upuścić. Wracając ostatni raz, zarzucił na ramię zwinięty sznur zakończony żelazną kotwiczką. Upewniwszy się, że bomby są dobrze schowane, przeskoczył z tarasu na okalający więzienie kamienny mur, na którym co pięćdziesiąt kroków rozmieszczono pochodnie, wystarczająco szeroki, aby mogli się po nim przechadzać wartownicy. Ze swej kryjówki zauważył jednego i policzył minuty do chwili, gdy pojawił się drugi. Stwierdził, że jest ich tylko dwóch, i uznał, że wystarczy mu czasu na realizację kolejnego etapu przedsięwzięcia. Skulony pobiegł w stronę południowego skrzydła więzienia, gdzie zgodnie z umową miał na niego czekać Bernardo; niewielkie skaliste wzniesienie ułatwiało tu wspięcie się na mury. Obaj znali tę okolicę, albowiem w dzieciństwie nieraz się zapuszczali w pobliże więzienia. Znalazłszy owo miejsce, zaczekał, aż strażnik przejdzie, po czym wziął jedną z pochodni i zaczął nią machać w powietrzu; był to znak dla Bernarda. Następnie zaczepił mocno kotwiczkę o mur i przerzucił linę na drugą stronę, modląc się, aby dosięgnęła ziemi i aby brat ją zauważył. Znowu musiał się schować, bo zbliżał się drugi strażnik, który żeby popatrzeć w niebo, przystanął w odległości zaledwie dwu piędzi od metalowej kotwiczki. Serce podeszło Diegowi do gardła, a maska nasiąknęła zimnym potem, kiedy spostrzegł, że nogi mężczyzny niemal jej dotykają. Gdyby ją zauważył, Diego musiałby go popchnąć i strącić z muru, jednak bardzo tego nie chciał. Jak tłumaczył kiedyś Bernardowi, największym wyzwaniem było dla niego czynić sprawiedliwość, nie plamiąc sobie rąk cudzą krwią. Rzeczowy jak zwykle Bernardo zauważył, że takie idealne rozwiązanie nie zawsze jest możliwe.

Strażnik podjął swój obchód dokładnie w chwili, gdy stojący u podnóża muru Bernardo pociągnął za sznur, poruszając kotwiczką. Jej brzęk wydał się Zorro ogłuszający, jednak strażnik zawahał się tylko na moment, po czym poprawił broń na ramieniu i ruszył dalej. Z westchnieniem ulgi Zorro przechylił się przez mur. Chociaż nie widział towarzyszy, po napięciu sznura poznał, że tamci zaczęli się już wspinać. Zanim usłyszeli kroki drugiego wartownika, wszyscy czterej zdążyli znaleźć się już na murze i ukryć. Zorro powiedział Indianom, gdzie wedle słów Arsenia znajduje się wylot tunelu, i poprosił dwóch z nich, aby przedostali się na dziedziniec więzienia i w odpowiedniej chwili wypuścili konie poza bramę, tak aby uniemożliwić żołnierzom pościg, a potem przyprowadzili je na miejsce zbiórki po akcji.

Zorro wrócił na taras, na którym ukrył bomby, i porozumiewając się z Bernardem krótkim szczeknięciem kojota, jedną po drugiej zaczął je zrzucać na mur. Dwie zachował na później, aby użyć ich wewnątrz budynku. Bernardo podpalił lonty swoich bomb, kilka z nich podał Indianinowi, który mu towarzyszył, i obaj szybko i bezszelestnie jak podczas polowania pobiegli wzdłuż muru. Rozstawili się w różnych miejscach i w chwili gdy płomienie strawiły już lonty i sięgały zawartości glinianych naczynek, obrzucili nimi upatrzone cele: stajnię, magazyn broni, sypialnię żołnierzy, dziedziniec. Kiedy gęsty, biały dym spowił więzienie, na pierwszym i drugim piętrze głównego budynku Zorro odpalił swoje bomby. W ciągu kilku minut wybuchła panika. Na krzyk „Pali się!”, popychając się i na gwałt wciągając spodnie i buty, z pokoi wypadli żołnierze i rozległo się bicie dzwonu na alarm. Wszyscy rzucili się do gaszenia rzekomego pożaru; jedni podawali sobie z rąk do rąk wiadra wody i krtuszając się dymem wylewali je, gdzie popadnie, inni otwierali stajnie i wypędzali przerażone konie na dziedziniec, potęgując panikę. Dwaj Indianie z plemienia Toypurni, którzy zeszli z muru i siedzieli ukryci na dziedzińcu, wykorzystali sytuację, otworzyli bramę fortecy i wypędzili konie, które puściły się galopem przez pole. Były udomowione i nie uciekły daleko, zbiły się w stado w niewielkiej odległości od twierdzy, gdzie dopędzili je Indianie. Dosiedli dwóch z nich, pozostałe zaś odprowadzili na miejsce spotkania wyznaczone przez Zorro w pobliżu wylotu tunelu.

Carlos Alcázar obudził się na dźwięk dzwonu i wybiegł z pokoju; kiedy poznał przyczynę alarmu, próbował uspokoić ludzi, tłumacząc, że ściany z kamienia nie są łatwopalne, jednak nikt go nie słuchał, gdyż właśnie buchnęły płomienie, jako że Indianie postali serią zapalonych strzał w stronę słomy znajdującej się w stajniach. W tym czasie dym zaczął się rozprzestrzeniać po całym budynku i Alcázar rzucił się na poszukiwanie swojej ukochanej kuzynki, jednak zanim dotarł do jej pokoju, wpadł na Lolitę na środku korytarza. „Więźniowie! Trzeba ratować więźniów!” - krzyczała zrozpaczona dziewczyna, jednak on co innego miał w głowie. Nie mógł pozwolić, aby pożar zniszczył jego cenne perły.

W ciągu dwóch miesięcy więźniowie wyłowili z morza tysiące ostryg i Moncada z Alcázarem uzbierali już kilkanaście garści pereł. Przy podziale dwie trzecie miały przyspaść Moncadzie, który finansował tę operację, i jedna trzecia Alcázarowi, który nią kierował. Nie prowadzili żadnego rejestru, albowiem interes był nielegalny, niemniej jednak wypracowali pewien system kontroli nad wspólnym skarbem. Pereł wrzucali przez niewielki otworek do zamkniętego na glucho kufra przytwierdzonego do podłogi w biurze Alcázara dwiema metalowymi sztabami zamykanymi na dwa różne klucze. Każdy z nich posiadał jeden klucz i po zakończeniu operacji mieli razem otworzyć kufer i podzielić się zawartością. Do pilnowania tej swoistej skarbonki Moncada wyznaczył zaufanego człowieka; był nim Arsenio, który wrzucał pereł, jedną po drugiej, do kufra. Obdarzony niezwykłą wrażliwością dotykową ślepiec potrafił zapamiętać dokładną liczbę pereł, a w razie konieczności zapewne mógłby nawet opisać wielkość i kształt każdej z nich. Carlos Alcázar go nie znosił, albowiem starzec okazał się nieprzekupny. Pilnował się, żeby nie traktować go źle, gdyż chronił go Moncada, za to przy każdej okazji go upokarzał. Rafael Moncada nie miał jednak pojęcia, że część skarbu trafiała prosto do rąk Alcázara, który przekupił jednego z mężczyzn na statku, by ten za słuszne wynagrodzenie wykradał dla niego najkręglejsze, największe i najbardziej błyszczące pereł.

Podczas gdy trzej Indianie wprowadzali powszechne zamieszanie i kradli konie, Bernardo przemknął do budynku, gdzie czekał na niego Zorro, który zaprowadził go do lochów. Zasłaniając sobie twarz mokrymi chustkami, zdążyli przebiec zadymionym korytarzem kilka kroków, kiedy czyjaś dłoń chwyciła Zorro za ramię.

- Ojcie Aguilar, za mną, tędy będzie szybciej...

Był to Arsenio, który nie mógł widzieć, jak rzekomy ksiądz przeistacza się w tajemniczego Zorro, ale poznał go po głosie. Nie było potrzeby wyprowadzać go z błędu. Bracia ruszyli za nim, jednak nagle w korytarzu pojawił się Carlos Alcázar, blokując im przejście. Widząc dwóch nieznanym, z których jeden był tak niesamowicie ubrany, szef więzienia sięgnął po pistolet i wystrzelił. Krzyk bólu zatrzęsł ścianami, a kula wbiła się w jedną z belek powały - to Zorro uderzeniem bata wyrwał mu pistolet z dłoni dokładnie w chwili, gdy tamten naciskał spust. Bernardo i Arsenio ruszyli do lochów, podczas gdy Zorro ze szpadą w dłoni rzucił się pędem za Alcázarem uciekającym schodami w górę. Właśnie przyszedł mu do głowy pomysł, jak rozwiązać problemy ojca Mendozy, a jednocześnie dopieć Moncadzie. Nie ma co, jestem genialny, pomyślał chełpliwie.

Alcázar czterema susami dopadł swego biura i zamknął drzwi na klucz, zanim Zorro zdołał go dosięgnąć. Dym jeszcze tu nie dotarł. Zorro strzelił w zamek w drzwiach i popchnął je, te jednak nie ustąpiły, gdyż były od wewnątrz zaryglowane. Stracił kulę, nie miał czasu, aby ponownie załadować broń, a liczyła się każda minuta. Ponieważ wcześniej był już w tym pomieszczeniu, wiedział, że jego okna wychodzą na balkon. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że nie da rady dosięgnąć go jednym skokiem, tak jak zamierzał, nie ryzykując przy tym, że roztrzaska sobie głowę o kamienne płyty dziedzińca, ale piętro wyżej dostrzegł wystający ze ściany kamienny gargulec. Zorro owinął wokół niego koniec bata, pociągnął, aby go naprężyć, i modląc się, aby rzeźba wytrzymała jego ciężar, rozhuśtał się i wylądował prosto na balkonie. Zamknięty w biurze Carlos Alcázar zamierzał przestrzelić zamki kufra i zajęty był ładowaniem pistoletu, toteż nie zauważył cienia w oknie. Zorro odczekał, aż tamten wystrzeli, roztrzaskując w proch jedną z kłódek, i wtedy przez otwarte okno wskoczył do pokoju. Na sekundę zaplątał się w pelerynę i zachwiał, co dało Alcázarowi czas, aby odrzucić niepotrzebny już pistolet i chwycić za szpadę. Człowiek ten, tak okrutny wobec słabych, tchórzył w obliczu równego sobie przeciwnika, a ponadto nie był zbyt biegły w szermierce, zatem po niespełna trzech minutach jego broń poszybowała w powietrze, on sam stał z rękami w górze, a Zorro sztychem szpady dźgał go w pierś.

- Mógłbym cię zabić, ale nie chcę się plamić krwią psa takiego jak ty. Jestem Zorro i przychodzę po twoje pereł.

- Pereł należą do pana Moncady!

- Należały. Teraz są moje. Otwieraj kufer.

- Potrzeba dwóch kluczy, a ja mam tylko jeden.

- Użyj pistoletu. Uwaga, jeden podejrzany ruch, a bez najmniejszych skrupułów przesyżę ci gardło. Zorro jest szlachetny i daruje ci życie, jeśli będziesz posłuszny - zagroził mu człowiek w masce.

Drżąc na całym ciele, Alcázar zdołał ponownie załadować pistolet i przestrzelić drugą kłódkę. Uniósł drewniane wieko, a kiedy oczom jego ukazał się skarb, biały i lśniący, nie zdołał się oprzeć pokusie, by zanurzyć w nim dłoń i poczuć, jak cudowne pereł prześlizgują mu się przez palce. Zorro nigdy nie widział czegoś równie cennego. W porównaniu z tymi perełami drogie kamienie, które dostali w

Barcelonie za dobra Tomása de Romeu, wydawały się skromne. W tym kufrze była istna fortuna. Kazał swemu przeciwnikowi przesytać całą zawartość do sakwy.

- Jeszcze chwila, a ogień dosięgnie prochni i El Diablo wyleci w powietrze. Dotrzymuję słowa, uchodzisz z życiem, powodzenia - powiedział.

Tamten nie odpowiedział. I wcale nie ruszył do drzwi, jak można było oczekiwać. Zorro zauważył, że rzuca ukradkowe spojrzenia w przeciwny kąt pokoju, gdzie na kamiennym piedestale stała figurka Matki Boskiej. Widocznie była dla niego cenniejsza niż własne życie. Zorro chwycił sakwę z perłami, odryglował drzwi i zniknął w korytarzu, jednak nie odszedł daleko. Odczekał kilka sekund, a ponieważ Alcázar ciągle nie wychodził, wrócił do biura dokładnie w chwili, gdy tamten kolbą pistoletu rozbijał głowę figurki.

- Cóż to za lekceważący sposób traktowania Najświętszej Panienki! - zawołał.

Carlos Alcázar odwrócił się, mieniąc się na twarzy z wściekłości, i cisnął w Zorro pistoletem, ale go nie trafił. Sięgnął zatem po szpadę leżącą na podłodze dwa kroki od niego. Ledwo zdążył się wyprostować, a już miał przed sobą człowieka w masce. Tymczasem z korytarza zaczął się wdzierać do pokoju dym, który ich dusił i oślepił. Krztusząc się, przez kilka minut krzyżowali ostrza. Alcázar cofnął się w stronę biurka i w chwili, gdy po raz drugi stracił szpadę, wyciągnął z szuflady załadowany pistolet. Nie miał okazji wycelować, gdyż Zorro błyskawicznym kopniakiem w ramię rozbroił go, po czym trzema szybkimi machnięciami szpady wyciął mu na policzku literę Z. Alcázar jęknął, upadł na kolana i podniósł ręce do twarzy.

- To nie jest śmiertelne, to znak Zorro na pamiątkę - powiedział mężczyzna w masce.

Na podłodze, pośród roztrzaskanych kawałków figurki, leżał jakiś zamszowy mieszek, który Zorro chwycił w locie, po czym wybiegł. Dopiero później miał się przekonać, że były w nim sto trzy cudowne perły, cenniejsze od wszystkich, jakie znajdowały się w kufrze.

Podziemia były jedyną częścią El Diablo, gdzie nie dotarł dym ani krzyki, odgłosy bicia dzwonów i biegania. Więźniowie nie wiedzieli, co się stało, dopóki nie pojawiła się tam Lolita. Dziewczyna zbiegła do lochów w nocnej koszuli i boso, domagając się od strażników, by ratowali ludzi. W obawie przed pożarem wartownicy porwali ze ściany pochodnie i nie reagując na te błagania, rzucili się do ucieczki. Pozostawiona sama sobie Lolita po omacku szukała kluczy. Domyśliwszy się, że wybuchł pożar, przerażeni więźniowie podnieśli krzyk i zaczęli szarpać kraty, próbując je wyłamać. W tym momencie pojawili się Arsenio i Bernardo. Arsenio spokojnie skierował się do niewielkiej szafki, wyjął z niej najpierw świecę i podał je Bernardowi, a następnie klucze, które rozpoznawał dotykiem, i zaczął po kolei otwierać cele. Bernardo zapalił świecę i próbował uspokoić Lolitę.

Chwilę później wbiegł Zorro, który zapamiętał drogę, jaką wcześniej prowadził go Arsenio, i szybko trafił do lochów. Widząc zamaskowanego mężczyznę w czerni ściskającego w dłoni zakrwawioną szpadę, Lolita krzyknęła, jednak kiedy ten schował stal do pochwy i pochylał się, by ucałować jej dłoń, strach przerodził się w ciekawość. Bernardo poklepał brata po ramieniu: nie był to odpowiedni moment, żeby popisywać się galanterią.

- Spokojnie! To tylko dym! Idźcie za Arseniem, on zna drugie wyjście - polecił Zorro więźniom, którzy uciekali ze swoich cel.

Rzucił na ziemię pelerynę i wspólnie z Bernardem ułożyli na niej Alejandra de la Vegę. Czterej Indianie chwycili ją za rogi i podnieśli chorego, który leżał wygodnie jak w hamaku. Inni pomogli nieszczęśnikowi, który został wychłostany, i wszyscy, włącznie z Lolitą, ruszyli za Arseniem. Pochód zamykali Bernardo i Zorro, którzy osłaniali tyły. Wejście do tunelu znajdowało się za stosem beczek i rupieci; nie dlatego, iżby ktoś chciał je ukryć, lecz ponieważ nigdy nie było używane i z czasem nazbierało się tam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Było oczywiste, że nikt go nie zauważył. Odsłonili wlot do tunelu i kolejno weszli do czarnej czeluści. Zorro wyjaśnił Lolicie, że nie ma żadnego pożaru, dym miał tylko odwrócić uwagę straży, aby można było wyprowadzić uwięzionych, z których większość to niewinni ludzie. Z trudem pojmowała jego słowa, ale potakiwała jak zahipnotyzowana. Kim jest ten atrakcyjny młodzian? Może ucieka przed wymiarem sprawiedliwości i dlatego zakrywa twarz, zastanawiała się, jednak ta hipoteza tylko wzmogła jej zauroczenie. Była gotowa pójść za młodzieńcem na koniec świata, jednak on wcale o to nie prosił, natomiast polecił, aby - gdy już wszyscy wejdą do tunelu - z powrotem zastawiła wejście beczkami i rupieciami. Ponadto musi podpalić słomę rozrzuconą w celach, co zbiegom da więcej czasu na ucieczkę. Lolita skinęła bezwolnie głową z głupim uśmiechem i płomiennym spojrzeniem.

- Dziękuję, panienko - powiedział.

- Kim jesteście, panie?
- Mam na imię Zorro.
- Cóż to za żarty, señor?
- Żadne żarty, zapewniam panią, Lolito. Na razie nie mogę nic więcej pani wyjaśnić, bo czas nagli, ale jeszcze się spotkamy - odparł.
- Kiedy?
- Wkrótce. Proszę nie zamykać drzwi balkonu, którejs nocy złożę pani wizytę.

Taką propozycję należało potraktować jak obrazę, jednak ton głosu nieznajomego był dworny, a jego zęby bardzo białe. Lolita nie wiedziała, co odpowiedzieć, i kiedy młodzieniec silnym ramieniem objął ją w pasie, nie zrobiła nic, aby go odsunąć, wręcz przeciwnie, zamknęła oczy i podała mu usta. Zorro, nieco zaskoczony szybkością, z jaką na tym terenie posuwa się do przodu, pocałował ją bez cienia nieśmiałości odczuwanej w swoim czasie wobec Juliany. Ukryty za maską Zorro mógł sobie pofolgować. Jak na takie okoliczności pocałunek wypadł całkiem dobrze. Właściwie byłby doskonały, gdyby oboje nie krztusili się od dymu. Zorro z żalem oderwał się od dziewczyny i ruszył w głąb tunelu w ślad za innymi. Lolita potrzebowała trzech minut, aby złapać oddech i wrócić do rzeczywistości, po czym przystąpiła do wypełniania poleceń fascynującego mężczyzny w masce, którego niezadługo zamierzała poślubić; to już postanowione. Była obrótną panienką.

Po półgodzinie od wybuchu bomb dym zaczął się przerzedzać. Do tego czasu żołnierze zdążyli stłumić ogień w stajniach i walczyli już tylko z płomieniami wydobywającymi się z podziemi. Carlos Alcázar, tamując szmatką krew z policzka, odzyskał panowanie nad sytuacją. Jeszcze nie pojmował, co się stało. Jego ludzie znaleźli strzały, które wzniciły ogień, ale nikt nie widział napastników. Nie sądził, aby chodziło o atak Indian, gdyż od dwudziestu pięciu lat nic takiego się nie wydarzyło; to musiał być fortel tego jakiegoś tam Zorro, który miał mu umożliwić kradzież perel. Dopiero po jakimś czasie przekonał się, że więźniowie zniknęli bez śladu.

Umocniony deskami zabezpieczającymi przed obsunięciem tunel był wąski, ale wystarczająco obszerny, aby człowiek mógł się w nim swobodnie poruszać. Powietrze było rozrzedzone, gdyż z biegiem lat kanały wentylacyjne się pozatykały. Tlenu nie było zbyt dużo, Zorro uznał zatem, że uciekinierzy nie mogą go zużywać na przyświecanie sobie w tym marszu, posuwali się więc po omacku. Jedyną zapaloną świecę niósł idący przodem i wskazujący drogę pozostałym Arsenio, który sam nie potrzebował światła. Wrażenie, że znajdują się w grobowcu, oraz myśl, że w każdej chwili może ich uwięzić tam na zawsze obsunięcie się ziemi, były przerażające. Bernardo rzadko tracił spokój, ale był przyzwyczajony do otwartych przestrzeni, a tutaj czuł się jak kret; zaczęła ogarniać go panika. Nie mógł iść szybciej ani się cofnąć, brakowało mu powietrza, dusił się, wydawało mu się, że depcze po szczurach i wężach, był pewien, że tunel się zwęża i że nigdy z niego nie wyjdą. Kiedy przystawał ze strachu, silna dłoń brata na plecach i jego uspokajający głos dodawały mu odwagi. Zorro był jedynym z grupy, na którym owa wędrówka nie robiła wrażenia, głowę miał bowiem zaprzątniętą myślami o Lolicie. Tak jak mówiła Biała Sowa podczas jego inicjacji, żywiołami Zorro, lisa, są jaskinie i noc.

Droga strasznie im się dłużyła, chociaż wylot tunelu znajdował się niedaleko więzienia. Za dnia strażnicy mogliby ich zobaczyć, jednak głęboką nocą, osłonięci drzewami uciekinierzy nie musieli się obawiać, że zostaną zauważeni. Wyszli obsypani ziemią, spragnieni i złaknieni świeżego powietrza, które zaczęli głęboko wciągać do płuc. Indianie zrzucili z siebie więzienne łachmany, otrzepali się z ziemi i nadzy wzniesli ramiona i twarze do nieba, żeby uczcić pierwszą chwilę wolności. Spostrzegłszy, że znajdują się w świętym miejscu, poczuli się pokrzepieni: była to dobra wróżba. Na gwizd Bernarda odpowiedziały inne i wkrótce przybyli Indianie Toypurni, prowadząc konie skradzione i swoje własne; wśród nich był Tornado. Indiańscy zbiegowie wsiedli po dwóch na konie i rozpierchli się, kierując się ku góróm. Pochodzili z tych stron i mogli dołączyć do swoich plemion, zanim żołnierze zdolaliby zorganizować za nimi pościg. Zamierzali trzymać się jak najdalej od białych, dopóki się da.

Zorro otrzepał się z ziemi, żałując, że jego dopiero co nabyty na Kubie strój już się pobrudził, i pogratulował sobie, albowiem sprawy poszły nawet lepiej, niż planował. Arsenio przewiesił wychłostanego mężczyznę przez zad swego konia; Bernardo umieścił Alejandra de la Vegę w siodle, a sam usiadł za nim, tak by móc go podtrzymywać, gdyż droga wspinała się ostro w górę, a większą część podróży mieli odbyć nocą. Zimne powietrze obudziło starca z letargu, widok syna przywrócił mu nadzieję, a Bernardo zapewnił go, że Toypurnia i Biała Sowa zaopiekują się nim do czasu, aż będzie mógł powrócić do hacjendy.

Tymczasem Zorro galopował na Tornadzie do misji San Gabriel.

Ojciec Mendoza kilka nocy wiercił się na pryczy, nie mogąc zmrużyć oka. Od chwili gdy zauważył, że w piwnicy brakuje paru rzeczy i zapasowego habitu, czytał brewiarz i dużo się modlił, nie znajdując jednak ukojenia dla duszy. Miał tylko dwa habity, które zmieniał co trzy tygodnie, oba były tak znoszone i obszarpane, że nie mógł zrozumieć, kto mógłby się połakomić na taki łań. Czekał. Chciał dać złodziejowi szansę na zwrócenie skradzionych rzeczy, jednak dłużej już nie mógł odkładać decyzji. Myśl o tym, że będzie musiał zebrać wszystkich swoich neofitów w kościele, wygłosić im kazanie na temat siódmego przykazania i ustalić winnego, spędzała mu sen z powiek. Wiedział, że jego ludzie cierpią niedostatek, nie był to moment na wymierzanie kar, jednak nie mógł pominąć milczeniem takiego występku. Nie pojmował, dlaczego zamiast wykraść żywność, złodziej wziął sznury, saletrę, cynk i habit; cała ta sprawa nie miała sensu. Był zmęczony wieloletnią walką, pracą i samotnością, zboleły na ciele i duszy. Czasy tak się zmieniły, że nie poznawał już świata, ludzie zrobili się chciwi, nikt nie pamiętał nauki Chrystusa, nikt nie szanował misjonarza, który nie był w stanie bronić swoich wiernych przed nadużyciami ze strony białych. Czasami się zastanawiał, czy Indianom nie było lepiej przedtem, kiedy to oni byli panami Kalifornii i żyli po swojemu, w zgodzie ze swymi zwyczajami i bóstwami, jednak zaraz żegnał się znakiem krzyża i prosił Boga o wybaczenie takiej herezji. „Do czego to doszło, jeśli ja sam zaczynam wątpić w wyższość chrześcijaństwa!” - wzdychał z zalem.

Sytuacja znacznie się pogorszyła po przyjeździe Rafaela Moncady, który reprezentował sobą wszystko, co w kolonizacji najgorsze; obchodziło go tylko to, żeby się szybko wzbogacić i zabrać z powrotem. Traktował Indian jak woły robocze. W ciągu ponad dwudziestu lat spędzonych w San Gabriel misjonarz nieraz przeżywał trudne chwile - trzęsienia ziemi, epidemie, susze, a nawet atak Indian - nigdy jednak nie upadał na duchu, albowiem był przekonany, że spełnia boskie posłannictwo. Teraz czuł, że Bóg go opuścił.

Zapadał zmierzch i na dziedzińcu zapalono już pochodnie. Po długim znojmym dniu, zakasawszy rękawy, spocony ojciec Mendoza rąbał drewno do kuchni. Z trudem unosił siekierę, która z każdym dniem wydawała mu się cięższa, tak jak drewno z każdym dniem twardsze. Nagle poczuł, że ziemia drży od końskiego galopu. Przerwał na chwilę pracę i wyteżył wzrok, który nie był już taki sam jak dawniej, zastanawiając się, kto może przybywać w takim pośpiechu i o tak późnej porze. Kiedy jeździec był już blisko, misjonarz stwierdził, że to zamaskowany mężczyzna w czerni, niewątpliwie jakiś bandyta. Krzyknął na alarm, żeby kobiety i dzieci się pochowaly, po czym z siekierą w rękach i modlitwą na ustach czekał na tamtego, gotów stawić mu czoło; nie było czasu, by biec po muszkiet. Nieznajomy nie zaczekał, aż jego wierzchołek się zatrzyma, tylko w pędzie zeskoczył na ziemię i zwrócił się do misjonarza:

- Ojciec Mendoza, proszę się nie bać, jestem przyjacielem!
- W takim razie zdejmij maskę. Przedstaw się, synu - odparł duchowny.
- Jestem Zorro. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale jeszcze dziwniejsze jest to, co chcę wam powiedzieć, ojciec. Wejdźmy do środka, proszę.

Misjonarz zaprowadził intruza do kaplicy w nadziei, że tam może liczyć na opiekę niebios i zdoła przekonać go, że w misji nie ma nic cennego. Nieznajomy przerażał go swoim wyglądem, miał szpadę, pistolet i bat, był uzbrojony, jakby szedł na wojnę, ale było w nim coś znajomego. Gdzie on wcześniej słyszał ten głos? Zorro zaczął go zapewniać, że nie jest żadnym złoczyńcą i że przybywa, aby potwierdzić jego podejrzenia co do polowu pereł prowadzonego przez Moncadę i Alcázara. Prawnie należało im się dziesięć procent, reszta skarbu stanowiła własność Hiszpanii. Wykorzystywali Indian jako niewolników, pewni, że nikt, poza ojcem Mendoza, się za nimi nie wstawi.

- Nie mam komu tego zgłosić, synu. Nowy gubernator to słabeusz, boi się Moncady - powiedział misjonarz.
 - W takim razie musi się ojciec zwrócić do władz w Meksyku i Hiszpanii.
 - A jakie mam dowody? Nikt mi nie uwierzy, mają mnie za starego fanatyka z obsesją na punkcie prześladowania Indian.
 - Oto dowód - powiedział Zorro, wkładając mu do rąk ciężką sakwę.
- Misjonarz zajrzał do środka i na widok pereł aż krzyknął ze zdumienia.
- Przebóg, jak to zdobyłeś, synu?!
 - Nieważne.

Zorro zasugerował misjonarzowi, aby ten zawiózł pereły do biskupa w Meksyku i złożył doniesienie o niecznym procederze Mendozy; tylko w ten sposób może zapobiec traktowaniu swoich Indian jak

niewolników. Jeśli Hiszpania zadecyduje o połowie ostryg, zatrudni do tego Indian z plemienia Yaqui, tak jak kiedyś. Potem poprosił go, aby powiadomił Diega de la Vegę, że jego ojciec jest wolny. Misjonarz wyznał, że ów młodzian sprawił mu zawód, nie zachowuje się jak syn Alejandra i Reginy, brakuje mu stanowczości i odwagi. Ponownie poprosił gościa, aby odsłonił twarz, gdyż inaczej nie uwierzy jego słowom; to może być jakaś pułapka. Tamten odparł, że jego tożsamość musi pozostać tajemnicą, ale obiecuje, że w walce w obronie biednych duchowny nie będzie już sam - od tej chwili na straży sprawiedliwości będzie stał również Zorro.

Ojciec Mendoza roześmiał się nerwowo. Nieznajomy wyglądał mu na szaleńca.

- I jeszcze jedno, ojcze... Ten zamszowy worek zawiera sto trzy perty znacznie delikatniejsze od pozostałych, warte fortunę. Są pańskie. Nie musi ojciec nikomu o nich mówić. Zapewniam ojca, że jedyna osoba, która wie o ich istnieniu, nie ośmieli się o nie zapytać.

- Domyślam się, że są kradzione.

- Owszem, ale stało się zadość sprawiedliwości i teraz należą do tych, którzy wydarli je morzu, często ryzykując własne życie. Już ojciec będzie wiedział, co z nimi zrobić.

- Jeśli niecznie wszedłeś w ich posiadanie, nie chcę ich widzieć, synu.

- Nie musi ich ojciec oglądać, ale proszę je schować - odparł Zorro, mrugając porozumiewawczo okiem.

Misjonarz ukrył worek w fałdach habitu i odprowadził gościa na dziedziniec, gdzie otoczony przez dzieci czekał na niego czarny koń o lśniącej sierści. Młodzian dosiadł rumaka i ku uciesze malców zagwizdał, każąc koniowi robić piruety, po czym dobył szpady, błysnął nią parę razy w świetle pochodni i zaśpiewał piosenkę, którą sam ułożył podczas beczynnych tygodni spędzonych w Nowym Orleanie. Mówiła o odważnym jeźdźcu, który w księżycowe noce wyrusza do walki, by zaprowadzić sprawiedliwość, karać złoczyńców i końcem swej szpady wycinać literę Z. Piosenka zachwycała dzieci, ale ojca Mendozę upewniła w przekonaniu, że osobnik jest niespełna rozumu. Isabel i Nuria, które większą część dnia spędziły w swoim pokoju zajęte szyciem, wyjrzały na dziedziniec i zdążyły zobaczyć zamaskowanego jeźdźcę, który robił piruety na czarnym rumaku. Zapytały, kim był ów malowniczy młodzieniec, na co ojciec Mendoza odparł, że jeśli nie był to diabeł, to musiał być anioł zesłany przez Boga, aby umocnić go w wierze.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Diego de la Vega wrócił do misji, tłumacząc, że musiał zawrócić z drogi, albowiem o mały włos nie zginął z rąk bandytów. Z daleka zobaczył dwóch podejrzanych osobników i, żeby ich ominąć, zjechał z Królewskiej Drogi i pogalopował lasem, gdzie się zgubił. Noc spędził skulony pod drzewami z dala od zbójców, za to zdany na łaskę i niełaskę niedźwiedzi i wilków. Kiedy o świcie udało mu się odnaleźć drogę, postanowił wrócić do San Gabriel; byłoby nieostrożnością z jego strony, gdyby kontynuował podróż w pojedynkę. Przez cały dzień nie miał nic w ustach, pada ze zmęczenia i boli do głowy. Pojedzie do Monterrey za kilka dni, ale tym razem dobrze uzbrojony i z eskortą. Ojciec Mendoza poinformował go, że jego wizyta u gubernatora już nie będzie potrzebna, albowiem don Alejandro de la Vega został uwolniony z więzienia przez pewnego nieznanego śmiałka. Do Diega będzie należało jedynie odzyskanie dóbr rodzinnych. Misjonarz miał wątpliwości, czy ów hipochondryczny fircyk poradzi sobie z tym zadaniem, ale zachował je dla siebie.

- Kto uwolnił mojego ojca? - zapytał Diego.

- Powiedział, że nazywa się Zorro, i był w masce - odparł misjonarz.

- W masce? To może jakiś bandyta? - dopytywał się młodzieniec.

- Ja też go widziałam, Diego, i jak na zbója wyglądał całkiem ładnie. Taki przystojny i elegancki! I w dodatku miał konia, który musiał go kosztować fortunę - wtrąciła Isabel z entuzjazmem.

- Zawsze miałaś bujną wyobraźnię - odrzekł Diego.

Do rozmowy wtrąciła się Nuria, wzywając ich na kolację. Mimo silnej migreny, na co głośno się uskarżał, Diego wprost rzucił się na jedzenie i na koniec pogratulował ochmistrzyń, że tak ulepszyła misyjną kuchnię. Isabel wypytywała go bezlitośnie; chciała wiedzieć, dlaczego jego konie po powrocie nie sprawiały wrażenia zmęczonych, jak wyglądali domniemani rozbójnicy, ile czasu zajęło mu przejechanie z jednego miejsca w drugie i dlaczego nie zanocewał w najbliższej misji leżącej zaledwie o jeden dzień drogi od San Gabriel. Zatopiony w myślach ojciec Mendoza nie zwrócił uwagi na wymijające odpowiedzi Diega. Prawą ręką sięgał po jedzenie, lewą zaś gładził w kieszeni zamszowy worek, zastanawiając się, czyjego zawartość wystarczy, by przywrócić misji dawną świetność. Czy

popęłnił grzech, przyjmując klejnoty splamione cierpieniem i chciwością? Nie. O żadnym grzechu nie ma mowy, jednak perły mogą sprowadzić na niego nieszczęście... Uśmiechnął się na myśl, że z latami zrobił się przesądny.

Kilka dni później, kiedy ojciec Mendoza wysłał już do Meksyku list w sprawie pereł i w ślad za nim wraz z Diegiem szykował się do wyjazdu, do misji przybyli Rafael Moncada i Carlos Alcázar z licznym oddziałem żołnierzy. Dowodził nim otyły sierżant Garcíá. Alcázar miał na policzku brzydką szramę, która deformowała mu twarz. Był nieswój, albowiem nie udało mu się przekonać współnika co do swojej wersji wydarzeń, w trakcie których ich perły zginęły. Gdyby powiedział prawdę, obróciłoby się to przeciwko niemu, albowiem wyszłoby na jaw jego niechlubne zachowanie podczas owych zajęć. Wolał powiedzieć Moncadzie, że El Diablo zostało podpalone przez pół setki Indian, bandę rzeźmieszków pod wodzą jakiegoś zbira w czerni, który przedstawił się jako Zorro. Po okrutnej walce, w której on sam został ranny, napastnicy zdołali obezwładnić żołnierzy i zbiegli z perłami. W zamieszaniu uciekli również więźniowie. Wiedział, że Moncada nie spocznie, dopóki nie dowie się prawdy i nie odzyska pereł. Mniejsza o zbiegów, Indian mogących ich zastąpić było aż nadto.

Dziwna szrama na twarzy Alcázara w kształcie litery Z przypominała Moncadzie o zamaskowanym mężczyźnie, którego opis pasował do Zorro, a który podobną literę wyciął na ścianie w rezydencji Chevaliera Duchampa oraz w zbrojowni pewnych koszar w Barcelonie. Za każdym razem miało to miejsce przy okazji uwolnienia więźniów, tak jak w El Diablo. Ponadto w tym drugim przypadku ten typ miał czelność posłużyć się nazwiskiem jego i jego ciotki Eulalii. Poprzysiął sobie, że każe mu zapłacić za tę zniewagę, ale dotąd nie miał okazji się z nim zmierzyć. Wniosek nasuwał się sam: Diego de la Vega był w Barcelonie, kiedy ktoś wycinał tam na ścianach literę Z, i ledwie wylądował w Kalifornii, a taką samą literę wycięto na policzku Alcázara. To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. I choć trudno w to uwierzyć - owym Zorro musiał być Diego. Teraz zapłaci mu za krzywdy, jakich od niego doznał. Co koń wyskoczy pognał do misji, obawiał się bowiem, że zdobycz może mu umknąć. Został Diega siedzącego pod dzikim winem, pijącego lemoniadę i czytającego poezje. Kazał sierżantowi Garcíí go aresztować i biedny grubas, który nadal darzył Diega tym samym bezgranicznym uwielbieniem co w dzieciństwie, niechętnie skinął na żołnierzy, ale ojciec Mendoza zaczął protestować, tłumacząc, że Zorro w najmniejszym stopniu nie przypomina Diega de la Vegi. Isabel poparła go: tylko głupiec mógłby pomylić tych dwóch mężczyzn, powiedziała, zna Diega jak brata, przeżyła z nim pięć lat, to dobry chłopak, niegroźny, sentymentalny, chorowity, nie ma w sobie nic z bandyty, a z bohatera jeszcze mniej,

- Dzięki - przerwał jej urażony Diego, zauważył jednak, że uciekające oko przyjaciółki zezuje jak jeszcze nigdy.

- Zorro pomógł Indianom, bo są niewinni, wie pan o tym równie dobrze jak ja, señor Moncada. Nie ukradł pereł, zabrał je tylko jako dowód na to, co się dzieje w El Diablo - powiedział misjonarz.

- O jakich perłach ojciec mówi?! - przerwał mu Carlos Alcázar nerwowo, albowiem do tej pory nikt o nich nie wspomniał, a poza tym nie wiedział, jak dalece duchowny jest świadom jego oszustw.

Ojciec Mendoza przyznał, że Zorro wręczył mu sakwę z poleceniem, aby przedstawił sprawę trybunałowi w Meksyku. Rafael Moncada stłumił westchnienie ulgi - odzyskanie skarbu okazało się znacznie łatwiejsze, niż sobie wyobrażał. Ten śmieszny starzec nie stanowił żadnego problemu, co chwila dochodzi przecież do różnych pożałowania godnych wypadków. Z wyrazem przejęcia na twarzy podziękował misjonarzowi za to, że tak sprytnie udało mu się odzyskać perły, oraz za gorliwość, z jaką ich strzegł, po czym zażądał ich zwrotu; on zajmie się tą sprawą. Jeśli Carlos Alcázar jako szef więzienia dopuścił się nieprawidłowości, zostaną wobec niego wyciągnięte odpowiednie konsekwencje, nie ma powodu, aby komukolwiek w Meksyku zawracać tym głowę. Duchowny musiał być posłuszny. Nie miał odwagi oskarżyć go o współnictwo z Alcazarem, albowiem jeden fałszywy krok mógł go kosztować utratę tego, co było dla niego najważniejsze na świecie: misji. Przyniósł sakwę i położył ją na stole.

- To należy do Hiszpanii. Wysłałem list do moich przełożonych i w tej sprawie odbędzie się śledztwo - powiedział.

- List? Przecież statek jeszcze nie przyplłynął... - przerwał Alcázar.

- Mam inne sposoby, szybsze i pewniejsze od statku.

- Czy tutaj są wszystkie perły? - zapytał zniecierpliwiony Moncada.

- Skąd mogę wiedzieć? Nie było mnie przy tym, kiedy zostały wykradzione, nie wiem, ile ich było. Tylko Carlos może odpowiedzieć na to pytanie - odparł misjonarz.

Słowa te umocniły jeszcze Moncadę w podejrzeniach, jakich już wcześniej nabral w obecnym swoim wspólniku. Chwył misjonarza za ramię i siłą zawił go przed krucyfiks stojący na etażerze przy ścianie.

- Niech ojciec przysięgnie na krzyż naszego Pana, że nie widział innych perł - rozkazał. - Jeśli ojciec skłamie, jego dusza zostanie potępiona i trafi do piekła.

W pokoju zapadła złowieszcza cisza, wszyscy wstrzymali oddech, nawet powietrze zastygło w bezruchu. Siny na twarzy ojciec Mendoza jednym szarpnięciem wyrwał się z żelaznego uścisku, który go paraliżował.

- Jak pan śmie! - wyszczał przez zęby.

- Przysięgaj!

Diego i Isabel rzucili mu się na pomoc, ale ojciec Mendoza zatrzymał ich gestem, przyklęknął na jedno kolano, położył prawą dłoń na piersi i utkwiał wzrok w Chrystusie wyrzeźbionym w drewnie rękoma jakiegoś Indianina. Trząsł się ze wzburzenia i wściekłości z powodu przemocy, której padł ofiarą, jednak nie obawiał się, że pójdzie do piekła; jeśli nawet, to nie z tego powodu.

- Przysięgam na krzyż, że nie widziałem innych perł. Niech moja dusza będzie potępiona, jeśli kłamie - powiedział mocnym głosem.

Przed dłuższą chwilę nikt nie powiedział ani słowa, jedynym dźwiękiem było westchnienie ulgi Carlosa Alcázara. Gdyby Rafael Moncada dowiedział się, że zatrzymał dla siebie najlepszą część łupu, dni jego byłyby policzone. Domyślał się, że zamszowy miś jest w posiadaniu człowieka w masce, jednak nie pojmował, dlaczego tamten oddał pozostałe perły księdzu, zamiast wziąć sobie wszystkie. Diego domyślił się toku jego rozumowania i uśmiechnął się w duchu. Moncada musiał przyjąć przysięgę ojca Mendozy, ale zastrzegł, że nie uważa sprawy za zamkniętą, dopóki winny nie skończy na szubienicy.

- García! Aresztujcie de la Vegę! - powtórzył Rafael Moncada.

Grubas otarł pot z czoła rękawem munduru i niechętnie przystąpił do wypełniania rozkazu.

- Przykro mi - wymamrotał, polecając dwóm żołnierzom wyprowadzić Diega.

Isabel stanęła przed Moncadą, oświadczając, że nie ma dowodów przeciwko jej przyjacielowi, jednak ten odepchnął ją szorstkim gestem.

Diego de la Vega spędził noc zamknięty w jednym z pokoi dla służby w domu, w którym przyszedł na świat. Pamiętał nawet, kto go zajmował w czasach, kiedy on mieszkał tam z rodzicami. Była to meksykańska Indianka o imieniu Roberta, która miała na wpół spaloną twarz, gdyż wylała na siebie niechcący rondel z wrzącą czekoladą. Wtedy nie zdawał sobie sprawy, jak nędzne były te pomieszczenia - zwykłe nory bez okien, z klepiskiem zamiast podłogi i nietynkowanymi ścianami z surowej cegły, wyposażone w siennik wypchany słomą, krzesło i dużą drewnianą skrzynię. To w takich warunkach upływało dzieciństwo Bernarda, pomyślał, podczas gdy on o kilka metrów dalej w pokoiku pełnym zabawek spał w łóżeczku z brązu, z tiulową zasłonką mającą chronić go przed pajakami. Jak mógł tego nie widzieć? Przez dom przebiegała niewidzialna linia, oddzielająca świat panów od świata służących. Jedna część domu - przestronna i luksusowa, urządzona w stylu kolonialnym - była przybytkiem ładu, spokoju i czystości, pachniała kwiatami i tytoniem ojca. Ta druga tętniła życiem, panowała w niej nieustanna wrzawa rozmów, odgłosów, kłótni czy pracy, słychać było zwierzęta domowe. Pachniało tam mieloną papryką, pieczonym chlebem, bielizną namoczoną w ługu, śmieciami. W części właścicieli domu tarasy, oazy świeżości, były wyłożone kolorowymi kafelkami, obsadzone bugenwillą i ozdobione fontannami, podwórka służby latem pokrywał kurz, a zimą błoto.

Diego spędził długie godziny na sienniku rzuconym na podłogę, pocąc się w majowym upale w pozbawionym okna pokoiku. Brakowało mu powietrza, paliło go w piersi, miał wyschnięte usta. Obawiał się, że Moncada zamierza pokonać go pragnieniem i głodem. Chwilami zamykał oczy i usiłował zasnąć, ale było mu zbyt niewygodnie. Miejsca było tyle, że mógł zrobić zaledwie dwa kroki, czuł, że ma przykurcz mięśni. Pięć po pięci obejrzał całe pomieszczenie, szukając sposobu ucieczki, ale go nie znalazł. Drzwi miały solidną żelazną sztabę zamykaną od zewnątrz; nawet Galileo Tempesta nie zdołałby jej otworzyć od środka. Próbował zerwać deski z sufitu, ale siedziały mocno; widocznie miejsce to służyło za celę. Długo musiał czekać. Wreszcie drzwi jego grobowca otworzyły się i w progu ujrzał rumianą twarz sierżanta Garcíi. Diego pomyślał, że pomimo osłabienia uda mu się w miarę bezboleśnie obezwładnić pocziwego sierżanta, uciskając go w szyję. Tego sposobu nauczył go maestro Escalante, kiedy ćwiczył z nim metody walki stosowane przez członków Sprawiedliwości.

Nie chciał jednak narażać przyjaciela z dawnych lat na kłopoty z Moncada, a ponadto i tak mógłby jedynie wyjść z celi, ale nie zdołałby uciec z hacjendy, lepiej więc było zaczekać. Grubas postawił na ziemi dzban wody i miskę fasoli z ryżem.

- Któraż to godzina, przyjacielu? - zapytał Diego, udając dobry humor, do którego było mu daleko.

García odpowiedział za pomocą min i ruchów palcami.

- Dziewiąta rano we wtorek, powiadasz? To znaczy, że spędziłem tu dwie noce i jeden dzień. Ach, jak mi się dobrze spało! Wiesz, co zamierza Moncada?

García pokręcił przecząco głową.

- Co ci jest? Dostałeś rozkaz, żeby ze mną nie rozmawiać? No tak, ale nikt ci nie powiedział, że nie wolno ci mnie słuchać, prawda?

- Hmmmm - potaknął tamten.

Diego przeciągnął się, ziewnął, popił wody i powoli delektował się jedzeniem, nie omieszkając uprzejmie zauważyć, że jest pyszne, po czym zaczął wspominać dawne czasy i wspaniałe przygody z dzieciństwa, kładąc nacisk na odwagę, jaką García się wykazał mierząc się z Alcázarem i chwytając żywego niedźwiedzia. Nic dziwnego, że był tak podziwiany przez swoich szkolnych kolegów, zakończył. Sierżant nieco inaczej zapamiętał ten okres, jednak słowa Diega podziałały niczym balsam na jego skołataną duszę.

- W imię naszej przyjaźni, García, musisz mi pomóc stąd wyjść - powiedział wreszcie Diego.

- Chciałbym, ale jestem żołnierzem, a dla żołnierza najważniejszy jest obowiązek - odparł tamten szeptem, zerkając przez ramię, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie podsłuchuje.

- Nigdy bym cię nie poprosił, żebyś zaniedbał swój obowiązek albo popełnił jakiś nielegalny czyn, García, ale zawsze może się zdarzyć, że drzwi nie zostaną dokładnie zaryglowane...

Nie było czasu na kontynuowanie rozmowy, albowiem jakiś żołnierz przyniósł sierżantowi wiadomość, że na więźnia czeka don Rafael Moncada. García obciągnął surdut, wypiął pierś i stuknął po wojskowemu obcasami, lecz zarazem puścił do Diega oko. Wspólnie z żołnierzem chwycili go pod ręce i zaprowadzili go do głównego salonu; zanim nie stanął mocno na zdrętwiałych od bezruchu nogach, musieli go prawie nieść w powietrzu. Kolejny raz Diego z żalem zauważył zmiany, jakie zaszły w jego rodzinnym domu: wyglądał jak koszary. Posadzono go na krześle, tułów przywiązano mu do oparcia, nogi zaś do nóg mebla. Zdał sobie sprawę, że sierżant spełnia swój obowiązek zaledwie połowicznie; więzy nie były ścisłe i przy odrobinie sprytu Diego mógłby się uwolnić, jednak wszędzie kręcili się żołnierze. „Potrzebna mi szpada” - szepnął do Garcíi w chwili, gdy drugi mężczyzna w mundurze odszedł na kilka kroków. Usłyszawszy tę prośbę, grubas prawie stracił oddech; tu już Diego przesadził, jak w takich okolicznościach miałby mu dać szpadę? Przecież za coś takiego na wiele dni zakuto by go w dyby, a to przekreśliłoby jego wojskową karierę. Poklepał Diega czule po ramieniu i ze spuszczoną głową odszedł, powłócząc nogami, a tymczasem strażnik obejmował swoje stanowisko w kącie salonu.

Diego przesiedział na krześle ponad dwie godziny, które wykorzystał na to, aby ukradkiem uwolnić ręce z pęt, nie mógł jednak rozwiązać sznura nóg, nie zwracając uwagi żołnierza, nieruchomego jak posąg Metysa przypominającego aztecką rzeźbę. Udał atak kaszlu, potem poprosił go o cygaro, szklankę wody, chusteczkę, jednak wszystko na nic - nie było sposobu zmusić go, by się do niego zbliżył. W odpowiedzi poprawiał tylko broń i obserwował Diega kamiennymi oczkami, które ledwo było widać znad wystających kości policzkowych. Diego musiał przyznać, że jeśli zamiarem Moncady było sprawić, aby jego więzień spuścił z tonu i upadł na duchu, to ta strategia dawała dobre rezultaty.

Było już dobrze po południu, kiedy pojawił się wreszcie Rafael Moncada, przepraszając, że osobę tak delikatną jak Diego skazał na niewygody. Był jak najdalszy od tego, aby uprzykrzać mu życie, powiedział, ale zważywszy na okoliczności, nie mógł zachować się inaczej. Czy Diego wie, ile czasu spędził zamknięty w pomieszczeniu dla służby? Dokładnie tyle, ile on przesiedział w sekretnym pokoiku Tomása de Romeu, zanim ciotka nie przysłała mu na pomoc. Ale to tylko taki ciekawy zbieg okoliczności. Chociaż uważa się za osobę z poczuciem humoru, tamten żart wypadł dosyć kiepsko. W każdym razie jest wdzięczny Diegowi za pomoc w uwolnieniu go od Juliany; poślubienie kobiety niższego stanu zrujnowałoby mu karierę, o czym jego ciotka wielokrotnie go uprzedzała, ale, no cóż, nie są tu po to, aby rozmawiać o Julianie, to już zamknięty rozdział. Domyśla się, że Diego - a może woli, żeby zwracał się do niego Zorro? - chce wiedzieć, co go czeka. Jest takim samym przestępcą jak jego ojciec Alejandro de la Vega; niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jeszcze znajdują tego starucha,

spokojna głowa, a wtedy zdechnie w lochu. Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności niż własnoręczne powieszenie Zorro, ale to już nie należy do niego, dodał. Wyśle go do Hiszpanii, w kajdankach i pod ścisłym nadzorem, aby został osądzony tam, gdzie rozpoczął swoją przestępczą karierę i gdzie zostawił wystarczająco dużo śladów, aby można go było skazać. W rządzie Ferdynanda VII prawo jest stosowane z całą surowością, nie tak jak w koloniach, gdzie pospółstwo robi sobie z władzy kpiny. Do przestępstw popełnionych w Hiszpanii dochodzą jeszcze te, których dopuścił się w Kalifornii: napadł na więzienie El Diablo, wzniecił pożar, zniszczył własność królestwa, zranił oficera i przyczynił się do ucieczki więźniów.

- Rozumiem, że owych występków dopuścił się osobnik znany jako Zorro. W dodatku, jak sądzę, przywłaszczył sobie perły. A może Ekscelencja woli nie poruszać tego tematu? - odparł Diego.

- Ten Zorro to wy, de la Vega!

- Żałuję, że to nie ja, albowiem to musi być fascynujący człowiek, ale niestety, delikatne zdrowie nie pozwala mi na takie awantury. Cierpię na astmę, migreny i palpacje serca.

Rafael Moncada podsunął mu pod nos dokument, który z braku notariusza sporządził własnoręcznie, i zażądał od więźnia, aby się pod nim podpisał. Ten odmówił, twierdząc, iż byłoby nieostrożnością podpisywać cokolwiek, nie znając treści. W tej chwili nie może tego przeczytać, albowiem zapomniał okularów, a jest krótkowzroczny; to kolejna cecha odróżniająca go od Zorro, któremu przypisuje się fenomenalną celność w strzelaniu z bata i zręczność we władaniu szpadą. Żaden okularnik nie mógłby się wykazać takowymi umiejętnościami, dodał.

- Basta! - wykrzyknął Moncada, wymierzając mu policzek.

Diego był przygotowany na jakąś gwałtowną reakcję, mimo to musiał zrobić ogromny wysiłek, żeby się opanować i nie rzucić na Moncadę. Jeszcze nie przyszedł ten moment. Zaciśnął ręce na sznurach za plecami; krew z nosa i ust plamiła mu koszulę. W tym momencie wpadł sierżant García, który, widząc swego przyjaciela z dzieciństwa w takim stanie, stanął jak wryty, nie wiedząc, jak się zachować. Rozkazujący ton Moncady wyrwał go z odrętwienia.

- Nie wzywałem cię, García!

- Ekscelencjo... Diego de la Vega jest niewinny. Mówiłem panu, że to nie może być Zorro! Właśnie widzieliśmy prawdziwego Zorro na dziedzińcu... - wybełkotał sierżant.

- Do diaska, co ty pleciesz?

- Naprawdę, Ekscelencjo, wszyscy widzieli.

Moncada wypadł niczym błyskawica, a za nim sierżant, ale strażnik pozostał na swoim miejscu, trzymając Diega na muszce. W bramie do ogrodu Moncada po raz pierwszy ujrzał niesamowitą postać Zorro odcinającą się wyraźnie na tle fioletowego wieczornego nieba i zaskoczenie przygwoździło go na kilka sekund do ziemi.

- Brać go, idioci! - wrzasnął, wyciągając z pochwy pistolet i strzelając na oślep.

Kilku żołnierzy rzuciło się do koni, kilku innych zaczęło strzelać, ale jeździec już oddalał się galopem. Sierżant, bardziej niż ktokolwiek inny zainteresowany tym, by się dowiedzieć, kim jest Zorro, nieoczekiwanie zwinnie wskoczył na siodło, spiął konia ostrogami i ruszył w pogoń na czele półtuzina swoich ludzi. Popędzili na południe przez wzgórza i las. Zamaskowany mężczyzna miał nad nimi przewagę i dobrze znał teren, mimo to odległość między nim a oddziałem coraz bardziej malała. Po półgodzinie szaleńczej jazdy, od której konie pokryły się pianą, dotarli nad urwisty brzeg. Zorro znalazł się w pułapce: z jednej strony miał żołnierzy, a z drugiej morze.

W tym czasie Diego siedział pod strażą w salonie. W pewnej chwili zobaczył, że tajne drzwi w kominku się otwierają. To mógł być tylko Bernardo, który w jakiś sposób zdołał wrócić do hacjendy. Nie wiedział dokładnie, co się stało, ale przekleństwa Moncady, krzyki, wystrzały i niespokojne rzenie koni kazały mu przypuszczać, że jego bratu udało się wywieść przeciwnika w pole. Aby odwrócić uwagę wartownika, udał kolejny atak kaszlu, po czym przechylił się i razem z krzesłem przewrócił się bokiem na podłogę. Żołnierz natychmiast podszedł do niego i kazał mu się zachowywać grzecznie, bo inaczej rozwali mu łeb, jednak Diego usłyszał w jego głosie wahanie; może instrukcje, jakie otrzymał ów aztecki posążek, nie pozwalały mu go zabić. Kątem oka Diego dostrzegł jakiś cień, który oderwał się od kominka i zbliżał się do nich. Znowu zaczął kaszleć, trzęsąc się, jakby się dusił, a strażnik ciągle trzymał go na muszce, nie wiedząc, co robić. Diego oswobodził ręce i wymierzył mu straszliwy cios między nogi, jednak tamten musiał być z kamienia, gdyż nawet nie drgnął. Po chwili poczuł na skroni lufę pistoletu i ujrzał jakiegoś mężczyznę w masce, który uśmiechał się do niego bez słowa.

- Poddaj się, dobry człowieku, póki jeszcze masz czas - poradził mu z podłogi Diego, pospiesznie rozwiązując sobie sznury na kostkach.

Drugi Zorro rozbroił żołnierza i rzucił jego karabin Diegowi, który chwycił go w locie, sam zaś szybko zaczął się wycofywać w stronę kominka, na pożegnanie porozumiewawczo puszczając oko. Diego nie mógł pozwolić na to, by strażnik zobaczył, co się dzieje za jego plecami, więc powalił go na ziemię, wymierzając mu kantem dłoni cios w szyję. Tamten stracił przytomność na kilka minut, a w tym czasie Diego posadził go na krześle i związał tymi samymi sznurami, którymi skrupowano jego, następnie kopniakiem zbił w oknie szybę, bacząc, by we framugach nie zostały się jakieś ostre odłamki, jako że zamierzał wrócić tą samą drogą, po czym wymknął się z domu przez tajne drzwi w kominku.

Wróciwszy do salonu, Rafael Moncada stwierdził, że de la Vega zniknął bez śladu, a zamiast niego na krześle siedzi człowiek, który miał go pilnować. Okno było wybite, a jedyne, co oszołomiony strażnik pamiętał, to jakąś czarną postać i lodowaty chłód pistoletu przystawionego do skroni.

Idioci, idioci, skończeni idioci, podsumował swoich ludzi Moncada. Połowa jego oddziału galopowała w pogoni za zjawą, a w tym czasie więzień uciekł mu sprzed nosa. Wbrew oczywistym dowodom w dalszym ciągu był przekonany, że Zorro i Diego de la Vega to jedna i ta sama osoba.

W jaskini Diego nie spotkał Bernarda, choć się go tam spodziewał, za to zostawił mu on kilka zapalonych łojowych lamp, jego przebranie, szpadę i konia. Tornado parsknęła niecierpliwie, potrząsając bujną grzywą i grzebiąc w ziemi kopytami. „Jeszcze się przyzwyczaisz do tego miejsca, przyjacielu” - odezwał się do niego Diego, głaszcząc zwierzę po lśniącej szyi. Znalazł również bukłak z winem, chleb, ser i miód. Bernardo nie zapomniał o niczym, wiedział, że brat musi odzyskać siły po ciężkich przejściach. Diego był pełen podziwu; musiał przyznać, że Bernardowi niezwykle zręcznie udało się zmylić pościg żołnierzy i cudownym sposobem w odpowiednim momencie przybyć mu na ratunek. A jak dyskretnie i elegancko tego dokonał! Jest równie dobrym Zorro jak on sam, razem będą niepokonani, stwierdził. Nie musi się spieszyć ze zrobieniem następnego kroku, trzeba zaczekać, aż nastanie głęboka noc, a emocje w hacjendzie opadną. Posiliwszy się, zrobił parę skłonów, żeby się rozruszać, po czym w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zasnął smacznie, ułożywszy się na ziemi w pobliżu Tornada.

Po kilku godzinach obudził się wypoczęty i radosny. Umył się i przebrał, założył maskę, a także spróbował przykleić sobie wąsy. „Potrzebne jest tu lustro, to nie takie proste przyklejać sobie wąsy na wyczucie. Już postanowione, muszę sobie zapuścić wąsy, nie ma rady. I powinniśmy tę jaskinię nieco przystosować do naszych potrzeb, nie sądzisz?” - zwrócił się do Tornada. Zatarł ręce z radości: dopóki będzie miał zdrowie i siłę, nigdy nie będzie się nudził! Przed oczami mignęła mu twarz Lolity, w żołądku poczuł łaskotanie podobne do tego, jakie wcześniej wywoływała w nim myśl o Julianie, jednak daleki był od jakichkolwiek skojarzeń. Afekt do Lolity był dla niego czymś tak nowym, jakby był pierwszy i jedyne w jego życiu. Uwaga! Nie wolno mu zapominać, że jest kuzynką Carlosa Alcázara i choćby dlatego nie może być jego narzeczoną. Narzeczoną? Roześmiał się szczerze: nigdy się nie ożeni, lisy to zwierzęta prowadzące samotniczy tryb życia.

Sprawdził, czy Justina z łatwością wysuwa się z pochwy, poprawił na głowie kapelusz i przystąpił do dzieła. Poprowadził Tornada do wyjścia z jaskini, które Bernardo przezornie osłonił kamieniami i krzakami, dosiadł go i ruszył w stronę hacjendy. Stwierdził, że spał kilka godzin, było już dobrze po północy i prawdopodobnie wszyscy z wyjątkiem wartowników byli pogrążeni we śnie. Zostawił Tornada pod pobliskimi drzewami, pewien, że koń dobrze zapamiętał nauki Nocnej Błyskawicy i dopóki go nie zawoła, nie ruszy się z miejsca. Chociaż strażę podwojono, Diego bez problemów zakradł się pod dom i zajrzał przez okno do salonu, bo tylko tam paliło się światło. Stojący na stole kandelabr z trzema świecami rozjaśniał zaledwie część pokoju, resztę pozostawiając w półcieniu. Diego ostrożnie przełożył nogi przez zбите okno, wszedł do środka i przywierając do mebli ustawionych rzędem pod ścianami, przemknął do kominka, gdzie przykucnął za wielkimi polanami. Rafael Moncada przechadzał się długimi krokami po salonie, paląc papierosa, podczas gdy sierżant García, patrząc przed siebie, usiłował mu wytłumaczyć, co się stało. Ścigali Zorro co koń wyskoczy aż do urwiska, mówił, i już go właściwie mieli, ale on wolał rzucić się do morza, niż się poddać. O tej porze, po zachodzie słońca, niewiele było widać, a w dodatku nie można było zbliżyć się do krawędzi, gdyż kamienie groziły osunięciem. Chociaż nie widzieli dna przepaści, wystrzelali na oślep całe magazynki, tak więc nie dość, że Zorro skręcił sobie kark, to jeszcze został przeszyty gradem kul.

- Idiota! - powtórzył Moncada enty raz. - Tamten typ wystrychnął was na dudka, a sam de la Vega zwiął.

Mimowolny wyraz ulgi, który pojawił się na rumianej twarzy Garcíi, szybko znikł pod piorunującym spojrzeniem przełożonego.

- Jutro z ośmiu zbrojnymi pojedziesz do misji po de la Vegę. Jeśli będzie stawiał opór, zabijesz go. Gdyby go nie było, przywieziesz mi tu ojca Mendozę i Isabel de Romeu. Będą moimi zakładnikami, dopóki ten bandyta się nie podda, rozumiałeś?

- Ale jak możemy to zrobić ojcu Mendozie?! Myślę, że...

- Nie myśl, Garcíi! Twój mózg jest na to za mały. Słuchaj i nie otwieraj gęby.

- Tak jest, Ekscelencjo.

Ukryty w palenisku kominka Diego zastanawiał się, jak Bernardo zdołał być jednocześnie w dwóch miejscach. Moncada przestał wymyślać Garcíi i odprawił go, po czym nalał sobie koniaku Alejandra de la Vegi i usiadł, żeby pomyśleć. Bujał się na krześle, trzymając nogi na stole. Wszystko się skomplikowało, będzie musiał pozbyć się kilku osób, inaczej nie uda mu się zachować sprawy perel w sekrecie. Nie spiesząc, się wypił kieliszek, przejrzał dokument, który przygotował Diegowi do podpisania, i na koniec podszedł do ciężkiej szafy, skąd wyjął sakwę. Kolejny raz zaczął przeliczać perły, zanim skończył, jedna ze świec się wypaliła i воск skapywał na stół. Zorro zaczął jeszcze moment i opuścił swoją kryjówkę. Skradając się jak kot, przyklejony do ściany, zdążył już przejść kilka kroków, kiedy Moncada, czując, że ktoś go obserwuje, odwrócił się. Nie widział wtopionego w cień Diega, ale instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Z wiszącej na krześle pochwy z pomponami z czerwonego jedwabiu wydobyl cienką szpadę ze srebrną rękojeścią.

- Kto tu jest? - zapytał.

- Zorro. Sądzę, że mamy kilka drobnych spraw do załatwienia... - odparł Diego, wyłaniając się z cienia.

Moncada nie pozwolił mu dokończyć, rzucił się na niego z pełnym nienawiści okrzykiem, gotów przeszyć go na wylot. Zorro zrobił unik toreadora, do którego dodał wdzięczny zamach peleryną i z gracją odskoczył na bok. Czekał na przeciwnika z prawą dłonią w rękawicze opartą na rękojeści szabli, lewą na biodrze, z czujnością w oczach i z drwiącym uśmiechem na ustach, pokazując swoje piękne zęby pod przekrzywionym wąsikiem. Dopiero po drugim nietrafionym pchnięciu Moncady niespiesznie dobył szpady, jakby upór, z jakim tamten pragnął go zabić, był dla niego męczący.

- Niedobrze jest walczyć w gniewie - odezwał się prowokująco.

Sparował trzy pchnięcia oburącz i jedno wrzucenie, prawie nie unosząc broni, po czym cofnął się, aby zmylić przeciwnika, który bez wahania ponownie przypuścił atak. Zorro zręcznie wskoczył na stół i stamtąd jak w jakimś niezwykłym tańcu bronił się przed pchnięciami z wypadu Moncady. Niektóre przechodziły mu między nogami, innych unikał, robiąc piruety albo odpierał je z taką siłą, że szpady miały skry. Zeskoczył ze stołu i lawirując między krzesłami, uciekał przed depczącym mu po piętach Moncadą, który nacierał z coraz większą zaciekłością. „Nie forsujcie się tak, panie, to niezdrowo na serce” - drażnił się z nim. Chwilami ginął w ciemnych kątach, gdzie nie docierało nikt światło świec, jednak zamiast wykorzystać przewagę i zaatakować znieacka, pojawiał się ponownie z drugiej strony salonu, gwizdem dając znać o swojej obecności. Moncada bardzo dobrze władał szpadą i gdyby robił to spokojnie, gdyby chodziło o potyczkę dla zabawy, zamęczyłby niejednego przeciwnika, jednak zaślepiała go wściekłość. Nie mógł znieść, że ten śmiałek kpił sobie z władzy, burzył porządek, szczył z prawa. Musiał go zabić, zanim tamten zniszczy to wszystko, co Moncada najbardziej cenil: przywileje, jakie należały mu się z racji urodzenia.

Pojedynek cały czas wyglądał tak samo: jeden atakował z szaleńczą furią, drugi zaś uskakiwał z drwiącą lekkością. Ilekroć Moncada już miał przyszpilić Zorro do ściany, ten padał na ziemię i przeturlawszy się obok niego, podnosił się o dwa łokcie dalej. Wreszcie Moncada zrozumiał, że tamten igra z nim jak kot z myszą, i zaczął głośno wzywać swoich ludzi. Zorro uznał, że pora kończyć zabawę. Trzema długimi skokami dopadł drzwi i jedną ręką zatrzasnął oba zamki, podczas gdy drugą trzymał swego wroga na dystans. Następnie przerzucił szpadę do lewej ręki; sztuczka ta zawsze dezorientowała przeciwnika przynajmniej na kilka sekund. Znowu wskoczył na stół, tam chwycił się wielkiej żelaznej lampy zwieszającej się z sufitu, rozbujał się i w deszczu stu pięćdziesięciu zakurzonych świec, które tkwiły tam, od kiedy dom został odbudowany, opadł za plecami Moncady. Zanim ten zdał sobie sprawę z tego, co się stało, już był rozbrojony, a sztych szpady wroga dźgał go w kark. Jednak w tym czasie pół tuzina żołnierzy kopniakami i ciosami kolb muszkietów zdołało wyważyć drzwi i z bronią gotową do strzału wpadło hurmem do salonu. (Tak przynajmniej przy niejednej okazji Zorro mi opowiadał, a ponieważ nikt temu nie zaprzeczył, muszę mu wierzyć, chociaż zwykle przesadza, mówiąc o swych wyczynach. Wybaczcie tę krótką dygresję i wracajmy do salonu). Dowodził nimi sierżant Garcíi, który został wyrwany z łóżka i był w samych majtkach, za to w czapce od munduru naciśniętej na przetłuszczone włosy. Mężczyźni nadepnęli na świece, zaczęli się ślizgać i

przewracać. Jeden z nich niechcący wystrzelił, kula przeszła tuż obok głowy Rafaela Moncady i trafiła w wiszącą nad kominkiem obraz, przebijając oko królowej Izabeli Katolickiej.

- Ostrożnie, idioci! - zaryczał Moncada.

- Słuchajcie waszego szefa, przyjaciele - poradził im uprzejmie Zorro.

Sierżant García nie mógł uwierzyć własnym oczom. Gotów był przysiąc na własną duszę, że Zorro leży martwy na skałach na dnie przepaści, tymczasem był tutaj, jakby zmartwychwstał niczym Łazarz, a w dodatku dźgał Ekscelencję w potylicę. Sytuacja była poważna, dlaczego zatem w swoim wielkim brzuchu obżartucha czuł przyjemne łaskotanie motyli skrzydełek? Kazał ludziom się wycofać, co nie było łatwe, bo ślizgali się na świecach, a kiedy wyszli, zamknął za nimi drzwi, sam zaś pozostał w środku.

- Pański muszkiet i szabla, sierżancie - poprosił go Zorro tym samym przyjacielskim tonem.

García podejrzanie skwapliwie pozbył się broni, po czym stanął pod drzwiami; z szeroko rozstawionymi nogami i z rękami skrzyżowanymi na piersiach wyglądał imponująco, mimo iż był tylko w majtkach. Można by się tylko zastanawiać, czy czuwał nad nienaruszalnością cielesną swego przełożonego, czy też napawał się widokiem, jaki tamten sobą przedstawiał.

Zorro kazał Rafaelowi Moncadzie usiąść przy stole i na głos przeczytać przygotowany przez siebie dokument. Było to przyznanie się do podżegania osadników do buntu przeciwko królowi i działań na rzecz niepodległości Kalifornii. Taką zdradę przyplacało się śmiercią, a rodzina oskarżonego traciła swoje dobra i honor. Dokument wystawiony był in blanco, brakowało tylko nazwiska winnego. Najwyraźniej Alejandro de la Vega odmówił jego podpisania, stąd też brało się owo naleganie Moncady, aby zrobił to jego syn.

- Dobrze pomyślane, Moncada. Jak widzicie, panie, u dołu strony jest puste miejsce. Weźcie pióro i dopiszcie, co wam podyktuję - rozkazał Zorro.

Rafael Moncada musiał dodatkowo przyznać się do dwóch przestępstw: kradzieży pereł i niewolenia Indian.

- Podpiszcie.

- Nigdy!

- A czemuż by nie? Dokument jest napisany waszą ręką, a do tego to czysta prawda. No już! - rozkazał mu człowiek w masce.

Rafael Moncada odłożył pióro na stół i zrobił gest, jakby chciał wstać, ale trzy szybkie machnięcia szpadą wycięły mu na szyi pod lewym uchem literę Z. Ryk bólu i gniewu wyrwał się z piersi Moncady. Podniósł dłoń do rany, a kiedy ją cofnął, zobaczył na niej krew. Wróg oparł sztych swojej szpady na tętnicy szyjnej Moncady i zdecydowanym głosem uprzedził, że liczy do trzech i jeśli ten nie podpisze i nie podpieczętuje dokumentu, z największą przyjemnością go zabije. Jeden... dwa... i... Moncada złożył podpis u dołu strony, następnie nad płomieniem świecy roztopił lak, nakapał z niego na papier kilka kropli i odcisnął swój sygnet z herbem rodowym. Zorro odczekał, aż inkaust wyschnie, a lak zastygnie, po czym poprosił García, żeby podpisał się jako świadek. Grubas powoli i z trudem nagryzmolił swoje nazwisko, następnie zwinął dokument i z uśmiechem zadowolenia, którego nie potrafił ukryć, podał go zamaskowanemu mężczyźnie, a ten schował go na piersi.

- Doskonale, panie Moncada. Za parę dni wsiądziecie na statek i odpłyniecie stąd na zawsze. Będę trzymał to wasze przyznanie się do winy pod kluczem i jeśli kiedykolwiek wrócicie w te strony, dopiszę na nim datę i zaniosę do trybunału; ale tylko wtedy. Jedynie ja i sierżant będziemy wiedzieli o jego istnieniu.

- Mnie niech pan do tego nie miesza, panie Zorro - wybełkotał przestraszony García.

- A co do pereł, to nie musicie się martwić, już ja się zajmę tym problemem. Kiedy władze o nie zapytają, sierżant García zgodnie z prawdą powie, że zabrał je Zorro.

Wziął sakwę, podszedł do wybitego okna i wydał ostry gwizd. Po chwili usłyszał na dziedzińcu stukot kopyt Tornada, skłonił się dwornie i wyskoczył na zewnątrz. Rafael Moncada i sierżant García pobiegli za nim wzywając żołnierzy. Na tle tarczy księżycy zobaczyli czarną sylwetkę tajemniczego mężczyzny w masce na wspianym rumaku.

- Do zobaczenia, panowie! - powiedział na pożegnanie Zorro, nie zważając na kule, które świstały wokół niego.

Dwa dni później Rafael Moncada wsiadł na statek „Santa Lucia”, zabierając ze sobą liczny bagaż oraz lokajów, których przywiózł z Hiszpanii do swej osobistej posługi. Diego, Isabel i ojciec Mendoza odprowadzili go na plażę, po części, aby się upewnić, czy faktycznie odpłynie, po części zaś, aby nacieszyć oczy widokiem jego wściekłej miny. Tonem niewiniątka Diego zapytał go, czemu wyjeżdża tak nagle i dlaczego ma bandaż na szyi. Wyfiokowany młodzik, który ssał anyżkowe pastylki na ból głowy i używał koronkowej chusteczki, w żaden sposób nie pasował do wizerunku Zorra, jednak Moncada podejrzewał nadal, że pod czarną maską kryje się właśnie on. Ostatnie, co powiedział na odjeździe, było to, że nie spocznie, dopóki nie zdemaskuje Zorra i się na nim nie zemści.

Diego odzyskał dom i od razu przystąpił do naprawiania zniszczeń, do jakich doprowadzili stacjonujący tam żołnierze. Miał nadzieję, że ojciec niedługo w nim zamieszka. Alejandro przychodził do siebie pod opieką Toypurni i Białej Sowy, podczas gdy Diego wyjaśniał jego sytuację prawną. Liczył na to, że gdy Rafael Moncada zniknął z horyzontu, nietrudno będzie mu sprawić, że gubernator uchyli ciężące na ojcu zarzuty.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy Moncada opuścił Kalifornię, Diego i Bernardo spotkali się późnym wieczorem w jaskiniach. Nie widzieli się od chwili, gdy Bernardo pojawił się w hacjendzie, aby uratować Zorra. Postanowili rozpocząć wkrótce prace nad przekształceniem jaskiń w kryjówkę Zorra. Diego chciał wiedzieć, jak to było możliwe, że Bernardo pojawił się w hacjendzie, ujechał galopem szmat drogi, uciekając przed pościgiem żołnierzy, skoczył z urwiska w przepaść i w tym samym czasie ukazał się w drzwiach kominka w salonie jego domu. Musiał powtórzyć pytanie, gdyż Bernardo nie mógł zrozumieć, o czym on mówi. Nigdy nie był w domu, zapewnił go gestami, Diegowi musiało się to przyśnić. Skoczył z koniem do morza, bo dobrze zna teren, i wiedział, że niczym nie ryzykuje. Noc była ciemna, wyjaśnił, ale wzeszedł księżyc, oświetlając wodę, tak więc bez trudu dopłynął do plaży. Kiedy znalazł się na stałym lądzie, zrozumiał, że nie może więcej wymagać od swego zajęzzonego wierzchowca, i puścił go wolno. Żeby o świcie dotrzeć do misji San Gabriel, musiał iść przez wiele godzin. Wcześniej w jaskini zostawił Diegowi Tornada, ponieważ był pewien, że jeśli tylko on odwróci uwagę prześladowców, bratu uda się zbiec.

- Mówię ci, że Zorro przybył do hacjendy, żeby mi pomóc. Skoro to nie byłeś ty, to kto? Widziałem go na własne oczy!

W odpowiedzi Bernardo gwizdnął i z mroku wyłonił się Zorro - cały w czerni, w kapeluszu i masce, z wąsami, płaszczem przerzuconym przez ramię, prawą ręką wsparty na rękojeści szpady. Zaprezentował się w całej swojej krasie i okazałości; niczego mu nie brakowało, miał nawet bał zwinięty u pasa. Stał oświetlony kilkoma tuzinami łojowych lampek i dwiema pochodniami, dumny, elegancki, najprawdziwszy.

Diego patrzył jak osłupiały, a tymczasem Bernardo i Zorro tłumili śmiech, rozkoszując się tą chwilą. Zaskoczenie trwało krócej, niżby sobie tego życzyli, albowiem Diego zauważył, że zamaskowany osobnik ma zeza.

- Isabel! To mogła być tylko twoja sprawka! - zawołał, wybuchając śmiechem.

Dziewczyna śledziła go, kiedy pierwszej nocy po powrocie do Kalifornii poszedł z Bernardem do jaskiń. Widziała, jak Diego dawał bratu czarny strój, i słyszała, jak ustalili, że Zorro będzie nie w jednej, lecz w dwóch osobach. Przyszło jej wtedy do głowy, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby był w trzech. Niewiele ją kosztowało przekonanie o tym Bernarda, który we wszystkim się z nią zgadzał. Z pomocą Nurii pocięła sztukę czarnej tafty, jaką tamta dostała w prezencie od Lafitte'a, i uszyła sobie przebranie. Diego nie chciał się na ten jej pomysł zgodzić, mówiąc, że to zajęcie dla mężczyzn, ale przypomniała mu, że to przecież ona uwolniła go z rąk Moncady.

- Potrzeba więcej ludzi czyniących sprawiedliwość, bo na tym świecie jest wiele zła, Diego. Ty będziesz Zorro, a Bernardo i ja ci pomożemy - zdecydowała Isabel.

Nie było innej rady, jak przyjąć ją do spółki, albowiem jako ostatecznego argumentu użyła groźby, że jeśli tego nie zrobią, ujawni, kim jest Zorro.

Bracia włożyli swoje kostiumy i Zorro w trzech osobach stanął w dawnym Magicznym Kręgu Indian, który w dzieciństwie bracia ułożyli z kamieni. Nożem Bernarda zrobili sobie nacięcie na lewej dłoni. „Za sprawiedliwość!” - zawołali jednym głosem Diego i Isabel. Bernardo powiedział to samo w swoim języku gestów. A kiedy zmieszana krew przyjaciół ściekała kroplami na środek kręgu, wydało im się, że widzą, jak z głębi ziemi wyłania się jakieś gorejące światło i tańczy w powietrzu. Był to znak, że osiągnęli okahué, jak im to przepowiadała Biała Sowa.

Epilog i końcowa kropka - Górna Kalifornia (1840).

Tylko bardzo nieuważny czytelnik nie domyśliłby się, że kronikarką tej historii jestem ja, Isabel de Romeu. Minęło trzydzieści lat od chwili, gdy w roku 1810 w domu mego ojca poznałam Diega de la Vegę. Od tamtej pory wiele się wydarzyło. Mimo upływu czasu nie obawiam się, że popełniłam jakieś większe nieścisłości, ponieważ przez całe życie robię notatki, a kiedy pamięć mnie zawodzi, proszę o pomoc Bernarda. O wydarzeniach, w których uczestniczył, czułam się w obowiązku pisać z jak największą dokładnością, albowiem nie pozwala mi on na samodzielną interpretację faktów. Pisząc o pozostałych, miałam więcej swobody. Czasami mój przyjaciel wyprowadza mnie z równowagi. Powiadają, że z wiekiem ludzie łagodnieją, ale jego to nie dotyczy; ma czterdzieści pięć lat i nadal jest zasadniczy. Próżno mu tłumaczyć, że nie ma prawd absolutnych, wszystko zależy od punktu widzenia obserwatora. Pamięć jest krucha i kapryśna, każdy pamięta to, co chce, i zapomina o tym, co jest dla niego niewygodne. Przeszłość to wielostronicowy memuar; na jego kartkach zapisujemy życie inkaustem zmieniającym kolor w zależności od stanu naszego ducha. Mój memuar przypomina zbiór fantastycznych map kapitana Santiaga de León i zasługuje na włączenie do Encyklopedii pragnień, wersja kompletna. Pamiętnik Bernarda to gruba cegła. Nic to; dzięki tej swojej pryncypialności dochował się przynajmniej kilkorga dzieł i rozsądnie zarządza hacjendą de la Vegów. Pomnożył własny majątek oraz fortunę Diega, który nadal „czyni sprawiedliwość”; po części z dobroci serca, jednak przede wszystkim dlatego, że uwielbia przebierać się za Zorro i przeżywać przygody „płaszczka i szpada”. O pistoletach nie wspominam, albowiem prędko przestał ich używać; broń palną uważa nie tylko za nie dość precyzyjną, ale i za niegodną odważnego człowieka. Do walki potrzebna jest mu tylko Justina, szpada, którą kocha jak narzeczoną. Mój przyjaciel jest już zbyt dojrzały na takie dziecinady, lecz najwyraźniej nigdy się nie ustakuje.

Domyślam się, że chcielibyście się czegoś dowiedzieć o innych bohaterach tej opowieści, nikt nie lubi pozostawać w niewiedzy po przeczytaniu tyłu stron, prawda? Nie ma nic gorszego od zakończenia, w którym wiele wątków pozostaje otwartych, a właśnie ku temu skłaniają się współcześni autorzy, którzy przerywają pisanie swoich książek w połowie. Nuria ma białe włosy, skurczyła się do rozmiarów karzełka i oddycha z głośnym poświstem jak słoń morski, ale jest zdrowa. Nie zamierza umierać, mówi, że kijami będziemy musieli ją dobić. Niedawno przyszło nam pochować Toyurnię, z którą łączyła mnie serdeczna przyjaźń. Nie wróciła do życia wśród białych, została ze swoim plemieniem, ale czasami odwiedzała męża w hacjendzie. Byli dobrymi przyjaciółmi. Dziewięć lat temu pochowaliśmy Alejandra de la Vegę i ojca Mendozę, którzy zmarli podczas epidemii influenzy. Po tym, co przeszedł w El Diablo, don Alejandro nigdy nie powrócił w pełni do zdrowia, ale aż do ostatniego dnia swego życia konno objeżdżał swoją hacjendę. Był prawdziwym patriarchą, nie ma już dzisiaj takich mężczyzn jak on.

Wiadomość, że ojciec Mendoza jest umierający, rozniosła się indiańską pocztą i całe plemiona Indian przybyły się z nim pożegnać. Czumasze, Szoszoni i wielu innych zjechali z Górnej i Dolnej Kalifornii, Arizony i Kolorado. Całymi dniami i nocami tańczyli, wyśpiewując żałobne pieśni, i przed odjazdem złożyli na grobie misjonarza podarunki w postaci muszli, piór i kości. Najstarsi opowiadali legendę o perłach; o tym, jak delfiny zebrały je z morskiego dna i wyrzuciły na plażę i jak potem znalazł je misjonarz i przeznaczył na pomoc dla Indian.

O losach Juliany i Lafitte'a możecie się dowiedzieć z innych źródeł, bo mnie na tych stronach już nic więcej się nie zmieści. O korsarzu pisano w gazetach. Jego aktualne miejsce pobytu nie jest znane. Zniknął po tym, jak Amerykanie - z którymi ramię w ramię walczył w niejednej bitwie - zrównali z ziemią jego imperium na Grande Isle. Mogę wam tylko powiedzieć, że Juliana, z której zrobiła się zażywna matrona, wykazała się sporą oryginalnością: do tej pory jest zakochana w swoim mężu. Jean Lafitte zmienił nazwisko, kupił ranczo w Teksasie i pozuje na porządnego człowieka, chociaż na zawsze pozostanie bandytą. Mają ośmioro dzieci, co do liczby wnucząt zaś dawno już stracili rachubę.

O Rafaelu Moncadzie wolę nie mówić, ten łajdak nigdy nie zostawi nas w spokoju, za to Carlos Alcázar stracił życie w strzelaninie w jakiejś tawernie w San Diego krótko po opisywanych tu wydarzeniach w El Diablo z udziałem Zorro. Winnych nie odnaleziono, ale powiadano, że zabili go płatni mordercy. Kto im to zlecił? Chciałabym móc wam powiedzieć, że zrobił to Moncada, dowiedziawszy się, iż wspólnik oszukał go w sprawie pereł. Byłby to jednak tylko chwyt literacki służący temu, by zamknąć ów wątek, prawda jest bowiem taka, że kiedy Alcázarą dosięgły kule, Moncada był już w drodze powrotnej do Hiszpanii. W pełni zasłużona śmierć Carlosa ułatwiła Diegowi de la Vegde zdobycie ręki Lolity, której - zanim został przyjęty - musiał się przyznać, że Zorro i on to jedna i ta sama osoba. Małżeństwem byli zaledwie dwa lata, albowiem Lolita spadła z konia i złamała

sobie kark. Pech. Po kilku latach Diego poślubił inną dziewczynę o imieniu Esperanza, która również zmarła tragicznie, ale to już całkiem inna historia.

Gdybyście mnie teraz zobaczyli, przyjaciele, sądzę, że byście mnie poznali, albowiem wiele się nie zmieniłam. Piękne kobiety z wiekiem brzydą. Takie jak ja co najwyżej się starzeją, a niektóre nawet zyskują na wyglądzie. Ja z latami wysubtelniałam. Moje włosy są przetykane siwizną, ale mi nie powypadały tak jak Diegowi; nadal wystarczy ich na dwie głowy. Mam kilka zmarszczek, które dodają mej twarzy wyrazu, mam prawie wszystkie zęby, nadal jestem silna, koścista i zezowata. Nie wyglądam źle jak na moje intensywnie przeżyte lata. Jedno, czym się chlubię, to blizny od szabli i kul po ranach, jakie odniosłam, wspierając Zorro w jego dziele zaprowadzania sprawiedliwości.

Zapytacie mnie niewątpliwie, czy nadal jestem w nim zakochana, i będę zmuszona wyznać, że tak, ale nie cierpię z tego powodu. Pamiętam dzień, kiedy ujrzałam go pierwszy raz, on miał piętnaście, a ja jedenaście lat, oboje byliśmy dziećmi. Miałam na sobie żółtą sukienkę, w której wyglądałam jak zmokły kurczak. Wtedy się w nim zakochałam i był moją jedyną miłością, nie licząc krótkiego okresu, kiedy straciłam głowę dla korsarza Jeana Lafitte'a, ale tego, jak wiecie, wzięła sobie moja siostra. Nie znaczy to, że jestem dziewicą, co to, to nie; nie brakowało mi gorliwych kochanków, jedni byli lepsi, inni gorsi, ale żaden nie okazał się godzien zapamiętania. Na szczęście nie zakochałam się w Zorro do szaleństwa, jak to się dzieje z większością kobiet, kiedy już go poznają; zawsze wobec niego zachowywałam zdrowy rozsądek. Zdałam sobie sprawę z tego, że nasz bohater jest w stanie kochać tylko te kobiety, które nie odwzajemniają jego uczuć, i postanowiłam być jedną z nich. Prosi mnie o rękę, ilekroć zawiedzie się na jakiejś panience albo kiedy zostaje wdowcem - co zdarzyło się już dwukrotnie - ale mu odmawiam. Może dlatego śni o mnie, kiedy zje na noc coś ciężkiego. Gdybym zgodziła się zostać jego żoną, szybko poczułby się schwyty w pułapkę, a ja - chcąc go uwolnić - musiałabym umrzeć, tak jak to uczyniły obie jego małżonki. Wolę z cierpliwością Beduina doczekać jego i swojej starości. Wiem, że będziemy razem, kiedy on będzie już starcem o pałkowatych nogach, kiedy zacznie mu szwankować głowa, kiedy inne, młodsze „liski” zajmą jego miejsce i kiedy nie będzie już w stanie wspiąć się na balkon, gdyby jakaś dama zechciała wpuścić go do swej sypialni (w co wątpię). Wtedy odegram się na Zorro za wszystko!

I na tym, kochani czytelnicy, kończy się moja opowieść. Przynależam wam opowiedzieć o narodzinach legendy i dotrzymałam słowa, teraz mogę się zająć własnymi sprawami. Mam Zorro po dziurki w nosie i myślę, że przyszedł moment, by postawić końcową kropkę.